PISMO ZBIOROWE

WILEŃSKIE

NA ROK

1859.



WILNO.

DRUKIEM TEOFILA GLÜCKSBERGA.

1859.

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 25 Maja 1859 roku.

Cenzor, *Paweł Kukolnik.*

SATYRY,

PRZEZ

LEONARDA SOWIŃSKIEGO.

WSTĘP DO SATYR.

Na zgliszczach świata, krwią ludów pjana,
Ogromna ciałem, lecz duszą mała,
Potworna Roma gnuśnie konała
Pod brylantowém krzesłem tyrana.

W złowrogiéj ciszy drzémał kraj cały...
Gdzieniegdzie tylko śmierci okrzykiem
Graniczne puszcze dziko przegrzmiały;
Albo gród święty — pogaństwa mara,
Gniazdo szaleńców i niewolników—
Witał po cyrkach tygrysim rykiem
Podarte ciała Nazareńczyków,
Lub purpurową szatę Cezara.

Na téjto niecnéj potworów ziemi,
Gdzie ojców prochy ze sławą starą,
I cześć z sumieniem, i godność z wiarą,
Zdeptała tłuszcza stopy podłemi,—
W rozkładzie piersi trupiéj poczęty
Dojrzał satyry owoc przeklęty.

Gdy rzesza ludów druzgoce czoła
O marmurowe kwirytów progi,
I tłumnym jękiem zbawienia woła,
Błagalnie patrząc na stare bogi:

Pieśń nowa, w serce zajrzawszy światu,
Niechwyta gromów, lecz w nędzy ducha,
Szyderczym śmiechem wesoło bucha
Wśród orgij krwawych patrycyatu!

Jak gdyby w dusze owe kamienne
Z jednego śmiechu mogły wystrzelić
Cnót odrodzenia groty promienne
I w jakieś wielkie czyny się wcielić!..

Śmiał się Satyryk, lecz nieprzetworzył
Na plenne kłosy zbutwiałéj słomy—
I jeden uśmiech tylko dołożył
Do bakchanalij obmierzłych Romy.

Wrzała Urbs sacra szalonym śmiechem,
Aż niebo przedarł olbrzymiém echem—
I Bóg pochwycił piorun w prawicę,
I w proch zgruchotał ziemi stolicę.

Śród Kapitolu, pomiędzy złomy,
O całą przepaść bolu bezdenną
Wyższy nad syny i bogi Romy
Śpi Gladyator śmiercią kamienną.

Porwany w boju za gminę bratnią,
Krwią Słowianina, czystą, niewinną,
Zbroczył swych wrogów ucztę ostatnią,
A kiedy padał na złotym piasku
Z czołem osnutém dumką rodzinną—
Ciało mu stęgło nakształt koralu,
Duch kmiecy zastygł w dziecięcym żalu—
I w marmurowym zajaśniał blasku.

Tak wieki całe tęskno przemarzył
O złotéj woli, o braci doli...
A kiedy wreszcie swoi nadbiegli—
On duszą białą z wodzami gwarzył..
I kmiecie krusząc Romę powoli,
Braterskie ciało od młota strzegli...

Świat się przetwarzał we krwi i trudzie,—
Lecz w najstraszniejszym burzy pomroku
Coraz wyraźniéj widzieli ludzie
Promienną postać z miłością w oku,
Z cierniem na czole i raną w boku...
I wieść obiegła ziemię o cudzie,

O nowéj prawdzie zdobytéj światu,
O czci należnéj Bogu i bratu

I oto kościoł nowy dźwignięty,
Ludy się tłoczą u jego progów—
I po okruchach fałszywych bogów
Wstępuje w ołtarz potrzykroć Święty.

Przemknęły wieki ciżbą gromadną,
Z niemi wypadki błyskawic lotem,
I sto pokoleń legło pokotem
Wraz z zawieruchą myśli bezładną.

Ciężko pomyśleć!— pustką cmentarną
Pochód swój znaczą wieków szeregi. . .
Skarbnica dziejów jest garstką marną
Szczątków rzuconych burzą na brzegi. . .

Bo w Bożym tylko żywot lśni duchu!—
A jestże bóztwo w czynach zbiorowych,
Albo w tym gwarnym społecznym ruchu?—
Więc śmierć nieszczędzi kształtów jałowych—
I z wieńców naszéj chwilowéj sławy
Robactwu daje pokarm plugawy.

Z nieskończonością bytu swojego
Wstąpił Przedwieczny w ducha naszego,
Prawicą własną przestwór mu zmierzył
I w nieskończoność zakres rozszerzył...
Lecz gdy sumienie niebios dorosło,
Dla czegoż serce tam się niewzniosło?
I niwa chęci czemu tak marna?
I rola zasług czemu tak czarna?...

Dumna ogromem Bożego ducha,
Pierś ludzka pragnie kształty nowemi
Przysporzyć tworów téj biednéj ziemi!..
A kiedy cacko jakie wychucha
Do miary wzywa samego Boga,
Zapominając że inna droga
Na objaw bóztwa dla niéj wytknięta:
Wielka, prawdziwa, twórcza i święta.

O czyliż ducha w głazy nam wcielać,
W te ogniem ryte głoski odwieczne!
Czy raczéj bóztwo winniśmy przelać
W sojusz braterski, w życie społeczne!

Zamiast przybytku serca cichego,
Zamiast ofiarnych czynów purpury,
Dajemy Bogu świątyń marmury
I szatę błahą pisma martwego.

Marnieje Ludzkość w daremnym bolu,
Marnieją cele w potwornym buncie,
I na zbroczonym krwią Pańską gruncie
Nic niewyrasta oprócz kąkolu.

Aż się spełniło, że mędrce ziemi
Z własnego ducha bóztwo odarli,
I celów wyższych z niém się wyparli...
A gdy się w głębi serca ujrzeli
Z szat myśli Bożéj obnażonemi,
Samemi sobą gardzić poczęli
I Rzymskim śmiechem światu bluzgnęli.

Dziś śmiéch ten kona we krwi potokach,
Nanowo w ludy biją pioruny,
I już niewidać krzyża w obłokach,
Pożarne tylko iskrzą się łuny.

A chociaż tyle znamion dokoła
Wskazuje tory innego celu;
My z troską w sercu i w pocie czoła
Podnosim gruzy stare Babelu.

I wciąż proroczą, smutną przestrogą
Bóztwo przemawia w sumienia głębi.
I ducha karną tęsknicą gnębi,
I serce ściska śmiertelną trwogą.

Bracia! w obliczu wspólnéj niedoli
I duszy w ranach i piersi gnicia,
Śmiać się niezdołam, bo serce boli,
Bo widzę szczytność w téj nędzy życia!

Niosę wam pieśni gorzkie, palące;
Chrzczę je imieniem grzeszném i starém,
I wylać pragnę ognistym warem
Na wasze stare blizny gnijące...
Może choć jedna znów się rozkrwawi
I krew' ta świeża zgniliznę strawi.

Przed waszych własnych serc ideały
Powlokę w hańbie żywot wasz cały:

I tę dobytku świetność pozorną,
I tę nędzarzą dumę potworną,
I to wielbienie cielca złotego,
I fałszowanie słowa Bożego.

Może z kąpieli własnego sromu
Choć jeden z braci czystszym wypłynie,
I Boże prawo w słowie i czynie
Do rodzinnego wprowadzi domu.

SATYRA I.

PYCHA.

Z powszednich kształtów mętnéj topieli,
Zbrojny w skrzydlaty pancerz pokory,
Piersią rozrosłą w ognia kąpieli
Rzucam się w szersze życia przestwory...
Świat karłów zwolna niknie w pomroku
I coraz widniéj myśli i oku.

Jak straż graniczna nieba i ziemi,
Zastęp tytanów na ducha szczytach
Olbrzymie czoła kąpie w błękitach:
To genijusze... wyżéj nad niemi
Już tylko gmachy Boże bez końca
I chór aniołów w szatach ze słońca...

Tłómacze Bóztwa w obliczu ludów,
Dźwignie potężne Jego ramienia,
Garną w srebrzysty potok natchnienia
Promienne krople przedwiecznych cudów, —
I przetworzone w ognistym duchu
Na dzieła wielkie lub wieszcze słowo,
Rozdają zrzadka i po okruchu
Nieletniéj braci na karm' wiekową.

A gdy schyleni w powszednim trudzie
Zasilim piersi tym Bożym chlebem
I choć na chwilkę zespolim z niebem,
Cześć wam, o mistrze i wielcy ludzie!

Ale niezawsze czysta i cicha
Ta źwierciadlana duszy ich fala:

Nieraz ją zmąci i pianą zwala
Obłęd półbogów — szalona pycha...
Nieraz w tych czołach strojnych w gwiazd wstęgi
Myśli wplecione w niebieskie chory,
Zamiast przejęczeć pieśnią pokory,
Zuchwale przegrzmią hymnem potęgi...

I jak powietrza nadchmurne prądy,
Gdy rozszaleją w wichrów odmęcie,
U stóp ich drgają olbrzymie lądy,
Morza w piorunów rwą się objęcie:
Tak w sercach wielkich gdy zawrze burza,
Natychmiast walka poziom zachmurza
Niepokój szarpie Ludzkości ducha,
I w gniazdach bratnich pożar wybucha.

Po oceanie bez dna i końca
Miryadami chyże mkną słońca,
I w tym bezbrzeżnym żywota steku
Kropelka jedna świeci w człowieku.

W kropli téj jednak drobnéj i drżącéj,
Promiennéj iskrą myśli żyjącéj,
Jako w źwierciadle — wszechbyt widomy
Składa swych kształtów dziwne ogromy.

I każdy wejrzeć w łono swe może,
I rozpatrywać tam skarby Boże,
Ten świat zamknięty w marnéj łupinie,
I nieskończoność w téj okruszynie....

Czegoż tam Ludzkość dojrzeć niezdoła!
Zastępy potęg w szatach z granitu,
Cały alfabet słoneczny bytu,
Bezmiar Bożego ducha dokoła,
I praw cielesnych głoski fatalne,
I przykazania szczytne moralne.

A im kto głębiéj w duszę swą zajdzie,
Tym więcéj prawd w niéj ukrytych znajdzie,
I z tych odbitych świateł mnogości
Zwolna powstaje wiedza Ludzkości...

Garnąc olbrzymie widziadła bytu
W te źwierciadlane pierśi swéj tonie,

Niejeden mędrzec u badań szczytu
Złowrogim ogniem pychy zapłonie...
Wtenczas w szalonym ducha zapędzie
Nic iuż niedójrzy prócz siebie wszędzie;
W obliczu światów nieznanych mnóztwa
Jak prawodawca z myślą swą stanie,
W obec najgłębszych tajemnic Bóztwa
W niéj widzi węzeł i rozwiązanie.

I jeszcze, jeszcze targa się wyżéj...
Aż gdy wirując chyżéj i chyżéj,
Myśl ostatniego dotrze wyrazu,
Lecz na jéj „stań się“ nic się niestanie
I wszystkie złudy prysną od razu,
I znów zmąconą kroplą zostanie;
Natenczas grzech swój zamilczy dumnie,
Tylko w zwątpienia zamknie się trumnie,
Zaprze się prawdy, pogardzi sobą,
I obszar wiedzy zaćmi żałobą.

Wyjdź mistrzu z grobu, spojrzyj do koła,
A pierś twa jęknie przeklęństwem głuchém!
Patrz jak druzgocząc w przepaściach czoła,
Z poprzepalanym w piorunach duchem,
Pokoleniową, krwawą pokutą
Boleje Ludzkość z piersią przykutą
Dyamentowym wiary łańcuchem
Do czarnych skrzydeł swego anioła!

W dalekich stronach, w ubogim domie,
Pośród wybladłéj w nędzy rodziny,
W pyle xiąg mnóztwa, straszny i siny,
Stuletni starzec konał na słomie (1).

Świat mu już w duchu wirował kołem,
W mózgu i sercu brzmiał dzwon proroczy,
I myśl drętwiała pod żółtém czołem,
I w jamach strasznych gasły już oczy.

Niewiasta młoda, troską znękana,
Niepewne kroki ku łożu wlecze,

---

(1) Hoene Wroński postać mało znana, lecz niezmiernie wydatna na tle Filozofii XIX w. Roszczenia jego dosłównie niemal włożyłem w usta umierającego.

I pochylona: „Ojcze mój — rzecze,
I z płaczem kończy — pozwól . . . kapłana!“

Drgnął konający na dziwne słowa
I nagłym rzutem powstała głowa,
I nakształt burzy niknącéj wycia,
Pierś jękła dzikim finałem życia:

„Chcesz-li w pokoju widzieć grzesznika
I myśl śmiertelną czystszą od złota,
Dajże mi drugich sto lat żywota
I Ludzkość całą za spowiednika.

Wiek cały'm strawił we wstępnych trudach,
Nanowom szperał w śpichrzach Ludzkości,
Marniał w jéj plewach, walał się w brudach, —
I plon mój wszystek ginie w nicości!

A bezład wichrzy w myśli krainie,
Wiedzy niezłomnych podstaw brakuje,
Niewidać celu w dzisiejszym czynie,
I prawo wojny światu panuje.

Bo gdzież pewności naszéj rękojmie,
Gdy rozum niezna prawa tworzenia?
I któż niezgrzeszy pierwéj niż pojmie
Prawo postępu i przeznaczenia?

Ja piérwszy z ludzi prawa te wielkie
Znalazłem oba w duchu mym własnym,
I wątpliwości rozciąłem wszelkie,
I świat tajemnic stał mi się jasnym.

I w obec myśli mojéj ogromu
Wiekowych trudów dobytek cały
Zdał mi się błahy, fałszywy, mały,
A dzieje — pełne nędzy i sromu.

Gdyż wieczność całą myślą przerosłem,
Nad błąd i prawdę pewność wyniosłem,
Duchowi dałem sąd samodzielny,
Umiejętnościom wszelkim ustawę,
Bogu i światu życia podstawę,
Ludzkości całéj byt nieśmiertelny.

A gdy mój dogmat z dumnym pośpiechem
Wniosłem przed mędrców dzisiejszych grono,
Tryumf mój święty chłodem pomszczono,
Mój wynalazek okryto śmiechem;
I w strachu podłym o własne śmiecie
Ślad mój powzięto zatrzeć na świecie,
I pismo moje ogniem niszczono.

Trza było jąć się nowego trudu,
Olbrzymią prawdę w okruchy wcielać,
W każdą naukę zbutwiałą przelać,
I wlec je potém przed sądy ludu . . .

A czas upływał — tyle go trzeba,
By wszystkie prawdy wydrzeć u nieba!
Dziś już zapóźno . . . będzie szczęśliwszy!
Ach, cóż się stanie z prawdami memi?!
Przeklęty żywot mędrca na ziemi! . . "
I skonał szepcząc: ,,Bóg sprawiedliwszy!"

Tak skończył umysł pychą zatruty,
Co przez pół wieku myślą tytana
Rwał się ku niebu do skał przykuty...
I praca mędrca światu nieznana,
A kto śladami jego się rzuci
I obietnicom mistrza da wiarę,
Wkrótce spostrzeże, iż goni marę,
I zawiedziony, złorzecząc, wróci.

Niegdyś, w godzinę strasznéj ciemnoty,
Na świat tonący we łzach i sromie
Spadły dwa słowa z krzyża Golgoty,
I światło w Bożym błysnęło domie...
Leć myśli chyża! tam twoje wzory!
Bo na tych wielkich łanach Ludzkości
Wszystko schnie marnie oprócz miłości,
Nic nierozkwita oprócz pokory!

Ciężko, sieroco sercu na świecie!
Jakaś tęsknota wiecznie je gniecie,
Jakiś tam w głębi śpiew się odzywa,
Raz uroczyście, cicho i smętnie,
To jak ryk burzy, dziko, namiętnie,
I na swobodę w świat się wyrywa.

A gdy myśl wejrzy w te jasne tonie,
Jakiś byt inny ducha owionie:
Kształty znajome, lecz wymówniejsze,
I życie — ludzkie, lecz zupełniejsze,

Wszystko tam wielkie od stóp do głowy,
Rys wszelki piękny i posągowy,
Charakter każdy piorunem ryty,
W krynicy ducha z pleśni obmyty.

I wiecznie życia się dopomina
Ta ideałów święta kraina;
Ogromem swoim pierś nam rozsadza,
Wzdęta natchnieniem wszystkie rwie tamy,
I dotąd sercu wytchnąć przeszkadza,
Pokąd jéj w sztuce ciała niedamy.

I duch się wdziera w prawa natury,
Świat nowy wyjrzał z uczucia toni,
Na martwe struny, płótna, marmury,
Wytryska żywot z mistrzowskiéj dłoni.

I zewsząd śpieszą tłumy pielgrzymie
Oglądać gmachy ducha olbrzymie
I rozleglejszym westchnąć przestworem:
A gdy krew' własną ujrzą w tych światach,
Niejeden wróci w godowych szatach
I z idealnym w sumieniu wzorem.

Błogosławiony kto w bratnie łona
Żywotne tylko rzuca nasiona,
Kto pieśnią swoją nadzieje stwarza,
Muzyką Bozką zaklina burze,
Kto w płótnie uczci świętość ołtarza
I szczytność tylko rzeźbi w marmurze!

Lecz biada temu, czyje natchnienie
W piersiach pokrewnych szerzy zniszczenie!
Kto serca bliźnich żądzą rozpala,
Kto wiarę ludu w gruzy obala,
Kto z braćmi dzieli zgrzytania swoje,
Walkę, upadek i niepokoje!

Gdy sercem mistrza pycha owłada,
Świat sztuki z nieba do piekieł spada...
I wszystkie męki ducha grzesznego,
Z potęgą dziką, straszną, namiętną,

Co chwila wyjrzą z pod dłoni jego,
Na każdém dziele wypalą piętno,
W koło swe z ognia duszę zagarną
I myślą jakąś zatrują czarną.

W ojczyźnie mistrzów, w świata stolicy,
Któż o Syxtyńskiéj niewie kaplicy!
Tam od sklepienia do samych progów
Wszystkie widziadła ognistéj duszy,
Cały poemat łez i katuszy,
Prometejowéj piersi tortury,
Szerokim pęzlem przelał na mury
Samson natchnienia, artysta bogów.

Cześć twoim cieniom sztuki olbrzymie!
W pośród tych wielkich gruzów dokoła,
Aniołem śmierci zdajesz się w Rzymie!..
Niewidać nigdzie życia anioła!..

W obliczu dzieł twych włos mi się jeży,
W duszy uczuwam podziw i trwogę,
Czasami piersi duma rozszerzy,—
Czemuż nic więcéj uczuć niemogę!

W sądzie twym — Chrystus groźny, złowrogi,
Potężny, gniewny, nielitościwy,
Jak Jowisz harde gromiący bogi,
Odtrąca grzesznych świat nieszczęśliwy..
Gdy na tę postać straszną spójrzałem,
Zamiast miłości lub świętéj trwogi,
Gniewem zawrzałem i pomyślałem:
Takbym odtrącił łotry i wrogi!

Gdzie indziéj zimny, niezdolny jęku,
Z dumą stoicką w obliczu jasném,
Zbawiciel świata z krzyżem swym w ręku
Gardzić się zdaje cierpieniem własném (1).

Tam znowu postać wielka, surowa,
Jak starożytnych bogów kapłanka,
Na ciało syna zimno spoziera...
Pierś ta nie ze krwi, lecz marmurowa!
To Matka święta? — Nie! — to Spartanka,
Co w dziecku widzi — trup bohatera (2).

---

(1) Posąg w Sta Maria sopra Minerva w Rzymie.
(2) La Pieta w Bazylice ś. Piotra.

Boleść się zrosła z życiem Ludzkości!
Kto na jéj miecze pierś swą zatwardzi,
Z boleścią razem braćmi pogardzi
I już w tém sercu niéma miłości!

Genijusz z wyżyn duchowych szczytu
Wejrzał na poziom tonący w mętach,
Na czoła w prochu i dusze w pętach:
Więc dumą drgnęła pierś ta z granitu;
Mistrz przed potęgą uderzył czołem,
I bozkość wszelką uwielbił w sile
Widząc w niemocy podłości tyle...
Chwila... strąconym już był aniołem!....

Fijołku nieba, wonny, nietknięty,
Przeczysty, rzewny, pokorny, święty!
Potrzykroć cześć ci, Bracie — Aniele! (1)
Oświeź mi piersi anielskiém tchnieniem,
Orzeźwij duszę niebios widzeniem,
I serce biedne ustrój w wesele!

Duch twój niewinny, potulny, drżący,
Pokorą dziecka promieniejący,
Nigdy niechwytał piorunów w dłonie:
Lecz pod cherubów skrzydły złotemi
Zbierał światełka i niósł je ziemi
Z błogosławieństwem niebieskiém w łonie.

I Bóg się przejrzał w świętém natchnieniu,
I po szczęśliwéj duszy promieniu
Na ubożuchne przegrody celi
Zeszły niebiosa, święci, anieli...

Przed ich oczyma wieki mijają...
Anioł gdzieś odszedł w świątecznéj bieli,
Lecz inni dotąd nieodlecieli
Widać powrótu brata czekają...

A kto raz widział poczet tych twarzy,
Przez całe życie już o nich marzy
I nigdzie takich znaleźć niezdoła;
Aż gdy mu dłonie gwoźdźmi zaświecą
I ciernie krwawe wytrysną z czoła,
Wszystkie natenczas do duszy zlecą...

---

(1) Obecne wrażenia wyniosłem z klasztoru ś. Marka we Florencyi unieśmiertelnionego freskami Fra-Angelico nieporównanéj świętości.

KOMETA

PRZEZ

DEOTYMĘ.

Zachodzącego słońca bursztynowe bramy,
Zamykają się zwolna kluczami z korali;
Jeszcze kipią światłością obłoków rozłamy,
Jak lampa z alabastru co gasnąc się pali,
Jak serce w którém szczątki uczuć zamykamy.

Niebieskość widnokręgu bierze wdowie szaty;
Owdowiała po słońcu, płacze cichą rosą,
I wnet. z głębin przestrzeni występują światy,
Jak kapłany co światło pociechy jéj niosą.

Światła blade i nikłe, lecz jakże wytrwałe!
Od wieków troskom Nocy przyświecają wiernie.
Idąc, drżą i migocą jakby szły przez ciernie . . . .
Któż wie? może jak ziemia rwą z cierni swą chwałę?

Tu nizko, i tam wyżéj, smętnie lecz uroczo:
Tu, błogie berło podniósł Sen przemienno-licy;
Tam, błyszczące gwiazd koła w milczeniu się toczą,
Jak rydwan w którym stoi Genjusz tajemnicy.

Lecz oto, przy widnokresie,
Niezwykła światłość widnieje.....
Nikła, drobna jak nadzieje;
Nagle wzrosła..... olbrzymieje!

Jakby orzeł w światów lesie,
Zrywa się... w niebo wylata:
Falisto porozwijana
Jak ogrom chorągwi złotéj;

Sprężysta, jak miękkie sploty
Ognistego Lewjatana;
Cicho płynąca jak nawa
Świetlanym żaglem skrzydlata;
Czarująca, dziwna, łzawa,
Jak w raju piérwsza kobieta,
O długich, promiennych włosach,
Staje w niebiosach
Kometa!....

Odrzuciła z oblicza rąbek rozgorzały,
I zabłysło jéj czoło gwiazdą dziwnie jasną;
Tak jasną, że przy świetle téj chwilowéj chwały,
Najsędziwsze, największe, stałe gwiazdy gasną.

Tak nieraz, błysk zdolności świetnéj lecz nietrwałéj,
Bawiąc oko współczesnych grą świateł zamgloną,
Zaćmi, nawet genjuszów nieśmiertelne czoło; —
Lecz kometa przeleci — gwiazdy zawsze płoną,
I potomność zdumiona sąd chwili odwoła.

Im niebo głębiéj czernieje,
Tém wspanialéj, tém pożarniéj,
Kometa zmienia obrazy
Swéj czarodziejskiéj latarni.

Tam już widzę epopeję
Jakiegoś, przyszłego świata,
Co pędzony przeczuć mocą,
I w rozpaczy i w zachwycie,
Do źródła życia sto razy
Przylata, i znów odlata,
Nim się odważy na życie!

Jéj postać tak jest przezrocza,
Że gwiazdy przez nię migocą....
Niby Peri, do warkocza
Gwiazdy, jak cekiny wplata.

Teraz, stopą niecierpliwą
Wielkich siedmiu gwiazd dosięga;
To rumak z ognistą grzywą,
Którego tajna potęga,
Do *wielkiego wozu* wprzęga!
Któż, niosąc rozkazy Boże,

Ku nam pędzi na tym wozie?
Duch śmierci w groźnéj żałobie?
Czy Duch życia, który może
W jeszcze większéj błyska grozie?

O kometo! po cóż tobie
Gonić jakąś drogą świeżą?
Czemuż gwiazd spokojnych wzorem,
Nieiść wielkim, bitym torem?

O! bo w niebie tém kometa,
Czém na ziemi jest poeta!
Oboje, nieznaną drogą
Lecą, — i śmiertelni wierzą,
Że oboje wieszczyć mogą!

Cóż śmiałam wyrzec?... miałżebyś, człowieku,
Królu przyrody, wierząc dzisiaj jeszcze
W Nostradamusów marzenia złowieszcze,
W stuleciu światła, w dziewiętnastym wieku,
Drżeć u drżącego natury podnóżka?

Świat niegdyś wierzył, że kometa wróżka
Wchodząc do chmurnéj niebiosów jaskini,
Z rozchwianym płomiennym włosem,
Siada jak Pitja na trójnogu burzy,
I strasznym milczenia głosem
Narodom wróży.

Póki nauki brały postacie sfinxowe,
Niedziw, że niespodziana gwiazda prorokini,
Miała dla łatwowiernych ich trwogi wymowę.

Lecz dziś, gdy Bozka wiedza, tyle zabobonów
Berłem ducha zrzuciła z ich spleśniałych tronów,
Czyż i tego niezrzuci?.. I kometa przy niéj
Znikomą jest wieszczbiarką, — bo nauka zdoła
Nietylko ją wśród biegu śledzić niesfornego,
Lecz wywróżyć wiek, dobę, chwilę jéj powrotu!
A czyż najbojaźliwszy ulęknie się grotu,
O którym przed wystrzałem gońcy go ostrzegą?

O kometo! niebianko przezroczysto-czoła!
Możnaż się ciebie lękać? tak jasna!.. tak cicha!..
Mędrzec się w nię wpatruje z uśmiechem swobody.
A jednak.... rzesza patrzy, więcéj niż zdumiona...

Matka z dreszczem przyciska dzieciątko do łona,
Dziewica, w oblubieńca spójrzała i wzdycha....
Snem gorączki się miota na swych różach pycha,
I wzrok sobie badawczy rzuciły narody.

Któż powie, czy ta wiara, co z tak straszną siłą
Od wieków tłumy tłoczy, nieznajdzie dla siebie
Podstawy rozumowéj? I czyby nieśmiała
Wyrzec: „*Wiele jest rzeczy na ziemi i niebie,*
„*O których mędrcom naszym nawet się nieśniło!*"

Któż wie? może w budowie świata duchowego,
Cierpienia i radości, jak niebieskie ciała,
Po drogach oznaczonych w koło duszy biegą?
Znikną, i po obiegu znów przed nami staną?
Niebyłażby kometa skazówką miedzianą,
Która na niezbłaganym przeznaczeń zegarze
Godzinę nieszczęścia wskaże?

Lecz co mówię... nieszczęścia?... Jakiś Duch szyderca
Tak zwikłał ludzkie losy, na przekór praw serca,
Że co jedni przyjmują z rozbolałą duszą,
Tém drudzy się radują, i radować muszą!

Niebo, gdy jednym świeci, dla drugich się chmurzy;
Co tu się zwie nieszczęściem, tam szczęściem nazwano;
Jeśli kometa jednym zwiastuje przegraną,
Więc drugim zwycięztwo wróży.

Ty, którą wieść, tak ponurém
Światłem wróżby opłomienia,
Byłażbyś ognistém piórem,
Którém ręka tajnych cudów,
Pisze słowa przeznaczenia
Nad Baltazarami ludów?

Czybyś jak wojenna kita
Z wiecznego ognia uwita
Wspaniale opłomieniała
Hełm archanioła Michała,
Który błyszcząc prawdy wzrokiem,
Prawdy, co jak włócznia świeci,
Przez dziewiętnaście stuleci
Walczy i walczy ze smokiem?

Może; — lecz nawet w obec téj bitwy,
Nie nam przed tobą drżeć, archaniele!

Tych, co nieznając w czynie modlitwy,
Jak Faryzeusz stoją w kościele,
Tych co pod blaskiem złotéj pawęży
Chcieliby ukryć rumieniec czoła,
Na których sercu łza bratnia ciąży,
Tych co pełzając jak ziemskie gady,
Skrzydłem drapieżnych ptaków skrzydlaci,
Biorą kształt smoka w duchów postaci,
Beljalów fałszu, Molochów zdrady,
Niechaj przeraża hełm archanioła!

Lecz tym co w ludzkie niegrają kości,
Tęskniąc niepłaczą, cierpiąc niejęczą,
Rycerzom prawdy, synom miłości,
Kometa błyśnie nadziei tęczą!

My więc możemy, wejrzawszy w siebie,
Z sumienia czerpnąć odwagę naszą:
Bo najstraszniejsze znaki na niebie,
Tylko wyznawców szatana straszą.

Warszawa,
dnia 9 października 1858 roku.

KRZYŻE WIOSKOWE,

PRZEZ

WŁADYSŁAWA SYROKOMLĘ.

Dawnemi laty w pocie swego czoła,
Mnich sprawy ludzkie na pergamin leje,
W mowie Łacińskiéj, w języku kościoła
Kreśli poważnie rodowite dzieje,
Aby pod świętych wyrazów osłoną,
Pamięć praojców tém więcéj uczczono.
Słowo na kartę wpisane w ten sposób
Nieodwołalnym wyrokiem się stało:
Byłto i posąg uwieńczony chwałą
I pręgierz hańby dla czasu i osob.
Takiém wspomnieniem jak dziejopis wspomni,
Przeszłość nazawsze stanie na widoku;
I rzadko kiedy od tego wyroku
Sąd odwołania wyrzekną potomni.

Swoje wspomnienia w postaci odmiennéj,
Pisze dla wnuków wieśniak niepiśmienny;—
Gdzież mu mieć kartę? gdzie pióro i rylec?
A jednak w sercu potrzeba się budzi,
Aby syn własny lub obcy przybylec,
Znał dawne czasy i dawniejszych ludzi;
Aby na wieki zbawić od zatraty
Co się w téj wiosce trafiło przed laty.
Więc zamiast karty bierze grunt z pod wioski,
A zamiast pisma krzyż z drzewa wyciosa,
I cichych dziejów niezmazane głoski
Na tle błękitném odbiją niebiosa.
A w wiosce niebrak zgrzybiałego dziada,
Który o kiju pod krzyż się przywlecze,
I byleś ciekaw, przechodni człowiecze,
Krzyża i wioski dzieje ci wygada.

Dziejopis umrze, pergamin zbutwieje,
Młodzi przestaną trudnić się Łaciną;
Ale krzyżami zapisane dzieje,
Z pamięci ludzkiéj niełatwo zaginą.
Jeden krzyż zgnije, drugi się postawi,
Jeden dziad umrze to drugi się zdarzy;
A młodzi zawsze powieści ciekawi,
Więc zawsze gotów słuchacz u bajarzy,—
I takim kształtem powieść o rodzinie,
Z krwią pokolenia, w pokolenie płynie.

Czasem się zdarzy ktoś z opowiadaczy
Dat niepamięta, imie przeinaczy:
Więc słucha mędrzec i ramiony wzruszy,
Podanie pismu niejest odpowiednie;
Śmieje się tedy i myśli w swéj duszy:
„Brednie dziadowskie— nic więcéj jak brednie!“
Ach! to nie brednie chwycone z ulicy!
Ręczy krzyż Pański jako świadek niemy;
Lecz winneż dzieje, że my piśmiennicy,
Prawdy w podaniu znaleźć nieumiemy?

Krzyż na swéj niwie stawi kmieć ubogi,
Krzyżem swe imie niepiśmienny znaczy,
Krzyżem rozstajne rozchodzą się drogi,
W krzyż idą sakwy na piersi żebraczéj,
Jęczym przybici na krzyż naszéj doli,
Krzyżem nas żegna, krzyżem Bóg wyzwoli,
Krzyże stawimy, by uczynić zadość
Pamiątce zmarłych drogich sercu braci,
W krzyżu nadzieja, łzy i krew' i radość,
Krzyż nas podniesie i krzyż nas zatraci,
Przed krzyżem serce strapione się modli,
Jeden się zacni, a drugi upodli.

Czy na rozstajnéj czy na życia drodze,
Krzyżu Chrystusow, wszędzie cię znachodzę:
Tyś zawsze godłem, tyś życia obrazem,
Czy cierpi serce, czy szczęście nam służy,
Zawsze i wszędzie tyś jest drogowskazem,
Ażeby pielgrzym niebłądził w podróży.
A jeśli pielgrzym w obłędu godzinie,
Krzyż Chrystusowy niebacznie pominie,
I zamiast drogi manowce obierze,
I straszną przepaść znajdzie na uboczy;
To byle sercem pożałował szczerze,
Znów, krzyżu Pański, staniesz mu przed oczy,

I ojcowskiemi twojemi ramiony,
Wskażesz błędnemu gościniec stracony.

Wielcy i mądrzy zapomnieli może,
Lub na krzyż Pański dziś patrzą inaczéj;
Lecz prosty wieśniak każde swe rozdroże,
Każdą pamiątkę krzyżykami znaczy,
Każdą pamiątkę choć tysiąc lat mija,
Krzyżem jak gwoździem do serca przybija.
Dziwne te krzyże, dziwne te mogiły
Po naszéj ziemi rozrzucone wszędzie;
Plemiona zmarły, wieki się zmieniły,
Lecz pamięć żyje i długo żyć będzie.
I gdy ci bajać pocznie dziad brodaty,
O tym krzyżyku, o królowéj Bonie,
Niewierzysz w ścisłość historycznéj daty,
A sercem czujesz, że to prawdą wionie,—
I bardziéj trafi do twojego łona
Gawęda starca niż xiążka uczona.

LEKARZ DOMOWY.

DYALOG DRAMATYCZNY

W DWÓCH ODSŁONACH,

PRZEZ

K.-Wł. WÓJCICKIEGO.

OSOBY.

WACŁAW.
ZOFIJA jego żona.
ZDZISŁAW przyjaciel Wacława.
SĘDZINA.
DOKTOR.
JAKÓB stary sługa.

Rzecz się dzieje na wsi i w Warszawie między 1 a 2 odsłoną upływa rok czasu.

ODSŁONA I.

SPRAWA PIÉRWSZA.

(Skromna we dworze wiejskim izba,—na kominie pali się ogień, przy nim siedzi stary Jakób, co chwila drzémie i budzi się jakby zmuszony do czuwania. Sędzina siedzi w wielkiém krześle i przy świecy ciągle czyta nabożną xiążkę).

SĘDZINA.

Już zapewnie i północ mija, (*na zegarze czwarta uderza*) a ona czuwa, sen z jéj oczu ucieka. Mój Boże! mój Boże! kie-

dyż nas pocieszysz w naszém ciężkiém umartwieniu? Ale niech się dzieje Twoja święta wola; my z pokorą skłońmy głowę.. (*Opuszcza głowę na piersi—po chwili*) Jakóbie! Jakóbie!

JAKÓB (zrywając się).

Pfu! na psa urok! przecięż niespałem,—co pani rozkaże?

SĘDZINA.

Czy prędko zaświta?

JAKÓB (idąc do okna).

O! zmrok jeszcze, ale niedługo wyjdzie zorza na zaranie; a toć już trzecie kury piały, i czwarta wybiła. A na dworze plusk pani, trudno psa wygonić z pod strzechy; wichura, na na psa urok! (*poprawia na kominie*). Człowiek czasem się zdrzemie, boć to i lata gniotą. Z nieboszczykiem panem półkownikiem a rodzicem pani naszéj (niech mu tam światłość wiekuista świeci!) natérało się dosyć po Bożym świecie,—czują, o czują to stare kości! Teraz mój Boże, miły kącik mały, a ciepły, a spokojny.

SĘDZINA.

Mój Jakóbie! idź połóż się wywczasuj, bo jutro znowu cały dzień na nogach, to się utrudzisz zbytecznie.

JAKÓB (całując w rękę sędzinę).

Już ja to wiem, że pani taka dobra, kubek w kubek jak nieboszczyk ś. p. brat pan półkownik. Ale ja kocham moję panią—ona słaba i cierpi, i wiem przez kogo! Ale niech mi kartacze pogruchoczą zdrowe nogi, na psa urok, że gdybym mógł podnieść rękę na tego, co jéj tyle łez wyciska, co jéj choroby, a Boże niedopuść i śmierć może sprowadzi, tobym go mówię zbił na kwaśne jabłko a nawet (*w zapale*) na psa urok, i zabił.

SĘDZINA.

Jakóbie! cóż też nieblużnisz!

JAKÓB (z ukłonem).

Znam też respekt pani; ale jak Bóg Bogiem, natarłbym mu w nos pieprzu, coby go, na psa urok! niewykichał lekko.

SĘDZINA.

Idź, idź, mój Jakóbie, na spoczynek! ja czuwam to dosyć, może Zofija usnęła po lekarstwie i śpi spokojnie, a usłyszę każde jéj ruszenie, bo mi się w sercu odzywa.

JAKÓB (wzruszony).

To pani myśli, że ja serca niemam, na psa urok: otoż usiędę, i żebym jak kamień na tém miejscu mchem obrósł nieruszę się, tak! nieruszę się, jak wtedy gdy mi ś. p. półkownik po zabitym chorążym oddając w ręce sztandar powiedział: „Jakóbie! tu stój i trzymaj to i broń!“ Ja stałem, jak Bóg Bogiem, stałem; a chociaż koledzy w około by muchy padali, ja stałem i po bitwie z przestrzeloną ręką zaniosłem sztandar memu półkownikowi, a on mnie przed półkiem pocałował—dobosze uderzyli, zdjął swój krzyż, przypiął mi sam—koledzy broń sprezentowali, ten sam sztandar się pochylił... ja daléj nic niewidziałem, ale stałem... i będę tu stał—ha! chyba mi pani rozkaże co usłużyć, albo iść precz. No to pójdę, ale pode drzwiami będę stał, a ztamtąd nikt mnie już niewypędzi.

SĘDZINA.

Poczciwy Jakóbie! No czuwaj i siedź kiedy tak chcesz; ja się na ciebie gniewać nieumiem.

JAKÓB (całując w rękę).

O tak! wiem to, i dla tego czasem człowiek zuchwaléj odpowie jak wypada; ale to widzi pani, że człek nigdy niewylenieje ze skóry żołnierskiéj,— a to przyrasta proszę pani, tak przyrasta, że przyrośnie jak u żółwia skorupa. I to dla tego jak człeka serce zaboli, albo co rozpali, to z pod téj skóry czasem bluzgnie niepotrzebnie.... Teraz sobie zasiędę.

SĘDZINA (patrząc z uśmiechem).

Ogieniek jest, a w ogieńku węgielek do fajeczki.

JAKÓB.

A czybym ja śmiał kurzyć przy wielmożnéj pani?

SĘDZINA.

Pal sobie, niewstydź się, mnie dym nieszkodzi, a potém komin wszystko wyciągnie. Dla was fajeczka to chléb powszedni, jako modlitwa dla nas konieczna.

JAKÓB.

Wolne żarty, wolne żarty; pani modli się rano i wieczorem, a jabym cały dzień palił. (*Nakłada fajkę i zapala*). Otoż to teraz z łaski pani niczego mi niebrakuje;— ciepło mi, wygodnie, a z fajeczką to panie człek by sułtan! (*miarkując się*): na psa urok, daleko człeku do tego! Nasza pani chora... o gdyby Bóg dał jéj zdrowie.

SĘDZINA.

I spokój.

JAKÓB.

Toby u nas był raj—raj—jakby wianki wił!

SĘDZINA.

A doktor czy prędko będzie?

JAKÓB.

Wyjechał tylko na drugą wieś, bo tam kilku chłopków chorych i zaniemogła piastunka naszéj pani stara Marcinowa, a on ją tak kocha.

SĘDZINA.

Poczciwy człowiek.

JAKÓB.

Powiedz pani: święty człowiek. A co za ruch, to panie ja tylko wiem, ba i ś. p. brat pani półkownikowéj wiedział. Krzyż legii co ma na piersiach nikt lepiéj niezasłużył: bo choć niedźwigał karabina, ani rąbał szablą, ale więcéj dobrego zrobił niż sto karabinów. Ino go niewidać, a to tęgi, ba nawet święty człowiek.

SĘDZINA.

Co bo też niebredzisz Jakóbie.

JAKÓB.

No! na psa urok,—może i bredzę jak pani mówi, ale taki przy swojém ostanę. (*Chwila milczenia,—Jakób nasłuchuje, potém zrywa się na nogi*). Otoż jedzie! słyszę— słyszę—jedzie i wraca nasz doktor.

SĘDZINA (wstając).

Pójdę zobaczyć czy śpi jeszcze Zosia; dam znać jak się obudzi.

SPRAWA DRUGA.

JAKÓB później DOKTOR.

JAKÓB.

Jak zobaczę doktora to mi zaraz lżéj na sercu: bo on jeden co czuwa jak rodzic nad naszą biedną panią. Przysunę mu tu krzesło—tak—lubi grzać się i dumać patrząc na ogień komina; przygotuję mu fajeczkę z sułtanem, jeżeli w dobrym sosie to z ochotą zapali.

DOKTOR (wchodzi zrzuca płaszcz przemokły, i w głębokim smutku postępując zwolna pada na krzesło i z cicha z boleścią mówi).

Skończyła! przeszła w lepszą krainę!

JAKÓB (przysuwa się z uszanowaniem, podaje fajkę—Doktor daje znak, że niechce).

To źle! A z przeproszeniem pana, nasza stara Marcinowa jak się miewa?

DOKTOR (ponuro).

Dobrze jak można najlepiéj.

JAKÓB (z radością).

A to dzięki Bogu! będzie mógł się znów do niéj człowiek wybrać na dobry kieliszek krupniczku i pogawędkę.

DOKTOR.

Próżne marzenia, mój kolego; już tam więcéj niepójdziesz.

JAKÓB.

A to dla czego, proszę pana? przecięż eśmy z Marcinową kumowstwo.

DOKTOR.

Już Bóg was na téj ziemi rozdzielił; (*Jakób przerażony cofa się*):— ona skonała na moich ręku.

JAKÓB (z boleścią).

Skonała—a pan powiedziałeś, że się ma jak najlepiéj!

DOKTOR.

Czyż ten, co skończy wszystkie cierpienia i przejdzie na łono wiekuistego Boga, niema się jak najlepiéj? Robiłem wszystko co sztuka może,—przynajmniéj bez boleści usnęła. Wspomniała naszę Zofiję nieboszczyka półkownika, sędzinę—kilkarazy wyjąkała i twoje kolego imie

JAKÓB (ocierając łzy).

Niech ma wieczny odpoczynek! — Pan niepatrz się na mnie, odwróć się odemnie, bo ja muszę płakać! Ja ją dawniéj kochałem; byłbym dał jéj swojéj krwi utoczyć, prawą dla niéj rękę uciąć,— ale cóż! musiałem wziąć na plecy karabin. Ona czekała, wyglądała, tęskniła, płakała, modliła się sześć roków,— a potém kiedy wieść przyszła żem zginął pod Lipskiem, to ludzie jak zaczęli pocieszać, a namawiać, poszła za starego kredencerza Marcina; poczciwy był to człowiek, szanował moję Kasię, niedał się jéj térać,— a kiedym wrócił już bez me-

go walecznego półkownika — (*z boleści wstrzymuje głos*) bez półkownika— pogrzebawszy go własnemi rękoma w cudzéj ziemi wróciłem—i cóż zobaczyłem przechodząc koło smętarza przy kościele? (*Wstrzymuje głos od łkania*).

DOKTOR (wzruszony).

Niewstydź się łez przedemną, mój kolego stary: komu wyciskają je z oczu tak poczciwe wspomnienia, to ma dobre, szlachetne serce. (*Podając mu rękę ściska życzliwie*).

JAKÓB.

Było to nad wieczorem, słonko na zachodzie— spędzano bydło do obór i wszyscy wracali z pola. Ja szedłem w mundurze podartym z tornistrem na plecach, z kijem w ręku boso, z siwizną na głowie—ot co przyniosłem z wojaczki. Właśnie na Anioł-pański dzwoniono; podszedłem pod kościołek, spójrzę za mur na smętarz, zaćmiło mi się w oczach—moja Katarzyna klęczała przy krzyżu... a wie pan... ten krzyż był na pamięć moję— a ona płakała i modliła się za mnie. O panie! wtedy poczułem piérwszy raz w życiu, że zaciasno było sercu w piersiach od żalu, płaczu i radości. Upadłem pod murem, niewiem co było daléj,—jakem oczy otworzył, z wlepionym wzrokiem stała ona przy łożu i poczciwy Marcin—ot i wszystko. Człowiek tu w usługach został; oni na drugiéj wsi na łaskawym chlebie pani: co niedziela, byle święto—to u nich cały prawie dzień przegaworzyło się wesoło;—stary Marcin umarł łońskiego roku a Katarzyna potém zaniemogła... i skończyła.. (*po chwili*): Ha! i człeka śmierć niedługo do apelu zawoła—będzie lepiéj raz skończyć—bo tu w domu ciężko panie mi oddychać. Gdyby jeszcze pani była zdrową.... wesołą jak dawniéj!

DOKTOR.

Czy usnęła po lekarstwie?

JAKÓB.

Nie wiem panie—pani sędzina czuwała tu noc całą i poszła do sypialni pani.

DOKTOR.

Zacna kobieta! Zostań tu Jakóbie— pójdę sam się przekonać o zdrowiu naszéj Zofii. (*odchodzi*).

SPRAWA TRZECIA.

JAKÓB (sam).

Miły Boże—pogrzebiesz teraz biedny i stary Jakóbie swoję Katarzynę... Ona widziała cię żywym choć płakała nad

twym grobem, a ty rzucisz na jéj oczy garść chłodnego piasku i pożegnasz nazawsze. (*Ociera łzy*). Takem roztkliwiał, na psa urok, jak baba... Ale sam niewiem co mi jest—smutno, tęskno na sercu—tak tu w piersiach dech rozsadza... (*Siada zapala przy kominie fajkę; po chwili nóci zcicha*):

Idzie żołnierz borem, lasem,
Przymierając głodu czasem.

Cóż to za turkot? (*biegnie do okna*). Ha! to nasz pan czuły małżonek; siódma z porania, on wraca z pohulanki. A pani go kocha, schnie z tęsknoty! Jemu po głowie mrzonki— fajeczka— karteczka— (*uderzając się w usta*) na psa urok, niedokończę.

SPRAWA CZWARTA.

WACŁAW (blady, zmęczony)— ZDZISŁAW (podchmielony)— JAKÓB.

WACŁAW (podpierając Zdzisława).

No cóż? świeże powietrze czy cię nieorzeźwiło?

ZDZISŁAW (rozmarzony)-

Orzeźwiło— i rozmarzyło; ach jakże słodkie snują się marzenia! (*pada na krzesło*) widzę was błogie mojéj wyobraźni fantastyczne istoty!

WACŁAW (z uśmiechem).

Szczęśliwy śmiertelniku, na jawie i w marzeniu ty śnisz o szczęściu swojém! (*do siebie*): Ja tylko raju sobie zbudować niemogę!

ZDZISŁAW.

Szczęśliwy, mówisz? a czyż twój los nie do zazdrości? Masz anioła nie kobietę—co rzekłem? archanioła, co cię kocha; masz majątek, dostatek, możesz mieć nie raj ale niebo!

WACŁAW (zimno).

Widać, że lubisz poezye, a w naszéj prozaicznéj rzeczywistości poezya na nic się nieprzyda.

ZDZISŁAW.

O Wacławie! gdybym tylko znalazł taką kobietę jak twoja żona, byłbym zupełnie szczęśliwy! O! takiéj już nieznajdę.

WACŁAW.

Tak mówisz, z takim zapałem, jakbyś się pokochał w Zofii.

ZDZISŁAW (rozmarzony).

A któż ją może niekochać, choć raz zobaczywszy? Wy to mężowie, co cierpicie tylko na kurzą ślepotę, wy to z waszych żon zdzieracie urok poezyi, jaki każda ma prawie Polka. Ubóztwiasz ją będąc kochankiem—gdy osłoniona tarczą dziewiczości utaja swoje powaby: ożenił się—niedługo urok anioła powszednieje, na białych skrzydłach ulata poezya kochanka; mąż zaczyna żyć prozą, i biedna choć zachwycająca zawsze kobieta, miasto rojonych dni rajskich ma łzy, smutek i złamane nadzieje, któremi karmiła swoje marzenia!

WACŁAW (z uśmiechem).

Mówisz jak kaznodzieja, mój Zdzisławie; uważam że stary węgrzyn a w dodatku szumiący szampan czynią cię wymównym! Ale dajmy pokój żartom! Jak cię niewesoła rzeczywistość pochwyci w swe zimne szpony—to będziesz płakał na poezyę, a niepotrafisz ją zaklęciem nawet przywieść pod swe poddasze. Wierz mi, ja ci to mówię z przekonania, z doświadczenia.

ZDZISŁAW.

Niewierzę wcale! Może się nudzisz w domu, nieprzeczę— są ludzie co zasypiają obojętnie przy najcudniejszéj kobiecie, przy najstarszym myszką trącącym węgrzynie bez skosztowania: ale przecię za domem szukasz raju. (*poziewając*): A czarnobrewka Marya, co z takim powabem uśmiecha się do ciebie, w towarzystwie na nikogo niespójrzy nawet na mnie, a ciebie ściga płomienistym wzrokiem...

WACŁAW (w zapomnieniu).

O tak! te oczy Maryi, co zapowiadały mi wzajemność pewną, mięszały me myśli, ćmiły wzrok nawet! Nieszczęsny wieczor—grałem i przegrałem....

ZDZISŁAW.

I wieleżeś puścił, patrząc na urocze oczęta Marysi? widziałem paczki papierków sto-złotowych wylatywały na skrzydłach niepowrótnych, i szły do pugilaresu—śmiać mi się chce!— ha! ha! do pugilaresu męża Maryi, co tak cię pożerała płomienistym wzrokiem. To łakome stworzenie — od razu i serce i kieszeń ci suszy.

WACŁAW.

Przeklęcie! niewspominaj mi o tém więcéj! To mi humor psuje.

ZDZISŁAW.

Humor psuje? Bawisz mnie Wacławie! Ja cię w domu oddawna nigdy w dobrym niewidziałem.

WACŁAW.

Lepiéj idź spać— po-pijanu niedorzeczności same prawisz.

ZDZISŁAW.

Spać—spać i marzyć!

WACŁAW.

Jakóbie odprowadź Zdzisława do mojéj biblijoteki, połóż go na kanapie, daj mu skórzaną poduszkę, to chłodniéj i lepiéj.

JAKÓB (na stronie.)

Dałbym ci pod studnią z ceber zimnéj wody, skąpawszy jak pudla, wyszczułbym chartami za graniczne kopce. (*Odchodzi ze Zdzisławem*).

SPRAWA PIĄTA.

WACŁAW (sam)—późniéj DOKTOR.

On mi o szczęściu, o raju plecie. Marzyłem i ja o tém; a cóż z tych urojeń?—niesmak—gorycz... (*siada*). Przecięż dawniéj byłem szczęśliwy, pod tym samym dachem, dnie ulatywały mi niepostrzeżenie, nigdy nudy nieznałem. Dawniéj... o czemuż mi to pamięć przywodzi te chwile pełne szczęścia, uśmiechu, wesela!.. był raj i w tych rodzinnych ścianach! A cóż go rozwiało? (*smutnie spuszcza głowę*). Te oczy Maryi—ten wzrok ognisty co mię pali, ściga mnie wszędy... Ona mnie kocha, a jéj miłość to łódka wśród burzy życia, na któréj przypłynę do uroczéj krainy szczęścia... (*w zamyśleniu*): Jéj mąż to zimna figura,—on tylko kocha karty— i umie władać... niemi... pięć tysięcy wygrał odemnie dzisiejszéj nocy... Może i prawdę mówi Zdzisław, że razem wysusza i serce i kieszeń.— O kiedyż, kiedyż wrócicie dawne moje dnie swobody i spokoju! Czuję strudzenie,— sen klei powieki. O Maryo! czyż będziesz zawsze tylko ideałem dla mojéj miłości?— Namiętności trudzą— ciężko mi w sercu— głowa moja pała! (*wstając*): A! doktór, jak się masz?—Dobranoc, idę spać, bom djable zmęczony.

DOKTOR.

Twoja żona, Wacławie, chora.

WACŁAW (poziewając).

To źle, lecz cóż ja pomogę—kiedy ty czuwasz? Daj jéj lekarstwo, wszak na to nieżałuję. Może chce się zabawić

w Warszawie— niech jedzie— tam więcéj doktorów; jeżeli ty niepomożesz to inni ją wyleczą. Do widzenia, niespałem noc całą.

DOKTOR.

I ja czuwałem noc całą.

WACŁAW

A to dla czego?

DOKTOR.

Czuwałem przy umierającéj Marcinowéj.

WACŁAW.

To ta poczciwa starowina umarła—szkoda, żałuję jéj z serca, ona wypiastowała Zofiję—ona i mnie w dzieciństwie nieraz woziła wózkiem.— (*smutno*): A miałem jakieś smutne przeczucie.

DOKTOR.

Umarła— konając prosiła Boga o twoję poprawę, abyś więcéj łez Zofii niewyciskał.

WACŁAW.

Co też mi mój Doktorze pleciesz za stare androny!—jaż winien że Zofija słaba.. że płacze? to skutek choroby, osłabienie nerwów....

DOKTOR (biorąc za rękę Wacława).

Wacławie! był czas, że byłem twoim przyjacielem. Pomnisz te lata dzieciństwa twego, gdy z ojcem Zofii a moim nieodstępnym towarzyszem i prawie bratem, wychodziliśmy na wyprawę; sadzałem cię na mego konia, a ty zawieszony u szyi mojéj opłakiwałeś nasz rozdział. Kochałem cię jak syna, wyrosłeś w młodzieńca i twoje serce niemiało dla mnie tajemnicy. Kochałem cię więcéj: bo zapowiadałeś, że będziesz poczciwym obywatelem—że będziesz człowiekiem godnym tego imienia.. Dziś (*odpychając rękę Wacława*) gardzę tobą. Zatrułeś dnie życia téj anielskiéj kobiety— wpędzisz ją przedwcześnie do grobu. Mogłeś na roli ojców swoich przy dawném ognisku znaleźć szczęście i pokój— zdeptałeś je niegodnie, bo szukasz brudnych uciech za domem. Mogłeś być ojcem i opiekunem, dobroczyńcą biednych pracowitych kmiotków, a uciskasz ich, i z krwawego ich potu dobyty grosz marnotrawisz na rozpustę i zbytki. Jesteś podły i nikczemnik! a jako ty zbezcześciłeś swoję przeszłość i nadzieje nasze, i rozdarłeś

niejedno kochające serce—tak ja depczę ostatnie ogniwa jakie mię łączyły z tobą. Niemamy już nic wspólnego z sobą. Przyjdzie czas twéj żałoby i pokuty. Stąpaj w tym kale brudów niecnych daléj—daléj tam! (*wskazując na drzwi pokoju Zofii*) idź i dobij swoję ofiarę.— (*odchodzi*).

SPRAWA SZÓSTA.

WACŁAW (sam stoi uderzony jakby gromem—po chwili pada na krzesło).

Czy to sen?.. czy ja marzę?.. On mi wyrzekł, żem podły i nikczemnik, rzucił klątwę—a ja oniemiałem. Jakież jego prawa? jaka władza? W domu moim spotkać zniewagę... i taką zniewagę! Zofija chora—niebezpieczeństwo jéj zagraża—on mówi, że ja ją zabijam....

SPRAWA SIÓDMA.

WACŁAW, ZOFIJA.

ZOFIJA.

Przybyłeś przecię Wacławie—oczekiwałam cię z tęsknotą, niespałam całéj nocy. Myślałam, że cię przypadek jaki spotkał i truchlałam z przestrachu. Milczysz? czyż mój widok przykrym ci jest— Wacławie? (*płacze*).

WACŁAW (z ironiją).

Na cóż ci moja obecność? Masz przyjaciół, którzy umieją cię w samotności pocieszać. Ciebie otacza szacunek i miłość wszystkich—mnie niesława i klątwa.

ZOFIJA.

Wacławie, czyż zasłużyłam na takie wymówki i obejście?

WACŁAW.

Ty płaczesz i wszyscy litują się nad tobą; wszyscy mają cię za nieszczęśliwą, za smutną ofiarę, nad którą się pastwię. I dla czego? że w nudzie wiejskiego życia czasem poszukam rozrywki za domem. Dziwnoż to być może komu, że ja szukam miejsca do odetchnienia swobodnego? Sześć lat żyjemy, a cóż w domu od lat kilku spotykam zawsze? Na twém obliczu łzy i niesmak—nigdy uśmiechu. Trudno, przyznam się, na czułéj pieszczocie trawić godziny, bo i miłość przesyca; a wreszcie i ona z latami zmniejsza się coraz... zastępuje jéj miejsce przyjaźń, szacunek, i tych ci nigdy nieodmówię...

ZOFIJA (pada na krzesło, płacze rzewnie, po chwili powstaje i mówi z energiją).

Wacławie, ani słowa więcéj... niekrwaw' mi serca daremnie. Gdzie nasz syn? gdzie mój Zygmunt, coś go wydarł z łona matki?

WACŁAW (zimno).

Syn tam, gdziem uznał że dla niego będzie lepiéj; troskliwe oko czuwa nad nim.

ZOFIJA.

Wacławie! wróć mi dziecię — a wszystko ci przebaczę, zapomnę łez i smutków, — nieuczynię ci żadnéj wymówki, przymuszę się do uśmiechu na twe powitanie; ale wróć mi, wróć matce dziecię, za któróm tęskni w goryczy licząc godziny...

WACŁAW.

To być niemoże — jemu tam lepiéj.

ZOFIJA.

Okrutny i srogi mężu! Więc i ja ci powiem, że to być niemoże, abym razem z tobą pod jednym mieszkała dachem; jabym tu umarła w rozpaczy i żalu. Nie dla ciebie chcę to nędzne życie utrzymać, ale jestem matką i do mego dziecięcia życie to należy. Odejdź Wacławie! — Nierzucam ani skargi, ani klątwy, coby ci zawadzały na drodze życia, na któréj szukasz kwiatów i śmiechu! Daj Boże, abyś w ich miejsce nieznalazł cierni i łez! (*rozkazująco*): Odejdź!

WACŁAW (zimno się kłania, — do siebie).

Teraz rozmówię się raz ostatni z doktorem.

SPRAWA ÓSMA.

ZOFIJA, późniéj JAKÓB.

ZOFIJA (sama po długiéj walce z sobą).

Sama więc jesteś, biedna Zofijo, na tym świecie! Niespodziane, nieproszone sieroctwo zasiadło twoje progi — napełni twoje serce, myśli i marzenia senne! Gdziekolwiek się obrócisz, razem z Aniołem stróżem powlecze się ono za twojemi kroki!... (*załamując ręce*): Biedna Zofijo, pożegnaj radość i uśmiech.... uciekaj z tych miejsc zlanych twemi łzami, przepełnionych twemi westchnieniami, zawodem nadziei błogich — i rozpaczy po nich! — Bóg więc was żegnaj, rodzinny dom-

ku ; marzyłam, że pod tym dachem znajdę szczęście żony i matki — a uciekam jakby wygnana grzesznica. (*Wchodzi Jakób i staje na uboczy*). Gdy wspomnę z jakim uśmiechem wesela wchodziłam między te ściany skromnego domówstwa, ręka w rękę z Wacławem, gdym tu od mego ojca odebrała błogosławieństwo, a teraz z poszarpaném sercem, opuszczona od męża, pozbawiona jedynéj pociechy w dziecinie...

JAKÓB (chrząka).

ZOFIJA (ociera łzy prędko).

Czy to ty, mój poczciwy Jakóbie?

JAKÓB.

Tak ja, do usług pani! A czy prędko wyjedziem ztąd?

ZOFIJA.

Któż ci o tém powiedział?

JAKÓB.

Nikt, alem ja się domyślił: mądréj głowie dość na słowie.

ZOFIJA.

O, chciałabym mieć skrzydła ptaka i jak najrychlej ulecieć!

JAKÓB.

Czém prędzéj tém lepiéj; ale ja z panią pojadę wszędy.

ZOFIJA.

Jakto, mój stary przyjacielu? chcesz iść ze mną wszędzie, a niebędzie ci przykro opuścić swe strony, swoich przyjaciół?

JAKÓB.

Pani wie.... dzisiejszéj nocy Katarzyna umarła!

ZOFIJA.

O Boże! moja piastunka! i ona mnie opuściła — o! jedźmy prędzéj — uciekajmy z tych miejsc — teraz będą jeszcze smutniejsze. Powiedz doktorowi, że idę przygotować wszystko do podróży. (*odchodzi*).

JAKÓB.

To i lepiéj — bo i mnie tu okrutnie smutno.

SPRAWA DZIEWIĄTA.

JAKÓB, ZDZISŁAW.

ZDZISŁAW (wystrojony).

Gdzie pani?

JAKÓB.

Pani nieprzyjmuje nikogo.

ZDZISŁAW.

Ja muszę się z nią widzieć. (*do siebie*). Teraz pora najlepsza, — zagniewana na męża przyjmie moje hołdy. Uważałem, że niejestem dla niéj obojętnym. Wacław szaleje za czarnobrewą Maryą — zaniedbał żonę — (*z uśmiechem*): Chcąc niechcąc muszę być pocieszycielem biedaczki opuszczonéj samotnicy. (*poprawia włosy u źwierciadła*). Na honor, dobrze wyglądam — ani znaku nowéj pohulanki i troszeczkę zbytku szampana. No, mój Jakóbie, zaanonsuj mnie twéj pani — mówiłem ci, że muszę ją widzieć.

JAKÓB.

Trudna to sprawa: — pani nieprzyjmuje — ja sam do niéj wejść się nieośmielę; ale otoż pan doktór, on to z panem załatwi.

SPRAWA DZIESIĄTA.

DOKTOR, ZDZISŁAW, JAKÓB.

DOKTOR (z listem w ręku).

Zofija wie o pańskiéj bytności, — niechce go widzieć, i odsyła list, który do niéj poważyłeś się pisać; — ten list uważa za obrazę swoję — a mnie poleciła panu powiedzieć, że jesteś nikczemnym człowiekiem.

ZDZISŁAW. (odskakując w uniesieniu).

I pan... pan śmiesz to powtórzyć!!

DOKTOR (zimno).

Śmiem! (*porywa Zdzisława za rękę i przyciąga go do siebie przemocą*). Słuchaj — niechcę głośno tego wymówić — ja ci to z mego przekonania powiadam: jesteś nikczemnikiem.

ZDZISŁAW.

Ani słowa więcéj... Jest Wacław — żądam zadość uczynienia za zniewagę.

DOKTOR

Tego nikomu nieodmawiam; ale nim się strzelać będziemy, słuchaj co ci powiem: — Wacław zaniedbał, porzucił żonę usidlony miłostką ze znaną w naszéj okolicy zalotnicą. Tyś ocenił lepiéj przymioty Zofii młodéj i pięknéj, ale więcéj jéj posag. Hołysz taki jak ty, pragnąłeś bardziéj majątku — w ciężkich utrapieniach opuszczonéj i samotnéj kobiety; szatą przyjaźni pragnąłeś miłość jéj obudzić, nie dla tego abyś umiał cenić to święte na ziemi uczucie, ale że przez nie dobrą zrobiłbyś dla siebie spekulacyę. Trzy piękne folwarki to był wab dla pana Zdzisława; biedna Zofija, to szczebel, po którym dopiéro zerwałbyś owe złote jabłko. — Ale zawiodłeś się, mój młody paniczu: szanowała cię Zofija, bo jéj szlachetne serce błądziło myśląc że znajdzie w tobie przyjaciela, a tyś nadużył jéj zaufania — ogłaszałeś się wszędy jéj kochankiem, — i do téj zuchwałości doszedłeś, że poważyłeś się list z miłośném oświadczeniem przesłać. To było, sam przyznasz panie Zdzisławie, to było nikczemnie: zniesławiać kobietę niemogącą się bronić, kalać imie téj, która ci nic nie zawiniła! Zbyt poniżyłeś biedną Zofiję mniemając, że ona może cię pokochać. Otoż wszystko; teraz gdy sądzisz, żem cię obraził — służę panu. Jakóbie, pistolety moje! (*z cicha*): Zofija czy odjechała?

JAKÓB.

W téj chwili już jest pewnie z panią sędziną za graniczną miedzą. (*Odchodzi i wraca ze szkatułką*).

DOKTOR. (do siebie)

Dzięki Bogu! (*głośno*): Panie Zdzisławie, w téj rozprawie jeden z nas zginie niezawodnie: — ja mam rękę wprawną i strzelam niechybnie; pan pewny jesteś swego strzału?

ZDZISŁAW (z gniewem i pomięszaniem).

Zobaczymy — bez czczych przechwałek, mój panie; znam się z pistoletami dobrze i strzelać umiem.

DOKTOR.

Niechcę mieć wyższości nad tobą, i chociaż wyzwany mam strzał piérwszy, odstąpię ci z ochotą.

ZDZISŁAW.

Żadnéj łaski od ciebie, mój panie.

DOKTOR.

Więc strzelajmy razem.

ZDZISŁAW (z fanfaronadą).

Niechcę żadnéj wspaniałomyślności — wyrzekłeś pan, że masz strzał piérwszy z prawa, więc piérwszy będziesz strzelał. Ja ci dostoję pola, i niemyśl abym zadrżał na świst kulki.

DOKTOR.

Ha! w takim razie, mój panie — załatwij na piśmie jakie masz interesa jeszcze: bo zaprawdę już niestrzelisz do mnie; — przedewszystkiém spal pan ten list miłośny.

ZDZISŁAW.

Nic mnie do tego niezmusi.

DOKTOR (wyjmuje pistolet ze szkatułki — do Jakóba).

Mój stary kolego, czy niezechcesz potrzymać co w ręku?

JAKÓB (z uśmiechem).

To pan tak jak bywało w obozie, po-dawnemu chcesz mi wystrzelić z palców. Z ochotą, na psa urok, można pokazać smarkaczom jak się to strzela. Mam tu pieniądz pięciozłotówkę, zaraz zawinę w papier, pan wal, ja o stare palce nieboję się wcale. (*Staje w oddaleniu trzymając w palcach pieniądz. Doktor mierzy, strzela, wyrzuca kulą pieniądz trzymany przez Jakóba. Zdzisław z trwogą blady patrzy zdumiony*).

JAKÓB. (pokazując).

A co panie, czy nietrafnie?

ZDZISŁAW (z przestrachem oglądając ślad kuli).

Bardzo dobrze — celnie, niéma co mówić. (*na stronie*): To strzał szatański — trafił w sam cel jak mierzył.

DOKTOR.

Bądź pan łaskaw, spal ten bilecik miłośny.

ZDZISŁAW (odbiera list, drżącą ręką pali).

Spełniam życzenia pańskie. Czy jeszcze masz mi szanow-

ny pan co rozkazać? z miłą ochotą takie drobnostki. (*Miesza się, ucina i kłania się grzecznie*).

DOKTOR.

Teraz zostawiam do woli pańskiéj, czy mamy się strzelać, lubo przyznam się, że tak lichéj duszy niechcę mieć na sumieniu.

ZDZISŁAW (pomięszany).

Do woli pańskiéj — i prawdę mówiąc, jestem młody, żal mi życia; co do Zofii, przysięgam panu, że wszystko odwołam. (*do siebie*): Jakże mi gorąco! pot kroplisty występuje, ćmi mi się w oczach, śmierć już stoi w pogotowiu. (*staje oparty o krzesło*).

SPRAWA JEDENASTA.

CIŻ i WACŁAW.

WACŁAW.

Słyszałem wystrzał — co to znaczy?

ZDZISŁAW.

Nic, to nic.

WACŁAW.

Czyś nie ranny?

JAKÓB (na ucho Wacława).

Nie, panie, tylko mu czarownica zaodważne dała serce zajęcze.

WACŁAW.

Doktorze, szukałem cię. Wiesz jakiéj zniewagi doznałem od ciebie: taka się krwią zmywa; zapewnie po tém wiesz jak mamy skończyć.

DOKTOR.

Czy i ty chcesz się ze mną strzelać?

WACŁAW.

Przecię dorozumiałeś się pan sensu.

ZDZISŁAW (na ucho Wacława).

Na Boga, daj pokój! Przysięgam na wszystkie świętości, że cię zabije, on nigdy niechybia: widziałem jaskółkę ustrzeli w locie, a cóż dopiéro człowieka co nie lata.

WACŁAW (z gniewem).

Czy sądzisz — że ustraszywszy Zdzisława i mnie tą bojaźnią przeszyjesz? — Zawiodłeś się bardzo: chodźmy natychmiast, wiem że mogę zginąć — ale po takiéj zniewadze żyć niewarto. — Daléj, ja stawiam odwagę naprzeciw twéj zręczności i wprawy.

DOKTOR (poważnie).

Obłąkanych niezabijam, tylko leczę: za rok od dnia dzisiejszego, Wacławie, stawię się wszędy gdzie zażądasz, masz moje na to słowo. Jakóbie, daléj w drogę! (*odchodzą.* —) *Zdzisław uradowany kłania się nizko — Wacław z uniesieniem gniewu ściska pięści*).

WACŁAW (za odchodzącym doktorem).

Za rok nieujdziesz szatanie ręki mojéj!

ODSŁONA II.

SPRAWA PIÉRWSZA.

(Obszerny pokój gustownie przybrany).

DOKTOR (siedzi z xiążką w ręku).

Nadzieje moje niespełzną daremnie: — Zofija odżyła, uśmiech, dawny mieszkaniec pięknego oblicza igra na jéj ustach, wesołość niekłamliwa zawitała nanowo. A przecięż niejest szczęśliwą. Nietraćmy jeszcze ufności. Bóg dobry spełni gorące moje życzenia (*czyta*). Rok blizko dobiega jak opuściła lube sobie niegdyś ustronie, jak uciekła z niego z rozpaczą w sercu, ze łzami boleści. Kir żałoby okrył ukochane dla niéj miejsca! Teraz odetchnęła tu przynajmniéj swobodnie. (*duma chwilę*). Jakaż tajemnica w duszy człowieka! Zła dola, twarde zapasy z losem — rany serca naszego, tęsknota i troski — kształcą nasz umysł i rozwijają uśpione zdolności. Bo zaprawdę człowiek musi przechodzić czyszczowe męki, zanim zasłuży na niebo! Wspomnienia radości, szczęścia, nawoływać do gromady, popieścić się niemi jak dziecina cackiem, marzyć o przyszłości, budować w niéj zamki na lodzie, stąpać po ciernistéj drodze, i stąpać z uśmiechem choć krwawią ci stopy; czasem z bliźnim łzy sercowe zamienić — kochać przyrodę i ludzi — a samemu

tęsknić, by prędzéj zakończyć tę pielgrzymkę niewesołą po biednéj ziemi: nietęsknić do żadnéj rozkoszy światowéj i pójść strudzony na spoczynek do mogiły, na sen twardy nieprzespany! To po czyscu cierpień ziemskich, takie cię ziemskie spotyka niebo! Przecięż zaprawdę w téj wędrówce boleśnéj i myśl wielka zabłyśnie ci nieraz, a rzuciwszy samolubstwa szaty — daléj i głębiéj w całą zapatrzysz się Ludzkość! — (*duma*). Zofija, pieszczone dziecię niegdyś — przebolawszy nie w marzeniach tyle dni i godzin — wyszła z tego czysca męczarni opromieniona wyższą myślą. (*przerzucając xiążkę*): Ileż tu czucia, ile prawdy, ile poezyi łzawéj w téj krótkiéj opowieści ręką jéj skreślonéj! Biedne kobiety, taką to wy drogą cierniową rozwijacie swój talent, gdy się żegnacie ze szczęściem w domowych progach! Zdobywacie rozgłos sławy, a jakimże go skarbem ran serca i łez musicie wprzód opłacić! Wy jak poeci, krzykiem rozbolałéj duszy — rwaniem się strun życia, — jak łabędzie przedśmiertelnym śpiewem, wymuszacie okrzyk podziwu, poklask — o który niedbacie, bo wasz wzrok utonął w Niebie a głowa pod cierniową koroną opada, a skrzyżowane na piersiach ręce, przyciskają rozszarpane cierpieniem biedne serce, bo przepełnione uczuciem. I świat was niezrozumie i nieraz klątwa za życia uderzy, — a wtedy z wami się pogodzą gdy płaczliwa wierzba ocieni waszę mogiłę uplotem zielonéj kosy.

SPRAWA DRUGA.

DOKTOR, JAKÓB.

DOKTOR.

Jakże się masz, mój stary kolego?

JAKÓB.

Dobrze z łaski Bożéj — dziękuje panu. Niewidziałem pana już dni kilka — a miałem wiele z panem gadać.

DOKTOR

A czy dobre masz nowinki?

JAKÓB.

Na psa urok, niezłe wcale; a pan najlepiéj je zrozumie. Niemówiłem nic pani — bo teraz rzadko z nią pogadać mogę: ona czyta zawsze, nieczyta, to pisze — a nie, to ktoś przyjdzie,

albo sama gdzie wyjedzie. (*z tajemnicą*): Byłem u nas na wsi, w naszéj Dąbrowie.

DOKTOR (z uśmiechem).

Byłeś?

JAKÓB.

Jakoś w kwartał byłem raz, a przed kilką dniami drugi raz — niedawno wróciłem. (*z radością*) Zdaleka panie koło dworu tyralijerowałem... wielkie tam panie zaszły odmiany!

DOKTOR (przerzucając xiążkę).

A to ciekawe musisz mieć nowiny, Jakóbie!

JAKÓB.

Dla czego djabeł mądry? dla tego, że stary. A ja panie nie z jednego pieca chléb jadałem. Otoż kiedy pani do Warszawy przybyła, jak się już urządziła i nietyle płakała, kiedy już dobrze spała i kilka razy uśmiechnęła się — a raz nawet serdecznie uśmiała się, jakem w pośpiechu niosąc jéj wodę zawadziwszy nogą o dywan przewrócił się jak długi, że w szklankę zanurzył swoje sumiaste wąsiska,—pomyślałem sobie... możesz teraz Kuba pojechać na parę dni... i na psa urok, pomodlić się na grobie swojéj Katarzyny, dać na mszę świętą za jéj duszę i zobaczyć nasz dwór i swoję izbę i swój tapczan, na którym tak dobrze się wylegiwałeś. Prosiłem pani o urlop i z ogrodnikiem co tu był zabrałem się w drogę. Jadąc po piaskach, jak to w podróży pan wie, no gadu, gadu—aż się dowiaduję wiele rzeczy ciekawych. W miesiąc może po pani wyjeździe, nasz pan przyjechał do dworu. (*Doktor, który czytał, odwraca głowę i słucha uważnie*). Od téj pory przez kwartał nieruszył się z domu. Spał w swojéj biblijotece—a ogrodnik widział jak często o północy światło w oknie było, znać że czuwał. Pan wie, że to z początku był dobry, potulny, łaskawy pan, aż potém niewiedzieć z czego jak zaczął się gniewać, szumieć, tak i pani nasza tyle wycierpiała i jemu nikt niedogodził—i człowieka niemiał, na psa urok, za Bozkie stworzenie. Przez cały kwartał nieprzyjmował nikogo, po opuszczonym ogródku chodził zamyślony, a wzdychał—siadywał często w altanie, gdzie nasza pani z paniczem tak często latem bawiła i czytała. Raz nawet ogrodnik wycinając kapustę prosto altany zajrzał i widział jak płakał. Pokój pani zamknął sam, i co dziwna, niepozwolił nawet go sprzątnąć; a zawsze wieczorem (Grzesio co mu usługuje mówił ogrodnikom) otworzy drzwi, postoi na progu, czasem przejdzie się kilka razy po pustym

pokoju, wychodzi i zamyka; a zawsze ciężko wzdycha jakby mu kamień na piersi przywalił. Tak jedziem, panie, z ogrodnikiem, a gawędzim. Przybyliśmy do Dąbrowy: jakoś mi na sercu i tęskno i rado ujrzawszy rodzinne sioło. Zabawiłem parę dni, postawiłem krzyż drewniany na grobie Katarzyny, i wie pan? wszystko prawda co mówił ogrodnik. Pana niebyło—wyjechał do Warszawy. Do dworu zajrzałem—ale tam pustki, smutno; ze łzami w oczach wsiadłem na wóz i wróciłem. Przed tygodniem wysyła mnie nasza dobra pani, dała pieniędzy żeby mojéj Katarzynie wystawić kamienny nagrobek: pojechałem mularza nająć a kamień miał się potém kupić. I wie pan? zajechałem na cmentarz (*drży mu głos ze wzruszenia*)... wie pan, na psa urok, przychodzę na cmentarz—a tam w miejscu mego krzyżyka drewnianego, com go postawił—już stoi grobowiec kamienny— i wielkiemi literami wyryto jéj imie, a niżéj było tak: „*Zofija, Jakób i Wacław proszą o modlitwę za duszę zmarłéj*".— Jak mi to organista z plebanii panie przeczytał,—to na psa urok, zapłakałem jak dziecko. A wie pan kto to postawił, i tak kazał napisać? to pan Wacław: i proszę pana, on mnie wyżéj od siebie postawił, jakbym ja był pan jaki, czy co! No, co prawda to nie grzech, kochałem ci ją więcéj O panie! niemogłem mu tego przepuścić płazem: poszedłem do dworu, a choć miałem żal na sercu za naszę dobrą panią, wypadało przecię podziękować. Siedział w swojéj biblijotece, blady, mizerny, aż mi żal biedaka. Kiedy się dowiedział, żem przybył, zerwał się z krzesła, poskoczył—a gdym mu chciał do kolan się skłonić z podzięką, to niedał się schylić, ale uściskał mię; tak panie, pocałował w głowę, aż uczułem jego łzy słone na moich wąsach. Wciągnął mnie do siebie—tak jak dawniéj, kazał siedzieć—pytał o panią naszę—o pana doktora—o panią sędzinę— nakarmił i napoił. Napisał list i zaklął mnie jak węża abym go pani wręczył.

DOKTOR.

I cóż? oddałeś?

JAKÓB.

Nie, panie, bo wiem, że pani zawsze płacze jak jéj wspomnieć o naszym dworku lub ogródku, to też nieśmiałem.

DOKTOR.

I gdzież go masz? (*Jakób oddaje*). Dobrześ zrobił mój Jakóbie... rozumnieś zrobił. Teraz zostaw'mnie samego.

SPRAWA TRZECIA.

DOKTOR, później ZOFIJA.

DOKTOR.

Godzina żalu i pokuty uderzyła— przepowiednia się moja sprawdza,—daj Boże aby w rozbolałém sercu Zofii mogło odżyć uczucie zwiędłe łzami—przygasłe żalem...

ZOFIJA (wchodząc).

Jak się masz doktorze (*podając mu rękę*), mój przyjacielu jedyny?

DOKTOR (z uczuciem).

Pragnąłbym z duszy zasłużyć na to piękne imie, — i w imie Boże spełnić jedyne moje życzenia jakie mam dla ciebie, Zofijo.

ZOFIJA.

Życzenia—jakie?

DOKTOR.

Widzieć cię szczęśliwą.

ZOFIJA.

O mój przyjacielu! być szczęśliwą jakże to trudno.

DOKTOR.

Czyż na téj biednéj ziemi, już zaklęte dla nas czarami, niewidzialne? nieujęte jest szczęście,

ZOFIJA.

Powiedz jak go odczarować, aby choć ujrzeć kwiat ten najpiękniejszy ziemi, rzucony ludziom przez Boga na pociechę, wesele i uśmiéch radośny, aż łzawy.

DOKTOR.

Ujrzeć i znaleźć go można w spełnieniu swego powołania i obowiązków.

ZOFIJA.

Czyli niezrozumiałam, niepojęłam moich obowiązków i powinności? O, wierz mi mój przyjacielu, ty mnie znasz, przekonanyś o prawdzie słów moich.— Z całą mocą piérwszego uczucia pokochałam Wacława; jakże mi był drogim! jakże mi opłacił?—za najtkliwszą miłość, obojętnością,—za tkliwy uścisk, wzgardą.— Dom, do którego przykułam w błogiém marzeniu

moje szczęście, który miał być całym moim światem wśród drogi życia, był dla niego więzieniem, uciekał też rad za najmniejszą sposobnością.— Daremniem liczyła w gorzkiéj tęsknicy oznaczoną godzinę powrótu, drżałem na jéj uderzenie na zegarze, bo myślałam że z ostatnim dźwiękiem przybędzie ten, któregom oczekiwała aby go przyjąć z uśmiechem radości, z weselem szczęścia, z niewzbronną pieszczotą. A Wacław— czyż pomyślał o mnie kiedy? Na cudzych progach znajdował rozrywki, zabawy—przyjemne uciekały mu chwila za chwilą, godzina za godziną, unikał swego dachu, gdzie znajdował tylko niesmak i nudę. Przy kołysce syna mego, usypiając go ojczystą pieśnią, w płaczu i tęsknicy przeżywałam dnie, miesiące i lata. Miłość matki dodawała otuchy, bo marzyłam że witam w dziecinie chwilę odrodzenia swego, i że z grobu cierpień serca zaśpiewam przecię wielkanocną pieśń: alleluja! Ale i te błogie dni zmiejszały swój urok: zaledwie podrosła dziecina, jedyne szczęście, jedyna pieszczota matki—wydarto mi je, i mąż nieludzki oddał je na wychowanie w cudze ręce, jakby matka niebyła najlepszym nauczycielem i stróżem dziecka wychodzącego zaledwie z niemowlęctwa. (*płacze.*)

DOKTOR.

Zaprawdę, matka tylko i jedynie kształci serce młodego pokolenia; gdzie niemasz dobrych i cnotliwych matek, tam zabraknie prawych obywateli: znikczemnione i spodlone plemie zajmie świętą ziemię w dożywocie, aby ją zwalać błotem i kałem jéj dziéwiczość znieważyć! Społeczność taka niewarta bytu: bo hołdując zbytkowi, próżności i dumie, z rozkiełznaną chucią— bydlęctwem wypiętnuje swoje przejście,— a jeżeli zwyczajnym porządkiem rzeczy, zstąpi jak wszystko do grobu,— na téj ziemi, wieki— brudnéj po nich plamy i niecnéj pamięci w dziejach, zatrzeć niepotrafią.... (*z uczuciem*): O wierz mi Zofijo, że jeżeli co w tém sercu mojém rorszarpaném cierpieniem, bolem nie do wysłowienia—jeżeli w niém co poczciwego zostało—to tylko matce méj winienem. Czczę jéj ołtarz, który zbudowała w duszy dziecka swego—ołtarz wiary, miłości i nadziei!— I pamięć jéj błogosławię, i każdemu jéj wspomnieniu szczerą łzę święcę, i w każdą rocznicę zgonu grobowiec w kwiaty umajam, i na nim spowiadam się z czynów całego życia. A gdy na zielonym darniu mogiły padnę na kolana, gdy wzywam jéj imienia, zdaje mi się, że Bóg z tego miejsca łaskawiéj każdéj mojéj modlitwy wysłucha— że matka moja wznosi ze mną razem skrzyżowane ręce do Stwórcy z błaganiem o li-

tość i miłosierdzie! O tak Zofijo! świat patrzy na mnie innym okiem, on ceni moję naukę i doświadczenie, szuka u mnie pomocy w cierpieniach ciała; a ja w cierpieniach duszy i serca, z grobu méj matki wołam o pomoc do Boga.

ZOFIJA.

Tak, to jest miłość dziecięcia; co świeci jak jasna jutrzeńka drogą życia twojego; niemniejsza jest miłość matki. Ja tęskniłam za moją jedyną pociechą. Wydarto mi ją — i odtąd—ujrzałam się wśród okropnego osamotnienia. Przy próżném łóżeczku syna, przepłakiwałam noce; moja poczciwa ciotka czuwała nieraz wspólnie, i nieraz mi mówiła, że gdym usnęła po północy znużona cierpieniem i niewczasem, nóciłam ulubioną piosnkę; „Śpij moje dziecię.“

DOKTOR.

O znam i ja tę pieśń rzewną! Cześć, i chwała poecie, którego pieśni naród ukocha i wyśpiewa! Jest ona jak rosa dla kwiatu wśród spiekoty—zawsze orzeźwi i nieda zwiędnąć prawym uczuciom serca. Patrzysz się, zdziwiona Zofijo, na tego zimnego i małomównego doktora, co się unosi nad czułą pieśnią. Mało mnie znasz jeszcze. W boleśnéj drodze życia, którą milcząc przebywałem, bez skargi, bez narzekań, jedyną pociechą moją co goiła rany krwawe serca, było marzenie, poezya!— A poezya, prawda uczuć i niekłamane cierpienie, czyż niekształci duszy?— Ty sama, Zofijo, żywym jesteś przykładem. Owa młoda, pełna życia i wesela dziewczynka, którąm wypiastował—co niemal od zabawek i lalek oderwana na ślubny kobierzec—zkądeś wzięła to ukształcenie, ten rozum dojrzały, ten sąd zdrowy, tę rezygnacyę w niedoli, co cechują tylko mężczyznę wyuczonego w twardéj szkole burzliwego życia!—Ach, Zofijo, twoja to niedola, co czarném skrzydłem zasłaniała ci raj szczęścia ziemskiego, co czarném skrzydłem zdmuchywała z drogi dni twoich listki najpiękniéjszych kwiatów miłości i nadziei! Wyrosłaś w niewiastę wśród niedoli—wśród cichego płaczu i tłumionego jęku serca. Cierpieniem zajęłaś podniosłe to stanowisko, którém hołd dla siebie bez starań wymuszasz;— cierpienie podało ci pióro w rękę na zaszczyt płci twojéj, żebyś pod miłą szatą opowieści, podała zdrową naukę i była przewodniczką młodego plemienia naszych uroczych Polek.

ZOFIJA.

O tak! ty jeden mnie poznałeś dobrze, ty jeden mój przyjacielu zrozumiałeś biedną Zofiję. Mamże ci wyznać, że pomi-

mo szacunku jaki znalazłam, mimo pochwał i uwielbień w towarzystwie ludzi, radabym, ach radabym w moim cichym rodzinnym dworku na łonie męża i mojéj dzieciny słodkie przepędzać chwile? (z *rzewnością*): Bo ja należę do tych, o których nasz ukochany poeta mówi:

Myśl ich cicho w życiu świeci,
Pełne życia jak nadzieje,
Lubią pieśni, tańce, dzieci,
Wiosnę, kwiaty, stare dzieje!

DOKTOR.

O Zofijo! przypomniałaś mi pieśni rzewną, pieśń co weszła w nasze progi domowe jak gość ukochany—pieśń co nasze domowe ogniska przygaszone smutkiem i tęsknotą opromieniła sercową radością.—A to, co daléj wyrzekł, jak do ciebie również łatwo zastosować można:

Lecz gdy w smutku myśl zagrzebie,
Wówczas Polka taka rzewna,
Iż uwierzysz że jéj krewna,
Najsmutniejsza z gwiazd na niebie!
Choć człek duszy jéj niezbadał,
Wkoło serca tak tam prawo,
Tak rozkosznie i tak łzawo
Jakbyś grzechy wyspowiadał.
I w ład pójdzie ci z nią życie.
Bo twéj duszy niewyzięby;
Ona sercem pojmie skrycie,
Co myśl wieku dźwiga z głębi;
Co się w czasie zrywa, waży,
To w rumieńcu na jéj twarzy,
Jak w źwierciedle się odbije,
Bo w tém łonie przyszłość żyje!

(Zofija w ciągu mowy doktora upada na krzesło i płacze—doktor chłonie z zapału, zakrywa oczy i po chwili rzewnie):

O płacz Zofijo—te łzy to laur na skronie poety, gdy je swą pieśnią wywoł. Patrz i na łzy moje. O tak! niewstydzę się téj rosy serca, bo ona dodaje mu życia, krzepi i hartuje w niedoli. Posłuchaj mnie, Zofijo: ja posiadałem miłość takiéj dziewicy, ja marzyłem że z nią mi w ład pójdzie całe życie—ja umaiłem przyszłość swoję, w którą miałem wstąpić z błogą nadzieją szczęścia, wiodąc ją przy sobie.

ZOFIJA.

I cóż?

DOKTOR

Ten anioł niechciał gościć długo na ziemi—uśmiechnął się do mnie i uleciał w swoje dziedzictwo, tam w niebiosy.

ZOFIJA.

Biedny mój przyjacielu!

DOKTOR (chłonąc).

Ale zapomnijmy choć na chwilę o téj żałobie serc naszych Zofijo—przy twojém szczęściu i ja odetchnę swobodniéj.

ZOFIJA.

Przy mojém szczęściu, mówisz! o jest to kwiat dla mnie czarodziejski, ma woń i barwę cudną, potrafię ci go odmalować, ale posiadać lub chwilę się popieścić — nie dla mnie to, nie dla mnie! Zaledwiebym sięgnęła poń ręką, zwiądłby przedwcześnie i woń utracił, a sucha łodyga dłońby mi zakrwawiła.

DOKTOR.

Zofijo! Chcę być dobrym wróżbą. Ufaj Bogu i miej nadzieję. Chodź, (*pokazując list*) przeczytamy ten list razem, a ja ci resztę opowiem. (*wychodzą*).

SPRAWA CZWARTA.

JAKÓB, ZDZISŁAW.

JAKÓB.

Na psa urok! powiedziałem, że pani niekazała nikogo wpuszczać.

ZDZISŁAW.

Mój kochany, mój drogi Jakóbie — chwilkę tylko, parę słówek chcę przemówić..., mam interes ważny, jéj osobisty. (*Jakób kręci głową*). Masz dukata (*Jakób niebierze*), naści dukata. (*do siebie*): A to mruk przeklęty! stoi jak djabeł nad dobrą duszą. (*głośno*): No usiędę,będę siedział choćby do nocy, przecięż mnie niewyrzucisz.

JAKÓB.

Na psa urok — jak pani każe, lub pan doktor, to pana wyrzucę.

ZDZISŁAW siada; Jakób staje przy drzwiach od pokoju Zofii.

Może da się ubłagać, przeprosić. O! na kolanach teraz czekać będę jéj wyroku. Szaleńcze! mogłeś serce téj kobiety

posiadać — mogłeś posiadać i jéj rękę; a jakże nieumiałeś się starać. Wszędy gdzie ją spotkam, ona jakby obca dla mnie, dla mnie, co mogłem być celem każdego jéj westchnienia, spójrzenia, do mnie mogła należeć każdą łza jéj ślicznych ocząt pod jaskółczemi brwiami. Wczoraj małom nieoszalał na wieczorze u jenerałowéj: wszystkich oczy zwracała na siebie, ubrana skromnie z prostotą, była tam królową. Proszona w około, zaczęła czytać... Mój Boże cóż to za głos anielski — co za harmonija, dźwięk cudny! Jakaż była w jéj głosie rzewność, w ustępach tkliwych jaka naturalność — naiwność i prostota, — ta muzyka melodyjna, to był głos duszy! Słyszę go jeszcze: on brzmiał mi noc całą! Tą melodyą ukołysany marzyłem błogo i spokojnie. Niestety obudziłem się z wspomnieniem gorzkiém, z rozdartém sercem.

JAKÓB. (do siebie).

Poproszę ja tu doktora — to on cię lepiéj jeszcze obudzi, że ci, na psa urok, przyśni się prababka.

ZDZISŁAW.

Do pioruna! Głowa moja pała, niewiem co robić!... (*po chwili*): Doktor na wsi wymawiał mi, że ja tylko pragnę Zofii posagu. Niech mnie zaraz jasny piorun trzaśnie, jeśli teraz myślę o tém. Ożenię się z nią żeby była jak Turecki święty! Tak, i choćby mi przyszło do niéj iść na kolanach po ostrzach i dzidach, choćby mi ten przeklęty doktor sto razy pod nosem ustrzelił nie pięciozłotówkę, ale pięciogroszówkę, — ja ją kocham i kochać muszę i będę kochał — wiecznie — wiecznie do końca świata i po końcu świata.

SPRAWA PIĄTA.

ZDZISŁAW, JAKÓB, DOKTOR (wchodzi, słyszy z uśmiechem ostatnie wyrazy, kilka słów na ucho mówi Jakóbowi, który z radością odchodzi).

DOKTOR.

Ten przeklęty doktór staje przed tobą i wita po-przyjacielsku (*Zdzisław zmięszany podaje mu rękę*). Winszuję ci panie Zdzisławie, widzę stajesz się człowiekiem; czy kochasz jeszcze Zofiję?

ZDZISŁAW.

O doktorze kochany! mój zacny, drogi, szanowny przyjacielu, kocham ją więcéj niż mogę wypowiedzieć.

DOKTOR.

Miło mi słyszeć o twojéj stałości, a przyznać muszę, że przedmiot wart uczuć szczerych i prawdziwych!

ZDZISŁAW (w zapale).

Więc niemasz nic przeciw temu? pomożesz mi, pomożesz?

DOKTOR

Czegoż chcesz?

ZDZISŁAW.

Ja tylko chcę ją zobaczyć, kilka słów przemówić i powiedzieć, że ją kocham, kocham szalenie!

DOKTOR.

I nic więcéj?

ZDZISŁAW.

Nic więcéj.

DOKTOR.

Tę małą usługę mogę ci wyświadczyć.

ZDZISŁAW.

Ty małą usługą to nazywasz, a to będzie dla mnie chwila szczęścia nad wyrazy! Ja ją tyle razy w towarzystwach widzę, ale zbliżyć się niemogłem. Raz u prezesowéj przemówiłem słówko powitania: doktorze! jak spójrzała, struchlałem. W tym cudownym wzroku, co w omdlewającém spójrzeniu rozlewała czułość, miłość, teraz zajaśniała duma, gniew, obraza. Zaniemiałem, skamieniałem i przychodzę ją błagać o przebaczenie. Wczoraj była u prezesowéj — ja czytałem, a korzystając ze zbliżenia rzewniem wygłosił... (*deklamuje*):

„Ach każde słowo twoje, wszystkie twe spójrzenia,
Pieszczoty i nadzieje i wspólne cierpienia,
Wszystko to pamięć wiernie malowane trzyma;
Przeprowadzam ten obraz przed duszy oczyma,
Jak sknera, gdy mu skarbiec udało się schwycić,
Patrzy i schnie, i oczu niemoże nasycić!“

Albo z pożegnania Child-Harolda:

„Teraz po świecie błądzę szerokim
I pędzę życie tułacze.
Czegoż mam płakać? za kim i po kim,
Kiedy nikt po mnie niepłacze?“

Albo z téj cudnéj elegii:

„Gdybyś ty na dzień jeden była w mojéj duszy,
Na dzień cały! nie — takiéj nieżyczę katuszy;
Gdyby godzinę tylko — szczęśliwe stworzenie,
Poznałabyś natenczas co to jest cierpienie!
(*Opuszcza głowę na piersi — po chwili*):
Ty mię nieznasz, namiętność zaćmiła me lice;
Ale spójrzyj w głąb' duszy — tam znajdziesz skarbnicę...

DOKTOR.

Czy tę myśl ostatnią można do ciebie, mój Zdzisławie, zastosować? Jakaż skarbnica w głębi twéj duszy się kryje?

ZDZISŁAW

O doktorze! nieczuły jesteś na Bozką poezyę, kiedy mi tak zimném zapytaniem przerywasz. Ale przebaczam ci to szyderstwo. Widziałem Zofiję nie na jednym wieczorze: w mniejszém zgromadzeniu u prezesowéj, czytała swoję powieść. O ileż prawdy, uczucia, co za styl kwiecisty, jak hojnie a barwnie rozrzucona poezya! Wszyscy słuchali, nie z zajęciem, ale z zachwyceniem. Ustępy czułe łzy wycisnęły, ja sam w zapomnieniu jak oczarowany! (*wzdycha*). Słyszałem jak śpiewa — co to za głos rzewny, jak cudnie odśpiewała tę kalinę! (*nóci*). Albo owe rojenia wiosenne:

O widać i słychać — w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie
I moje kwiateczki z rozpukłych nasionek
Jak wschodzą zielono i ładnie!
O milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!
(*W zadumaniu milknie*).

DOKTOR.

Dobrą masz pamięć Zdzisławie jak widzę, a to niemała zaleta.

ZDZISŁAW.

Wczoraj u jenerałowéj, gdzie wiesz zbiera się grono wybrańszych osób i w cichéj rozmowie i w czytaniu tak mile uchodzą godziny—czytuje zawsze Zofija. Jak umie do każdego przedmiotu głos swój cudnie zastosować! czy to ów piękny fragment Korzeniowskiego — czy melodyjne dumki Bohdana i cudne pieśni Pola— czy piękniejsze ustępy powieści Kraszewskiego — czy owe miłéj prostoty a rzewne i tęskne piosen-

ki Lenartowicza, to każde płynie z jéj ust mile i składnie, rzewnie i tęskno, że za serce chwyta.— Ale na co ci to powtarzam mój doktorze! Ty zimny i nieczuły człowiek,— ja ci prawię o sercu, ty mi odpowiadasz cyfrą wiele razy na minutę uderza,— co to są jego choroby, jak leczyć—lub jak uleczyć niemożna... Znasz jego skład, położenie—nieraz dobierałeś się doń rozcinając piersi, anatomicznym nożem torując sobie drogę,—niejedno trzymałeś w swém ręku bez wiedzy ile cierpiało gdy było w żyjącéj biednéj istocie!

DOKTOR (powstaje).

Zaprawdę nieraz tak było,—uzbrojony nożem rozcinałam piersi trupa, aby zajrzeć w serce— ale to była doba nauki— a przedemną leżał trup nieczuły. A wieleż to ludzi na téj ziemi, pastwi się nie nad zimnym trupem, bez wielkiego i wzniosłego celu nauki.— O! cierpienia zranią ci więcéj serce.

ZDZISŁAW.

A mój drogi, złoty doktorze! widzę twoje wzruszenie— więc mi wyjednasz widzenie się z Zofiją?

DOKTOR.

Przyrzekam—masz moje słowo. Idź do tego pokoju i nie wychodź prędzéj aż ja przyjdę po ciebie.

ZDZISŁAW (odchodząc).

O! kochany doktorze! uściskam cię za to serdecznie.

SPRAWA SZÓSTA.

DOKTOR (sam).

Zbliża się chwila mająca stanowić w przyszłości szczęście biednéj Zofii. O daj Boże! aby spełniły się, gorące moje życzenia. Nie, niemasz czego pragnąć na téj ziemi, biedny pielgrzymie; wszystko coś miłował— w mogile spoczywa;— żyj przecię i radośnie się uśmiechnij patrząc na szczęście bliźnich. Ich dola niech świeci ci jutrzeńką wśród ciemnoty na drodze ciernistéj. Śmiéj się, bo świat lubi tę larwę skaczącą po własnéj mogile; szaleniec, chce pieśń grobową przytłumić i jęk bolejącéj duszy zagłuszyć!— Słyszę głos Jakóba— śpieszmy uwiadomić Zofiję. (*wychodzi*).

SPRAWA SIÓDMA

JAKÓB, WACŁAW.

JAKÓB.

Proszę pana, proszę! zaraz powiem pani, że pan przybył. Mój Boże co to za radość była, jakem małego paniczyka

pani naszéj sprowadził! Jak tylko małe bobo ujrzałem, zaraz dałem mu konika com wystrugał i biczyk i chorągiewkę; włożyłem mu kaszkiet com mu dawno ulepił z białą kitką; chciałem mu wąsy namalować aleby się zababrał,— i tak przybranego i uzbrojonego zawiodłem do pani i schowałem za paraban. Pani siedziała sobie i cóś czytała: ja przychodzę krząkam. „Co tam mój Jakóbie?“— „Nic, odpowiadam, tylko gościa mamy.“—„Jakiego gościa.“— „Ha! odpowiadam, gościa co go pani kocha nieprzymierzając jak naszego panicza Zygmunta.“— Pani się zerwała—paniczyk wyskoczył z za parabana— —mnie się głupio na sercu zrobiło—pani w krzyk i płacz, malczyk rzucił swego konika, a ja w tył zwrót i za drzwi.

WACŁAW (smutny i zamyślony).

Tutaj więc szukałaś, Zofijo, ochrony przed cierpieniem i rozpaczą. Gdzie się obrócę, wszędy słyszę jéj imie powtarzane z szacunkiem i uwielbieniem: — wszyscy się litują nad jéj losem, a nikt mnie niepożałuje, chociaż ja cierpię, Bóg świadkiem, że bardzo cierpię. Moi przyjaciele kieliszka i hulanek, dla których opuściłem żonę i progi domowe, zapewniali, że w ich gronie znajdę przyjemność, zabawę, szczęście nawet. Mój Boże! jakże krótko doznawałem tego uroku! Szalałem wraz z nimi to prawda, po długich zabiegach zyskałem wnet u niektórych tancerek przydomek lwa nawet, lubo mnie drogo przyznać trzeba kosztował; i cóż z burzliwéj bachanalii zostało?— przesyt i wzgarda nikczemnych istot, co kłamały bezczelnie uczucia przyjaźni i miłości. Bo u nich przyjaźń to interes, i pieniądz, a miłość prosta chuć i zysk. Zerwałem z tą podłą zgrają, dla któréj poświęciłem miłość czystą mojéj Zofii, dla któréj zatrułem jéj tyle chwil życia, tyle dni goryczą zaprawiłem. Przeklęcie!

(Jakób, który przez cały czas podsłuchiwał pode drzwiami i patrzył naprzemian szparą, odskakuje).

JAKÓB.

Baczność, stary!— (*do Wacława*): Idzie pani—to pan bądź dobréj myśli— tylko grzecznie panie i potulnie— bo za grzeszki trzeba i pokuty. (*uradowany odchodzi*).

SPRAWA ÓSMA.

WACŁAW—ZOFIJA—(chwila milczenia).

ZOFIJA (wzruszona).

Doktor mi mówił, że pan chciałeś mówić ze mną.

WACŁAW.

O tak, Zofijo... tak pani.

ZOFIJA (z pomięszaniem).

Zkądże pan przybywasz?

WACŁAW.

Wracam z dawnego domku naszego, gdzieśmy piérwsze lata życia tak szczęśliwie przebyli.— Wracam ztamtąd! Mój Boże—jakiż on teraz pusty, samotny i ponury! Uleciało z niego życie z twojém oddaleniem, to teraz pustkowie okropne. Ogródek pełen smaku i wytworu, zarósł zielskiem, równie jak ścieżki kręte. Na małym stawku co się lśnił źwierciadłem od promieni słońca, a tak czysto odbijał xiężyc w noc letnią, pleśń jak w kałuży brudnéj zasiadła. Również pustkowie w całym dworze. Pokoik twój nietknięty, wszystko stoi na swojém miejscu, nawet xiążka tak roztwarta jakeś uciekając z tego domu zostawiła i na niéj ślady łez twoich... Była to twoja xiążka do nabożeństwa— na rozwartéj karcie modlitwa twoją ręką spisana, w któréj błagałaś Boga o ciche szczęście domowe i błogosławieństwo dla całéj naszéj rodziny... (*Zofija wzruszona odwraca się*). I przed dworem na starym dębie téj wiosny niegnieździły się bociany. Ptak ten, godło w naszéj ziemi szczęścia, słusznie niezawitał na dawną siedzibę— bom pożegnał radość, uśmiéch i szczęście!

ZOFIJA.

Wacławie! dla czego mi temi wspomnieniami zakrwawiasz serce?

WACŁAW.

Zofijo! ja przychodzę się oskarżyć,— ja ci przychodzę wyspowiadać się z moich błędów i powiedzieć, że poprawiony po dniach długich żałoby i pokuty— przed szczęściem i uśmiechem wesela zamknąłem własne rodzinne wrota.— Zostań tu Zofijo! nieodwiedzaj naszego domku, bo on smutny jak grobowiec.

ZOFIJA.

Wacławie! zapomniałam już o wszystkiém—mój Zygmunt przy mnie— a ty niepowtórzysz tych srogich wyrazów, że masz dla mnie tylko szacunek. (*podając mu rękę*): Wrócim razem do samotnego naszego dworu, a miłością naszą rozweselim domowe progi. Miejmy w Bogu nadzieję, że znajdziem w nich i szczęście i uśmiéch wesela.

WACŁAW (klękając).

Zofijo! Zofijo! jakże ci mam dziękować?.. Miłością bez granic..

SPRAWA DZIEWIĄTA.

CIŻ DOKTOR i JAKÓB, (ze szkatułką i pistoletami), póżniéj ZDZISŁAW.

DOKTOR (kończąc).

Szacunkiem i przyjaźnią. — Skończyłeś, mój Wacławie z Zofiją—teraz nam została rozprawa.— Powiedziałem ci, że obłąkanych niezabijam tylko leczę. Chciałeś zadość uczynienia—rok ci zostawiłem, termin się zbliża— oto pistolety—a ja dla twojéj zemsty w pogotowiu.

WACŁAW (rzucając mu się w objęcia).

O mój przyjacielu! i tyż w téj chwili wywołać chcesz zemstę, gdy moje serce czuć jéj niezdolne? Doktorze, uleczyłeś obłąkanego, a moję wdzięczność opłacę ci szczęściem Zofii i mojém.

DOKTOR.

O tak! sowicie mi opłacisz gdy będziesz pamiętał, że w rodzinném kole nie w świecie znajdziesz szczęście prawdziwe! Zatrzymajcie się chwilę, moi przyjaciele:— jednego jeszcze gościa sprowadzić muszę, aby był świadkiem tak radośnéj chwili. (*Wyprowadzając Zdzisława z przyległego pokoju*). Oto pan Zdzisław! (*do Zdzisława*): Dotrzymuję ci słowa, wyjednałem ci widzenie z Zofiją.— Otrzymawszy wiadomość, że wyjeżdżacie razem z Warszawy do Dąbrowy, ponieważ tę zimę i wesołe zapusty zamierza w Warszawie przepędzić, przybiegł złożyć wam swe życzenia najszczersze i pożegnanie.

ZDZISŁAW (pomięszany, do siebie).

To szatan nie doktor!— (*głośno*): Tak, przybyłem złożyć życzenia najszczersze i pożegnanie... (*kłania się i odchodzi*).

JAKÓB (uradowany).

Więc jedziemy do Dąbrowy!

ZOFIJA.

I to zaraz, natychmiast, mój przyjacielu stary!

WACŁAW.

Tam odetchniemy swobodnie i błogo!

JAKÓB.

Chciałem krzyknąć państwu: wiwat! ale na psa urok, tak mi ćmi się w oczach, tak głupio na sercu, że wolę pójść ładować

manatki swoje. Daléj w drogę, jak pan doktor mówi— do naszéj Dąbrowy.

ZOFIJA.

Doktorze, czy nas opuścisz?

DOKTOR.

I na cóż zda się wam lekarz, gdy chorobę uleczył, a zawitało zdrowie? Ale widzę po waszych obliczach, że przywołujecie mnie głosem przyjaźni, więc dobrze! Razem więc czekajmy wspólnéj doli wśród domowych progów, przeświadczeni o prawdzie staropolskiéj przypowieści: Lżéj nędznemu nie samemu!!

PODRÓŻ NA OKOŁO ŚWIATA,

(ODBYTA W TRZECH GODZINACH),

PRZEZ

ZBIGNIEWA.

Pamięci Fidla, jedynego przyjaciela mego, przypisuję.

— Było to za czasów Alexandra W., że ktoś chcąc się pochwalić przed królem ze swojéj zręczności, upewniał go, że za każdą razą niechybiając przerzucał przez mały otwór ziarnko soczewicy. Król go za to, całym korcem soczewicy udarował.

Jaki talent, taka nagroda!

— Ktoś znowu, żyjąc długo na świecie, i niemając żadnego prawdziwego przyjaciela (prócz psa), po skonie jego został całkiem osamotniony!!.. Pamięci więc tego jedynego przyjaciela poświęca wrażenia z swoich podróży, bo ludziom one naniczby się niezdały.

Jaki utwór, taka dedykacya!

SŁÓWKO DO CIEBIE, MÓJ FIDLU!

Opuściłeś mię dawno, dobry towarzyszu dni moich. Ach! jakże czuję brak ciebie, brak jedynego serca, na które zawsze śmiało liczyć mogłem. Ty już jesteś spokojny, opuściłeś ten padół łez, westchnień i śmiechu, i rozwiązałeś już tę wielką zagadkę Hamleta..... Co lepiéj: żyć?.. czy nieżyć?.. a ja, twój przyjaciel, stoję nad przepaścią zwątpienia, i pytam siebie: gdzie lepiéj, na ziemi? czy w grobie?... a zanim dla mnie ten wielki logogryf rozwiązanym zostanie, używam życia, to jest: jém,

śpię, poziewam, kicham i piszę.— Fidlu mój, ty nigdy niepisałeś, chociaż wiele myśliłeś,— i dziś jesteś spokojny, bo myśli twoje zamarły wraz z tobą, i ludzie niemają do nich prawa, jako do twojéj osobistéj własności; a ja niestety! i po śmierci niedoznam spokoju, bo myśl moja najprzód błąkając się między ludźmi, jako produkcya, do któréj każdy ma prawo, będzie krajaną skalpelem w klinice rozbiorczéj, potém posekcyonowana zawinięta w bibułę rzuci się na pastwę myszy, i te niewinne stworzeńka będą ją anatomizować po-swojemu, aż nim, po długich mękach, rozsypie się w chaos nicestwa. A że się wszystko rozprasza w chaosie nicestwa, niebędę więc desperował, że moje *głębokie* (!) myśli ulegną tejże kolei. . . . .

Fidlu mój, jakże mi smutno na świecie, kiedy cię niemam przy sobie!.. tyś mię tak wiernie kochał i bronił, twoje serce nieznało zdrady i zapomnienia, tych dwóch chronicznych chorób serc ludzkich. Czuwałeś nademną kiedy byłem chory, martwiłeś się zemną kiedy byłem strapiony, a kiedym był wesół i szczęśliwy, skakałeś po mojém biurku przewracając mi xiążki, atrament i pióra, jakbyś chciał nauczyć, że one są przeszkodą do wesołości. Ty byłeś, Fidlu, wierny, kochający, spokojny i pobłażliwy; wszystkie twoje cnoty były dla mnie przykładem i nauką; co więcéj, ty nietylko cnót, ale mądrości mię uczyłeś. Ja byłem gwałtowny, niesprawiedliwy i krzykliwy, tyś mię odueczył od tych trzech szkaradnych bezrozumnych przywar, i nie żadną frazeologiją, nie żadném moralizującém kazaniem, ale głęboko wymównem milczeniem. Fidlu! tyś mię nauczył „milczeć“.... i och! ileż to razy nauka twoja zbawienną się okazała!

Pamiętam raz pisałem artykuł do gazety, szło mi niesporo, podarłem więc papier w kawałki, atrament wylałem, pióro pogryzłem, i ciebie, mój biedny Fidlu, odepchnąłem nogą, tak gwałtownie, żeś aż za drzwi wyleciał; a na dworze było szkaradnie, deszcz lał jak z wiadra, ty pode drzwiami bez jęku i skargi, stanąłeś cicho nieużalając się wcale na moję tyrańską niesprawiedliwość; a gdym cię wpuścił do pokoju, cały przemokły i drżący położyłeś się u nóg moich, liżąc mi ręce z wdzięczności, żem się ulitował nad tobą... Och! wówczas uściskałem cię z całą serdecznością i żalem, błagałem twego przebaczenia; ale tyś milczał i patrzał wzrokiem, który zdawał się mówić: zanadto cię kocham abym mógł się gniewać.— Fidlu, przemów do mnie! zawołałem w końcu, i powiedz, że się niegniewasz! ale tyś milczał i patrzał. Wówczas przyszło mi na myśl, cóżbyś

powiedział, gdybyś mógł mówić? i jakieby było słowo, któreby mnie zadowolniło, uspokoiło i rozradowało? każde złe, zamałe, niestosowne, rozbijające wielkość prawdy,— a tak debatując, przyszedłem do uznania, że nic niéma wymówniejszego, jak „milczenie“.

Milcząc, śpieszy żelazo do magnesu.

Milcząc, dotyka się myśl postanowienia.

Milcząc, spada niebieska rosa na omdlewające łany.

Milcząc, otwiera kwiat swój kielich ku słońcu, by jego promień ogrzał mu duszę.

Milcząc, zapełnia się oko łzą wdzięczności.

Milcząc, boleść składa, co ma najdroższego, do grobowego łoża.

Milcząc rozpacz przecina wątłą nić żywota.

Milcząc.... ale wszystko co wielkie i prawdziwe, jest milczące i ciche, tylko milczenie jest *prawdą*, mowa zawsze w pół kłamliwych ukazuje się cieniach!— Bo *wymowa* jest to chemik, co rozbierze złoto uczucia, ale go stworzyć niepotrafi. *Milczenie* zaś jest to morze bezbrzeżne, ciche, spokojne, a na dnie jego, niezliczone skarby pereł i dyamentów...

Fidlu! ty miałeś wszystkie cnoty, ale i jedną wielką miałeś wadę (któréj ci zapomnieć niemogę): oto bywało kiedy czytam przed tobę moje „Humoreski“, tyś chrapał tak przeraźliwie, żem zawsze musiał przerwać czytanie, każdą inną rzecz wysłuchałeś do końca i filozofiję i poezyę, i dydaktykę nawet, jedna Humorystyka była opium dla ciebie, to też ja na twoim nagrobku wyryłem te słowa:

— „Tu spoczywa mój przyjaciel, anti-humorysta.“

DO CZYTELNIKA,

PRZED PODRÓŻĄ.

Dziś cały świat zalany potopem *podróży*, wszyscy podróżują gdzie chcą, gdzie mogą, jak chcą i jak się im tylko spodoba, po ziemi, po obłokach i po xiężycu (nowo wyszłe tomy autora Wrażeń), a choć xięgarze strasznie się cóś zaczynają wykrzywiać na to podróże, a publiczność przestaje wierzyć we *wrażenia* podróżników; mimo to wszystko co żyje, śpieszy *gdzieś*, *po cóś*, i spisuje *jakieś* różnorodne wrażenia.... O bogi! cóż to

za fale ryczałtowe tych wrażeń!!! więcej ich daleko jak spokoju i ciszy!

Wprawdzie w tym przeklętym wieku niedowiarstwa przestano już wierzyć *nawet* we wrażenia piszących;— ale, jak mówi jeden znakomity turysta XIX wieku: „*Prawda* gardzi szarańczą niedowiarków“ (!) A chociaż ów znakomity turysta uważa prawdę, jako czapkę głupców, w którą się przystroiwszy w dzień biały, padają nosem na bruk, nieużywa jéj przeto wcale— ale bawi się nią podrzucając w górę.... i spisuje wrażenia.... których nieprzeliczona massa tomów, obiega świat cały.... Owóż— niczemu już ludzie niewierzą— nawet tym biednym kosmopolitom, co umierają z głodu w pustyniach Sahary, co się rozbijają o bałwany Atlantyku— i pożerani są w końcu przez dzikie żwierzęta lasów Nowego Świata... i kiedy te wszystkie okropne śmierci, za powrótem do kraju spiszą i wydrukują— powodowani jedynie miłością prawdy— i ojczyzny— niewdzięczna szarańcza woła wielkim głosem: „On kłamie!!...“

I umierajże tu dla miłości ludzi??

Biedny Bajron zdumiał się gdy naokół ujrzał świat zimny—a na nim pigmejów. „O ludzie! wołał— nieznacie wartości ognia, który wam z nieba wykradł Prometeusz.“

— Nieturbuj się o nas,— odpowiedzieli mu ludzie— znamy dobrze wartość i użytek ognia, kiedy tak dobrze warzywa i mięsa przy nim gotujem!

— O biedny człowieku—a biedniejszy autorze!— zawołają na nim ludzie— jakże musisz być zarozumiałym i niemądrym— kiedy dziś— w tym potopie podróży— przychodzisz z jedną kroplą jakichś swoich myśli,— stajesz przed frontem publiczności wołając: „niosę wam nowe wrażenia!“

— Nieturbujcie się o mnie,— odpowiem na to— znam ja dobrze *wartość* i *użytek* moich „wrażeń z podróży“— kiedy mi księgarz przed ich poznaniem, i manifestaciją na papier, dał dyplom na podróżnika!— A umowa złamaną być niemoże.

— Szanowny wydawco i typografie! — ja potrzebuję pieniędzy—rzekłem zdejmując kapelusz i ściskając serdecznie złotodajne ręce rozszerzyciela oświaty.

— No, to co?— zapytał rozszerzyciel.

— A więc chciałbym,— szepnąłem nie śmiało— dostać cóś a conto przyszłéj „humoreski“, którą noszę już od kilku miesięcy w głowie.

— Hm.!— mruknął pan xięgarz— „humoreski“ teraz wyszły z mody— bo wszystkie bardzo niezgrabne;— jabym wolał co in-

nego;—kto teraz kupuje cudzy *humor*, kiedy ma swój własny, bez kosztu, i ambarasu czytania.....

— No, to cóżby—pan dobrodziej, chciał na miejsce humoreski? może poezyę— powieść— lub filozoficzno-psychiczny fragment?

— Nie—nie—to na zimę— w tym *sezonie* niepopłacają takie rzeczy— na wiosnę trzeba....

— Podróży zapewnie!—krzyknąłem uradowany.

— A tak— to jest ... potrzeba nowych „wrażeń"....

— Bardzo dobrze— bardzo dobrze!— rzekłem porywając za kapelusz— jutro będziesz pan miał „podróż na około świata".

— Z opowiadań—czy własną?—zapytał dobrodusznie nakładca.

— O! ja nigdy opowiadać opowiadanego nieumiem:— własną, właśniuteńką podróż składam w ręce pana.

— A więc słowo;—a to mały anexik.

— Sługa uniżony.

PIERWSZA GODZINA.

„Świat—to człowiek"
J. J. Rousseau.

. . . . I długo myśliłem, i długo patrzyłem na piękny krajobraz, leżąc w słodkim *farniente* nad brzegiem morza— rozważałem bieg chmur— kolory obłoków—przysłuchiwałem się muzyce morskiej— i lubowałem się dobroczynném ciepłem wspaniałego słońca, które tak hojnie rozlewa swoje łaski na całą pół-kulkę naszego planety. Aż, w tych głębokich zadumach, ujrzałem zdala szybujący statek cudnéj piękności z tęczobarwną flagą.

— Kapitanie, twój okręt gdzie płynie?—zapytałem przez ciekawość jedynie, niezmieniając pozycyi lazzarona.

— Na około świata— odrzekł treściwie kapitan.

— I jakież nażwisko ma ten piękny statek?

— Wyobraźnia!

— A twoja godność, kapitanie?

— Moja godność?— i spójrzał na mnie zdziwiony.

— To jest twoje nażwisko, panie kapitanie?

— Nażwisko więc jest godność?... hm.!— mówił zdziwiony kapitan— niewiedziałem, że kto ma nażwisko ma już i godność; u nas nażwisko co innego— a godność co innego.

Zdziwiła mię niepomału głęboka logiczność szanownego marynarza:— nigdy bowiem niezastanawiałem się nad wyrazami powszedniej natury— oddaję każde słowo w téj cenie, w jakiej je biorę od ludzi.

— A więc prosiłbym o nażwisko jeśli łaska,—ponowiłem.

— Nażwisko moje, znane jest całemu światu;—rzekł z niejaką dumą pan kapitan— jestem właścicielem statku „Wyobraźnia"—jestem członkiem wszystkich towarzystw, sekt, klubów, jakie tylko exystują na świecie— mam krzyże, ordery, godła, insygnija wszystkich oznak honorowych;— mimo to niemam ojczyzny!!— (tu mówca westchnął i wykrzywił się straszliwie).— Patrz,—mówił daléj uchylając płaszcz—to order „Sławy na polu bitwy"— ten drugi także „Sławy na polu intelligencyi"—to krzyż legii honorowéj „bohaterskich poświęceń"—to są insygnija przyjacioł: „użycia Epikuryjskich przyjemności"—ten zaś mały order otrzymałem niedawno, jest on teraz wielkiej wartości, jest to symbol nowo stowarzyszonego klubu pod hasłem: „Chęć odznaczenia się, bodajby głupstwem"... iwiele innych, na co długiego czasu potrzeba, by je wyszczególnić!

— Któż więc jesteś?—zawołem zaciekawiony do najwyższego stopnia,—nie masz ojczyzny, a jesteś wtajemniczony we wszystkie sprawy ludzkie?

— Bo jestem gubernatorem waszego planety.

— Jakto? nierozumiem cię, panie gubernatorze; jesteś może Ahaswerus? lub Herodyada w odzieży marynarza?

— Ah!—wykrzyknął z dziwnym uśmiechem kapitan—tępą jak uważam masz pan głowę....

— Któż więc pan jesteś?.. chyba szatanem??

— Niestety! tak wielkim dygnitarzem niejestem.

— A więc jak mam pana nazywać?..

— Kapitanem *Żądzą*,— wymówił dobitnie marynarz.

— A! a! a! było jednym wykrzyknikiem mojéj odpowiedzi. W téj chwili uczułem nadzwyczajną chęć puszczenia się w podróż na statku „Wyobraźnia" pod przewodnictwem pana Żądzy. Jakoż umowa stanęła natychmiast między nami; ale zanim wszedłem na statek, kapitan-gubernator wziął mię za rękę i rzekł uroczystym głosem:

Musisz pan najprzód zostać członkiem jakiego klubu nim cię ulokuję na moim paro-statku; na to jest prawo nieofnione.

— A więc dobrze, — rzekłem z rezonem, obieram sobie towarzystwo „bohaterskich poświęceń," i proszę o krzyż legii honorowéj.

— A ja uważam — rzekł kapitan Żądza, że pan masz inne wrodzone zdolności, i mógłbyś zostać członkiem modniejszego klubu. Spuść się pan na mnie, a niepożałujesz, ja ci przypnę order, którym cię zawsze uwydatni wśród tłumu.

— Zgoda!— zawołałem ściskając z wdzięcznością rękę szanow-

nego gubernatora; i zostałem udekorowany, jako członek klubu „Chęć odznaczenia się bodajby głupstwem.“

.... A więc cię żegnam, luba ojczyzno, cicha zagrodo błogich dni mego dzieciństwa! płynę w świat daleko... na statku „Wyobraźnia“, pod przewodnictwem Żądzy, jako członek znakomitego stowarzyszenia, i wołam na pożegnanie z wieszczem Albijonu: „Peu m'importe où je quitterai la scene!

Rozbujany powolném kołychaniem się statku, wpadłem w stan półuśpienia, i zdało mi się, że się kapitan okrętu zbliżył do mnie z ironicznym uśmiechem, i tak przemówił.

. . . .

Jam dźwignią wszystkich odkryć sławniejszych, ja też prowadzę nierozważnych podróżników życia kolei, na szkopuły straszliwe, o które pierś rozszarpią, całe swe zdruzgoczą jestestwo.... Ja wszystkich przyjmuję na swój statek, bo w każdéj ludzkiéj piersi mam swoich poddanych; wszystkie czyny, przed któremi uginają czoła, wszystkie zbrodnie, co trwogą przejmują, ja rozbudzam; wszystkiemu przewodniczy *Żądza*.... Oto człowiek niewinny, jakby dziś wyszedł z rąk natury, co tylko patrzał na świat Boży z uwielbieniem, stąpił nogą na mój statek, *Wyobraźnia* rozwija żagle, wiatr dmie przychylny, lecimy lotem ptaka z szybkością *myśli ludzkiéj*. Nowy wędrowiec odurzony niezwykłą podróżą, rozbujany i rozmarzony, traci nocyę niepodobieństwa przeszkód życiowych, czuje w swéj piersi jakieś chęci nieznane, — ja mu wtenczas przychodzę z pomocą. Zwracam jego oczy rozciekawione na jeden punkt daleki, maluję mu cudne obrazy szczęścia, co go czekają, skoro dosięgnie celu, małą iskierkę rozdmuchuję w pożar straszliwy, co mu pierś spustoszy, jeżeli się nieuzbroił na życiową wędrówkę puklerzem miłości i wiary, jeżeli przd nim nieświeci gwiazdka nadziei, a wśród szału omamień nieodezwie się w pamięci tęskna piosenka, którą mu matka nad kolebką nóciła.... Przyznam się panu, że najtrudniejsze są do wyrugowania wspomnienia dziecinne, nieprzebrane to skarby wiary w życie, co się z ust kochającéj matki, w serce dzieciny przelały; taki podróżnik zamiast wpaść pod moje panowanie, i wedle mych praw kierować swe drogi, krępuje mnie samego więzami, poświęcenia i poczucia obowiązku, ja mu muszę posługiwać, okręt, mój to jego narzędzie i środek do dopięciu celu, który sobie zawczasu założył, z piersi bogatéj w wiarę i miłość wysnuł!

Wyrazy kapitana, przeplatane od czasu do czasu zapałem, ironją dziwne na mnie zrobiły wrażenie. Odurzony, niezazna

wałem czy to się dzieje na jawie czy we śnie, czułem tylko jakiś ciężar, co mi pierś przygniatał, pierś w któréj wrzały przytłumione zarody pożaru, co lada chwila mógł wybuchnąć.

— Mój Boże, co będzie zemną? co będzie zemną? zawołałem rozpacznie, błagalnie wyciągając ramiona — kędy mię fale zaniosą, jaki cel méj podróży?

I wśród ciemności co mię otaczały, przemknęły przedemną dwie postaci świetlane; jedna z nich z wieńcem laurowym na wyniosłem czole, ale z twarzą zoraną troską, z oczami od łez i burz życiowych przymglonemi: druga z pogodą na twarzy, którą okalały wijące się pukle złocistego warkocza, z uśmiechem szczęścia na ustach, z tęskną zadumą w oku, z niezapominajką w ręku.

Postać w wieńcu: Porzucisz ojca i matkę — a będziesz żył dla sławy. Wyruguj ze swych piersi miłość i wspownienia — to dziecinne zabawki. Wyzwól się ze spowijaków rodziny i kraju — bo ty należysz do świata całego: mędrzec i artysta, to dzieci Ludzkości całéj, nie zaś jakiego plemienia lub rodu. Do Kapitolu! do Kapitolu!

Strój się za życia w wieniec cierniowy,
Znajdziesz po śmierci wieniec laurowy.

Postać z niezapominajką: — Polecim razem nad nasze niwy, kędyś dziecinne przepędził lata; tam pierś zbolałą pokrzepisz powietrzem swojskiém, aromatem wiosennego kwiecia, co na ojczystéj wyrosło niwie, tam twéj pomocy czeka rodzina. Odkup rodzinę, a świat odkupisz. Tam cię swém skrzydłem miłość owionie, czerp' z téj skarbnicy, siły do walki, może niesławnéj, lecz w plon obfitéj. A kiedy skończysz, toć do mogiły przyjdą swojacy łzy rzewne ronić.

I znowu wszystko znikło; tylko w powietrzu jeszsze drgały jakby echa piosnki tak mi dobrze znanéj, któréj wspomnienie zawsze mi łzę rozrzewnienia wywoływało na oczy:

Śpij moja dziecino,
Śpij moja jedyno.

Wzruszony, rozrzewniony, wyciągnąłem ramiona jakby chcąc wstrzymać cudne widzenia, z okrzykiem:

— O moja matko, matko rodzona!

. . . .

Kiedym otworzył oczy, dokoła była noc cicha, na ciemnym

lazurze migotały gwiazdy, wszyscy na statku spali, tylko stękanie machiny i łoskot kół uderzających o fale świadczyły o ruchu.

Więc to był sen tylko?

. . . .

Jak długo pływaliśmy po bezbrzeżnych wodach oceanu, opisywać niebędę, bo wrażeń żadnych niedoznałem oprócz morskiéj choroby; przytém woda oceanu jest bezbarwna i przezroczysta, ma podobieństwo do wody zródlanéj: wszystkie inne morza mniéj głębokie, dla koloru piasku lub skał na dnie, wydają się to zielone, to białe, czerwone lub żółte; ocean zaś jest bez koloru, a to wskutek wielkiéj głębi, która chłonie wszystkie promienie światła.

— Na jakim oceanie jesteśmy? zapytałem.

— Na oceanie „Prawdy"— odpowiedział — kapitan.

— A to co czernieje zdala?

— To port, do którego płyniemy.

I wkrótce przybyliśmy do lądu. Owa kraina, do którejśmy przybili, zowie się „Głowa ludzka" stolicą jéj „Rozum," a obecnie panujący monarcha nazywa się „Przemysł wielki" (1). Zaprawdę zdumiony zostałem ujrzawszy zblizka tę piękną krainę, któréj rys geograficzny najprzód wam odszkicuję. „Głowa ludzka" opasana dokoła górami Wyobraźni, Imaginacyi, Fantazyi i t p. Wszystkie te góry mieszczą w sobie pierwiastek kwasorodny, który z każdym innym pierwiastkiem duchowego ciała się łączy: przeto dla powściągnięcia ich natury palnéj, góry te za rozkazem rządu pokryto massą *Umiarkowania*, która składa się z saletrorodu, przez to ognistość powciąga się i miarkuje! „Fantazya" jest to piękna wyniosła góra, paląca się oxydem bezpłomiennym. „Wyobraźnia" góra kończata, szczyt ginie gdzieś w obłokach, miewa ona wybuchy wulkaniczne przez rozwinięcie wewnątrz materyj flogistycznych, które sprawują niekiedy wielkie wstrząśnienia ziemi i robią bulwersye w kraju. Z tych gór wypływa wielka rzeka „Talentu" a najaśniejszy monarcha Przemysł W: kazał w niéj porobić tunele pod nazwą „zyski", i powiększył podatek!

Najwyższą wulkaniczną górą jest „Genijusz;" wybuchy jego są nader rzadkie, stuletnie, Lawa Genijuszu wybuchając z krateru, rozlewa się do koła, i twardniejąc przybiera nazwę „prak-

---

(1) Miasta mniejsze handlowe: Roztropność, Rozsądek, Przezorność i Rozwaga.

tyczności;“ ta lawa jest najważniejszym produktem handlu krajowego, kawałki jéj rozrywają jubilerowie, autorzy i tworzą z niéj prześliczne cacka dla zabawy ludzi.

Zwiedziłem ten zakład jubilersko autorski; jest to gmach ogromny, w kształcie dziurawéj beczki Danaid, z któréj jak woda wylewały się myśli, wrażenia i uczucia ludzi, a publiczność pochłaniając, jak Harpija, to wszystko, jak Tantal wiecznie głodna i spragniona.—Ale niestety wybuchy „Geniuszu“ rzadkie, lawa się przebiera—i handel grozi stagnacyą!....

Oprócz gór wyżéj wspomnianych „Głowa ludzka“ ma rozległe stepy i ogromne lasy. Kraj cały, oblewa ocean w. „Interes.“

Stepy, zwykle jak stepy lukubracyi i zacieków, puste i bezludne, duch smutku i tęsknoty roznosi tam swoje echa—a kamienie rozsiane są to ciężkie chwile „zwątpienia.“

Lasy mają rozmaite gatunki drzew: żałośne cyprysy na których kwiaty *Elegij i Trenów* spuszczają płaczące listki swe ku ziemi—sosny, z głupiemi szyszkami zarozumiałości i dumy, spoglądają wesoło do koła, ciesząc się swoją wyniosłą postacią. Niebotyczne dęby, energicznéj natury i wytrwałéj woli— powiewne brzozy, wiecznie za czémś tęskniące i zawsze osamotnione, choć w białą odzież przystrojone; — poetyczne świerki, marzące o życiu niebieskiém, o miłości bratniéj, a w czarną odzież ubrane—a co jałowcu, kąkolów i chwastów kwitnących zawiścią, zemstą i obłudą— o! trudnoby wszystkie gatunki wyliczyć!— Te lasy różno—rodnych drzew i roślin— w języku krajowym mają nazwę:— „Myśli“.— Jubilerowie-autorzy ścinają te drzewa i oprawiają w nie rozmaite okruszyny lawy, na co mają monopol od rządu.

. . . .

Religija reformowana: zowie się „Duch czasu“ Herb państwa— „złota blaszka.“

Kronika krajowa nosi tytuł:— „Historya kolei—falansterów—maszyn—parowców—produkcyi—i wyzyskiwań“— Militarność morska i lądowa zowie się:—“ Siła woli “. Moneta kursująca papierowa i kruszcowa—„Egoizm“.

Przybywszy do stolicy państwa zachwycony byłem porządkiem, czystością i bezustanną pracą mieszkańców— żadna chwila u nich straconą być niemogła — od każdego westchnienia, łzy, uśmiechu, trzeba było wyzyskiwać procent— każdy dobry uczynek jako kapitał – lokował się na banku „oględności“, od którego prawy procent *szacunku ogólnego* wypłacano. Naprzód oczy moje olśnił wspaniały widok świątyni, u któréj nad wejściem dominował brylantowemi głoskami wyryty napis— „Po-

stęp"; świątynia była szklana, w kształcie wieży Babel, na samym szczycie umieszczone było symboliczne godło Ducha „Czasu". Miało ono postać niewiasty, z twarzą młodą, nadzieją rozpromienioną— w ręku trzymało gorejącą pochodnię ; ale zamiast szat powiewnych, zapewnie zaślepieni hołdownicy przemysłu, skrępowali jéj pierś, cudnych kształtów, obręczami *sobkowstwa*, nogi przyozdobili złotemi łańcuchami *zysków i handlu*, a płomień pochodni (zapewnie symbol wiary i miłości, źródło natchnienia i twórczéj potęgi), spożytkowali na ogrzewanie kunsztownéj machiny parowéj, co się na rusztowaniu obok wznosiła, mając na kotle napis z drogich kamieni: *wynalazki pożyteczne.* To też godło ducha czasu było wielce smutne, i z pewnym wyrzutem spoglądało na swoich wynaturzonych hołdowników.

— Czy u was nie we zwyczaju są krzyże?—zapytałem jednego krajowca, spoglądając dokoła i nigdzie niewidząc godła męki— wiary— i miłości.

— Krzyż, męka, wiara, miłość, są to prześliczne rzeczy— odparł mi zapytany:— władzca nasz jest wielkim ich znawcą i lubownikiem; wszystkie wzniosłe i piękne ideje u niego są w wielkiém poszanowaniu, i jako rzadkie numizmata, zamknięte są wewnątrz świątyni, gdzie na to osóbny jest skarbiec. Wiara, miłość, męka, poświęcenie, zamknięte hermetycznie w piękny futerał „filantropija", stoją nietykalne.

— Wasz władzca musi być bardzo religijny?

— Oh, i jak jeszcze!— odparł z namaszczeniem opowiadacz— Oto godło „Ducha Czasu" stoi na wierzchu naszéj świątyni, aby w każdéj chwili życia przypominało nam swoję exystencyę; a ofiary bezprzestannie mu składamy. Jeżeli chcesz widzieć nasze obrzędy, zaczekaj chwilę, wraz przybędą kapłani — i będziesz widział cześć oddawaną „Obecnéj chwili".

Jakoż wkrótce w około świątyni zaczął się zbierać lud i kapłani, mistrze obrzędu i kaznodzieje. Był to bowiem dzień uroczysty—obchodzono święto „Pary", która wielkiemi cudami słynąć zaczęła po świecie. Cała rzesza uczonych, filozofów, doktorów, licencyatów i magistrów zebrała się u stóp świątyni— oprócz tego artyści, medycy, xięża, kobiety, dzieci, fabrykanci,—słowem wszystko co żyje pod prawem dobroczynnego monarchy Przemysłu Wielkiego. I cała rzesza, bijąc czołem, wołała jednym głosem:— Chwała dążeniom współczesnym, które nas niekarmią obietnicami—ale dają użycie!!...

— „Hozanna!—wołali mistrze obrzędu—padajcie na twarz wyznawcy „Ducha Czasu"! bo on jest wielki i sprawiedliwy, daje

się wyzyskiwać na sposób materyalny, nieosłoniony żadną mgłą mistycznych tajemnic, odkrywa się w całym majestacie i hojnie wynagradza każdą pracę przemysłową.“

I wszyscy wyznawcy poczęli składać objaty i całopalenia, za co każdy ofiarnik otrzymał pewną ilość przetrawionego złota, które bóztwo, ciągle pochłaniając, produkowało podwójnie.

Wśród zgiełku, wrzawy i bezustannych pokłonów, spostrzegłem zdala stojących, kilku obdartych zbiednionych lazzaronów, którzy także trzymali w ręku jakieś ofiary— i niemogli docisnąć się do stóp machiny parowéj wynalazków pożytecznych, która każdy materyał myśli, każdą ofiarę ze zdolności złożoną, przerabiała w krótkim przeciągu czasu na kunsztowny wyrób, co się w saméj świątyni na wagę złota przedawał.

— Co to za jedni? spytałem obok stojącego filozofa, który napisawszy nieśmiertelną rozprawę „o pogardzie dóbr ziemskich“, trzymał w ręku wielki wór złota.

— Są to lennicy naszego władzcy— odrzekł dumnie gardziciel mamony— kraik ich mały został podbity, a oni dziś jako wassale Przemysłu W. składają ofiary dla „Ducha Czasu“.

— Jakże się zowią ci biedacy?— powtórzyłem pytanie·

— To są oszusty, złodzieje, próżniaki i głupcy— wyrecytował jednym tchem fabrykant mydła,—rząd ich każe połapać jako burzycieli spokojności—i osadzić...

— Milcz trutniu!—zawołał filozof—to nie twoja rzecz rozprawiać; ja tu jestem na to, ale nie ty.— Ci biedacy, są *poeci*,— ciągnął daléj filozof—ten mały punkcik zdala czerniejący—jest to ich kraik podbity, nazywa się *Miłość*, jest tam jeszcze niemała liczba w pół-dzikich ortodoxów, którzy umierają z głodu w swéj zatwardziałości, a niechcą hołdować „Duchowi Czasu“.

— A ci, co tu przybyli, jakąż wyznają wiarę?

— To są neofici, którzy już zaczynają pojmować prawdziwe światło praktyczności; ale jeszcze wiele mają starych nałogów, i dla tego ich ofiary składane bóztwu, niewielką im przynoszą korzyść.

. . . .

Zaciekawiony będąc niezmiernie poznania krainy „Miłość“, uprosiłem kapitana statku, abyśmy natychmiast opuścili „Głowę ludzką“, a udali się do „Miłości“. Poczciwy kapitan *Żądza* uczynił zadość memu życzeniu— wiatr pomyślnie nam sprzyjał— i wkrótce podbity kraik ukazał się oczom naszym!

DRUGA GODZINA.

Miłość była niegdyś—Słowem; dziś stała się—Echem.
(z autografu).

Położenie geograficzne Miłości, alias Echa.

Miłość graniczy na wschód z krainą „Piękności“—na zachód z odnogą „Marzeń“ na południe z pystynią „Żalów“, a na północ z pasmem gór śnieżnych „Małżeństwa“.

Kraj cały był niegdyś państwem republikańskiém; dziś pod władzą uzurpatora; prawa, instytucye, zwyczaje i obyczaje całkiem zniesione zostały. Pod rządem despotyczno samowładnym, starodawna nazwa kraju także zniesioną została — i zamiast „Miłość“ zowie się „Echo.“

Kraina ta w ogólności ma grunt piasczysty i niewielką urodzajność. Najobfitszym płodem są—*łzy* i *westchnienia*—ten produkt stał się gałęzią handlu renegatów (renegaci są ci, co prawdę uczuć przefiltrowali w teoryę romansów), z którego wielkie mają korzyści.— Ci renegaci są jak najlepiéj widziani u rządu. Najjaśniejszy samowładca, Przemysł Wielki zaszczyca ich swoją protekcyą i łaską— nadaje im tytuły i urzęda, i zasiadają jako członkowie w izbie jubilersko-autorskiéj, któréj obraz w poprzednim rozdziale skreśliłem. Na pograniczu gór śnieżnych znajduję się Delta, mająca dwie odnogi—jedna zowie się *Płacz*, druga *Śmiech*, obie wpadają do morza *Zapomnienia*.

Stolicą państwa jest *Serce*, czyli Coro;—wiele ma pięknych pomników i pamiątek, dziś wielce zniszczonych, gdyż najwspanialsze świątynie Przemysł W. pozamieniał na sukiennice i foxale—urządzono bowiem koléj żelazną z „Serca“ do „Rozumu,“ dwóch głównych stolic, dla ułatwienia handlu renegatom.

Dawniéj, za respubliki, miasto „Coro“ było wolne,— nie było szosów, ani kolei żelaznych, ani bram fortecznych, ani mostów zwodzonych— każdy miał niewzbronny wstęp do miasta, skoro okazał znak że jest krajowcem, bo bracia poznawali się po głosie mowie i spójrzeniu... Dziś kiedy Miłość została fortecą—za komendantów naznaczono „Zmysły“, ci mają szpiegów od rządu (Zdrada, Fałsz i Podstęp), którzy otwierają *złotym kluczem* wszystkie bramy fortecy, do wywożenia najdroższych pamiątek przeszłości!!!

Mówią, że dawniéj, Miłość, położona na Równiku, miała jak Quitto wieczną wiosnę; dziś nawet klima zupełnie zmienione — mrozy bywają tak silne, że mieszkańcom często krew lod owacieje.

Dynastya Kupidynów całkiem wymarła. Ci dobrzy monarchowie chodzili nadzy, ze strzałami na plecach, polując po całych dniach i płatając figle poddanym. Ostatni ich potomek jest *niby udzielnym xięciem*— zowią go „Ideał"; a w rzeczy saméj jest on tylko lennikiem wielkiego władzcy. Za rozkazem rządu, xiążę musiał zmienić kostium narodowy:— dawniéj chodził w obłoczystych szatach—a Muzy same mu przędły i tkały; nosił na głowie wieniec z kwiatów, w ręku trzymał lirę, na któréj przecudne pieśni wygrywał.

Dziś „Ideał" chodzi we fraku— nosi glassowe rękawiczki i lakierowane trzewiki, misternie fryzuje brodę i wąsy, a w ręku zamiast liry, trzyma bilet bankowy.

Muzy owe prześliczne siostrzyce „Ideału", co niegdyś okrywały swoją opieką każde uczucie wzniosłe, ubrane w cudne szaty natchnienia, obecnie założyły wexlarnie i z szyderczym uśmiechem na ustach, rozmieniają fałszowane *miłości i poświęcenia zapały*, na kursujące *papiery*, albo też na gotowe złoto; najczęściej łapią na swą wędkę koryfeuszów *dążności współczesnych*, co całe życie spędziwszy na hołdowaniu Przemysłowi, na wypoczynek chcieliby do Arkadyi odbyć pielgrzymkę.

Pojęcia religijne są pełne tajemnic i mistycyzmu. A w ogólnéj massie mieszkańców, wielka się daje spostrzegać skłonność do bałwochwalstwa, chociaż wszyscy głośno to przyganiają.

Starsi kapłani zwani Excentrykami, niemogąc znieść widoku szerzącego się bałwochwalstwa, w rozpaczy odbierają sobie życie; ciała ich z wielką uroczystością chowane są w Panteonie wielkiego ducha *Poezyi*. „Poezya" u ortodoxów w wielkiém jest poszanowaniu— i składają jéj ofiary z łez, krwi i życia, jak w krainie „Głowy", na cześć Ducha Czasu, składają „Myśli" obrobione i wyprocentowane.

Missyonarze obnoszący słowa świętéj „Poezyi", zwani są Poetami; rząd Przemysłu Wielkiego uważa ich jako obłąkanych, niebezpiecznych burzycieli spokojności powszechnéj: ci biedacy chodzą boso— i zaledwie okryci jakąś mglistą szatą „*wspomnień*". Właśnie to kilku owych missyonarzy spotkałem przy świątyni „Postępu". Nędzą i głodem zmuszeni oni zostali śpiewać na cześć „Ducha czasu", za co Przemysł Wielki dał im miejsce w beczce Danaid.

Siła zbrojna, za czasów dynastyi Kupidów była potężną: arsenał cały był w duszy strzelających— a broń nabita była kulami *prawdy— stałości— i wiary*. Dziś kul nieużywają— mają tylko prochownię „dowcipu", i grankulki „szyderstwa".

Są to wyroby z kraju „Głowy“— które jako produkta handlowe zamieniają się koleją żelazną, na „*łzy*“ i „*westchnienia*“— gdyż te używane są w „Głowie“ do wyrobów, jubilersko-autorskich. . . . . . .

Kronika państwa zowie się: „Exaltacya“. (Teraz zmieniono nazwę— na „Spekulacya“). Herb państwa: „Pocałunek“— (różowy listek na białém polu).

Długi czas błądząc po ulicach miasta „Coro“, oglądałem gruzy pałaców dawniejszych, pomników i świątyń.

Przechodząc koło katakombów, gdzie pochowane są ciała wszystkich wielkich „Idej“ *poświęcenia siebie*, *miłości ojczyzny*, *przyjaźni, i bratniéj życzliwości*,— ukląkłszy na tych grobach zmówiłem „Wieczne odpocznienie“; i puściłem się daléj wązką ulicą, prowadzącą do kolumny *stałości*, którą zaledwie poznać mogłem. Był to niegdyś posąg brylantami sadzony, dziś wszystkie brylanty pozamieniano na fałszywe kamienie; głowa oderwana, ręce połamane, a posąg stoi, na jednéj nodze przylutowanéj ołowiem.

Na pustym placu, między gruzami i dzikiém zielskiem, stały szczątki świetnéj kiedyś świątyni;— znać było, że tu dawno już niepostała noga ludzka — wilgoć pustkowia zdaleka czuć było.

Zaciekawiony wstąpiłem na próg; gdy w tém spostrzegam na tle ciemności cóś ruszającego się— cień, duch, czy istota żyjąca, rozpoznać niemogłem.

— Gdzie ja jestem?— zapytałem nieśmiało.

— Jakim sposobem tu wszedłeś?— odpowiedział mi głos cichy, podobny do szelestu suchych liści.

— Przypadkiem— odrzekłem.

— Uchodź ztąd! bo te sklepienia lada chwila mogą się zawalić—i zginiesz tu niebaczny.

— A ty kto jesteś, że się nie lękasz podobnéj śmierci?

— Ja jestem duch ostatniego męczennika— strzegę kamieni téj świątyni, bo tu prochy moich spoczywają.

— Jakże się zwałeś, o duchu! za życia?

— Nażwisko moje powtarzano często w legendach, musiało się obić nieraz o twoje ucho— zwano mię kiedyś: „Zabaczenie siebie“.

— Ach! ach! cóś podobnego słyszałem!...... A ta świątynia jak się nazywała?

— „Miłość bliźniego.“—To powiedziawszy duch zniknął. Spójrzałem w górę, i na de drzwiami ujrzałem napis świeżo wyryty: „Świątynia Arytmetyki“.

Rzuciwszy ostatnie pożegnalne spójrzenie na gruzy świątyni, skierowałem moje kroki na statek, bo kapitan *Żądza*, i tak już mocno był zniecierpliwiony moją długą nieobecnością.

Wszedłszy do kajuty, otworzyłem moję tekę— i porządkowałem szpargały, szkice i notatki, mając zamiar wydać kiedyś kilko-tomową podróż złożoną *ze wspomnień i wrażeń*— i obliczałem myślą, jakie ztąd będą korzyści dla.... Ludzkości!!

Otóż, kiedy w tak pięknych kontemplacyach duch mój peregrynował,—w tém o Nieba!.... silne uderzenie raz, drugi i trzeci—statek się chwieje—„Mielizna!—dodawaj pary!“— wrzasnął głos kapitana-gubernatora. Ale i para już nic niepomogła. Kocieł pękł, a statek poskoczył całym impetem do góry— i upadł napowrót w otchłanie wód!

TRZECIA GODZINA.

. . . . Walka była długą,
Wysiłkiem męztwa z fal uniosłem życie;
Lecz rówiennicy! niegdyś przed żeglugą
Jakżem wyglądał!!... jak dziś mnie widzicie?

(Bohdan Zaleski).

Jeśli z was ktokolwiek, moi czytelnicy, był choć raz w życiu siłą pary wyrzucony do góry, lub porwany nadpowietrzną trąbą huraganu Libijskiego, i wirowany Simumem w eterycznych szlakach.... ten zna co to jest podróż aereostatyczna!— A jeśli żaden z was niedoznał téj przyjemności, to ja wam opowiem.

Wyobraź sobie, że jesteś ptakiem, orłem, sokołem, jastrzębiem, fregatą— słowem jakiego chcesz gatunku, dość, że jesteś skrzydlatym turystą— i dążysz gdzieś w górę— prójąc powietrze piersiami. Nic rozkoszniejszego nad tę chwilę, kiedy znowu raptem wpadasz jak kamień w wodę— i cały ciężar gliny ciągnie cię na dno! Co za rozmaitość wrażeń!!..... Co za tło bogate do „Wspomnień“!— Byleby tylko woda niezalała nosa i gęby— to za powrótem do ojczyzny, można przez całe życie bawić ziomków „opowiadaniem“.... i zawsze mieć cós nowego do powiedzenia! — Otóż, ja wzniósłszy się do góry, po

nad łez ziemskich padołem, jak mówi poeta,— z wyżyn moich intonowałem— „Cygnodyę“,— jest to śpiew łabędzi żegnających się ze sobą—i jak Łabędź w obłokach żegnałem świat pieśnią, tłómacząc a l'improvisité ten ustęp z Puszkina:

„Szczęśliwy ten, kto zgodów życia odszedł rano;
„Pijąc puhar roskoszy— dna w nim niepowitał;
„W romansie życia, kartek niedoczytał.
„I umarł w przódy— nim umrzeć kazano!!!

Gdy wtém... w chwili najwznioślejszéj tyrady—siła ciężkości osuwa mię na dół, lecę padam, i niknę w otchłaniach wód...... i zginąłem ....

Niewiem jak długo byłem na dnie oceanu. — A jakich tam wrażeń doznałem opisywać teraz niebędę, gdyż wkrótce mam zamiar wydać osóbną seryę „Wspomnień podmorskich“; tu tylko dodam, iż życie moje winienem szanownemu kapitanowi *Żądzy*, który porwawszy mię za kołnierz, uniósł i rzucił jak piłkę w przestrzeń. Oparłem się na twardéj, najeżonéj kolcami skale....

Byłem zmokły, odarty, zraniony i w pół nieżywy prawie, krew' czerwoną strugą płynęła z moich piersi, padłem bowiem na najostrzejszy szczyt skały, który mię przeszył jak włócznia. Niemiałem już ochoty śpiewać daléj „Cygnodyi“ i tłómaczyć Oniegina, jakoś mi wena poetyczna całkiem pękła..... Spójrzałem w okół:— Ah! co za okropny widok.... Czarne skały najeżone, jedna nad drugą, a na samym szczycie— ja siedziałem jak kawał mułu spetryfikowanego.— Na szczęście moje miałem przy sobie mój atlas kieszonkowy, który jakimś cudem niewyleciał z kieszeni i medal nowo stowarzyszonego klubu—to wszystko co mi fortuna raczyła zostawić!

Chcąc poznać miejsce gdzie się znajduję, zajrzałem do atlasu—i po długich medytacyach odkryłem, iż skała, na którą mię rzucił kapitan Żądza zowie się skałą— „Ironii“.

Niestety! tu zapewnie zakończę mój żywot—myśłiłem sobie..... i nikt wiedzieć niebędzie gdzie moje zwłoki spoczywają—i żadna łza mogiły méj niezrosi.... i krucy tylko sprawią stypę przy mojém ciele..... Tak bogobojnemi myślami byłem zajęty, gdy jakoś przypadkiem oko moje padło na medal zdobiący me piersi—i w téj chwili jakby czarodziejską siłą dotknięty, znikł smutek— a myśl, iż mam zaszczyt być członkiem tak znakomitego klubu, dodała hartu i energii.— Natychmiast się podniosłem na nogi—i wyprostowawszy się po bohatersku, spój-

rzałem z szyderstwem w okół siebie, wszystko mi się zdało małe i nikłe w obec mojéj wielkości!!!!...

Jeśli z was kto, szanowni czytelnicy, opłynąwszy świat dokoła—rozbite swe członki złoży na skale „Ironii“—poszukajcie kamienia, na którym wyryłem sobie napis— sądząc, iż ten kamień służyć mi będzie za nagrobek.

„Tu leży człowiek, który cały świat opłynął.
Mógł zostać bohaterem, lecz zbyt wcześnie zginął“.

Po wyryciu téj wzniosłéj sentencyi, czułem, iż śmierć moja odpowie godnie memu stanowisku klubisty—i czekałem spokojnie ostatniéj chwili, albowiem ten dwu wiersz miał mię unieśmiertelnić.

Powoli, powoli ciemności zaczęły mię otaczać, chłodne mgły obwinęły swym złowieszczym całunem, głos niknął w przestrzeni, niezyskując odpowiedzi, i próżnom wykrzywiał usta do uśmiechu, chcąc zastosować się do méj pozycyi na skale „*Ironii*“; jakaś tęsknica za czemś niepoznaném, a utraconém, ciężyła na piersiach—tysiące wspomnień z lat dawnych, strojnych w nadzieję, w miłość bogatych, odżyło w méj pamięci.

I próżno wmawiałem sobie, że trzeba mieć odwagę swego stanowiska, że mi ludzie i świat niepotrzebni, bo mnie z nimi uśmiéch szyderstwa rozdzielił; serce biło gwałtownie, domagało się o swe prawa.

Ach boleśno, boleśno tym co z bliźnimi zerwali, i bronią śmiechu wady chcą leczyć.

Ironija to straszna żmija, co się naszéj piersi uczepi, wyssie najtkliwsze wylania, całe skarby pobłażania i miłości; i z łez krwawych za szczęśliwą przeszłością, pobiera przemocą daninę.

To też tak w łzy bogata, że niekiedy, śmiejąc się, ukradkiem zapłacze.

Gdym tak marzył boleśnie, wśród otaczających ciemności, zajaśniała jakby gwiazda nadziei, rozrosła się w mgiełkę świetlaną, co się zbliżając ku mnie w postać uroczą anioła opiekuńczego zmieniła. O! widziałem już tę postać: to postać z moich sennych rojeń na statku „Wyobraźni“; tak samo jak w tedy stroiła twarz swoję uśmiechem nadziei, w ręku trzymała niezapominajkę.—I znowu posłyszałem piosnkę dawno znaną:

Śpij moja dziecino,
Śpij moja jedyno.

Łzy radości spływały mi po twarzy... O jakież to szczęście mieć prawo zapłakać!

Piosnka jeszcze drżała w powietrzu, odbijając się w mém sercu, przy wspomnieniu wstrząśnioném. Postać świetlana poglądając na mnie zaczęła się oddalać. Nieprzytomny prawie, rad lecieć w ślad za nią, wołałem:

O tak! za tobą, jasny aniele, upostaciowanie świętości rodzinnego ogniska! polecim razem nad nasze niwy pokrzepić pierś zbolałą aromatem wiosennego kwiecia, co na ojczystéj wyrosło niwie—o tak! będę pracował dla idei rodziny; bo wierzę twym słowom proroczym:

„Kto chce świat odkupić—niech pierwiéj odkupi rodzinę.“

* *
*

Co się daléj stało, jakim sposobem dostałem się do ojczyzny, co więcéj, do swego pokoju?—jestem pewny, iż zaprzeczycie prawdzie słów moich, kiedy wam opowiem;— ale z góry byłem przygotowany do tego, podzielać los biednych podróżników, którym niewierzą, choć ci najczystszą, najsubtelniejszą, najbielszą prawdę mówią.

Jakkolwiek mogę być wyszydzony—i zapoznany przez garstkę współczesnych— ale potomność przedemną, otwiera swoje skrzydła i garnie jak kokosz pokrzywdzone pisklę.......... Otoż wracając do toku narracyjnego— mówiłem wam, łaskawi czytelnicy, że stałem na skale w pozycyi bohatera— i cieszyłem się sam swoją wielkością...... gdy nagle skała zadrżała gwałtownie— huk jakiś rozszedł się w jéj wnętrznościach— i rozwarła się paszcza krateru, który mię pochłonął w swoich objęciach. Było to, jak się domyślicie trzęsienie skały, w któréj ja jak kamyk poleciałem na dno— i oparłem się aż..... w swoim pokoju. Bo trzeba wam wiedzieć, moi czytelnicy, że ta skała to było właśnie antipodum mojego mieszkania.

Natychmiast—nieostudzając ciepłych jeszcze wrażeń, usiadłem przy stoliku— i wypaliwszy cygaro, do którego już mocno byłem stęskniony, napisałem: „Podróż na około świata“.

Czy to senne rojenia? czy marzenia na jawie? mniejsza, jeżeli znajdzie się w tém okrucha prawdy, iskra miłości, to mi darujesz, że czytając moję bazgraninę straciłeś chwilkę może drogiego czasu.

ZBIORY KANONÓW,

PRZEZ

KS. A. S. KRASIŃSKIEGO. (*)

Mówiąc o zbiorach praw kościelnych, wspomnieć najpiérwiéj wypada tak nazwane Kanony Apostolskie.

Teodozyusz, Justynijan, koncylijum Konstantynopolitańskie pod Nektaryuszem i koncylijum Efezkie, przyznają je apostołom. Święty Jan Damascen mówi, że te kanony przez św. Klemensa Rzymskiego były zebrane. Koncylijum Trullańskie, wyliczając z czego się w owéj epoce kodex kanonów składał, wyraźnie kanony apostolskie wymienia. Chociaż przeto nieulega wątpliwości, że one przed koncylijum Niceńskiém były znajome, ale i to pewna, że w nich z upływém wieków musiały być porobione dodatki i zmiany, bo w nich znajdujemy rzeczy nietylko za czasów apostolskich nieznane, ale nawet wbrew nauce apostołów przeciwne, jak naprzykład: że księgi Mądrości, Tobijasz, Judyt nie są kanoniczne; że chrzest dany od heretyków, jest nieważny (1).

Kanonów tych jest 85, które wszystkie kościoł Grecki przyjmuje; kościoł zaś Rzymski przyjmuje tylko 50, to jest tyle, ile się znajduje w zbiorze Dyonizyusza małego, nieprzyznając im innéj powagi nad powagę najdawniéjszych źródeł historycznych. Za świadectwem Teodoreta, niekiedy biskupów apostołami zwano (2).

(*) Jestto wyjątek z dzieła przygotowanego do druku pod tytułem: „Podręczne Prawo Kanoniczne,“ udzielony nam łaskawie przez Autora, Xiędza Biskupa Krasińskiego, znanego chlubnie w literaturze z nauki i prac podjętych dla oświaty.

(*Przyp. Red.*)

(1) Kan. 46. 47.

(2) Qui nunc vocantur episcopi, apostolos olim nominabant, procedente vero tempore apostolatus nomen reliquerunt iis qui vere erant apostoli. (Theodoretus.)

To zdaje się służyć do objaśnienia dla czego tym kanonom nazwisko apostolskich nadano.

Są też tak nazwane ustawy apostolskie (Constitutiones apostolicae), które się na ośm xiąg dzielą. Chciano je przypisywać także już to apostołom, już św. Klemensowi Rzymskiemu. Niewspomina ich jednak nigdzie ani święty Justyn, ani Ireneusz, ani Tertulijan i Orygenes. Piérwszy je przytacza Epifanijusz żyjący przy końcu wieku czwartego, mówiąc, że one są wątpliwéj wiary (dubiae fidei). Chociaż przeto niemożna im zaprzeczyć bardzo odległéj starożytności, jednak wiele w nich rzeczy niewytrzymuje krytyki i kościoł katolicki do apokryfów je liczy.

GRECKIE ZBIORY KANONÓW.

W piérwszych trzech chrześcijaństwa wiekach, kościoł Grecki, na którego czele stali patryarcha Alexandryjski i Antyocheński, w najściślejszéj był jedności z kościołem Rzymskim. Kiedy Konstantyn II. przeniósł stolicę państwa do Bizancyum, które od swego imienia nazwał Konstantynopolem, biskupi Konstantynopolitańscy wprzód zależący od metropolii Heraklejskiéj zaczęli rosnąć w znaczeniu i prerogatywach. Na piérwszém jednak koncylijum Ekumeniczném w Nicei odbytém r. 325, żadnéj jeszcze o nich wzmianki nieznajdujemy. Dopiéro na koncylijum Ekumeniczném drugiém a Konstantynopolitańskiém piérwszem, w kanonie trzecim, postanowiono: ażeby biskup nowego Rzymu, to jest Konstantynopola, miał drugie miejsce po biskupie Rzymskim (1). A chociaż papież niezgadzał się na to, mówiąc, że to byłoby ubliżeniem dla starszych patryarchów Alexandryjskiego i Antyocheńskiego; lecz koncylijum Chalcedońskie, to jest Ekumeniczne czwarte, w kanonie 28, drugie im miejsce po biskupie Rzymskim przyznało (2). Chociaż się więc w czwartym wieku utworzył patryarchat Konstantynopolitański, to bynajmniéj niezrywało jedności z Rzymem, która do połowy dziewiątego wieku przetrwała.

Piérwsze ośm koncylijów Ekumenicznych, na wschodzie się odbyły. Stanowione na nich kanony najprzód zostały zebrane po-Grecku. Dla tego o Greckich zbiorach kanonów najpierwiéj mówić wypada.

---

(1) Koncyl. Konstantynop. 1, kanon 3.
(2) Koncyl. Chalcedońskie, kanon 28.

Najdawniejszy zbiór Grecki kanonów (Codex canonum) zrobiony był w wieku czwartym, bo koncylijum Chalcedońskie wyraźnie zbiór kanonów wspomina. Spisane w nim były postanowienia jednego koncylijum po drugiém. Ztąd pochodzi naźwisko *Consequentia canonum* (1).

W połowie szóstego wieku Jan Scholastyk kapłan Antyocheński, a potém patryarcha Konstantynopolitański, ułożył systematycznie, podług materyi zbiór kanonów, który na 50 rozdziałów, czyli tytułów podzielił.

Przypisują też mu około tegoż czasu wydany Nomo-Kanon, to jest zbiór, w którym obok kanonów położone są odnoszące się do nich prawa cywilne.

Przy końcu siódmego wieku Justynijan drugi, zwołał koncylijum w Trullum, to jest sklepionéj sali pałacu swego, na którém wydano 102 kanony odnoszące się wprost do karności kościelnéj. W drugim kanonie tego koncylijum wyliczone są wszystkie części, z których się zbiór kanonów w owéj epoce składał.

Około połowy dziewiątego wieku Focyusz patryarcha Konstantynopolitański, wydał wielki zbiór kanonów, który zawiera: a) kanony Apostolskie, b) kanony uprzednich koncylijów, i c) decyzye kanoniczne ojców kościoła. Drugą część jego zbioru stanowi Nomo-Kanon, to jest prawo cywilne-kościelne, który mało się różni od Nomo-Kanonu przypisywanego Janowi Scholastykowi (2).

W XII wieku mnich Jan Zonaras i Teodor Balsamon objaśniali i w systematyczny porządek układali obie części zbioru Focyusza, a te ich komentarze tłómaczone są na Łaciński język (3). Około tegoż czasu Symeon Logotela i Alexy Arystyn, a w trzynastym wieku Arsenijusz, mnich z góry Atos, napisali krótkie zbiory kanonów (4). A Maciéj Blastares w XIV wieku ułożył je alfabetycznym pórządkiem pod tytułem: *Syntagma*.

---

(1) Wydane są przez Woella i Justella w dziele pod tytułem: Bibliotheca juris canonici veteris, Tom. 1. 1661, in fol. w Paryżu.

(2) Nomo-Kanon Focyusza piérwszy raz z tłómaczeniem Łacińskiém drukowany był w Paryżu r. 1615 in-4.

(3) Komentarze Zonarosa na Kanony apostolskie wyszły w przekładzie Łacińskim 1558 r. w Paryżu. Jegoż komentarze na Dekreta koncylijów również w tłómaczeniu Łacińskiém wyszły w Medyolanie r 1613.

Komentarze Balsamona przełożone na Łaciński język wyszły w Paryżu r. 1561. in fol.

(4) Wszystkie te trzy zbiory to jest: Arystyna, Symeona Logotety i Arsenijusza, drukowane są w drugim tomie Justella Bibliotheca juri-

GŁÓWNIEJSZE ZBIORY KANONOW W KOŚCIELE RZYMSKIM.

Około piątego wieku zjawił się we Włoszech przekład Greckiego zbioru kanonów, znajomy pod imieniem starego przekładu (versio prisca), który po raz piérwszy w XVII wieku z rękopismu wydany został w bibljotece Justella (1).

Pod koniec tego lub na początku szóstego wieku Benedyktyn Cypryjski Dyonizy (Scyta), nazwany małym (Exiguus), w Rzymie, na prośbę niejakiego kapłana Wawrzyńca, widząc niedostatki dawnego przekładu, zrobił nowy zbiór kanonów pod tytułem *Codex Canonum Ecclesiasticorum*, i przypisał go Stefanowi biskupowi Salońskiemu w Dalmacyi (2). Wydał też Dyonizy mały Dekreta papiezkie (Collectio decretorum partificum Romanorum). Zbiór jego zawierający 394 kanony, był obowiązujący w całym zachodnim kościele, a Karol Wielki otrzymawszy go od Adryana papieża, do całéj Francyi rozciągnął (3).

W téjże saméj prawie epoce, to jest w piérwszéj połowie szóstego wieku, Fulgenty Ferrand dyakon Afrykański wydał krótki zbiór kanonów (Breviatior canonum) ułożony podług materyi (4). Przy końcu zaś siódmego wieku Kreskonijusz biskup Afrykański, wydał *Zgodę kanonów* (*Concordia canonorum*) albo (*Collectio Cresconiana*), która zawiera trzysta rozdziałów (5).

---

canonici veteris 1661 r. w Paryżu. Logoteta jestto jedna z godności kościelnych, przy patryarsze, jakby kanclerz, bo w jego ręku jest pieczęć.

(1) Justelli et Voelli Bibliotheca juris canonici, Paryż r. 1661.

(2) Pisze o tém sam Dyonizyusz w przemowie, do tegoż biskupa Dalmackiego.

Z czego wnosić można, że pochodził z Dalmacyi, a wniosek ten tém się potwierdza, że współczesny mu Kassador i wszyscy późniéjsi pisarze nazywają go Scytą. Wydany został piérwszy raz zbiór Dyonizyusza z rękopismu Kolońskiego, Concil. German. Tom 1. przez Hartzhejma.

Salona, któréj ruiny znajdują się obok dzisiejszego miasta Spalatro, na brzegu morza Adryatyckiego w Dalmacyi. W niéj była rezydencya Dyoklecyana. Dotąd w niéj odkopują wiele starożytności.

(3 Wydany był zbiór Dyonizyusza u Hartzhejma: *Concil German.* i u Amorta: *Elementa juris can.* a teraz świeżo w zbiorze xiędza Migne.

(4) Zbiór ten wydany został raz piérwszy z rękopismu w Paryżu 1588 r. in-8. potém miał wiele wydań.

(5) Z rękopismu wydrukowana w Paryżu r. 1609 razem ze zbiorem Ferranda, u Justella w tomie piérwszym.

Przy końcu szóstego wieku Marcin biskup Brachareński w Hiszpanii wydał zbiór krótki kanonów, z dwóch części złożony. W piérwszéj mówi o biskupach i duchowieństwie a w drugiéj o osobach świeckich (1).

W siódmym wieku zjawił się wielki zbiór kanonów kościoła Hiszpańskiego. Przypisują go niektórzy Izydorowi arcy-biskupowi Sewilskiemu, który uważany był jako wyrocznia swojego wieku i wiele dzieł napisał. Zbiór ten z rękopismu Madryckiéj biblijoteki wydany został in folio w r. 1808 w Madrycie. Składa się on z dwóch części. Piérwsza oprócz koncylijów Greckich zawiera koncylija Afrykańskie, Hiszpańskie, Francuzkie. Druga zawiera dekreta papiezkie.

W dziewiątym wieku zjawił się zbiór Izydora przezwanego grzesznikiem (peccator) (2), albo kupcem (mercator). Uchodził on za dzieło sławnego Izydora Sewilskiego, którego imie od dwóch przeszło wieków miało nadzwyczajną powagę. Powtarzano powszechnie, że je Rykulf arcy-biskup Moguncki przywiózł z Hiszpanii i upowszechnił. Nówsza krytyka dowiodła, że naźwisko Izydora jest pseudonimem, i że to dzieło urodziło się w Moguncyi. Domyślają się, że autorem jego jest albo Benedykt dyakon Moguncki, albo Ebbon arcy-biskup Reimski, jeden z najuczeńszych ludzi swojego wieku, który za to, że należał do złożenia z tronu Ludwika Dobrowolnego, wyzuty z arcybiskupstwa, przeniósł się do opactwa Fuldy, w pobliżu Moguncyi, gdzie mając pod ręką bogatą biblijotekę, wypracował to dzieło, w którém niezmiernie często powtarza, żeby przeciw biskupom zaskarżeń łatwo nieprzyjmować, ani ich odsądzać (3). Benedykt, którego zbiór z téj saméj epoki pod względem ducha i tonu zdaje się mieć powinowactwo ze zbiorem Izydora, nigdzie nieprzytacza źródeł, i często używa textów Pisma świętego i Ojców kościoła, czego niespotykamy u pseudo-Izydora. Niewidzimy też u Benedykta ani takiéj wyższości umysłowéj, ani tak silnie sformułowanéj organizacyi kościelnéj jak w pseudo-Izydorze. Ponieważ ten zbiór zalecony był przez Rykulfa arcy-biskupa, jako dzieło Izydora Sewilskiego; ponieważ był wyrazem ducha czasu i nieodstępował w niczém od zasad kościoła: przeto nic dziwnego, że tak prędko wszędzie przyjęty i rozpowszechniony został. Po przemowie. w któréj mówi, że do zebrania kanonów nakłoniony został przez wielu już biskupów, już innych sług Chrystusowych, idzie: 1), po-

(1) Zbiór ten wydrukowany u Justella w tomie 1.
(2) Andre: Cours alphabetique et methodique de droit Canon.
(3) Moreri, Dictionnaire historiqne.

rządek odbywania koncylijum; 2), pięćdziesiąt kanonów apostolskich; 3), dekreta 30 piérwszych papieżów; 4), postanowienia pięćdziesięciu koncylijów, — i to stanowi jakby część piérwszą. Druga zawiera fałszywy akt donacyi Konstantyna III. jako też postanowienia 52 koncylijów Greckich, Afrykańskich, Francuzkich i Hiszpańskich. Trzecia przytacza w chronologicznym porządku dekreta papieżów od ś. Sylwestra, to jest od wieku czwartego, do wieku ósmego, między któremi znajduje się 35 fałszywych dekretów.

Zbiór ten wielkiéj używał powagi w kościele, bo zawarte w nim dekreta przez sześć przeszło wieków uważane były za autentyczne. Dopiéro od piętnastego wieku kiedy je zaczęto ze ścisłą krytyką rozbierać, najprzód kardynał Kuzan, potém Dawid Blondel protestant, i zasłużeni w literaturze kościelnéj bracia Ballerini, okazali które z tych dekretów są popodrabiane. Z tego powodu autor pseudo-Izydora, a dzieło jego fałszywych dekretalijów (falsa decretalium) otrzymało naźwisko.

Nikt jednak tego niedowiódł, że je sam Izydor popodrabiał. Przypuścić przeto raczéj można, że on tylko pozbierał i ułożył to, co po rękach krążyło za jego czasów; a rzecz niewątpliwa, że żaden dekret w jego zbiorze zawarty, niejest późniejszy nad wiek dziewiąty.

Do tego nietylko niezawiera się w nim nic przeciwnego duchowi kościoła, ale owszem silnie sformułowana jest cała jego organizacya, jasno pojęte i wyłożone pierwszeństwo najwyższéj głowy kościoła, oznaczone stosunki wyższych szczebli hierarchicznych, ograniczona zbyteczna w owéj epoce władza metropolitów, którzy nieraz samowolnie biskupów ze stolic strącali. I to nam tłómaczy, dla czego zbiór pseudo-Izydora przez kilka wieków miał tak wysokie znaczenie, i niemały wpływ wywarł na karność kościelną (1).

W piérwszych latach dziesiątego wieku Reginon Benedyktyn, opat klasztoru Prumieńskiego w dyecezyi Trewirskiéj, z rozkazu Ratboda arcy-biskupa Trewirskiego, ułożył dwie xięgi: *De synodalibus Causis et Disciplinis Ecclesiasticis.* Piérwsza po większéj części o duchowieństwie, zawiera 455 artykułów. Na początku jéj opisany jest najszczegółowiéj porządek wizyty dyecezalnéj. Druga o wizycie dyecezyi, o nierządach, o zakonnikach, o kradzieży, o klątwie, o duchowieństwie, zawiera 454 artykuły. Pra-

---

(1) Zbiór Izydora drukowany był piérwszy raz z rękopismu w Paryżu r. 1523.

Świeżo wydany jest przez xiędza Migne z rozprawą Filipsa.

ca Reginona jest wyciągiem z poprzednich zbiorów. Chociaż przy każdym artykule cytuje same źródła, ale na nich niewszędzie polegać można. Znajduje się tu wiele praw dawnych, które już tylko do historyi należą,— naprzykład: żeby żaden kapłan cudzego parafijanina na mszę nieprzyjmował; żeby orszak biskupa wizytującego dyecezyę niemiał więcéj nad pięćdziesiąt osób; że jeżeliby dziecię przez niedbalstwo kapłana bez chrztu umarło, kapłan ma trzy lata pokutować, a matka rok jeden; że duchowny jeżeliby się upił, ma pokutować trzy miesiące o chlebie i wodzie, a jeżeliby był nałogowy, ma być złożony z kapłaństwa.

Artykuły odnoszące się do jednego przedmiotu, leżą najczęściéj obok siebie, ale układu żadnego niéma (1).

Na początku jedenastego wieku Burchard Benedyktyn, biskup Wormski ułożył *Magnum volumen Canonum* w dwudziestu xięgach. Wiele korzystał z Reginona. Zbiór ten mało miał powagi, bo autor nieradząc się źródeł, cytował je na wiarę drugich, i ztąd się wkradło wiele niedokładności (2), które się stały przyczyną, że Burcharda nażwisko poszło u prawników w przysłowie, i że twierdzenia bez krytyki na niczém nieoparte nazywano *bruchardica.*

Iwon Karnoteński to jest Kartuzyański biskup, na początku dwunastego wieku, ułożył dwa zbiory, z których jeden ma tytuł: *Excerptiones Ecclesiasticarum Regularum*, albo *Decretum*, a drugi *Panormia*, co z Greckiego znaczy: Trzęsianka. Zbiór ten tém się odznacza, że w nim obok kanonów przytaczane są prawa cywilne.

Dekret dzieli się na 17 części, a Panormia na ośm xiąg i jest jakby wyciągiem z Dekretu.

Ponieważ zbiory Burcharda i Iwona są ułożone podług materyi w pewny systemat, przeto one stanowią przejście od starożytnego do nówszego prawa.

W dwunastym wieku Gracyan Toskańczyk, Benedyktyn, w klasztorze Bonońskim, ułożył dzieło pod tytułem: *Concordia discordantium canonum* (pogodzenie niezgodnych Kanonów), nad którém przeszło dwadzieścia lat pracował. Znajome ono jest pod imieniem Dekretu Gracyana. Zbiór ten, który stanowi piérwszą część Całozbioru prawa kanonicznego (Corpus juris canonici) z rozkazu Eugenijusza III papieża wykładany był w akademii Bonońskiéj. Składa się on z trzech części. Piérwsza mowi o osobach, druga

(1) Wydany w Lipsku 1840 r. in 8-vo i w zbiorze xiędza Migne.

(2) Zbiór ten wyszedł piérwszy raz w Kolonii r. 1548 in fol. minori pod tytułem Burchardi Vormaciensis episcopi Decretorum libri XX. Przedrukowany jest świeżo w wielkim zbiorze xiędza Migne.

o sądach, trzecia o rzeczach świętych. Piérwsza dzieli się na dystynkcye, których jest 101. Druga na 36 spraw (sausae), a każda sprawa dzieli się na kwestye (quaestiones); w niéj też znajduje się traktat o pokucie (de paenitentia) na siedm dystynkcyj podzielony. Trzecia część o konsekracyi (de consecratione) na pięć dystynkcyj się dzieli.

Ponieważ Gracyan z dobrą wiarą polegał na uprzednich zbiorach i niemógł się nawet domyślać fałszów jakie poźniéjsza krytyka w pseudo-Izydorze odkryła, a do tego wielu źródeł niesprawdzał, a wielu i niemógł sprawdzić, bo ich na świecie niebyło: przeto do jego zbioru wkradły się niektóre omyłki i wymysły pseudo-Izydora. Z tego powodu w wieku XVym, przez wyznaczonych do tego, przez Piusa IV i Piusa V, kardynałów i innych uczonych mężów (Correctores Romani), w których liczbie był Grzegorz XIII, poprawiony i przez niego w r. 1582 zatwierdzony został.

Cytuje się Dekret Gracyana następującym sposobem: c. 5. dist. 61. to znaczy kanon 5, dystynkcya 61, w piérwszéj części Dekretu. W drugiéj zaś części: c. 14, causa III, quaestio 6, oznacza kanon, 14 causa trzecia, kwestya 6ta. Dodaje się też często piérwszy wyraz cytowanego kanonu Jeżeli cytuje się z drugiéj części traktat o pokucie, lub konsekracyi, dodawać się zwykło: *de paenitentia*, albo *de consecratione* (1).

Grzegorz IX papież na początku XIII wieku rozkazał Rajmundowi de Pennafort Dominikanowi zebrać w jedno, postanowienia swoich poprzedników, i zbiór ten zatwierdziwszy swoją powagą, posłał do akademii Bonońskiéj, ażeby się go w szkołach i sądach trzymano. Zbiór ten, który zastąpił miejsce dekretu Gracyana, nosi nazwisko Dekretalijów Grzegorza IX, i dotychczas ma powagę w tém wszystkiém, co poźniejszemi postanowieniami zmienione niezostało. Dzieli się on na pięć xiąg: piérwsza o rządcach kościelnych; druga o sądach; trzecia o duchowieństwie i rzeczach kościelnych; czwarta o małżeństwie; piąta o występkach. i karach (2). Każda xięga dzieli się na tytuły i rozdziały. Cytują się Dekretalja następującym sposobem: C. 1. *Nullus ë de cletione*, to

(1) Objaśnienia wyrazów lub zdań nazywają się glossami. Między najcelniéjszymi glossatorami liczą się Paucapalca professor w Bononii w klasztorze św. Felixa i mistrz Omnibonus. Glossy piérwszego oznaczone są w dekrecie podpisem: Palca. Glossa chociaż ma mniéjszą powagę od samego textu, ale więcéj się uważa jak zdanie jakiego prywatnego prawnika.

(2) Podział ten ułożono w jeden wiersz Łaciński: Judex, judicium, clerus, sponsalia, crimen.

znaczy: tytuł *de cletione*, rozdział piérwszy albo też C. I *nullus X. de cletione*. Chcąc tedy znaleźć miejsce cytowane, trzeba najprzód wiedzieć, że litera X, albo ë, oznacza Dekretalija. Potém trzeba znaleźć w rejestrze tytuł, a pod tym tytułem będzie wskazana xięga i rozdział.

Bonifacy VIII papież pod koniec wieku XII rozkazał zebrać dekreta, które po Grzegorzu IX wydane zostały, a że to był dalszy ciąg Dekretalijów Grzegorza IX, które się z pięciu xiąg składają, przeto stanowi szóstą xięgę *liber sextus*, i zwyczajnie nazywa się *Sextus decretalium*. Podział w tym zbiorze, ten sam jaki jest w zbiorze Gregoryańskim, to jest na pięć xiąg, zachowany został. Cytuje się podobnie jak Dekretalija z dodaniem in 6-o na przykład: cap. 25 *Ut quis, de Electione in 6*; to znaczy: rozdział 25 zaczynający się od słów: *ut quis*, tytuł: *de Electione in Sexto*, to jest w zbiorze Bonifacego VIII.

Przy końcu tego zbioru, czyli szóstéj xięgi (*Sextus Decretalium*) umieszczone są *regulae juris*, pewniki prawne, które na wzór podobnych reguł znajdujących się w digestach Justynijana z rozkazu Bonifacego VIIIgo ułożone i do całozbioru prawa kanonicznego wcielone zostały. Jest ich 88. Takiemi są naprzykład: Reg. dwunasta: W sądach nietrzeba mieć względu na osoby. Reg. jedenasta: Gdzie prawa stron niejasne, tam brać trzeba stronę obżałowanego, (1). Gdzie idzie o karę tam prawo łaskawie powinno być tłómaczone,—Reg. 49 (2). Wina osoby niepowinna spadać na kościoł,—Reg. 76, (3).

(1) Quum sint partium obscura, reo favendum est potius quam actori.
(2) In paenis benignior est interpretatio facienda.
(3) Delictum personae non debet in determentum ecclesiae redundare.

ZARYSY

Z CZASÓW POGAŃSKICH LITWY,

PRZEZ

J. JAROSZEWICZA.

KRAJ I LUD.

Niewchodzimy w rozbiór pytania: czy naźwisko kraju (*Lietuwa*, Litwa) i ludu (*Lietuwnikas*, Litwin) przez obcych było narzucone, czy też rodzinne i miejscowe? to jednak zdaje się być rzeczą pewną, że lubo imie Litwy po raz piérwszy pismem oznaczone, pojawia się dopiéro w kronice Kwedlenburskiéj z XI wieku (1), mogło jednak przynajmniéj sąsiednim Słowianom nierównie wcześniéj być znaném. Jakoż, ojciec Słowiańskich latopisców mnich Kijowski Nestor, który wprawdzie w XII dopiéro pisał wieku, ale z miejscowego podania a może i z dawniejszych latopisców wiedział o rzeczach daleko wcześniejszych, wymieniając jakie narody jeszcze przed przybyciem na północ Słowian, a zatém około IV wieku, zajmowały południowe i wschodnie nadbrzeża Baltyku, obok ludów wspomnionych już po większéj części przez Jornandesa (Czud, Mera, Murama, Wes, Mordwa, Perm, Peczora, Jam) wyraźnie kładzie Litwę, Zimegołę (Semigaliję), Kors (Kuronów), Lietgołę (Letgalija albo Leti) i Prusaków. Z tego zatém wnosimy, że jak ludy Letońskie: Kurony, Łotwa i Prusacy, tak i Litwini, których Nestor od Żmujdzinów nieodróżnia, byli narodem miejscowym, od wieków pod tém naźwiskiem Słowianom znanym.

---

(1) S. Bruno r. 1000 poniósł śmierć męczeńską od pogan na granicy Litwy i Rusi, „in confinia Russiae et Litvae", *Pertz*, *V. 80*; porówn *Naruszewicza Hist. IV. 145*, i *Narbutta Dzieje III. 231*.

Nawet mitologija Litewska, która niezawodnie czasów przedhistorycznych sięga, zdaje się wspierać dawność nazwania: gdyż wyrazy *Lietuwa* i *Lietuwnikas*, wielkie mają podobieństwo do naźwiska dwóch bóztw Litewskich, z których *Lietuwonis* opiekował się deszczem, *Lietuwa* zaś była boginią swobody (1).

Litwa podobnie jak Prusy, zamieszkałą była w odległych czasach przez kilka plemion jednego pochodzenia, osóbne noszących nazwania; takimi mieli być: *Stawany*, *Nerama*, *Nasci*, *Igellony* (2). Te jednak podziały znikły z czasem, wszystko w jeden Litewski zlało się naród; tylko ze względu na różne położenie kraju, dwa też różne naźwiska sami mieszkańcy i sobie i ziemi swojéj nadali. Właściwa Litwa była dla Żmujdzinów krajem wyższym *Aukstote*, po Łacinie *Auxtechia* (3), od wyrazu *aukszlas*, wysoki; całą zaś stronę od Niewiaży ku morzu i Inflantom, nazywał Litwin krajem niższym, *Żomojten* albo *Żiemajciéj*, a mieszkańca *Żimojtes*, od wyrazu *żemas* nizki. *Aukstote* rozciągała się od Żmujdzi do Rusi Krewiczańskiej i zajmowała kraj po obu stronach Wilii, idąc w górę ku jéj źródłom, dopóki są ślady osad ludu Litewskiego i po obu stronach Niemna: z prawéj od Niewiaży po za Merecz ku Grodnowi; z lewéj od miejsca naprzeciw ujścia Dubissy w górę za Przewałkę. *Żomojten* położone było między Niewiażą, prawym brzegiem Niemna (po zajęciu przez Krzyżaków ziemi zaniemeńskiéj), małą cząstką Prus, brzegiem Baltyku (*Balta jura*, t. j. morze białe, co dowodzi odwiecznego zasiedlenia tego pomorza przez plemiona Litewskie), Kurlandyą i Semigołą. Środ-

---

(1) *Narbutt I. 101. 102.*— Nigdy nieutrzymywałem, żeby Litwini naźwisko swoje wzięli od bóztwa Lietuwy., jak mi zarzucał p. Maciejowski (*Słówko o postępie nauki prawa Litewskiego; w Bibl. Warsz. T. II. Luty*); lecz niewiem jak mam rozumieć tegoż autora wyrazy, który powiedziawszy wprzódy, że nie bóztwa ludom, ale ludy pogańskie bóztwom dawały miana, zaraz niżéj dodaje: „od Litow tu i od *Lietui nazwano i obce ludy* (Biało-Rusinów) pod Litwy będące panowaniem“? (*l. c. str. 334*).

(2) P. Narbutt tak nam wyjaśnia te naźwiska: *Stawany* czyli *Isztawany* mieli być narodem gniazdowym, pierwotnym *Isz-Tawes*, (pochodzący od ojca); *Neroma* może tak nazwani od rzeki Neres czyli Wilii. *Nasci* mieszkali w kraju Litewskim zwanym *Peluzyą*, dzisiejsze okolice Merecza, Ejszyszek i Radunia; *Igellony*, mogli mieć naźwisko będące w stosunku z Pruskiemi Galendami. (*Dzieje II. 372 i d.*)

(3) Dusburg u Stryjkowskiego, str. 259.

kiem Żmujdzi płynęła Windawa. O takim geograficznym podziale Litwy na Aukstate i Żomojten, lubo zamieszkałéj przez jeden i tenże sam naród, znajdujemy wzmiankę w liście Witolda, pisanym r. 1420 do cesarza Zygmunta (1). Litwa zatém ze Żmujdzią graniczyła: z północy z Łotwą, od zachodu z Baltykiem, Prusami i Mazowszem, z południa i wschodu z Polesiem Brzeskiem, Pińskiem i Krewiczami. Sąsiadów swoich Niemców panujących w Inflantach, Kurlandyi i Prusiech nazywał Litwin *Wokietys* albo *Tautininkas* (Teuton), kraj Niemiecki *Wokie* lub *Tauta*; Polaków i Polskę *Lenkas*, *Lenkaj*; a Rusina Gotem *Gudas*, kraj *Gudaj*, zapewnie przez pamięć panowania Gotów czy Skandynawów na Rusi (2).

Litwę i Żmujdź, w najdogodniejszy sposob dla handlu, liczne i głębokie przerzynają rzeki, których wody, albo zasilają Niemen (3), główną obu krajów rzekę, albo też wprost łączą

---

(1) W liście tym czytamy: „Terra Samaytarum est et semp Jofuit idem eam terra Litvaniae, *nom unum ydioma et uni homines*; sed quia terra Samaytarum est terra inforior, ad terram Litvaniae, ideo, *Szomeyth* vocatur, Samaytae Litvaniam apellaut *Auxtote* quad est terra superior, respectu terrae Samaytarum. Samaytae quaque omnes se Litvanos, ab antiquis temporibus et nunquam Samaytes appellabout, et propter tatem ydemptita, tem in titula nostro nos de Samaycia non scribimus, quia totum unum est, terra una et homines uni. (*Voigt, Gesch. Preus V. 62. Narbutt II. 387. 388*).

(2) Zkąd powstało nazwanie Niemca *Wokietys*, dójść trudno. Może w jego skład wchodzą wyrazy *Kitas* inny, lub *Kietas* twardy, czy z charakteru, czy z powodu okrycia zbroją żelazną. Od *Waikatys* chłopczyna, lub *Wokju* rozumiem (kiedy właśnie Niemca Litwin nierozumiał), wątpię czy Wokietys pochodzić może. Również niemamy dostatecznéj pewności dla czego Polaka nazywał Litwin *Lenkas*, bo niewiadomo czy z Lecha, Lacha, czy z łąki (Łanka, Lenge) przez przypomnienie dawnych Łęczyczan, utworzył tę nazwę. I Węgier podobno nazywa Polaka *Lengyel*, co do Lenkas brzmieniem bardzo jest zbliżone. Wyraz *Leiszys* ma także oznaczać Lacha, Polaka; lecz zmarły Jucewicz dowodzi, że Leiszys znaczy właściwie mieszkańca podwładnego zakonowi Liwońskiemu, a w szczególności Ryżanina, i popiera przysłowiem Żmujdzkiem: „*Abgudinici kaip Leiszisz*“, t. j. oszukuje jak Ryżanin. (*Litwa pod wzgl. staroż. zabyt. str. 289*).

(3) Niemna nażwisko, jedni łączą z Nemonem bajecznym bohaterem Litwy (*Narbutt I. 168*), inni wywodzą od wyrazu *neminu*, który ma znaczyć: *niewychodzę, niewystępuję z brzegu* (*Kra-*

się z morzem Baltyckiém. Saméj Litwy rodzinne rzeki prócz Niemna są: Berezyna mniejsza, Szczara, Merecz, Kotra, Strawa i Wilija (1) ze swą Serweczą Iliją, Wiazinem, Żejmianą, Wilną czyli Wilenką i Świętą; dla Żmujdzi zaś zostały: Niewiaża, stanowiąca od Litwy granicę, Dubissa, Mitwa, Jura, Salanta i Szwenta (Szwinteuppe) oddzielająca Żmujdź od Kurlandyi (2). Dawniéj musiało być nierównie więcéj znamienitych rzek na Litwie, lecz niejedna z nich zapewnie, jak owa Serwecz w powiecie Nowogródzkim, po wytrzebieniu lasów i osuszeniu błot, w małą zamieniła się rzeczułkę. Niemożemy liczyć do właściwéj Litwy: Dźwiny, Prypeci, Bugu, Narwi, Dniepru i wielu innych rzek Ruskich, bo te były w granicach lub na krańcach późniejszego Litewskiego państwa. Oprócz rzek było mnóztwo jezior, rozrzuconych po kraju, a z tych znaczniejsze: Zanarocz czyli Narocz, Trockie, Płotelskie i w. i. Taka mnogość wód łącznie z brzegami morza, które dotykało Żmujdzi, musiała dostarczać obfitéj dla rybołówstwa zdobyczy. Prócz wielu innych ryb, mieli Litwini z Niemna łososie, z mniejszych rzeczek pstrągi, z Trockiego i Płotelskiego jeziora sielawę, a z morza flondry, dorsze i śledzie.

Powierzchnia ziemi przedstawia nam po większéj części płaszczyzny, gdzieniegdzie pagórkowate, nad rzekami tylko, szczególniéj koło Niemna i Wilii, są miejsca urozmaicone wzgórzami, z tych w Litwie znane są w okolicach Wilna i wzdłuż Wilii góry Ponarskie, t. j. *po nad Neris* ciągnące się. Są jednak i oddzielne wzgórza, a nawet znacznéj wysokości, zwłaszcza na Żmujdzi, jako to: Girniki, Szatrya, góry Powondziń-

---

szewski Litwa I. 34), na co jednak niemasz zgody, gdyż *minu* znaczy właściwie: *trę*, *mnę*, *łamię*, *depcę*, i używa się mówiąc o tarciu lnu, lub garbowaniu skóry; jakoż i Mielke tłómaczy ten wyraz przez: *brechen*, *gerben*, *treten*, ale nie *austreten* (iszmindżoju). Tak więc *neminu* byłoby tylko przeczenie tego co znaczy *minu*. Może źródłosłowu Niemna trzeba szukać w Sanskrycie, gdzie wyraz *nimna* znaczy głęboki (*Hilferding: O schodstwie jazyka Sławianskaho s Sanskrytskim, str. 117*).

(1) Wilija, po Litewsku *Neris*, ma także mieć swoje nazwisko od rusałki Neris (*Narbutt I. 86*), a podług innych od *neru*, ciągnę, wciągam, t. j. że ciągnie inne rzeki do siebie (*Kraszewski l. c. str. 34*); może wreszcie pochodzi ta nazwa od *Naras* nurek, *poneru* zanurzam się.

(2) Takich rzek świętych było aż trzy: jedna wpada do morza, druga do Niemna, trzecia do Wilii. (*Narbutt, VII. Dod. IX. str. 92*).

skie, góra Gęsia, i nad morzem przy Połondze wzgórze Biruty. Lecz góry w całéj Litwie niesą skaliste; tylko nad brzegami rzek: Musy, Kroi i Świętéj w parafijach dzisiejszych: Birżańskiéj, Podbirżańskiéj, Poświątskiéj i Kryniczańskiéj, są obfite i w wielkich płytach, zaraz pod urodzajną ziemią, pokłady kamienia wapiennego, którego dzisiaj do ozdób architektonicznych i podłog używają. Są również w tych okolicach i podziemia gipsowe, z których liczne tworzą się pieczary, na rozmaite korytarze arkadami podzielone. Zresztą w wielu miejscach powierzchnię pól zalegają w znacznéj massie okruchy granitu, między któremi nierzadko bywają znacznéj objętości tegoż rodzaju kamienie.

Jeżeli dzisiaj jeszcze Litwa, tak hojnie w lasy jest uposażona, jakież przestrzenie zajmować one musiały dawniéj? A cóż to były za lasy? jakie ostępy, jaka w nich gęstwina? Z owych to zapewnie czasów zostało przysłowie, o tak gęstych lasach, że się i komar do nich nieprzeciśnie: „*Tauki girre ûds saukio ne ikisza*“. Wiele z tych puszcz i borów w XVI jeszcze wieku, po dwadzieścia i więcéj mil miało rozciągłości, jak świadczy Miechowita w swojéj Sarmacyi Europejskiéj. Puszcza między Wilnem a Połockiem, podług Herbersteina, miała mieć 50 mil długości; od puszczy zaś Białowiezkiéj przez lasy Grodzieńskie czyli Pierstońskie, szły nieprzerwanym szeregiem ostępy, aż w głąb Litwy, o czém wzmianka w Ustawie dla leśniczych Zygmunta-Augusta. Niebotyczne sosny i ogromne dęby, prócz wielu innych gatunków drzew, upiększały te lasy i bory. Głuche ich ostępy, żywiły mnóztwo różnego źwierza, nawet pszczoły dzikie roiły się po tych puszczach, zwłaszcza Kowieńskich mnóztwem lip ocienionych.

W kraju pokrytym gęstwią lasów i trzęsawiskami błot niedostępnych, drogi komunikacyjne były bardzo utrudnione. Oddawna przeto głównym obowiązkiem mieszkańców było budowanie mostów i sypanie grobel. Czasami przejścia przez trzęsawiska, w znacznéj nawet długości, ułatwiały grube kłody w poprzek układane, których szczątki koło Rudnik i w innych miejscach do naszych przetrwały czasów (1). W powszechności jednak, dobrych dróg i grobel niebyło wiele: kto więc dogodnie Litwę chciał zwiedzić czekał mroźnéj pory. Korzystali też z zimy Krzyżacy drapieżni i handlarze spokojni, bo zima skracała przestrzenie, kierując drogi przez trzęsowy i jeziora. Lecz i zimą niezawsze podróż była bezpieczną, zwłaszcza gdy

(1) Narbutt. V. 515.

była zamieć śnieżna; wówczas to nawet krajowiec łatwo mógł zbłądzić: kierowano się przeto, jakby na morzu, jedynie gwiazdami (1). Latem najłatwiejsza komunikacya była rzekami. Tą drogą dostawały się w głąb kraju najdawniejsze kolonije i nad brzegami rzek zakładały nowe osady. Taki był początek Średnik, Czajkiszek, Ejrogały, Betygały, jak nas uczy Żmujdzkie podanie, i niewątpliwie wielu innych osad Litewskich.

Ta mnogość lasów, pełnych jezior, i obszernych bagnisk, miała zapewnie znaczny wpływ i na klimat téj północnéj strony. Znany nam zachodni wędrowiec Lannoy, gość Jagiełły i Witolda, obszernie się rozwodzi o cudach zimy krajów Nadbaltyckich, do których i Litwa należy (2). Te własności klimatyczne postrzegano jeszcze w XVI wieku, lubo cudzoziemcy ze stron zwłaszcza południowszych, przesadzali niekiedy w swoich opisach surowość klimatu i dzikość pustyni Litwy (3). Wprawdzie i nasz Długosz niezbyt pochlebnie o klimacie Litewskim wspomina (4); lecz jeden z najnówszych pisarzy, niewahał się z owczesnéj Litwy prawdziwéj zrobić Grönlandyi, „gdzie *przez dziesięć miesięcy* nieustannéj zimy usuwało się „słońce z nad ziemi, dając jéj zanurzać się w ciemnościach i „trętwieć mrozem śmiertelnym, a przez *dwa miesiące* lata pa„łało ono ciągle na widnokręgu, dopiekając upałem całodzien„nym“ (5). Takie o dawnym klimacie Litewskim ogłaszać mniemanie, jest to cokolwiek zadaleko posuwać bujność imaginacyi. Że na Litwie w upłynionych wiekach, chłody mogły być daleko większe mimo osłony, jaką mieszkańcom puszcze udzielały; że w niéj hodowały się źwierzęta, na które dzisiaj

---

(1) Aen. Sylv. Opera p. 417.
(2) Lelewel, Rozbiory, str. 374.
(3) Zacharyasz Ferrari biskup Gardyński legat papiezki, autor Życia św. Kazimierza, przysłany w te strony 1520 r., w swoim opisie podróży do Wilna, tak mówi o Litwie: „Kraj pod surowém niebem, zimny i okropny, *w którym rzadko kiedy lato bywa*. Na wszystkie strony ciągną się równiny, lasy, błota i jeziora. Pola tu rozległe, winnic nieznają, a owoców bardzo mało.“ Dodaje wszakże: „Lud jest piękny, żywności dosyć, dostatek silnych koni i tych małych źwierząt‹k, z których szacowne futra do ozdoby sukni i ochrony od zimna, jako to: soboli i innych białych futer, które przywożą Ormijanie. Wreszcie pełno tu zubrów, łosi, niedźwiedzi i dzików. (*u Wiszniewskiego w Hist. Literat. Pol. VII. 548*).
(4) Długosz Hist. X. 114.
(5) Szajnocha Jadw. i Jagiełło, III. 4.

w dalekiéj tylko natrafiamy północy (ren, sobol), że wreszcie bywały tam zimy, „iż lasy tak poschły, że za wiele lat do „pierwotnéj swojéj ozdoby i własności przyjść niemogły“ (1). Nic w tém nadzwyczajnego, wszak i Germanija kiedyś reny żywiła; lecz żeby Litwa była prawie krajem podbiegunowym, z dziesięciomiesięczną zimą bez słońca, a dwumiesięczném latem gorącém, na to niemasz zgody. Niestosowność takiego twierdzenia dowodzi nietylko bytność pszczół leśnych, ale i owych płodów ziemskich, w które już wówczas kraj ten obfitował, a które potrzebują dłuższego niż dwumiesięcznego lata do swego wzrostu i dojrzenia. Zawsze jednak, ówczeŝny klimat Litewski, więcéj niż dzisiaj musiał być surowym. Ogromne przestrzenie lasów i bagien sprawiały mgły gęste i zbytek wilgoci, co nietylko utrudniało prace rolnicze, lecz nadto za nadejściem lata, dopomagało mnożeniu się niezliczonych gadów, płazów i mnóztwa owadów.

Królestwo kopalne tych stron nigdy niebyło zbyt bogate. Niemasz co powtarzać z Rzączyńskim o znajdowanych jakoby kamieniach szlachetnych około Nalibok; ma jednak Litwa rozmaite inne rzeczy kopalne, o których tu wspomnieć możemy, jakiemi są: ugry różnych kolorów, kreda nad Niemnem, gips i wapno szczególniéj na Żmudzi, ślady porfiru gliniastego, krzemień, z którego wyrabiano toporki i groty, ruda żelazna w różnych okolicach, między innemi na Litwie koło Wiszniewa, na Żmujdzi pod Korcianami, skamieniałości szczególniéj mięczaków morskich (2), pod Popielanami na Żmujdzi nad rzeką Wentą, kości mamuta i muszle morskie koło Alexoty, ślady soli w różnych miejscach, kamiennego węgla w Upickiém i w wielu okolicach znaczne torfowiska, bursztyn na brzegu morskim koło Połongi i w jeziorze Łukszcie pod Worniami (3). Mamy wreszcie na Litwie źródła mineralne, w których skład sól lub siarka wchodzą, jako to: w Prenach, Niemonajciach, Birsztanach, Łabunowie, przy Stokliszkach (4), koło Widz, a nade-

---

(1) Dusburg pod r. 1322, u Stryjkowskiego str. 269.

(2) O tych skamieniałościach pisali Ignacy Lachnicki, Dubois de Monpereux, Eichwald, Buch, Alice de Orbigny i Ludwik Zeiszner.

(3) Podobnież znajdują bursztyn na dnie i po bokach jeziora Kurlandzkiego Angern, blizko zatoki Ryskiéj.

(4) Za czasów Augusta II probował Ludwik Pociéj hetman w. x. Lit. sól wywarzać ze źródła w blizkości miasteczka Stokliszek będącego. Późniéj (między 1780 a 1790 r.) staraniem podkanclerzego Joachima Chreptowicza czynili nad tém źródłem do-

wszystko w Druskienikach, tyle już wsławionych w dzisiejszym czasie kąpielami swemi (1), gdzie jeszcze przed r. 1839, w miejscu, na którém wzniesiono dom rządowy, widzieć można było gruzy starego pieca, w którym sol wywarzano. Od punktu naprzeciw Druskienik, idąc wzdłuż Niemna, jest jeszcze więcéj podobnych źródeł słonych, jako to: między wsiami Jamny i Krykszlany, daléj pod osadą Norowa w okolicy Pren i we wsi Kaimeli, któremi się leczą okoliczni mieszkańcy. Oddawna musiano wiedzieć o tych źródłach, kiedy już za Zygmunta III zwrócono na nie uwagę, i jakiś lekarz wyrobił sobie u tego króla przywiléj, dozwalający mu warzenia soli Litewskiéj.

Znaczne przestrzenie w różnych stronach Litwy a na Żmujdzi od Telsz do morza, mają grunt piasczysty; w powszechności jednak mówiąc, cały kraj byle staranna uprawa, dosyć urodzajny, a Żmujdź od granic Litwy do Telsz ma nawet ziemię żyzną, na któréj pszenica i len wybornie się udają. Był zatém kraj i do rolnictwa sposobny. Otoż śród tych puszcz przerżniętych tylą rzekami, pełnych błót i jezior, wzrastał powoli naród niepoślednią w dziejach północnéj Europy zajmujący kartę; naród, który zaledwo zrazu postrzegany od sąsiadów, już w XI wieku ukryte dotąd pełne życia swe siły, szeroko rozwija i mimo ścieśnień jakich doznaje od Rusi, Polski, Krzyżaków i hord Tatarskich, niewstrzymanym potokiem wylewa się na zewnątrz, odpiera Ruś i Niemców, najeżdża Polskę, gromi Tatarów, ocala Europę od dziczy Mongolskiéj, szerzy zabory na Rusi, ale nienarusza jéj narodowości i wiary, wreszcie dawszy Polakom pamiętną Jagiellonów dynastyę, z jéj wygaśnięciem traci swe znaczenie, a ze wzrostem potęgi następ-

---

świadczenia, x. Mickiewicz professor fizyki w akademii Wileńskiéj i chemik Sartoris; w roku zaś 1791, x. Stan. Jundził S. P, prócz innych źródeł zwiedziwszy i Stokliskie, opisał takowe w wydaném r. 1792 w Wilnie pisemku pod tyt. „O źródłach solnych i soli Stokliskiéj“ (*cf. Balińskiego i Lipińskiego Staroż. Polska, str. 430*).

(1) Samo nazwisko Druskienik dowodzi, że tam były niegdyś warzelnie soli, a przynajmniéj, że znano dobrze słoną własność źródła, gdyż wyraz Litewski *druska* znaczy sól. Troje Druskienik było na Litwie: jedne nad Niemnem, gdzie są dzisiejsze kąpiele; drugie za Raduniem nad Dzitwą, gdzie się dotąd zachowały podania, że tam były kiedyś słone źródła, teraz Dzitwą zalane; trzecie nakoniec na trakcie z Ejszyszek do Okolników, które już żadnéj o podobnych źródłach niezachowały tradycyi.

ców Ruryka niknie ze sceny politycznéj świata; słowem naród, który z każdego względu zasługuje na to, abyśmy go bliżéj poznali.

Niemal wszyscy powtarzają, że kolebki Litwinów, jak wielu innych narodów Europy, szukać trzeba na Wschodzie; jakoż twierdzenie to można po części rzeczywiście wesprzeć, mitologiją i językiem Litewskim (1). Wszakże długowieczny wpływ północnego klimatu, taką już w nich zdziałał odmianę, że przypatrując się rodowym ich cechom w dawnych kronikarzach opisanym (2), a które się do-dziś-dnia między prostym dochowały ludem, nic już takiego dostrzedz niemożemy, coby nam choć z daleka powinowactwo z jakiém plemieniem z nad brzegów Gangesu przypominać mogło. Owszem ciało białe, twarz pełna i rumiana, z prostym lub zadartym nosem, gdyż orle prawie nieznane, oko najczęściéj siwe lub błękitne, włos niemal powszechnie płowy, bo tylko w pieśniach Nadbaltyckich niekiedy czarny jest sławiony, wzrost zazwyczaj średni, choć dawniéj mogło być inaczéj, jak o tém świadczą podania o olbrzy-

---

(1) Cześć ognia, jak u Parsów, stanowiła i na Litwie główniejszy artykuł wiary. Litewska *Linksmine*, bóztwo pociechy, które wyobrażano sobie w postaci tęczy, odpowiada Indyjskiemu bóztwu *Laksmi*. Na wschód wracają i duchy zmarłych ludzi według Litewskiego mitu. Wszystko to zdaje się przekonywać: że religija, która w zarodku swoim ma tyle pierwiastków Indo-Parsyckich, nie zkądinąd tylko ze wschodu wraz z narodem wyjść musiała. Tegoż pochodzenia, dowodzą jeszcze prawdziwie Litewskie nazwania źwierząt i roślin krajom wschodnim właściwych, (np. lew *lutas*, słoń *szlapis*, bawół *stumbras*, małpa *bezdziona*, bawełna *siłkaj*, pigwa *szermukysznis* i t. d.), i niemało wyrazów, które widocznie zachowały formę starego Sanskrytu. Nazwanie kasty Indyjskiéj *Riszy*, któréj główném zatrudnieniem było pismo, wielki ma związek z wyrazem Litewkim *raszau* piszę. Pan po-Litewsku *Wispats* i w Sanskryckiém znaczy pana trzeciéj klassy, z kasty *Waiscias*, do któréj należeli rolnicy, ogrodnicy, handlarze, używający mięsa na pokarm. Źródło wzmiankowanego wyrazu jest w Sanskryckiém *was* mieszkać, *wis* mieszkanie, wieś, i *pa* panować, *patni* lub *patis* pan domu; co również postrzegamy w staréj mowie Parskiéj, zwanéj *zend*, będącéj dyalektem Sanskrytu, gdyż i tam *Wispati* znaczy pana miejsca, pana domu. (*Kraszewski, Litwa I, 51—53. Hilferding, O srodstwie jazyka Sławian s Sanskritskim, str. 27 i d.*).

(2) Adam Bremeński De situ Daniae, c. 22. Helmold. L. 1. c. 1. cf. Narbutt III. 501.

mach (*milżenis*) i szczątki w starożytnych grobach zachowane (1); cały wreszcie kształt ciała zwięzły, krzepki, a zdrowie czerstwe i zarówno na zmiany powietrza, jak na niewygody życia wytrwałe: oto są cechy, które lubo nie bez wyjątków, odznaczają Litwina. i które dla niego jakieś pośrednie między Słowiańskim i Skandynawskim ludem wskazują miejsce. Klimat Litwy przy prostocie obyczajów jéj mieszkańców, przy prostym ich sposobie życia, przerywanym niekiedy tylko biesiadną ochotą, dziwnie sprzyjał zachowaniu czerstwości zdrowia do późnego wieku. Nieraz też widziano jak dziadowie na czele swych wnuków, ciągnęli ochoczo w odległe strony, i jak tam z młodzieńczym walczyli zapałem (2). W tych zaś wyprawach bez względu na porę roku, a zatém i śród najtęższych mrozów, nieinaczéj obozowali Litwini, jak pod chróścianemi szałasy (3). Niezbywało i kobietom na zaletach zewnętrzchownych. Ich uroda pod względem składu twarzy i całego ciała, niemusiała być poślednią, kiedy dotąd najpiękniejsze Litewki, dają się postrzegać w powiatach właściwéj Litwy, t. j. Trockim, Kowieńskim i Wiłkomierskim; tak przynajmniéj utrzymują znający bliżéj te strony.

O charakterze i stopniu cywilizacyi pierwotnych Litwinów, wcale niekorzystne zostawili nam świadectwa nasi i obcy kronikarze. Ich zdaniem miał to być naród wiodący życie prawie źwierzęce, leśny, okrutny, na łup chciwy i z łupu żyjący, słowem barbarzyński, a do tego stopnia biedny, że xiążęta Ruscy zhołdowawszy niektóre pograniczne im okolice, nic więcéj od téj dziczy w dani pobierać niemogli, prócz winników do łazień, kory brzozowéj na dziegieć, postronków i postołów łyczanych, żołędzi na karm wieprzy i skór źwierzęcych (4). Tak samo powtórzyli i późniejsi pisarze (5).

W rzeczy saméj niewiele odmienne byłoby i nasze zdanie o pogańskiéj Litwie, gdyby wiarą naszego sądu były jedynie tylko jéj dzieje polityczne, i gdybyśmy nieśledząc przy-

---

(1) Narbutt IV, 102, o kościotrupie Mścibokowskim.

(2) Hartknoch Alt u. neu Preussen s. 82, 83. Narbutt III, 503.

(3) Alupek. Reim-Chronik s. 138.

(4) Kadłubek, Długosz, Miechowita, Kromer pod r. 1205, Stryjkowski, str. 198, 211, 214, 215.

(5) Naruszewicz IV, 22. Rys histor. miasta Nowogródka w Gaz. Warsz 1853, N. 181. Autor tego rysu wznawiając przestarzałe o Litwinach uprzedzenia, w dodatku odmawia im samobytności, policzając ten naród do szczepu Fińskiego.

czyn z samych tylko czynów wnioski wyprowadzać chcieli. Niemasz bowiem wątpliwości, że przypatrując się Litwie, bez względu na wieki i okoliczności owocześne, postępowanie Litwinów w wielu razach okaże się nam barbarzyńską srogością; krwawe wróżby, ofiary bogom z żywcem palonych brańców, mordy, pożogi i łupieże, ponawiane przy każdym napadzie na ziemie sąsiednie; wreszcie wzajemne mordy członków rodziny xiążęcéj, niekoniecznie nawet śród zamieszek domowych dokonane (1): cały naród w bardzo niekorzystnêm przedstawiają świetle. Nic przeto dziwnego, że kronikarze tę tylko znając stronę i niewchodząc w powody dokonanych czynów, z odrazą i zgrozą o Litwinach pisali. Lecz mamyż odrazu wszystkiemu uwierzyć, co nam o srogiéj dziczy Litewskiéj prawiono? Nie, zaiste; — chciejmy tylko bliżéj poznać i ocenić Litwinów owczesnych, a nietrudno będzie przekonać się: że ani ich dojmowała

---

(1) Liczne są przykłady w dziejach Litwy srogości ich xiążąt. Mendoga z jego synami morduje Żmujdzki Trojnat (r. 1263), a Trojnata zabija w męczarniach syn Mendoga Wojsiełko i karze śmiercią i zaborem mienia wszystkich o spólnictwo z Trojnatem podejrzanych. O Wojsiełku to mówi Stryjkowski, że pod owczém odzieniem (gdyż nosił habit mnisi) taił się wilk drapieżny (*str. 290*). Doumunt przez nasłanych siepaczy zabija młódszego brata swego Trojdena co był xięciem Jatwiaskim i Podlaskim, o którym także mówi Stryjkowski, że w okrucieństwie przeszedł Antyocha, Heroda i Nerona (*str. 209*, *214*). Skirgiełło już Chrześcijanin, a niemniéj był dzikim, zwłaszcza gdy przebrał miarę w napoju, gdyż wówczas i przyjaciół kaleczył lub mordował (*Strykowski str. 449*). Jagiełło który zostawszy królem Polskim umiał znosić obelgi zadane sobie przez Świdrygiełłę, nikczemnie jednak postąpił z Kejstutem rodzonym stryjem, którego zdradą pojmawszy, udusić kazał, — co również czekało Witolda, gdyby się nieratował ucieczką przy pomocy swéj żony. Nielepszym był pod tym względem i sam Witold. Pociągu do srogości, niezniszczyła w nim cywilizacya zachodnia, z którą więcéj niż którykolwiek z xiążąt Litewskich był obeznanym. Mało on cenił życie człowieka, i kto wie czy niebył sprawcą śmierci Wiganda brata Jagiełły, otrutego wtenczas, gdy ten młodzieniec powszechnie wielbiony wielkim xięciem miał zostać. Pomijamy inne okrucieństwa przykłady; dodamy tylko, że mord Zygmunta namiestnika króla Polskiego, dowodnie nas uczy czém była Litwa w stanach wyższych jeszcze w połowie XV wieku. Dopiéro wpływ Polski na kulturę Litwy to sprawił, że moralne i polityczne potworności powoli znikać zaczęły. (*Przegląd Poznań. 1849, Listop. str. 579 i. d.*).

taka nędza i ubóztwo pod względem zamożności materyalnéj, o jakiéj nam latopiscy prawią i jaką nowi nawet pisarze koniecznie nam wmówić usiłują (1), ani też byli takimi w domowéj zaciszy, jakimi się okazywali śród wojennéj wrzawy; a chociaż z góry dawany przykład niemógł być bez wpływu i na niższe warstwy społeczności, wszelako Normandzki charakter owych krwawych a władzy chciwych kunigasów i kniaziów, niestał się typem całego narodu.

Prawda, że dawni Litwini w porównaniu z ówczesnym stanem sąsiadów Germańskiego lub Słowiańskiego plemienia, mogli być narodem biedniejszym; że przy prostocie swych obyczajów mniéj potrzebując i potrzeby swoje własnemi opatrując siłami, mniéj też byli wymyślni w pokarmie, odzieniu i pomieszkaniu; że wreszcie niebyło tam mniemanego patryarchalizmu, w którymby świeciła sielankowa niewinność i szczęśliwość, jak o tém niektórzy marzą i prawią (2): nieidzie jednak za tém, żeby niemal żwierzęce prowadzili życie. Stan więc Litwinów co do zamożności tylko względnie uważany, mógł być gorszy niż sąsiadów, ale rzeczywistéj biedy i niedostatku niebyło, bo naród który zajmował się hodowaniem bydła i od wieków znał rolnictwo, choćby jeszcze nieumiał sam tworzyć, lub przez zamianę za własne płody, nabywać przedmiotów zbytkowych, których rękodzielniczy lub handlowy dostarcza przemysł, niemoże się jednak nazwać zupełnie ubogim i biednym. Zapewnie jeszcze w XII wieku niemieli Litwini miast, a przynajmniéj osad, któreby tém mianem nazwać się godziło; niewidać było u nich prawie do połowy XIII wieku, świetnego dworu xiążąt (3), ani nagromadzonych bogactw w złocie, srebrze, lub kosztownych fantach i sprzętach; ich rycerstwo nie-

---

(1) Szajnacha *Jadw. i Jagiełło*, III, 34: „Litwa pogańska było krajem ubóztwa. W xiążęcéj sferze narodu świeciły pozory bogactw i przepychu. Ogół ludności był w nędzy."

(2) Ten zarzut robi niektórym pisarzom i słusznie p, Szajnocha (*Jadw. i Jagiełło III*, *36*).

(3) Lecz z czasem, i to niezadługo, i dworów tych prostota inną przybrała postać. W rodzie xiążąt spromieniał się polor, na jaki tylko przez stosunki z sąsiadami można się było zdobyć; zadziwiali oni nieraz obcego przybysza niemal wykwintem ogłady, a najwięcéj bogactwem i oryentalnym przepychem; lecz co było na dworach, tego za miarę o ukształceniu narodu brać nienależy.

jaśniało drogim rynsztunkiem, zbroją, orężem; mieli jednak dosyć już zboża, i bydła, umieli szukać korzyści w obszernych lasach i wodach, znali najpotrzebniejsze rzemiosła, a nawet dość wcześnie rozwinął się u nich przymysł handlowy; — słowem nieżyli wyłącznie tylko „leśném ubóztwem,“ gdyż Litwa niebyła krajem materyalnéj nędzy i biedy, jak się to podobało utrzymywać niektórym (1).

Pierwotny charakter Litewskiego ludu, niemusiał się wiele różnić od charakteru pobratymczych Prusaków, którzy zdaniem samychże Niemców, wrogów Letońskiego plemienia, najłagodniejszymi byli z ludzi, pełni miłości bliźniego, ludzcy, uczynni, gościnni (2). Wnosimy zatém, że Litwini niebyli zrazu narodem wojennym, czego nawet zdają się dowodzić z taką łatwością dokonane na Litwie Normandzkich drużyn (Woeringerów czyli Waragów) i Ruskich xiążąt zabory. Lecz kiedy po tych piérwszych napadach zjawili się rycerze Niemieccy, którzy pód pozorem nawracania, rzucili się na Litwę jak na łup gotowy; kiedy przed corocznie ponawianemi najazdy chciwych mnichów i z różnych stron Chrześcijaństwa w pomoc wezwanych Krzyżowników, już nawet w najskrytszych zakątach i ostępach puszcz, pogaństwo bezpiecznego schronienia znaleźć niemogło; wówczas to rozpacz, miłość kraju i wiary, dodały odwagi, — a Litwin raz ośmielony, gdy wystąpił ze swych lasów, już odtąd równie barbarzyńskim sposobem używać zaczął prawa odwetu i w równie niszczących napadach zaprawił się do podobnego jak jego wrogi rzemiosła. Skoro zaś niebawem i z innych stron, od Polski, Tatarów i Moskwy, zatrwożona Litwa, postrzegła się opasaną dokoła od srogiéj nieprzyjaźni narodów, w takim stanie rzeczy, wojenny tryb życia stał się dla niéj niezbędną koniecznością; a śród tych nieprzerwanych bojów, o

---

(1) Szajnocha, *Jadwiga i Jagiełło*, III, 34.

(2) *Adam Bremeński* c. 222, 227: „Mitissimum genus hominum.... homines humanissimi.“ *Helmold* L. I. c 1: „Homines multis naturalibus bonis praediti, humanissimi erga necessitatem patientes — multa poterunt dici de hoc populo laudabilia in moribus, si haberent fidem Christianam“. *Dusburg* p III. c. 5: „Hospitibus suis omnem humanitatem quam possunt ostendant, nec sunt in domo sua eseulenta vel potulenta, quae non communicent eis illa vice.“ Toż samo prawie mówi o nich *Łukasz Dawid* B. I. s. 145. Taki sąd obcych, a do tego Niemców, za próżne frazesa brać się niemoże.

wiarę, niepodległość, życie i mienie, wykształciła z czasem do tyla nawet bohaterskie postacie, że te poświęceniem swojém, a nieraz i ludzkością, Chrześcijańskie zawstydzały rycerstwo, jak tego między innemi dowiódł Marger w obronie Pillen (r. 1336), a Kejstut przy zdobycia Johannisburga (r. 1365) i pojmaniu w niewolę komtura Surbacha (1) Litwini przeto, odpierając napaść napaścią, a za rzeź rzezią płacąc, niewięcéj zapewnie okazali srogości, jak rycerze Niemieccy i pobożni Krzyżownicy, którzy niemiłosiernie wytępiali krocie Litwinów, bez różnicy czy to był rolnik, czy mąż orężny, a wytępiali jedynie dla tego, że to niebyli Niemcy, że zbrojnym missyom stawiano opór, że swego mienia i swobód w ręce wiarołomnych mnichów złożyć niechciano. Przeczytajmy *np.* owczesnego Wiedeńskiego poetę Suchenwita, który towarzysząc xięciu Albrechtowi, odprawił (r. 1377) rycerską do ziemi pogańskiéj pielgrzymkę; a przekonamy się z jaką lubością, z jakiém urąganiem opisuje Niemiec napad na orszak drużków i drużek weselnych, z którego 60 osób mordują Krzyżacy, a resztę biorą w niewolę i przywiązanych do żerdzi jak psów na sworze pędzą przed sobą (2). Obie więc strony nieznały w boju litości, bo taki był charakter wszystkich wojen ówczesnych, a szczególniéj w tych stronach. Lecz jak ów Krzyżownik co, w imie wiary i dla dostąpienia odpustu bez zgryzoty sumienia mordował i palił, zapewnie innym był w domu gdy z krucyaty powrócił; tak również innymby się okazał ów okrzyczany ze swéj srogości Litwin, gdyby spółcześni kronikarze, co nam tyle dat i faktów zachowali, opisując wojny, srogie zamieszki, domowe xiążąt boje, zdrady i mordy, chcieli i mogli byli zajrzeć, w wewnętrzne familijne życie narodu i jego miejscowe obyczaje, gdyby poznali jego przesądy, podania i pieśni starożytne: boby się przekonali że kultura pogańskiéj Litwy na innym niż się im zdawało zostawała stopniu, że owe podania i pieśni, nietylko że nieoddychają srogością boju, ale owszem pełne są uczuć spokojnych, rodzinnych, a co nadewszystko takiéj skromności, jakiéj po narodzie za barbarzyński mianym, nigdyby się niemożna było spodziewać (3).

---

(1) Wigand 240, Voigt Gesch. Preus V. 291. Narbutt. V. 147. 148. 250.

(2) Suchenwit Werke p. 12: „so fürt man sie gebunden, gleich den jugenden Hunden.“

(3) Kraszewski o pieśniach Litewskich czyli Dainos w Athen. 1844. zesz. 2.

Między innemi jak dalece czystość obyczajów w pożyciu małżeńskiém była cenioną, już z tego wnieść można, że w całéj mowie Litewskiéj nieznalazł się właściwy wyraz na oznaczenie występku cudzołóztwa; dla tego też po przyjęciu wiary, gdy wypadło biblije i katechizm tłomaczyć na język Litewski, wówczas dla oznaczenia szóstego przykazania, trzeba było użyć parafrazy (1). Z potrzeby zatém nie z wrodzonego charakteru srogim dla swych wrogów stać się musiał Litwin, niestraciwszy przeto wszystkich pierwotnych cech swoich, które za nim przemawiały korzystnie. Z tego więc wszystkiego powziąć możemy przekonanie, do jakiego stopnia jednostronném a tém samém mylném mogło być zdanie kronikarzy o dawnych Litwinach. Dalsza osnowa badań naszych dostarczy nam nie na jedném miejscu innych jeszcze na to dowodów; tymczasem zaś przypatrzmy się bliżéj cnotom i wadom towarzyskim, poznajmy, ile to być może, stopień kultury pogańskiéj Litwy, jako też skutki obcych na nię wpływów.

Plemiona Litewskie, chociaż związane jednością wiary i mowy, nieprzedstawiają nam silnéj spojni w swojéj narodowości. Może w wiekach dawnych, kiedy teokratyczna władza krewów miała jeszcze pełną przewagę, było inaczéj; lecz późniéj już tego niepostrzegamy. Rzadko wspólny interes łączy Prusaków, Litwę, Jadźwingów i Łotwę. Każde plemie żyje jakby tylko dla siebie, i nietroszczy się o los bratnich sąsiadów, których obcy oręż gnębi. Łotwa i Prusacy tak się nawet z czasem wynarodowić dali swym ciemiężcom Niemieckim rycerzom, że niemal z ochotą wspierali ich zaborcze na Litwę zamiary. Podobnież Litwa ze Żmujdzią długo utworzyć niemogła jednolitéj całości; owszem Żmujdź nieraz dla chwilowych widoków Litwy poświęconą bywała. Słowem jedna myśl narodowości niepodnosiła, niebratała uczuć tych pokrewnych plemion.— Lecz kiedy samodzielność Prus, Łotwy i Jadźwingów skruszoną została, kiedy szczątki niedobitków lub niechętnych pod obcą a nienawistną zostawać władzą, niejednokrotnie znalazły na Litwie, ostatnim przytułku czci bogów Letyckich, gościnne schronienie; wówczas to, rozerwane przedtém uczucia plemienne, skoncentrowały się niejako w Litwinach i do tyla urosły w potęgę, że jedną z piérwszych cnót tego ludu było silne przywiązanie do narodowości, wiary i rodzin-

(1) Jenisch w przedmowie do słównika Mielkego; cf. Narbutt, Dzieje I, 334, 345, 346.

néj ziemi Chociaż zatém nieraz boleśnie nękani byli przez zakon Krzyżacki, woleli jednak największą znosić niedolę, niż pod obcém niebem szukać odmiany losu. Były wprawdzie takie momenta w ich życiu, że czy to rozpacz, czy zapał religijny, myśl nasuwały o porzuceniu Litwy; nieprzyszło to jednak do skutku i na miejscu zostali (1): bo Litwini niebyli już narodem koczującym, co to w każdéj chwili gotów zwinąć namioty i szukać nowéj ojczyzny, choć tę skłonność niektórzy im przypisują porównywając ich numy do szałasów wędrownych ludów (2). Że zaś niekiedy pojedyńcze osoby, a choćby i całe familije w różne rozchodziły się strony, nawet do ziem Krzyżackich, gdzie ich jako przeniewierców sprawie ojczystéj gościnnie przyjmowano (3),—zdarzenia takie stanowią wyjątek od powszechnego prawidła.— Z zamiłowaniem swojszczyzny łączyli głębokie uczucie religijne; ztąd też zapewnie wyrodziła się owa nienawiść ku wierze Chrześcijańskiéj, zwłaszcza u gminu, i owe nie-

---

(1) Około r. 1379, lud zwłaszcza nadgraniczny srodze uciśniony ciągłemi napadami Krzyżaków, miał zamiar opuścić siedziby i szukać gdzieindziéj spokojniejszego dla siebie zakątka. Być jednak może, że wówczas była tylko mowa o przeniesieniu się w głąb' Litwy. W późniejszym cokolwiek czasie ponowiła się chęć wywędrowania, w daleko rozleglejszym rozmiarze. Było to pod tę porę, gdy Kejstut z Wilna i Trok przez Jagiełłę wyparty, wzywał Żmujdzinów na ratunek wiary ojców i staréj narodowości Litewskiéj. Gromadzili się wprawdzie stronnicy Kejstuta pod znaki doświadczonego wodza, lecz serca pogan przejmowała trwoga, gdyż po kraju krążyły już wróżby, że niezadługo ogień Znicza miał nazawsze zagasnąć. Wówczas to w przekonaniu zapewnie, że już od swych bogów i ludzi są opuszczeni, stanęła rada na zgromadzeniach gminnych, aby kraj zostawić Krzyżakom, a wszystek lud wiejski, z mieniem, jakie zabrać można, wyprowadzić w bezpieczniejsze strony i nową założyć ojczyznę (*Długosz X, 44*). W kilka lat późniéj, po napadzie Krzyżaków r. 1390 i 1391, głód srogo dojmujący tęż samą myśl nastręczał (*tamże X, 133, 134*: *fames horrenda.... deserere Lithuaniam firmaverunt*). Wreszcie po raz ostatni, w skutek niechęci ku zbyt gorliwym zabiegom krzewicieli Chrześcijaństwa, grozili opuszczeniem kraju, przy dawnéj wierze upornie stający, i to było przyczyną, że Witold niechcąc drażnić takiego usposobienia, chrzest Żmujdzi na dalszy czas odłożył. (*Aeneas Sylv. op. 418*).

(2) Szajnocha, *Jadwiga i Jagiełło*, III, 9.

(3) Voigt. Gesch. Preus. V, 354.

ludzkie z jéj apostołami obchodzenie się, chociażby nawet nie z orężem w ręku ziarno Ewangelii zasiewać chcieli. Wszakże pomimo upornego przywiązania do swego bałwochwalstwa, niemamy przykładu przynajmniéj z czasów historycznych, aby nawzajem swą wiarę innym narzucać, lub do niéj namawiać starali się (1). Owszem od czasu kiedy ich xiążęta, choć jeszcze pogańcy, zaczęli trwałe czynić zabory, po ukończeniu wojny, obcą w zdobytych narodach szanowali wiarę. Silnie wkorzenione uczucie swojszczyzny, podnosiło w Litwinie narodową pychę. Szczególniéj z uczuciem tém nietaił się w stosunkach z Niemcem śmiertelnym wrogiem swoim, którego nazywał *ślepym* (aklas Wükietys), wątpił o jego umysłowych zdolnościach, i nieraz późny nawet jego potomek z tém się odzywał: „że Niemiec chce być tyleż co Litwin rozumnym“ (2). Z tegoż źródła płynęło i owe szczególniejsze, a godne uwielbienia zamiłowanie mowy ojczystéj, któréj dźwięki były mu tak miłe, że nieraz wolał przez tłómacza swe myśli objawiać, niż obcéj, choć sobie znanéj używać mowy. Temu wreszcie przywiązaniu do tego wszystkiego co było rodzinném, winien był Litwin tę korzyść, że wady obce nietak łatwy do niego przystęp znalazły, a swojskie czyste obyczaje, zwłaszcze kobiét, owa braterska w pożyciu z sąsiadami zgodność, owa litość dla biednych i nieszczęśliwych, jako też szlachetne uczucie własnéj godności, jeśli go przemoc jeszcze niezgnębiła, dłużéj nawet śród gminu zachować się mogły.

O ile srogimi byli dla nieprzyjaciół, zwłaszcza gdy za poniesione krzywdy używali prawa odwetu, bo wówczas nic dla nich świętego niebyło, o tyle w domowém pożyciu okazywali się łagodnymi, ludzkimi, pracowitymi, miłującymi czystość obyczajów i rodzinne stosunki, o czém stare podania i narodowe pieśni, jako też głębsze wpatrzenie się w ich życie prywatne

---

(1) W całéj historyi Litwinów raz tylko jeden na cóś podobnego natrafiamy. Witenes podczas napadu na Prusy r. 1311, przepatrując zdobyte łupy, gdy postrzegł naczynie kościelne z hostyą, bluźnił Boga Chrześcijan i wzywał brańców, aby Litewską przyjęli wiarę, dowodząc, że jego bogowie, za których pomocą zwyciężył, muszą być silniejsi od Boga Chrześcijan. Przypłacił za to bluźnierstwo w ślad za tém poniesioną klęską. Pobity, ranny, ledwo z nieliczną drużyną uszedł, straciwszy zdobycz i więźniów (*Dusburg c. 303, Stryjkowski o tém nawracaniu niewspomina, choć zdarzenie przywodzi, str. 336*).

(2) Jenisch w przedmowie do słównika Mielkiego.

przekonać nas może (1). Przy tém wszystkiém byli jeszcze w wysokim stopniu gościnni, dla krewnych, przyjaciół, znajomych. Mówią, że piérwszą uprzejmością okazywaną gościowi, miało być obmycie nóg jego przez gospodynię domu, aby przypominało obyczaj ludów wschodnich (2). Uroczystsze biesiady oznaczono osóbnemi nażwikami: przedślubną *Izleistuwes*, z okazyi zabicia wieprza *Skorstuwis*, stypę *Szermenis* i t. d., a każda z nich serdeczną odznaczała się gościnnością. Gospodarz niczego nieszczędził, ze zbytkiem zastawiał napoje i jadło: mawiano bowiem, że sama grzczność nieokrasi strawy czyli garnka—„*Mandagummu ne użderist pudu*". Chociaż zatém w zwyczajném życiu, przy wrodzonéj Litwinowi oszczędności, urosło przysłowie: że się pożywa pokarm nie dla utycia, ale dla życia—„*Ne tuktinaj bet mistinaj*"; lecz kiedy już gościa zaprosił, cała śpiżarnia była na jego usługi, sycone zaś miody i *Alus*, czyli mocne piwo w garnkach warzone (gdyż gorzałki jeszcze nieznano), dodawały ochoty biesiadnéj drużynie (3). Ponieważ

---

(1) Kraszewski, *Litwa*, I, 210 i d.

(2) Narbutt, I, 345.

(3) Na zmianę obyczajów ludu prostego, jeśli tylko jego kultura silnego niedozna wstrząśnienia, wieki nawet niewiele wpływają: dla tego też obraz biesiady wieśniaczej na Żmujdzi, gdzie stara narodowość najdłużéj obce odpierała wpływy, skreślony przez x. Bagińskiego w Chorografii Żmujdzi, może choć w części dać wyobrażenie o starożytnéj tego ludu gościnności. „Traktamenta Żmujdzkie, (mówi ten autor), są nieoszczędne, dowoli każdego utraktować mają za osobliwszy plezyr. W aktach weselnych, krzyża święcenia, krzcinnych porach, w przyjęciu plebana odbywającego kolendę, zapraszają sąsiadów do swego domu. Uderzywszy po kilkanaście razy w kieliszek, zastawiają stół jedném pieczystem i to na zimno. Będzie tam kur kilkoro nadzianych, kiełbas, schabów, kompi, indyków, kaczek, gęsi, a czasem i wołowa pieczeń, szupienie, rogisła i t.d. Tém mięsiwem się chłodzą, a gorzałką znowu się grzeją. To zebrawszy ze stołu kładą cukier nabity z rodzenkami na talerzach, sér, pierogi, gorzałkę i piwo stawiają. Kto chce może przy stole zabawić się aż do upadłego. Ze spóźnioną już w noc porą dają wieczerzę. Zastawiają już stół gotowanemi i gorącemi potrawami, a gorzałka musi być i wtenczas na stole. Proszą gospodarze usilnie o lepszą ochotę; ale kto tam może jeść, kiedy niemal wszyscy mało widzą, małą chęć mają do jedzenia, opiwszy się piwa i gorzałki? Ledwo co trochę łyżkami w misach pogmerzą, wnet skłaniają się do wczesnego spoczynku: jeden na ławie już chrapie, drugi śpi sparty na stole.... A potém jak zasypiają, niezbierają ze stołu, ale

w napojach najczęściej przebierano miarę, a w takim stanie umysłu, łatwo zwady i bójki wydarzyćby się mogły; prawo zatém zwyczajowe, jakby zapobiegając złym skutkom biesiadnéj ochoty, mieć chciało: iż osoba gościa i wszystko co do niego należało, było nietykalném i pod opieką gospodarza. On zatém przyjmował na siebie obowiązek, ująć się za każdą krzywdę swojego gościa i poniesione przez niego szkody wynagrodzić sowicie, bez względu na to czy z jego lub cudzej pochodziły winy. Zwyczaj ten w pierwotnéj sile przetrwał do Zygmunta I. (1); odtąd zaś zamienił się w prawo pisane (2). Lecz jakkolwiek z otwartą szczerością przyjmowano gości, ci jednak niepowinni byli nadużywać hojności gospodarza, a natręctwo złe było uważane; tak przynajmniej wnosić należy z Litewskiego przysłowia, które mówi: przychodź kiedy na cię czekają, odchodź kiedy ci najbardziej są radzi—„*Ateik bałakiam's, iszeik bemylims*". Nie z taką serdecznością przyjmowano innoplemiennych, chyba, że to był człowiek znajomy lub wchodząc do chaty umiał po imieniu gospodarza pozdrowić, a tém bardziej jeżeli w jego rodzinnéj przemówił mowie. Jednak w powszechności niedowierzano cudzoziemcom, a nawet przez dumę narodową pewien wstręt miano do nich, i ta cecha charakteru dochowała się do ostatnich czasów (3). Wszakże po-

---

całą noc stół otwarty; który się wprzódy wyśpi, wstaje i wolno jeść i pić dowoli. I tak tą gościnnością kilka dni a czasem cały tydzień traktują się. Poddani Żmujdzcy mają w tém gust, aby swoje stoły przenieść nad stoły szlacheckie; jakoż więcéj dla gościa chłopek da w piątek, jak szlachcic na Boże narodzenie. I dla tego szlachta żmujdzka umniejsza sobie szacunku, że niejest można i tak traktująca." (*Athenaeum, r. 1845, zeszyt IV*).

(1) Czacki II. 129, 130.

(2) Stat. 1-szy, R. VII. ar. 18; Stat. 2-gi, R. XI. ar. 32; Stat. 3-ci, XI. ar. 41.

(3) Wyżéj przytoczony x. Kanty Bagiński Dominikan, opisując Żmujdz koło r. 1780, w owéj Chorografii, między innemi powiada: „Żmujdzini, jak są grzeczni dla swych krewnych, przyjaciół, starszyzny, tak dla nieznajomych podróżnych, obcych ludzi, są grubijanie, nieludzcy i niegrzeczni. Rzadko który Żmujdzin co dobrego obcemu człowiekowi wyświadczy, rzadko podróżnego na noc przyjmie, rzadko nawet nieznajomemu drogę rozpowie ... Wszakże (dodaje x. Bagiński), xiędza wszelkiego stanu i umiejącego ich język z wielką ochotą i radością, każdy przyjmuje i daje należytą wygodę" (*Athenaeum l. c.*). Niemcy, którzy im więcéj niż Polacy lub Rusini dokuczali, gorzéj też od

mimo tego, osobisty interes niemało mógł wpłynąć, na złagodzenie owego wstrętu; dla tego też kupiec zagraniczny, przywożący do kraju lub z niego wywożący towar, doznawał publicznéj gościnności. Niemało zapewnie przyczyniały się do tego i wyobrażenia religijne: gdyż prawem gościnności opiekowały się bóztwa *Numeja* i *Peskia*, które za zgwałcenie tego prawa, nasyłały powietrze i mór. Ztąd i publiczne drogi (*wieszas kielas*) nad których bezpieczeństwem czuwał bożek *Kelo-dewas*, poświęcone były gościnności krajowéj. Niegodziło się zatém jak stare podania głoszą, nikogo na takiej drodze krzywdzić. Litwini mieli nawet bóztwo osóbne, zwane *Bentis*, trudniące się kojarzeniem przyjaźni między podróżnymi, którzy się przypadkiem spotkali. Mówią wreszcie, że po osadach miejskich były wystawiane domy publicznéj gościnności (*numejone*), gdzie w czasie domowych zaburzeń, znajdował cudzoziemiec schronienie (1). Domy takie może dały początek, późniejszym domom gościnnym, służącym za przytułek kupcom czyli gościom zagranicznym.— Choć nie indywidualna, to przynajmniéj pnbliczna uprzejmość dla obcych, połączona ze wstrętem od naruszenia cudzej własności— czego ślad nam pozostał i w dawnych prawach Pruskich (2) i w statucie Kazimierza Jagiellończyka (3)— były w części powodem, że najmniejszego nieznajdujemy śladu, aby kiedykolwiek nieludzkie prawa brzegowe były w użyciu. Mówię w części, gdyż i inne do tego mogły się przyczynić okoliczności, że się Litwini nieskazili grabieżą własności rozbitków na morzu i rzekach, co jednak w krajach szczególniéj północnéj Europy, między ówcześnemi ludami, wyższéj daleko kultury, a co większa Chrześcijańskiemi, było rzeczą powszechną. Bo najprzód: oddalo-

---

wszystkich innych cudzoziemców uważani byli. Litwin pomny na krzywdy od nich poniesione, a drażniony narodową pychą, w przysłowiach nawet poniżać się starał tych nieprzyjaźnych sobie sąsiadów.

(1) Narbutt, I, 98, 101.

(2) Złodzieja złapanego z licem, za piérwszą kradzież rózgami, za drugą kijem karano. a za trzecią razą psom na pastwę oddawany bywał (*Kraszewski Litwa I. 195*).

(3) Ten Statut lubo złagodził niektóre dawniejsze zwyczaje w postępowaniu ze złodziejem i jego rodziną (o czém obszerniéj na swojém miejscu powiemy), w powszechności jednak wyrzekł: że nad złodziejem litości mieć nienależy— „a nad złodejem miłosti ne nadobie" (*Daniłowicz, Stat. Kazim. Jagiel. Wilno, 1826, str. 15—17*).

nym od brzegów morza, lub małą tylko cząstką kraju Żmujdzkiego do Baltyku zbliżonym, nienastręczała się tak często pokusa naśladowania w téj mierze innych nadmorskich mieszkańców; a powtóre: kiedy się Litewski handel rozwijać i strugi z wicinami Niemnem i Wiliją płody krajowe spławiać zaczęły, własny interes zgodnie z charakterem ludu, doradzał, aby rozbitkom niedziała się krzywda, lecz owszem opieka i pomoc dawane były. Tego prawidła témbardziej trzymać się musieli Litwini, że i na bliższéj Rusi i w Inflantach, a zatém w krajach z któremi Litwa pogańska najczynniejszy mogła prowadzić handel, tego rodzaju grabieże zniesione zostały. Dowód na to mamy w 32m art. traktatu handlowego Mścisława Dawidowicza xięcia Smoleńskiego z Rygą i Gotlandyą r. 1225, gdzie rozbitkom we włościach xiążąt Smoleńskiego, Połockiego i Witebskiego, ratunek zapewniony, tudzież w lokacyjnym przywileju Rygi z r. 1208, ponowionym w bulli papieża Honoryusza III r. 1226, który nazawsze zniósł prawo brzegowe (1). Kiedy więc taką koleją wrodzone niejako uczucie sprawiedliwości dla rozbitów, wsparte jeszcze interesem własnym, przechodziło od naddziadów do póżnych potomków, nic zatém dziwnego, że się nareszcie odbiło i w Statucie, a do tego z takiemiż niemal zastrzeżeniami, jakie w owym artykule traktatu xięcia Smoleńskiego czytamy, o czém na swojém miejscu obszerniej się powie (2).

W liczbie zalet cechujących Litwina, moglibyśmy pomieścić i jego pracowitość—cnotę będącą jednak po części niejako wy-

(1) Zbiór dyplomatów Rumiancowa, I, str 1, 3. Rakowiecki, Prawda Ruska, II, 35, 36. Turgieniew Historica Russiae munimenta.

(2) Zdaje się, że i starzy Prusacy nieodróżniali się w téj mierze od swych braci Litwinów; przynajmniéj Adam Bremeński świadczy o Sembach, że się odznaczali ludzkością i dawaniem pomocy nieszczęśliwym (*de Situ Daniae p. 223*). W Prusiech dopiéro Krzyżacy wprowadzili w użycie niegodne prawa brzegowe, które po przyłączeniu tego kraju do Polski zniósł Kazimiérz Jagiellończyk r. 1452. Niewiemy czy toż samo co o Prusiech możemy powiedzieć o Kuronach i Łotwie: zanadto wielką była pokusa, na burzliwych brzegach téj strony Baltyku, a prócz tego mieli gotowy i tuż obok siebie przykład u sławnych z rozbojów morskich Ezelczyków i innych Liwów, a nawet Szwedów, którzy dopiéro po traktacie z Hanzą, r. 1365, zrzekli się tych barbarzyńskich zysków. Wszakże o bytności podobnego zwyczaju śród Kuronów i Łotwy, historycznego dowodu niemamy, lubo w mowie Litewskiéj nazwa korsarza (*marinnis pleszykkas*) jest znaną.

padkiem koniecznym samego już geograficznego położenia kraju i natury ziemi. W strefie północnéj, w klimacie niewątpliwie od dzisiejszego surowszym i wilgotniejszym, jako w kraju pełnym błót i lasów, gdzie zatém uprawa roli i sprzęt polny niemało troskliwości i trudu wymagały, rolnik (a takim od wieków był Litwin) na próżnowaniu czasu nietrawił, a znojne trudy osładzał śpiewem, co było powszechnym mężczyzn i kobiét zwyczajem (1). Był zatém Litwin, z samej potrzeby, i pracowitym i skrzętnym, bo też niemałe musiał zbierać zapasy, aby śród długiéj zimy głodu niedoznał, a napełniona śpiżarnia i dla jego rodziny i dla miłego gościa, tak w dzień powszedni jak podczas uroczystości wystarczyć mogła. Pracuj a jedz potém (*per tworą kapens, walgens*, dosłównie: przeleź płot nim jeść zaczniesz), bo po pracy miło świętować (*darbus atlikkus smagu szwęsti*): było prawidłem ludu prostego, który w potrzebie i małém kontentować się umiał, idąc za radą przysłowia: mieszkaj jak możesz, jedz na co cię stanie (*gywenk kaip iszgalli, walgik kaip issitenki*). Czy jednak pracowitość do tyla w Litwie ceniono, żeby bezczynny włóczęga aż śmiercią miał być karany, jak o tém wspominają stare prawa Pruskie, na to dowodów niemamy; lecz to pewna, że prawdziwe ubóztwo znajdowało wsparcie.

Litwin skorszym był do czynu niż do wielomówstwa, niełatwo go też było zbadać; a przy małomówności miał tę zaletę, że powierzoną sobie tajemnicę wiernie dochowywał (2). Że był mężnym w boju, na trudy wojenne wytrwałym i w potrzebie umiał gardzić życiem, dowodzić tego niemamy potrzeby: gdyż o tém świadczą i dzieje narodu i zasady jego wiary. Wrodzone męztwo i żądza zdobyczy czyniły go chciwym wojennéj wrzawy, któréj nieraz szukał nawet za granicą kraju, ofiarując swe dzielne ramie jako najemny rycerz xiążętom Ruskim. I niedziw, bo zaprawiwszy się z potrzeby do bojów i bogatych nieraz łupów, tęsknił za obozowém życiem gdy wrócił do domu, gdzie mu ani łowy, ani mała jeszcze gospodarka rolna, a tém mniéj oświata towarzyska, na nizkim jeszcze zostająca stopniu, ani wreszcie gościnne lub religijne biesiady i uroczystości, całego czasu zająć niemogły. Ztąd poszło, że na każde wezwanie do boju, ochoczo dosiadał konia, a często sam z zebraną drużyną na swój rachunek prowadził wojnę, choć w. xiąże był z są-

(1) Gwagnin w opisie Żmudzi.
(2) Długosz, X, 117.

siadami w pokoju, i żył (jak mówiono) z kozactwa (1), niepokojąc szczególniéj pogranicza Prus lub Inflant i oddając wet za wet Niemcom, za rabunki *Strutterów*, którzy podobnémże bawili się kozactwem. Ale te bandy zemstą i chęcią łupów zapalone, były plagą sąsiadów nie zaś własnego kraju: bo nigdzie w dziejach pogańskiéj Litwy niepostrzegamy, żeby takie drużyny nieszanowały w domu cudzéj własności (choć ten zarzut niektórzy im czynią) (2). W niczém niebyły one podobne do owych condottierów, znanych w zachodniéj Europie, a szczególniej we Włoszech, którzy w wieku odrodzenia się nauk, w wieku Petrarchi i Dantego, po skończonéj wyprawie, gdy niebyło takiego coby ich nadal opłacał, prowadzili na swój rachunek wojnę ze swymi sprzymierzeńcami lub własnymi ziomkami, rabowali wsi i miasta, brali jeńców do wykupu, a zdobycz dla przedaży. Takich excesów niedopuszczało się Litewskie kozactwo.— Przy pogrzebie rycerza, czyny jego bohaterskie sławili śpiewem Tulisoni i Lingusoni, a każdy starał się zasłużyć na podobną pochwałę. Takie śpiewy (*pagarba gesme*) niebudowały wprawdzie Chrześcijańskich uszu: papieże niewchodząc w to, że Litwini najczęściéj na zasadzie prawa odwetu srożyli się w wojnie, zarzucali owym bardom pogrzebowym, że chwalą tylko nieboszczyków z popełnionych kradzieży, gwałtów i łupieży (3),— lubo niejednemu komturowi lub rycerzowi Krzyżackiemu podobną piosnkę przy pogrzebie możnaby było zaśpiewać.

Przy tém wszystkiém, był Litwin władzy uległy, do czego już z owych czasów mógł przywyknąć, kiedy ludem rządziła jeszcze zwierzchność duchowna, a rozkazy krewy za Bozkie brano wyroki. Takie przymioty, połączone z zamiłowaniem rodzinnéj ziemi, z wiarą w przeznaczenie i przekonaniem o świętości prawa odwetu za poniesione krzywdy, bardzo były na rękę wodzom Litewskim, którzy po dotkliwych nieraz klęskach, znajdowali zawsze ochocze drużyny do najśmielszych nawet przedsięwzięć, skoro szło o ratunek kraju i wiary, i byli pewni, że tylko ostateczność zmusić może Litewskie rycerstwo do opuszczenia stanowiska jego obronie powierzonego. Rzadkie też były przykłady zdrady ojczystéj sprawy: Drajko, Ger-

(1) Stryjkowski *Goniec cnoty*.
(2) Szajnocha *Jadw. i Jag.* III, 25.
(3) Dogiel *Cod. dypl.* IV, 19: „laudantes mortuos de suis furtis et spoliis, immunditiis et rapinis ac aliis vitiis ac peccatis.“ Voigt *Gesch. Preus.* I, 566.

dyłło, Pelus, Jezbut, Sputu, Swirtyłło, Surwiłłowie i może jeszcze kilku innych, oto cały szereg naźwisk tą hańbą napiętnowanych.— Lecz ta uległość władzy zwierzchniczéj, uczuciem narodowości i zapałem religijnym uszlachetniona, wiele z pierwotnéj swojéj straciła zalety, od czasu gdy xiążęta Litewscy, wzbiwszy się w potęgę przez zabory na Rusi, prawie despotycznie rządzić krajem zaczęli. W radzie xiążęcéj koncentrowała się wprawdzie władza i potęga narodu; lecz w. xiążę gnębił gdy mu się podobało i kniaziów i bojarów feudalizmem skrępowanych, a ci znowu nieoszczędzali swych poddanych do stanu niewolniczego przywiedzonych. Wtenczas to już Litwin bez różnicy stanu okazywał pokorną uległość w każdém zetknięciu się z wyższym od siebie. Gdy w przejeździe wstąpił bojarzyn do chaty wieśniaczéj, już nie prawem gościnności, lecz prawem mocniejszego, kazał sobie wszystko czego potrzebował dostarczać, przywłaszczając sobie prawo stanu czyli stacyi wprzódy wyłącznie w. xięciu służące (1). Nawet obyczajem wschodnim nikt niemógł w sprawie swojéj stanąć przed xięciem lub bojarem, póki przystępu nieokupił jakimkolwiek podarkiem (2). Wprawdzie po r. 1386, uczucie godności człowieka wsparte osobistym interesem, zaczęło się przebudzać: Zygmunt padł ofiarą spisku możnowładców, na którego czele stał Iwan Czartoryski, nie Litwin wszakże, lecz Ruskiego rodu xiążę; ale naród w powszechności uległ bezwarunkowemu posłuszeństwu i o buntach niemyślał, bo zaledwo o jedném podobném zdarzeniu wspominają dzieje pod r. 1483-m (3). Niesądzę zatém żeby to miało być zmyśleniem, co Eneasz Silvius i niemal spółcześny nasz dziejopis Długosz, o doraźnych sądach Witolda wspominają, na którego jakoby rozkaz winny bez najmniéjszego wahania się sam siebie obwieszał (4).

Tak było na Litwie; lecz co się tyczy Żmujdzi, tam z wielu względów inny był stan rzeczy. Żmujdź, to przedmurze Litwy od strony rycerzy Niemieckich, a nieraz jednak od swych braci opuszczana, wyrobiła u siebie cokolwiek odmienny cha-

---

(1) Herberstein de Lithvania w Pistor. Corpus I, 154.

(2) Długosz XI, 659. Łasicki de Samog. 46. Gwagnin w Pistor. Corp. I, 46. Herberstein l. c.

(3) Narbutt I. 54.

(4) Eneasz Silvius, w Pistor. Pol. hist. corpus I, 2. Długosz Histor. XI, 217.

rakter ludu. W krwawych walkach z Zakonem, potrzeba wzajemnéj pomocy, obok dawnego zapewnie obyczaju, więcéj tu stany do siebie zbliżyła, i to też było powodem, że się tam więcéj do demokratycznych instytucyj rozwinęło skłonności, a co za tém idzie, że lud nieuległ takiemu jak na Litwie poniżeniu. I Żmujdzin był swojéj władzy posłuszny, dłużéj nawet niż Litwin, gdyż do XV wieku ulegał wpływowi krewów; lecz przy tém wszystkiém nieslracił całkowicie swobody, owszem dochował ją po większéj części aż do ostatnich czasów, i niewiele dbał o nowotworzącą się wzorem Polskim szlachtę, któréj w szlachetniejszych uczuciach nieustępował, a dobrém mieniem nieraz o wiele ją przewyższał (1).

Jak każdego narodu charakter, tak również i Litwinów ma swą dodatnią i ujemną stronę. Piérwszą, ile można było, staraliśmy się już poznać; przejdźmy teraz do drugiéj. Trzy główne w Litwinach upatrywano wady: lekkomyślność, żądzę zemsty i skłonność do pijaństwa. O lekkomyślność posądzali Krzyżacy szczególniéj Żmujdzinów, jak się to pokazuje z listu pewnego starosty Krzyżackiego w r. 1406 do w. mistrza pisanego (2). Ale przypomnijmy sobie, dla czego tę wadę przypisywano wówczas Żmujdzinom, których opanować tak gorąco pragnęli Krzyżacy. Żmujdź bowiem niemogąc żadną miarą przywyknąć do Niemieckiego jarzma, mimo zachęceń i przykładu niektórych ziomków swoich, przy każdéj zręczności usiłowała go pozbyć się. Możeby słuszniéj można było wielu członków rodu xiążęcego o lekkomyślność obwiniać, zważając z jaką łatwością zmieniali Chrześcijańskie wyznania, lubo i temu dziwić się nietrzeba, pomnąć na to: że w przejściu od nadwątlonéj staréj do nowéj dobrze jeszcze niepoznanéj wiary,

---

(1) Wyżéj przywiedziony x. Bagiński, w swcim opisie Żmujdzi między innemi powiada: „Poddaństwo Żmujdzkie jest wolne, wolno mu przechodzić od jednego do drugiego pana, aby tylko na swoje miejsce wprowadził innego. Są bogaci, mają obory znaczne, pola wiele trzymają, lnu podostatkiem zasiewają, a ztąd pięknie się i bogato stroją, żony u siebie w bławaty ubierają, *a czasem i na sejmikach znajdują się*. . . Szlachta Żmujdzka, prócz wielkich panów, wielce uboga, drobna i niemanierna; prostota ich we wszystkich czynnościach, zdaniach, obcowaniach, tak upośledziła, że ledwo po szerpetynie poznać, że on szlachcic. Najwięcéj ich na gruncie którego pana mieszka i czyńsz opłaca roczny. (*Athen. 1845, zesz. IV*).

(2) Voigt. Gesch. Preus. VI, 354: „leichtfertigen Sinnes, heute jo, morgen nein“.

trudno byłoby od nich żądać religijnéj stałości, témbardziéj, że nieraz i polityczne widoki silny swój wpływ na owe zmiany wywierać mogły. Wreszcie chociażbyśmy im pewien stopień trzpiotowatości z tego powodu przyznali, że z taką łatwością zmieniali wyznania, a z większą jeszcze pochopnością przyjmowali obcą narodowość i cudzoziemszczyznę, niegodzi się téj wady nazywać „plemienną“ (1): boć lud prosty dowiódł, że w jedném i drugiém większą stałość od swych panów okazał. Obyczaje dworu niezawsze mogą być obrazem obyczajów ludu, między którym mało było przeniewierców sprawie ojczystéj. Co się tyczy następnych dwóch wad zarzucanych Litwinom, t. j. żądzy zemsty i skłonności do pijaństwa, słuszną czyni uwagę p. Kraszewski: że jeżeli na owe wady nie z dzisiejszego zapatrywać się będziemy stanowiska, lecz się przeniesiemy do owych odległych wieków, do wyobrażeń wówczas panujących, które z wiarą i obyczajami przeniknęły naturę Litwy, kto wie czy te wady rzeczywiście wadami wypadałoby nazywać (2). Ale weźmy tę rzecz pod bliższy rozbiór. Mówiliśmy już wyżéj, że Litwin z natury niebył srogim, lecz niemożna twierdzić, żeby niebył mściwym. Uczucie zemsty wypływało z jego pogańskich wyobrażeń tak dalece, że poczytywałby sobie za grzech, za ostatnią hańbę, gdyby poniósłszy krzywdę lub zniewagę, nieużył prawa odwetu. Skutkiem takiego przekonania, publiczne zwłaszcza krzywdy i to szczególniéj Niemcom, jako śmiertelnym wrogom swoim, odpłacał z lichwą. Lecz gdyby sroga zemsta była mu wrodzoną, toćby podobnie postępować musiał szerząc swoje zabory na Rusi; tego jednak tam niebyło: bo chociaż bez klęsk, jak w każdéj wojnie, obejść się niemogło, lecz brańców niemęczono, niepalono żywcem. Iłgów Żmujdzkich niewyprawiano Rusinom. Obok politycznéj, skorym był Litwin i do zemsty prywatnéj; lecz w tym razie winny znajdował schronienie w gajach świętych i u stóp ołtarzy, gdzie zapewnie musiał następować układ między stronami: przynajmniéj nówsi badacze przypuszczają bytność tego rodzaju azylów na Litwie, lubo jasnych na to dowodów niemamy (3). Co się tyczy pijaństwa, wada ta była wspólną niemal wszystkim narodom północy; lecz skłonność Litwina do odurzania się miodem, piwem, a w dawniejszych jeszcze czasach może i fermentowaném mlekiem klaczy, niebyła nałogiem codziennym Karczem

(1) Szajnocha, *Jadw. i Jagieł.* I, 261.
(2) Kraszewski, *Litwa* I, 213.
(3) Narbutt I, 217; III, 514.

i gospód, w którychby wieśniak dniem i nocą zdrowie i mienie swoje marnował, jeszcze wówczas na Litwie nieznano, albo były bardzo rzadkie i to chyba tylko po osadach miejskich. Jeżeli więc przebierał miarę w napojach, zdarzało się to tylko peryodycznie, podczas uroczystości powszechnych narodowych lub familijnych, albo też gdy przyjmowano gościa. Takie uroczystości i biesiady, na których podochocony trunkiem zapominał oraz i o biedzie doczesnego życia, były po części i odpoczynkiem po znojnéj pracy, i pokrzepieniem ciała, skrzepłego nieraz od chłodu i wilgoci, i co największa najdogodniejszą porą do okazania krewnym, przyjaciołom i sąsiadom szczeréj gościnności. Mówimy tu o całym w powszechności narodzie, więcéj mając na uwadze lud prosty niżeli panów, bojarów, lubo i o tych przesadzone jak się nam zdaje podano w téj mierze opisy. Czyliż bowiem podobna przypuszczać, aby bojarzyn Litewski, połowę życia trawił wyłącznie szukając tylko łupu, a drugą połowę jedynie na pijaństwie? żeby codzień tylko do południa był trzezwym, a potém do północy przesycał się jadłem i zalewał napojem? słowem, żeby pił i pił bez końca przez całą połowę swego pogańskiego życia? (1). Nieprzeczę, że Litwin dogadzając wrodzonéj uprzejmości swojéj, rad był gościom chociażby najliczniejszym, że się bratał z nimi obowiązkowym przypitkiem, za który należało niezawodną wywzajemnić się ręką, że zachęcał do picia prośbami, naleganiem, a nawet obietnicą podarków; że niejeden z gości musiał doznać skutków przesytu, że wreszcie krzepkie Litwinki chętnie do biesiadnego mięszały się koła (2);— lecz wszędzie tu mowa tylko o biesiadach, które wszakże nie codzień, lecz przy zdarzonéj jedynie okoliczności mogły mieć miejsce. Serdeczna więc tylko gościnność Litewska, któréj oględniejsi niepojmowali sąsiedzi, chociaż jéj może nieraz sami doznali, a w nagrodę hojnego przyjęcia oczerniali gospodarza— ta mówię gościnność dała powód jednemu z najnówszych a z innych miar wielce zasłużonemu pisarzowi naszemu, do zbytecznego osławienia Litwinów, do zamienienia całego ich kraju w ohydny przytułek rozpusty pijackiéj, a całego ludu w kapłanów Ragutysa (3)

---

(1) Voigt *Gesch. Preus.* I, 547. Wapowski *Dzieje*, przekł. p. Malinowskiego, I, 82. Miechowita, *de Sarmatia* u Pistor. I, 147.

(2) Voigt. i Wapowski ll. cc. Długosz *Hist.* X, 117: „in ebrietatem ipsae pronae". Łasicki *de Samogi.* p. 51: „nam et feminae bibaces sunt".

(3) Szajnocha, *Jadw. i Jagiełło*, III, 27, 28.

Takie twierdzenie jest widocznie błędne, bo zanadto ogólne. Niemamyć i my zamiaru chwalić Litwinów, za ich zbyteczne w biesiadach zamiłowanie ze zbytniéj gościnności wynikłe; za chwytanie każdego zdarzenia, jakie się tylko w życiu nasunąć mogło, do zaspokojenia téj skłonności;— niegodzi się jednak tak bezwyjątkowo twierdzić: że każdy Litwin był nałogowym pijakiem, kiedy przeciwnie dzieje świadczą, że w wyższych nawet warstwach społeczności, znajdowały się osoby, które żadnych odurzających nieużywały napojów. Tak piszą latopiscy Ruscy o Olgierdzie, toż samo powiedzieć możemy o Jagielle i późniejszych Jagiellończykach Kazimierzu, Zygmuncie (1), a wstrzemięźliwość xiążąt mogła być wzorem i dla innych, o których niewiemy. Wstrzemięźliwość taka niewynikała zapewnie jedynie z obawy, aby z napojem niepołknąć trucizny (2); boć na ten przypadek służyła raz nazawsze przyjęta zasada: iż ktokolwiek z jednego z kim pije dzbana, sam piérwszą wypijać musiał szklanicę (3). Gdyby więc z natury niebyli wstrzemięźliwymi, ale tylko z obawy, przy podobnéj ostróżności niejeden z nich wrodzonéj chęci tamyby niestawiał, tego jednak niebyło. Wreszcie czyliż tylko w napoju mogła być zadana trucizna? Pokarmy zarówno służyć do tego mogły, zwłaszcza kiedy pijatykę wynagradzano sobie ucztami (4). Lecz jakby niedość było na tém, że ochotę biesiadną przyjęto za zwyczajny tryb życia Litwinów i zrobiono z nich *koronnych* jak mówią na Litwie pijaków,— trzebaż jeszcze było dodać: że jak Niemcy, zawołani nieprzyjaciele wody, zarazili Litwinów pijaństwem, tak ci znowu od siebie nałogiem tym obdarzyli Polskę (5), zapomniawszy nawet o tém, że w Polsce, nim się jeszcze z Litwą zbratała, w biesiadach i trunkach zarówno męzkie jak żeńskie pokolenie wielce smakowało (6), i że o szlachcie ówczesnéj nawet źródła praw świadczą, jak się zapijała z kmieciami po obcych i swoich karczmach (7). Nacóż więc rzucać było potwarz na Litwinów, kiedy mistrzów do wypitéj mogli mieć Polacy w swoich osadnikach Niemieckich, którzy

---

(1) Miechowita— Jadocus Decius u Pistor. Corp. II, 224, 500
(2) Szajnocha l. c. III. 31.
(3) Tenże l. c. III, 132, odwołuje się do Długosza Histor. X, 142.
(4) Długosz *Hist.* XI, 648.
(5) Szajnocha l. c. I, 333.
(6) Tenże l. c. II. 280.
(7) Kalimach w życiu Grzegorza z Sanoka w Wiszniewskiego *Pomn. histor.* IV, 67. Bandtkie *Jus Polon.* 200.

tak byli do częstych libacyj nawykli, że nieraz pod jednym dachem mieścili i swój Magdeburski trybunał sprawiedliwości i browar z szynkownią (1).

Poznawszy, choć w ogólnych rysach, charakter ludu, zobaczmy jeszcze co o jego cywilizacyi z czasów pogańskich da się powiedzieć.— Zdaniem p. Narbutta, Litwini w odległéj starożytności, na wyższym nierównie mieli zostawać stopniu kultury niż się okazali w epoce, gdy ich Normandowie, Słowianie i Niemcy bliżéj poznali. Dziejopis nasz na poparcie twierdzenia upatruje dowody i w owém mniemaném ich pochodzeniu od Budynów i Gelonów, i w wyobrażeniach religijnych, właściwych tylko ludowi, który się otrząsł z grubego barbarzyństwa, i w gramatycznéj mowie, mieszczącéj w sobie cechy dawniejszego wykształcenia, i wreszcie w odwieczném przywiązaniu do zatrudnień rolniczych, leśnéj lub stepowéj dziczy nie znanych, a będących zawsze źródłem wielu towarzyskich porządków. Jeżeli zaś w czasach historycznych niezbyt korzystnie okazali się pod względem oświaty, uważa to za skutek ciągłych najezdniczych wojen srogich sąsiadów, które lubo nieprzytłumiły do szczętu wszystkiego co było dobrém w narodzie, zatarły jednak pierwotną jego kulturę (2). Z przytoczonych dowodów, najważniéjszym jest zapewnie poczerpnięty z poznania natury mowy Litewskiéj, gdyż rzeczywiście z tego źródła powziąć można wyobrażenie: o obyczajach, domowém życiu, o pojęciach moralnych i religijnych, nawet o filozofii narodu, słowem o stopniu jego kultury;—ale mowa, ten żywy świadek, równe może światło rzuca na przedhistoryczne jak i na późniejsze wieki, kto wie nawet czy tylko nie więcéj dla ostatnich z niéj wyciągnąć możemy, pomnąc na to, że się ona z pomnożeniem wyobrażeń kształci i wzbogaca, choćby nawet obce dla siebie przyjmowała pierwiastki. Wypadałoby więc innych jeszcze szukać dowodów, na okazanie, że Litwini mieli kiedyś wyższą kulturę. Najlepiéjby nam posłużyły do tego pomniki sztuki, dochowane choćby w szczątkach: bo gdzie sztuki znajdują przytułek, tam już i pewnego stopnia cywilizacyi domyślać się godzi. Podobno jednak i na tém polu daremne będą nasze śledzenia, przynajmniéj takiemi były one dotychczas. Cóż bowiem w téj mierze zasługuje na wspomnienie? Czy ów bałwan niekształtny Ragutysa widziany w Me-

---

(1) Szajnocha l. c. I, 105.
(2) Narbutt, II, 207; III, 14, 17.

reczu, lub Kukowajtysa opisany przez Stryjkowskiego (1)? czy odkryte posążki bronzowe wątpliwego znaczenia i pochodzenia? czy z grobów wydobyte szczątki różnych narzędzi, oręży i ozdób niewieścich, które przynajmniéj w większéj części niebyły wyrobem miejscowym, lecz drogą handlu lub jako zdobycz zabłąkały się do Litwy? czy wreszcie owe ołtarze ofiarne, śród poświęconych gajów lub na górach pod gołém niebem wznoszone? Wszystko to przedstawia nam obraz największéj prostoty i dzieciństwa sztuki, a prawie niczém jest w porównaniu *np.* do ozdób świątyń Trygłowa w Szczecinie lub Radegasta w Retrze, które do tyla upiększone były malowidłem i rzeźbą, że współcześni, wyższego nawet ukształcenia Chrześcijanie nad wytworem sztuki dziwić się mieli, (2). Lecz jeżeli unikając błędnych wniosków na domysłach opartych, nie mogliśmy się zgodzić z naszym dziejopisem, na jakąś wyższą w starożytnych czasach kulturę Litwinów, uważanych w ich siedzibach dzisiejszych, gdyż niesięgamy do kolebki narodu; niemniéj trudno nam przystać i na drugie jego twierdzenie: jakoby ten naród od momentu bliższego zetknięcia się z sąsiedniemi ludami, w kulturze swojéj nie naprzód, lecz wstecz miał cofać się. Taki fakt jest niepobieństwem w dziejach, a przynajmniéj niepodobnym w położeniu ówczesném Litwinów: każdy bowiem, jak się nam zdaje zgodzi się na to, że przez samo ocieranie się z obcymi, a tém bardziéj z Chrześcijańskimi sąsiadami, niejedna nowa myśl, niejedno nowe przybyło do Litwy wyobrażenie, które dodawszy więcéj sprężystości wewnętrznemu życiu, na rozwijanie się cywilizacyi, nie zaś na jéj stagnacyę,

(2) Stryjkowski *Kron.* str. 239.

(3) Sefried kronikarz, towarzysz św. Ottona Bamberskiego, apostoła Pomorzan, i Ditmar Merseburgski.—Tak sądzę podług tego, co dodziś-dnia o sztukach na Litwie wiemy. Może jednak dzieło p Kraszewskiego, które ma wyjść pod tytułem: *Sztuka u Słowian, szczególniéj w Polsce i Litwie przedchrześcijańskiéj*, złagodzi w téj mierze moje mniemanie, jeżeli szanowny autor będzie miał sposobność i o Litwie co nowego powiedzieć. Może też z czasem i prace Komissyi archeologicznéj Wileńskiéj nowe światło na ten przedmiot rzucić potrafią, zwłaszcza kiedy pomnożone zbiory Muzeum, znajdą takiego, co przy ich pomocy jaśniéj niż my dotąd przeszłość Litwy zrozumie i w złomkach i okruchach kamieni, miedzi lub żelaza, które niegdyś były narzędziem obrony, przedmiotem przemysłu, kunsztu lub ozdoby, dopatrzywszy owéj zaginionéj cywilizacyi ślady, zmarłą przeszłość nam uobecni. Ze wszystkimi miłośnikami rzeczy ojczystych podzielamy te pia desideria.

lub zgoła kierunek wsteczny, koniecznie wpłynąć musiały. A stosunki z obcymi były bardzo częste, nietylko xiążąt, ale i prostego ludu, z którego niejeden, zagnany jako braniec wojenny do Prus lub Inflant, przez wymianę lub inny jaki środek wracając do kraju, opowiadał rodakom co widział lub słyszał, i udzielał im użytecznych wiadomości, jakich się sam w obczyźnie nauczył. Tenże pożytek miała Litwa z brańców w niewoli u siebie trzymanych. A wieleż to dobrego ziarna rozrzucić musieli owi apostołowie wiary Chrześcijańskiéj, którzy zrazu nieśmiało i prawie kryjomo, lecz za Mendoga, Gedymina i Olgierda, otwarcie głosili prawdy dotąd w kraju nieznane, już wedle nauki wschodniego, już zachodniego kościoła i sami z siebie dawali przykład nowych moralności zasad. Tak więc śmiało twierdzić możemy, że cywilizacya Litwy nie wstecz, ale naprzód postępować musiała.

Że obce wpływy oddawna już swe skutki na Litwę wywierać mogły, żadnéj w tém niemasz wątpliwości. Prócz Gotów przebywali w Litwie jakiś czas Cymbry, Alanie (1) i inne jeszcze mniej znane ludy. Trudno już wprawdzie dopatrzyć dzisiaj, co od nich przyjąć mogli tubylce; zawsze jednak godzi się przypuszczać, że się cóśkolwiek niezawsze złego, ale i dobrego po nich na miejscu zostać musiało. Lecz nierówno trwalsze po sobie ślady zostawiły na Litwie plemiona Gotyckie, zna-

---

(1) Może niewłaściwie oddzielamy Alanów od Gotów, kiedy dawniejsze i nówsze świadectwa każą nam ich za plemie Gockie uważać. Pominąwszy to, że podług Herodota i Ammijana Marcellina, obyczaje ich bardzo miały być podobne do obyczajów ludów Germańskich, już Prokopius (Vandale) i Jornandes (c. 50, 60), uczą nas, że ich za braci Gotów miano. Bliższą jeszcze wspólność z Gotami wskazują Oryentalni geografowie, którzy Alanów nazywają, *Azami Histoire des Mogols*, *T. I, 699*): gdyż właśnie Gotowie wyprowadzają swój początek od Odyna i jego Azów. Toż samo stwierdzają, i późniejsi podróżnicy. *Plan de Carpin*, który zwiedzał ich siedziby r. 1246, nazywa ich także Azami; a Weneczanin *Józefat Barbaro* znajduje ich jeszcze r. 1436, i mówi, że ludy zwane Alanami, w swojéj mówie mianują siebie *As*. „I popoli detti Alani, li queli nella lor lingua se chiamano As (*Gejer Svea Rikes Hoefder*, *372*. *Ozanom Etudes Germaniques*, *20*). Przez cały ciąg wieków średnich widzimy Alanów u stop Kaukazu *Stritter Memoriae popul. T. I, c. 4*); a podług *Klaprotha* potomkami Alanów mają być *Ossety*, dotąd na Kaukazie mieszkający (*cf. Kraszewski*, *Litwa*, *str. 54 — 61*).

nane, później pod imieniem Skandynawów, Normandów, Waragów. Ludy te już od piérwszych wieków naszéj ery, jako kupcy lub piraci morscy, zaczęli z orężem w ręku zwiedzać pobrzeża Baltyckiego morza, i w dogodniejszych dla siebie miejscach przemocą osiadać. Z tych to naprędce założonych handlowo-rozbojniczych stanowisk, zwyczajną drogą dla wszystkich od morza do Litwy przybyszów, to jest biegiem rzek zapuszczając się coraz daléj w głąb kraju i osiadłszy nareszcie w warownych gródkach, panowanie swoje w tych stronach powoli rozszerzać zaczęli. Tym sposobem spokojny — bo takim jeszcze był wówczas tutejszy mieszkaniec — żadnego, lub niewielki czyniąc opór, uległ burzliwym i awanturniczym Normandom. Zwierzchnictwo ich przemocą nabyte, stopniami się ustaliło, ale z przenarodowieniem samychże najezdców. Łącząc się coraz ściślejszym węzłem z krajowcami przez zawierane małżeństwa i przyjąwszy z czasem język, obyczaj a nawet wiarę kraju, nie bez przymięszania własnych do niéj wyobrażeń, zatarli wreszcie cechy swojego pochodzenia i mniejsi liczbą musieli się zlać w massę narodu, niestraciwszy wszakże raz nabytéj przewagi. Owszem przez związki familijne podnieśli nawet znaczenie znamienitszych rodzin miejscowych, a zaszczepiwszy w potomków swoich hart duszy, męztwo i odwagę właściwą Normandom, przelali te przymioty charakteru w późniejszych kunigasów i bojarów Litwy i Żmujdzi. Że z takich dwóch różnorodnych pierwiastków złożyła się wyższa klassa narodu, rzeczą jest niezawodną: bo jeżeli nie co więcéj, to już same nazwiska dawane osobom, są tego dowodem, gdyż obok prawdziwie Litewskich niemało znajdziemy i takich, które samém brzmieniem zdradzają widocznie Normandzkie pochodzenie swoje; — nawet w przysłowiu: „*Letuwninkam's prie raumens, o Kunigam's prie kaulelu*“, t. j. dla Litwinów mięso, dla kunigasów kości, — zachowała się pamięć dwóch narodowości i pierwotnéj niechęci, ku najeźdcom, których nawet Litwinami nazwać niechciano. Jeżeli przeto zgodzimy się na to, że Normandowie ze swemi drużynami mogli i musieli silnie wstrząsnąć mieszkańców Litwy w ich życiu domowém, a nawet politycznem, ich zatém wpływ i na cywilizacyę ludu aż pod koniec X wieku, musiał być również niemały. Co mianowicie Normandzkiego, mogło pozostać w Litwie, na to we właściwych miejscach zwrócimy naszę uwagę.

Po Normandach silniéj jeszcze Ruś na Litwę wpłynęła, a to od czasu gdy Litwini zrzuciwszy z siebie danniczą Ruskim kniaziom uległość, sami ich kraje napadać, a niebawem i trwałe

w nich zabory czynić poczęli. Odtąd przez coraz czynniejszy handel z Rusią, przez stosunki pokrewieństwa rodów xiążęcych z domami xiążąt Ruskich, przez ciągłe w ich sprawy mięszanie się i długoczasowy nieraz na Rusi pobyt, nie już pojedyńczych osób ale całych drużyn wojowników Litewskich, oswajali się zaborcy z obyczajem, mową, prawami a nawet wiarą zhołdowanego, a liczniejszego od siebie narodu. Takie bratanie się z Rusią silnie się odbiło w kulturze, w socyalnych porządkach, prawodawstwie i feudalizmie Litewskim,— co wszystko przedmiotem będzie osóbnych roztrząsań.

Śród takiego kojarzenia się z Rusią, zaszło starcie się Litwy z Polską i rycerstwem Niemieckiém. Bój toczony z Polską, o zabory Ruskie, a z Mieczowcami i Krzyżakami o wiarę, niepodległość i byt polityczny; potém traktaty i różne znoszenia się sięgające nawet głębszego Zachodu (1); daléj pobyt brańców lub zbiegów Krzyżackich wLitwie, a Litwinów w Prusiech i missye Chrześcijańskie, o czém jużeśmy wyżéj wspomnieli (2);

---

(1) Pominąwszy znoszenia się Gedymina z Rzymem, Zakonami duchownemi i miastami Hanzy, świeższych na to dowodów dostarczają nam czasy Olgierda i Kejstuta. Xiążęta ci miewali styczność i ze stolicą apostolską w Awenijonie, dokąd z Litwy pisma ze skargami na Krzyżaków wysyłano (*Narbutt. IV, dod. XIV*; i z cesarzem Niemieckim Karolem IV, z którym traktował Kejstut będący na czele poselstwa i któremu z Litwy w pomoc przeciw hrabiemu Wirtemberskiemu, zbrojne aż nad Ren wyprawiano posiłki (*Narbutt, V, 88, 96*); nawet z Angliją r. 1342 handlowy zawarto traktat z zastrzeżeniem swobodnego kupcom Angielskim i Litewskim wyjazdu z kraju (*Czacki I, 60*).

(2) W dziejach liczne dochowały się wzmianki o pobycie Litwinów w krajach Krzyżackich, już jako zbiegów podczas wewnętrznych zamieszek, już jako zakładników szczególniéj ze Żmujdzi przez Zakon zabieranych, już wreszcie jako brańców wojennych. Ale również los wojny lub zajścia z władzą swoją, sprowadzały nieraz i Krzyżaków na dłuższy pobyt do Litwy. Jak zatém Litwini w Prusiech lub Inflantach, przypatrywać się mogli, porządkom i obyczajom, ukształconego podówczas świata; tak również rycerze Niemieccy, czy to jako brańcy wojenni, czy też apostaci swojego zakonu, o których nie w jednym traktacie z Krzyżakami jest wzmianka, bawiąc w Litwie, wpływali na jéj cywilizacyę, oswajając mianowicie wyższe klassy z obyczajami i wyobrażeniami Zachodniego rycerstwa. Niejeden zapewnie z tych Niemieckich przybyszów, sprawował obowiązki nietylko pisarza, ale nawet nauczyciela dzieci xiążęcych. Sam Olgierd kształcił się

prócz tego przejazdy przez Litwę kupców, od Baltyku i Wrocławia do w. Nowogrodu i Kijowa (1), lub samychże Litwinów podróże w widokach handlowych do Prus, Inflant i Mazowsza; wreszcie spokrewnienie się z dworem Polskim i xiążętami Mazowieckimi (2): nastręczały wielokrótną zręczność, do bliższego przypatrzenia się krajom i ludziom, na wyższym stopniu kultury będącym, i stopniowo oswajały Litwę z ich oświatą i obyczajami, mimo oporu ze strony stróżów jéj wiary, którym nowości do kraju wprowadzane rychłym groziły upadkiem. Przy zbiegu takich okoliczności, wpływ Rusi zwolna słabnąć musiał, póki wreszcie przewagą wpływu Polskiego niemal zupełnie stłumionym niezostał.

Niesądźmy jednak żeby cywilizacya zachodu wskazanemi wyżéj drogami wciskając się do Litwy, tchnieniem swojém i siedziby gminu owionąć miała, choć może pośrednio usposobiła lud prosty do łatwiejszego przyjęcia religijnéj reformy, w czém jednak i Ruś ma swą cząstkę zasługi. Cywilizacya ta, gościnny zrazu przytułek znalazła jedynie na dworze xiążęcym, a potém u tych może, którzy w bliższych z dworem zostawali stosunkach. Lecz i to było już wiele, gdyż tą drogą świadomość cywilizacyi Europejskiéj i chęć jéj naśladowania coraz się bardziéj objawiać w Litwie zaczęła. Dwór Olgierda i Kejstuta świetnością i Chrześcijańsko-rycerskim polorem, już się prawie nieróżnił od innych dworów zagranicznych xiążąt. Sama troskliwość o lepsze wychowanie dzieci, już przez Gedymina okazywana, pokazuje pojęcie potrzeby, wyższéj odpowiedniéj rodowi oświaty. Tylko w życiu dam dworskich, więcéj odosobnionych od świata, postrzegamy jeszcze Wschodnio-Ruski obyczaj; dla tego też żona Olgierda, gdy jéj małżonek i pan w obozie dni pędził, zamykała się w swoich komnatach i niebyła widzialną. Wprawdzie tenże Olgierd jeszcze bogom swoim

---

w swojéj młodości pod kierunkiem młodego Krzyżaka do niewoli wziętego, i od niego to może nauczył się swéj rycerskości zachodniéj, która go tak odznaczała w czasach późniejszych (*Narbutt IV, 612; V, 236*).

(1) Voigt. Gesch. Preus V, 556; VI, 139, 311.

(2) Wiadomo, że córki Gedymina: Aldona wydaną została za Kazimierza Łokietkowicza, a Marya i Domiłła za Bolesława Mazowiecko-Halickiego i Wańka Płockiego. Podobnież córkę Olgierda Alexandrę poślubił Ziemowit xiążę Mazowiecki; a córki Kejstuta: Annę-Danutę pojął w małżeństwo Jan, Ryngalę zaś Henryk, również Mazowieccy xiążęta.

składał ofiary; ale to wcale nieprzeszkadzało żonie jego Maryi zająć się z gorliwością Chrześcijańskiém wykształceniem synów i córek, jak nas o tém naoczny zapewnia świadek (1).

Takie są ogólne nasze uwagi tyczące się kraju i ludu Litewskiego; taki był charakter i kultura Litwinów w ostatniéj zwłaszcza ich pogaństwa epoce; a ktokolwiek zechce to wszystko bezstronnie rozważyć, niepowtórzy zapewnie z kronikarzami i z tymi co im zbyt zawierzyli: że Litwę przed przyjęciem Chrześcijańskiéj wiary, zamieszkiwał dziki barbarzyński naród, na polarne mrozy i dwumiesięczne lato wskazany. Lepiéj jeszcze przekonamy się o tém, jak dalece błądzono, przypatrzywszy się bliżéj domowemu i socyalnemu życiu Litwinów.

Bielsk Podlaski
d. 20 maja v. s. 1858 r.

---

(1) U Narbutta, V, 237.

JÓZEF SAPIEHA,

PRZEZ

JULIJANA BARTOSZEWICZA.

Bar dziwnych sobie dobierał regimentarzy, choćby naprzykład wziąć Józefa Sapiehę.

Sapieha ten służył w wojsku narodowém; alež podówczas któż w niém niesłużył? kto z panów niemiał w wojsku chorągwi? Mimo to, niepostał nigdy na wojnie, prochu niewąchał i dowodzićby niepotrafił nawet chorągwią, a cóż dopiéro wojskiem całem? cóż dopiero niesforném pospolitém ruszeniem szlachty? Służba wojenna podówczas była dla parady, dla musztry na placu, dla konsystencyi trybunałowi lub hetmanowi, i o niczem inném nikt niemyślał. Bywało przed laty, że cały naród szlachecki szedł na bój, i wtedy to powiadano, że co Polak, to hetman. Ale wtedy jeszcze kiedy sztuka wojenna zasadzała się na samém męztwie wojska, na pojedyńczéj dzielności żołnierza; tymczasem, skutkiém wielkich zwycięztw sławnych w historyi i wielkich wodzów, sztuka wojenna niezmierny zrobiła postęp i stała się nauką jak inne. W XVIII wieku nic już poradzić niemogły nasze pospolite ruszenia, acz ogromne mniejszemu liczbą, ale za to sprawnemu i rządnemu nieprzyjacielowi. Był to jednakże pospolity obłęd, w którym grzęzła Polska, że szlachta poradzi wojnie i że piérwszy lepszy rotmistrz, półkownik, namiestnik, może być regimentarzem w konfederacyi. Duch wojenny, siła i sprawność rycerska, tak się już ulotniły z narodu, że hetman sam mało co umiał. Na to jednak wcale niezważano, każdy szlachcic miał się za hetmana i bez skrupułu sięgał po buławę; témbardziéj szlachcic krwi i naźwiska hetmańskiego, jaki tam np. Potocki, Ogiński, Sapieha. Nieład staropolski panował we wszystkiém.

Józef Sapieha, acz sam wojewodzic Mścisławski, był bratem rodzonym Jana Sapiehy, którego szczególniéj wojewodzicem Mścisławskim nazywano. A raczéj nie ten Jan tyle był sławny, co żona jego, z domu Elżbieta Branecka, znakomita pięknością, dowcipem, obrótem i zalotnością za czasów Stanisława-Augusta. Cały świat wielki kochał się podówczas w wojewodzicowéj, dla któréj jedynie służył utarty już i prawny historyczny tytuł: *wojewodzicowéj Mscisławskiéj*. Mąż tylko przez nię znany jest w dziejach. Męża tego blizkie stosunki rodzinne łączyły z Krasickimi, gdyż miał matkę z domu kasztelankę chełmską Krasicką, rodzoną ciotkę xięcia biskupa Warmińskiego. Ztąd i w dziełach Krasickiego częste są wzmianki o wojewodzicowéj i listów do niéj kilka. Osoba ta wysoce interesująca w swoim czasie, wywierała wpływ przeważny na losy narodu, od piérwszéj aż do ostatniéj chwili życia, najprzód przez króla kochanka, potém przez hetmana Braneckiego brata swego, wreszcie przez syna, xięcia Kazimierza-Nestora, marszałka sejmu czteroletniego z Litwy.

Młódszym bratem Jana, męża wojewodzicowéj, który umarł bardzo młodo (w roku 1757), był Józef. Żyli obadwaj jeszcze za czasów Niesieckiego, który wspomina w swojéj *Koronie* o nich, a patrząc na młode lata ojca, dodaje: „Prócz tych wielkiéj nadziei potomków, o innych wznieca się dalsza.“ Zgadł Niesiecki jedno, niezgadł drugiego. Potomków przybyło wprawdzie wojewodzie Mścisławskiemu (synowie najmłódsi Xawery i Kajetan); ale ci starsi niespełnili wielkich nadziei dla ojczyzny. Jan młodo umarł; Józef zaś spędził życie sam niewiedział jak i dla czego.

Byli to wszystko synowie Ignacego Sapiehy, najprzód cześnika, potem podskarbiego nadwornego Litewskiego, a potém jeszcze wojewody Mścisławskiego (zmarłego w Różanéj dnia 15 kwietnia 1758 roku), i jak mówiliśmy, Anny Krasickiéj, kasztelanki chełmskiéj, wdowy po Cetnerze, staroście Korytnickim [1]).

Kiedy umarł ojciec, wziął po nim sieroty na swoję porękę rodzony ich stryj, niegdyś pisarz polny Litewski, a późniéj wojewoda Brzeski. Z wojewodzicową nieumiał się godzić, bo jakoś ta pani lgnęła do nowego Stanisławowskiego porządku rze-

---

(1) Sięgając daléj w przeszłość, takie było w prostéj linii pochodzenie tego Sapiehy: Fryderyk, podkomorzy Włodzimierski, zmarły 1626, miał syna Krzysztofa, starostę Oszmiańskiego; Krzysztof Władysława, wojewodę Brzeskiego, zmarłego w 1732; tego syn starszy Karol, także wojewoda Brzeski, młódszy Ignacy, wojewoda Mścisławski.

czy i syna wychowywała pod wpływem nowych wyobrażeń; ale dla Józefa i dla Xawerego, wojewoda był dobrym stryjem, wyrabiał im rangi i poselstwa sejmowe, lubo się niezawsze mu to udawało. W województwie Brzeskiém dobrze już przeważał nie wpływ jego osobisty, ale familii; Sapieżyńskie czasy minęły, a nastawała epoka Flemminga i Sosnowskiego. Człowiek powolny, niedaleko widzący, dał się intrygom powoli oplątać i ztąd kierowali nim stronnicy familii jak chcieli.

W takiém położeniu rzeczy, Józef miał i godności i tytuły od lat prawie dziecinnych; ale wszelakoż ani powagi, ani znaczenia w województwie, tembardziéj w Rzpltéj, nic mu to nienadawało.

Był półkownikiem hussarskim chorągwi królewskiéj w wojsku Litewskiém. Posłem był z Brzeskiego na sejm, zdaje się po raz piérwszy w r. 1761. Zaproponował go szlachcie marszałek nadw. kor. Mniszech, a raczéj z jego polecenia Matuszewicz, stolnik Brzeski, podówczas zwolennik dworu. Szlachta Brzeska go wybrała. Potém stryj popierał Józefa do podczaszowstwa Litewskiego, które zawakowało po Massalskim, i w tym celu aż dwa listy pisał do Mniszcha (30 stycznia i 16 lutego 1763 r.); gdy zaś niedostał podczaszowstwa tego Sapieha, lecz Joachim Potocki, wojewoda Brzeski rozgniewał się mocno i niepojechał na radę senatu, do Warszawy zwoływaną, z powodu sprawy Birona w Kurlandyi, a tłómaczył się późniéj, że spadł z konia i że choruje,

Były to małe tylko nieporozumienia, bo zresztą wszyscy ci Sapiehowie rządzili się tradycyami staroszlacheckiemi i należeli do stronnictwa Saskiego, dworskiego. Należeli do niego i z przywiązania i z interesu i wreszcie dla stosunków familijnych i sąsiedzkich. Jedną z głównych opór tego stronnictwa, był hetman wielki kor. Branicki, blizki ich sąsiad na Podlasiu, i w województwie Brzeskiém. Branicki rodził się z Sapieżanki i siostrę rodzoną miał za Sapiehą, a chociaż to dalsi byli krewni wojewody Brzeskiego i wojewodziców Mścisławskich, przecię zawsze dla takich związków krwi w hetmanie splendor domu swojego uważali i często znosili się z Białymstokiem, tak dalece, że hetmana i Sapiehów tych uważano powszechnie za jedną familiję.

Ztąd w zapasach, które wybuchły po śmierci królewskiéj, wszyscy ci Sapiehowie byli za Branickim. W każdéj konfederacyi jest ich kilku i przez piérwsze dziesięć lat panowania Stanisława-Augusta, Sapiehowie ci są zawsze przeciw niemu.

Józef był posłem na sejm konwokacyjny, i zdaje się, że on to należał do owych siedmiu odważnych posłów, co to sejm z Mokronowskim chcieli zrywać i w tym celu weszli z nim śmiałym krokiem do izby poselskiéj: pomiędzy siedmiu albowiem, był i Sapieha jakiś, ale niewiadomy z imienia. Następnie podpisał sławny manifest hetmański z dnia 7 maja, który tylu senatorów i posłów podpisało. Wędrówkę jednak swoję, na którą się zaraz puścił z hetmanem, wcześniéj od innych skończył Sapieha, gdy już we dwa miesiące po elekcyi, recessował się od manifestu, jako też wszelkich czynności nieprzyiaźnych królowi (w listopadzie 1764 roku).

Posłem Halickim był także na sejmie Czaplica (1766 roku). Obrany tam został komissarzem do komissyi wojskowéj Litewskiéj (29 listopada). W kilka dni późniéj oddał mu król krajczowstwo wiel. Lit., wakans po innym Sapieże, zmarłym na gościnie w Białymstoku (w grudniu). Wyżéj już nieposzedł w Rzplitéj, tylko u szlachty czekała go jeszcze buława regimentarska (1).

Był ten Sapieha żonaty z Teofilą Strzeżysławą Jabłonowską, córką sławnego a uczonego oryginała, xięcia wojewody Nowogródzkiego, który miał także piérwszą żonę Sapieżynę. Teofila była już od lat dziecinnych damą krzyża gwiaździstego, z nominacyi Maryi-Teresy (3 maja 1757 roku). Ojciec dziwak ubiegał się za wszelkiemi dostojnościami ziemskiemi, za xięztwem, senatorstwem, za różnemi orderami, a mianowicie: św. Ducha i św. Huberta, które go błogosławieństwem monarchów na arystokracyę poświęcały,— więc i dla córek wyrabiał w Wiedniu krzyże. Wesele téj xiężniczki z Sapiehą odbyło się roku 1761. W czasie już konfederacyi Barskiéj i zięć Jabłonowskiego otrzymał order św. Huberta (5 kwietnia 1768 roku)

Kiedy się Sapieha porwał do broni przeciw Stanisławowi-Augustowi, rzecz jak dotąd niepewna. Zdaje się, że cicho siedział aż do lata 1769, to jest do czasu, w którym dwaj bracia Puławscy, w celu obudzenia Litwy, posunęli się nagle w tamte strony i zajęli w ostatnich dniach czerwca Brześć-Litewski. Franciszek Puławski zawiązawszy tam piérwszą konfederacyę wojewódzką, odezwał się do tego podobno Sapiehy, że nadszedł czas usprawiedliwienia się obywatelom z dobréj opinii, jakiéj zażywał. Sapieha pobiegł zaraz do Białegostoku, hetman stary rozpłakał się i dał mu wszelkie pełnomocnictwo od siebie, bo

(1) Wiadomości Warszawskie z roku 1766. Był Sapieha w Warszawie od kwietnia do połowy maja 1767.

sam już niezdążał. Barskim właśnie o to chodziło, żeby się hetman za nimi czynem oświadczył, i tutaj to właśnie Sapieha najlepiéj im usłużył. Sam zaś pod zasłoną 120 ludzi, przysłanych od Puławskiego, zebrał 30stu szlachty okolicznéj, wsadził na koń 59ciu huzarów nadwornych, i podniósł. a raczéj przyczynił się do podniesienia konfederacyi w Pińskiém (1).

Z Pińskiego ruszył w powiat Wołkowyski, i tutaj szlachta okrzyknęła do go swoim marszałkiem konfederacyi (2).

Ztamtąd przeniósł się na Żmujdź, dla zrobienia konfederacyi. Taka była w ogóle taktyka wypraw Barskich: każda z nich starała się przeniknąć jak mogła najdaléj i budzić województwa, ziemie, powiaty. Sapieha, widzimy, dosyć był czynnym i szedł tutaj za śladami braci Puławskich i Bierzyńskiego, którzy umieli wszędzie budzić naokoło siebie życie.

Na Żmujdzi, zwłaszcza w ekonomii Szawelskiéj, powstawało chłopstwo i różne wyrabiało historye. Mówią, że majętniejszych włościan, obietnicą nadania swobód, dla zysku swego podbudzali Kossakowscy. Bądź co bądź, takież same poruszenia ludowe miały miejsce i po ekonomijach Grodzieńskich. Józef Sapieha skierował szczególniéj kroki swoje na Żmujdź, w nadziei, że się tam pożywi i sił nabędzie (w lipcu).

Wreszcie przyszło i do zawiązania konfederacyi jeneralnéj Litewskiéj. Marszałkiem ogłoszony Pac, starosta Ziołowski, i na mocy służącéj sobie władzy, Sapiehę, w istocie dosyć zasłużonego w tych ruchawkach Litewskich, mianował regimentarzem jeneralnym.

Niemiał czasu rozwinąć swoich talentów nowy hetman konfederacki: bo kiedy rychło zatém Bierzyński rozbity pod Białymstokiem, Franciszek Puławski zaś pod Łomazami, spłynęli z Litwy w głąb' Rusi Koronnéj, marszałkowie i starszyzna nowych konfederacyj Litewskich, musieli się chronić gdzie kto mógł, a Litwa skazaną była znowu na dwuletnie przymusowe milczenie.

Groza wojenna nieszczędziła rozbitków. Dobra Sapiehy zrujnowane, z temi i Paszuki, wieś półkownika Kropińskiego, uległa nieszczęściu. Zdaje się, że Kropiński w ciągu całéj téj wyprawy Sapiehy, służył mu jako stary przyjaciel domu. Odtąd przyczepił się do losów regimentarza, i kiedy inni, szczę-

---

(1) Stanisław Kaczkowski, str. 136.

(2) Marszałkiem Wołkowyskim był już dobrze wprzód przed sierpniem 1769, kiedy o tém jego marszałkowstwie piérwszy raz znajdujemy wzmianki.

śliwsi, dostawali się do jeneralności na Węgry, im obudwom, Sapieże i Kropińskiemu, udało się przed zemstą schronić się na zupełnie przeciwny koniec Rzplitéj, bo aż do Gdańska (1).

Nowa jeneralność zawiązująca się w Białéj, na któréj czele stanął z urzędu Pac, zatwierdziła na dniu 7 listopada 1769 roku, Joachima Potockiego regimentarzem Koronnym, Sapiehę zaś Litewskim. Dwaj współzawodnicy do jednego urzędu jeszcze za króla Sasa, ujrzeli się na jednakowém teraz stanowisku i obok siebie, wpośród konfederacyi. Ale obadwaj piastowali godność, nie zaś obowiązki urzędu Potocki siedział sobie jak za dobrych czasów na Tureczczyźnie, Sapieha w Gdańsku, i obawaj o nic się nietroszczyli, jak tam sprawy idą w jeneralności, i to po całych trwało latach. Sapieha tyle przynajmniéj dobrego robił, że nieintrygował, że siedział spokojnie w Gdańsku i czekał na okoliczności. Potocki zaś kłócił się ustawicznie z paszami, gniewał dumą, szkodził sprawie niesłychaném zuchwalstwem. Z nieznośnym Potockim trudno było co poradzić i dla tego jeneralność najwięcéj się tego bała, żeby się panu temu niezachciało czasem zawitać na Węgry. Ale Sapiehy można było użyć do czegoś. Jeneralność gniewała się na niego, że czas darmo tracił, jakby na wygnaniu. Wprawdzie i Sapieha wiedział co robi. W massie ogólnéj wojsk konfederackich, niebyło wcale Litwy, a przynajmniéj półków Litewskich, więc dla regimentarza Koronnego znalazłaby się robota, dla Litewskiego jéj niestało. Sapieha z nieczynności tutaj mógł się wymówić tylko jako regimentarz, nigdy zaś jako członek jeneralności konfederackiéj. Powinien był jechać do koła i tam czas trawić, nie w Gdańsku; tam czekać na rozkazy konfederacyi, nie na Pomorzu. Jeneralność widząc, że Sapieha niczego sam się niedomyśla, widząc, że cały rok 1770 w Gdańsku przesiedział i że się już na rok 1771 zabiera, zgłosiła się do niego (w styczniu) i poradziła mu, żeby jechał raczéj do Litwy i zagrzewał szlachtę, nowe pobudzając konfederacye. Regimentarz odparł, że pamięta o tém, i że jak tylko marszałkowie Litewscy pojadą do swoich ziem i województw i jemu zapewnie przyjdzie się ruszyć do Litwy. Taka odpowiedź dobra była, aby zbyć jeneralność.

Zląkł się przecięż sam Sapieha skutków téj długiéj nieczynności, i opuścił Gdańsk na wiosnę, żeby się przebrać do jeneralności. Długim kołując zawrótem, nawiedził Drezno, które w nadziei, że xięciu Saskiemu uda się zasiąść tron Polski, dało mu 3,000 dukatów, żeby te zawiózł do Przeszowa. Je-

(1) Rulhière, T. 3, str. 186.

neralność myślała wtenczas o wyprawieniu wielkiego poselstwa do Turcyi, ale jéj fundusze były tak szczupłe, że aż w Dreźnie o wsparcie na ten cel prosiła. Sapieha kiedy się pojawił w Przeszowie, jadąc z Wiednia i z pieniędzmi (21 kwietnia), miłą był bardzo niespodzianką. Jeneralność postarała się, żeby znaleźć drugie 3,000 dukatów, i wysłała Czernego, marszałka konfederacyi Krakowskiéj, do Stambułu. Ale z Sapiehy niczego wydobyć niemogła, milczał bowiem jak zaklęty.

Trafił do jeneralności na złe dla siebie czasy, musiał albowiem znosić różne upokorzenia. Szczególniéj solą mu było w oku zjawienie się w konfederacyi hetmana Ogińskiego. Hetman wziął się do broni na Litwie, ale niedługo hulał, rozbity i rozproszony musiał za innymi pójść na tułaczkę. Pojawił się tedy w jeneralności, która mu bardzo naturalnie była rada. Ale hetman chciał być czynnym, pragnął działać, myślał o dowództwie i oczywiście Litewskiém. Tutaj stanął na drodze regimentarzowi. Hetman dowodził u nas wojskiem w czasie, kiedy Rzeczpospolita była w stanie normalnym; w konfederacyi ustawała wszelka jego władza: tutaj były inne prawa, inne urzędy, tutaj regimentarz sam jedynie znaczył i mógł bić się nawet przeciw hetmanowi. Ogiński taki był hetman, jak Sapieha regimentarz: obadwaj ludzie spokojni, z przypadku, z ambicyi dowodzili. Obaj też dumni, ustąpić sobie niechcieli. Trzeba jednakże przyznać, że tutaj Sapieha nie zaś Ogiński miał za sobą prawo i słuszność, lubo Ogiński miał stronnictwo, na czele którego stał Pac i biskup Krasiński, jedyny do siania plotek i ambitny, człowiek bez szlachetniejszych pobudek. Jedno drugiemu nic nieprzeszkadzało,—prawo konfederackie sobie a prywata sobie.

Nieporozumienie się to pomiędzy dwóma wodzami, miało tak szeroki rozgłos, że nietylko sama jeneralność zajmowała się tą sprawą, ale i po za jeneralnością pracowały w niéj i gorąco intrygowały kobiety, a po kobietach nawet wdała się w to Francya i godziła zwaśnionych z sobą panów. Kraj cierpiał, a ci się obadwaj kłócili. Jeneralność zgorszenie tylko dawała światu z Polskich niezgód. Niechodzili na sessye, opisywali się po dworach zagranicznych.

Sapieha przystawał już na to, żeby został namiestnikiem regimentarza Koronnego, przez co i kasztelan Czerski Suffczyński, musiałby ustąpić z dowództwa, które miał sprawiać z urzędu, w imieniu Potockiego (w listopadzie), i zastrzegał sobie tylko, żeby przypuszczenie Ogińskiego jako hetmana do jeneralności, nieubliżało jemu jako regimentarzowi. Nierozumny, bo niewidział, że tam i regimentarstwo Potockiego było zagrożo-

ne, chociaż niebyło w jeneralności hetmana Koronnego. Ale Ogiński niebył zadowolony i z tego, co zrobiła dla jego dumy i prywaty jeneralność, ztąd nowe układy z Sapiehą, aby się zrzekł regimentarstwa. Leżał chory krajczy, gdy biskup Kamieniecki ze Zboińskim o to go męczyli.

Wielka mądrocha, dyktator w spodnicy, wojewodzina Bracławska Jabłonowska, z domu Sapieżanka, wywierała w jeneralności wpływ niesłychany. Otrzymał od niéj list krajczy, że Francya niepozwoli ubliżać Sapiehom!! Wreszcie sama na postrach jeneralności, zjechała do Przeszowa. Oczywiście, po takich listach i po téj manifestacyi opiekunki, krajczy, którego chciano wciągnąć w jakie takie pisma, niechciał myślć o niczém i najusilniéj dobijał się praw swoich.

Była nadzieja, że Francya da zasoby pieniężne dla Litwy. Zatém chociaż z oddali, uśmiechała się panom dyktatura wojskowa: i jakże tutaj opuścić dobrowolnie taką sposobność przewodzenia w kraju? Jeneralność, która dawała jednocześnie rozkaz Sapieże obejrzenia wojska w okolicach Białéj, postąpiła sobie arbitralnie. Komendę rozdwoiła, jedną część wojska przysądziła hetmanowi, drugą regimentarzowi, i obudwóch oddała pod rozporządzenie nowéj komissyi wojskowéj Litewskiéj; wtenczas i hetman i regimentarz obadwaj zrzekli się praw swoich, i dowództwo zdali na Kossakowskiego (w grudniu).

Wyrok Francuzki był okropny dla tych drobnych ambicyj. Minister Ludwika XV oświadczył Wielhorskiemu, posłowi jeneralności, że postąpiła sobie źle, że władzę regimentarza, wbrew przysięgom swoim, zneważyła i rozdwoiła komendę, że Litwy Kossakowski reprezentować niemoże, bo ma zasłabe komendy i te żyją więcéj łupieztwem, że wreszcie ludziom bez kredytu Francya pieniędzy dawać niemoże i nieda (w lutym 1772).

Niewiemy, czy o tym Sapieże rozpowiada Kitowicz, że bił się dwa razy z krewnym swoim Braneckim pod Krakowem, i że listy jego do króla pisane, przejął. Branecki był wprawdzie krewnym tylko jednego „wojewodzica“ Mścisławskiego, ale bracia wojewodzica w ogóle mogli się uważać za krewnych. Tylko niewiadomo, czy ten co bił się z krewnym, był właśnie Józef Sapieha; gdyby to krajczy, musiało to być chyba pod sam koniec konfederacyi. Zresztą, wszyscy ci Sapiehowie byli przeciw królowi w jeneralności. Kajetan, marszałek Połocki, brat rodzony ich, zginął pod Lanckoroną, mając zaledwie lat 21 wieku (w roku 1771). Karol, stryj ich, umarł konfederatem; toż samo Piotr, wojewoda Smoleński Hetman polny Litewski, Sapieha, miał

dostarczać wojewodzinie Bracławskiéj pieniędzy, żeby się krajczy utrzymał przy dowództwie, wbrew Ogińskiemu.

Po upadku konfederacyi, krajczy pojechał z żoną do Francyi. Czy tam odrazu poniósł swoje penaty? niewiadomo; ale bądź co bądź nagłym wyjazdem swoim z Cieszyna, srodze zasmucił konfederacyę (w początkach marca 1772), a raczéj konfederatów, którzy stali po zarządem jeneralności. Pytali się jedni drugich: poco pojechał? gdzie? czy z rady wojskowéj? czy gasić, czy rozżarzać płomień? Niespokojność była powszechna, lękali się nowych intryg, zgorszeń za granicą. Podobno chodziło najwięcéj o prywatę, o stanowisko, którego mu zaprzeczał hetman Litewski. Ale gdy konfederacya i ostatek swój już strawiła w niefortunnych zapasach, Sapieha tylko wstyd swój obnosił przed światem 1).

Był to albowiem człowiek strasznie mały, a najzupełniéj dobrał się z żoną. Oboje dumni a ubodzy, bez charakteru i godności, oboje cóś mieli z dziwactw teścia i ojca, sławnego xięcia wojewody Nowogródzkiego. Wydawali więcéj jak mieli, ztąd narobili massę długów; w Paryżu niebyło ani jednéj osoby z Polaków, kogoby niezarwali. A oddawać i niebyło z czego i niechcieli. Pożyczali u Francuzów na wieczne nieoddanie; żona, kiedy przyszło płacić za męża, niechciała o tém i słyszeć, a kiedy znowu potrzeba było pieniędzy, ostro się ujmowała za niego.

Podówczas już Rzplita nadała Sapiehom tytuł xiążęcy, a raczéj zatwierdziła dawne ich prawo do xiążęcéj dostojności. Był więc i krajczy w Paryżu xięciem, a mitrę swoję kalał w błocie. W towarzystwach wyższych Paryzkich nigdzie nie bywał; każdy go unikał, jako człowieka brzydkiego życia i nikczemnego.

Było to wcale nie na rękę xięciu Kazimierzowi-Nestorowi, synowi wojewodzica Mścisławskiego, który właśnie wtenczas do Francyi przyjechał, żeby się uczyć sztuki wojskowéj. Młody xiążę był już podówczas jenerałem artyleryi Litewskiéj, i nie dla zabaw, ale dla nauki podróżował. Z początku ucieszył się, zobaczywszy stryja, bo jeszcze o niczém wtedy niewiedział (1775).

Ex-konfederaci Barscy, którzy schronili się do Francyi, zwykle w Strasburgu przemieszkiwali; było im tutaj i taniéj i

---

1) Szczegóły, które następują, są na zasadzie dziełka: Listy Kazimierza Nestora x. Sapiehy, w latach 1773—6 do matki pisane, Wilno, 1852. (Oddruk z Athenaeum Kraszewskiego).

wygodniéj. Siedział tam i marszałek Pac, starosta Ziołowski. Xięciu krajczemu znudziło się jednostajne życie Strasburskie, dla tego bawił w Paryżu i niemyślał wcale wracać do Strasburga, gdyż przekładał Paryż nad wszystko (w marcu 1775).

W nadeszłym czerwcu chciał jednakże krajczy być w Warszawie i dla tego upraszał wojewodzinę przez syna, by mu kopiję recessu przysłała (1). Można to dwojako rozumieć: albo się krajczy już recessował od Baru (drugi raz w życiu) i żądał kopii recessu, bo już zapomniał co w nim napisał; albo żądał od wojewodziny wzoru, według którego miał dopiéro napisać swoje odrzeczenie się od spraw konfederackich. Bądź co bądź, w każdym razie godzić się chciał ze Stanisławem-Augustem i z bieżącym tokiem spraw narodowych. Ale niełatwo to przyszło. Paryż krajczemu zbyt, jak mówiliśmy, zasmakował.

Dowiedziawszy się, że Kodeń, rodowy majątek Sapiehów, nabyła wojewodzina, skakał aż hołubca z radości. „Kochane to panisko wyjeżdża nareszcie pojutrze. Niepowinienby się skarżyć na mnie;“ dodaje Nestor w liście do matki (29 maja) (2). Piérwsze zatém wrażenie dobre było. Ale zaraz nastąpiło rozczarowanie.

Krajczy rad był sprzedać swoje półkownikowstwo znaku hussarskiego. Kazimiérz rad je był nabyć. Więc w układy. „Może się mylę—pisał do matki;—ale uważam to za postę konieczną na przyszłość: bo zwykle piérwsza łaska wakująca, bywała dawana półkownikowi znaku królewskiego“ (3). Ztémwszystkiém, niedaleko z tego półkownikowstwa zaszedł krajczy Sapieha.

Odjeżdżał wtenczas do Wersalu, nie do Strasburga. Kiedy jednak przyszło do stanowczéj rozmowy, krajczy za półkownikowstwo żądał od synowca 16,000 franków pensyi dla siebie i dzieci.

„Dałem pokój projektowi chorągwi królewskiéj — pisze o stryju xiążę Nestor,—bo mnie chciał okpić; sądź, kochana matko, czy to propozycya do przyjęcia“ (4). W inném miejscu tłómaczy się, że gdyby chodziło o prostą cessyę, byłby ją przyjął, ale uczynić tranzakcyi, niemógł bez wyraźnego pozwolenia matki, choćby mu koronę Francuzką za to dawano (5).

---

(1) Listy, str. 44.
(2) Tamże, str. 60.
(3) Tamże, str. 60.
(4) List 19sty.
(5) Listy, str. 71.

Krajczy sam wtenczas niewiedział czego chciał, rzucał się zaś na wsze strony, aby tylko cóś zyskać. Mając niby wracać do Polski, starał się jednocześnie o służbę Francuzką. Nestor tedy myślał, że stryja półkownikowstwo i darmo się okroi, już nawet oto i sam i przez matkę do króla krok zrobił (1). W ogóle nieszczęśliwy był Nester ze wszystkimi stryjami, bo raz tak się wynurza o nich: „xiążę krajczy przystawił mi znowu stołka po swojemu; widzę, ze stryjami mymi nic już nieporadzę.“

Niemiłe zatém xięciu Nestorowi, tak w Paryżu, jak i w Wersalu, dokąd się późniéj krajczy przeniósł, było spotkanie się ze stryjem, którego tak dawno niewidział, a o którego złém prowadzeniu się, dopiéro się późniéj dowiedział. Ze strachem doniósł o tém matce. Wojewodzicowa przysłała synowi instrukcye, jak się ma zachować względem stryja. Ale co to wszystko pomogło? Kazimiérz go unikał, młodemu szkodziło takie pokrewieństwo. Krajczego albowiem powszechnie zwano tylko „xięciem Sapiehą,“ ztąd nieraz bywało qui pro quo, a synowiec płacił za stryja. Dla krajczego zaś było wielką gratką zjawienie się synowca w Paryżu; miał nadzieję, że chociaż na co ukroi mu się przecię cokolwiek z tych stosunków.

Spotykali się i późniéj ze sobą, stryj z synowcem w Strasburgu, dokąd krajczy wyjechał z żoną w październiku. „Xięztwo krajczowstwo powiadają, że im niedosyć atencyi czynię; ale ja temu niewinien, bom dla pracy i nauki, nie dla nich tu przyjechał,—pisze do matki Nestor;—a kiedy się cudzym wymawiam, to i domownicy wybaczą“ (2). Z powodu tego zobojętnienia, spowiada się potém w kilka tygodni. Xiążę krajczy całą zimę go męczył o pożyczkę pieniędzy w Paryżu, potém pożyczał u wszystkich. Zadłużywszy się tedy w około, „bo co przyszło z piszczałki, przez bęben leciało,“ powrócił do Nestora i znowu go męczył. Użył wtedy fortelu. Przyszedł raz zupełnie zrozpaczony mówiąc, że ma być uwięziony za 30 luidorów. Synowiec ubolewał, ale grosza niedał, bo niemiał go przy duszy. Płakał krajczy trzy dni w przedpokoju Nestora, który tém więcéj pomiarkował, że to zmyślenie. Wtedy nasłał do niego dwóch Polaków, którzy rozpowiadali to i owo o woźnym, o wyroku i t. d. Nestor wzruszony, pyta się stryja, kiedy mu odda te 30 luidorów? Obiecał w Strasburgu. Był na wyjezdném Nestor i

(1) Tamże, str. 71.
(2) Tamże, str. 82.

ledwie miał co na podróż do Strasburga, pożyczać od matki miał zakaz, więc dał stryjowi swój zegarek na zastaw dla pewności wierzyciela 30stu luidorów. Wtedy krajczy poszedł do kupcowéj, któréj był winien, zastawił zegarek Nestora, wykupił swój i wziął jeszcze 30 luidorów, „których użył jak? — rozpowiada Nestor, — przychodzi mi to na myśl ile razy widzę balet opery.“ Wyjechał następnie gnany do rogatek przez wierzycieli, rozdając wszystkim wexle, których niemiał zapłacić, i t. d.

Nierozszerzamy się nad temi szczegółami dłużéj, bo rażą okropnie, i boleśnie o nich pisać. A jest daleko więcéj jeszcze tych scen brudnych w listach Nestora.

Koniec końców, że przyszło do największych ostateczności. Synowiec chciał o sto mil być od nich, a urządził się jak mógł i okazywał jedynie przez politykę największą attencyę dla stryjenki, którą nazywał smutną. Kiedy nastąpiła stanowcza rozmowa, krajczy powiedział, że nic nieodda; żółć wystąpiła na Nestora, i począł odzywać się trochę inaczéj, jak na synowca przystało. Xiężna niebyła rozsądniejszą, skarżyła się przed Nestorem, że i tak dosyć jest nieszczęśliwą i powiedziała „tysiąc innych rzeczy boleśnych, których kobieta niepowinna była zwierzać nikomu, zwłaszcza synowcowi.“ Nastąpiła jakaś kombinacya, którą Nestor po długich walkach, zdobył szturmem i groźbą. Krajczy musiał pisać listy do wojewodzinéj Bracławskiéj i wojewodzicowéj Mścisławskiéj, ale o co i jak? tego już nierozpowiada Nestor. Wojewodzina aż do téj chwili ciągle widać była opiekunką krajczego, tak w emigracyi, jak w jeneralności. Przed nią pozwalał Nestor krajczemu kłamać, dla tego, żeby się do ostatka niekompromitował. Doradcą wtenczas exregimentarza, był sławny Bohusz, sekretarz jeneralności, i ten wystąpił jako pośrednik. Nestor pogodził się to niby wreszcie ze stryjem, ale nie ze stryjenką, z którą najgorzéj się rozszedł. Mąż powiadał o niéj, że jest chimeryczką, a jednak nim kierowała jak murzynek słoniem, bał się jéj krajczy gorzéj jak ognia. „Krewnych tych nienawidzę,“ pisał Nestor do matki.

I takim ludziom jeneralność polecała zbawienie kraju! Mogłoż iść dobrze? Dla wielkiego nazwiska poświęcano sprawę. Historya to zbyt pospolita w dawnéj Polsce. Krajczy Sapieha zaś był tak niezdolny, że nawet listu byle jakiego napisać nieumiał: „Pióro jego jałowe, we dwie godziny zdobyło się ledwie na cztery wiersze“, — pisał o nim w liście Nestor (1).

---

(1) Tamże, str. 88.

Ten hrabia na Bychowie, Czerei, Dereczynie, Kodniu i Zasławiu, ostatkiem goniący, wiernym jest obrazem chwili. Byli za Stanisława-Augusta ludzie, co nikczemnie szkodzili ojczyźnie, byli i drudzy, nie ze złém sercem dla ojczyzny, ale sami nikczemni. Po za wielką massą tych kategoryj, szli ufni w przyszłość. Sapieha do drugich należał.

Powróciwszy do Polski, osiadł w Lachowcach, które wziął w spadku po żonie. W roku 1784 złożył krajczowstwo, a raczéj sprzedać je musiał Zygmuntowi Grabowskiemu (1). Umarł już późno w Lachowcach, 1 stycznia 1792 roku (2).

Żona o wiele go przeżyła. W istocie, wielka to była chimeryczka. Mieszkała zwykle w Teofilpolu, około Lachowiec. Przez dziwactwo i fantazyę, na jéj cześć przezwał ojciec Teofilpolem miasteczko Czołhań. Lud po-swojemu zwał Czołhań i nieznał wcale Teofilpola. Już więc stary xiążę Jabłonowski dokazywał wiele z tego powodu, ale córka jego przeszła ojca w tym względzie. Wyrabiała awantury, rozsyłała kozaków nadwornych po drogach, zwłaszcza w czasie nadchodzących jarmarków, z których Czołhań był sławny. Chłopi jadą tedy, a kozacy do nich:

— Dokąd to ludzie?

— Do Czołhania.

Kozacy biorą chłopów, kładą i biją nahajkami, powtarzając: „Do Teofilpola, do Teofilpola." Sama xiężna polowała także w podobny sposób na ludzi (3).

Po ojcu wzięła etykietę i dziwactwo, które wszelką miarę przechodziło. W Czołhaniu np. przyjmowała licznych gości swoich w stroju prawie męzkim w amazonce i we fraku ze staro-Francuzką etykietą, ale nie we dnie, tylko w późnych nocnych godzinach, kiedy się już dobrze wyspała, budziła się albowiem sama dopiéro w południe. Włosy nosiła krótko obcięte, upudrowane, z harbajtlem, na głowie zawsze był kapelusz męzki. Xiężna pielęgnowała troskliwie we własnych pokojach liczną psiarnię, rzadkiéj rasy białych mopsików, oprócz których było w pałacu wiele innych piesków niższego rodzaju, a każdy z nich miał swoje osóbne pokoje i sługę. Wydział ten, jeden z naj-

---

(1) Gaz. Warsz. 1784 Nr. 63.
(2) Star. Polska T. 2, str. 930.
(3) Opowiadał to ś. p. Teodozy Sierociński, który mieszkał niegdyś w Czołhaniu. Inaczéj cokolwiek o tém, Anonim w Kalendarzu Ungra, 1857, str. 27; Star. Polska T. 2, str. 931.

ważniej szych służby swojéj, zostawiła sędziwemu kapitanowi Rykaczewskiemu (1). Miała też wielką moc rozmaitego, ptastwa; sławna była np. w swoim czasie papuga Teofilpolska xiężny. Stary pałac, ogromne puste salony, na około gmachu dwornia liczna, a w pałacu menażerya, radowały fantastyczne życie xiężny. Wołyń nazywał ją rozumną i uczoną, może i wierzył w to, przez dworactwo.

Rozpowiadano sobie o niéj cudowne a fałszywe powieści, jak to była osoba słynna w Barze, świetna na dworze Ludwika XV w Wersalu, jak to niewiasta dziwnie ukształcona, jak całe życie wśród wyższego znajdowała się towarzystwa,— i te powieści aż do naszych czasów przeszły i znalazły sobie wśród trzeciego już pokolenia przychylne echo. Ale nic z tego wszystkiego. Synowiec męża odmalował ją najlepiéj. Wychowaniem modném Francuzkiém wynarodowiona, fantastyczka, niemiała żadnego serca dla kraju; w Barze smutną zostawiła po sobie pamięć; na dworze Wersalskim niebłyszczała; Wołyniowi tylko imponowała oryginalnością godną suurowéj nagany, nie zaś pochlebstwa. Wierna tylko była całe życie swojemu szaleństwu, o którém takie brzydkie szczegóły rozpowiada Nester Sapieha. W najdrobniejszych nawet szczegółach widoczna jest ta cecha.

Skąpa ogromnie, kuframi miewała wstążek, gałganków, futer, materyj, pudełek; co kto niezmyślił, xiężna to miała, ale zawsze w gałgankach. Jeżeli ją kto prosił o cokolwiek z tych zbiorów, nic niedostał nigdy, nawet wnuczka niemiała tego szczęścia Mówiła zawsze, że nic niema.

Przeżyła syna i synową i umarła dopiéro w marcu 1816 r. w dobrach swoich.

Dnia 30 września 1858 roku.

---

(1) Dzien. Warsz. 1853, Nr. 185.

ZBIÓR

UŁAMKOWYCH WIADOMOŚCI

O OSOBACH I ZAKŁADACH NAUKOWYCH W DAWNIEJSZYM I OBECNYM (1829) STANIE WILEŃSKIEGO UNIWERSYTETU,

PRZEZ

X. STANISŁAWA JUNDZIŁŁA,

W TYMŻE UNIWERSYTECIE ZASŁUŻONEGO PROFESSORA.

.... digna atque indigna relatu.

Od Redakcyi.

Uniwersytet Wileński dotąd niema swojéj historyi. Upadek zakonu Jezuickiego niedozwolił Stanisławowi Rostowskiemu wydać drugiéj części dziejów Jezuitów prowincyi Litewskiéj. Niewiadomo nawet gdzie i kiedy zaginął rękopism mający obejmować też dzieje po rok 1750. W późniejszych czasach, a mianowicie około roku 1816, z poruczenia rady uniwersyteckiéj, Kazimiérz Kontrym miał wypracować historyę tak akademii Jezuickiéj, jako też szkoły głównéj Litewskiéj, i nakoniec odnowionego pod rządem błogosławionéj pamięci Alexandra I, uniwersytetu. Nieszczęśliwe, a niezasłużone koleje, które życie tego znakomitego męża zatru-

ły, wytrącając mu pióro z ręki, pozbawiły kraj tak potrzebnego i pożądanego dzieła. Nawet zebrane przezeń źródła mające służyć za osnowę zamierzonéj pracy, w burzy, która ostatniemi dniami Kontryma miotała, niepowrótnie zginęły. Ztąd wiadomości o szkole głównéj i uniwersytecie Wileńskim, mimo tak licznego szeregu professorów i uczniów, są rozpierzchłe, niedokładne i z każdym dniem coraz bardziéj zacierają się w pamięci.

Z liczby professorów już odnowionego uniwersytetu dwaj tylko sądzili być rzeczą ważną i pożyteczną spisać jeżeli nie dzieje tego zakładu, którego byli ozdobami, tedy przynajmniéj osobiste swoje wspomnienia, t. j. *Józef Frank* i x. *Stanisław-Bonifacy Jundziłł*. Piérwszy w zostawionych przez siebie rękopiśmiennych pamiętnikach podał ważne i ciekawe szczegóły, od chwili przybycia swojego do Wilna, aż do czasu opuszczenia przez siebie katedry, z taką sławą zajmowanéj; lecz jako cudzoziemiec niezwracał uwagi na to, co kraj tutejszy pod innym nietylko wprost naukowym względem żywo zajmować mogło; zawsze jednak te pamiętniki, w języku Francuzkim pisane, godne są przetłómaczenia i upowszechnienia (*).

Drugi, t. j. x. S.-B. Jundziłł, człowiek prawdziwie znakomity, zostawił w rękopiśmie na pozór dorywcze, ale nadzwyczaj ważne i z treści i z formy wspomnienia o tym zakładzie naukowym, którego był czynnym i najzasłużeńszym pracownikiem (**).

(*) Pamiętniki te w 6 tomach w rękopiśmie posiada Cesarskie Wileńskie towarzystwo Medyczne, ze szczodrobliwości Rajnolda hr. Tyzenhauza, który je nabył i towarzystwu ofiarował.

(**) Professor b. uniwersytetu Wil. p. A.-F. Adamowicz i zasłużony nasz pisarz p Dominik Chodźko, przez całe życie swoje nagromadzili też wiele ciekawych notat do dziejów szkoły głównéj i uniwersytetu Wileńskiego. Ostatni z nich już nam nadesłać raczył ciekawy w tym względzie artykuł, który w piśmie naszém umieszczony będzie.

Redakcya ma sobie udzielony ich rękopism przez zacnego obywatela Słonimskiego, p. Jana Jundziłła, w którego ręku z woli autora naukowa jego pozostałość złożoną została.

X. Jundziłł, dyktując te wspomnienia w sędziwéj starości, pozbawiony, niemal wzroku, obarczony dolegliwościami nieodłącznemi od tak podeszłego wieku, niemógł uniknąć ciemniejszych barw w poglądzie na rzeczy i na sąd o ludziach. Prócz tego należąc do zgromadzenia xx. Pijarów, którzy od wprowadzenia swojego do Polski przez Władysława IV, będąc w sprawie wychowania narodowego współzawodnikami Jezuitów, narażeni byli na nieuchronne z nimi zatargi,— mimowolnie podzielał niechęć jaka między temi obudwoma uczącemi zgromadzeniami powstać musiała. Ztąd widoczna w zdaniach Jundziłła surowość i chęć przygany Jezuitom, któréj nawet ich upadek przebłagać niezdołał. Ztąd tak często cierpkie, a nawet czasami niesprawiedliwe sądy o ludziach pełnych zasługi. Kierunek umysłu Jundziłła był zbyt stanowczy, jędrność zaś, dobitność i moc wysłowienia, dają niekiedy sądom jego pozór stronniczych lub namiętnych wyroków. Razić one mogą ludzi do wyrozumiałości lub pobłażania skłonniejszych, mogą nawet zasmucić pozostałych następców tych osób, o których są wyrzeczone;— ale ponieważ wspomnienia Jundziłła pochodzą od naocznego świadka, ponieważ mają wartość świadectw historycznych piérwszego rzędu: poczytywać je należy niekoniecznie za wyraz opinii spółczesnéj, lecz za indywidualne zdanie człowieka żywo czującego i nawykłego do wyrażania swych myśli, nietroszcząc się o uboczne względy. Owoż te wspomnienia są ważną historyczną spuścizną, któréj ani ukrywać, ani odmieniać niegodzi się bez obrazy pamięci człowieka z tylu miar zasługującego na to znakomite miejsce, jakie za życia w zawodzie nauczycielskim i piśmiennym zajmował.

Jeżeli więc zdawałoby się komu, że niektóre osoby są w tych wspomnieniach pokrzywdzone, Redakcya z góry zapowiada, że niemiała na celu ubliżenia czyjéjkolwiek pamięci, że obecne pismo Jundziłła postanowiła na jaw ogłosić, jako obfite źródło nieznanych zkądinąd szczegółów i jako pomnik piśmienny tak różniący się od bezbarwnych po większéj części płodów pióra owego czasu. Nadto Redakcya uprzedza, że tam gdzie namiętność wyraźnie skaziła sąd Jundziłła, zwłaszcza o mężach, którzy trwałe zasługi naukowe położyli, tam, tenże sąd sprostować i pamięć tych mężów od niesłusznych zarzutów obronić— za nieodzowny poczyta obowiązek.

ZAMIAR ZBIORU.

W połowie r. 1780 przybyłem do Wilna, i odtąd przez pięćdziesiąt lat prawie nieprzerwanie tu mieszkałem. Znałem więc wszystkie osoby tak pierwiastkową akademiję, jak późniejszy uniwersytet składające; byłem świadkiem stopniowego wzrostu nauk i wielokrotnych zmian w organizacyi tego zgromadzenia. W początkach młodość, późniéj, gdym został jego członkiem, obarczające trudy obowiązków moich, niedozwalały pożądanego zapisywania ważniejszych w niém wydarzeń. W treściwym pamiętniku życia mojego, nakreśliłem i wymieniłem te tylko przypadki, które z osobistém położeniem mojém mniej lub więcéj miały stosunków; w historyi botanicznego ogrodu i naturalnych zbiorów, które sam z niezmordowaną pracą utworzyłem, wyłącznie o tych tylko zakładach powiedziałem. Upłynęło pół wieku; znikło piérwsze pokolenie ludzi pracujących w téj nauk winnicy: talenta, prawość, gorliwość jednych, niezdatność, gnuśność, opieszałość drugich, powszechna zapomnienia okrywa pomroka. Mało było, mianowicie w początkach téj epoki, mężów, którzy wydanemi dziełami, trwałą sobie u potomności zjednali pamiątkę. Stojąc u kresu wieku mojego, osłabiony na zdrowiu, pozbawiony prawie zupełnie wzroku, niezamierzam pisać historyi uniwersytetu, ani żywotów szczególnych członków jego; same tylko ułamkowe, już o dawniejszych, już świeższych w nim zdarzeniach, wiadomości, bez metodycznego układu, bez

chronologicznego porządku, jak które na pamięć przychodzą, skracając przykre chwile starości mojéj, wymienić tu postanowiłem. *Forsan et haec olim meminisse iuvabit.*

NAUKI MATEMATYCZNE W AKADEMII WILEŃSKIÉJ OD ROKU 1780.

Gdy Komissya edukacyjna, po upadłym zakonie Jezuickim, odnawiając w roku 1780 dawną akademiję Wileńską, i dając jéj tytuł szkoły głównéj Litewskiéj, ster i szczegółowe zaprowadzenie nauk mianowanemu przez się rektorowi, x. Marcinowi Poczobutowi, poruczyła, spodziewać się należało, iż mąż ten, znany w kraju i za granicą z głębokiéj swéj w matematyce biegłości, zaszczepi najprzód i wkrótce do wysokiego stopnia podniesie wszystkie na ścisłym geometrycznym rachunku oparte umiejętności; tém pewniéj, iż i sam był ich gruntownym znawcą, i że te postępem swoim uprzedziły znakomicie innych fizycznych nauk wzrost i wydoskonalenie. Nieszczęściem! taki był wówczas w kraju naszym stan powszechnéj narodowéj oświaty w ogólności i nauk matematycznych w szczególności, iż wynalezienie między ziomkami zdatnych i usposobionych professorów było bardzo trudném, iż niepowiem niepodobném. To bowiem, co dotąd w szkołach naszych matematyką nazywano, ograniczało się samém tylko i to niedokładném ziemiomierstwem. Zamożny niedawno w osoby i dostatki Jezuitów zakon niewięcéj w téj mierze postąpił nad inne dotąd u nas uczące duchowne zgromadzenia. Sprowadzeni przed kilku laty z Francyi dwaj matematycy Jezuici, Rossignoli i Fleury, nieprzynieśli zamierzonéj i spodziewanéj już wtedy korzyści; z sześciu umyślnie do tego wybranych i przeznaczonych młodzieńców, sam tylko Xawery Narwojsz godnym tych mistrzów mógł nazwać się uczniem. Komissya edukacyjna niewpadła była jeszcze na szczęśliwą myśl wysyłania za granicę publicznym kosztem młodzi, dla czerpania tych wiadomości, których w ojczyźnie tak mało było zarodu.

W tym stanie rzeczy, Poczobut był przymuszonym szukać między rozproszonymi współbraćmi swoimi pierwszych tych zasadniczych dokładnych umiejętności nauczycielów. Ale pośpiech i omyłki w tym wyborze jak opaczne zamiarom jego i interesowi krajowego oświecenia sprawiły skutki, jak opóźni-

ły postęp i wzniesienie się nauk fizycznych w uniwersytecie, następująca okaże wiadomość.

Piérwszymi przez Poczobuta wybranymi, a przez Komissyę r. 1780 potwierdzonymi nauk matematycznych w szkole głównéj Litewskiéj nauczycielami, byli: Mikołaj Tomaszewski z tytułem wice-professora matematyki elementarnéj, x. Tadeusz Kundzicz matematyki stosowanéj, x. Andrzéj Strzecki astronomii, przybyły z Anglii r. 1783, x. Xawery Narwojsz czystéj wyższéj matematyki, professorowie, wszyscy ex-Jezuici. Dowiedzioną to jest w dziejach nauk prawdą, iż Jezuici, podgarnąwszy całkiem prawie pod siebie edukacyę publiczną w oświeceńszych nawet narodach, powodowani zawiścią, nieszczerze i powierzchowne tylko w swych szkołach dawali nauki. Nieśmiem twierdzić, czyli ci nowo wyznaczeni w uniwersytecie naszym professorowie, tym stronniczym zgromadzenia swojego rządzili się duchem, czyli, co podobniéj, wady ich, jako publicznych nauczycieli, były im osobiste; to tylko pewna, iż nauki matematyczne, z wielkim uszczerbkiem funduszu edukacyjnego, a z większą i niepowetowaną szkodą kraju, przez dwadzieścia kilka lat żadnego w uniwersytecie naszym nieuczyniły postępu, żadnéj w rzeczy powszechnego oświecenia nieprzyniosły korzyści.

Mikołaj Tomaszewski, matematyki elementarnéj wice-professor, młody, dowcipny, wymówny, obdarzony bystrém zawilszych nawet rzeczy objęciem, mógłby był korzystnie sposobić młodzież do wyższych w matematyce rachunków, gdyby przejęty ważnością swojego powołania, gorliwiéj w przedsięwziętym zawodzie chciał pracować. Ale z jednéj strony, uniesiony zbyteczną żartkością temperamentu swojego, z drugiéj, zgorszony podobno przykładami starszych kolegów swoich, rzucił się w odmęt niezgodnych ze stanem naukowym zabaw i zatrudnień (*), a oddawszy się im całkowicie, niemiał czasu ani chciał szczerze około nauki pracować. Na lekcye swe zwykle bez należytego przygotowania przychodził, a i tych, w ciągu roku, większą część opuszczał, tak, iż uczniowie z tych tygodniami i miesiącami przerywanych lekcyj, żadnego nieodnosili pożytku, i żaden do korzystnego słuchania wyższych matematyki rachunków niemógł bydź usposobionym. Około r.

(*) Prócz innych, ze stanem nauczycielskim niezgodnych, zatrudnień, zajmował się ciągle familijnemi i ekonomicznemi interesami jenerałowéj z Piotrowiczów Vietynghofowéj, podkomorzynéj z Sapiehów Jelskiéj, i t. d. i t. d.

1792—94 opuścił nakoniec dobrowolnie uniwersytet; lecz za hojniejszém jego w 1803 uposażeniem, dopomniał się, jakby o należne sobie dawniejszych zasług wynagrodzenie, i 300 rsr. dożywotniéj pensyi otrzymał.

X. Tadeusz Kundzicz, stosowanéj matematyki professor, niewyrównywał Tomaszewskiemu ani w dowcipie, ani w wymowie; równie mało obeznany z nauką, którą miał wykładać, przewyższał go lenistwem i zaniedbywaniem istotnych swych obowiązków. Oddany wszelkiego gatunku roztargnieniom, które młody wtedy wiek jego i liczne towarzystwa w mieście nastręczały niedbał bynajmniéj ani o sławę téj szkoły głównéj, w któréj wygodny swój byt znajdował, ani o pożytek słuchaczów, których, przyjmując powołanie nauczycielskie, do ważnych posług kraju winien był sposobić. Lekcye swe, częściéj jeszcze niż Tomaszewski, opuszczał, i w ciągu roku nad kilka piérwszych rozdziałów z mechaniki de la Caille nigdy niewyłożył. Tym sposobem zawalał, iż tak rzekę, katedrę swoję przez dwadzieścia cztery lata, póki w r. 1804 dożywotniéj pensyi 900 rsr. nieotrzymał, która późniéj do 1,500 podniesioną była.

X. Andrzéj Strzecki, astronomii professor, przeszedł dwóch poprzedzających młódszych kolegów swoich próżnowaniem i zupełném obowiązków swych zaniedbaniem. Niebrakło mu ani dowcipu, ani należytego w nauce usposobienia. Polubieniec Poczobuta, był, jak w pracach jego astronomicznych pomocnikiem, tak w zatrudnieniach rektorskich, najpoufalszym radzcą i nieodstępnym towarzyszem. Właśnie też temi to zatrudnieniami zawsze się zasłaniał, gdy zajmując katedrę astronomii przez lat siedmnaście, żadnego razu do szkoły nieposzedł, żadnego roku lekcyj swych nawet nierozpoczął.

Tytularny ten i bez uczniów professor niemógł nikomu przelać i udzielić swéj nauki. Lecz gorszém nierównie to było, iż posiadając zupełne zaufanie Poczobuta i zastępując go we wszystkich szczegółach rektorskiego urzędu, miał pod bezpośrednim swym wpływem wybór i wychowanie kandydatów stanu nauczycielskiego, osadę wszystkich placów w szkołach powiatowych i wydziałowych, wybór wizytatorów i t. d. Kandydaci, nakształt zakonnych nowicyuszów, w kleryckich sukniach chodzić musieli, a bez pewnego w naukach układu, każdy słuchał kursów, jakie się mu podobały; publicznych popisów i examinów, tego jedynego środka poznania i ocenienia nabytych zdatności, żadnych niewyciągano; i wedle tego, jak który życzył lub sam się poczuwał, do uczenia téj lub owéj klassy

przeznaczano. Zgroza zaś wspomnieć, jakimi nauczycielami naczelna Wileńska szkoła, iż niepowiem o innych, pod okiem akademii, wiedzona była! XX. Wichert, Chodasewicz, Szperkowicz, Kalembach, Skarżyński i t. d. znani z zupełnéj swéj niezdatności i nałogów, niemogli należycie sposobić młodzieży, do wyższych nauk w uniwersytecie. Cóż dopiéro mówić o wizytatorach? XX. Jaxa, Bohusz i inni, pychą swą i grubijaństwem znamienici, niezdolni przenikać ducha szkolnych ustaw, ani cenić wartości xiąg elementarnych, z pogardą poglądali na wszystkie te przez Komissyę zaprowadzone nowości; a dumą swą i nadętością, zrażali gorliwszych, zwłaszcza w zakonnych zgromadzeniach, nauczycielów. Pijarowie, mianowicie, doświadczali wiele przykrości od ciemnych tych i nieobyczajnych wizytatorów.

W saméj nawet akademii on był dowódzcą spiknionego przeciwko wszystkim pożytecznym odmianom stronnictwa. Mijam ciągłe wyszydzanie nowych xiąg elementarnych: geometryi, grammatyki, botaniki i t. d., które, wybierając z nich nieutarte jeszcze techniczne Polskie wyrazy, i tworząc złośliwie dziwaczne z nich okresy, na pośmiech publiczności wystawiał. On szczególniéj, niemając żadnego wyobrażenia historyi naturalnéj, wyszydzał i śmiesznością dotykał tak samą naukę, jak piérwszych jéj przez Komissyę starannie sprowadzonych nauczycielów, J. Emanuela Giliberta i Jerzego Forstera; a czyniąc przez to nieprzyjemny im pobyt w naszym kraju, do rychlejszego oddalenia się był powodem. Gilibert we Florze swéj Litewskiéj zapisał i zostawił pamiątkę wytrzymanych w téj mierze przekąsów w następującéj do Strzeckiego szczególniéj stosowanéj, apostrofie: *Plurimi sunt, ut iterum dicam, qui conatus nostros irridere non desinunt*, *superciliis clevatis altiora semper contemplantes, nimium depressa obiecta contemnunt. Mordeant tranquilli venenoso dente opuscula nostra*, *illorum cavillationes libenter feram etc. Flora Lituanica inchoata, Collectio 5, p. 293.*

Zwykł był bawić mało z naukami obeznanych ziomków naszych, a mianowicie płeć piękną, świeżo wtedy do fizyki wprowadzonemi elektrycznemi cackami; przez co ściągał na się częste i uszczypliwe publiczności żarty. Umarł r. 1797.

X. Xawery Narwojsz, professor czystéj wyższéj matematyki, uczeń Rossignolego i Fleurego, różnił się od trzech poprzedzających kolegów swoich gruntowną w nauce swéj biegłością i przykładną w pełnieniu professorskich obowiązków gorliwością. On jeden najregularniéj do szkoły swéj przycho-

dził, i godzin rozkładem przepisanych lekkomyślnie nieopuszczał. Byłby nawet wielkie dla kraju przyniósł korzyści, gdyby, z jednéj strony, ówczesna młodzież elementarną nauką lepiéj była do korzystania z wyższych rachunków usposobiona, z drugiéj, gdyby sam professor, pewniejszego trzymając się porządku, w każdym roku nowych, niewiele z sobą związku mających, traktatów nierozpoczynał. Ten to brak elementarnego usposobienia był przyczyną, iż Narwojsz na lekcyach swoich mało miał słuchaczów, a i ci niewiele odnieśli korzyści. Niektórzy tylko zakonnicy, zwłaszcza Bazylijanie i Pijarowie, w prywatnych swych zgromadzeń szkołach gruntowniéj z elementarną matematyką obeznani, czynili zaszczyt i uniwersytetowi i publicznemu swojemu professorowi. Z tych najcelniejszym był x. Józef Parfimowicz, Pijar, niestety, zbyt wczesną śmiercią krajowi, naukom i przyjaciołom wydarty. Narwojsz zajmował swą katedrę do roku 1804, w którym lubo z zupełną dożywotnią pensyą od obowiązków uwolnionym został, lekcyj jednak swoich, przez kilka lat jeszcze dawać nieprzestawał. W prywatném życiu wiele miał szczególnych sobie oryginalności; jak naprzykład: iż na zwyczajne swe promenady dopiéro późno w wieczór sam jeden wychodził, i te do późniéj nocy przedłużał; podróże, w odleglejsze nawet strony, jak do Sokółki za Grodnem, gdzie miał plebaniję, pieszo i po większéj części nocami, podobnież sam jeden odprawiał i t. d.; przed zgonem uległ nałogowi pijaństwa, któremu i dawniéj znacznie się poddawał. Umarł w czerwcu r. 1819.

Jeżeli piérwsze osadzenie katedr matematycznych w r. 1780 niezdatnymi professorami mogło być skutkiem zupełnego w onym czasie w kraju naszym braku usposobionych w tych naukach ludzi,— niewiem, co może wymawiać x. Poczobuta, iż późniejsze nawet do tych katedr wybory równie były nieszczęśliwe, i na równie nieusposobione trafiały osoby?

Roku 1792 uznano za potrzebę dać wice-professora x. Narwojszowi. Najcelniejszym wtedy uczniem jego był x. Józef Parfimowicz, Pijar, człowiek młody, staranném pierwiastkowém wychowaniem szlachetnie ukształcony, skromny, przykładny, obyczajny, pięknie i wybornym Polskim stylem piszący, po-Francuzku, Niemiecku i Angielsku gładko i wprawnie mówiący, z ojczystą i Łacińską literaturą gruntownie obeznany, a co do biegłości w wyższym matematycznym rachunku od samegoż Narwojsza głośno pochwalany i nad innych przekładany, życzył sobie zostać wice-professorem jego; a skarbiąc wcześnie względy ciągle i wszelkiemi sposobami, według możności się zasłu-

giwał, i również ciągłe pomyślnego tych życzeń skutku odbierał obietnice. Przyszło nakoniec do wyboru: Parfimowicz w liczbie ubiegających się nawet niebył pomieszczonym (*); Tomasz Życki, kandydat stanu nauczycielskiego, wice-professorem, i wedle statutu akademickiego, następcą Narwojsza wybranym został.

Młodzian ten pozbawiony przyrodzonego daru bystrości, i zgłębiania wyższych rachunków matematycznych, z literaturą ojczystą i starożytną bynajmniéj nieobeznany, z obcych języków żadnego nieumiejący, niemógł w niczém być porównany z Parfimowiczem. Życki zostawszy w tak młodym wieku wice-professorem, miał wprawdzie zręczność przyłożenia się do wielu nauk, jak *np.* do wymowy, którą x. Dawid Pilchowski, do historyi powszechnéj, którą x. Tomasz Usarzewski, do chemii, którą Józef Sartoris, tak gorliwie i korzystnie już wtedy dawali; lecz nieprzenikając ścisłych między różnorodnemi na pozór naukami stosunków, nieczując potrzeby obszernych w publicznym professorze wiadomości, wcześnie dalszego przykładania się zaniedbał, a w matematyce nad to, czego się w początkach nauczył, wyżéj niepostąpił. Wyznaczony późniéj do dawania matematyki elementarnéj, jak niewiele słuchaczom swym przyniósł korzyści, tak mało był od nich poważanym.

Około roku 1804 doktor Strojnowski, chcąc podnieść w uniwersytecie wszystkie nauki, i osadzić wszystkie katedry zdatniejszymi professorami, wielu starych członków z placów swych ruszył, a między innymi Życkiego, iż jeszcze lat ustawami przepisanych w służbie niedopełnił, dyrektorem gimnazyum Wileńskiego naznaczył. Na początku rektorstwa Jana Śniadeckiego, gdy pewne względy zniewoliły go do poruczenia dyrektorstwa gimnazyalnego Józefowi Kossakowskiemu, Życki nanowo do katedry matematyki elementarnéj przywróconym został; i na tym placu zostawał do r. 1817, póki, wedle ustaw, pensyi wysłużonéj nieotrzymał. Przed zupełném z uniwersytetu od-

---

(*) X. Józef Parfimowicz zgryziony haniebnym tym z sobą postępkiem stronnictwa, a najbardziéj obłudą Narwojsza, który go ciągle pochlebnemi uwodził obietnicami, w czasie krajowych zaburzeń r. 1794 wyniósł się za granicę, i niewiadomo gdzie życia dokonał. Prócz naukowych talentów, grał biegle na skrzypcach; tłómaczył dzieło Dalamberta o muzyce, i wiele technicznych muzycznych wyrazów gładko i trafnie na Polski język przełożył. Rękopism ten może się dotąd znajdować u sukcessorów Balczewskiego, znakomitego wówczas muzyka w Wilnie, który dzieło to kosztem swoim miał do druku podać.

daleniem się był przez kilka lat dziekanem oddziału fizycznego; owszem r. 1823 w czasie uwięzienia Twardowskiego, szczególnym zbiegiem okoliczności, był zastępcą rektora; świeża jeszcze jest pamięć jak niedołężnie obowiązki te sprawował.

Gorszym jeszcze i bardziéj nieszczęśliwym był późniejszy wybór professora astronomii. Ignacy Reszka, krewny xdza Poczobuta, uczeń niegdyś w królewskim kadetów korpusie w Grodnie, potém porucznik w tak nazwanym batalijonie Horodnickim, gdy batalijon ten, po upadku Antoniego Tyzenhauza, nadwornego podskarbiego Litewskiego, był rozwiązanym, wezwany przez Poczobuta do Wilna, mało zatrudniające obowiązki pomocnika przy obserwatoryum astronomiczném sprawować począł. Trudno sobie wystawić mniéj obeznanego z naukami człowieka; słabe nawet początki Łaciny, wymowy, historyi, i t. d. które się wtedy w szkołach dawały, zupełnie nieznajome mu były; wyższego zaś w matematyce rachunku żadnego niemiał wyobrażenia. Przy zupełnym tym braku naukowego ukształcenia, zdatnym był może do niektórych mechanicznych w obserwatoryum czynności; lecz nikt niemniemał, ani sam podobno Poczobut początkowie tego niezamierzał, izby mógł kiedyś osiągnąć w uniwersytecie katedrę potrzebującą tak pracowitéj w wyższych rachunkach wprawy, i tak rozległych w matematyce wiadomości. Jakoż zdziwiło to i zgorszyło całą publiczność, gdy r. 1797, po śmierci x. Strzeckiego, na katedrę astronomii wyniesionym został. Jakie usposobienie, takie też były lekcye jego. Mówił empirycznie o ziemi, słońcu, xiężycu, planetach, zaćmieniach i t. d., jak to w niektórych popularnéj astronomii xiążkach czytamy; twierdzeń zaś teorycznych i rachunku potrzebujących pilnie się wystrzegał. Zbyt długi dlań czas kursu rocznego pozorami słabości zdrowia skracał. Tym sposobem professor ten katedrę swą więcéj niż przez lat dziesięć wygodnie zajmował.

Za przybyciem do Wilna w r. 1807 Jana Śniadeckiego, gdy nauki matematyczne, jakby czarodziejską laską dotknięte, nagle się wzniosły, a między studentami, wielu się znalazło, którzy talenta professorów sprawiedliwie oceniać już mogli, położenie Reszki bardzo krytyczném się stało. Ludwik Kobecki, jeden z słuchaczów jego, nieprzestając na empirycznym fenomenów niebieskich wykładzie, prosił go kilkakrotnie, aby twierdzenia swoje ściślejszym rachunkiem wesprzeć raczył; ale prośby te zawsze bezskuteczne były. Zbliżał się czas zwykłych rocznych z nauk examinów. Reszka, przewidując, iż rektor Śniadecki, ten gruntowny wszystkich nauk matematycznych

znawca, i podobnych popisów w niższych nawet klassach chętnie słuchający, na examin takowy niechybnie przyjdzie, wcześnie chorego udawać począł. Kobecki, czyli to pragnąc z nauką swą publicznie się pochlubić, czyli, (co podobniéj) chcąc nieudolność Reszki na jaw wystawić, prosił dziekana oddziału fizycznego, x. Mickiewicza, iżby, zamiast examinu, który dla choroby professora niemógł się odprawiać, publicznego czytania wygotowanéj rozprawy mu dozwolił, w któréj on własne swe postrzeżenia i nowe odkrycia miał wyłożyć. Dziekan na to żądanie zezwolił; a Kobecki w rozprawie swojéj, w obecności professorów oddziału fizycznego i wszystkich prawie studentów, obok mniemanych swych postrzeżeń i innych młodzieńczego wieku przywidzeń, wytknął ostro nieco i uszczypliwie wszystkie wady swojego professora, z którego lekcyj nic prawie niekorzystał. Dziekan zgromił wprawdzie publicznie tę studenta zuchwałość; lecz on, udawszy się do rektora, żale swe przełożył. Rektor zganił podobnież zarozumiałość młodzieńca; ale bacząc i na sławę uniwersytetu i na przykre dla samegoż professora wypadki, gdyby rzecz ta doszła wiedzy wyższych władz naukowych, skłonił Reszkę do podania prośby o uwolnienie od obowiązków professorskich i o dożywotnią pensyę kalekich: co też wkrótce r. 1808 bez trudności otrzymał (1).

Ostatnim z dawniejszych w uniwersytecie matematyki nauczycielów jest x. Cezary Kamiński, Bazylijan. Ten r. 1797 mianowany przez komissyę biletem xcia Repnina ustanowioną, adjunktem astronomii, najprzód sprawował obowiązki pomocnika przy obserwatoryumi, a po oddaleniu się Reszki w 1808 lekcye astronomii dawać począł. Kapłan przykładny, skromny, w nauce swéj gruntowny, pilny, o postęp słuchaczów i sławę uniwersytetu gorliwy, opuszczając służbę, dla słabości zdrowia zasmucił uczniów i przyjaciół swoich. Umarł opatem w Leszczu, w powiecie Pińskim r. 1817 marca 20 dnia.

Co się tyczy nauk stosowanych, sama tylko fizyka w tym pierwiastkowym składzie akademii zaprowadzoną była, a piérwszym jéj professorem r. 1780, x. Józef Mickiewicz, ex-Jezuita, był mianowany. Słaby ten professor, z rachunkiem geometrycznym, tą główną fizyki zasadą zupełnie nieobeznany, na samym wstępie, unikając wszelkich ściślejszych rachunków, oddał się całkowicie empirycznym czyli zmysłowym doświad-

---

(1) Umarł dnia 4-go maja 1830.

Przyp. późniejszy.

czeniom, i fizykę swą *experymentalną* nazwał Właśnie wtedy upowszechniały się w wyższych szkołach zagranicznych niedawno wynalezione machiny i narzędzia pneumatyczne, elektryczne, hygrometryczne, hydrauliczne, termometra, barometra i t. d. Xiądz Mickiewicz, sprowadziwszy niektóre z tych narzędzi z zagranicy, a inne przez krajowych rzemieślników usposobiwszy, wykładał łatwiejsze tak ogólnéj jak szczególnéj fizyki części; lecz niezgłębiając subtelniejszych teoryj działań *np.* elektrycznych, magnetycznych, ciśnienia atmosfery i t. d., na ukazywaniu samych tylko powierzchownych i bawiących fenomenów przestawał. Rozwlekał się obszernie nad sposobami robienia trwałych lin i powrozów, stawiania wygodnych kominków i pieców, wznoszenia piorunowych konduktorów i t. d., i tym drobiazgom większą część roku poświęcał. Mechanika, akustyka, optyka i cała nauka o świetle, prócz pospolitszych, a tych zwykle bawiących fenomenów, prawie nietknięte zostawały. W takim to stanie była w uniwersytecie przez dwadzieścia pięć lat fizyki nauka, gdy r. 1804 x. Mickiewicz, wraz z wielu innymi, dla wieku i niezdatności, od obowiązków professorskich z dożywotnią pensyą uwolniony, publiczne swe życie na prywatne zamienił.

W życiu prywatném był to człowiek prawy, przykładny, dobroczynny, przyjacielski; lecz dla słabéj organizacyi i zbyt miałkiego objęcia, we wszystkiém łatwowierny, w przedsięwzięciach niestały, i jak łatwo do każdego stronnictwa się skłaniał, tak łatwo je opuszczał. Urząd dziekana odziału fizycznego przez lat kilkanaście, a zastępstwo rektora po kilkakroć, równie niedołężnie sprawował. Umarł roku 1817 lipca 5 dnia.

Następcą Mickiewicza był Stefan Stubielewicz, z dawnych kandydatów stanu nauczycielskiego, wybrany adjunktem téj katedry r. 1797. Professor ten wszystkie części fizyki gruntownie obejmujący, z chemiją i rachunkiem matematycznym dobrze obeznany, w tłómaczeniu się zwięzły i dokładny, o dobro nauk, pożytek kraju i sławę uniwersytetu gorliwy, zbiór narzędzi fizycznych pomnożył i sprowadzonemi z Paryża dokładniejszemi machinami wzbogacił. Nieograniczał się, jak Mickiewicz, saméj tylko doświadczalnéj fizyki bawidłami, wyższe teorye magnetyzmu, elektryczności, dźwięku, światła i t. d. a to stosownie do najnówszych postrzeżeń, jasno i wymównie tłómaczył, a w mechanice, optyce i tym podobnych, twierdzenia o ruchu, łamaniu się i odbijaniu promieni i t. d. rachunkiem

gruntownie wspierał. Można powiedzieć, iż prawdziwa fizyki nauka w uniwersytecie od Stubielewicza wzięła swój początek. Szkoda, iż śmierć zawczesna zbyt prędko odjęła go krajowi i naukom. Umarł roku 1817 miesiąca kwietnia 17 dnia.

Architektura cywilna później do akademii wprowadzoną została. X. Poczobut, poczytując ją za rzemiosło raczéj, niż za metodyczną naukę, długo wprowadzeniu jéj się opierał. Był już w Litwie od wielu lat znany, i dla talentu i przymiotów swoich powszechnie szacowany Wawrzyniec Gucewicz. Ten, zwiedziwszy kosztem xcia Ignacego Massalskiego, biskupa Wileńskiego, Francyę i Włochy, klasyczną pięknych sztuk ojczyznę — Werki, letnie mieszkanie rzeczonego biskupa, wspaniałemi gmachami ozdobił; w Wilnie kościół Katedralny okazale odnawiał; ratusz w rynku podobnież okazały zbudował, i wiele na prowincyi równie wybornego smaku budowli wykonał. Napróżno przekładano Poczobutowi, iżby wezwaniem tego męża na katedrę do akademii, sławy i świetności temu zakładowi a pożytku krajowi przyczynił: — opierał się on ciągle tym życzeniom, bądź iż rzetelnie tak mało cenił tę naukę, bądź (co podobniéj) iż niechętny Massalskiemu niechciał przyjąć z rąk jego tego nowego do grona akademickiego członka (1).

Dopiéro r. 1793 oddzielna do spraw edukacyjnych w Litwie utworzona komissya, Gucewicza na katedrę architektury do akademii powołała. Zaburzenia krajowe niedozwoliły mu zająć się niezwłócznie ważnym tym powołania swojego obowiązkiem; owszem dla czynnego uczęstnictwa w rewolucyi krajowéj r. 1794, otrzymany niedawno plac utracił. Nakoniec r. 1795 wyjednawszy u xcia Repnina powrót do akademii, rozpoczął, z wielką słuchaczów korzyścią, wykładać istotne architektury zasady; lecz wkrótce, trapiony długą wodnéj puchliny chorobą, lekcyj swych zaprzestać musiał, a dnia 10 grudnia r. 1798

---

(1) Poczobut i z nim wszyscy ex-Jezuici niechętni byli biskupowi Massalskiemu, iż żadnego z nich, mimo czynione zabiegi, w katedralnéj kapitule Wileńskiéj pomieścić niechciał. Sławny poeta x. Adam Naruszewicz, wyniesiony wkrótce po upadku Jezuitów na biskupstwo Smoleńskie, wtedy już niby *in partibus infidelium*, wszystkich członków akademickich, dawniejszych współbraci swoich, krzyżami kanoniczemi i prałackiemi kapituły swojéj ozdobił; resztę w szkołach wydziałowych i powiatowych ex-Jezuitów nauczycielów biskup Inflancki Kossakowski podobnemiż ozdobami ze swojéj kapituły obdarzył. Massalski żartował głośno z próżności i ambicyi skromnych tych niedawno i pokornych zakonników.

życia dokonał. Szczegółowa wiadomość o urodzeniu, wychowaniu i naukowych zasługach tego piérwszego w uniwersytecie naszym architektury professora znajduje się w bijografii jego przez Karola Podczaszyńskiego napisanéj, na publiczném posiedzeniu r. 1823 d. 15 września czytanéj, i w Dzienniku Wileńskim na miesiąc wrzesień tegoż roku wydrukowanéj,—lubo niewszystkie podobno wyliczone tam zdarzenia surowéj krytyki próbę wytrzymaćby mogły.

Michał Szulc był adjunktem a późniéj następcą Gucewicza. Ten ani w guście ani w talentach niewyrównywał swojemu poprzednikowi. W tworzeniu i nakreślaniu planów zbyt śmiały, w dopilnowaniu wykonania leniwy i opieszały, w wyrachowaniu kosztów zbytkowny i chybiający, miał nieszczęście widzieć upadające przed oczami swojemi rozpoczęte i niedokończone jeszcze budowle, jak się to, między innemi, w jednéj z sal gimnazyalnych, w teatrze anatomicznym i we własnym jego domu przytrafiło. A gdy śpiesznie i niedbale budowana w Zakrecie drewniana sala, w któréj jenerałowie armii wiosną r. 1812 Cesarzowi Alexandrowi bal dać zamierzali, niedokonana runęła, Szulc, zbyt tym wypadkiem dotkniony, rzuciwszy się do Wilii, życie sobie odjął.

Celniejszém Szulca dziełem jest chór w kościele katedralnym na płaskiém śmiałéj budowli sklepieniu i na dwónastu kolumnach oparty; gmach sal anatomicznych ze Spaskiéj cerkwi, i biblijoteka uniwersytetu ze staroświeckiéj *auli* przerobiona.

Adjunktem Szulca był Michał Kado, rodem z Warszawy, młodzian dobrze usposobiony i najpiękniejszych nadziei. Ten, z niewiadomych mi powodów, plac swój, przed zgonem jeszcze Szulca, opuścił i do Warszawy się przeniósł. Facyata oranżeryi w ogrodzie batanicznym jest w Wilnie jedynym pomnikiem talentu i gustu adjunkta Michała Kado.

AKADEMIKA.

Szkoła główna Litewska zaraz na początku swojego utworzenia, przy hojném, na owe czasy, uposażeniu osób i niektórych zakładów, otrzymała z funduszu edukacyjnego 2,000 zł. Pol.

rocznego dochodu na sprowadzenie politycznych gazet i naukowych dzienników, iżby każdy z członków akademickich i z historyą swojego wieku i z postępem nauk, kunsztów i wszelkiego rodzaju wynalazków, wygodnie mógł się obeznawać. Niebrakło już wtedy w Europie na politycznych gazetach: Kuryer Niższego Renu, Gazeta Lejdejska, Kolońska, Frankfurcka we Francuzkim, Hamburska, Berlińska i t. d. w Niemieckim języku, powszechnie czytane były. Co się tyczy dzienników naukowych: gdy historya naturalna, chemija, fizyka i wszystkie stosowane nauki, były jeszcze w kolebce, mało też było im wyłącznie poświęconych pism peryodycznych. Lecz wkrótce, gdy dokładne umiejętności olbrzymim ku doskonałości postąpiły krokiem, zjawiło się mnóztwo miesięcznych i tygodniowych pamiętników, które roznosiły z niewymówną chyżością po najodleglejszych krajach nowo odkryte, we wszystkich gałęziach przemysłu ludzkiego, lub sprostowane prawdy i wynalazki.

Nieliczne było pierwiastkowo akademii naszéj zgromadzenie, a i to tak nieszczęśliwie dobrane, iż z pomiędzy kilkunastu członków, niebyło żadnego, któryby chciał i mógł wznosić się i postępować na równi ze wzrostem i postępem tych rozlicznych i rozległych wiadomości. Jedni, jak xx. Dawid Pilchowski, Tomasz Usarzewski, Gwilhelm Kaliński, Bernard Siruć, Michał Olechnowicz, szanowni zkądinąd wiekiem i zasługami mężowie, stali już u kresu naukowego zawodu, za który postąpić zwątlone siły im niedozwalały. Drudzy, a ci wszyscy ex-Jezuici, lubo młódsi i w kwitnącéj sił czerstwości, niemogli podobnież, korzystać z szerzącego się w obcych krajach oświecenia. Żaden z nich chemii, historyi przyrodzonéj i innych dokładnych nauk początkowego nawet niemiał wyobrażenia; z językiem Francuzkim mało obeznani, a Niemieckiego żaden z nich nierozumiał. A co najgorsza, zarozumiali i pyszni, wysoką, i wedle ich mniemań, wszystko obejmującą zakonu swego mądrością, gnuśnieli w gorszącém próżnowaniu, i od czytania wszelkich dzieł do oświecenia wiodących nieprzezwyciężoną mieli odrazę. Na nich to jednak kommissya opierała nadzieje przyszłéj narodowéj oświaty; dla nich obmyślała stopniowego kształcenia się środki. Wielki zaiste i chwalebny zamiar, przez nietrafny wybór piérwszych do szkoły głównéj powołanych nauczycieli, całkowicie chybiony!

Na zgromadzenia ku wspólnemu czytaniu rzeczonych pism peryodycznych wyznaczona była sala i dzień niedzielny każdego tygodnia, jako wolny od szkolnych zatrudnień. Zatrudnienia

te akademiką nazwano. Aby zaś zachęcić wszystkich do pilniejszego uczęszczania, niewiem, czy zgodnie z myślą komissyi, czy na samo żądanie członków, wyrzeczono: *Adsit laetitiae Bacchus dator*..... Na to hasło zbierali się ochocze wszyscy do składu akademii należący: dziekani, sekretarz, biblijotekarz, i ci nawet professorowie, którzy rzadko albo nigdy na lekcye swe nieprzychodzili, piérwsi zawsze na akademikę pośpieszali. Niebędąc wtedy członkiem akademii, niebyłem nigdy uczęstnikiem czynionych tam muzom libacyj. To tylko wiem pewnie, iż boginie te zbyt prędko ustąpiły gwarliwemu bóztwu przygotowanego sobie przybytku. Jakoż na tych schadzkach nic nieczytano; żadnych naukowych przedmiotów nierozbierano, i na samych tylko politycznych i potocznych, jakie kto przyniósł, wiadomościach przestawano. Żarty, płaskie koncepta i gorszące z miasta nowinki, były kilkagodzinną znużonych niby tygodniową pracą nauczycielów.

Co gorsza, tu było pole otwartéj z komissyą walki o reformę nauk w powszechności i o wprowadzanie do szkół Polskiego języka w szczególności. Ex-Jezuici, niezdolni oceniać ducha nowych szkołom podanych ustaw, poczytując nałogowie zepsutą swą Łacinę za powszechny klucz do wszystkich umiejętności, xiążki elementarne w ojczystym języku napisane za szkodliwe oświeceniu ogłaszali; a nieśmiejąc mierzyć się wstępnie ze światłymi towarzystwa elementarnego mężami, prace ich uszczypliwemi, żartami poniżać, a samych na pośmiech i wzgardę publiczności wystawiać usiłowali.

Na tych to schadzkach, śmielszy nad innych i dowcipniejszy x. Andrzéj Strzecki, zagrzewany duchem bóztwa rozweselającego, wybierając, jak się rzekło, nowe i nieutarte z xiąg elementarnych techniczne wyrazy, przekręcając istotne ich znaczenie i tworząc rozciągłe okresy, wyszydzał, w obec swych zwolenników i xięgi same i ich autorów. Tu szły w zapasy zestarzałe Łacińskie, czyli raczéj barbarzyńskie, samém tylko długiém nadużyciem i przesądem upoważnione, grammatyczne wyrazy z gładko, trafnie i dobitnie rzeczy tłómaczącą Polszczyzną. Tu Alwar oszańcowany niedostępnym sześciomiarowych prawideł okopem, troskliwy o berło, którém przez dwa wieki w Polskich szkołach samowładnie rozkazywał, miotał srogie na Kopczyńskiego pociski, iż ten i ojczysty swój język ze skaz i przywar oczyszczał, i do nauczania się Łacińskiego krótszą i łatwiejszą wskazywał drogę. Tu sławna geometryczna *Hypotenuza* najgrawała się z młodéj Polskiéj siostry swojéj *Przeciw-*

prostokątnéj. Tu czysta i niewinna Flora, za objawienie płci w kwiatach, o bezstyd posądzana; tu geognostyczne badania o składzie gór i dawności skalnych pokładów, bezbożném kacerstwem mianowane były. Tu szanowni nieznanéj dotąd w Litwie historyi przyrodzonéj professorowie, Gilibert i Forster, piérwszy o próżny mozoł nad nikczemnemi drobiazgami wyśmiewany (*), drugi o podkopywanie zasad wiary Chrześcijańskiéj był posądzany.

Niedługo jednak trwały te gorszące akademików naszych wrzaski. Zorza nauk coraz się rozjaśniała; naród oświecać się począł; usiłowania mądrego króla i opiekuna krajowego oświecenia magistratury, stanowcze nad uprzedzeniem odniosły zwycięztwo. W szkołach wydziałowych i powiatowych znalazło się wielu młódszych świeckich i duchownych nauczycielów, którzy, obeznawszy się gruntownie z xiążkami elementarnemi, z wielką młodzi korzyścią wykładali nauki. Powołani w akademii na wakujące katedry krajowi i zagraniczni, znani z nauki i gor-

---

(*) X. Poczobut, przeglądając piérwsze sposzyty *Collectiones*, Flory Litewskiéj Giliberta, widząc w nich niezrozumiałe sobie suche roślin opisy, i nieznajdując, jak u Syrenijusza, wskazanych na choroby lekarskich skutków, miał wyrzec ze zwyczajną sobie opryskliwością: *Czegoż nas ten zawołany cudzoziemiec nauczył? Nos autem sperabamus quia ipse redempturus erat plebem Israel.* To było hasłem powszechnéj zwolenników jego dla Giliberta pogardy i prawie prześladowania. Szanowny ten botanik, drażniony bezustannie niepowściągnioném prac swych wyszydzaniem, żali się wielokrotnie w rzeczoném dziele na tych nieoświeconych żartownisiów. Apostrofę jego do Strzeckiego z piątego sposzytu wyżéj już przywiodłem. W drugim, na stronicy 143, gnuśność ich i nierozsądne prac swych nicowanie ostrzéj nieco wyrzuca: *Quidam nihil agentes, sed placide dormientes et digerentes, labores nostros viles riddere voluerunt...... O duri censores! Historiae Naturalis elementa nondum olfacetis: iam tamen cultores huius amenae scientiae sub incude dura censurae mordacis promitis.* Po oddaleniu się Giliberta, całe wydanie tego wzorowie wypracowanego o roślinach naszych dzieła, uznane za próżny w xięgarni ciężar, do fabryki tabacznéj w Zakrecie, na zawijanie tabaki, przedane zostało. Od téj całkowitéj zaguby ledwo pięć exemplarzy, kupując je dla siebie i niektórych biblijotek, ocaliłem; i tyleż mogło ich pozostać w rękach kilku gorliwszych uczniów tego szanownego professora. Inaczéj śladby podobno niezostał piérwszego w kraju naszym nauki téj zarodu.

liwości mężowie niechcieli dzielić z Alwarzystami szkodliwego powszechnemu dobru stronnictwa; a ci, nieodbierając już od światlejszych kolegów zwykłych swym płaskim żartom i uszczypliwym przekąsom oklasków, sami wkrótce dobrowolnie zamilkli. Zaprowadzone jednak w początkach akademiki, acz wręcz przeciwne zamierzonemu przez komissyę celowi, trwały, lubo pod skromniejszą już i przystojniejszą postawą, do ostatnich r. 1794 krajowych zaburzeń; i wtedy dopiéro ustały gdy źródło zabaw, jedyna tych schadzek ponęta, zatamowane zostało.

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA

O KRWAWYM DJABLE,

PRZEZ

JÓZEFA PRZYBOROWSKIEGO.

Kogo niewinnie potępią współcześni, ten odwołuje się do sądu historyi i od niéj spodziewa się przywrócenia czci; kogo niewinnie potępi historya, tego niewinność tylko Bogu wiadoma. Chlubne jest stanowisko, które zajmuje pierca sądowy zasłaniający niewinnie ściganych przed nieubłaganém ramieniem sprawiedliwości ludzkiéj. Lecz stokroć świętsza bronić przed tronem historyi prześladowanych na mocy podejrzanych świadectw lub całkiem może mylnych. Występujemy w obronie dwóch osób wieku XIV, które przez szczególną ironiję losu przez pięć blizko wieków daremnie żebrały sprawiedliwości przed dostojnym tronem historyi, chociaż same całe swe życie poświęcały wymierzaniu sprawiedliwości. Piérwszą z tych osób jest Jan Czarnkowski, sędzia Poznański w piérwszéj połowie panowania Władysława Jagiełły; drugą Mikołaj Wenecki, który w tymże samym czasie był sędzią Kaliskim.

Niesława Jana, sędziego Poznańskiego, opiera się na świadectwie Długosza (1), który rozpowiadając o piérwszym pobycie Władysława Jagiełły w Poznaniu, podaje, że król ten zajęty zaprowadzaniem ładu w zaburzonéj Wielkopolsce, powaśnionych Grzymałów i Nałęczów pogodził, następnie Jana sędziego Poznańskiego, z rodu Płomieńczyków, dziedzica Wenecyi, dla niecnych przewinień Krwawym Djabłem zwanego, z urzędu złożył, dóbr pozbawił i wtrącił do więzienia na lat kilka. Dodaje

(1) Długosz, xięga X, str. 108.

nadto, że niesprawiedliwe jego wyroki, przez które wielu najniewinniejszych ludzi z dóbr wyzuto, zostały przejrzane i zniweczone. Tyle Długosz; z współczesnéj kroniki Archidyakona Gnieźnieńskiego (1) dowiadujemy się tylko, że Jan sędzia Poznański jest członkiem znakomitéj Wielkopolskiéj rodziny Czarnkowskich; nieznajdujemy żadnéj wzmianki ani o przydomku niepochlebnym na pozór, ani o niegodziwych czynach, które przydomek ten wywołać miały. Wszyscy późniejsi pisarze powtórzyli budujące podanie Długosza, chociaż milczenie współczesnéj kroniki Archidyakona pewną ostróżność nakazywało. I tak Kromer (2) opowiada, że Jagiełło Jana Weneckiego Płomieńczyka, sędziego ziemskiego Poznańskiego, dóbr zabraniem i więzieniem pokarał. To samo powtarza Kronika Polska Bielskich (3), z tym jednym wyjątkiem, że nie Weneckim, ale Wienieckim go nazywa. I Kromer i Bielscy zdają się niewiedzieć, że nie Jan Wenecki Płomieńczyk był w owym czasie sędzią Poznańskim, ale Jan Czarnkowski herbu Nałęcz. Ostatni z historyków, który dość obszernie mówi o Janie Czarnkowskim, jest Szajnocha (4). W nieocenionéni swém dziele *Jadwiga i Jagiełło* opowiedział to, co znalazł w Długoszu; lecz widząc zawikłanie przez zmianę naźwiska i herbu, starał się oczywistą sprzeczność wytłómaczyć przez przypuszczenie (5), że kronikarze ochraniając znakomitą rodzinę Czarnkowskich przemilczeli jego rzeczywiste naźwisko, nazywając go Weneckim od wsi dziedzicznéj Wenecyi (dziś jeszcze w Wielkopolsce istniejącéj), że Czarnkowscy sami wyrzekli się wspólnictwa z potępieńcem, za czém poszło, że go niesłusznie wpisano pod herb Płomieńczyk. Przyzna każdy, że z temi źródłami, któreśmy dotąd znali, lepiéj wytłómaczyć téj sprzeczności niebyło można. Nikt się pewnie niedomyślał, że zawikłana ta sprawa jak najłatwiéj rozwiązać się da przy pomocy samych akt, tak zwanego Archiwum Grodzkiego w Poznaniu, bo też mało kto dotąd o tém wiedział, że akta te bardzo dobrze dochowane zaczynają się rokiem 1386, a tym, co z nich korzystali, ani na myśl przyszło, szukać w nich Krwawego Djabła. Objąwszy

---

(1) Sommersberg I, str. 135.
(2) Marcina Kromera o sprawach, dziejach i wszystkich innych potocznościach; przekład Błazowskiego, Kraków, 1611, str. 315.
(3) Wydanie z roku 1597, str. 272.
(4) Jadwiga i Jagiełło, tom II, 348 i 352.
(5) Tom I, str. 378.

przed rokiem zarząd rzeczonego Archiwum Grodzkiego, starałem się poznać jego znaczenie naukowe, a od niniejszéj pracy zaczynając, pragnę z czasem wykazać, ile niepoznane i nieprzebrane to źródło przydatném być może w odsłanianiu mglistego obrazu odległéj przeszłości.

Że pod koniec wieku XIV był sędzią Poznańskim Jan Czarnkowski, o tém wiémy już z Archidyakona Gnieźnieńskiego; kiedy zaś został sędzią, dokładnie oznaczyć się nieda. Bielski już pod rokiem 1379 tę godność mu przypisuje (1); że w roku 1383 piastował ten urząd, pokazuje się jak najdowodniéj z dokumentu, który w tym roku podpisał *Jan sędzia Poznański* (2): zastał go przeto na urzędowaniu Władysław Jagiełło, kiedy poraz piérwszy zwiedzał Wielkopolskę w roku 1386. Stwierdzają to zapiski akt Poznańskich, opiewające że na rokach, w ciągu tego roku odbywanych, prawie zawsze przytomny jest Dominus Joannes Judex Posnaniensis. Że tym Janem jest Czarnkowski, w aktach Poznańskich niezapisywał notaryusz ziemski: było to bowiem każdemu wiadome. Janem z Czarnkowa nazywa się sam pod rokiem 1397 w aktach grodu Kościańskiego (3). Niedostarczają jednakże akta pomienione dowodu

---

(1) Kron. Polska, str. 252, piérwszego wydania.
(2) Obraz miasta Poznania, tom I, str. 115.
(3) Lib. Terr. Costen. 1397, fol. 72. Nos Joannes de Czarnkowo judex Poznanien. notum facimus tenore praesentium, quibus expedit universis, quod sub anno Domini MCCCXC septimo Sabato post diem Sancti Stanislai in mense Majo in generalibus terminis in curia et adventu Illustrissimae Principis Dominae Hedvigis Reginae Poloniae in Posnania, ubi atrenui et nobiles viri, domini Sandziwogius palatinus Kalisien. et capitaneus Majoris Poloniae generalis, Swentoslaus castellanus Kalisiensis, Petrus sub judex Posnaniensis, Dersko vexillifer Posnan. Sandziwogius de Wyzanowo, Nicolaus Castellanus Drozinensis Laurentius de Bendlewo, et alis Terrae Poloniae in Regali Judicio praesidebant; ibi ad nostram et dictorum dominorum veniens praesentiam Nobilis domina Margaretha relicta Jaszkonis literas recognitionis Nobilis Domini Nicolai judicis Kalisiensis sigillo suo impresso infrascriptas coram nobis exhibuit et produxit, et sequitur tenor literarum de verbo ad verbum: „Nobilibus viris, „Dominis, judici, subjudicibus et aliis suppariis quibuscunque „Judicio Regali in Costan praesidentibus Nicolaus Judex terrae „Kalisiensis generalis amicitiam semper pronam. Domini et ami„ci nostri dilecti! vobis praesentibus publice profitemur, quod „in summis terminis protum in civitate Pisdri Serenissima Prin-

na podanie Długosza: owszem zbijają je jak najzupełniéj, gdyż sędzia Jan nietylko w r. 1386 nie ustępuje nikomu swego miejsca, ale pozostaje sędzią i wymierza sprawiedliwość tak na rokach Poznańskich, jako i na Kościańskich od roku 1386 bez przerwy aż do roku 1401, w którym to roku na jego miejsce nastąpił Mikołaj Czarnkowski, zasiadłszy poraz piérwszy na rokach Poznańskich w środę przed św. Janem r. 1401 (1).

Dwie wzmianki w kronice Archidyakona Gnieźnieńskiego wystawiające Jana Czarnkowskiego w korzystném świetle, tudzież zapiski sądowe współcześne i dokument z r. 1383 jego podpis noszący, oto wszystko, co do autentycznych źródeł policzyć się niewahamy. Z temi wzmiankami żadną miarą nieda się pogodzić wiadomość Długosza blizko sto lat późniejsza. Sędzia Jan wymierzający sprawiedliwość przez 20 lat z okładem i to bez przerwy, niesiedział oczywiście kilku lat w więzieniu; bo niemiał do tego czasu, niedoznawszy złożenia z u-

---

„cipe Domina nostra Regina ibidem praesente celebratis, ubique „plures strenui et nobiles domini Judicio praefuerunt, ibi domi„norum in praesentia Judicio praesidentium nobilis domina Mar„garetha de Krayewicze cum liberis suis jure cum domina Han„ka et viro ipsius de Razeewo (Leczeyewo w xięgach Pyzdrskich) „contendebat pro et super haereditate Bartoszew (Bartoszewi„cze w xięgach Pyzdrskich) dicta. Domini vero utrarum que „dominarum percepta questionis materia, praefatae dominae Mar„garethae ratione dictae haereditatis testes producere sententia„verunt et adjudicaverunt contra praefatam Hankam et contra „Msczich Scoroszewsky et contra Janussium de Sarbinowo. „Tandem dicta Hanka notens testes producendos andire, de Ju„dicio exivit. Praedicta vero domina Margaretha suo termino pa„ruit, quem contra candem Hankam judicialiter astitit usquequo „termini praetacti fuerant resignati. Extum petimus Vos Stre„unos dictae Dominae Margarethae auxilium vestrum praebere „velitis, literam domini Judicis danceps confirmare. Damus in „Pisdri feria quinta in crastesio Sanctorum Philippi et Jacobi „Apostolorum sigillo nostro subannexo." — Nos igitur Judex dictas legi mandavimus et de consilio dictorum dominorum et mandato speciali easdem literas confirmavimus et adjudicamus, ac dominam praedictam cum pueris suis justam facimus per praesentes. Harum igitur nostrum sigillum praesentibus est appensum testimonio literarum. Actum et datum anno, die, loco, dominis, quibus supra. — Ta sama sprawa napisana w Lib. Terr. Pysdren. 1397, fol. 35.

(1) Lib. Terr. Posnan, a. 1401, fol. 73 sqq.

rzędu, jak to podaje Długosz. Zapewnie też odjęciem dóbr nie był karany, boć najbliższą karą, którąby poprzedzić musiała, byłoby odebranie godności sędzkiéj. Niemasz śladu w licznych zapiskach współczesnych Archiwum Poznańskiego, aby wyroki Jana niweczono, ani też aby postępowanie jego czyniło go przedmiotem nienawiści: to też ani razu zapiski rzeczone nie nadają mu przydomku *Krwawy Djabeł*, chociaż zapisywanie przydomków obok właściwego nażwiska albo też bez niego, w owym wieku było rzeczą bardzo zwyczajną (1). Nakoniec ani Archidyakon Gnieźnieński, ani xięgi grodzkie niestwierdzają podania Długosza, że Jan sędzia posiadał wieś Wenecyę lub pisał się z Wenecyi. Tak więc wszystko to, co o Janie sędzim Poznańskim opowiedział Długosz, niesłusznie obarcza pamięć Jan Czarnkowskiego, jeżeli na współczesnych świadectwach polegać mamy. Zdaje się, że Długosz zaczerpnął z ustnego podania, a przy ogromie swéj pracy niemógł popytać istniejących zapisków, azali niezaprzeczą wieści przez wiek cały z ust do ust podawanéj, lub jéj w innèm świetle nieprzedstawią.

Z całego opowiadania Długosza to przynajmniéj po sumiennèm zbadaniu źródeł pozostaje niezaprzeczonèm, że żył pod koniec wieku XIV człowiek, który rzeczywiście miał przydomek Krwawy Djabeł, że człowiek ten był dziedzicznym panem wsi Wenecyi (2), (skąd inaczéj nazywano go Weneckim

(1) Oto kilka przykładów: Lib. Ter. Pyzdr a. 1392 fol. 12, Albertus dictus sędzia de Gorzyce.— fol. 15, Piotrka dicta Polka de Lissowo.— a. 1394, fol. 27, Nicolaus Wiercikij.— a. 1397 fol. 33, Dersko dictus Baranek.—fol. 36, Mathias de Klichowo alias dictus Tłuczymost.— fol. 38, Mathias de Biechowo dictus Kot. — a. 1399, fol. 78, Nicolaus dictus Drapiesz de Wangry.— fol. 81, Joannes dictus Goły de Strzałkowo.— a. 1401, Joannes dictus Sobiepan de Cieśle.— a. 1403, f. 44, Albertus dictus Marzec de Czernica.—a. 1409, fol. 99, Nicolaus dictus Diekan alias haeres de Pawłowice.— Lib. Ter. Posnan. a. 1414, Strennus dominus Nicolaus Tumigrała.— a. 1415, f. 103, Dobiesław Kręciwłos de Stobnica advocatus.

(2) Posiadał prócz tego Kiszkowo miasteczko i Rybno w powiecie Gnieźnieńskim, jak się okazuje z następującego zapisku Lib. Ter. Pyzdr. a. 1397, fol 35. Nicolaus Judex Kalisiensis vero dominorum tune in summis terminis sendentium judicio evasit dominam Margaretam de Dobrzsko sororem suam germanam pro Kyszko et Ribno cum attenentiis vulgariter Przysotski, ita quod domino Nicolao judici Kalisiensi Kyskow et Rybno ad-

Djabłem) i że był sędzią. Pewniki te opierają się na zapiskach xiąg sądowych współczesnych. Wszystkie inne podania dalszemu badaniu pozostawiając, przystępujemy do przytoczenia zapisów Krwawego Djabła dotyczących.

Najdawniejsza wzmianka tego przydomku umieszczona jest w piérwszéj xiędze grodu Poznańskiego pod rokiem 1392, fol. 76. Czytamy tam że Sławenta ustał rok zawity na sędzim Kaliskim Mikołaju Krwawym Djable o dziesięć grzywien groszowych (1). Przydomek ten urzędownie nadany sędziemu Kaliskiemu stwierdza drugi zapisek tejże xięgi pod rokiem 1395, fol. 135, opiewający (2): że stanąwszy przed żupanami Poznańskimi Damastry obywatel Poznański, zanosi skargę przeciw panu Mikoszowi sędziemu zwanemu inaczéj Krwawym Djabłem, o dwie kopy groszy. Mikoszem tym oczywiście nie kto inny jest, tylko Mikołaj sędzia Kaliski. Ciekawą rzeczą jest, że wyrok w sprawie téj zapadł w przytomności Jana sędziego Poznańskiego, tego samego, którego niesłusznie pod imieniem Krwawego Djabła osławił sumienny zkądinąd Długosz.

Trzecia wzmianka z r. 1398 zawarta w téjże saméj xiędze fol. 211, odnosi się do roku danego Przybysławowi z panem sędzią, zwanym inaczéj Krwawym Djabłem (3). Nażwisko imie i miejsce urzędowania niewymienione, z czego wnosić się godzi, że sędzia Mikołaj powszechnie był zwany pod wzmiankowanym przydomkiem.

---

judicaverunt. Żoną zapewnie Mikołaja jest Dorotea olim judicissa Kalisiensis, wspomniana w aktach Poznańskich pod r 1419, fol. 140, a synem syn tejże Doroty Janussius haeres de Gorzewo.

(1) Item Slaventa astitit termins peremptorio super judice Nicolao Krwawi dyabel Kalisiensi pro decem marcis grossorum dampui.

(2) Cum veniens Damastry civis Posnaniensis ad nostram omnium zupariorum Posnaniensium praesentiam, tune proposuit super domino Mikoszio judice alias Carwawy Dyabel pro duabus sexagenis grossorum secundum trasitum in Polonia, et tum domini considerantes propositionem praedicti Damastrii quod justa et vera fuit propositio, tunc domini adjudicaverunt sibi praedictas pecunias, videlicet duas sexagenas, in praesentia domini Joannis judicis Posnaniensis et Potrassii vice palatini et aliorum dominorum quam plurimorum circumsedentium.

(3) Item Przibislaus cum domino judice alias dicto Krwawi Dyabel habent terminum ad proximos terminos minores post recessum domini regis, coram judicibus in judicio regali tunc praesidentibus.

Témbardziéj okazuje się to z czwartego zapisku pod r. 1398, fol. 214, w którym występuje Krwawy Djabeł bez imienia, nażwiska i tytułu (1). Gdyby ktokolwiek inny w tym samym czasie miał przydomek Krwawy Djabeł, zapewnieby pisarz ziemski był przynajmniéj imie zapisał.

Przytoczone cztery zapiski udowodniając, że pod koniec wieku XIV był sędzią Kaliskim Mikołaj przydomku Krwawy Djabeł, są zarazem najwyraźniejszém świadectwem, że Jan Czarnkowski współczeŝny sędzia Poznański może jak najniewinniéj został osławiony przez historyka czerpiącego z podań ustnych. Rzeczony Mikołaj sędzia Kaliski, jest ten sam, który w r. 1383, wspólnie z Janem sędzią Poznańskim, podpisał dokument znany z Obrazu miasta Poznania (I, 115).

Usunęliśmy wszystkie sprzeczności i wątpliwości, jakie powstały w historyi tego czasu przez zamianę osób. Pozostaje nam jeszcze wykazać, że tenże Krwawy Djabeł dostojny sędzia Kaliski był zarazem znanym do dziś dnia z przysłowia Djabłem Weneckim, czyli dziedzicem wsi Wenecyi, leżącéj śród trzech jezior między Żninem a Gąsawą, a będącéj dziś własnością Iłowieckiego. I w tém akta grodu Poznańskiego okazują się nieocenionėm źródłem. W roku 1400 ostatni raz zapisany jest sędzia Mikołaj pomiędzy osobami zasiadającemi na rokach. Do tego roku nigdzie nienapotykamy wzmianki aby był dziedzicem wsi Wenecyi, ani też aby od posiadłości swéj Kiszkowa lub Rybna przybrał nażwisko Kiszkowskiego lub Rybińskiego. Lecz ponieważ wyroki jego wbrew podaniu Długosza pozostały prawomocnemi nawet po jego śmierci, znajdujemy zapisek pod rokiem 1408, w którym odwołują się strony do powagi *Mikołaja Krwawego, sędziego Kaliskiego, świętéj pamięci dziedzica Wenecyi*, który czasu swego mocą wyroku przyznał Piotrowi i Wincentemu z Brzeźna domy leżące w blizkości klasztoru Dominikańskiego w Poznaniu (2). Przez cześć dla zmar-

(1) Item Crwawi Dyabel astitit termino super Jodoco, pro quo ipsum inculpavit, attingens se ad illum, qui sibi terminum asignavit.

(2) Lib. Ter. Posnan. a. 1408, fol. 46. Item domini judicio praesidentes conservaverunt Petrassium de Brzesno circa literas resignatorias, quas habet super areas seu domos, quae sunt prope monachos Sancti Dominici in civitate Posnaniensi erga Joannem Dupinski, Sdzedrziconem Conarski, Czemam Gyreczski et pueros suos, nec non pueros Petrassii Gyreczski Mscziszconem Scoroszewski, Ubiszconem Conarski, quae etiam areae seu domus datae sunt sibi, videlicet Petrassio et Vincentio fratri suo

łego sędziego opuszczono na tém miejscu nazwę Djabeł, poprzestając na przydomku Krwawy. Tym sposobem sprawdzają się podania Kromera i Bielskiego, chociaż niecałkiem, gdyż oni Janem Weneckim nazywają sędziego obarczonego przydomkiem Krwawego Djabła, a nadto okazuje się, że znany z przysłowia Wenecki Djabeł jest osobą historyczną.

Z wszystkiego, co się dotąd powiedziało, wypływa, że Jan Czarnkowski sędzia Poznański ani Krwawym Djabłem niebył nazywany, ani niezasłużył na zarzuty czynione mu przez historyków; daléj okazało się, że pomyłka powstała przez przeniesienie na niego przydomka należącego jedynie do Mikołaja sędziego Kaliskiego, dziedzica Wenecyi. Pozostaje wykazać, że zarzutami czynionemi przez Długosza niegodzi się obarczać pamięci ani tego sędziego, któremu świadectwa współcześne przydomek Krwawego Djabła nadają.

Podaje Długosz, że Jagiełło za piérwszéj swéj bytności w Poznaniu strącił Krwawego Djabła z urzędu, wyzuł z majątku i w więzieniu na kilka lat osadził. Podania tego ani co do rzeczywistego Krwawego Djabła, czyli Mikołaja sędziego Kaliskiego niepotwierdzają współcześne zapiski sądowe. Na czele każdych roków lub poroczków wymienione są osoby sąd składające; z notat tych uzupełnia się spis dostojników Wielkopolskich znanych z Lelewela (1), a z drugiéj strony co do

una per dominum Nicolaum Crwawi judicem Kalisiensem de Weneczya piae memoriae haeredem; et aliam aream Petrassio praefato soli per dominos videlicet Sandziwogium de Szamotuly palatinum et Martinum Zwanowski gladiferum Posnaniensem fratres uterinos, quae areae sunt in metis seu graniciebus (ab)area Splawski usque ad murum civitalis Posnaniensis in loergitudinem et in latitudinem ab area haeredum in Golutowo usque ad areas haeredum de Mliny, et super hoc Petrassius praedictus adjudicatum solvit.

(7) Polska, dzieje i rzeczy jéj, Tom IV, Poznań 1856. Niech nam wolno będzie przytoczyć przykład tych uzupełnień. Umieszczony przez Lelewela między kasztelanami Krzywińskimi Szczedrzyk Karczicensis nasuwa domysł że istniała nieznana kasztelanija Karsiecka we wsi Karsiec. Świętosław Iłowiecki w księgach grodzkich między r. 1415 a 1420 pisany jest castellanus Carssiczensis, Karsiczensis, Karczicensis i Karciczensis. Że to ma być Karsicensis dowodzi convicinitas Carschiczensis t. j. opole Karsieckie, gdyż wsie podane pod tém opolem w r. 1417 leżą około wsi mylnie Karzec na mapie Kurnatowskiego wypisanéj, a właściwie Karsiec się nazywającéj i pod miastem Kro-

Mikołaja Weneckiego pokazuje się z zapisków grodu Poznańskiego, Pyzdrskiego i Kościańskiego, że tenże od roku 1386 bez przerwy rok po roku wymierzał sprawiedliwość aż do roku 1400, często w przytomności króla Władysława, który corocznie około Zielonych Świątek lub Bożego Ciała zjeżdzał do Wielkopolski na sądy, niekiedy w przytomności królowéj Jadwigi (zobacz str. 153, przyp. 3), która jak wiadomo, występując w obronie pokrzywdzonych nawet wyroki dostojnego małżonka cofać umiała, a tém mniéj niebyłaby dozwoliła, aby pod jéj okiem przedrzeźniał sprawiedliwość człowiek zohydzony niegodziwością i uciskiem niewinnych. Mikołaj sędzia Kaliski, który ani na chwilę nieustąpił ze swego urzędu przed rokiem 1400: niebył więc z urzędu zrzucony; tém samém niebył więziony przez króla Władysława, gdyż urzędując bez przerwy niemiał czasu kilka lat wysiadywać w więzieniu; a będąc wskazany na więzienie niebyłby zapewnie pozostawiony przy urzędzie. Nakoniec, niewiedzieć czemu miałby być karany utratą dóbr, kiedy niebyło powodów do złożenia go z urzędu. To też zapisek z r. 1408 nazywa go nawet po śmierci dziedzicem Wenecyi.

Wszakże możnaby jeszcze na obronę Długosza wystąpić z twierdzeniem, że mogła spotkać Mikołaja Weneckiego ta sama kara w roku 1400, którą Długosz pod rokiem 1386 umieścił, gdyż w roku 1400 znika na raz Krwawy Djabeł z widowni; byłaby to pomyłka co do lat bez naruszenia faktów przez kronikarza podanych. Przypuszczenie to niepokoiło mnie przez czas niejaki, zwłaszcza, że ustąpienie sędziego Kaliskiego i sędziego Poznańskiego, którym był Jan Czarnkowski, w jednym i tymże samym roku zdawało się niebyć przypadkowém. Wspólnictwo dwu tych dostojników w niecałkiem prawych postępkach mogło spowodować usunięcie równoczesne jednego i drugiego. Dokładne przejrzenie xiąg sądowych z r. 1400, i tę trudność nazawsze usunęło. W roku tym zjechał, jak zwykle corocznie, król Władysław na sądy do Wielkopolski około św. Stanisława. W jego przytomności zasiadał w licznem gronie dostojników na sądach i Mikołaj sędzia Kaliski. Tak w sobotę w oktawę św. Stanisława sądzą w Gnieźnie w do-

bią leżącéj. Druga kasztelanija Wielkopolska nieznana Lelewelowi jest Ksiązka. Zapisujemy tymczasowo następujących kasztelanów Książkich. Benijamin 1398; Andrzéj z Witaszyc 1399; Henryk Zimnowodzki 1401; Derszko Błożejewski 1406; Filip de Czelcza, Cielecki 1412.

mu Abrahama proboszcza Łęczyckiego i kanonika Gnieźnieńskiego. Jan Ligęza wojewoda Łęczycki, Jan Furman kasztelan natenczas Rogoziński, a następnie Międzyrzecki, Mikołaj kasztelan Śremski, Mikołaj sędzia Kaliski, Jan sędzia Poznański, Jakusz zwany Jaka podsędek Kaliski i licznych innych wielu; król Władysław jest obecnym. Jest to ostatnia wzmianka o Mikołaju Weneckim, za jego życia (1).

W tymże samym roku we środę przed św. Jadwigą zapisana jest sprawa między Petryką a synami zmarłego sędziego Kaliskiego, który na tém miejscu nosi przydomek Krwawiec; przedmiotem skargi sądowéj było 30 grzywien, które przez sędziego Mikołaja na wieś Rokitnicę, leżącą w powiecie Poznańskim, zaciągnięte zostały. Dług ten niezwłócznie przez potomstwo sędziego bez czekania drugiego terminu i trzeciego zawitego, spłacony został, i dla tego zapisek w xiędze sądowéj jest poprzekreślany (2).

Drugi raz pod tym samym rokiem wspomina xięga Poznańska o Mikołaju Weneckim jako o zmarłym, w procesie synów jego o Kiszkowo i Rybno, o które niegdyś i sędzia sam ze swą siostrą prawem się rozpierał (3).

Dla uzupełnienia wiadomości o Djable Weneckim nadmieniamy jeszcze, że wdowa po nim imieniem Dorota późnych lat doczekawszy się, w roku 1427 zrzekła się wiana i posagu zapisanych na Gorzewie na rzecz wnuków swych Mikołaja i Jakóba pozostałych po zmarłym synie Januszu, zastrzegłszy sobie do śmierci odzienie i wyżywienie (4).

---

(1) Lib. Terrestr. Posnan. 1400, fol. 28.

(2) Causa Petricae et puerorum domini judicis mortui. Item pendet terminus inter Petricam et pueros domini judicis Kalisiensis Crawawecz de Rokitnicza ad solvendum eidem Petricae triginta marcas per eosdem pueros in magnis terminis proxime venturis, et si non fuerint, tunc ad minores terminos in proximo celebrandos sine omni excusatione.— Ordinavit et solvit.

(3) Lib. Terr. Posn. 1400, fol. 79. Terminus datur pueris judicis Kalisiensis felicis recordationis propter Kiszkowo et Rybno.

(4) Lib. Terr. Posn. 1427, fol. 87. Item veniens Generosa domina consors olim judicis dicti Krwawy Dyabel non compulsa non coacta, sana mente existens coram judicio dimisit suis consobrinis vulgariter wnuczątom Nicolao Jacobo filiis olim Janussii de Gorzewo totum suum dotatitium et dotem vulgariter posag et vano, quod habuit ibidem super Gorzewo, et ab eodem perpetualiter condescendit, et literam resignatoriam domini Capitanei, quam habuit super hoc idem dotatitiam et dotem super Gorzewo,

Z przypadkowych wzmianek na różnych miejscach niniejszéj rozprawki przytoczonych widzimy Krwawego Djabła w posiadaniu Wenecyi (1), Rokitnicy, Kiszkowa, Rybna i Gorzewa. Mogłoby kogo dziwić, że mimo to rodzina Weneckich niknie bez śladu. Pochodzi to mojém zdaniem ztąd, że w końcu wieku XIV i na początku XV ze zmianą dziedzictwa zmieniano i nażwisko, gdyż nażwisko było wówczas używane czysto przymiotnikowo, jak to jeszcze i dziś lud nasz czyni, nazywając panów nie imieniem ich familijném, lecz przymiotnikiem utworzonym od miejsca pobytu. To też owdowiała synowa Krwawego Djabła w dość licznych sprawach toczonych w sądzie Poznańskim, nienazywa się nigdy Wenecką, ale Gorzewską, a i mąż jéj, syn Mikołaja Weneckiego, już Januszem Gorzewskim albo Januszem z Gorzewa nazywał się. Czy inny jaki syn sędziego Kaliskiego dziedziczący wieś Wenecyę odziedziczył i nazwę Weneckiego, dotychczas niedoszedłem.

Niemyślę bynajmniéj zarzucać Długoszowi niedbalstwa w dochodzeniu prawdy: na ogrom prac po nim pozostałych niepodobna było, aby zajmował się szczegółami każdéj mniéj nawet ważnéj osoby historycznéj. Nieubliżymy przeto dziejopisowi, jeżeli polegając na pismach urzędowych uznamy, że wiadomość o przewinieniach i karach Krwawego Djabła zaczerpnął z tego samego mętnego źródła, z którego się dowiedział, że Jan sędzia Poznański zaszczycony został przydomkiem Krwawego Djabła,— to jest z ustnego podania. Każdy z nas miał zapewnie dosyć sposobności w życiu przekonać się, jak wieść przeistacza wypadki historyczne, jak po-swojemu przykrawa charaktery osób działających. Nazwa sama Krwawego Djabła dla wieści ludowéj ma cóś uroczego, zachwycającego: nic więc dziwnego, że podało ją jedno pokolenie drugiemu, tak,

---

randem perpetualiter mortificat et alias omnes literas adjudicatorias, si quas haberet super hoc; praedicti Nicolaus et Jacobus adjudicatum solvunt. Sed Generosa domina Katherina mater puerorum praedictorum cum eisdem pueris suis de Gorzewo videlicet Nicolao et Jacobo eandem dominam Dorotheam in expensis ipsorum prapriis, servare debent, ac omnia necessaria, videlicet victum et amictum, vestimenta et calceamenta ordinare debent, usque ad mortem suam; super quo eadem domina Dorothea adjudicatum dedit. Et hoc eadem domina Katherina de voluntate propria sua consensit.

(1) Nicolaus de Wanaczia judex Kalisiensis. Terr. Posn. 1400, fol. 25.

że do dni naszych doszła w postaci Djabła Weneckiego. Lecz szczegóły do téj nazwy przywiązane poszły pod krytykę fantazyi ludowéj; z czasem i to jeszcze przed Długoszem wyobrażnia ludu z dwóch tych wyrazów „Krwawy Djabeł" wysnuła cały łańcuch przyczyn i skutków i domyśliła się powodów nadania miana tak okropnie brzmiącego. Ztąd owe zbrodnie sędziego; a ponieważ wyobraźnia ludu lubi wymierzać sprawiedliwość i równoważyć dobre ze złém, przeto wypadało Jagiełłę przedstawić jako anioła wybawiciela i anioła mściciela. W téj postaci doszła ta wieść ucha Długosza, a on dbały o sławę dzielnych Jagiellończyków niewahał się podać ją potomności.

Cokolwiek inaczéj przedstawia się ten przedmiot zimnéj rozwadze molów archiwalnych: przekonawszy się, że sędzia Mikołaj był człowiekiem równie uczciwym jak wszyscy ci, którzy dzisiaj występują w obronie sprawiedliwości, upatrują innych powodów tego wyrazistego miana. My nasłuchawszy się tych argumentów, piszemy się na zdanie, że sędzia Mikołaj uzyskał przydomek na pozór tak niepochlebny, za doraźne wymierzanie sprawiedliwości na łupieżcach i najeźdźcach, których za panowania Ludwika i w czasie bezkrólewia, podobno Wielkopolska dość znaczne liczyła zastępy. Przydomek ten zapewnie nadany został piérwotnie przez tych, którym obawiać się trzeba było, aby ich niedosięgło ramie nieubłaganego sędziego. Lecz pomiędzy ludźmi uczciwymi był przydomek ten chlubą dla sędziego Mikołaja, jako dla stróża bezpieczeństwa publicznego, jako dla tego, który dobytek i życie każdego zasłaniał przed wyuzdaną swawolą łotrowstwa. Tylko w ten sposób pojmując znaczenie przydomku, wytłómaczymy sobie, jak osobie tak wysokie stanowisko zajmującéj mógł pisarz ziemski urzędowo nadawać przydomek na pozór tak obelżywy. Upada przez to jeden z listków wawrzynu splecionych dla protoplasty Jagiellończyków przez Długosza; lecz zarazem upada zarzut ciężki, obarczający pamięć ludzi zasłużonych, i przywracamy cześć dwóm mężom przez cztéry przeszło wieki czekającym na wymierzenie sprawiedliwości.

ZNACZENIE JĘZYKA LITEWSKIEGO WE WZGLĘDZIE NAUKOWYM,

PRZEZ

K. A. K.

„Le Lithvanien surtout s'est conservé dans toute son intégrité native, et, aujourd'hui encore, ce sont les paysans de la Lithvanie, qui parlent la langue le plus admirable de l'Europe."

CHAVÉE (*Lexicol. Indo-Europ*).

Z prawdziwą przyjemnością odczytaliśmy w numerach trzecim i czwartym Teki Wileńskiéj korespondencye kilku światłych i uczonych mężów, życzących, aby język Litewski podźwignąć z dotychczasowéj poniewierki, a lud mówiący tym językiem, oświecić na wzór innych ucywilizowanych narodów. Myśl ta jest święta i bardzo wielkiéj wagi: nietylko dla tego, że to jest przynależytością naszego narodu i kraju, w którym żyjemy; ale z pobudek jeszcze ważniejszych, o których niżéj mamy zamiar powiedzieć.

Czechowie, Łużyczanie Norwegowie, i Islandowie pomimo niewielkiéj swéj ludności, mieli prawo myśleć o swojéj literaturze i dobrze zrobili gdy ją podnieśli: bo to ich własność, ich narodowa chwała, bo przez to naukom nie uszczerbek ani krzyw-

da, owszem pomoc i przysługa się wyrządza. Aż nadto cenią dzisiaj uczeni każdy szczegół, każdy odcień wszelkiéj mowy, bardzo drogi i nieodbicie potrzebny w badaniu języków: bez tego bowiem niezdołanoby utworzyć prawdziwego wyobrażenia o lingwistyce. Niéma zatém czego się obawiać, aby zamętu niezrobić i niezatamować postępu naukom, wprowadzając język Litewski w xiążkowe użycie. Sama Opatrzność podzieliła ludy na narody, jednostajnie każdemu dając swobodę używania języka, jaki się któremu dostał w udziale; zacóżby Litewskiemu narodowi niegodziło się używać tego, do czego prawo przyrodzone go upoważnia? Śmieszny to botanik byłby, gdyby się lękał odkryć nową roślinę, dla tego, iżby nieupadł jego systemat, w którym upodobał.

Jeśli każdemu narodowi, chocby niewiele pretensyi mającemu do sławy; wolno upotomnić swój język, używając go w literaturze jako cząstki od Boga mu danéj: cóż dopiero mówić o języku Litewskim, który w stosunku do tamtych nie karlim, ale olbrzymim jest prawdziwie; który śmiało nazwać można Sanskrytem wszystkich języków, ile ich jest nam znanych; który odtąd nie samemu Litewskiemu służyć ma narodowi, ale sądzę, iż nieodbicie potrzebny będzie w nauce dla wszystkich Europejskich, a nawet Zaeuropejskich oświeceńszych ludów? Dziwną jest rzeczą, iż język tak ważny, jeden z najszlachetniejszych w Europie, tak późno poznanym został przez obcych, tak mało u nas cenionym jest dotychczas; a jeszcze dziwniejsza, iż piérwszymi głosicielami jego zalet byli nie Litwini ani Polacy, ale Niemcy nasi sąsiedzi, za nimi Francuzi, Anglicy, Włosi, na ostatku Słowianie.

Byli wprawdzie i z tych ostatnich, to jest niektórzy ze Słowian, co wcześnie dawali zaszczytne świadectwo o języku Litewskim; ale głos ich przebrzmiał nieuczyniwszy żadnego wrażenia na ogóle. I do dziś dnia opinija ogólna tyle dobrego sądzi o Litewskim, ile o Tatarskim albo Kałmuckim. Piszący po-Polsku zwykle nielubi tego języka i uważa go za barbarzyński, niepotrzebny w nauce; obywatel wstydzi się w swojém kole przemówić słowa a kaleczeniem najpotworniéj chce dowieść wysokiego ukształcenia i rodu Wielkopolanina; płeć piękna wyższéj klassy nabitą ma głowę Francuzczyzną; szlachcic ogrodowy, niemając wyobrażenia o grammatyce, aby tylko nie po-Litewsku, bredzi po-Polsku jak najszkaradniéj. I któżby na taką próżność z boleścią serca patrzeć niemiał?

Cudzoziemcy z obcych krajów umyślnie podróżują do Litwy, aby widzieć szlachetny, prastary, podziwienia godny naród Li-

tewski, aby poznać jego mowę tysiącami lat nacechowaną (1): u nas przeciwnie, w sercu Litwy, w samém ognisku jéj narodowości, wstydzimy się, czy raczéj niechcemy wiedzieć tego, co mamy. Istotnie, rumienić się nieraz przychodzi, gdy się wspomni, iż o naszych krajowych rzeczach, o naszych skarbach i bogactwach, częstokroć nie my piérwsi prawić poczynamy, ale cudzoziemcy nam oczy otwierają i pokazują co mamy, tak jakby oni tylko jedni czuć i pojmować byli w stanie to, co jest u nas piękném i dobrém.

Niezbywa nam wprawdzie na talentach, na kulturze, na szczerych i prawdziwych chęciach przysłużenia się nauce i prawdzie; ale dotąd wiekowe przesądy krępują nas, niewiele co nowego odkryć możemy, często zajmujemy się drobnostkami, acz i te są nam potrzebne, — a niezwracamy dostatecznéj uwagi na ważniejsze bez porównania przedmioty, więcéj nas obchodzić i zainteresować mogące. Zbieramy zerdziewiałe okruszyny, gruzy i pyły archeologiczne, miejscową tylko wartość najczęściéj mające, na których czasem ani jednéj litery znaleźć, ani słowa wyczytać niemożemy (2); a pomijamy

(1) Dziś żyjący filolog Germanów, p. August Schleicher, professor przy uniwersytecie Pragskim, z polecenia Austryackiego rządu i kosztem Cesarskiéj akademii nauk w Wiedniu, w roku 1852 podróżował do Litwy w okolicach dolnego Niemna, gdzie latem pięć miesięcy bawił, ucząc się z żywych ust języka Litewskiego. A ponieważ językiem tym mówi same pospólstwo, professorowi obcéj nacyi nie bez trudności przyszło się zbliżyć do ludu i przełamać wszystkie zawady; ale, jak sam wyznaje, tę jego fatygę i mozołę osłodziła wielka radość, jakiéj doznał, gdy w żywéj mowie znalazł śliczne i przepyszne formy (die herrlichen formen) tego języka. Skutkiem dziewięcioletnich studyów jego nad Litewskim i Słowiańskim językami było, iż w 1856 roku wydał grammatykę języka Litewskiego i jego chrestomatyę, czyli wypisy, a obecnie, wspólnie z Kuhnem. (od końca 1856 roku) wydaje w Berlinie czasopismo uczone czyli żurnał pod tytułem: *Beiträge zur vergleichen Sprach denvorschung auf dem Gebiete der Arischen, Celtischen und Slavischen Sprachen*, w którym wiele umieszcza się artykułów o Litewskim i Słowiańskim językach.

(2) Nieuwłaczam przez to pamiątkom archeologicznym niejęzykowym; owszem, jako miłośnik sam je cenię i zbieram ile mogę, tylko tu wyrazić za rzecz potrzebną uważałem, iż ze wszystkich pomocniczych i wchodzących w skład archeologii nauk, fi-

jeden z najczytelniejszych i najogromniejszych pomników starożytności, jakim jest język ludu naszego, język prawdziwie rzec można starożytno-geograficzny, mitologiczny, historyczny, bez którego ani imion własnych narodów, miast i krajów, ani starożytnych wielu herbów i nomenklatury heraldycznéj, ani języka po części najdawniejszych praw, ani kosmogonii i mitologii starożytnych ludów, ani wreszcie początków naszéj ojczystéj mowy, w żaden sposób gruntownie objaśnić i wytłómaczyć niepotrafimy. Nietylko to stosuję do krajów Nadniemeńskich, Naddźwińskich i Nadwiślańskich; ale do wszystkich narodów i krajów całéj Europy w ogólności: ponieważ język Litewski, będąc jednym z najdawniejszych i najdoskonalszych, jest najbliższym piérwotnego, a tém samém jakby świętym, rytualnym, zasadniczym dla dalszych. Przewyższa on swą dawnością i pierwotnością nietylko wszystkie Europejskie, ale nawet stary Indyjski język, którego wielka liczba piérwiastków jest tylko skróceniem i zepsuciem Litewskich rdzeni. Same nawet klassyczne, tak słynące w starożytności, tak zawołane dzisiaj języki, jakiemi są Łaciński i Grecki, mniéj mają wartości od Litewskiego, jak pokazuje sama ich budowa mniéj doskonała; wyraźne wyrodzenie się i przekształcenie się piérwiastków z Litewskiego — lub z jakiegobądź wreszcie języka, zawsze najbliższe z tym ostatnim mającego powinowactwo. Dla tego słusznie, znakomity lingwista, Andrzéj Wasilon, piérwszy biskup Wileński, odezwał się do poselstwa Krzyżackiego w r. 1397: „Gdyby „Grecki i Łaciński języki (powiada on) poszły w zapomnienie, to„by Litewski ich stratę mógł zastąpić przez doskonałość swoich „form, prozodyi i bogactwo.... Język Łaciński, jakim pisał „Cycero i Horacyusz, niebył tak czystym nigdy w ustach po„spólstwa i dla tego wyszedł z popularnego życia i z czasem się „przetworzył na dyalekta Zachodnio-Europejskie. Co innego z Li„tewskim: on czysto i nieskażenie dochował się w ustach ludu, „pomimo kilku dyalektycznych odmian, przez odleglejsze poko„lenia utworzonych. Jest przeto wiecznie trwałym i dopóki sta„nie narodu Litewskiego“ (1).

---

lologija jest piérwszym jéj szczeblem — mianowicie w naszym kraju, gdzie taki kolos językowy posiadamy.

(1) Ob. Teodora Narbutta „Pomniejsze pisma historyczne,“ w artykule: *Dziennik poselstwa od Krzyżaków Pruskich do wielkiego xiążęcia Litewskiego Witolda w roku 1397 odbytego przez Konrada hrabię Kyburg.*

Swiadectwo tak ważne znakomitéj nauki biskupa, rodem Podlasianina, możeby kto dawniéj posądził o urojenie i czczą deklamacyę; ale dzisiaj, kiedy uczeni rozmaitych narodów z wszechstronną oględnością biorą się do nauki języków — niepodobna już niewidzieć téj prawdy. W nauce niepopłaca przechwałka, samolubstwo i błahe pozory, ale istotna tylko prawda. Niemcy, réj wodzacy w nauce języków, mogliby cóś zaszczytnego i wielkiego powiedzieć o swoim narodowym języku; jednak miłością prawdy powodowani, wyznają otwarcie, że język ich niewydoskonalił się bynajmniéj, owszem, że wiele utracił z swojéj piérwotnéj czystości, a że tylko Litewski nią poszczycić się może, jako taki, który najmniéj odmienił się w przeciągu wieków ze wszystkich Indo-Europejskich żyjących języków (1). Nauka filologii pokazała już, że nie nówsze języki są doskonalsze, ale dawniejsze i starożytniejsze. Ztąd to i Litewski nasz dzisiejszy, będący ze starych prastarym, jest razem najlogiczniejszym ze wszystkich, źródłowym i jakby kluczem dla innych. W etymologii zatém jakiego bądź języka poczynać bez niego, jest to zapuszczać się w labirynt domysłów i tysiącznych trudności, bez nadziei wyjścia kiedykolwiek na łatwą i otwartą drogę. Ktoby naprzykład rozumiał, że Łaciński potrzebuje koniecznie Litewskiego do objaśnienia siebie? A przecież tak jest w istocie. Jeden tu przykład niżéj przytoczony z annexami posłuży za dowód tego, co powiedziałem, a w części da poznać, iż największą nawet erudycyę mającemu człowiekowi, bez systematycznego porównywania i klucza w nauce, niepodobna ustrzedz się błędu, mianowicie, gdy idzie o rozwiązanie kwestyj historycznych, a bardziéj jeszcze gdy chcemy etymologicznie objaśnić wyraz jaki. Ponieważ mowa ludzka sięga najgłębszéj starożytności, dla tego i wyrazy piérwotne, w skład jéj wchodzące, tworzyły się nie podług zasad naszych, ale podług pojęć ówczesnych. Chcąc zatém odgadnąć prawdziwą filozofiję i historyę mowy, trzeba koniecznie języki i rzeczy obok stawiać i porównywać jak najwięcéj; trzymać się przedewszystkiém powagi tych języków, które uznanemi są za najdawniejsze, lub które pokażą się takiemi. Z powodu, iż język Litewski niebył u-

(1) To trwanie przy piérwotnym nieskażonym języku przez długie wieki jest znakiem *cichego i spokojnego* charakteru Litwinów; jak przeciwnie obrywanie się wyrazów i szybka degredacya języka jest cechą burzliwego, junackiego i swawolnego narodu.

ważany dotąd za źródłowy i klasyczny, w badaniach językowych i etymologicznych objaśnieniach panowały dowolność i nieład; mianowicie u tych pisarzy, którzy nienależąc do kategoryi prawdziwych filologów, przez swe niewczesne popisywania się i skandaliczność, niemało zaszkodzili opinii i powadze nauki tak ważnéj i tak wielkie mającéj przeznaczenie w historyi i literaturze.

Dla przekonania się jak ważny jest język Litewski do objaśnienia Łacińskiego i dalszych, zastanówmy się tutaj nad wyrazem łacińskim *virtus*. Maxymilijan Jakubowicz b. profesor uniwersytetu Wileńskiego, autor pięknéj rozprawy: *De virtute Romanorum antiqua*, zwykł był mawiać na swych lekcyach uniwersyteckich: „iż niemasz wyrazu w żadnym języku na przetłó-„maczenie łacińskiego *virtus*“ (1). Był to czas zapewne, kiedy porównawczą filologiją mało się zajmowano, a język Litewski był, jak i teraz, zarzucony i nieznany. Inaczéj tak światły człowiek, a do tego rodem podobno Litwin, nigdyby kosztem swojskiego języka preeminencyj Rzymskich niewynosił. Gdyż Łacińskie *virtus* nietylko w znaczeniu, ale w źródle swojém jest tém samém, co Litewskie *twirtas*, *twirtis*, *twirtute*. I w obu językach znaczenie tych wyrazów literalne jest jedno i tożsamo, to jest, *siła*, *tęgość*, *moc*. Dwojako się ona uważa, podług dwoistéj istoty człowieka, raz jako moc ciała i ta się nazywa *siłą*, *mężtwem*; drugi raz jako moc duszy i ta właściwie nazywa się *cnotą*. Podług Chrześcijańskiego i starożytnych pojęcia, cnota jest zasługą, zasługa zjednywa się przez pracę i walkę, a do pracy i walki potrzeba siły i wytrwałości: dla tego cnota tytułuje się zawsze *ścisłą surową*, a występki ludzkie nazywają się *słabościami*, to jest niemocami ducha; tak, jak rozpusta bierze nazwę od rozpuszczenia się i rozwolnienia obyczajów, co jest przeciwném ścisłości i tęgości, potrzebnéj do wykonywania dobrych uczynków. Rzymianie starożytni używali wyrazu *virtus* nietylko dla oznaczenia mocy ciała, ale też i mocy duszy, odrzuciwszy początkową piérwotną literę *t*, którą Litwini zatrzymali. Ztąd i wyraz ich *virtus* stał się w mowie odrębnym, jakby pożyczonym, niemającym w swojszczyźnie, ani etymologii prawdziwéj, ani grupy pokrewnych wyrazów, jak to ma miejsce dla wyrazu *twirtas*. W litewskim języku *twerti*, *twirtinti*, *twiroti*, jako słowa znaczą *trwać*, *umacniać*, *wytrzymywać*; *twirtas*, jako

(1) Świadectwo o tém zostawił w swych pismach jego znakomity uczeń, zgasły wcześnie śp. Jan Majorkiewicz (Pisma pomniejsze Cz. 2 str. 192 w przypisie).

przymiotnik znaczy *mocny; twirtis* (jak baltis, szwisis, garsis) jest rzeczownikiem i ma znaczenie *mocy; twirtule*, jest zdrobniałą formą poprzedzającego wyrazu, a nawet jednocześnie zdrobniałą formą przymiotnika *twirtas* Ta ostatnia zdrobniałość daje nam poznać, iż trzecia forma przypadkowania Łacińskiego jest nieregularną, czyli raczéj składaną, mającą najczęściéj zdefektowany piérwszy przypadek (calszy we Włoskim) i często wszystkie inne przypadki mające zakończenia przymiotnikowe, a w istocie stanowiące zdrobniałą formę Litewskiego języka. Takich zdrobniałych form, używanych w Łacińskim języku w znaczeniu niezdrobniałém, jest mnóztwo, np. oculus, fortuna, sambucus, cuniculus (1), cuculus, pardalis, odutus, idolum, mater, pater (2) etc. Zastanawianie się nad podobnemi szczegółami nie-

---

(1) Nazwy niektórych źwierząt na sposób Egipski mają dziwny stosunek ze światem mitycznym, i łączą się z nazwaniami rozmaitych stanów i życia peryodów człowieka, np. *cuniculus*, źwierzątko bierze nazwę od Litewskiego *kunigas*, *kunigelis*, co znaczy po-Polsku *xiążę*, *król*, *królik*; ztąd herb Litewski zwany u Niesieckiego *Kuniglis* ma na tarczy zająca czyli królika; *martes*, łasica, bierze nazwę od Litewskiego *marté*, panna, młoda niewiasta, po-Włosku *donnola*, *od donna*, kobieta, dama; *bocian*, ptak, jeśli się niemylę nazwany od Litewskiego wyrazu *boczius*, jest pewno symbolem starości, dla tego u dawnych Greków prawo, nakazujące dzieciom pielęgnować starych i niedołężnych rodziców, nazywało się prawem *bocianiém*; atrybut starożytnéj Dyany, jeleń czyli łoś, dzisiaj jeszcze na Litwie ma nazwę tęż samę, jaka się daje w ogólności nimfom Litewskim i Żmujdzkim, t. j. *łaume*; *giwajtes*, czyli *giwâles*, węże lub gadziny, są to symbola *życia*, od *giwas giwôti* i t. d.

(2) Łacińskie *pater*, *mater* stosownie do tego co powiedziano wyżéj, jako też Słowiańskie *orel*, *kądziel*, *model* i wiele innych wyrazów kończących się na *el*, *eł*, *un*, *ut*, są formy Litewskie zdrobniałe np. *poderis* od *pode*, vel *podis*, *motere* od *mote* (porów. broteris, broterelis, sesere, seserele zamiast brotelis, brotelelis, sesele, seselele; oraz, szuktereti, kruksztereti, nikstereti, zamiast szukteleti, bruksztelei, niksteleti, i wiele innych); *arelis* od *aris*; *kuodelis* od *kuodas*; *modelis* od *modas*. Końcówki tych wyrazów w nie-Litewskich językach tak są obcięte, iż z powodu niekompletności niemożna było postrzedz i domyśleć się prawdziwéj ich formy. W grammatykach nawet Litewskich Ruhiga i Mielcke'go deklinacya piąta rzeczowników zwana *imparisyllaba* jest zupełnie niepotrzebna, jako sklecona z dwóch wyrazów (*mote*, *motere*, lub *dukte*, *duktere*), mających swe właściwe przypadkowania formy i odmienia-

oswojonemu czytelnikowi może się zdawać pedanteryą i rzeczą małéj wagi, ale, jak w fenomenach przyrodzenia, tak w objawach ducha i mowy, nic niéma takiego, coby niezasługiwało na uwagę pilnego postrzegacza, znającego dobrze, iż mała nawet okoliczność posługuje czasem do odkrycia ważnéj jakiejś prawdy. Wszak nerw i żyłka w ciele ludzkiém niewielkie są rzeczy, a jednak funkcyami swemi wiele się przykładają do ogólnéj ekonomii tego ciała. Lecz może kto tu powiedzieć, iż jeśli godzi się w porównaniach jedną literę dodać lub jedną odjąć dla zbliżenia brzmień i znaczeń, to taką koleją Bóg wie co można zbliżyć i jakie porobić wywody. Na to odpowiadam, iż w nauce dowolności być niepowinno. Kto się bierze do etymologicznych wywodów, powinien śledzić naturę języków, znać dobrze te koleje i prawa przeobrażeń, jakim ulegały języki w przeciągu wieków. Wszak one niesą niezmienne: były kiedyś doskonalszemi, późniéj przez użycie otarły się i stały się mniéj doskonałe; z przydłuższych i kompletniejszych wyrazów, zrobiły się krótsze i mniéj kompletne, tak iż dzisiaj przychodzi się nieraz synom mówić na sposób chiński: *ù*, *su*, *żen*, *il*, *mêr*, tam gdzie dawniéj poważnie i logicznie wymawiali ojcowie: *augustus*, *solidus*, *jejunium*, *majores*. Ogólną regułą przy postępie i degredacyi języków, było odpadanie i osypywanie się liter; ogólną też regułą być powinno wstawianie i przyczepianie tychże liter przy restauracyi i dochodzeniu początków. Gdyż innéj kolei niéma i być niemoże jak ta, jakiéj się trzymała sama natura języków, przechodząc przez swoje fazy i peryody. Cała rzecz na tém zależy, aby trafnie takowe restauracye czynić, to jest z krytyką, umiejętnie i historycznie (1).

---

jących się jak *żwake*, *giesme* podług trzeciéj deklinacyi Mielcke'go, a rzeczowniki męzkie ze zboczeniami podług piérwszéj.

(1) Przyjąwszy całość i zaokrąglenie wyrazów za cechę dawności języka, widzieć będziemy, iż Litewski w tym względzie celuje nad wszystkiemi w Europie językami: albowiem Słowiańskie narzecza skracają zwykle Litewskie wyrazy od końca, Łaciński zaś od początku. Obaczmy to w przykładach.

Wyrazy Litewsko-Słowiańskie: abrozas v. apraszas, obraz(as); anasaj, on(asaj); arelis od aris, orel(is); aszenaj, az(enaj); biegunas, biegun(as); bruwis, brew(is); bujtej v. buti, byt(i); cicas, cis(as); draugas, druh(as); dumas, dym(as); dwerris, dwer(is); dydziulis, dydziul(is); gajgałas, hohol(as); kardas, kord(as); karalis, korol(is) v. król(is); kauszas, kusz(as); katiłas, kotel(as); kierbedis, kierbedź(is); kujnas, kuń(as), kiń(as), koń(as); kumas, kum(as); kuołas, koł(as);

Już dawniej postrzegali nasi uczeni jakieś podobieństwo między starym Rzymskim a Litewskim. Naliczyli trzydzieści z górą wyrazów zupełnie podobnych, a nawet tożsamych w obudwu

---

kurszas, korś(as); mużikas, mużik(as); pajkaste v. pajkista, pakość(a); pagostas, pogost(as), pagus, Łac.; pakamaris, panamar(is) v. pałamar(is); parakas, poroch(as) v. proch(as); paramas, porom(as); Perkunas, Perkun(as); pristowas, pristaw(as); sabałas, sobol(as); sakałas, sokoł(as); smirdielus, smierdziel(us); Swirtunas, Swirtun(as); taworas, tabor(as); tujenaj, ty(jenaj); wiłkas, wilk(as), Witautas, Witowt(as), v. Witold(as); żambas v. żumbis, ząb(as); v. zub(as); żinoti, z(i)nat'(i); żiureti, z(iu)ret'(i).

Wyrazy Litewsko-Łacińskie *): b'at, (b')at; bombale, (b)omphalea; bumba v. gumbas, (b)umbo v. (g)umbo; dwannumas, (dw)animus; dwidantis, (d)bidentes (litera *b* u starych Łacinnikow jak dawniéj u Grekow, a teraz u Rossyan używa się zamiast litery *w* i tak pisali: *bibere*, *bixit*, *bedua* zamiast *vivere*, *vixit*, *vidua*; stąd Greckie i Sanskryckie *βαρύς* zamiast Litewskiego *swarus*; *baro-metr* zamiast *swaro-mastas*); dwijungis, (d)bijugis; dwideszimtas, (d)vigesimus; dwinas, (d)binus; dwini, (d)bini; dwinoktis, (d)binoctium; dwipedżius, (d)bipedis; dwiratis (d)birotus; dejuju, (d)ejulo, jak kukuju, cuculo; esmu, (e)sum; glindas, (g)lendes; garsis, (g)arsis; skajdra v. gajdra, (sk)aethra v. (g)aethra; garumas garumietej od garas, (g)aroma (g)aromata; giedułа, (ge)idyllium; gismenis v. gisminis, (g)Ismenis; gurbs, (g)urbs; Jankus, (j)Ancus; jedu, (j)edo; jemu, (j)emo; jemtas v. jimtas, (j)emtus; Iszmintas, (i)Sminteus; iwajrus, (i)va(i)rius; kinsulis od kinsas, (k)insula; ap-kłote v. kłotuwaj, (k)lodix; knipas, (k)nepos; knappati, (k)nepotes; kraukus v. krauklis, (k)raucus; krêws v. krejws, (k)reus, jak Dewas, Dejwas; kuru, (k)uro; kwapas, (k)wapos v. (k)vapor; metas, (m)aetas, ztąd (d)bimatus zamiast dwimetis; nemu, (n)emo; nemtas, (n)emdtus; płatus, (p)latus; płetej, (p)late(j); płatiaus, (p)latius; płauju, (p)lavo; płautas, (p)lautus; Sajus, (s)Ajus; sambarwes, (s)amburbium; sambarwales, (s)ambarvales; skajstas, (s)castus; skambińa, (s)campana; skumbałas, (s)cymbalum; skomis v. skomia, (s)comus; skannu, (s)cano v. (s)gannio; skandinu, (s)canto; skansz, (s)canis; skwarma v. kworma, (sk)forma v. (k)forma; smaguriej, (s)maccharae; smertes, (s)mortes; snigs, (s)nix; snigu, (s)ningo; spendu, (s)pendo; spragosas v. spragesis, (s)fragor; spenis, (s)penis; sprûte, (s)frutex; spulgoju, (s)fulgeo; stegu, (s)tego; stegtas,

---

*) Litewskim nazywam całą grupę Lejtońskich języków, jako to staro-Pruski, Litewski właściwy razem ze Żmujdzkim i Łotewski czyli Letoński.

tych językach (1). Niemogąc pojąć wzajemnych stosunków tak odległych narodów, zadali sobie niemało pracy i wiele hipotez wymyślili (2), a jednak nieobjaśnili téj rzeczy. Zdziwiła ich niepomału zupełna tożsamość kilkudziesięciu wyrazów; lecz jakieby zdumienie ich ogarnęło, gdyby lepiéj przypatrzywszy się postrzegli, iż nie kilkanaście, ani kilkadziesiąt słów, ale calutka mowa Litewska prześwieca się w Latyńskiéj jak we źwierciedle, nietylko w głównych konturach i formach, ale we wszystkiém będąc zbliżoną (3) nawet co do imienia (4). Ta tylko między nie-

---

(s)tectus; stibaj, (s)Thebae; stogas, (s)toga(s) (u Łacinnikow wyraz *toga* znaczył i suknię i dach czyli pokrycie domu, a wyraz *casa*, *casula* oznaczały chatę i odzież, ztąd nasza *koszula*, ztąd ornat kapłański zwany *casula*); stigeła, (s)tigella; stinka, (s)tinca; stubbienis, (s)dubienus; strunkis, (s)truncus; swapala, (s)fabula; swite, (s)vitta; swartuna, (s)fortuna; szwitrus, (s)vitrum; szwatrus, (sw)atrium; swikke v. spigga, (s)ficus; szermunis, (s)erminea v. (sk)ermina; Tamoszis, (t)Amasis; tiktas v. twejktas, (t)ictus v (twe)ictus; titajp v. szitajp, (t)ita(jp) v. (s)itajp); trina, t)rhina; twermes, (t firme adv.; wejdas, (we)idos; wejdulis, (we)idolum; wiaprej, (w)apres; wiaprinis, (w)aprinus; wejalus, (w)Aeolus; widus, (w)idus; wienas, (w)unus; wundu, (w)unda; żiuburis, (z)jubar(is); żansis, (ż)anser v. (g)anser; żweris, (ż)ferus, v. (t)ferus.

(1) Wszystkie nawet języki mają między sobą większe lub mniejsze podobieństwo, bo wszystkie od jednego piérwotnego pochodzą.

(2) Między innemi, za wiele przypisywano wędrówkom Herulów.

(3) Najdrobniejszy szczegół grammatyczny, *supinum* Łacińskie, do dziś dnia w powszechném jest użyciu u pospólstwa Litewskiego, mianowicie na wschód rz. Niewiaży, w okolicach Onikszt, gdzie mówią: *ejsma linu rautu kiłsma szieno pjautu, ważiosma pasyżmonietu, pasykałbietu;* u x Szyrwida w słówniku pod frazą: *kładą się spać*, napisano *ejmi gułtu*. Sami jednak Łacinnicy używali *supinum* bardzo rzadko. Znajdujemy wprawdzie w grammatykach i słównikach ich języka przy każdém prawie słowie *supinum*; ale to rzecz naukowo-formułowa, niemająca w praktyce zastosowania, a potrzebna tylko do sztucznego formowania czasów.

(4) Latinus, Lajtinis, Łatwinis, od Lattis, Lajtis, Łatwis. W gramotach Ruskich od r. 1200, Łotwacy są znani pod imieniem *Latina*. W latopiscu Litewskim, ułożonym na początku XV wieku w języku Ruskim na str. 191 powiedziano: .... „Kniaź An„drej Połockij pride s Nemci Liflanty, i so wseju Łatynoju

mi jest główna różnica, że prototypem tego zbliżenia i podobieństwa jest, nie Łaciński jakby sądzić wypadało, ale Litewski nasz Nadniemeński i Naddźwiński dzisiejszy, ten sam właśnie, o którym tu po piérwszy raz może tak na seryo rozprawiamy, a który będąc dziś jeszcze żyjącym (1), o półtora już tysiąca lat przeżył młódsze od siebie towarzysze (2). Już z tego samego wyświeca się nadzwyczajna jego dawność i patryarchalna rzec można powaga, iż wszystkie języki, ile ich nam przyszłoby się rozbierać, im więcéj zasięgniemy w ich dawność, w ich starożytne formy, tém więcéj zbliżają się do form dziś istniejących Litewskich. Dla tego, wszelkiego rodzaju miłośnikom starożytności, badaczom języków, historykom, mitografom, heraldykom, geografom, botanikom, nadzwyczajnéj jest wagi ten język i nieodbicie potrzebny.

Niemając zamiaru długo się rozszerzać, niebędziemy tu dowodzili założonych przez nas prawd. Chcieliśmy tylko zwrócić uwagę myślącéj publiczności i wywołać kwestyę, aby światlejsi od nas cóś więcéj i obszerniéj powiedzieli. W późniejszym czasie może będziemy mieli sposobność niejednokrotnie o tém odezwać się jeszcze. Tym czasem prosilibyśmy naszych rodaków, aby odrzuciwszy wszelkie przesądy i uprzedzenia, wspólnemi siłami brali się do dzieła, w celu pomnożenia naszéj narodowéj literatury, tak wielkie zapowiadającéj korzyści dla ogółu. Przygotowują się już znakomite talenta w literaturze nawet nadobnéj tego języka, jakiemi są: np. p. Akielewicz, panna Proniewska, x. Baranowski, p. Zagórski, p. Malinowski i innych wielu, których niewspomnę. Niemamy zatém powodu narzekania na niedostatek pisarzy i głów myślących z wyższém ukształceniem i pojęciem. Alboż niemamy x. biskupa JW. Macieja Wołonczewskiego, zasłużonego nam p. Symona Dowkonta, x. Ottona Proniewskiego, x. Hieronima Raczkowskiego, ś. p. x. Ambrożego Pabreża, którzy w ogromnych pracach, acz w części tylko drukowanych, wiekopomną po sobie zostawują sławę? Któż ich nam odbierze? Nie na wrzaski tedy niechętnych oglądać się nam wypada, ale brać wzór z tych rzadkich dla nauki poświęcających się ludzi, którzy piérwsi torują nam drogę. Znajdzie się zapewnie niemało przeciwników i przykrości, bo

---

„(Łotwakami), na Litowskuju zemliu: i powojewał.“.... Patrz Dziennik Wileński za r. 1823, T. 3, na str. 383.

(1) Mówią nim około półtrzecia milijona dusz.

(2) Łaciński, Grecki, Starosłowiański, Gotycki

wszelki nowy zwrót musi czynić jakieś skrzypienie, póki skieruje się na nową drogę. Ale pamiętajmy, że inaczéj tryumfu niebędzie, jeśli przeszkod zwalczać niezechcemy. Pole przed nami jest obszerne, bogactw bez miary — zbierać nam tylko należy, uczyć się i pisać — a korzyści wypadną nad wszelkie oczekiwanie.

Dla wydoskonalenia się w języku Litewskim i zgłębienia jego natury zdaje się nieodbicie potrzebném pokochanie kmiotka Litewskiego. Przekonały nas wieki, iż on jest dobrym, poczciwym, ze zdrowym rozsądkiem: niech tylko udarowany będzie wolnością stosowną do jego stanu, niech posiada własność i cieszy się dobrym bytem, a do tego niech nauczony będzie litery; oprócz wdzięczności dla obywateli ze strony włościan i zasługi w obec Ludzkości, z tego wszystkiego ta jeszcze ważna wyjąże się dla nas korzyść, iż cywilizując najniższą klassę ludzi, sami lepiéj ich poznamy z dobréj strony, ich charakter narodowy, ich cnoty domowe, a używając za przewodników w lingwistyce Litewskiéj, nauczymy się od nich języka najszlachetniejszego w Europie (1). „Ce sont les paysans de la Lithvanie qui parlent la langue la plus admirable de l'Europe.“ Jedyny to sposób doskonałego wyuczenia się języka Litewskiego, uczyć się u pospólstwa, u naszych kmiotków. Powaga ich w téj rzeczy jest wielka, pewność prawie wszędzie historyczna, dowolności żadnéj. W tém jedném oni są prawdziwymi mistrzami dla nas. Oni to mówią dzisiaj jeszcze językiem Olgierdów, Witoldów, Jagiełłów, współplemienni i pokrewni tym znakomitym ludziom, przeżywszy tyle kolei czasów i wieków, do dziś dnia przechowali język ojców czysty i niepokalany. Ze

---

(1) Jeśli prawda co napisał p. Massalski w *Przestrogach dla mówiących i piszących po polsku*: że „deklinacya rzeczowników „i przymiotników jest jakoby dyplomatem na szlachetność języ„ków naszego Indo-Europejskiego szczepu,“ to Litewski w tym względzie pochlubić się może w całém znaczeniu; gdyż w mowie swójéj liczy dziewięc przypadków, wtenczas gdy Sanskrycki posiada tylko ośm, Słowiańskie narzecza siedm; Łaciński sześć, Francuzki żadnego właściwego. Tenże pisarz na inném miejscu wyraża się: „Naginalność przypadków tym rozmaitszą „postrzegamy w Indo-Europejskich językach, im starsze są języ„zyki tego szczepu ..... im starożytniejszy, a zatém, im szla„chetniejszy jest język, tym obfitsze posiada te (piérwotne) „formy, a im nówszy i bardziéj barbarzyński, tym one są u„boższe.

znajomością Litewskiego języka odkryje się zupełnie inny widnokrąg nad całą przeszłością, otworzy się zasób tradycyi i podań ludowych, w wielu miejscach dotąd nietkniętych i jakby z obfitéj kopalni massami potoczą się dziwne i ciekawe rzeczy, o których nam ani się marzyło.

Nietroszczmy się już, jak okrzesać ten język dotąd nieliteracki, jak go wypolerować i piśmiennym uczynić. Jest on tyle pięknym, tyle ozdobnym, tyle sam w sobie doskonałym, iż żadnego już szlifierza i regulatora niepotrzebuje. Nasi kmiotkowie, w swobodnych chwilach, tak wytwornie i polotnie nim władać umieją, jak żaden może inny naród swoim niepotrafi. Śmiało tedy on użytym być może do opisu wszelkich przedmiotów, choćby najwznioślejszych i najpoetyczniejszych. Przytém wiedzieć należy, iż żadne jeszcze piśmiennictwo, żadna cywilizacya i oświata, w żadnym wieku i kraju, nigdy nieprzyłożyły się do udoskonalenia jakiegobądź języka: owszem, im gdzie więcéj ruchu umysłowego i dziejowego, tém więcéj i prędzéj z wiekami języki upadają, jak to naocznie i dotykalnie na narodzie Francuzkim przekonać się możemy. Wreszcie, jest to prawda już dowiedziona, któréj wcale niemamy potrzeby popierać. Wszelkie zatém szumne i retoryczne odezwy nasze o postępie i doskonaleniu się języków, są czczemi wyrazami, niemającemi żadnéj podstawy w rzeczywistości. Niedoskonalmy języków, bo to rzecz nienasza; doskonalmy raczéj samych siebie, abyśmy to, co już mamy lepiéj poznać mogli i wcześniéj korzystali z tych skarbów, jakiemi nas Bóg tak hojnie udarował.

Pisałem d. 30 września 1858 r.

RAMOTY
STAREGO DETIUKA
O WOŁYNIU,

ZEBRAŁ

A. Andrzejowski.

Tom I.

ROZDZIAŁ I.

Wołyń był kolebką moją, tam się urodziłem, tam wyrosłem, i na téj miłéj ziemi pół wieku przeżyłem w trudach i pracy, do jakich Opatrzność zdolnością i usposobieniem obdarzyć mię raczyła.

Od dzieciństwa, zblizka patrzałem na wielkie domy Polskie. Przeznaczenie chciało, ażebyśmy i ojciec mój i ja na pańskich wzrośli i żyli pokojach. Patrząc więc na magnatów życie, tak jak czytać i pisać, nauczyłem się znać ich obyczaje, tryb życia, sposoby myślenia, wzajemne ich wpływy i związki, a tém samém, złą i dobrą stronę ich serc i charakterów i wpływ na społeczne w kraju stosunki. Xięga to była wielka, znakomita, w któréj z razu składając zgłoski, zwolna czytać i rozumieć co czytam, wyuczyłem się. Dziecinna i młodzieńcza pamięć, wiernie zachowała wszystkie z owych czasów wypadki i towarzyszące im okoliczności. Niekiedy rozpamiętywając te lata ubiegłe, więcéj pół wieku przesnuwa się tak żywo przed mojemi oczami, jak gdybym te obrazy ledwo dopiéro wczoraj widział. Kreślę je więc takiemi, jakiemi oczy je moje widziały, jakiemi je umysł mój pojmował.

Piérwsze lata ostatniego dziesiątka zeszłego stulecia zdawały się rokować pokój i swobodę w kraju, i wywierając wpływ swój dobroczynny na przyszłość, pomyślność trwałą zabezpieczać. Nowe ustawy, mądrych i o dobro ojczyzny gorliwych mężów dzieło, wiekopomny świętości uczuć i wielkości duszy naszych rodaków zabytek, zaprzysiężone przez króla i naród, wzniosły nas w oczach Europy i błogi byt kraju zdawały się zapew-

niać. W uniesieniu wdzięczności dla tych dobroczyńców ojczyzny, tych ojców narodu, naród cały ustami i sercem śpiewał hymn wesela:

Rzucajmy kwiat po drodze
Kędy przechodzić mają
Szczęścia narodu wodze,
Co nowy rząd składają.

Wdziejmy weselne szaty!
Dzień to kraju święcony,
Jakże ten król nasz bogaty
Skarb jego serc miliony — i t. d.

Budził się jak z letargu duch narodowy, odradzało się męztwo naddziadów, a zabezpieczone każdemu stanowi, równość w obliczu prawa, rozsądna wolność i swoboda osobista, ożywiały rolnictwo, przemysłowi i handlowi nowy popęd dawały. Siła narodowego wojska zwiększona i uorganizowana, wywoływała młodzież z pod strzech ojczystych pod święte znaki orłów i pogoni. Ocknęły się i muzy nasze. Dobroczynna ustawa o oświeceniu narodowém otworzyła przybytki nauk dla wszystkich stanów. Kraj żył, oddychał swobodnie, i pojąć się niemógł w radości swego odrodzenia. I pomnę, jak Wołyń naówczas oddawał się radości. Wszędzie z synowską życzliwością mówiono o królu, uwielbiano twórców konstytucyi 3 maja i zbawienne jéj ustawy przywieść do skutka starano się. O! jakież święte uczucia napełniały serca Polaków, jakie świetne nadzieje te uczucia ożywiały! Czytać jeszcze dobrze nieumiałem, a umiałem już na pamięć pieśni ułożone stosownie do tych błogich, do tych pamiętnych okoliczności.

Ojciec mój służył wojskowo w regimencie Ostrogskim, ale ożeniwszy się uwolniony od służby, został kassyerem w banku Prota Potockiego w kantorze Warkowickim. Gdy zachwiane interesa wojewody zmusiły go do skoncentrowania kantoru w Madmowce i sprzedania Warkowicz, mój ojciec po trzech latach kassyerstwa wró-

cił znowu do wojska do kawal. nar. pod chorągiew Szczepana Turny, przyjęty namiestnikiem ze względu na służbę poprzedniczą. A że naczelnik był pewnym wierności i gotowości mojego ojca, ani jaka podówczas groziła Polsce wojna, pozwalał więc absentować się z półku, i ojciec mój trzymał dzierżawą od kasztelana Popiela niewielką wioskę Kryłów za półtora tysiąca złotych rocznéj tenuty. Korzystne między Warkowiczami a Dubnem położenie wioski intratną czyniło dzierżawę. W r. 1792 w marcu, wyszedłszy z dzierżawy trzyletniéj z 30,000 złotych, nim się co pomyślnego nadarzy, a raczéj nim rzeczy krajowe do zupełnego przyjdą ładu, zamieszkał mój ojciec na rok w Warkowiczach w ładnym dworku, nad główną ulicą, jak to mówią na bruku. Rodzina nasza składała się: z matki mojego ojca, moich rodziców, nas trojga dzieci i dwóch siostr mojéj matki, młodych jeszcze panienek. Żyliśmy sobie skromnie, po-szlachecku, ale uczciwie, a uprzejmość i gościnność narodowa, były wrodzonym obojga rodziców przymiotem.

W tym czasie, część naszych wojsk odebrała rozkaz przeniesienia się do Wielkiéj Polski. Główny pochód z Ukrainy do Warszawy szedł przez Warkowicze. Nowy właściciel tego miasteczka podkomorzy Mołodecki, dla choroby żony obległéj w drugiéj majętności, niemieszkał w Warkowiczach: co tylko więc było oficerów wyższych i niższych w przechodzących półkach, wszystko to opierało się o nasz chudopacholski dworek, a wielu z nich byli naszymi kolegami. Mówię naszymi, bo i ja liczyłem się towarzyszem kawaleryi nar., bo ojciec dał za mnie poczet sowity, i w siódmym roku życia mojego, szlify i szablę przy boku nosiłem. Jenerałowie i półkownicy niegardzili uprzejmą gościnnością p. Namiestnika. Raczył ojciec z serca miłych gości, zasilał wyższych pieniężną pożyczką, z równymi czém mógł to się podzielał. Dość było aby który powiedział: Panie Łukaszu daj! a p. Łukasz, chętnie choćby i grosz ostatni oddawał. Jednego

z takowych szczególniéj pamiętam, był to półkownik artylleryi, p. Bielicki, wielce miły i światły człowiek. Przez dwa tygodnie pobytu swego w Warkowiczach rodzina ich zaprzyjaźniła się z naszą, i cały ten czas jak jedna familija żyliśmy z sobą. Bieliccy mieli synka Rudolfa jednych lat zemną, a młody bombardyer Wiewiorowski był naszym mentorem i szczerze nas pilnował i bawił. Po odjeździe Bielickich, długo tęskniliśmy za nimi, a odjeżdzającemu półkownikowi mój ojciec sto dukatów pożyczył. Tak więc grosz za groszem się wytaczał, a natomiast zostawały na świstkach rewersa! — 30,000 złotych lubo w owych czasach wielką były summą, wyczerpać się musiały, a po przejściu wojsk naszych ku zimie, ledwie niewielki zapas w gotówce pozostał. Ale mój ojciec nieżałował swojéj usługi, i tém się pocieszał, że swoim mógł być jakąś pomocą, i że kiedyś oni pamiętać będą w jakiéj przygodzie pomoc znaleźli.

Po przejściu wojsk naszych, za nadejściem zimy, armija Rossyjska przyciągnęła na Wołyń. Półki regularne szły w porządku, i przyznać potrzeba, że się żadnych nadużyc niedopuszczały. Piękność jednak rodowa i wyższe ukształcenie naszych Polek, ściągnęły na się uwagę i raziły serca niezlodowaciałe jeszcze podarkturowych mieszkańców. Wielu z wyższych oficerów namiętném okiem poglądali na nasze młode Sarmatki i kusili się o wykradzenie niejednéj szlachetnéj panienki. Nawet w Warkowiczach przechodzący półkownik Stryłenko. ujrzawszy ładne siostry méj matki w kościele, podobny względem nich zamiar powziął. Ale się nieudało. Młody podoficer synowiec półkownika skrycie ostrzegł moję matkę. Rodzice udali się do właściciela miasta, i obecna naówczas sama podkomorzyna zabrała panny do zamku. Przez szpiegów dowiedział się półkownik o ich ukryciu, ale na mieszkanie magnata natrzeć niebyło śmiałości. Odgrażał się wprawdzie zemstą, ale ukaz śpiesznego pochodu, groźbą tylko wszystko zakończył.

Ale o ile ze strony wojska regularnego było bezpieczeństwo, o tyle wlokący się przy półkach Dońce Kozacy choć jeszcze wojny niebyło, trwożyli mieszkańców. Napadali po drogach, rabowali domy i ciężkich dopuszczali się bezprawiów, tak dalece, że dla zabezpieczenia się od tych napadów, potrzeba było u naczelników regularnego wojska prosić o załogę. Trwoga ztąd wielka powstała. Mieszkańcy odbiegali domów i dobytku, unosząc życie i co z ruchomości unieść się dało. Bliżsi granicy wsi i miasteczek właściciele w sąsiedniéj Galicyi przytułku szukali. Ojcu memu do wojskowéj swéj służby w Ukrainie udać się potrzeba było, do tego więc zagranicznego schronienia, wyprawił zaraz po Wielkiejnocy matkę moję, z nami dziećmi i z siostrami. Babka moja jechać niechciała, a gdy jéj wystawiano napady rabujących Dońców, z rezygnacyą pokazywała na krzyż dany jéj z błogosławieństwem od ciotki jéj półkownikowéj Kościowéj na Litwie, zkąd była rodem, mówiąc. „w tym znaku zwyciężysz! wam młodym niebezpieczno tu zostawać, bo to narod bezbożny, a mnie staréj baby, to się nastraszy i niezaczepi.“ I tak było w istocie, bo dzicz ta jednak starość uszanować umiała.

Smutny był nasz wyjazd z domu i smutny pobyt w Galicyi. W podróży od Warkowicz mieliśmy towarzyszami dwóch Polskich oficerów naszych pokrewnych. Żal nam było rozstawać się z nimi, bo zdawało się, że się zrywa ostatnia nić wiążąca nas z krajem rodzinnym. Jużeśmy ich więcéj nieujrzeli, oba zginęli późniéj na Pradze.

Kilka miesięcy naszéj emigracyi przemieszkaliśmy w miasteczku Stojanowie w domu parocha Unickiego, dobrego człowieka, ale podległego nałogowi. Skoro tylko podprószył sobie, staczał wojnę ze wszystkimi, wyrzucał nas z domu swego i dziwne sceny wyrabiał. Nikt go niemógł uhamować, siostra tylko moja starsza, dziewięcio-letnia dziewczynka, miała dar uspokojenia go; a na-

tenczas płakał, przepraszał i na intencyę swoich komorników w cerkwi akafest śpiewał. W Stojanowie wiele ze szlachty Wołyńskiéj zamieszkało. Między innymi, podstolina Rohozińska z córką i synem małoletniemi, najbliższą naszą była sąsiadką, a jako znajoma oddawna, jeszcze w ściślejszych z matką moją żyła stosunkach. Ale, mimo liczne zebranie osób, mimo spokojność i bezpieczeństwo pod rządem Austryackim, wesołość wszystkich odbiegła. Zasmucające były wieści z Korony i Litwy. Gazeta Warszawska niewiele pocieszających nowin zwiastowała. Zawiązana konfederacya Targowicka, szerzyła się po kraju. Król udał się na sejm do Grodna. W Warszawie duch miłości ojczyzny ożywiał upadające umysły; w Grodnie, egoizm, zarozumiałość i chciwość władnęły sejmującymi, i biada temu, kto się z uczuciami szlachetniejszemi śmiał odezwać. Ukraina zajęta była przez wojska Rossyjskie, rzadko gdzie było widać półk Polski, a i ten pewnie należał do stronnictwa Targowickiego. Na Wołyniu i na Podolu trzymała się jeszcze garstka wiernych ojczyźnie wojsk narodowych. Ale nic tak nierozdzierało serc naszych, jak wiadomość o ustąpieniu przez sejm Grodzieński 17 czerwca, 4,550 m. kw. dla Rossyi, 1,060 m. królowi Pruskiemu. To państwo niedawno obszerne i tak świetne, w jakichże szczupłych granicach zamknęła bezbożność Grodzieńskiego sejmu! W Wielkiéj Polsce zbierano się pod dowództwo Kościuszki i z Krakowskiego pod jego chorągwie nieliczne ciągnęły hufce; w nich i w ich naczelniku cała nadzieja kraju złożona była, nadzieja ta ożywiała i biednych emigrantów. Jeżeli błysła kiedy wieść jakaś pocieszająca, to wszyscy zbierali się do kościoła na dziękczynne Panu Zastępów modły i dzień ten uroczyście obchodzili.

Silnie jeszcze podówczas krążyła w Galicyi powieść o porwaniu i umorzeniu Gertrudy z Komorowskich Potockiéj. Podstolina Rohozińska z domu Romanowska pokrewna Komorowskich i z Potockimi spowinowacona,

historyę Gertrudy matce mojéj ze szczegółami opowiadała. Podług jéj powieści matka p. Szczęsnego niebyła mniéj winną od męża, owszem nawet, pomysł porwania i wywiezienia gdzieś daleko synowéj, był płodem przewrótnego jéj serca. A dowiedziawszy się o śmierci Gertrudy, miała wyrzec: że sam Bóg niechciał poniżenia rodu magnata przez taki mezalijans. Uduszenie Gertrudy niezgadza się z powieścią p. Rohozińskiéj współcześnéj temu wydarzeniu. Podług ich rodzinnych podań, p. Potocka była przy nadziei, przestrach przyśpieszył przedwcześne rozwiązanie, a oziębienie zadało śmierć; i kiedy Wilczek postrzegł, że wiezie trupa, zatrzymał się, i kazawszy przerąbać płonkę na Bugu, tam małżonce pana swojego sprawił pogrzeb. Po tém okropném wydarzeniu wrócił Wilczek do Krystynopola, o wypadku doniósł, i natychmiast i jego i wspólników wyprawiono na Ukrainę, lub na granicę Węgierską, gdzie wojewoda miał także majętność, i wszystko się ukryło, i ukryło się na długo! Podług opowiadania p. podstolinéj, na wiosnę, czy też rokiem późniéj, dziwnym sposobem wykryła się tajemnica. Niedaleko Krystynopola ku Sokalowi, w nadbrzeżnéj wiosce Buga, po oczyszczeniu z lodów téj rzeki, wieczorem, paroch tamtejszy przechodząc się po nad brzegiem, odmawiał pacierze. Jedną razą postrzega coś płynącego, i po ostatnim odbrzasku zachodowego światła, rozpoznaje płynące ciało ludzkie, biało odziane. Pośpieszył kapłan ku cerkwi, uderzył w dzwon, i w mgnieniu oka zbiegła się czeladź, rzucili się do czółen, i popędziwszy się za topielcem dognali go i do brzegu przyciągnęli. Była to kobieta, któréj pięknych rysów woda popsuć niezdołała. Ubrania na niéj mało było, na palcu złota obrączka, na szyi na cieńkim złotym łańcuszku medalijon, ale tak szczelnie zamknięty, że się woda pod szkło niewcisnęła i minijatura mężczyzny niezmienioną została. Ale nikt we wsi ani utopionéj, ani odmalowanego mężczyzny nieznał. Paroch spisawszy akt tego wydarzenia przy świadkach,

dołączył do niego medalijon i obrączkę, i złożył to w Złoczowie w cyrkule, a utopioną w grobie murowanym pochował. Wieść jednak o tém gruchnęła w okolicy i doszła do Komorowskich. Pośpieszyli oni do Złoczowa, ale stronnicy Potockich szczodrze opłaceni poznawszy w minijaturze portret Sczęsnego, starali się dowody te zniszczyć. Ale jeżeli w cyrkule załatwił się interes, bo drogo był okupiony, to z xiędzem trudna była sprawa. Potrzeba mu było tajemnicę Potockich powierzyć i do niéj go wciągnąć, a ślad aktu zupełnie zniszczyć. Ale ani obietnice, ani datki, ani groźby, nic na zacnym kapłanie niezdołały, i okropna nieprawość wyjawiła się. Pogorszyło to wielce sprawę Potockich. Komorowscy udali się do parocha, widzieli i poznali trupa Gertrudy, otrzymali kopiję aktu złożonego w cyrkule z podpisami tychże samych co i na akcie świadków, i z tym dokumentem jawili się w Złoczowie. Niemożna było utaić aktu, skonfrontowano z nim kopiję, wszystko było to samo, ale do dowodów służyła tylko obrączka, bo medalijon zniknął z kancelaryi cyrkułu. Możeby i obrączka była znikła, gdyby się rozpatrzono w jéj wnętrzu, gdzie litery G. S. dzień miesiąca i rok był wyryty. Komorowscy obrączkę Gertrudy poznali, o znajomym medalijonie domyślili się. Wszystko to jednak dowodziło tylko, że była utopiona. Podejrzenie padało na Potockich, ale zbrodni niebyło jeszcze czém dokazać. Poznali wprawdzie domownicy w czasie napadu Wilczka dworzanina Potockich, bo ten nieraz posyłany bywał od p. Szczęsnego do p. Gertrudy, ale gdzież go znaleźć, kiedy tyle poszukiwań daremnemi były, kiedy i wieść o nim zaginęła. I czas uchodził, i proces leniwie się przeciągał. P. wojewodzina tryumfowała, Komorowscy martwieli smutkiem i kłopotami.

W historyi starościny Bełzkiéj przez Kraszewskiego, zjawia się oskarżenie Potockich, potém dekret ferowany w téj sprawie, ukaranie Wilczka i jego wspólników. Ale jakim sposobem zbrodnia ich wykrytą została? Czyżby

Wilczka pojmanego jako porywacza Gertrudy, niezapytano: gdzieś podział nieszczęśliwą małżonkę twojego pana? czyżby nieznalazły się sposoby wydobycia z więźnia zeznania prawdy? Tu w historyi p. Bełzkiéj taka jest przerwa, że po przeczytaniu dwóch tomów, zostaje jeszcze zapytanie: no! i cóż daléj?— Smutną tę powieść, w dzieciństwie mojém, jako powieść ciągle po kraju krążącą, wielokrotnie i rozmaicie słyszałem opowiadaną. Wypadków tych na wiele lat przed mojém urodzeniem wydarzonych, niemogłem bydź świadkiem, *relata refero*. Zdaje mi się jednak, że osoba, od któréj najwięcéj okoliczności téj historyi słyszałem, największą mieć może przewagę i wiarę w tym względzie.

Chrząszczewski Franciszek, niegdyś sekretarz Szczęsnego Potockiego, późniéj konfederacyi Targowickiéj, miał brata ożenionego z Cyrynianką siostrą p. Xawerowéj Malczewskiéj. Chrząszczewscy odumarli w dzieciństwie córkę swoję Eleonorę, a ciotka Malczewska wychowała ją wraz z córką swoją. P. Franciszek odwiedzał u Malczewskich w Tarnorudzie swoję synowicę, tam poznałem tego szczególnego człowieka i miałem szczęście przypaść mu do serca. Niepiękna twarz, zaniedbana powierzchowność, niemogły u patrzących na niego wywołać jakiejś sympatyi; ale skoro p. Chrząszczewski usta otworzył w jakimby to niebyło języku (bo ich biegle kilka posiadał), albo w jakim tylko wydarzyło się przedmiocie, natenczas rozjaśniało się jego oblicze, a ucho zachwycone przedziwną jego wymową, oczarowania swego i oczom udzielało. Polubił mię i zniewolił ażebym go odwiedził. W kilka lat ledwie potém, zwiedzając nadbrzeża Dniestru od Ruszkowa do Jaorlika, zajechałem do Sarucci, gdzie mieszkał p. Chrząszczewski. Ośm dni upłynęło jak ośm godzin w miłém jego towarzystwie. Dniem obiegaliśmy piękne tamtejsze okolice, wieczory zajmowała przyjemna pogadanka. Najczęściéj jednak rzecz toczyła się o Szczęsnym Potockim, o Tulczynie, a ztąd i o Komorowskiéj, a to wspom-

nienie, wywoływało na Chrząszczewskiego uciskający smutek. Opowiadanie jego, zawierało wiele okoliczności opisanych dziś przez Kraszewskiego, najwięcéj jednak zgadzało się z opowiadaniem p. Rohozińskiéj. Ale i p. Chrząszczewski utrzymywał i dowodził, że całą sprężyną tego okropnego dramatu była wojewodzina i cieszyła się ze śmierci Gertrudy, że wojewoda był machiną działającą jedynie podług nastrojenia żony. Opowiadał daléj, że mimo wziętości i uważenia w jakiém p. Kossakowska była u Wiedeńskiego dworu, niechęceni ostrém jéj obchodzeniem się urzędnicy Lwowscy przechylili się na stronę Komorowskich, i sprawę ich z tak dobréj strony w Wiedniu wystawić umieli, że ta samego nawet Cesarza zainteresowała, co i całemu procesowi inny obrót nadało. Proces Komorowskich stanął na lepszéj drodze; ale co się rzeczywiście stało z Gertrudą, o tém sami Potoccy wiedzieli, a stroskany ojciec coś wiedział, wiele się domyślał i przeczuwał jeszcze więcéj. Niebyło jednak czém wyświecić całéj niegodziwości sprawców jego nieszczęścia. Wykrycie winowajców, dziwnym się stało sposobem. Tu wyraźnie okazał się sąd Boży. Rzecz działa się we Lwowie, był dzień niedzielny, u św. Jerzego na nabożeństwie mnóztwo było ludzi. Przy wejściu do kościoła siedział przychodzień wybladły, schorowany, ledwie mogący się utrzymać na nogach. Pobożni chcieli go jałmużną opatrzyć, ale on wsparcia przyjąć niechciał i błagał w imie Boga, ażeby mu przyprowadzono xiędza, przed którym mógłby się ze swoich ciężkich grzechów wyspowiadać. Jakaś litościwa dusza oddała mu tę usługę, wyszedł kapłan i odprowadziwszy nieco na stronę, słuchał go spowiedzi, a po ukończeniu wyznania z pomocą ludzi kościelnych wprowadził go przed ołtarz, opatrzył Sakramentami, a potém do klasztornéj infirmaryi zawieść rozkazał. Chory zażądał urzędowych świadków, ażeby w obec ich zeznał ważną tajemnicę ciężącą na jego sumieniu. Sprowadzono urzędników duchownych i świeckich;

chory odezwał się w te słowa: „jestem jeden z tych, którzy porwali z domu ojca Gertrudę z Komorowskich Potocką, żonę pana mojego JW. Szczęsnego, za wolą osobistą JW. wojewodziny matki mojego pana. Rozkaz p. wojewodziny był, ażebyśmy porwaną wywieźli na granicę Węgierską i osadzili w klasztorze, którego przełożona miała wielkie obowiązki dla p. wojewodziny. Pani moja przestrachu i zimna znieść niemogła i w bolach macierzyństwa i jednego jęku niewydawszy, ducha Bogu oddała, zaledwie może o mil parę od domu rodzicielskiego. Wilczek postrzegłszy, że już trupa tylko wieziemy, z przestrachu utracił przytomność, ale niebyło już nad czém rozmyślać. Spodziewaliśmy się za nami pogoni, niebezpieczeństwo groziło, zwróciliśmy więc nad Bug i przerąbawszy obszerną w lodzie płonkę, wsunęliśmy śpiesznie pod lód trupa. Strach nas pędził, i lotem ptaka stanęliśmy w Krystynopolu. Uwiadomiona p. wojewodzina wesołą twarzą przyjęła wieść o zgonie synowéj, nas w różne dalekie porozsyłała strony, Wilczka zdaje się do Wiednia, mnie do Tułczyna wysłała. Mnie gryzło cóś w sercu, do niczego niebyłem sposobnym, zdrowie mię opuściło, wałęsałem się po kraju, ale wszędzie widziałem obok siebie trupa pani naszéj, naszéj dobréj pani. Moc jakaś niewidoma ciągnęła mię w te strony, a czując się blizkim śmierci, pragnąłem wyznać moję zbrodnię i pokutować za nię do wyjścia ducha.“ Całe to zeznanie spisano urzędownie z podpisami świadków i w gubornijum złożono. Powiadano, że arcybiskup dał znać Potockim, ale zeznania urzędownego zataić niemożna już było. Układy z Komorowskimi sprawiły, że w dekrecie o tém zeznaniu przemilczano. Potoccy przegrali, i byliby może ciężko karani, gdyby nie względy na ród ich, i na Komorowskich bezinteresowność. Szczęsny kochał Gertrudę, a lubo cytują jego listy uznające nieprawność z nią małżeństwa, on nigdy niemiał zamiaru zerwania poprzysiężonych w obec Boga ślubów. Całe życie niemógł zapomnieć Gertrudy,

i nieraz w samotności łzę jéj pamięci poświęcił. Chrząszczewski widział te łzy, których wdzięki i miłość Zofii otrzeć zupełnie niezdołały. Takie było opowiadanie p. Chrząszczewskiego, i musiało być prawdziwe, bo on kochany był od Potockiego i całą ufność jego posiadał. Ustęp ten przedwcześnie w opowiadanie moje wtrąciłem; ale wspomniawszy o Komorowskiéj, sądziłem stosowném, opowiedzieć, co tylko wiedziałem w tym względzie, a czego w dziele p. Kraszewskiego nieznalazłem. Wracam do mojéj historyi.

Niemogę tu niewspomnieć o jedném dziwném wydarzeniu, którego sobie i dziś wytłómaczyć nieumiem i nikt podobno objaśnić go niepotrafi. P. podstolinę Rohozińską odwiedzili w Stojanowie braterstwo jéj pp. Romanowscy i z nimi pokrewna samej panna Grzymalanka, dziwnie pięknéj urody, pięknych duszy przymiotów i wyższego ukształcenia, ale nader wątłego zdrowia dama. Z tego to powodu, po kilkunastu dniach bawienia, rodzina ta cała, z żalem współ-emigrantów przeniosła się do Lwowa. P. Grzymalanka zostawiła po sobie we wszystkich najprzyjaźniejsze uczucia. Długo niemieliśmy o nich żadnéj wiadomości, a tymczasem odebraliśmy list od mego ojca, donoszący o zwinieniu, czyli jak naówczas mówiono dezarmacyi, części wojsk naszych w Ukrainie, z pozwoleniem wejścia w służbę Rossyjską w tychże samych rangach. Pisze daléj: że wziął dymissyę, wraca do domu i prosi ażeby i matka z nami wracała; że przejazd już swobodny, bo wojska Rossyjskie pociągnęły ku Brześciowi, zostawiwszy gdzieniegdzie załogi dla bezpieczeństwa téj części Wołynia. Potrzeba więc było i nam zbierać się do domu.

Właśnie w czasie tego wybierania się w drogę, matka moja i ciotki cały ranek zajęte były układaniem swoich rzeczy, a my dzieci bawiliśmy się w cieniu drzew na obszernym dziedzińcu. Służąca była przy nas z robotą, a nasz furman zajęty był przyrządzaniem do podróży

powozu i uprzęży. Było około południa. W tém z rogu dziedzińca wychodzi dama w ciemnéj materyalnéj sukni, w białym półsalopku, w kapeluszu ryżowym z czarną szeroką koronką. Postrzegliśmy ją wszyscy i krzyknęliśmy: „P. Grzymalanka!“ Służąca pobiegła dać znać mojéj matce, furman przechodzącą nizkim ukłonem pozdrowił. Dama spójrzała na nas z pełnym wdzięku uśmiechem, i niedoszedłszy do wrót, w pośród dziedzińca znikła, i nikt jéj z sąsiadów na ulicy niewidział. Gdy moja matka i ciotki wybiegły, już jéj niebyło, furman tylko zmięszany tém zjawiskiem żegnał się i modlił. Na nas dzieciach szczególnego to wrażenia niezrobiło, ale starsi żywą niespokojność uczuli. Wyjazd nasz odwlókł się jeszcze na dni kilka, w przeciągu których odebraliśmy list od podstolinéj ze Lwowa, donoszący o zgonie pięknéj Grzymalanki, którym na długo zasmuciła rodzinę i przyjaciół, a wieszczowi wojownikowi smutne nad stratą Telimeny natchnęła Emroda żale.

Wyjechaliśmy ze Stojanowa w początkach sierpnia z błogosławieństwem i modlitwami naszego gospodarza, ale ze szczupłym nader zapasem pieniężnym; a choć do Warkowicz ledwie dwadzieścia mil było i droga letnia wyborna, trudno jednak było pośpieszyć trzema już tylko końmi, które i ciężki powóz i nas osób ośm i duży pakunek dźwigać musiały. Dnia trzeciego naszéj podróży, dzień był gorący, znużone konie prawie ustawały, i wcześnie przed zachodem słońca na nocleg stanąć potrzeba było. Na całéj przejechanéj przestrzeni, od granicy prawie, zastawaliśmy ślady rabunku. Karczmy i dwory pustkami stały, i po wieśniaczych chatach przytułku na noc szukać musieliśmy. Szczęśliwym trafem austerya pomiędzy Radomyślem a Targowicą w tak pięknym była stanie, jak gdyby na nowo zbudowana i na przechodzie Dońców niestała, i tam właśnie stanąć na nocleg potrzeba nas zmusiła. Gospodarze, dwoje młodych i pięknych ludzi, najuprzejmiéj nas powitali, dano nam obszerny czysty pokój

z wygodnemi łóżkami, i gdy gospodyni prowadziła nas do stancyi, gospodarz pomagał konie wyprzęgać i rzeczy poznosić. Zaledwieśmy się cokolwiek rozgościli, gospodyni przyniosła dla nas dzieci trzy filiżanki mleka i trzy piękne bułeczki, i zapytała matki mojéj, czy niezechcą panie czém się posilić, nim wieczerza będzie? Matka moja znając smutny stan swoich finansów, bo już tylko dziesięć złotych miała, a do domu jeszcze dwa dni drogi było, nieśmiała nadużyć uprzejmości gospodyni; ale w tém nadszedł i sam gospodarz i oboje usilnie nalegać zaczęli. „Ludzie dobrzy! rzecze matka moja, od popasu niewieleśmy ujechali i jeszcześmy niegłodni.“ Ale gospodarz patrząc na nas chciwie zajadających nasz podwieczorek, domyślał się, że popas nasz niemusiał być wielce obfity.

Słońce było na zachodzie i powiew wieczorny ochładzał dzienne gorąco. Blizko austeryi był lasek i z niego widok na piękną wioskę starosty Zagórskiego, do którego i austerya należała. Tam całą naszą gromadką wyszliśmy na przechadzkę, w ciągu któréj i matka i ciotki przypominały sobie, gdzie i kiedy tego gospodarza i jego żonę widzieć mogły, bo tak nieobce im były ich twarze. Już się ściemniało, kiedy wróciwszy zastaliśmy stoł nakryty i zastawioną wyborną wieczerzę. „Jeść, to dobrze, mówiła do siostr moja matka, ale jak się potém wypłacić?“ Uprzejmość jednak miłych gospodarstwa i potrzeba posiłku przemogły, jedliśmy smaczno, a gospodarz poglądał na nas z takiém rozczuleniem, że to i starsi zauważyli, a nawet naszych dziecinnych postrzeżeń nieuszło. A gdy moja matka chciała go o przyczynę wzruszenia zapytać, już go w pokoju niebyło, aniśmy go tego wieczora więcéj niewidzieli; gospodyni tylko sama służącéj naszéj w usłudze pomagała.

Nazajutrz ledwieśmy powstawali, gospodyni wniosła w porządnym przyborze, wyborną kawę z wyborną śmietanką i ślicznemi świeżemi bułeczkami. Co się w sercu matki mojéj działo, trudno wypowiedzieć. Tyle dogod-

ności, tyle dostatku, taka uprzejmość, a czém to opłacić? Bo nietylko dla nas, ale dla ludzi naszych i koni dostatnia była wygoda. Słudzy nasi z pomocą gospodarza pakowali rzeczy w powozie, a gdy już wszystko było gotowe, matka moja zaprosiła gospodarza do obrachunku. Na twarzy jego widać było wielkie wzruszenie. Zapytany, co się za nocleg należy? Odpowiedział z mocą: „Nic".— „Jakto, nic?"— zawołała matka.— „Niech pani będzie łaskawa posłucha mię,— rzekł mocno wzruszony młody człowiek,— a potém niech pani sama osądzi, czy mogę wymagać jakiejkolwiek zapłaty. Żył przed niewielą laty w Dubnie pan porucznik Ostrowskiego regimentu Sobiński, mieszkał w pięknym domu własnym na Piekarskiéj ulicy. Miał szanowną małżonkę i kilka córek, takich miłych, takich zacnych jak i rodzice. Zacne dusze tych państwa znane były w całém Dubnie. Obok w sąsiedztwie mieszkał szewc Weryński, niemłody już człowiek, dobry majster; ale (mówił daléj ciężko wstchnąwszy) Bóg przypuścił na niego nałóg pijaństwa. Miał on syna Jasia, i tego do swego rzemiosła sposobił. Jaś miał już może lat ze trzynaście, dobry musiał być chłopiec, bo go p. porucznik bardzo lubił i sam go czytać i pisać wyuczył. Niech w Bogu spoczywa ten dobry pan, (mówił daléj ze łzami), Jaś uczył się czytać i pisać w domu czcigodnych, bogobojnych państwa, i tam się nauczył bać Boga, kochać bliźniego i poczciwie pracować na kawałek chleba. Jaś osierociały od ojca, wziął się szczerze do rzemiosła i ciężko pracował na utrzymanie chorowitéj matki, siostry i siebie. Bóg mu pomagał pod ojcowską opieką szanownego p. porucznika. Kochał go Jaś synowskiém sercem i całą rodzinę jego kochał, a dla panien porucznikówien najpiękniejsze trzewiczki robił. Temi dziećmi p. porucznika wy panie jesteście, a ten Jaś jest przed oczyma waszemi, u nóg waszych",— dodał rzucając się do nóg mojéj matki. Rozrzewnienie niedało nikomu słowa przemówić; ale nakoniec matka moja odezwała się: „Panie Weryński! to wszystko, coś powiedział, nieu-

walnia mię od zapłacenia tak wygodnego noclegu. Wszak na to wzięliście traktyer na wielkim gościńcu, ażeby ztąd mieć przyzwoite utrzymanie, a każdy przyjezdny, jeżeli używa gościnności, opłacić ją powinien.“—„O, nie!— zawołał Weryński z płaczem,— pani płacić mi niebędziesz, pani mi téj krzywdy niezrobisz. Pan Bóg błogosławi pracy naszéj, jesteśmy na nasz stan dość bogaci, czemuż niemamy Bogu dziękować za Jego Opatrzność nad nami, dowodząc wdzięczności naszym dobrodziejom? A pamiętasz pani, kiedy matka moja ciężko chorowała, a ojcem nałóg jego o łóżko uderzył, kto nas karmił swym chlebem, kto doktora sprowadzał, kto lekarstwa opłacał? pan porucznik! Kto przy chorych z nami noce przesiadywał i o chorych najtroskliwsze miał staranie? pani porucznikowa i pani. A kiedy ojciec mój biedny życie zakończył, kto pogrzebem się zajął, kto koszta opłacał? i oficer z całą rodziną swoją ubogiego szewca do grobu odprowadził, i życzliwą garstkę ziemi na ten grób rzucił? Pani to sobie przypominasz, widzisz nasze uczucia, i chcesz, ażebym ja przyjął zapłatę za ten kawałek powszedniego chleba, który wam winienem i za ten kąt do odpoczynku po trudzącéj podróży. A jestże w tém sprawiedliwość?“ To rzekłszy zasłonił oczy i głośno płakał, i przez płacz to jeszcze wyrzekł: „Gdybym od pani wziął zapłatę, coby na to ztamtąd rodzice moi powiedzieli?“—Mowa Weryńskiego wywołała powszechne rozrzewnienie, płakaliśmy wszyscy i była chwila uroczystego milczenia;—nareszcie podniosła się matka moja i objąwszy głowę poczciwego Jasia po-macierzyńsku ją ucałowała: „Rozpoznaję cię, Jasiu,—rzekła;— rysy twojéj twarzy się nieco zmieniły, ale twoje poczciwe serce zawsze toż same. Kochał cię nasz ojciec, bo przewidział, że będziesz poczciwym człowiekiem, jak byłeś dobrym synem, i pewnym był, że ci Bóg błogosławić będzie. Przyjmuję twoję uprzejmość wdzięczném sercem i takiémże sercem ci dziękuję. Niech ci Bóg stokrotnie nagrodzi. niech ci

dopomaga i szczęści we wszystkiém, a ja do zgonu twojego czynu niezapomnę.“ Weryński nieposiadał się z radości, całował ręce mojéj matki, ciotek, starszéj siostry, a nas dwoje mniejszych chwycił na ręce, i przyciskając do serca, nosił na ręku po pokoju, śmiejąc się i płacząc. Po chwili tego rozrzewniającego uniesienia, matka moja zapytała Weryńskiego: „Kto jest twoja żona? bo mi i jéj twarz znajoma.“ A to Kasia Biesiadycka, którąś pani, będąc jeszcze niewielką panienką, z p. porucznikiem do chrztu trzymała i dałaś jéj swoje imie... Kasiu!—zawołał,— idź, ucałuj nogi twojéj kochanéj matki chrzestnéj!“ Weszła hoża Kasia, niosąc dwie serwet nawiązanych podróżnemi dla nas zapasami, a postawiwszy to na stole, do nóg mojéj matce upadła, ta ją podniosła i serdecznie uścisnęła. Nakoniec najczuléj pożegnawszy pięknych i poczciwych Weryńskich, w dalszą puściliśmy się drogę. Na noclegu jeszcze mocniéj przekonaliśmy się, że wdzięczność tych poczciwych ludzi nieograniczyła się samą w ugoszczeniu nas uprzejmością, i że ich przezorność umiała z całą delikatnością wyśledzić nasz niedostatek. W podróżnym worku swoim znalazła matka moja pięć dukatów i list taki: „Racz Pani Dobr. łaskawie nam odpuścić, że podstępnie wywiedzieliśmy się od Anusi (tak się zwała nasza służąca), że Państwo ze szczupłym bardzo zapasem pieniędzy do domu wracacie. W drodze może się wydarzyć, Boże uchowaj! jaki przypadek. Ośmieliliśmy się więc włożyć pieniądze do worka Pani Dobr. nie jako dar, ale jako pożyczkę. Daruj Pani Dobr. nam tę śmiałość, ale nam ją podyktowała wdzięczność i serdeczne przywiązanie do państwa. Może nam Bóg pozwoli kiedy odwiedzić, naszych najukochańszych Państwa, naszych Dobrodziejów, to dług ten nam wypłacicie. A teraz, niech Bóg szczęśliwie zaprowadzi do domu, czego życząc zostajemy do zgonu i t. d. Weryńscy.“ List ten tak prosty, ze łzami czytaliśmy, i moja matka długo zachowała ten dowód pięknych uczuć Weryńskie-

go. A jednak, był to tylko prosty szewczyk, a żona jego córka rzeźnika. Co za przykład do naśladowania! Iluż to wyższych rodem i wychowaniem tak wzniosłych uczuć nieposiada! Ja ledwie że to zapamiętam, ale matka moja lubiła często powtarzać tak miłe wydarzenie, i ja go sobie co do słowa wypisałem.

Wróciwszy do Warkowicz, zastaliśmy spokój w kraju i babkę zdrową, ale dom nasz jak w smutnym stanie! Ojciec wyjeżdzając do wojska, co było kosztowniejszego z rzeczy i sprzętów, ukrył w podziemnych izbach naszego dworku, suchych i czystych, oddał od nich klucze swéj matce, i zdawało się, że wszystko zabezpieczył. Ale co uniknęło rabunku, to przepadło wylewem blizkiego stawu, w którym wody wezbrane sto-Jańskiemi deszczami, na kilka łokci się podniosły i wszystkie nadbrzeżne budynki zalały. Powodź ta tak nagle się roztoczyła, że niebyło sposobu co uratować. W naszym mieszkaniu woda przez drzwi sienne na ulicę płynęła; a nim wodę wyczerpać z izb dolnych można było, wszystko co w nich zachowano, zniszczeniu uległo. Ta klęska do reszty nas zrujnowała, niebyło sposobu utrzymania się daléj, bo ledwie para set złotych całego funduszu pozostało na życie, i kilkadziesiąt rewersów bez nadziei odebrania zapisanéj na nich należytości. Niebyło co robić. Ojciec zmuszony był starać się o jaki obowiązek, ażeby wyżywić matkę, żonę i dzieci. W tym czasie wrócił z Warszawy brat mojéj matki, który służąc w biurze Komissyi Cywilno-Wojskowéj lat kilka, siaki taki uzbierał sobie fundusik. A że z zamiłowaniem oddawał się sztuce malarskiéj i pięknie malował minijatury i pejzaże, xiążę Józef Czartoryski, na rekomendacyę p. Peszki, przyjaciela i przewodnika mego wuja w malarstwie, wezwał go na dyrektora malarni przy fabryce porcelany założonéj przez xięcia w Korcu, z piękną pensyą i mieszkaniem. Szczególne obstalowania zaś osóbny przychód przynosiły. Po dwutygodniowém bawieniu u nas, zabrał wuj do

siebie dwie siostry, i oświadczył ojcu memu, że skoro znajdzie obowiązek, ażeby i mnie przywoził do Korca, na dalsze moje wychowanie. Smutno było ciotkom moim rozstawać się z siostrą, która im matkę zastępowała i którą jak matkę kochały. Ale to rozstanie się nienadługo było.

ROZDZIAŁ II.

KORZEC.

Niejest moim zamiarem pisać historyę tego miasta: na to potrzebaby wyższych usposobień, wielkiéj biegłości w dziejach ojczystych i przejrzenia się w archiwach xiążąt Koreckich i ich spadkobierców. Zaobszerneby to było dzieło i zaciężkie na 70 letniego, a nieuczonego starca. Ja to tylko chcę o Korcu powiedzieć, co moi, a późniéj ja sam mogliśmy widzieć i zauważać w Korcu, jako w mieście, które przez lat kilkanaście w końcu zeszłego stulecia, rozsławiło się po całym kraju.

Z wdzięcznością wyznać potrzeba, że panowanie Stanisława-Augusta lubo tak nieszczęśliwie zakończone, podniosło w kraju oświecenie, ośmieliło talenta, zachęciło sztuki i rękodzieła i dało silny popęd przemysłowi Światli obywatele, wiernie wspierali zbawienne zamiary monarchy, zakładali po swoich majętnościach użyteczne fabryki, sprowadzali z zagranicy biegłych mistrzów, krajowych zachęcali i kształcili. Do takowych mężów zasługi, sprawiedliwie należy między innymi, xiążę Józef Czartoryski stolnik Lit. właściciel Korca. Zamieszkawszy w zamku zbudowanym za Zygmuntów przez xiążąt Koreckich na skale, nad Kurczykiem, podupadłe miasto pięknie odnowił i przyozdobił, a na przedmieściu od imienia xięcia Józefin zwaném, założył fabrykę fajansu i porcelany, która nagle wzniosłszy się dorównywała fabrykom zagranicznym. Dziwnie piękne położenie Korca nad rzeką Kurczykiem w pośród skał granitowych, niemało wsparło zamiary xięcia upięknienia i podniesienia miasta. Też same skały, zdobiące nadbrzeża, dostarczyły obficie i ziemi porcelanowéj.

I pięknež bo to było miasto. Rynek w okrąg kamienicami piętrowemi zabudowany prowadził na ośm ulic; z tych, wio-

dące do zamku i do Franciszkanów, najlepiéj były zabudowane porządnemi dworkami i kamienicami. Kościół farny piękny przechowuje dotąd obrazy olejne i freski, niewspomnianego może jeszcze dotąd nigdzie artysty naszego Józefa Mańkowskiego, godnego osóbnéj karty w dziejach sztuk pięknych naszego kraju. Oprócz fary, były jeszcze w Korcu kościoły: Franciszkański w pół ledwie ukończony i Panieński (tak go zwano) zakonnic, podobno Brygidek. Gmach fabryczny na Józefinie był ogromny. W prawém skrzydle, było mieszkanie dyrektora obszerne, wygodne i ozdobne, i laboratoryum; na lewém skrzydle był magazyn wyrobów; środek na dole zajmowały galerye robocze, na górze sale malarni, z tyłu dziedziniec ogromny z licznemi fabrycznemi zabudowaniami.

Do zarządu fabryki xiążę sprowadził znakomitych nauką i doświadczeniem Polaków Franciszka i Michała Mezerów, na dyrektorów tego nowego jeszcze w kraju naszym zakładu. Mezerowie składali wzorową rodzinę, i uczuć wyższych i wyższych umysłowych uspobień, i światowego ogładzenia. Mieli piękną biblijotekę i kilka gazet ówczeŝnych utrzymywali. I dom ich na wyższą skalę prowadzony, ugaszczał znakomite w kraju osoby i za rządu Polskiego i pod panowaniem Rossyjskiém.

Fabrykantów największa część była z Warszawy, ale byli i Saxończycy, i Rusinów tutejszych przy tamtych wielu szczęśliwie przyuczało się i kształciło.

Fundusze od xięcia łożone na fabrykę były znakomite, ale zwiększały się jeszcze przez akcye, do których xiążę przyjmował summy szlacheckie od 100 do 10,000 złotych i więcéj nawet. Tak zwiększony fundusz pozwalał zwiększenia nakładów, ztąd też liczba pracujących była ogromna, materyały obfite i wybornie przygotowane, a zatém wyroby trwałe i piękne. W r. 1793, samych siedzących za toczydłami było do tysiąca, w malarni 73, z których odznaczali się pięknem rysowaniem pod przewodnictwem mego wuja, Grzegorz Chomicki, Antoni Gajewski i Bluman. Wkrótce, bo we cztery lata od założenia swego, fabryka Korecka pod dyrekcyą Mezerów, tak się podniosła i wsławiła, że wyrównała Saskiéj, a nietylko dla prowincyonalnéj szlachty, ale i na stoły magnatów naszych, porządnego fajansu i pięknéj porcelany dostarczała, i znakomite przynosiła dochody. Olbrzymio procentujące akcye, prawie sto na sto przynosiły zysku. Ztąd też akcyonatorowie chętnie budowali sobie domy w Korcu i na zimę tam się na mieszkanie zjeżdżali.

Oprócz porcelanowéj, były jeszcze w Korcu fabryki su-

kienna i tabaczna nieustępująca Austryackim. Dwóch doktorów Goltz i Żyle, bogata i słynna apteka Krakusa, wielu znakomitych mistrzów w rzemiosłach, zamożni kupcy Izraelici i zagraniczni, wszystko to składało bogatą ludność Korca, i to miasto emulowało z Dubnem sławném kontraktami. Od r. 1793 konsystencya wojska Rossyjskiego jeszcze więcéj zaludniła i wzbogaciła Korzec. Tylu mieszkańcami i tylu użytecznemi zakładami bogate miasto, niemogło niezakwitnąć i podnieść się wysoko. A mieszkańcy, chociaż i różnorodni, zawiązywali między sobą stosunki, i utworzyli społeczeństwo, jak na owe czasy świetne i wesołe.

Dyrekcya malarni wręczona memu wujowi, przynosiła mu po 15 czerw. zł. miesięcznie, dom z opałem, światłem i strożem. Kosztowniejsze obstalunki sam malował i osóbne za to wynagrodzenie odbierał. Mieszkał tuż obok fabryki w sąsiedztwie Mezerów, z którymi ścisłą związany był przyjaźnią. Ciotki moje bawiące przy bracie, jak własne siostry kochane były od obydwóch pań Mezerowych, i pod ich opieką we wszystkie towarzystwa wchodziły. P. Franciszek Mezer miał kilkoro dzieci; dwóch starszych synów, Józef i Kazimiérz, starsi rodziny swojéj, brali nauki przy Józefie Skoczkowskim, robiącym zaszczyt szkole Międzyrzeckiéj, jako jeden ze znakomitych jéj uczniów. Szczęśliwe w nim było zmięszanie narodowego bogobojnego wychowania, z maxymami szerzącéj się już podówczas Francuzkiéj rewolucyjnéj filozofii. Tłómaczył się i pisał pięknie ojczystą mową, w Łacinie był biegłym jak uczeń szkoły Pijarskiéj, po-Francuzku sam się nauczył. Korzystając z bogatéj Mezerów biblijoteki, czytaniem doskonalił się w tém czego mu ze szkół niedostawało. W wykładaniu uczniom nauk elementarnych, z dziwną tłómaczył się łatwością. Z moim wujem w ścisłéj był przyjaźni, i ja z Mezerami młodymi szkołę jego składaliśmy, z wielką naszą korzyścią i zadowoleniem naszych rodziców.

W tym czasie kwaterował w Korcu jenerał dywizyi, czy podobno korpusu, Lewanidów, wiekowy już, bogaty i hojny. Utrzymywał dwór wielki, dobrą muzykę, miał nawet swój teatr. Miłego był ułożenia i wyższéj cywilizacyi, uprzejmy w swym domu, niedumny z wysokiego stopnia, chętnie znosił się z mieszkańcami miasta i z okoliczném obywatelstwem. Sprzyjał Polakom, szanował ich uczucia i nikt niesłyszał z ust jego przechwałek zwycięzkich, ani urągania naszemu losowi, a co tylko było pod jego komendą starało się naśladować zacnego naczelnika. Można też powiedzieć że w jego dywizyi najwięcéj znajdowało się pięknie ukształconych oficerów, synów zna-

komitych rodzin Rossyjskich. To też cała przestrzeń kraju jego wojskiem zajęta, żadnéj od żołnierstwa przykrości niedoznawała, a dom jenerała był zebraniem naszéj szlachty, znajdującéj w nim uprzejme przyjęcie i bratnie współczucie obecnéj niedoli. Podobnym mu był półkownik xżę Łabanów konsystujący w Międzyrzeczu. Ale niewszyscy wyżsi naczelnicy tym dwóm byli podobni. W tejże saméj dywizyi Półkownik Tekutiew, gwałtownego był charakteru, nienawidział Polaków; i skutki téj nienawiści, mimo protekcyę Lewanidowa, niemało mieszkańcom okolicznym uczuć się dały.

Z przyjaźniejszych nam, jeszcze jednego dobrze pamiętam; był to major Murawjew, także zamieszkały w Korcu. Majętny z siebie, dom swój utrzymywał na tym stopniu co i Lewanidów. Dwór miał liczny, wyborną muzykę i dwóch Włochów, wysoko opłaconych, ale dzielnych śpiewaków. Miał żonę Rossyankę niewysokiego rodu, ale wielce ukształconą, rozsądną i dziwnie dobrą; to też Darya Michajłowna poważaną była od wszystkich. Uprzejmość jéj równie jak i majora miłym czyniła pobyt w ich domu, i pełno u nich zawsze było gości i bawiono się wybornie. Jednego tylko mieli synka Alexandra w latach siedmiu. Śliczne to było dziecię, ale pieszczone i w żądaniach swych granic niemało. I Mezerowie i moja rodzina w przyjaźni byli z majorowstwem; ciotki moje sama bardzo lubiła i nawet projekt sobie układała ożenienia siostrzeńca majora Stepana Prokopowicza, bogatego jedynaka możnéj rodziny, z młódszą ciotką moją. Mimo piękność młodzieńca mogącą zająć młode serce panienki, różnica religii i niektóre wyskoki wolne kawalera, na przeszkodzie projektom majorowéj stanęły. Mały Sasza był ze mną druh, bo rodzice jego bardzo mię lubili, a stary Niemiec Saszy, mnie zawsze wychowańcowi swemu za przykład do naśladowania stawił. Saszę ubierali po-Angielsku, i majorowstwo wymogli na moim wuju, że jakie sukienki dla Saszy sprawią, żeby takie Sasza i mnie zaraz od siebie przysyłał. Major był człowiek wyższego ukształcenia i mało mu było podobnych, otwartość charakteru jednała mu u wszystkich szacunek, a uprzejmość — życzliwość powszechną. Bawiono się w ich domu wesoło, ale i w karty grano. Sam nawet lubił grę, ale niezawsze grał szczęśliwie. Raz nawet tak się zdarzyło w obcym jakimś domu, że mu do gry zabrakło pieniędzy, u mego wuja wziął 15 czer. zł. i dał mu na małym papierku rewersik. Nienaglony potrzebą mój wuj nieupominał się długo, a tym czasem pod jego niebytność, major wyjechał zupełnie z Korca,

upewniając przez p. Mezera, że dług będzie oddany. Na długo jednak i słychu o majorze niebyło.

Piękne i ukolice Korca. Poniżéj komisaryi nad rzeką, dolina otoczona od strony miasta skałami, zarosła wierzbami i topolami jakby umyślnie ugrupowanemi, pomiędzy drzewami ścieżki i drogi piasczyste i do chodzenia wygodne. To była przechadzka publiczna i w dni świąteczne bardzo, rozmaitego stanu ludźmi, ożywiona. O pół mili od Korca w Hołownicy był ogród xiążęcy, w dawnym smaku ze strzyżonemi szpalerami i świerkowemi figurami. Tam była i oranżerya bogata mnóztwem drzew cytrynowych rodzących. Całe wyższe towarzystwo Koreckie, odwiedzało Hołownicę, xięcia to wielce zadowalało; pielgrzymka ta nazywała się: *promenade du beau monde.* Xiążę sprzyjał mieszkańcom, podzielał ich zabawy, i choć między nimi niebyło żadnéj wysokiego rodu rodziny, ożywiał swoją bytnością każde zgromadzenie. I Korzec równie jak Dubno słynął zabawami. Słynął i fabryką porcelany, któréj i formy i malowidła i sama porcelana swoim gatunkiem, nieustępowała Saskiéj. Tutułmin jen.-gubernator obstalował był Kaftior na 12 osób z portretami cesarzowéj i stosownemi do tego ozdobami, za 1,000 rs. Piękność tego wyrobu przeszła oczekiwanie. Zadowolony jenerał umówioną summę wypłacił, memu wujowi za trafne podobieństwo i gładkość pędzla w medalach 100 czer. zł. ofiarował, a dyrektor Mezer w krótkim czasie piękną złotą tabakierę z portretem monarchini bogato oprawnym w upominku otrzymał. Ale ta tak wysoko podniesiona pomyślność fabryki musiała się przesilić. Xiążę wyjechał do Drezna na mieszkanie. Fr. Mezer utracił żonę, a choć w powtórne małżeńskie wszedł związki z panną Honoratą Golczówną, Korzec jednak stał mu się niemiłym i o opuszczeniu tego miasta szczerze zamyślał. W tym właśnie czasie zjechał do Korca wspomniany już wyżéj Józef Mańkowski malarz artysta dla malowania kościoła farnego. Znajomy był memu wujowi jeszcze z Warszawy, i szanowny starzec przyjął u nas mieszkanie ze wszystkiemi wygodami, za co wywdzięczając się wymalował dwa pokoiki, dając im podobieństwo znanych mu dobrze i ulubionych okolic Neapolu. W piérwszym pokoju, piec z kominkiem umyślnie na to przerobionemi, wyobrażały grób Wirgilijusza; drzwi do drugiego pokoju były wejściem do chatki strażnika grobu, jaka tam za czasu bytności Mańkowskiego istniała. Na głównéj ścianie widok Neapolu, a w dali Wezuwijusza, na innych ścianach okolice inne Neapolu, a wszystko najwierniéj podług natury przez samego Mańkowskiego

oddane. W drugim pokoju na ścianach pomiędzy kolumnami, na pięknych konsolach, cztery popiersia, Woltera, Monteskiego, Kochanowskiego i Naruszewicza, tak oddane, że wchodząc zdawały się rzeźby prawdziwe. Mój wuj pomagał Mańkowskiemu i wiele z téj pracy skorzystał. Wkrótce rozgłosiła się sława naszego domku, mnóztwo ciekawych odwiedzało nasze kąty, i wielu prawdziwych znawców oddawali talentowi Mańkowskiego sprawiedliwie należne pochwały. Malowidła tego znakomitego mistrza, znajdowały się w farze w Korcu, w Międzyrzeczu w pałacu i w kościele Pijarskim, a szczególniéj grób Pański, cudnie zachwycającéj perspektywy linijowéj i światła, osobliwie przy blasku lamp. Corocznie w Wielki Piątek, dla widzenia grobu Bożego, był zjazd i z okolic i z dalszych stron nawet, i dla nabożeństwa i dla nasycenia oczu pięknem malowidłem.

Józef Mańkowski, jakim go zapamiętam w 1794 r. był to staruszek (jak sam mówił) 70-letni, wzrostu miernego; mimo wiek, prosto się trzymał i chód miał pewny i skory. Rysy twarzy regularne, cera świeża, oczy ciemne pełne życia i rozumu, okazywały że pięknym był w młodości, że życie jego było czynne i namiętnościami nie zużyte. Charakter miał łagodny, młodzieńczą wesołość przy wytrawnym rozsądku, a dar opowiadania tak bogaty i miły, że się go nasłuchać niemożna było. Od dawna wdowiec, jednego tylko miał syna, i ten służył w Polskiém wojsku rotmistrzem. Uczył się w Rzymie dokąd był wysłanym jeszcze za Augusta III, ale czy kosztem króla, czy kogo z naszych magnatów, niepomnę. Całe Włochy zwiedził piechotą, a bogata teka jego, zawierała najpiękniejsze widoki Włoch, kopije przedchrześciańskich malowideł i rysunki rozmaitych starożytności Herkulanum i Pompei, a wszystko własną jego ręką, akwarelą albo guaszem wypracowane. Zbiór ten obejmował do 400 sztuk rozmaitéj wielkości przedmiotów. Mańkowski biegle znał język Włoski, mówił nim z wdziękiem, a nawet w mowie ojczystej dawał się poznać ślad długiego pobytu w Auzonii. Czechowicza znał osobiście i z uwielbieniem mówił o jego malowidłach. Znał i Smuglewicza, ale go niżéj daleko stawił od Czechowicza. Czyż zdanie prawdziwego artysty, niemoże być zdaniem powszechném? Wielu miał uczniów Mańkowski, ale najwięcéj do mistrza swego przybliżył się Burkiewicz. Taż sama metoda, tenże koloryt, takież wykończenie, ale niéma tego życia, jakie Mańkowski krajobrazom swoim nadawać umiał. W tym względzie mój

wuj więcéj pojął Mańkowskiego i pejzażami swemi przypominał Mańkowskiego malowidła.

Świetność Korca poczynała już przygasać. Xiążę wyjechał do Drezna i zdaleka tylko i to z mniejszym już zapałem, na piękne dzieło swoje poglądał. Dawni akcyonatorowie powychodzili, nowych bardzo niewiele przybywało, niezachęceni od xięcia innym spekulacyom się oddawali, i fabryka przed niewielą laty tak sławna traciła swoję wziętość, chyliła się do upadku i wszystko się na ten upadek sprzysięgło. W r. 1795 Franciszek Mezer wezwany od Zamojskich, przeniósł się do Tomaszowa, ich majętności w Galicyi i tam nową fabrykę otworzył. Słabego zdrowia p. Michał, z trudnością takiemu ogromowi pracy mógł podołać, ciągnął jeszcze rok cały, ale w nocy z 1 na 2 stycznia r. 1797, okropny pożar zniszczył piękną budowę, ogromne zapasy materyałów i dwa magazyny gotowéj porcelany i fajansu. Zgorzała malarnia z całym zasobem najpiękniejszych wzorów Saskich, Francuzkich i Chińskich. Ten smutny wypadek dobił fabrykę: bo rezolucya od xięcia na odbudowanie nieprędko przyszła i jeszcze znalazła trudności w exekucyi. Zniechęcony obojętnością xięcia Mezer, uwolnił się z Korca, przeniósł do Baranowki, gdzie na własne imie i własnym kosztem, szczęśliwie i do dziś dnia istnącą fabrykę otworzył.

Wkrótce i xiążę stolnik życie zakończył. Spadkobiercy starali się zaprowadzenie tak korzystne podźwignąć, sprowadzili dyrektora Francuza z *Sevres*; ale koszta ogromne na jakie wyciągał, sprowadzenie zdaleka potrzebnéj gliny, bo kopalnia Korecka ze zmianą fabrykantów zatraciła się, utrudniały postęp, a chociaż i wedżwody robiono i posążki *en bisarit*, spieniężenie jednak wyrobów nietylki nierobiło właścicielom przychodu, ale i na wydatki konieczne dla utrzymania fabryki niewystarczało. Podziękowano więc p. Francuzowi, a Korzec został tylko przy wyrobach dość nizkiego fajansu, który trwa i dotąd.

Xiążę Eustachy Sanguszko chciał wziąć Korzec w posagu żony z zamiarem podniesienia fabryki zaprowadzeniem akcyi, coby mu nader łatwo przyszło, bo był kochany od obywateli i zaufanie ich posiadał. Ale schedy były przez samego xcia stolnika ułożone, a córka któréj się dostał Korzec, ani go cenić umiała, ani do ustąpienia xięciu szwagrowi niedała się niczém nakłonić. Musiała więc upaść fabryka i upadła, a z nią i miasto, którego pięknych kamienic ledwo połowa i to przez Żydów zamieszkana, a reszta murów w gruzy się rozsypuje! Świą-

tynia tylko Pańska stoi cała; i zamek jeszcze cały stoi i wzniosłą wieżą swoją panując nad upadłym miastem, zdaje się urągać walącym się budowom o dwa stulecia od niego młódszym; a pomny bohaterów, którzy go wznieśli, niezorane czoło dumnie ku niebu podnosi i ztamtąd odrodzenia wzywać się zdaje.

ROZDZIAŁ III.

LUDWIPOL 1.

W miesiąc po naszym powrócie z Galicyi, mój ojciec objął zarząd majątku kasztelanowéj Bieżyńskiéj, majątku pięknego choć na Polesiu. Pani to była xiążęcego rodu, siostra Adama i Kalixta Ponińskich; wdowa lat ledwie czterdzieści liczyła, piękna jeszcze i do piękności ciała szlachetność uczuć i wysokie ukształcenie łączyła. Była matką trójga dzieci. Starsza córka Eleonora, od lat dwóch wydana za p. Jeraczewskiego zamożnego obywatela w Poznańskiém. Młódsza Apolonija, czyli jak ją zwykle z Francuzkiego zwano, Poneta, miała dopiéro lat piętnaście. Najmłódszy z rodzeństwa Adam, trzynasto-letni młodzieniec, w Warszawie w Collegium Nobilium na naukach zostawał. Wszystko troje odznaczali się pięknością familijnych rysów i jeszcze piękniejszemi przymiotami umysłu i serca. Wychowanie odebrali staranne, i szczęśliwym trafem, osoby trudniące się pierwiastkowém ich wychowaniem, niezachwyciły jeszcze goszczącéj już u nas mody myślenia i tłómaczenia się po-Francuzku, i w uczniów swoich znajomość tylko obcego języka, a uczucia i sposób myślenia nasz ojczysty przelać potrafiły. Nim Adasia do szkół oddano, wychowaniem jego zajmował się powinowaty kasztelana p. Węgierski, brat sławnego poety, wysoko uczony człowiek Z tęgością ducha i słodyczą charakteru łączył szczególniejsze zaniedbanie siebie, i z litością spoglądał na niedowarzonych zwolenników ówczesnéj Francuzkiéj filozofii i spaczone opinije narodowe. Mało dbający o siebie, poświęcony dla drugich, skromny a gruntowny w sądzeniu, miły w towarzystwie, p. Węgierski powszechną życzliwość i szacunek posiadał. Bawił ciągle w domu kasztelanowéj, a znający się na wszystkiém, we wszystkiém był jéj poradą. P. Poneta miała jeszcze guwernantkę Francuzką p.

Robertin. Dobra to była osoba, ale prócz swego języka, niewiele co umiała. Niemłoda już i niepiękna, ale panna, z wielkiém staraniem zawsze ubraną była, bo nadzieja znalezienia męża, choćby to był *un ours de Polonais*, jedyne jéj marzenie, życie jéj utrzymywało. Jak zwykle w owych czasach, kasztelanowa miała liczny fraucymer, na którego czele była panna stołowa p. Dziusówna, z rodziny szlacheckiéj, niemłoda, bez pretensyi, gruntownie rozsądna i poczciwego serca. Zaprzyjaźniła się z moją matką i w ścisłéj były zażyłości.

Przy kasztelanowéj bawił bratanek jéj wojewodzic Poniński. Miły z postaci, ukształcony podług ówcześnéj metody, posiadał wszystkie przymioty do świetnienia w salonach potrzebne. Wychowanie brał od Francuzów, których napływ do Polski, pod ostatniém panowaniem, był już niepospolity. Wojewoda chciał mieć syna Polakiem, ale wojewodzina mając wpływ silny na męża, potrafiła przeważyć swojém zdaniem, i podług swego widzimisię wychowawszy jedynaka, jednego z takich napływowych Francuzów, wyprawiając syna na wojaż, za mentora mu dała. Podróżując po obczyźnie nie dla nauki, a dla rozrywki, wojewodzic wywiózł ze swoich kilkoletnich wędrówek nienawiść i wzgardę dla swojéj ojczyzny i wszystkiego co Polskie, zasady ówczesnéj Francuzkiéj filozofii, przewrótność Włochów, zarozumiałość Angielską i zepsucie obyczajów wszystkich Europejskich narodów. Gdy wrócił, rodzice już nieżyli, objął wię piękny majątek i przywiązał się do dworu króla Stanisława. Mieszkał w Warszawie, żył na wielką skalę i żył wolno, a prowadzeniem się swojém niewiele różnił się od znanego podówczas w całym kraju Henryka Niemirycza. Wojewodzic tak się umiał zastosować do wszelkich form towarzyskich, i tak posiadał dar przybrania na siebie charakteru, jakiego okoliczności wymagały, że istotny charakter jego trudno było odgadnąć; ale w gruncie był dumny, zarozumiały, chytry i zawzięty— ztąd to ile w salonach był poszukiwany, unikano jego przyjaźni, a nieprzyjaźni lękano się jak śmierci. Co najgorsza, żadnéj niemiał religii. Bawiąc przy kasztelanowéj, potrafił łatwo zjednać sobie jéj ufność i przywiązanie. Dama ta, podobnież jak on ukształcona, czuła i exaltowana, naczytana Russa, Woltera i Angielskich romansów, niemogła być obojętną na zabiegi i nadskakiwania nader miłego bratanka. Panna Robertin słodkie do niego robiła oczki, a i panny Apolonii młode serduszko czuło może więcéj niż braterski affekt dla kuzyna, ale stosunki familijne i dość blizkie, upoważniały jakoś to przywiązanie i poufałość.

Dom kasztelanowéj mało był uczęszczany, bo sąsiedztwa niewiele było w okolicach Ludwipola. Najbliższy Niewirków, po wyrżnięciu Wyliżyńskich opustoszały, oczekiwał przybycia p. rejenta Kor., który miał tę majętność po bracie odziedziczyć. Z Tuczynem niebyło stosunków, bo p. wojewoda Sieradzki lubo z kasztelanem był w przyjaźni, z Ponińskimi niesympatyzował. Słucki chor. Kor. *tertio voto* ożeniwszy się z młodą i piękną kasztelanką Popielówną jeszcze był w miodowych miesiącach. Platerowie, Worcelowie, xx. Lubomirscy, byli dalszymi. Brat kasztelana podkomorzy mieszkał daleko w Andruszówce pod Berdyczowem i zdaje się bratowéj niebardzo sprzyjał. Siostra kasztelanowéj xiężna Kasprowa Lubomirska, stęskniwszy się swojém wdowieństwem, świeżo wyszła za szambelana Winnickiego, i kasztelanowa z nią dla takiego mezalijansu zobojętniała. Pruszyńscy, Lubieniccy, Trzebuchowscy, Jabczarski, składali najbliższe sąsiedztwo; ale szlachta dawna i zamożna, niebardzo sprzyjała arystokratycznemu domowi, wojewodzica nielubili i pańskich progów zbijać niebyli skwapliwi. Towarzystwo więc Ludwipolskie nieliczne było; z tém wszystkiém niezbywało na ubiegających się o rękę pięknéj Ponety, ale ona o tém i słyszeć niechciała, a matka znajdowała córkę zanadto młodą dla zmiany stanu i tym sposobem zbywano się konkurentów.

Pałacu w tych dobrach kasztelanowa niemiała, ale w Ludwipolu, był dom obszerny i porządny, choć bez piętra, i wcale wygodny. Każdy z domowych miał swój apartament, a i dla gości jeszcze kilka pokojów zostawało. Rodzice moi w oficynie mieszkali, i osóbne swoje wiedli gospodarstwo; ale matka zmuszona była najwięcéj przebywać we dworze, bo kasztelanowa zajęta jużto interesami z moim ojcem, jużto lekturą z wojewodzicem, Ponetę z jéj guwernantką przy mojéj matce zostawiała. Nierozumiała matka moja po-Francuzku, bo przy niéj mało nim mówiono, Francuzka nawet lubiła mówić po-Polsku, choć mową swoją wszystkich śmieszyła.

W takim składzie rzeczy rok prawie upływał. Ojciec mój szczęśliwie rządził, kasztelanowa zadowolona była, miała kassę pełną, bo wydatki połowy intraty niedochodziły, oddawała sprawiedliwość mojemu ojcu, a do matki coraz się więcéj przywiązywała, a nawet, nam dzieciom, często na pańskich pokojach bawić się wolno było.

P. wojewodzic zawsze przyjemny, układny, zajmował się czytaniem xiążek Francuzkich (lekturą) z kasztelanową, prowadził ją na spacery, lub towarzyszył w konnych przejazdkach.

Panna Poneta z guwernantką czytała, lub grała na klawikorcie. P. Węgierski polubił moich rodziców i częstokroć prostą z nimi rozmowę lub pogadankę z babką moją o Litwie, przenosił nad te modne, jak je nazywał, Wolteryzmy salonowe. Wojewodzic niecierpiał Węgierskiego, bał się go nawet, bo w nim widział surowego sędziego swego sposobu myślenia, ale że wysoce był cenionym od kasztelanowéj, wojewodzic okazywał mu wysoki szacunek. Poznawał się na téj komedyi Węgierski, i za okazywane grzeczności, dworacką obojętnością odpłacał.

Jesień w naszych stronach zwykle najpiękniejszą jest porą, często bardzo ciepłą. Jednego takiego w październiku wieczora, kasztelanowa wróciwszy z przejazdki konnéj z wojewodzicem, uczuła się niezdrową a opuściwszy wcześnie kompaniję, udała się do swego pokoju i matkę moję z sobą wezwała. „Kochana pani Detiukowa!“—rzeknie pomięszana, ściskając matkę moję za rękę—„spuść drzwi na klucz, bo mam ci powierzyć ważne odkrycie, niewiem nawet jak ci to powiedzieć!“ Zamilkła, spuściła głowę, a po niejakiéj chwili zanosząc się od płaczu zawołała: „Czy mego stanu niezauważyłaś?“—„JW. pani ma dość ciała.“—„Tak! ale ta otyłość, czémże jest? Nieszczęśliwa! znowu będę matką!“ i jeszcze mocniéj płakać zaczęła.—Osłupiała na to wyznanie p. Detiukowa, nieśmiała oczu podnieść, ledwie oddychać śmiała.—„Przeraża cię może wyznanie? może i pogardzasz mną, wszak prawda?“—Matka płakała.—„O! widzę współczucie we łzach twoich! tak, twoje poczciwe serce lituje się nieszczęsnéj. Słuchaj więc daléj. Ojcem téj biednéj istoty jest wojewodzic, którego kocham, uwielbiam! miłości mojéj zwalczyć nieumiem, ani chcę nawet. Ach! on potrafił do serca mego przemówić, opanować je i od wszystkiego oderwać! Czytaliśmy razem nową Heloizę Russa!“—Jęk głośny przerwał mowę kasztelanowéj, pochyliła głowę na piersi i jeszcze rzewniéj płakać zaczęła. Matka moja całowała jéj ręce płacząc, i łzy obydwóch zmięszały się; ale po chwili jakby natchniona zawoła: „Pani jesteś niezależną, wolną, czemużby z ulubionym śluby małżeńskie niemiały cię połączyć i miłość waszą uprawnić?“—Podniosła głowę kasztelanowa, w oczach jéj podziwienie, nadzieja, radość nawet z pod łez błysnęły.—„Małżeńskie śluby! O jakiż duch niebiański tę myśl ci natchnął i pocieszające słowa do ust podał? Czemuż wśród tylu marzeń mojéj namiętności, marzenie o ślubach małżeńskich nigdy się do myśli mojéj niewcisnęło!“...—„Boś pani o to nigdy myśli do Boga niewzniosła“,—odpowiedziała nieśmiało matka moja.

„Bóg widzi nasze błędy i skory do odpuszczenia, czeka tylko, ażebyśmy jak dzieci przed ojcem upokorzyli!“—„O! prawda! prawda! oddana całkiem uczuciom ziemskim, zapomniałam o Bogu! Ale tyś we mnie natchnęła bogobojnego ducha! Dzięki ci! nigdy serce moje tych braterskich rad niezapomni, nigdy niezapomni religijnego twego dla mnie współczucia! Tak, poślubię Karola, i odtąd, pomna mojéj ułomności, modlitwą i dobremi uczynkami winę moję zgładzić będę się starała. Ale dla spełnienia tego zamiaru, potrzeba mi opuścić te okolice; szanowny nasz pasterz, choć powinowaty, pozwolenia swego odmówi, bo nas z wojewodzicem związki krwi łączą; a wyznać przyczynę zniewalającą mię do tego małżeństwa, za nic, nigdy, nigdy się nieodważę! Powracaj do salonu, oświadcz żem niezdrowa i nikogo dziś widzieć niemogę. Ponetę sama odprowadź do jéj pokoju, a przyszlij mi swego męża, potrzeba mi z nim i o tym interesie i o innych się naradzić.“—Matka moja ucałowała rękę kasztelanowéj i wyszła.

W salonie niebyło już nikogo, w przyległym pokoju p. Węgierski z p. Robertin żywą prowadził rozmowę, a gdy weszła matka moja nieprzerywając rozmowy, nieznacznem skinieniem wskazał na buduar kasztelanki. Drzwi były wpół otwarte, lampa alabastrowa xiężycowym blaskiem słabo oświecała przedmioty: kasztelanka siedziała na sofie, piękne jéj ramiona, zarzucone były na szyję klęczącego przed nią wojewodzica, twarze ich zbliżone. Można sobie wyobrazić jakie na ten widok musiało być zdumienie wchodzącéj. Tu dopiéro miała przed oczyma występną matkę, tu jeszcze występniejszą córkę. Zerwała się Poneta żywo i rzuciwszy się na szyję mojéj matce, —„Ty mię nie zgubisz!—zawołała z płaczem,—ty niewydasz tego cóś tu widziała!“—Gdy tych słów domawiała, wojewodzic z piorunującém wejrzeniem i z wybladłem obliczem tak się do mojéj matki odezwał: „Masz ww. pani teraz w ręku los całéj naszéj rodziny, i jednem słowem możesz zerwać wszystkie węzły krwi, miłości i honoru. Ale jedno słowo z ust ww. pani, a biada wam i dzieciom waszym! Ja w połowie tylko, mścić się nieumiem!“ To rzekłszy wyszedł, kasztelanka niewypuszczając matki mojéj ze swego objęcia,—„O! przyrzecz mi, przyrzecz,—wołała,—że tę tajemnicę w sercu swojém ukryjesz! u nóg twych o to błagam!“—to mówiąc osunęła się na kolana. Matka podchwyciła klękającą i przyciskając ją do piersi swoich,—„Panno Poneto!—rzeknie,—ten sekret odtąd staje się moim, bądź spokojna! i milczeć umiem i cierpieć potrafię.“—„Nielękaj się pani uniesień Karola: nie, on mię kocha, on mojemi uczućmi powodo-

wać się będzie, zaufajmy!“— Ścisnęły sobie ręce, matka moja odprowadziła Ponetę do jéj pokoju, a téj całéj sceny niebyło świadka żadnego. Wzruszona i utrudzona tylu tak dziwnemi wieczora tego okolicznościami, wcześnie udała się na spoczynek, ale zasnąć niemogła. W godzinę wrócił ojciec, stąpał po-cichu ażeby żony nieobudzić, ale usłyszawszy że czuwa—„Ty nieśpisz, rzekł: wielką ciekawość przynoszę.“—„Cóż takiego?“— „Kasztelanowa wybiera się do Warszawy, może nawet na mieszkanie.“—„Mowiła mi o tém“—odrzekła matka, ale ze słów męża zmiarkowała, że tajni istotnéj kasztelanowa nikomu powierzyć niechce.—„A wiesz z jakiego powodu?“—„Żeby wyjść za wojewodzica“ „To pokazuje się nam obojgu ten sekret powierzony. Mnie poleca zupełny zarząd majątku i interesów wszelkich, i jutro jadę z panią do Łucka, gdzie ma przed aktami przyznać mi plenipotencyę.“—„Daj Boże tylko, ażeby ten związek przyniósł jéj szczęście“— rzekła smutnie moja matka.

W dziesięć dni potém dziedziniec zapełniały powozy, rój ludzi uwijał się po dziedzińcu, ci wynosili kufry i paki, drudzy układali je na powozy i bryki, wszędzie był ruch, było działanie, ale był ład, a mój ojciec był wszędzie. Kiedy już wszystko gotowe było do wyjazdu, kasztelanowa wezwała rodziców moich do swego gabinetu, gdzie nikogo niebyło, i tak do nich przemówiła: „Żegnam was, moi dobrzy przyjaciele, i żegnam z żalem i za wami i za moim kochanym Ludwipolem. Dziękuję wam za waszę tak poczciwą dla mnie przychylność, a tobie kochana pani Detiukowa za dochowanie sekretu. Odjeżdżam unosząc z sobą wdzięczność dla was i szacunek, zostawiam spokojna mój majątek pod okiem ww. pana, bo w ciągu jego tu pobytu, przypatrzyłam się i uczciwości i gorliwemu działaniu w zarządzie dóbr moich, i odjeżdzam z tém przekonaniem, że los mojéj fortuny w ręku przyjaciela złożyłam. Jeżelibyś miał w czém jakąś wątpliwość, naradzaj się z p. Węgierskim, który i moim i waszym jest przyjacielem. Skoro wyjadę, proszę zaraz przenieść się do tego dworu, i tak jakbym w domu, sposobu życia niezmieniać. Bądźcie zdrowi i mnie zawsze życzliwi! przyjmcie uściśnienie i te bagatele na pamiątkę.“ To powiedziawszy uściskała z rozrzewnieniem obojga, ojcu wręczyła śliczny złoty repetyer Gogenmusa, a matce błam pięknych lisów i czarny atłas na szubę. Ucałowali oboje ze łzami ręce dobréj pani, a matka dodała: „Jw. pani pozwoli mi jeszcze parę słów powiedziec?“—„Mów! mów! pewnie to jest rada jakaś, i pewnie dobra.“—„Pani przyjechawszy do Warszawy zaraz weźmiesz ślub z p. wojewodzicem?“—„Niezawodnie.“—

„Czy niebyłoby przyzwoicie, żeby od tego dnia p. Poneta, aż do wiadomego pani terminu bawić mogła u ciotki któréj, albo u siostry?“—„Słusznie mówisz i bardzo słusznie: ale z Winiecką niejesteśmy dobrze, Bironowa za granicą, więc ją zawiozę chyba do Leosi, a gdyby i to niedało się zrobić, to przez ten czas zabawi u przełożonéj Wizytek mojéj ciotki. Dziękuję ci serdecznie za to przypomnienie!“—I jeszcze raz uściskała moję matkę.— Przeszła pani do sali, a z nią i moi rodzice, kasztelanowa żegnała zostających się dworskich i oddawała ich w opiekę mojemu ojcu, Poneta rzuciła się na szyję mojéj matki i całując ją w twarz, szepnęła do ucha. „Pamiętaj o mnie!“. „Zawsze!“ odpowiedziała matka moja oddając uściśnienie za uściśnienie.— Wojewodzic zimną grzecznością pożegnał moich rodziców, wejrzeniem tylko przemówił do mojéj matki: lękaj się, i milcz!—W karecie usiadła kasztelanowa z córką, wojewodzic i p. Węgierski, który odprowadzał ich do Uściługa; w koczu umieścili się Francuzka, Dziusówna i p. Lesiecki od niedawna gatunek konfidenta, niby marszałka wojewodzica, w rzeczy saméj pieczeniarz, próżniak i intrygant. Dziusówna nim siadła do powozu, pobiegła jeszcze raz pożegnać moję matkę, ucałować ręce babuni i wziąć na drogę jéj błogosławieństwo. Wzięła adres mego ojca i jeszcze uściskawszy obójga: „Bądź zdrowa Kasiu! bądźcie zdrowi!— rzeknie—niezaniedbam żadnéj okazyi doniesienia wam, co się z nami dziać będzie.“

Podług żądania kasztelanowéj, rodzice moi przenieśli się zaraz do dworu, i my dzieci swobodnie bawiliśmy się w tych senatorskich komnatach. Nadeszła zima, zbliżały się święta, a po nich kontrakty. Korzystna sprzedaż drzewa, z nieuwziętych siekierą lasów Ludwipolskich, podniesiona arenda, sprzedana pszenica szyprowi łowczemu Jabczarskiemu, przysposobiły piękną gotówkę w kasztelańskiéj kassie. Ojciec mój zajmował się gorliwie gospodarstwem i interesami, a w wolniejszych chwilach, z jednym lub drugim sąsiadem zapolował. Bo też go lubili sąsiedzi, a osobliwie Lubienieccy szczególniéj mu sprzyjali. Dwa miesiące upływało już od wyjazdu pani, a ojciec mój żadnego od niéj niemiał zgłoszenia. A chociaż wcześnie zawiadamiał o przygotowanych na kontrakty 20,000 czerw. zł., któremi z mocy plenipotencyi miał prawo rozrządzić, zapytywał jednak, co z temi pieniędzmi zrobić, ale ani na list, ani na doniesienie o złożonéj summie, żadnéj nieodebrał odpowiedzi.

Tejże zimy w grudniu silne było trzęsienie ziemi u nas dotąd rzadkie, bo babka moja sześćdziesiątletnia, żadnego w swym życiu na Litwie niepamiętała, ani u nas starzy ludzie przypo-

mnieć sobie takowe mogli. Trwało dość długo i nas dzieci ten ruch meblów i wszystkiego co na nich stało wielce zabawiał, a gdy się skończyło, bardzo nam się chciało powtórzenia téj sztuki. Smutnie rozpoczęte okoliczności krajowe, dziś jeszcze w smutniejszym stanie zostawały. Większą część Ukrainy zajęły wojska Rossyjskie. Wielko-Polska, Krakowskie i połowa Litwy jeszcze były nasze. Na Wołyniu i Podolu wojska Polskie ożywione powodzeniem pod Dubienką i Zieleńcami trzymały się jeszcze i zbierały pod naczelnictwo Kościuszki. Dziwne też to były czasy! Dwóch narodów, które już miały sobie wypowiedzianą wojnę, wojska przeciągały temiż samemi drogami, jedno drugiego niezaczepiając. Dońce tylko dopuszczali się łupieztw i rabunków. Napływ ten wojska obcego, i stan zamięszania w kraju, taka zmiana polityczna, przywykłemu do pokoju przez czas długi obywatelstwu, a tém więcéj pospólstwu, niezdawały się naturalnemi: wszelkie przeto zjawiska natury uważali jako złowieszcze przepowiednie klęsk i nieszczęść; i trzęsienie ziemi świeżo wydarzone, do tych przepowiedni zaliczone, trwogą i smutkiem napełniło. Ale nadzieja jeszcze miała przewagę.

Nadeszły święta, zjechał mój wuj z bawiącemi przy nim siostrami i ze mną, i nasze kółko familijne zwiększyło się. Prócz naszéj rodziny, zaprosił ojciec imieniem swéj pani miejscowego plebana, rachmistrza i kluczowego ekonoma nie żonatych, a tém samém domu swego nie utrzymujących. Starodawnym zwyczajem, mniéj dwunastu potraw na wieczerzę wigilii u szlachty być nie mogło, ubodzy nawet na sześć się zdobywali. Z łaski kasztelanowéj wigilija nasza była pańska. Gdy już podano wieczerzę, ojciec wziąwszy talerzyk z opłatkami podeszedł z nim do swojéj matki. Powstała staruszka, przeżegnawszy się wzięła opłatek i postąpiła z nim do plebana, a potém błogosławiąc syna, synowę i wnuki, łamała z nimi ten chleb uroczysty; potém z przybraną rodziną, mojemi ciotkami i wujem, dla których macierzyńskie miała uczucia; szła daléj do zaproszonych oficyalistów, nakoniec do sług naszych. Rodzice moi tąż samą koleją za matką postępowali. Uroczysty to obchód! przy łamaniu się opłatkiem wynurzają się najżyczliwsze uczucia, jednają poróżnieni i równają się wszelkie stany, dzieci u nóg rodziców składają serdeczne życzenia, i odbierają równie serdeczne błogosławienstwa. Tak było i u nas: oboje rodzice i nas troje dzieci, pokłoniliśmy się do nóg sędziwéj naszéj babuni i z opłatkiem błogosławieństwo jéj odbierali. Było nas osób dwanaście: na pierwszém miejscu siedziała nasza babka i x. ple-

ban, my dzieci na szarym końcu. Stół sześcią jarzęcemi świecami był oświecony. Długo ciągnęła się wesoła wieczerza, i podawano już kucyę, kiedy pod oknami odezwały się skrzypce i gęśle i kilka głosów zgodnie zakolendowały: *Anioł pasterzom mówił.*

Noc była śliczna zimowa, czysty i jasny xiężyc lał swe srebrzyste światło po ubielonych grubą warstwą śniegu Słuczy nadbrzeżach, droga sanna była wyborna, mróz niewielki, powietrze ciche. Łaskawi sąsiedzi, uwinąwszy się wcześnie u siebie z wieczerzą, najechali nas po-cichu i kolędą pozdrowili. Wyszedł ojciec na spotkanie miłych gości i z całą naszą narodową uprzejmością do pokoju zaprosił. Goście nasi, była zacna rodzina Lubienieckich, trzech braci i trzy siostry, i dwóch Trzebuchowskich, których siostra była za średnim Lubienieckim. Nastąpiły przy opłatku życzenia i przyjacielskie uściski. Wszedł kielich ze starym malinnikiem, a za nim i buteleczka nie dzisiejszego węgrzyna postąpiła. Damy matka kawą i gruszkami zimowemi przyjmowała, a panny Lubienieckie nas dzieci wybornemi pierniczkami i domowemi suchemi konfiturami zasypały. Podochoceni muzykanci uderzyli w skrzypce i gęśle, wdzięcznie brzmiały pod palcami Kamińskiego żelazne struny, w ręku ociemniałego Lewandowskiego miło śpiewały skrzypce, czternastoletni syn mu wtórował. Obaj ci muzykanci, była szlachta z Ludwipolskiego zaścianka, znajomi w okolicy i od wszystkich lubieni. Kolenda, szła za kolendą, nakoniec wesoły ozwał się mazurek. Panien było cztery, młodzi Lubieniecki i Trzebuchowski, mój wuj i rachmistrz Wojakowski, ochoczo stanęli do koła. „Za pozwoleniem! przepraszam ww. państwa!“—ozwie się powstawszy ze swego krzesła babka nasza.— Nie tak bywało za moich czasów na Litwie, u ś. p. ciotki mojéj, pani półkownikowéj Kościowéj, panie! świeć nad jéj duszą. Mości wojski! proszę z sobą,—mówiła do starszego Lubienieckiego:— Nie dla tego żebyś nas laty przewyższał ale żeś najdystyngowańsza między nami osoba, służę ww. panu dobr. panie Lewandowski! *Wżłobie leży!*“ Zabrzmiały struny tę poważną kolendę, wszyscy patrzają co to będzie; staruszka, zacząwszy śpiew drżącym głosem, posuwa kilka kroków, wszyscy podziwiają, że kolenda w taniec się zamienia, poglądają po sobie, ale babka posuwa się dalėj i stanąwszy przed obrazem Narodzenia, który w pośród innych główną ścianę sali przystrajał, zatrzymała się i z wzniesionemi do obrazu dłoniami prześpiewawszy parę strof, w czém już i cała kompania dopomagała,— „Teraz panieLewandawski! narodowego,—rzeknie, a obracając się

do mojéj matki:—Kasiu kochana! pani synowo, wyręcz mię do tańca! a ww. pana dobr.—mówiła daléj—przepraszam za moję śmiałość, ale przypomnijcie sobie, że żłobek nowonarodzonego Zbawiciela, i króle i pasterze zarówno śpiewem i pokłonem witali. Nie od tegoż i nam szlachcie zacząć należało?“—Ucałował wojski ręce staruszki, i —„p. Łukaszu!—zawoła—szafuj wina, wypijemy zdrowie mamy dobr., a my tymczasem z namiestnikową dobr. jaki raz i drugi wywiniemy się narodowego. P. Lewandowski! Kościuszkowskiego!“— Musnął wąsa, poprawił wyloty i posunął w piérwszą parę z moją matką, za nimi ruszyli i drudzy. Ze słodkiem uczuciem ja to wspominam, bo zdaje mi się, że dziś jeszcze widzę, te zacne Polskie posuwiste pary, słyszę miły dźwięk strun gęśli pod biegłemi palcami Kamińskiego, że jeszcze patrzę na piękne rysy Piotrusia Lewandowskiego, bolejącego nad kalectwem ojca. Zdaje mi się jakbym był jeszcze obecnym poważnéj wesołości szanownéj matrony, ukochanéj babki mojéj. Ustęp ten, jako wspomnienie drogie sercu mojemu, proszę mi wybaczyć. Chwile dzieciństwa, były to chwile szczęścia, których trudno zapomnieć! Obrazy tu skreślone dla mnie miłe, może dziś kogo rozśmieszą, ale skreślić je serce kazało.

Po skończonym Polskim, młodzi stanęli ankatr-mazura (en quatre) we cztery pary, starsi pociągali węgrzyna, to za zdrowie naszéj dobréj babuni, to za gospodarstwa, to za reszty kompanii, i miła przyjacielska toczyła się pogadanka, to o tém, to o owém, nareszcie z kolei i o kasztelanowéj wspomniano. Zerwał się z krzesła p. wojski i uderzając się po głowie,— „P. Łukaszu!—zawołała— przepraszam cię! przepraszam! zapomniałem: wszak to ja do ciebie mam expedycyę. Oto listy z Warszawy, które przed trzema dniami na poczcie w Warkowiczach odebrałem.“ W saméj rzeczy, był to list do mego ojca od pani, a drugi do mojéj matki od Dziusówny. Rozpieczętował zaraz ojciec pismo, w któróm kasztelanowa dziękowała za pomyślny kierunek interesów, polecała żeby pieniądze złożyć w kantorze banku Teppera mającego być w Dubnie na kontraktach i wziąć od niego wexel. Zresztą rządzić wszystkiém tak jak mu rozsądek i uczciwy jego charakter każą. Trybu życia nie zmieniać i na porządne utrzymanie się kassy jéj nie oszczędzać. Pozdrawia żonę i dzieci. Podpisano L. P. — Pan wojski czytał wraz z moim ojcem, a doczytawszy się podpisu, — „Cóż to? — zapyta— omyłka jakaś? *P.* zamiast *B.*?“— „Nie, nie omyłka, istotna prawda.“—„Cóż to za zmiana?“—„Zmiana smutna,—ozwie się matka moja,—p. kaszalano-

wa, jest tylko wojewodzicową."—„Jakto? wyszła za p.Karola?" zawołano chórem.—„Tak,—rzecze mój ojciec—wiedzieliśmy o tém przed ich wyjazdem, to ich nawet i do Warszawy popędziło." „Tfu!—zawoła p. wojski,—oszalała, czy co? No! potrzeba jéj zdrową głowę....—„No!"— „Ale daj Boże żeby jéj nieboraczce na złe to niewyszło!— rzeknie starsza panna Lubieniecka."— „Mnie się ten p. wojewodzic—mówił daléj p. wojski—.wcale niepodobał. Niewidziałem, żeby się kiedy choć przeżegnał w kościele, a Woltera, na pamięć umie."—„Co się p. brat dziwuje,— ozwie się starszy Trzebuchowski,—cały świat wie, że on Farmazon, a czyż Farmazoni wierzą w Pana Boga?"—„A prawda, prawda!"—odezwali się drudzy. Tymczasem w kościołku odezwały się dzwony i muzyka umilkła.—„Na pasterską kto łaskaw",—rzekł mój ojciec, i całe towarzystwo udało się do kościoła. Po mszy, na któréj wszyscy jednogłośnym śpiewem, kolendą Boga chwalili, goście wymogłszy przyrzeczenie, że babka moja, rodzice i cała nasza rodzina, jutro do p. wojskiego na obiadek przyjacielski zjadą, odjechali; nasi udali się na spoczynek do domu.

„Przeczytaj!"— rzeknie matka podając ojcu niedoczytany jeszcze list Dziusówny. Ojciec czytał te słowa:—„Wstrzymywałam się z pisaniem do was, oczekując waszéj odezwy, a jeszcze bardziéj, ażeby zebrać więcéj cóś, dla doniesienia wam o nas. Piszę nareszcie, i ażeby was ten list pewniéj doszedł, sama go na pocztę odnoszę, bo mi się zdaje, że są tu u nas osoby, chcące wszelką komunikacyę z Ludwipolem rozerwać; ale o tém, potém. We trzy tygodnie po przyjeździe naszym do Warszawy, pani nasza zmieniła swój tytuł, prywatnie, i wieczorem u Kapucynów ślub wzięła z wojewodzicem. Poneta, starościna Bilska i ja asystowałyśmy na téj ceremonii. P. Węgierski, którego pani uprosiła, że nas do Warszawy odprowadził, nieodstępny wojewodzica Lesiecki, jakiś ogromnie wąsaty p. rotmistrz, i jakiś Niemiec, czy Francuz, licho tam jego wie, bo nie katolik, jakto widać było z jego prezencyi w kościele, ze strony wojewodzica świadkami byli. Poneta, zachodziła się od płaczu w czasie ślubu matki; na twarzy wojewodzica, było cóś takiego nieludzkiego, że patrzeć na niego było straszno. Adasia na ślubie niebyło. Niemyślcie jednak, że wszystko poszło łatwo i gładko, i że p. młody w pretensyach swoich był tak umiarkowany, jak się okazywał w sentymentach gorący. O! nie, było przeciwnie; sentymenta ostygły, a pretensye rozgorzały. Trzy dni trwały narady i targi, niemało było sporu i swarów. P. Węgierski z całą swoją zacnością utrzymywał stronę pani; stanęło nakoniec jednak na tém, że pani jedną wieś

swoję w Poznańskiém oblubieńcowi darem darować musiała. Odbył się więc ślub, ale niepowiem wesele, bo smutek jakiś i przymus na wszystkich twarzach rozlane były. Pani nawet, lubo tak pragnęła i tak potrzebowała tego połączenia, ze zmiany położenia swego niekontenta. Wszyscy jesteśmy jak pod obuchem, nikt nikomu nieufa, a mnie mimowolnie dreszcz jakiś po ciele przechodzi, jak pomyślę co daléj jeszcze będzie. P. Jaraczewska ze słabą matką mężowską wyjechała do Włoch na całą zimę. Trzeciego dnia po ślubie pani z Ponetą odwiedziła xiężniczkę Annę przełożoną Wizytek ciotkę swoję i na usilne (niby) jéj naleganie, Ponetę na trzy miesiące tam zostawiła. Gdy wróciła do domu sama, zadziwił się wojewodzic, i pół z gniewem, poł z szyderstwem zapytał żony, co z córką zrobiła? —„Ciocia żądała mieć Ponetę u siebie na parę miesięcy.“— „A toż co znowu, na parę miesięcy? mamy teraz mały karnawał, ona się tam zanudzi.“—„Ciocia jest tak dobra, tak ją kocha, że znajdzie sposoby rozerwania jéj, a nawet zabawienia.“— „—Przeorysza Wizytek!—rzekł drwiąc wojewodzic.—„Xiężniczka Anna,“—odrzekła z powagą pani.—„Ależ w klasztorze—mówił łagodniéj— jakież zabawy? Czyż to są bale, te świetne bale stolicy, na których wyższy świat się zbiera, na którychby Ponetka pięknością swoją brylować mogła.“—„Ponetka jeszcze zamłoda do tych balów, a gdyby nawet dorosłą była, z kimżeby teraz pokazać się mogła? Ty wiesz, że zdrowie moje na tych zabawach bywać mi niepozwala. Więcéj ci powiem, Ponetka ochotnie przy babuni została.“— Nic więcéj nieodpowiedział wojewodzic, ale widziałem, jak się nachmurzył, zagryzł usta, nie małżonka czułego okiem spójrzał na żonę i wyszedł. O! niéma tu miłości, niéma i spodziewanego szczęścia; daj Boże! żeby choć spokojność została. Pani mówiąc ze mną, nietai się, że jéj żal za Ludwipolem, wspomina was z życzliwością, nieraz łzy ją obleją, ale się nieużala, cierpi, ale tego dać poznać niechce. Święta się zbliżają, życzę wam przepędzić je zdrowo i wesoło, zacząć rok podobnie, i nadal wszystkiego dobrego. Tekla Dziusówna.“—„O! to już miesiąc jak ten list pisany; data listu kasztelanowéj późniejsza. Chwała Bogu! jeszcze to wszystko dobrze“—mówił ojciec składając list—„obaczymy, co z tego daléj będzie.“

Nazajutrz po mszy ś. pojechaliśmy do Chołop, do Lubienieckich, gdzie i całą ich rodzinę zebraną zastaliśmy. Dzień u nich przeszedł jak wieczor wczorajszy u nas. Narodowa uprzejmość, otwartość prawdziwa, uczucia szczere, cechowały przyjęcie w tym zacnym szlacheckim domu, a zamożność do-

dawała materyałów do uczciwego ugoszczenia zaproszonych. Wesoło było starszym, ale nam dzieciom, to i opisać trudno, bo to mało, że nas łakociami nasycono, ale najmłódsza z panien Lubienickich Teodora trzynastoletnia panienka, bawieniem nas zajęta była. Były tam i obrazki z xiążek i figurki meblowe w użyciu, i w gry graliśmy, słowem cały dzień na ślicznéj dziecinnéj zabawie szybko przeleciał, i z żalem opuszczaliśmy i my i starsi przyjacielski dom Lubienieckich.

Trzeciego dnia odebrali rodzice miłe nader wezwanie od Mezerów, zeczęcia z nimi roku. „A kiedyście zrobili nam przykrość, zabierając p. Kazimierza z siostrami na święta, niechże to nam nagrodzeniem będzie, odwożąc ich sami na nowy rok.“ Tak się też stało: i mnie z sobą zawieźli, ale do szkoły, matka aż do postu w Korcu została.— Z zaczęciem roku niesłychać było nic gorszego o interesach krajowych, owszem jakiś promyk lepszéj nadziei z pośród chmur przeświecać się zdawał. Podawano się więc wesołości, a dwa narody w wojennych stosunkach ze sobą będące, przez cały karnawał w Korcu, najprzyjaźniéj się z sobą bawiły.

ROZDZIAŁ IV.

LUDWIPOL 2.

Na kontrakty do Dubna wyjechał mój ojciec z pięknym zapasem dukatów. W rzeczy saméj, został już kantor Teppera zawiadomiony o przywiezionéj summie, wręczył więc ją do banku, i odebrane wexle wysłał zaraz na pocztę do Warszawy do kasztelanowéj, od któréj jednak na ten raz przez Teppera żadnego pisma nieodebrał. Jaki był obraz ówczesnych kontraktów, o tém powiedzieć nieumiem. Były przedaże, kupna, ustępstwa, były pyszne magazyny zagranicznych kupców, był teatr i inne widowiska. O teatrze pamiętam jedno wydarzenie, niewiem tylko jakiego to było roku; ale od rodziców moich naocznych świadków to wydarzenie nieraz opowiadane słyszałem i tu przytaczam. Sławny w dziejach naszego teatru Owsiński, grał *Bewerkia.* Drama to z wielkiém zajęciem przyjęte było. Niejaki p. Cześnik ze znacznym groszem przybywszy na kontrakty, poszedł także na teatr. Energiczna gra Owsińskiego zachwyciła poczciwego szlachcica. Szczerze płakał nad nieszczęśliwą passyą gracza, ale kiedy już miano brać Bewerkia z całą rodziną do więzienia, wzruszony do głębi serca Cześnik niedolą winnego i niewinnych, podnosi się z miejsca i z płaczem

zawoła: „Mości panowie! wstrzymajcie się, oto jest połowa summy przegranéj przez p. Bewerkia, drugą natychmiast przywiozę i wypłacę wszystko. Mnie Bóg to nagrodzi, ale nie krzywdźcie tych nieszczęśliwych.“ Mógłże świetniejszy oklask uwieńczyć talent artysty? Cała publiczność zawrzała czcią dla gry Owsińskiego i dla naiwnych a tak wzniosłych uczuć Cześnika. Podniesiono go na ręku, hucznemi oklaski, i głośném: wiwat! rozlegał się teatr, szlachcic żałował, że to jest tylko udane, i prosił, żeby choć sto dukatów przyjął od niego Owsiński.

Rodzice matki mojéj mieli w Dubnie piękny dom na Piekarskiéj ulicy przynoszący corocznie 100 czerw. zł. za najem kontraktowy. Po śmierci rodziców, ojciec mój spłacił rodzeństwo i sam został właścicielem domu; wynajęli go potém rocznie rodzice moi, i od lat dwóch już w nim niemieszkali. Zastał go ojciec w dobrym stanie i najętym za staraniem architekta Słoniewskiego sąsiada i przyjaciela, który i kupca na dom za 500 czer. zł. nastręczył. Warunki były łatwe, przedaż korzystna, umowa prędko stanęła, spisano kontrakt i wyliczono pieniądze. Zjazd był wielki w Dubnie i wielu znajomych znalazł mój ojciec. Sławny poświęceniem się sprawie przemysłu i handlu Prot Potocki wda Kijowski znajdował się także na kontraktach. Znał dobrze ojca mego kiedy jeszcze był kassyerem Warkowickiego kantoru banku wojewody i szacował go: bo mój ojciec z kassyerstwa swego ledwie 20,000 zł. wyniósł, kiedy kassyerowie Machnowieccy, milijonowe na swym urzędzie porobili majątki. Interesa wojewody skłaniały się już do upadku, ale nadzieja zawsze ożywiała tego zacnego pana i nieupadał na duchu. Mile przyjął mojego ojca, i przyrzekł mu, że skoro interesa narodowe i jego przyjdą do ładu, weźmie mnie na swoję opiekę i losem się moim na przyszłość zajmie. Czcigodna to była dusza, tchnąca poświęceniem się dla drugich z zupełném o sobie zapomnieniem. Był z nim x. Ossowski znany w kraju z swéj uczoności i przedsiębierczego umysłu; ale, przebąkiwano na kontraktach, że wojewoda na tym socyuszu dobrze niewyjdzie. Czy tak było w istocie, niech powiedzą zblizka patrzący na życie wojewody.

Przybył między innymi półkownik Bielicki dla odebrania posagu żony. Uradował się obaczywszy mego ojca i pożyczone w przeszłorocznym przechodzie 100 czer. zł. najrzetelniéj wypłacił, ale procentu ojciec nieprzyjął. Ten też jeden tylko się uiścił! Bogaty 600 czer. zł. mój ojciec, porobiwszy do domu niewielkie sprawunki, w wilię wyjazdu na cały wieczór

wybrał się do Słoniewskich, gdzie też się zeszło i wielu ze szlachty kontraktowéj. Tamże był i p. Jabczarski łowczy, szyper, sąsiad Ludwipolski z Druchowéj. Ujrzawszy mego ojca,— „Ach! mości namiestniku! zawoła, jakże mi ww. pana dobr. potrzeba było!“— i usunąwszy się na bok:— „Czy jegomość dobr. myśli i nadal zostawać u p. wojewodzicowéj (bo już nie kasztelanowa)? Czy może gdzie indziéj życzyłbyś sobie tentować szczęścia?“—„Jestem jeszcze w roku i trudno mi porzucać obowiązek tak mi dogodny i tak spokojny.“— „A jednak żebym ja wwp. dobr. naraił korzystniejszy u chorążego Kor. w Międzyrzeczu? Pełnomocny jego jw. stolnik Karwosiecki mocno mię obligował, ażebym z jegomością dobr. w tym interesie pomówił. Estymuje on wmp. dobr. wielce i radby przybrać go sobie za socyusza, oddając jegomości zarząd klucza Kiliniowskiego.“—„Mości łowczy, w niczém niezawiodłem zaufania czcigodnéj mojéj pryncypałki i najmniejszéj dotąd od niéj przykrości niedoznałem, niewidzę więc potrzeby zmienienia miejsca; a potém, wyznam szczerze p. łowczemu dobr. interes mój jedyny, jest dowieść mojéj bezinteresowności i uczciwości mojego charakteru, bo to droższém mi jest nad wszelkie korzyści i zyski. Miło mi i szczycę się tém, żem potrafił zasłużyć sobie na łaskawą opiniję jw. stolnika, ale pewny jestem, że przez to odmówienie, zaszczytnéj o mnie jego opinii nieutracę i może na więcéj względów zasłużę.“—„E!.. bo widzisz Asindziéj,— ozwał się nieukontentowany łowczy,—tu u was cóś na odmiany zakrawa. Słychać, że wasi nowożeńcy mają za granicę wyjechać, może majątek puścić w posesyę zechcą?“—„Natenczas, z łaskawéj rady p. łowczego dobr. korzystać nieomieszkam“,—odrzekł ojciec i na tém się rozeszli.

Po powrócie ojca do domu wszystko szło po-dawnemu. Po zapustach i matka z Korca wróciła, a z Warszawy żadnéj wiadomości. Tymczasem rzeczy krajowe szły gorzéj, konfederacya Targowicka działała silnie, bo i król do niéj, niepomny na zaprzysiężoną konstytucyę 3 maja, przystąpił. Wojska Pruskie weszły już do Wielkiéj-Polski, i już głucha wieść chodzić zaczęła, o nowych zaborach sąsiednich na naszéj biednéj ojczyźnie. Napływ wojsk Rossyjskich coraz się powiększał i wszystkiemi szli drogami, i na Ludwipol szły półki. Starszyźnie oficynę dworską na kwaterę dawano. Wielu tych starszych poznaliśmy, trzech jednak najwięcéj w pamięci zostało. Jeden, kapitan Gromów, trzy dni kwaterował i tak się w domu naszym oswoił, że z siostrami mojemi ciągle się bawił, a osobliwie ze starszą dziesięcio-letnią sprytną dziewczynką, i gdy ta

podając mu kawę, przelała na miseczkę, matka ją zgromiła tém słowem: „jakażeś niezgrabna!“ Odtąd kapitan ciągle ją nazywał „prekrasna niezgrabna“. Odjeżdżając, przy najczulszém pożegnaniu, samowar i funt wybornéj herbaty w upominku rodzicom moim zostawił. Od niego nauczyli się użycia herbaty i poznali dogodność samowaru; ale z wyjazdem Gromowa, samowar został tylko sprzętem nieużytecznym, bo nikt się obejść z nim nieumiał. Następnie po nim był młody jeszcze bardzo porucznik, dobry chłopiec, ale jeszcze bardzo nieotarty, o wszystko co postrzegł pytał się: „co to? i na co?“ i gdy wieczorem podano świece, uderzyły go w oczy jasne stalowe szczypce, a gdy mu siostra moja słównie tylko wytłómaczyła ich użycie, dobry porucznik, urwał knot napalony palcami, wrzucił do rozwartych szczypców, i silnie zacisnąwszy, z radością wielką zawołał: „prekrasnaja maszynka“. Nieudana była ta nieznajomość rzeczy. Był to jedynak bogatych i skąpych rodziców, wychowany w domu, jak to i u nas bywało, *domator!*

Ale jeden z tych starszych znamienitą po sobie zostawił pamięć. Był to Łabanów, brat (jak mówił o sobie) xięcia Łabanowa półkownika, mającego zimową kwaterę w Międzyrzeczu, ale się xięciem nienazywał, znać jednak było na nim i ród wysoki i staranne wychowanie. Mówił dobrze po-Polsku, i mnóztwo miał xiążek cudzoziemskich, które długo zawsze w noc przy woskowych świecach czytywał,—jedną nawet z takowych siostrze mojéj darował; późniéj nauczyliśmy się, że to było dziełko Floriana *Galatea.* Prędko przystał do naszéj rodziny i przez tydzień swego pobytu, zaprzyjaźnił się, można powiedzieć, z moim ojcem, lubił z nim gawędzić i polować. Często zamyślał się, ale tak głęboko, że nawet nieuważał co się w około niego dzieje, i nieraz na zapytanie, ni w pięć, ni w dziewięć, jak mówią, odpowiadał. Matka moja prześladowała go, że gdzieś tam daleko w Rossyi, przedmiot swych myśli i uczuć zostawił.—„O! nie pani“,—smutnie odpowie:—nie w Rossyi, nie. Ta, która spokojność moję zatruła, zniweczyła życie moje, była waszą rodaczką! Kochałem ją całą miłością duszy i zdawało mi się, żem jéj wzajemność posiadał. Oświadczyłem się matce, ale ani słuchać niechciała. Nigdy, mówiła, nigdy córki mojéj za ww. pana niewydam! „Cóż było robić? Ciotka mojéj Elżusi i powiernica, p. Gertruda, sprzyjała mi i radą swoją pomagała. Z jéj to porady, ułożyliśmy się: że wykradnę Elżusię, weźmiemy ślub, i ciotka przyjmowała na siebie przebłaganie matki Tymczasem, zbliżał nam się czas opuszczenia War-

szawy i pochód, potrzeba było pośpieszać z wykradzeniem. Dzień czwartkowy naznaczony był na spełnienie naszego zamiaru. O! nigdy ten dzień boleśny z pamięci mojéj niewyjdzie!“— „Cóż to? przerwała matka moja, Elżusia umarła?“—„Gdyby tak było, wieczna okryłaby mię żałoba! Ale proszę słuchać daléj. Matka Elżusi, niedaleko Ujazdowskiego pałacu mieszkała, niewielkie więc zaludnienie téj części Warszawy, układom naszym wielce sprzyjało. Noc była ciemna, deszcz lejąc dzień cały, ledwie że się ujął po-trochu wieczorem. Na rękę nam była ta słota, niemogłem jednak być spokojnym, jakieś smutne przeczucie gwałtem się do serca cisnęło. O jedenastéj zostawiwszy powóz na głuchéj uliczce przyległéj, podszedłem ku domowi. Serce mi biło gwałtownie, twarz pałała, szumiało w uszach, a dreszcz ustawny całe ciało przebiegał. W domu przez szpary okienic światło jeszcze błyskało. Czekałem drżący, i jak na toż, deszcz rzęsisty puścił się znowu. Nareszcie światło pogasło w domu, podstąpiłem bliżéj, ciotka miała wyprowadzić Eliżusię,—czekałem jeszcze. Nareszcie po godzinie może, postrzegam samą Elżusię owiniętą w salopę, zwolna wychodzącą z domu; poskoczyłem ku niéj, pochwyciłem na ręce i zaniosłem do powozu. Elżusia była drżąca i zdaje mi się, że płakała; uspokajałem, całowałem jéj ręce, powtarzałem moje oświadczenia i przysięgi wiecznéj, i wiernéj miłości. Elżusia milczała, kiedy niekiedy tylko drżącą ręką, rękę moję ściskała. Konie leciały, znikały nam domy i ulice, ja nieposiadałem się z radości, chociaż w gruncie trwoga mię jakaś przejmowała. W Wilanowie czekały nas świeże konie, zatrzymaliśmy się, towarzyszka moja odchyliła kapiszon,—spójrzałem!... Sądź pani o moim przestrachu. Zamiast ulubionéj, siedziała koło mnie szanowna ciocia, czterdziesto-letnia i brzydka jak noc obecna, p. Gertruda. Wyskoczyłem z powozu, ciocia za płaszcz mię zatrzymała. „Nieuciekaj kochany kapitanie od téj, która ciebie jedynie kocha: tamta nigdy miłości twojéj niepodzielała, a jeśli zgadzała się na wykradzenie, to jedynie dla mnie robiła, ażeby szczęście moje zapewnić, podstawiając na swojém miejscu godniejszą twojego serca. Oto masz w tym woreczku moje własne 1,000 czer. zł., mój posag, a to list który cię o wszystkiém objaśni.“ Ledwiem słyszał te słowa ostatnie, zrzuciłem płaszcz i uciekłem machinalnie ściskając podany mi bilecik. Niewiem jak długo i którędy biegłem, i znalazłem się na mojéj kwaterze. Służący, który jeszcze się za mną niewybrał, zdumiony moim okropnym stanem, rozbierał przemokłego pytając, gdzie płaszcz podziałem? Opamiętałem się trochę, zacząłem powoli

zbierać myśli, przypominać okoliczności, i uczułem, że mam cóś w ręku, i wtedy dopiéro postrzegłem mój dekret. Elżusia najgrzeczniéj wyznaje, że mię wcale niekochała, że przyjmując moje zaloty, zaraz projekt o ciotkę ułożyła i całą tę komedyę ze mną dla niéj wygrała. Przeprasza mię za swój postępek, do którego i matka należała, życzy mi szczęścia w pożyciu, i zapewnia o swojéj przyjaźni na zawsze."—„Może jednak byłbyś wolał unieść z téj awantury woreczek z **1,000** czer. zł.?"—wtrącił żartobliwie mój ojciec.—„A niech ją licho weźmie z jéj dukatami, czy mnie pieniądze były potrzebne? Wściekałem się ze złości, wyobrażając sobie, jak się musi śmiać ze mnie Elżusia; ale i w tym złośliwym uśmiechu jeszcze tysiące wdzięków znajdowałem i do zemszczenia się niemiałem serca. Przeniosłem się natychmiast na inną kwaterę, ażeby Gertruda znaleźć mię niemogła, a po kilku dniach opuściłem Warszawę, unosząc obrażoną miłość własną, może urazę, może zawziętość, niewiem, ale w sercu wiecznie obraz Elżusi. Dwa roki już odtąd mija, mnie to tak świeżo w pamięci, jakby dopiéro wczoraj się stało."—Rodzice moi i babka wiele współczucia starali się okazać kapitanowi, ale potém razem z nim śmieli się z pociesznéj jego awantury. Odjeżdzając Łabanow całe to wydarzenie własną ręką spisane, zostawił mojéj matce,—i z tego właśnie rękopismu, zapamiętawszy okoliczności, chociaż tak dawne, tu opisałem.

Jużeśmy potém przechodu wojsk niemieli. Uciekło wszystko, ale na straszniejszą burzę się zanosiło. Prusacy zajęli Wielką-Polskę i głośno już o podziale nowym biednéj naszéj ojczyzny mówiono! Smutno, wśród smutnych wieści czas uchodził, a u nas z Warszawy żadnéj wiadomości, jak niéma, tak niéma. Nareszcie około ostatnich dni kwietnia wrócił p. Lesiecki i piérwszą wiadomością z ust jego była wiadomość o drugim podziale Polski i o wyjeździe króla do Grodna. Wręczył potém mojemu ojcu list wojewodzica w tych słowach: „Interesa nasze tak się złożyły, że wyjeżdzamy do Poznania i daléj. Majątek Poleski puściliśmy w dzierżawę p. Lesieckiemu, jemu więc WMPan oddasz i zarząd dóbr i kassę i papiery, a sam wolny od obowiązku u nas, innego szukać możesz; póki zaś go nieznajdziesz, pozwala mu się mieszkać w dworskiéj oficynie. K. P." Zmartwił taki list moich rodziców, tém bardziéj, że od kasztelanowéj ani słowa. Rada w radę, ojciec tegoż samego dnia oddał wszystko p. Lesieckiemu, mieszkania nieprzyjął i na zaścianku blizko miasteczka, u wdowy po oficyaliście Za-

wadzkim, siostry Dziusówny, najął porządny dworek, gdzieśmy się wygodnie umieścili.

Wróciła wiosna. Piekna, ciepła kwietniowa pogoda ożywiała naturę, drzewa się rozwijały i w blizkim lasku pełno już było wiosennych kwiatów; a że to już był ostatni tydzień przed Wielkąnocą, to i ja byłem do domu z Korca przywieziony. Dzień był śliczny, rodzice, babka i gospodyni domu siedzieli w ganku, my biegaliśmy sobie po niewielkim, ale czystym dziedzińcu. Wtém z po za domu pokazał się nam Kozak dworski: był to Szełest który z panią jeździł do Warszawy, znajomy nam dobrze, bo nieraz, a osobliwie mnie na ręku nosił i bawił. „Szełest, Szełest“— krzyknęliśmy wszyscy troje. Obrócili się rodzice;—Kozak oglądając się ostróżnie na wszystkie strony;—„A można?“— zcicha zapyta.—„Chodź! chodź, mój kochany!—zawołał ojciec— niebój się.“—Podszedł Kozak; nizko się pokłonił, każdego w rękę pocałował.—„Cóż tam u was? masz jaki list?“—„Mam, od p. Dziusówny. O, nie dobrze tam u nas w Warwie. Pełno zgrai, a pani odkiedy poszła za p. wojewodzica zawsze płacze po kątach; a on! na wszystkich swarzy się, łaje, na panię fuka; jedna tylko panna kasztelanka jego się nieboi, ale jéj teraz niéma, jeszcze w klasztorze, to też pan strasznie się gniewa, a z madamą coś raz wraz szwargoczą. Jeszcze to było jako tako, póki był p. Węgierski, ale on po zapustach wyjechał w Krakowskie i u nas teraz takie nieszczęście.“— Rozpieczętowała matka list Dziusówny, w którym donosi, że ostatnich dni lutego pani powiła syna, że na wojewodzicu niebyło widać ojcowskiéj radości, i że nawet wymógł na żonie, ażeby w maju dziecię odesłane było z mamką do dóbr Poleskich, lub oddane było komu z siąsiadów. Pani żądała, żeby tobie oddać go zupełnie na wychowanie, ale wojewodzic ani chciał tego słuchać. Dla czego syna usuwa od starań i pieszczot matki, od swojego oka, jest zagadka, któréj nikt odgadnąć niezdoła. Mały ma imie Julijusz, i śliczne dzieciątko! Z tego na co tu patrzę, przewiduję, że nas cóś jeszcze okropniejszego czeka. Mamy wyjeżdżać do Poznania. Pani smutna, wojewodzic coraz nieznośniejszy, wziął panowanie nad wszystkimi, jedna tylko Poneta mu nieulega. P. Węgierski nas opuścił,—jakże to opuszczenie czujemy! On umiał jeden trzymać naszego despotę na wodzy. P. Eleonora wróciła z Włoch i wzywa nas na wieś do siebie, jutro wyjeżdżamy, a tam zabawiwszy czas jakiś, do Poznania na mieszkanie. Cóś tu bardzo często i o Berlinie mowa, czy niemyślą i tam się udać? O! upadam do nóg! pomiędzy szołdrów, Lutrów, je-

chać niemyślę; a jeżeli mię do Ludwipola nieodeszlą, to tu zostanę, i albo dogodnego sobie miejsca szukać będę, albo wstąpię do klasztoru.— Ale, ale, jeszcze jedna rzecz. Posesya Leseckiego jest tylko komedya, a istotnie z narady jego z wojewodzicem wypadło, żeby się was pozbyć, bo pani wymówiła się, że z waszéj rady Ponetę wywiozła i że do powrótu siostry gościem była u matki, na co wściekał się wojewodzic i na was się pomścił. Pani, długo na wasze usunięcie zgodzić się niechciała, ale po wyjeździe p. Węgierskiego, dla spokoju domowego ustąpić musiała. Kazała mi wam to napisać i upewnić, że w jéj sercu też same przyjaźne uczucia nazawsze zachowa.— Bądźcie zdrowi! do zobaczenia, daj Boże. T. D."— I Szełest, o tym wyborze mówił, i to nieuszło jego uwagi, że wojewodzic i kasztelanka mają się do siebie i że nawet sama pani zdaje się to zauważała. Szełest uwolniony od służby dworskiéj, miał pozwolenie od saméj pani służyć u mego ojca. Przyjął go chętnie, bo był przywiązany do nas, zręczny i stateczny chłopiec, a ojciec mając przed sobą częstą podróż dla szukania obowiązku, właśnie takiego sługi potrzebował.

Po świętach ojciec odwiózł matkę i mnie do Korca, siostry z babką zostawił, a sam to wyjeżdżał, to wracał, szukając obowiązku. W czerwcu matka wróciła do Ludwipola, pooddawawszy siostry swoje, starszą do szambelanowéj Strojnowskiéj do Żytynka, młódszą do p. wojewodziny Walewskiéj do Tuczyna, a że wuj miał potrzebę wyjechać na Ukrainę, więc i ja z matką wróciłem. Niedała mi matka próżnować i wszystko, com się uczył przy Skoczkowskim, przy matce powtarzałem, a czasem siostra starsza matkę zastępowała, i oprócz tego poduczywszy się sama czytać po-Francuzku przy p. Węgierskim, mnie swojéj umiejętności udzielała. Miło nam lato na wsi schodziło. Co rana z babką i matką godzinę klęcząc modliliśmy się, potém ja brałem się do moich lekcyj, siostry przy matce siadały z robotą. Wieczorem była przechadzka do sąsiedzkiego lasku. Ojciec mój za każdym powrótem przywoził wiadomości krajowe, najczęściéj smutne, czasem jednak jakąś nadzieją ożywiające. Niemówiono jednak nic przy dzieciach, i tylko niepocieszające wieści poznawaliśmy po smutku naszych, a lepszych następstwem była dziękczynna modlitwa przed obrazem Zbawiciela. Odwiedzali nas sąsiedzi, niezmienni w uczuciach, przy zmianie naszego lasu; ale najmilsze dla nas w naszym ustroniu były odwiedziny p. wojewody Kijowskiego, który umyślnie dla widzenia moich rodziców, kilka mil zboczył z drogi. Interesa p. Potockiego w okropnym już były stanie,

i on sam mocno był zmieniony, zacnéj jednak duszy jego okoliczności niezmieniły. Użalał się przed matką moją, że wojewodzina go porzuciła, że kim innym zajęta, chce iść do rozwodu, że dla naradzenia się wyjechała do Tuczyna, do pp. Walewskich, i że on tam za żoną dąży. Powtórzył matce mojéj, obietnice względem mnie dane ojcu na kontraktach, i zostawił 15 czer. zł. dla mnie na xiążki nim lepsze czasy obietnicę spełnić dozwolą. Examinował mnie z tego, com się się uczył, i pogłaskawszy po głowie powtórzył to znane nam wyrażenie, jakoby Stefana Batorego: *disce puer! ego te faciam Mościpanie.* Smaczno podzielał nasz skromny obiadek, a pożegnawszy nas czule, z żalem naszym i błogosławieństwami odjechał.

Niemogę tu pominąć jednego dziwnego wydarzenia, na które zblizka patrzaliśmy, a które na moim młodocianym umyśle silne zrobiło wrażenie i na całe życie w pamięci utkwiło. Obok naszego dworku, mieszkał bogaty włościanin Ohij imieniem. Najzamożniejszym był we wsi, wszystko mu się wiodło, miał kilka córek i jednego 4-letniego synka Iwasia. Znaliśmy to piękne dziecię, bo często do nas zabiegał. Wszyscy go lubili, i zawsze był u moich rodziców dla niego kawałek pięknéj bułki, albo cukru, albo obwarzanek. U Ohija był wąż domowy, który ssał krowę i zawsze wyłazil do dzieci i z jédnéj z niemi miski mleko popijał. Mały Iwaś niebał się węża i owszem lubił go, a gdy wąż do miski się przysuwał, malec brał go za głowę i bijąc łyżką: „nie pij ptasiu mleka“— mówił. Widywaliśmy nieraz tę scenę i sami z wężem oswoiliśmy się. Zdarzyło się że Ohij przyjął nowego parobka, ten dostrzegłszy węża ssącego najpiękniejszą z trzody Ohija krowę, nic nikomu niemówiąc, skoro się wąż od krowy oddalił, ubił go i wziąwszy na kij przyniósł do izby, ażeby się oddaną usługą pochwalić. Splasnęła rękami biedna Ohijowa i słowa przemówić niemogła. Iwaś chwycił węża, a widząc, że się nierusza, z wielkim płaczem wykrzyknął: „niéma ptasi!“— Po trzech dniach ryku i niejedzenia padła krowa; piątego dnia Iwaś w nieutulonym płaczu powtarzając: „niéma ptasi“—życie zakończył. Rozpacz rodziców była nie do opisania, i my sąsiedzi szczerześmy ich żal podzielali.

W końcu lata, jednego wieczora pod niebytność mojego ojca, po odmówionych pacierzach, wszyscy siedzieliśmy sobie na ganku; wtém otwierają się wrota, Krakowska bryka z budą zajeżdża prosto przed ganek, z niéj wysiada dama porządnie ubrana, i rzuca się w objęcie méj matki, a potém p. Zawadzkiéj. „Dziusówna! siostra!“ zawołały obie razem. W rze-

czy saméj była to Dziusówna, zadziwił wszystkich jéj przyjazd, a po mocno wypakowanéj bryce, poznać było można, że już zupełnie do domu wróciła, co i natychmiast oświadczyła siostrze. „O! nie macie wyobrażenia okropności, na jakie przez te kilka miesięcy oczy moje patrzyły!“— „A kasztelanowa?— zapytała żywo matka moja—cóż się z nią dzieje?“—„Modlcie się za nią!“— „Jakto? nieżyje?“—„Żyje ciałem, ale umysł jéj uległ pod ciężarem trósk i zgryzot. Zwaryowała!“— „Jak? co? mów! mów, kochana Teklusiu!“—„Pisałam do was, że się wybieramy do Poznania i tak się stało. Zabawiwszy w Omęcinie u p. starościny Eleonory, najprzyjemniejszych dwa tygodnie, na usilne nalegania wojewodzica wyjechaliśmy na mieszkanie do tego przeklętego Poznania, i szczęśliwie stanąwszy, rozlokowaliśmy się w kamienicy naszego pana, i od piérwszego dnia uczuliśmy nad sobą żelazną jego rękę. Poneta miała zostać u siostry, ale wojewodzic tak umiał zawładnąć wolą swéj żony, że córkę z sobą wziąć zmuszoną była. O! czemuż Bóg nienatchnął ją stałością i uporem w téj okoliczności! Teraz, odkryło się jawnie, cośmy dotąd tylko podejrzewali: wojewodzic oddawna kocha się w pasierzbicy i jéj wzajemność posiada. Zaślepiona matka długo téj intrygi niedostrzegała, i nikt jéj w tém ostrzedz niepoważył się. Piekło wrzało w domu przez dwa miesiące; na koniec jednéj nocy wojewodzic i kasztelanka zniknęli. Co się u nas wtedy działo, opowiedzieć nieumiem. Bóg mię natchął przytomnością i męztwem uzbroił. Posłałam po x. prałata Wolickiego, koligata i wielkiego przyjaciela pani, i sztafetę wysłałam do p. Eleonory. Trudno było znaleźć środki wlania jakiegokolwiek pokoju do duszy nieszczęśliwéj żony i matki, ani słodkie i bogobojne reflexye x. prałata, ani najczulsze starania i pieszczoty drugiéj córki, niewywołały uspokojenia w udręczoném macierzyńskiém sercu. Ale to, co nas czekało, było jeszcze straszniejsze. Starościna zabrała nas na wieś; tam otoczyła matkę najrzewniejszą i najgorliwszą troskliwością, i usuwała wszystko, coby jéj ranę rozdrażniać mogło. Kasztelanowę opuścił ten piérwszy wybuch silnéj rozpaczy, zimna tylko i cicha boleść została. Serce uciśnione, we łzach ulgi niemiało, sen ją odstąpił, umysł upadał pod ciężarem cierpienia. Obojętna na wszystko, na wszystko zimném okiem spogląda, a o ile pierwiéj wyrzekała na męża i córkę, tyle teraz wspomnienia ich unika! Religija nieprzyszła w pomoc udręczeniu i nieotarła łez rozpaczy. Dwa tygodnie przeszło bez żadnéj odmiany. Ledwie kiedy na kilka minut sen zamykał jéj oczy, i natychmiast budziła się z nowém cierpieniem, tém straszniejszém, że

w ponurém milczeniu. Cierpiało serce, umysł upadał, ciało jedno zdrowe i czerstwe zostało. Wyobrazić sobie niemożecie, jak w pośród tych udręczeń piękną była. Na jéj twarzy ani wieku, ani śladów cierpienia niewidać było. Ale nadeszły dni okropne. Była to niedziela. Po przepędzonéj bezsennie nocy przy pani, poszłam tylko przebrać się do mego pokoju; lecz zaledwie bieliznę zmieniłam, i narzucić zdołałam suknię, aż wbiega pokojowa p. Eleonory z krzykiem: „Ach! p. Diusówna! biegnij, ratuj moję panią, bo umiera.“ Niewiem już jak wleciałam do pokoju starościny, zastałam ją leżącą na kanapie w okropnéj opresyi serca. Mąż z całém przywiązaniem i najczulszą troskliwością niósł jéj ratunek. Skoro mię postrzegła,— „Dziusuniu!—zawołała—Poneta została Kalwinką i ślub wzięła z Karolem!“—„A poczwary!—przerwała opowiadanie babka moja;—o Boże! i tyż to cierpisz! przeklęci!“— „I jam też pomyślała, a możem i wyrzekła—mówiła daléj Dziusówna— tego niepamiętam, bo com uczuła, opisać nieumiem. Uspokoiwszy nieco starościnę, i gorzko z nią zapłakawszy, piérwszém mojém staraniem było, otoczyć kasztelanowę ostróżnością, ażeby ta wieść do niéj niedoszła. Ani na krok jéj nieodstępowałam, tém więcéj, że p. Eleonora niemiała ani dosyć sił, ani dosyć męztwa odwiedzić matkę. Sam starosta podzielał czas swój między żoną i kasztelanową; a to serce anielskie, ta dusza szlachetna, oddała się cierpieniom własnym dla ulgi cierpieniom drugich. Kilka dni tak przeszło. Jednéj nocy, o Boże! straszno wspomnieć...siedziałam przy pani, nieimał się sen moich oczu, snuły się czarne myśli, do modlitwy ducha zebrać niemogłam. Już było po północy; dziewczyna służąca weszła po-cichu dając znać, że w przyległym pokoju staruszka jakaś chce ze mną mówić. Ze wstrętem jakimś słuchałam tego wezwania, odprawiłam dziewczynę i zostałam przy pani; ale po chwili pokazała się we drzwiach uboga głucha staruszka, którą pani bardzo lubiła, wiele ją wspierała. Podeszłam ku drzwiom, dając jéj znak, żeby się nieodzywała, bo kasztelanowa od wyjazdu Ponety, piérwszy raz spokojnie usnęła. „Pójdź waszeć—rzekła do mnie staruszka po-cichu,— pójdź odpocznij tróchę w drugim blizkim pokoju; ja tu posiedzę i pani pilnować będę.“— Niebardzo się opierałam jéj oświadczeniu, bo znałam ją i nieraz już w słabościach pani przesiadywała z nami po nocach; ani spójrzałam na twarz staruszki, w ledwie słabo jedną lampą oświeconym pokoju. Dawszy się namówić do spoczynku, zostawiłam ją na mojém miejscu i w przyległym gabinecie rzuciwszy się na sofę, mocno zasnęłam. Jak długo trwał mój sen, powiedzieć nie-

potrafię,. ale krzyk przeraźliwy w pokoju pani uderzył moje uszy i ze snu obudził. Zerwałam się i jednym krokiem byłam przy jéj łóżku. O! straszno powiedzieć, wspomnieć straszno! Lampa stała na gierydonie przy łóżku, pani w najokropniejszych konwulsyach miotała się na pościeli; staruszki już niebyło, a na posadzce koło stolika leżał list otwarty i zmięty. Porwałam go bez myśli, i w piérwszych słowach wyczytałam przyczynę okropnego stanu kasztelanowéj. Nieprzytomna sobie, zamiast nieść ratunek cierpiącéj, krzyczałam na cały głos wzywając pomocy. Zbiegli się słudzy, nadbiegli starostwo. Na szczęście doktor przyjaciel ich i sąsiad, z własnéj woli odwiedzający państwa, znalazł się pod ręką, i zajął się troskliwie ratunkiem kasztelanowéj. W niemém osłupieniu czekaliśmy wyroku doktora. Po dwóch śmiertelnego oczekiwania godzinach, wróciło życie, ale zdrowie umysłu niewróciło! Gorączki żadnéj niemiała, ale niepoznawała nikogo, mówiła od rzeczy, śmiała się, śpiewała, zrywała z łóżka. „Puśćcie mię! wołała, puśćie! na wesele Ponety. O idą do ślubu moja córka z Karolem, jaka piękna para! jak pięknie postrojeni! Ale gdzież mój Adaś? gdzież mój Julek? O! jego matka niewarta była mieć go obok siebie! O! biedny Julek! biedna matka! Ale wy cicho! cicho! nic, nic o tém niegadajcie, bo będzie wam od p. wojewodzica; będzie bieda, wielka bieda!...Hej Karolu! daléj na twojém z Ponetą weselu, daléj ze mną *Menuette à la Reine!* ze mną. Czegoż się odwracasz? Niepoznajesz Ludwiki? Czym ja nietwoja? Twoja i nowa Heloiza... A nasz Julek, śliczne dziecię! Niedzwiedziom Ludwipolskim oddamy go na edukacyę, i znowu będzie wesele Ponety z Julkiem. Wesele, wesele! muzyka, graj skocznego!“— Takie i tym podobne brednie plotła kasztelanowa, śpiewała, klaskała w ręce, zrywała się do tańca i znowu wpadała w bezsilność i okropne osłupienie. Po trzech dniach nakoniec oświadczył doktor państwu, że waryacya się zupełnie zdeklarowała, że ten stan obłąkania pochodzący z tak silnych uderzeń na umysł, był nieuleczony, a że konstytucya ciała mocna i żadnym defektom niepodlega, to choroba długie lata pociągnie. Biedna p. Eleonora ciężko ten cios odcierpiała, aniby więcéj na zgon matki uczuć i boleć mogła; nieodstępowała jéj jednak i ja z nią czuwałam, ale pilnując choréj pani i sama na zdrowiu upadać zaczęłam, musiałam więc żądać uwolnienia. Widziała to starościna, i choć z żalem, na moje oddalenie zezwoliła. Panią umieszczono na pensyi u Siostr Miłosierdzia, a mnie, hojnie udarowaną, ze łzami pożegnawszy, przez Galicyę do domu wyprawili. O! złote to serce tych pp.

Jaraczewskich. Wspomnieniu ich dobroci, w sercu moim, towarzyszy zawsze modlitwa, aby im Bóg błogosławił. Z Brodów odesłałam im powóz ludzi i konie, a tym Żydem najętym tu do was przyjechałam.“— „A list od kogo był? cóż się ze staruszką zrobiło?“—zapytała moja matka.—„List był bez podpisu i bez daty, a staruszki nigdzie odszukać niemogli.“

Tyle było opowiadania Dziusówny przerywanego częstemi łzami opowiadającéj i słuchaczów,—i na tém skończyła się historya smutna kasztelanowéj, któréj serce i umysł najpiękniéjsze, idąc po drodze życia ówcześném wychowaniem wytkniętej, zmyliły się, i obłąkały! a religija ich niewsparła. Kilka lat jeszcze męczyła się kasztelanowa; a o wojewodzicu wieść chodziła, że się sam zastrzelił.

ROZDZIAŁ V.

TUCZYN.

Piérwszych dni września ojciec mój miał już obowiązek marszałka dworu u p. wojewody Sieradzkiego Michała Walewskiego w Tuczynie, z rekomendacyi w. Prota Potockiego, który niemogąc nic sam pomódz mojemu ojcu, u przyjaciela go umieścił. P. wojewoda Sieradzki, był to pan, prawdziwy pan. Imie jego piękną zajmuje kartę w dziejach naszych za panowania ostatniego króla. Imie to, ze czcią jeszcze wspominają sąsiedzi obywatele, którzy go pamiętają; bo dzisiejsze pokolenie, jak obojętném okiem spogląda na pamiątki narodowe, tak i mężów dostojnych, przed półwiekiem żyjących, ledwie kiedy z nażwiska pamięta. P. wojewoda skoligacony był ze wszystkiemi domami piérwszych magnatów Wołyńskich i od wszystkich kochany i ceniony wysoce, a rady jego były prawie wyrocznią. Nieliczył nieprzebranych dostatków i wielości ziem obszernych, jakiemi Ukraińscy bogacze słynęli, bo cała fortuna jego trzech milijonów zł. niedochodziła; żył jednak okazale, po-senatorsku, jak to naówczas jeszcze mówiono, jako mądry, przezorny i sumienny gospodarz. Zamożność włościan Tuczyńskiego klucza wzorowa na całą okolicę, wzbudzała smutne uczucie zawiści we włościanach sąsiednich majętności. Pięknie utrzymał i spadkobiercom swoim zostawił czystą nieobciążoną swoję fortunę. P. wojewoda od niewielu lat jeszcze zamieszkał w Tuczynie, przedtém pobyt jego ciągły był w Krakowskiém, zkąd cały ten dom pochodził, i teraz jeszcze miał tam dobra

i dla tego to w nich, to na Wołyniu przemieszkiwał. Piękna to była ta majętność Tuczyńska: ziemia żyzna, lasy obfite i stare, rzeka Horyń donośna, obracała ogromnie intratne młyny. Sześć było folwarków w nich umiarkowanéj obszerności, łany wybornie zawsze uprawione, bogatym plonem nagradzały trudy uprawy.— Na folwarkach, panie ekonomowe utrzymywały pakt bydła i drobiu, zkąd i oznaczone dyspartymenta obficie wystarczały na pańską kuchnię, i znaczna część paktu sprzedawała się po jarmarkach na korzyść skarbu, i p. ekonomowa miała jakie sto złotych uczciwego zarobku. Ale p. ekonomowe ówcześnie, niesadziły się na modne kapelusze, salopy: dyma domowa na codzień, od święta jakaś kartonowa sukienka, rzadko wełniana, a jedwabna darem chyba tylko była jw. pani za porządne prowadzenie paktu. Sto złotych rocznie brał ekonom, znaczną ordynaryę i wolność przychowku bydła i koni. Ten ostatni artykuł tak podniesiony u chorążego Kor. dla tych tylko ekonomów i innych oficyalistów miał względy, których zauważał przyjeżdżających do kościoła porządną bryczką i dobremi końmi. Umiarkowane życie, nieskrzywione naśladownictwem panów, pozwalało szlachcie i utrzymać się stosownie do położenia swego i jakiś grosz na przyszłość oszczędzić. Ale bo też i pieniądz w owych czasach był drogi. Dziś 150 rubli jest bagatelą, a tamtych czasów 1000 złotych, był piękny posażek szlacheckiéj panienki, z którym i na posesyę iść można było. To był jeszcze wiek XVIII!— I położenie Tuczyna dziwnie piękne. Na obszernéj błoni łąk, Horyń kilku korytami zawracał się i skrytemi nurtami liczne tworzył jeziora. Brzegi wód zarosłe rozmaitemi wierzbami, srebrną i czarną topolą, przerywały jednostajność zielonéj równiny. Od prawego brzegu rzeki wysokie wznoszą się nadbrzeża okryte gajami. Na jednym z takowych wznosi się pałac wojewody wielki i wspaniałéj budowy, i przybywających z za Horynia zdaleka w oczy uderza. Gmach ten, niewytrzymałby zapewnie ścisłego estetycznego względu, ale całość była gustowna i okazała. Przed pałacem obszerny dziedziniec, za nim wielka droga, za tą znowu dziedziniec, a na nim budynek nieco od pałacu mniejszy, mający na dole stajnie, na górze porządne mieszkania. Pałac Tuczyński był może największym z pałaców Wołyńskich, i póki żył wojewoda, miał ten gmach jakiś pociąg dla wszystkich; dziś, w trzeciém od tego czcigodnego pana pokoleniu, w ruinie!!..

P. wojewoda dwa razy wdowiec po Walewskiéj i Turnównie, żonaty z trzecią z domu Michałowską wdową po Śla-

skim; z piérwszéj miał dwóch synów Józefa i Wojciecha i córkę Teodorę, po raz drugi zamężną za x. Stanisławem Jabłonowskim. Piérwszy jéj mąż był Stecki chorąży koronny, pan ogromnéj fortuny, sąsiad wojewody i lat z nim prawie równych; z tym się rozwiodła, i pozostałą z nim córkę Dorotę przy sobie starannie wychowywała. Rozwód niezniweczył przyjaźnych stosunków, jakie do zgonu i xiężna dla chorążego i on dla xiężnéj dochowali. Z Turnówny miał p. wojewoda syna Hieronima i dwie córki Teresę i Karolinę, obie panny w młodym jeszcze wieku. Z synów, żaden niebył żonaty, a wszyscy trzej, daleko od domu, w kawaleryi narodowéj służyli.

Rzeczy narodowe szły coraz to gorzéj, zmniejszona drugim rozbiorom Polska liczyła jednak jeszcze 11 województw w Koronie, a ośm na Litwie. W ręku przezornego i gorliwego rządcy, co za piękna fortuna jeszcze! Ale Bóg na ukaranie nierządu naszego i niedbałości o dobro ojczyzny, zesłał nam króla, którego dość długie a nieszczęśliwe panowanie, wymazało nas z liczby państw Europejskich, i boleśne dalekim nawet pokoleniom wspomnienie zostawiło. Budził się jednak w Polakach duch miłości ojczyzny. Naczelnik Kościuszko z ostatkami wojsk narodowych bronił upadającéj matki. Wysilali się prawi obywatele na poświęcenie bez granic: majątki, swobody, życie nieśli w ofierze, na zachowanie téj reszty kraju, niegdyś tak potężnego i sławnego. Właśnie w tym czasie p. naczelnik był na Wołyniu. Odwiedził on w Równym xiężnę Józefę Lubomirską z domu Sosnowską. Kiedyś, dawniéj, xiężnę i Kościuszkę łączyły ogniwa miłości i nadzieja poprzysiężenia sobie wiary w obliczu ołtarza, ale los inaczéj zdziałał. Kościuszko walczył pod chorągwiami Washingtona, panna Helena Sosnowska z woli rodziców, oddała rękę x. Józefowi Lubomirskiemu. Ale bohatér walczył z całém poświęceniem się, z całą energiją wielkiéj duszy; Helena wyszła za mąż bez żadnéj skłonności dla xięcia i serce unosiło uczucia jéj na drugie półsferze. Ani czas, ani okoliczności, uczuć ich niezmieniły; przygasła miłość lat młodych, i wiele, wiele lat potém, szacunek wzajemny, przyjaźń braterska, jednoczyły tych dwoje zacnych ludzi. Wieść o przybyciu p. Kościuszki do Równego, w parę godzin obleciała całe sąsiedztwo. P. wojewoda wybierał się także. „Wypada i ww. panu, rzekł do ojca, prezentować się p. naczelnikowi, wszak także służyłeś w wojsku, a takiego męża widzieć i poznać i honor jest i szczęście.“ Rozmowa ta była na ganku pałacowym; ja stojąc blizko słyszałem. Lat mnie było już ośm, i młodemu sercu nieobce były

uczucia ożywiające serca rodziców. Skoro ojciec odszedł, podbiegłem do p. wojewody i rzuciłem się do nóg jego. Zdziwiony pan, podnosi mię i słowami pełnemi ojcowskiéj dobroci: „Czego chcesz moje dziecię?“ zapyta.—„Widzieć p. Kościuszkę?“ P. wojewoda poglądał na mnie z czułością. „Maszże ty piękne ubranie?“—„Mam mój mundur—„Dobrze.“—Posłał pan po mojego ojca. „Proszę ww. pana, wziąć także do Równego i Antosia, a ubrać go w jego mundurek.“—Zdziwił się ojciec, zkąd to polecenie, ale ja zaraz przyznałem się do mojego postępku; chciał mię ojciec połajać, ale i śmiech go brał i miłą mu była moja śmiałość. Nigdy niewyjdzie z pamięci mojéj, ta ważna epoką mojego dzieciństwa! Przemarzyłem noc całą. Znałem rysy twarzy p. Kościuszki, bo byłże choć jeden dom od najbogatszych do najuboższych, gdzieby wizerunku tego bohatera niebyło? Nazajutrz o 9téj wyjechaliśmy, i tę odległość dwóch mil od Tuczyna do Równego szybko przebyliśmy. Cóż to za dzień był uroczysty. Co za okazałe zebranie znakomitych obywateli, co za świetne towarzystwo dam! Jakieś niewypowiedziane uczucie czci, uwielbienia i nieograniczonéj ufności dla naczelnika, grało w obliczu mężów. Płci pięknéj uczucia łzami się objawiały. Wszedł p. wojewoda, bratersko się z p. naczelnikiem uścisnęli. „P. namiestnik kaw. nar. z regimentu Sczepana Turny, p. Detiuk,“— rzekł p. wojewoda przedstawiając mojego ojca;—„po zwinieniu wojsk naszych w Ukrainie, nieprzyjął służby w wojsku imperatorowéj, i teraz zostaje na moim dworze.“—P. Kościuszko podał rękę mojemu ojcu, rozmawiał z nim, ale ciągle patrzał na mnie, i niedziw, byłem bowiem osobliwością w mojém dzieciństwie. Włosy moje nadzwyczaj czysto czerwone, kręciły się wolno w duże kędziory w około twarzy pełnéj, świeżéj, rumianéj, po nad dużemi błękitnemi oczami, w ciemne oprawnemi rzęsy. Było tam wiele równolatych chłopczyków, z których piękną urodą ani mi w porównanie iść można było: fizyonomija moja przecięż ściągnęła na siebie uwagę p. naczelnika. „To synek ww. pana?“—zapytał mojego ojca.—„Tak jest jw. naczelniku.“—P. Kościuszko wziął mię za rękę i przyprowadziwszy do xiężny,—„Patrz m. xiężno,— rzeknie—nic podobnego jeszcze widzieć mi się niezdarzyło, to osobliwość! Bo rude włosy bardzo często zdarzają się i przechodzą familijném następstwem, ale to, to jest żywy kolor ognia.“ Pytał mię potém:— „Na cóż ten mundur nosisz?.“— „Bo mię starosta Turno zrobił towarzyszem kawaleryi narodowéj.“— „Maszże ochotę służyć w wojsku?“—„Jak podrosnę.“—„A na wojnę pójdzisz?“— „Za Kościuszką i za Kościuszkę!!“—Ojciec zmięszał

się tą moją odpowiedzią tak śmiałą, ale p. naczelnik, pogłaskał po twarzy, objął ognistą moję główkę i w czoło pocałował, poznał bowiem że moje słowa wiernie oddawały uczucia tych, którzy mię wychowali. Wziął potém brzoskwinię ze stołu i dał mi mówiąc: „to lepsze niż kule na wojnie.“ Pocałowałem go w rękę i rówieśnicy wzięli mię do swego koła. Odpowiedź moja p. Kościuszce, niebyła żadnym wyskokiem dziecinnego dowcipu, było to hasło wszędzie powtarzane, nauczyłem się go ze słuchania, wierna pamięć w swoim czasie ustom go poddmuchnęła, a w ustach ośmioletniego dziecka naiwną się wydała.— Wyjeżdżającego naczelnika ze łzami żegnali,—a błogosławieństwa duchownych, obywatelów i pospólstwa powóz jego otaczały. Nadzieja kraju była jedynie w tym wielkim mężu!!—P. Kościuszko był więcéj niż miernego wzrostu, rysy twarzy mniéj kształtne, pełne były życia i wyrazu cnót zdobiących bohatera naszego. Niewiem, czy wrażenie jakie zrobiły na młodéj wyobraźni rysy uwielbionego męża, czy napatrzenie się później na jego portrety, ale rysy te pamiętne, tak zostały mi obecnemi, że nietylko podówczas z łatwością rozróżniałem portrety podobne od niepodobnych, ale i dziś jeszcze po upływie lat tylu, rysy te żywo wydatne w pamięci mojéj zostały.

Kiedy tak w kraju panował duch męztwa i poświęceń, kiedy świątynie Pańskie rozlegały się modłami o zbawienie ojczyzny, w Ukrainie i Bracławskiém wrzał duch Targowicki. Niewiele obywateli z województw Wołyńskiego i Podolskiego, zgubny akt téj konfederacyi podpisało. P. wojewoda Sieradzki, na wezwanie Szczęsnego Potockiego, temi słowy odmówił: „Widzę chylącą się do upadku Polskę; wszyscy trzej synowie moi walczą w jéj obronie; i ja byłbym z nimi, gdyby mię starość nieprzygniatała. Czuję żal do króla, ale niemniéj przeto kocham moję ojczyznę! Do aktu konfederacyi nieprzystąpię, bo jéj cel ani z mojém przekonaniem, ani z mojemi uczuciami się niezgadza. Kto podczas Barskiéj konfederacyi za swobody kraju piersi nadstawiał, kto przywodził Krakowskiéj, kto ustawy 3 maja ze czcią religijną przyjął, możeż bez hańbienia się Targowicki akt podpisać? Los naszéj ojczyzny, jest w ręku Boga! jedném skinieniem może ją podźwignąć i zbawić. A jeżeli, podoba mu się wymazać ją z listy narodów, to, z czołem pokornie schyloném i bijąc się w piersi ze łzami, jako plagę sprawiedliwości Bozkiéj za winy nasze i ojców naszych przyjmując, oczekiwać będę pod strzechą moją, jak los tę sprawę rozstrzygnie. Synów nieodwołam, niech

bronią upadającą ojczyznę za mnie i za siebie. A kiedy już i piędzi ziemi swobodnéj nam niezostanie, zdam się na wspaniałość wielkiéj monarchini. W troskach moich, ta mi zostanie pociecha, że ręka moja niełączyła się do rąk, które ojczyznę naszę do grobu wtrąciły.“ List ten z archiwum ś. p. wojewody wypisałem, a póżniéj u p. Franciszka Chrząszczewskiego własnoręczny oryginał ze czcią winną czytając, ze łzami ucałowałem ślady ręki nieocenionych cnót męża. Odpowiedź ta, świadczy o szlachetnym sposobie myślenia, i zbija zarzuty jakie zawiść na tego dostojnego męża potwornie rzuciła.

Kiedy ojciec mój objął obowiązek w Tuczynie, bawiła tam przez całe lato p. wojewodzina Kijowska Protowa Potocka córka xięcia Kaspra Lubomirskiego. Dziwnie to piękna była pani i anielskiéj dobroci. Wdziękami swemi, mogłaby była i nad panującym panować, ale ukochała jednego, i poświęcając związki małżeńskie, ojczystą ziemię i wszystko, rękę mu swoję oddała. Pani Potocka wezwała p. wojewodę z żoną, całą rodziną i całym dworem do Zwiahla, gdzie p. wojewoda Sieradzki między rozwodzącymi się polubownie interesa układał. Cała zima przeszła w Zwiahlu. Zjazd był wiełki, sale i stroje świetne, ani pomyśleć można było, że tam się agituje sprawa ważna o losy tak znakomitych osób, i że okoliczności krajowe tak były zasmucające. Przeszła zima i wiosenny zawitał skowronek. Rozjechali się goście ze Zwiahla. Rodzice moi zostawiwszy mnie w Korcu, wrócili do Tuczyna, p. wojewoda z żoną i z córkami udał się do dóbr swoich w Krakowskiém i tam wkrótce rozwiódł się z trzecią żoną. Ciotka moja będąca przy wojewodzinie, wróciła do Tuczyna z wojewodziankami, i odtąd jako rezydentka przy nich została. P. wojewodzina niemogąc jéj przy sobie zatrzymać udarowawszy ją wspaniale, ze łzami z nią się rozstała. P. wojewoda w miesiąc dopiéro po córkach wrócił do domu.

Rok 1794 czarną kartę dziejów naszych przedstawia: klęski jedne po drugich, powstania, upadki, rzezi, wysilenia ostateczne poświęconych obronie kraju, były to wieści wyciskające łzy Polaków i grożące nieuniknioném powszechném nieszczęściem! Kościuszko jeszcze walczył, jeszcze nadzieja jakaś go ozywiała. Ale uderzyła fatalna godzina. Bitwa i klęska pod Maciejowicami ostatnią zniszczyły jego nadzieję. Bohatér Kościuszko dostał się w niewolę. Rozlegała się Wielka i Mała Polska boleśnym płaczem nad klęską stanowiącą zupełny upadek, nad uwielbionym wodzem. Wołynia jeszcze ta wieść niedoszła. Najmłódszy syn p.

wojewody Hieronim ledwie z Collegium nobilium wyszedłszy, zaciągnął się pod chorągwie narodowe. Bił się mężnie młodzieniec, zasłużył rangę porucznika, i pod Maciejowicami dostał się w niewolę. Odartego przez Kozaków z munduru i przyodzianego w stary kozacki długi i szeroki ubiór, pędzono wraz z innymi jeńcami do Lublina. Pędzący jeńców Dońce znęcali się nad biednym młodzieńcem, a naśmiewając się z postaci niedzwiedziéj w okropnym tym stroju, tancować mu z sobą kazali. Wywijał się kozaka z Dońcami piérwszy uczeń Skurczyńskiego, łzy lały się po twarzy, serce mu się z boleści krajało, a nogi skakać musiały. Nieuszedł uwagi oficera prowadzącego oddział, taniec wojewodzica, i z większą odtąd dla niego był delikatnością. W Lublinie stawiono jeńców przed jenerałem Ferzenem. Na szczęście wojewodzica przy Ferzenie adjutantem był Gruszecki, który po zniszczeniu wojsk naszych na Ukrainie przeszedł w służbę Rossyjską. Poznał on młodzieńca, bo dawniéj nieraz w domu wojewody miłego doznał przyjęcia, wyrobił mu więc pierwszeństwo przedstawienia. Biedny szesnastoletni Heruś, małego wzrostu, dziwnie wyglądał w ogromnym stroju Kozackim, do tego z natury zająkliwy, w przelęknieniu ledwie kilka słów wyjąkać potrafił.

„Kto ciebie oddał do wojska?“ zapytał Ferzen.—„Ja sam.“ —„Dla czego?“—„Ażebym bronił mojéj ojczyzny.“—Zamilkł jenerał; po chwili znowu zapytał:—Cóż mam z tobą zrobić?“— „Do papy odesłać.“—„Gdzie mieszka twój papa?“—„Na Wołyniu.“ —„Jakiż będzie okup za ciebie?“— „Papa da p. jenerałowi tysiąc złotych.“—„Niedrogi z ciebie towar, ale cóż ty umiesz?“—„Nic.“ —„Umie pięknie tancować,“—ozwie się oficer prowadzący oddział.— „A więc tańcuj!“—rzekł jenerał i muzyka huczno zabrzmiała kozaka, a biedny Heruś z płaczem puścił się w uczone skoki. Lekkość i zwinność młodzieńca, choć w tak ciężkim stroju, wybór kroków, któremi w pośród uczniów sławnego tancmistrza celował, podziwinie, oklaski, zadowolnie i życzliwość jenerała tańcującemu zjednały. Gdy skończył, Ferzen własną chustką łzy i pot jego otarłszy, ucałował go i obok siebie u obiadu posadził. Po obiedzie kazał mu przebrać się w mundur właściwy, ale wojewodzic prosił żeby mu Kozackiego nieodbierano, bo ten świadczył o jego bytności w działaniu, o jego niewoli i oswobodzeniu. Nazajutrz Ferzen odprawił Hieronima do Tuczyna z Gruszeckim na kuryerskich koniach i do p. wojewody list pełen grzeczności napisał. Wszystko to tak prędko się stało, że gdy wojewodzic do domu wrócił, p. wojewo-

da o smutnych wypadkach Maciejowickiéj bitwy jeszcze niewiedział.

Otworzył szanowny starzec ramiona na witający uścisk syna; ale gdy ten wyjąknał: „p. naczelnik wzięty,“ — ojciec odtrącił go od siebie: „I tyż śmiałeś wracać pod ojcowską strzechę? Twoje miejsce było na pobojowisku, w mogile. Możebym łzę jaką uronił, aleby mi ta została pociecha, żeś poległ w dobréj sprawie.“— Gruszecki pośpieszył z rozpowiedzeniem szczegółowém wszystkich okoliczności wzięcia Kościuszki i męztwa Hieronima. Uspokojony tém p. wojewoda o syna, poddał się całéj goryczy żalu i boleści po stracie ostatniéj nadziei. Po téj wieści, wiadomości były jedne od drugich coraz smutniejsze. Wzięcie Pragi, kapitulacya Warszawy, nakoniec zupełny wyjazd króla do Grodna, ubiły na duchu i mieszkańców Wołynia.

Tutulmin zesłanym był dla odebrania wdztwa Wołyńskiego na imie imperatorowéj Katarzyny. Wychodzono na przeciw niego z chlebem i solą, bito we dzwony po kościołach i cerkwiach. Jenerał zapewniał mieszkańcom imieniem swéj monarchini ich wiarę, język, prawa i swobody. Słuchał narod ze łzami słów Tutulmina, i jakaś otucha zdawała się łzy boleści osuszać. Kapłani wznosili po kościołach hymn dziękczynny. Na Podolu jakiś Niemieckiego naźwiska jenerał spełniał ten obowiązek, ale dumny, zimny egoista, nieposiadał uczuć szlachetnych jenerała i obywatela Rossyanina.

W tymże samym roku pamiętne w naturze mieliśmy zjawisko. Było to od nikogo nieprzepowiedziane całkowite zaćmienie słońca. We Francyi rewolucya wstrząsła narodem i sparaliżowała nauki. Niemcy niedość widno zapuszczali się w te głębokie badania natury. Akademija Krakowska rozpierzchła się po świecie, a w Wilnie jedyny obserwator x. Poczobut był u wód w Baden. Szwecya tylko (może i Anglija) zapowiadała to zjawisko; ale wiadomość ta, ani do nas, ani, ile mi wiadomo do Petersburga, niedoszła. Byłem wtedy w Korcu na naukach z Mezerami synami Franciszka przy Skoczkowskim. D. 11-go czerwca, bo ten dzień zanotował nasz nauczyciel, w najpogodniejszy dzień o 2-éj z południa zaczęło się ściemniać na dworze, choć żadnéj chmury niebyło. Skoczkowski wyszedł z pokoju i po chwili wróciwszy, okopcił kawałek szkła nad świecą i znowu wyszedł, a my za nim. Więcéj się jeszcze ściemniało nie nocnym zmierzchem, bo odbicie światła by-

ło żółte i przykre dla oczu. Jak długo trwał ten przechód tego oznaczyć niepotrafię, ale pomnę dokładnie jak raptem znikło słońce i gwiazdy się pokazały. Ta chwila nocy wśród dnia, ta ciemność nienocna, trwogą napełniły ludzi i źwierzęta. Nikt nieśmiał w domu pozostać, wszystkie drzwi raptem się otwarły, fabrykanci hurmem runęli od swoich warstatów. Jęk i płacz ze wszech stron się rozlegały wśród pospólstwa, padali z krzykiem twarzą do ziemi, a ten krzyk rozpaczy zdawał się wzbijać do nieba i z groźbą dopominać zwrócenia swojego światła. Bydło z rykiem uciekało z pola, ptastwo mięszało się w powietrzu, psy wyły. A wśród ciemności powietrze było parne, i zdawało się, że go do oddychania zamało było. Oświeceńsi, jak nasz Skoczkowski, tłómaczyli sobie to zjawisko, że xiężyc przechodząc między słońcem a ziemią, zakrywa całą, lub cząstkowie, tę gwiazdę dziennego światła; ale wpośród tych pięknych fizycznych tłómaczeń, niebyli spokojni. My tylko dzieci nieczuliśmy żadnego wrażenia, ani bojaźni, chwilowe było tylko nasze zadziwienie, gdyśmy ujrzeli gwiazdy, a słońca niebyło ani znaku. Jak stopniowo rozjaśniało się, jak długo to rozjaśnianie trwało, niepomnę; to dobrze pamiętam, że Skoczkowski dawał nam patrzeć przez okopcone szkiełka na słońce, jak się z pod czarnego kręgu zwolna dobywało,—zdaje się jednak, że cały proces tego zjawiska musiał trwać więcéj kwadransa. Skoro błysnęło słońce, choć dopiéro jeszcze w połowie, radość wszystkich ogarnęła, winszowali jedni drugim powrótu dnia, ciesząc się ujrzeniem dziennego światła; wielu jednak z prostoty nieufali, i bojąc się, ażeby z zachodem niezniknęło na zawsze, nieśpiąc czekali jego wschodu. Chwilowe zaćmienie słońca, smutne na umysłach sprawiło wrażenie; jakże musi być smutno przez pół roku niewidzieć słońca w krajach polarnych!

Nazajutrz, rano schwyciło się słońce i zaraz silnie grzać zaczęło, ani najmniejszy wietrzyk powietrza nieochładzał, a około dziewiątéj godziny nasunęły się czarno-czerwone chmury coraz cięższe i cięższe. Huk odległego gromu, bezustannie, zewsząd się rozlegał, ciągła błyskawica raziła oczy i blaskiem swoim słabe dnia światło ćmiła. Około południa zerwał się silny wicher, a wpośród szumu i świstu wichru i gęstych piorunów, ulewny deszcz, głuchym szmerem jeszcze więcéj okropności temu wzburzeniu natury dodawał. Nurty Kurczyna wzniesioną falą, niepodobne do przeniesienia głazy, jedne za drugiemi toczyły. Wezbrane ulewą rzeki i strumienie szeroko swe wody rozlały. Okropne to i wspaniałe było widowisko! widowisko wzbudzające religijną trwogę, nawet w sercach niedowiarków, których

niestety! już tak wielu naówczas u nas rewolucya Francuzka natworzyła.—Około drugiéj z południa burza ucichła, uspokoiło się powietrze, wody do swego koryta wracać poczęły. Pokazało się słońce, i wieczór był tak pięknie pogodny, jak po dniu najpogodniejszym. Tysiące przepowiedni, jedne od drugich smutniejsze, rozchodziły się z téj okoliczności między pospólstwem. Jakoż i smutne następstwa jedne po drugich boleśnie raniły serca biednych naszych rodaków. Gdzie niegdzie jeszcze trzymały się wojska nasze. Wawrzecki objąwszy naczelnictwo po Kościuszce, opierał się jak mógł, ale obecność Kościuszki nieożywiała już upadłego w żołnierstwie ducha! Jasiński, z całém męztwem i poświęceniem się walcząc, czyny swe świetne życiem na Pradze zapieczętował. Był to wuj mego ojca, brat o wiele lat młódszy ukochanéj babki mojéj, która ledwie go dwóma tygodniami przeżyła. Król z Grodna do Warszawy niewrócił.

Po ostatnim rozbiorze, kazano mającym majątki w dwóch państwach, zamieszkać stale tu, lub wyprzedawszy się w Rossyjskim zaborze, przenieść się do dóbr, do Pruss lub Austryi odpadłych. Wołyń szczególniéj wówczas zaludnił się obywatelami, bo swobody zapewnione przez imperatorowę, zniewoliły wielu i bardzo wielu, którzy piastując urzędy znakomite w Koronie, po stracie kraju opuściwszy stolicę i majątki pod Pruskim lub Austryackim rządem będące, w ziemiach swoich na Wołyniu spokojnie osiedli. Rok cały najsmutniéj upłynął. W naszéj rodzinie, była żałoba po dwóchmatkach, po babce mojéj. Wszyscy obywatele cicho siedzieli po domach swoich, zaledwie pomiędzy najbliższymi sąsiadami, były jakieś stosunki. I pan wojewoda podobnie ograniczył się swoją tylko rodziną i oddał się całkiem urządzeniu swoich interesów, a dla zaszłych różnych w ekonomice majątku okoliczności, zarząd dóbr swoich ojcu mojemu wręczył; matkę zaś po powrócie do kraju Abessy Francuzkiéj, ochmistrzynią swych córek postanowił. Nieumiała matka moja po-Francuzku, potrafiła jednak i wojewodzianki do siebie przywiązać i na p. wojewody szacunek i ufność zupełną zasłużyć.

W domu p. wojewody i polor wieku XVIII widać było i starodawne obyczaje zachowano. Przy córkach jego dla towarzystwa ich, bawiły córki obywatelskie, a te się rezydentkami zwały, a choć to niebyły z biednéj szlachty, każda z nich jednak na potrzeby swoje po 50 czer. zł. rocznie pobierała. I nic dziwnego: każda z nich miała wydatki na potrzebne codzień uczciwe pokazanie się, a p. wojewoda niechciał, ażeby

poświęcając się kompanii jego córek, rodzicom swoim ciężarem były. Uboższe panienki szlacheckie służyły, a każda wojewodzianka prócz garderobianych, miała i pannę służącą, która i do stołu pańskiego siadała i na pokojach z paniami bawiła. Przy wojewodzicach zbierali się młodzi pokrewni ich blizcy i dalecy i obywatelscy inni synowie. Ci niebyli pensyonowani, ale prezenta imieninowe i kolenda za pensyę wystarczały. Towarzystwo więc Tuczyńskie było liczne. Nieznacznie, powoli, zaczęto oswajać się z obecném położeniem, młodzież potrzebowała rozrywek, i do tego sam wiek ją usposabiał, wracała więc i wesołość i zabawy się zjawiały. Żaden dom na Wołyniu niebył zebraniem tylu młodzieży płci obojéj pięknie wychowanych, co dom p. wojewody, ani się równie nieodznaczał wesołością. Senator sam chciał tego ażeby dzieci się jego rozweselały, zawsze miał twarz wypogodzoną i uśmiech dobroci na twarzy; a jeśli czasem troska jakaś na sercu osiadła, lub też poniesionych strat wspomnienie łzę wycisnęło, tego smutku ojciec mój był tylko świadkiem.

W Tuczynie i w jego okolicy rozłożony był na konsystencyę półk Kimburnski dragonów, szefem jego był brygadyer Karol Baur znacznéj Kurlandzkiéj familii, pięknem wychowaniem, układnością światową i dziwnie miłemi przymiotami serca celował między współkolegami. W Tuczynie stał sztab jego, a latem obóz pod Szubkowem wsią do majętności Tuczynskiéj należącą. W niedługim czasie zbliżył się z domem wojewody. Niewiele od wojewodziców starszy prędko zaprzyjaźnił się z nimi i wszystkie zatrudnienia ich i zabawy podzielał. P. wojewodę jak ojca kochał, szanował i wolę jego miał sobie za świętą. Całe dnie i wieczory w pałacu przepędzał i tak był z całą rodziną spoufalony, że go nawet nieznajomi za krewnego p. wojewody brali. Majętność Tuczyńska nieczuła ciężaru, jaki kwaterunek wojska przynosić może, bo wszystkie produkta, bądź na potrzeby ludzi, bądź na karm koni brane, płacone były brzęczącą monetą i po dobréj cenie; a za niewielką opłatę, miał p. wojewoda żeńców, robotników w ogrodzie, cieślów i jakich zażądał rzemieślników. Z taką też pomocą, w jednym roku, stanęły nanowo ogromne młyny na Horyniu, kilka porządnych dworków w mieście, i różne potrzebne budowle po folwarkach, a nawet nowy niewielki teatr w ogrodzie. P. wojewoda bardzo się przywiązał do Baura, a mimo jego namiętność bałamucenia dam, szacował go wysoce. Przeznaczenie jakieś przywiązało go do Tuczyna, i nieraz jeszcze w dziejach Tuczyńskiego domu, napotykać go będziemy.

W Żytomierzu naznaczone było otwarcie gubernii i piérwsze obywatelskie wybory. Ciekawość widzenia tego uroczystego zebrania, potrzeba obrania mających się opiekować obywatelmi i ich majątkami marszałków, stanowiących o ich sprawach sędziów, czuwających nad bezpieczeństwem, oraz nad wewnętrznym tak gubernii w ogóle, jak i w szczególe każdego powiatu porządkiem, ściągały do Żytomierza magnatów oraz bogatszą i uboższą szlachtę Wyjechał p. wojewoda, a z nim i mój ojciec, nie jako marszałek dworu wojewodzińskiego, ale jako wybrany od możniéjszych obywateli gospodarz wydatków na wystawne obiady i bale w czasie wyborów. Taka bowiem na ten czas była zgodna jedność obywatelska, iż wszyscy ciężar kosztów równo ponosić chcieli, że mało było bankietów szczególnych, a ledwie nie wszystkie nosiły nazwę obywatelskich. Baur na te kilka tygodni oddalił się do korpusnéj kwatery, ale wyjeżdzając przykazał, ażeby w pałacu na noc zaprowadzono warty dla bezpieczeństwa i spokojności, a półkownikowi Wernerowi, szanownemu i miłemu staruszkowi, opiekę nad pozostałymi polecił. Nikt z młodzieży bawiącéj w Tuczynie niebył na wyborach, zabawy przeto nieustawały, balów tylko niebyło.

Tymczasem wojewodzianki, korzystając z przydłuższéj niebytności ojca, ułożyły sobie na jego imieniny zrobić mu niespodziankę, a że lubił teatr i nieraz zebrana przyjacielska młodzież komedye mu grywała, postanowiono więc i teraz przedstawić jakąś sztukę, i na ten koniec operetkę (jak dziś zowią wodewil) Kniaźnina *Troiste Wesele* wybrano. Rozpisano role, wojewodzianki, moja matka i ciotka były aktorki. Aktorów niemiały tak udatnych. Wojewodzic Wojciech, Rejentowicze Kor. Wilczyńscy Krzysztof i Jan, guwener Jana p. Raduski, oraz Baur podjęli się rol męzkich. Ażeby jeszcze skryciéj działać i niespodzianiéj uweselić ukochanego ojca, wojewodzianki na wszystkie wydatki tego przygotowania ze swoich pensyj pieniądze wyliczały. Ładnaż bo to operetka i ładne w niéj stroje Krakowskie, a p. wojewodzie tak ulubione. Wszystko się dobrze wiodło, p. wojewoda kilka tygodni w Żytomirzu bawił, a tymczasem zbliżał się ś. Michał, imieniny p. wojewody.

Popowracali do domów obywatele, a sąsiedzi zbierali się z żonami i córkami na 29 września z attencyą do Tuczyna. Wojewoda kazał robić przygotowania do uroczystości, ale o przygotowaniach do teatru nic niewiedział. Na parę dni przed 29m, gdy p. wojewoda zwyczajem swoim po obiedzie godzinę spoczywał, aktorowie zebrali się na teatr na próbę, ażeby nim



ojciec odpocznie sobie, powtórzyć na miejscach i z muzyką swoje role. Ale nie tak to łatwo idą próby; potrzeba poprawiać, regulować i że tak powiem musztrować, ażeby do ładu jakiegoś przyprowadzić. Aktorkom szło jak z płatka, bo już dawniéj grywając, znały porządek wchodzenia i wychodzenia, obracania się w potrzebie do widzów lub do współaktorów, użycia głosu i gestów. Ale z aktorami była rzecz inna: gdzie na parter było potrzeba obrócić się do współaktora, oni patrzali i zapominali rol swoich, to znowu odwracali się od widzów; to po scenie przechadzali się niepotrzebnie lub za kulisy patrzali i rozmawiali. A śpiewyż to! Boże uchowaj! Żaden z kawalerów mających udział w wodewilu niemiał wyobrażenia muzyki, i niedziw, bo jeszcze w owym czasie jakaż edukacya? szkoły, a za szkołami koń i pałasz. Zaledwie wychowani w stolicy lub od wykwintnie wychowanych matek biorący edukacyę talentów jakich nabywali. Zapewnie, że zamiar króla w upowszechnieniu i wspieraniu talentów, był nader chwalebny i mający na celu wykrycie genijuszów; ale nieszczęściem nauka ujęta była w leszczoty wyrachowanych godzin i tak zwanych klasycznych prawideł, które z trudnością talentowi rozwijać się dawały, często nawet zniechęcały, i lubiące swobodę poloty genijuszu zupełnie niszczyły. Ludzie, niewątpliwie rodzą się z talentami, ale talent i wypracować można, ta tylko będzie różnica, że piérwszy nad siebie wznieść się może i genijusz objawić, drugi prawidłami usznurowany, da się najwierniéj ująć w przepisane formy i nic z nich, ani wyżéj, ani niżéj niewystąpi. Ale wróćmy do naszego opowiadania. Budziewicz metr muzyki wojewodzianek, drogo opłacany uczeń Haydena, ale dzielny nauczyciel, dyrygował orkiestrą i śpiewu wyuczał aktorów. Kobiety i głosy miały i ucho dobre, a wojewodzianki i muzykę znały. Ale aktorowie! Ciężko pracował i gorzko cierpiał, nim się udało słuch im otworzyć, a cóż dopiéro głos wyprowadzić! Z wielką wprawdzie mozołą, dokonał cudu, że wojewodzic i rejentowicze pojęli śpiew, i szło nieźle. Na téj jednak próbie, powtórzenia jeszcze były częstsze, bo do przedstawienia mało już dni zostawało, a w sam dzień, o próbie i myśleć niemożna było, to też aktorowie ani się spostrzegli jak czas uchodził.

Tymczasem p. wojewoda odpocząwszy, wyszedł na dziedziniec i posłał po mojego ojca dla pomówienia ostatecznie o programie uroczystości, ale ojciec zajęty był łowką ryb na Horyniu. Szedł więc sam wojewoda do ogrodu, poświstując sobie nótę nabożnéj pieśni: *U drzwi twoich stoję Panie*,—co oznaczało,

że w najlepszym był humorze. Zaledwie kilka kroków za pałac postąpił, uderza go odgłos dobranéj muzyki. Słucha, słucha i odgadnąć niemoże, zkąd go te harmonijne dźwięki dochodzą. P. wojewoda wielce lubił muzykę, i jak powiadał o sobie, to w młodości na amorce melancholiki wygrywał. Nieżałował też na metrów dla córek, i korzystały z amatorstwa ojca i ślicznie na fortepijanie grały. Kiedy tak p. wojewoda przysłuchywał się i rozpoznawał zkąd go ten odgłos dochodzi, z téj właśnie strony zbliża się chłopiec ogrodowy: „Gdzie to grają chłopcze?“— „A w komedyalni, jasny panie.“— „Któż tam gra?“— „A zwyczajnie wojskowa kapela.“— „Na cóż oni grają i komu?“— „Cha, cha, cha! alboż to jasny pan niewie?“— „Niewiem, niewiem, mój kochany!“—„To ja jasnemu panu powiem: tam panna Teresa, p. Karolina, p. marszałkowa i panna Sobińska, i panicze, takie tam komedye wyprawiają, aż strach! a p. Budziewicz, to gra, to śpiewa, to na paniczów swarzy, a oni się śmieją, i ja się śmiał, bo ja tam dopiéro przez szparę zaglądał“,— i śmiał się chłopiec i poszedł daléj. Roześmiał się i p. wojewoda, a ciekawością zdjęty podszedł ku teatrowi i pode drzwiami bocznemi dosłyszał część śpiewu i rozmowy i dowiedział się, że ta reprezentacya dla niego na wiązanie. Łzy się starcowi po licu puściły: „dobre, kochane dzieci“— rzekł zcicha i jeszcze ciszéj wrócił do pałacu niedając poznać nikomu, że sekret dzieci odkryty. Ojcu tylko mojemu zwierzył się i polecił, ażeby żadnych kosztów nieszczędzić na wystawienie pięknie sztuki, którą dzieci jego ukochane dla niego grają. Mój ojciec nawzajem oświadczył, że jeszcze w Żytomierzu był o tém uwiadomiony, i że kwity p. Teresy kupcom i rzemieślnikom potrzebnym wydane, w jego ręku już były. Na imieniny ojca i p. Józef pośpieszył z Warszawy.

Pałac Tuczyński jeszcze i do połowy niebył skończony, dwa tylko pawilony o piętrze i jedno skrzydło, w którém niewielkie dwa pokoje i ogromna oranżerya, były mieszkalne. Dla niedostatku sposobnéj do balów sali, w oranżeryi ułożono posadzkę, ubrano ściany w dębowe girlandy i rzęsiste świeczniki, po kątach zastawiono cytrynami, oleandrami i mirtami, umieszczono porządnie sofy i krzesła, a tam i obiad i tańce odbywać się miały.

Dawniéj w wigiliję uroczystości, już się goście zjeżdżali, nie tak jak dziś, że w sam dzień imienin około wieczora dopiéro się zbierają. Dawniéj solenizant, uroczystą był osobą, goście z uszanowaniem w paradnym stroju, przed południem winszować mu przychodzili, damy nawet o południu poubierane na

pokoje się zbierały. Około drugiéj siadano do stołu, obiad ciągnął się parę i więcéj godzin, poczém wracano do bawialnych pokojów, a po czarnéj kawie, damy wymykały się dla zmiany stroju na lżejszy ale może jeszcze wykwintniejszy, poważne matrony stroju niezmieniały. Po wyjściu, damy zostawiały pole szanownym ojcom familii dla uprzejmych wynurzeń, szczerych oświadczeń, od serca życzeń przy gęsto krążących kielichach wiekowego węgrzyna, zapieczętowanych toastem cechy narodowego braterstwa: *kochajmy się!* Tak było i u p. wojewody, a może i weseléj, bo rozumna i szczera otwartość, Staropolska gościnność i słodycz charakteru gospodarza, wszystkich zobowiązywały i tchnęły we wszystkich ducha jednomyślnéj wesołości.

29-ty września podobnym szedł trybem. O jedenastéj p. Adamowa Walewska bratowa p. wojewody i panna Teresa przyjmowały gości. Zabrzęczały karabele naszych szanownych kontuszowych obywateli przy posuwistych ukłonach powinszowania, starsi i młódsi fraczkowi, modnemi Francuzkiemi ukłonami szastali. Damy w lewitkach, greczynkach, kabatach z kosztownych materyj, w kornetach, tokach, piórach, axamitach i klejnotach na głowach, poważném, strojném ubraniem jeszcze więcéj wrażały uszanowania dla swych wspaniałych postaci. Dziewice, w furach, tunikach w zgrabnych karakach i bogatych szpencerach, z powplatanemi w warkocze perłami, koralami, kwiatami, same, jak śliczne bukiety wyglądały. Dzień był pięknie pogodny i ciepły, okna pokojów były pootwierane. Damy zasiadły węzgłowia i krzesła, panny zebrały się w przyległym gabinecie, mężczyzn wszędzie pełno było. Starsi, poważniejsi, gromadnie gwarzyli o gospodarstwie, o interesach, o nowości wyborów tak dogodnych przywilejom szlachty, obierającéj z pośród siebie na urzędników mężów godnych czci powszechnéj i zaufania; czasem, z ciężkiém westchnieniem dała się słyszeć wzmianka, o świeżo i tak smutnie ubiegłéj przeszłości!... Młodzież, naturalnie za pannami ciągnęła, bo dawniéj młodzi starali się zabawiać damy, i dla fajek, a co gorsza dla kart, kompanii nieporzucali.

Kiedy tak wszystkich zebranych uprzejmi gospodarze z całą Staropolską gościnnością starali się zabawiać, dał się słyszeć od dziedzińca odgłos pełnéj wojennéj muzyki i wszedł mój ojciec oznajmując, że p. brygadyer Baur z całym sztabem, prosi solenizanta, aby raczył wyjść dla przyjęcia od wojskowych powinszowania. Cała kompanija ruszyła na ganek i otoczyła p. wojewodę. P. Baur w pełnym mundurze na czele swojego

sztabu oficerów, muzyki półkowéj i piérwszego szwadronu dragonów, podjechał pod ganek salutując szablą solenizanta, muzyka zabrzmiała marsz ceremonijalny, p. brygadyer zakomenderował na prawo, a oficerowie i cały szwadron dobytemi pałaszami i hucznêm: hura! solenizanta odsalutowali. Wróciwszy przed ganek brygadyer w kilku słowach wynurzył swoje życzenia, a odpinając od boku jedną szablę (miał ich dwie)— „Niemogę,rzekł, jw.panie godniejszego nad to zrobić wiązania“,—i lekko zeskoczywszy z konia, ucałował rękę p. wojewody i oddał mu broń ofiarowaną. Spójrzał na dar p. wojewoda, łzy mu się puściły po twarzy, poznał i ucałował pałasz kolegi w konfederacyi Barskiéj, i uściskiem ojcowskim Baurowi podziękował. Był to pałasz Kazimierza Puławskiego, drogo przez Baura opłacony i bogato oprawny.

Wspaniały obiad długo się przeciągnął, muzyka wojskowa ciągle brzmiała, toasty ogłaszał dźwięk trąb i huk moździerzowych wystrzałów. Po obiedzie, aktorowie cichaczem się wymknęli, damy udały się do swoich pokojów dla zmiany stroju. Jeszcze się niezmierzchło kiedy gości zaproszono na teatr. Wybornie udała się operetka, na małe uchybienia niezwracano uwagi. Wojewodzianka starsza i ciotka moja, na swój śpiew piękny otrzymały *fora* i huczne oklaski. Zadowolenie widzów i głosem i klaskaniem jawnie się okazało. P. wojewoda nieposiadał się z radości, którą pomnożyło jeszcze przy zaczęciu sztuki przybycie kuzynów wojewody, jeneralstwa Karwickich, którzy umyślnie, pocztą z Warszawy na ten dzień pośpieszyli. Wesoło wracało towarzystwo z teatru, ogrodem gustownie oświeconym, co było także niespodzianką przez Baura solenizantowi sprawioną. Nim się tańce rozpoczęły, powitano aktorów hucznym toastem. P. wojewoda najczulej im dziękował, a ukochaną Tercię, ojcowskiém uściśnieniem pozdrowił, bo też w istocie jéjto dla ojca przywiązanie, piérwszą myśl téj niespodzianki natchnęło, a drugich życzliwość do wykonania jéj pomogła. Tańce trwały do rana, a wieczerza pod gołém niebem, mało co tańcom przeszkodziła. Budziewicza, dziękując mu p. wojewoda, piękną złotą tabakierą udarował i nikogo z aktorów piękny upominek nieminął. P. wojewoda każdą zrobioną mu przyjemność umiał ocenić i wywdzięczyć się za nię niezaniechał.

Nazajutrz wszyscy goście pozostali, bo to był dzień imienin wojewodzica Hieronima, młodego Maciejowickiego bohatera, który na pamiątkę skoków swoich przed Ferzenem, w stroju Kozackim, ale nowym, bogatym i do talii zrobionym, z siostrą swoją Karoliną popisywał się kozaka i przeszedł samego siebie.

Ale i tancerkę też miał niepospolitą! Wojewodzianka do kroków wyuczonych przyłączyła rzadki wdzięk postawy i gestow zachwycających. Przejęci podziwieniem pięknego tańca i rozrzewnieniem, w jak smutnym razie taniec ten stanął wojewodzicowi w przygodzie, ojcowie obywatele, jedni przed drugimi ubiegali się z najserdeczniejszém uściśnieniem dla Hieronima i zdrowie jego spijali — wojewodzianki zdrowie z białego atłasowego jéj trzewiczka spełniano. Myliłby się jednak, ktoby myślał, że wino nalewano w trzewik; sztuka na tém zależała, ażeby kielich nalany postawiwszy w trzewiku, nietrzymając ręką kielicha, wypić co do kropli niezmoczywszy winem trzewika. Zdarzały się czasem takowe myłki, ale i w owych czasach je wyśmiewano, bo rubaszność narodową miarkowało już staranne wychowanie.

Po trzydniowym balu niewiele się osób rozjechało, bo rozpoczęło się polowanie, przenosząc się porządkiem puszcz należących do różnych obywateli sąsiadów, a które głęboko w Polesie zachodziły. Ja z ciotką starszą i młodszą siostrą słabemi na febrę, odjechaliśmy do Korca. W Tuczynie, jesień na polowaniach, zima na uroczystościach i balach szybko i wesoło upłynęły. Na wigiliję świąt obchodzono imieniny p. Adama brata p. wojewody; komedyjka Troiste Wesele powtórzoną została, niektórych z aktorów zmieniono z wielką pociechą Budziewicza, i ta zmiana wielce była korzystną. Na tym balu pokazała się po raz piérwszy, sławna nasza młodziuchna piękność Wołyńska xiężniczka Dorota Sanguszkówna córka w-dy Wołyńskiego. Co tylko natura najszczodrzéj wylać mogła na płeć piękną, czém najstaranniejsze wychowanie hojnéj naturze dopomódz mogło, to wszystko posiadała xiężniczka W latach ledwie szesnastu, była to wzorowa piękność, najświetniejszemi umysłu i serca przymiotami ubogacona. Równéj Dorocie Wołyń nieposiadał.

ROZDZIAŁ VI.

TUCZYN 2.

Zgon imperatorowéj Katarzyny II wielkie sprawił odmiany. Wstąpienie na tron Rossyjski Pawła I rokowało wiele dobrego i dla Rossyi i dla krajów do niéj przyłączonych. Dzielny umysł, wzniosłe uczucia, prawdziwa mądrość, cechowały tego monarchę. Ale, niestety! życie jego było zakrótkie!! Uwłoczą wiele przymiotom wielkiéj duszy Pawła i swoi i obcy historycy, najniesprawiedliwiéj! Jedyne, może, coby mu zarzucić można, było to, że długo stłumiona swoboda uczuć jego i woli, omierziła mu ród ludzki i zrobiła go excentrycznym, że potém wydobywszy się raptem na jaw, okazała się w działaniu niezawsze odpowiedną oczekiwaniu interesowanych; że nakoniec zegar życia jego szedł zaprędko! W téj atoli okoliczności, winniejsi otaczający go, którzy popędzając ruch zegara podług swéj potrzeby, a niemogąc go podług swéj woli regulować, zerwali w nim nakoniec, gróżną im sprężynę życia. Magnaci niemogli znieść rządu w rękach męża twardéj woli i dzielnego umysłu, chcącego w państwach swoich ład zaprowadzić.... Obejście się cesarza Pawła z Kościuszką, przywrócenie wolności tylu naszym współziomkom, wziętym w nieszczęśliwych ostatnich czasach, niedowodząż wielkomyślności tego monarchy? Czynne było i mądre, choć krótkie panowanie Pawła; Polacy w nim, nie pana, nie monarchę, ale ojca znaleźli, i kto z nas jeszcze w owe czasy pamięcią zasięga, z żalem i ze czcią panowanie jego wspomina.

Ale jakiż to był wiek! jakie to były czasy! Na gruzach i na stosach trupów, smutnych niestety rewolucyi śladach, Francya, obmywała się krwią przelaną w bitwach pod dowództwem Bonapartego obmywała się ze krwi milijonowych ofiar okrucień-

stwa Robespiera i Marata. Nieoschły jeszcze strumienie krwi pomazańca Bozkiego, Ludwika XVI. Szczątkom nieszczęśliwéj Burbonów rodziny, dał bratni przytułek Paweł I; xiążę Kondeusz zamieszkał Dubno. Ale niewiele wzbudzali współczucia wysocy emigranci. Duch rewolucyjny unosił się nad Europą i u nas Francya więcéj miała stronników, niż jéj xiążęta tułacze. Wiele ze znakomitych rodzin Francuzkich zamieszkało w Rossyi z tych czasów, wielu nawet znaleźli miejsce na kartach dziejów Rossyjskich. Ale też razem napłynęło mnóztwo różnéj hołoty, pod tytułami Diuków, Kontów, Markizów, Baronów na ziemię naszę, takie mnóztwo, że niebyło prawie domu, w którymbyś nieznalazł Francuza, to kapelana, to guwernera, to metra jakiego, to przyjaciela, doradzcę, niemówiąc już o sługach wszelkiego rodzaju. A wszystko to uczyło nas mowy Francuzkiéj, obyczajów i manier, a zasiewało w młodych sercach, niezarażonych jeszcze panowaniem Stanisława-Augusta, brudne zepsucie. Téj to powodzi winniśmy rozprzężenie naszéj moralności i przeobrażenie się w Francuzów, ale Francuzów zbiegów, z potrzebującéj rąk ich ojczyzny. Ale porzućmy ten ustęp; historya i dokładniéj i jaśniéj powie o tém potomności.

Roku **1797** z **1** na 2 stycznia w nocy, pożar okropny zniszczył piękną budowę fabryki porcelanowéj w Korcu. Wielkie zapasy materyałów, cały piec wypalającéj się pięknéj porcelany i drugi fajansu; magazyn napełniony obstalunkami i zapasowém naczyniem, warstaty, formy, narzędzia, ze wszystkiemi pięknemi wzorcami, z przygotowującemi się drogiemi serwisami, wszystko spłonęło. Trudno sobie wyobrazić przestrach i rozpacz fabrykantów i ich przełożonych! Myśmy ocaleli, bo choć nasz dworek blizko sąsiadował z gorejącym magazynem, ale stał za wiatrem i to go ocaliło, u nas więc i dyrektorstwo z dziećmi i z całém swém mieniem przytułek znaleźli. Ten okropny wypadek, najwięcéj wpłynął na upadek fabryki, zdecydował wyjazd Mezera do Baranówki i przeniesienie się mego wuja do Tuczyna. P. wojewoda dał mu porządny dworek w samém miasteczku, z dostatnią ordynaryą z opałem i usługą i niepomnę jaką pensyą, a mój wuj uczył p. Teresę malować minijatury. I dobrze nam było w Tuczynie, ja znowu byłem z siostrami, ale starsza, więcéj jeszcze niż w Ludwipolu pilnowała żebym tego, com się przy Skoczkowskim nauczył niezapominał. Powtarzając ze mną Łacinę, tak pojęła gramatykę, że jéj to i we Fran-

cuzkim języku, którego teraz uczyła się od p. wojewodzianki starszéj, wielce korzystném było i nadal wielce się przydało.

Śmierć x. biskupa Szembeka i spadła po nim sukcesya, powołały p. wojewodę do Krakowa i Warszawy. Wyjeżdżając z córkami, przy matce mojéj zostawił tylko siostrzenicę swojego zięcia, xięcia Jabłonowskiego, Cecyliję Potocką starościankę Tłumacką. Matka jéj nieszczęśliwa cierpiała pomięszanie, Cesię więc xiężna wzięła do siebie i z córką swoją wychowywała. Przed rokiem xięztwo wyjechali za granicę i xiężna zostawiając ją w Tuczynie, dozorowi i staraniom mojéj matki powierzyła. Cesia była delikatna, słabowita, ale dziwnie słodkiego charakteru, wszyscy ją lubili, a matka moja, jak do własnego dziecka do niéj się przywiązała i my jak siostrę kochaliśmy. — P. wojewoda do zarządu dworem, ojcu memu i zarząd całego majątku przyłączył, z powiększeniem wynagrodzenia i zapewnieniem nadal funduszu do życia. Zbieg okoliczności zatrzymał p. wojewodę w téj podróży kilka miesięcy. Resztę zimy przepędził w Warszawie, gdzie szczególniéj miał na celu ożenienie starszego syna Józefa z p. Teresą Kicką koniuszanką Kor., damą, urodzeniem, wdziękami, wysoką edukacyą i posagiem, znakomitą. P. wojewoda brał się dobrze do interesu, panna nie od tego była, ale kawalerowi co innego w głowie się roiło. Nic jednak po sobie niepokazywał, owszem oświadczył się pannie w obec ojca i życzliwą jéj odpowiedź pozyskał. Ojciec spokojny o los przyszły syna, oprócz majętności w Krakowskiém, zostawiwszy mu jeszcze 40,000 zł., znaczną w owych czasach summę, na ekwipowanie się do wesela, pełen najsłodszych marzeń o szczęściu przyszłém ukochanego syna, do domu odjechał.

Gdy się to działo w Warszawie, tymczasem ojciec mój rządził pomyślnie. Pszenicę p. Jabczarski zakupił, młyny 120,000 zł. rocznie robiły przychodu, potaż się wyprzedał i interesa p. wojewody kwitnęły: to też z wylaniem najprzyjaźniejszych uczuć dziękował pan przywiązanemu i wiernemu słudze. I do pięknéj ciotki mojéj młódszéj nadarzył się pretendent, wdowiec, niepiérwszéj młodości, ale czerstwy i miły, p. chorąży pttu Zwiahelskiego Skirmunt, znajomy nam zdawna i w ścisłéj z ojcem moim i wujem przyjaźni będący. Trzymał piękną posesyę od x. Jabłonowskiéj wojewodziny Bracławskiéj w Berezdowszczyźnie i od niéj wysoce był poważany, a gdy się dowiedziała o zamiarze p Skirmunta wstąpienia powtórnie w mał-

żeńskie śluby, przysłała narzeczonéj piękne szmaragdowe kolczyki. Z weselem mojéj ciotki wstrzymano się do powrótu p. wojewody, a że ten w poście nastąpił, wesele na dwa tygodnie po świątkach odłożono. Wojewodzianki były drużkami, drużbami wojewodzice, z gości był tylko marszałek Borejko, szambelan Mossakowski z córkami, szambelan Oraczewski sąsiad i przyjaciel Skirmunta z rodziną, familija naszego dobrego pana i nasza. Po weselu wkrótce wyjechali pp. młodzi do domu, a p. wojewoda tymczasem, kazał dla nich budować dom, w blizkiéj swéj wiosce, którą im na lat dwanaście wydzierżawił. Odtąd los p. Skirmuntowéj stał się nieodłącznym od ko lei, jakim zacna rodzina p. wojewody podlegała.

Po ostatnim rozbiorze Polski, akademija Krakowska rozwiązana była, członkowie jéj rozproszeni po świecie, jedni tułali się po za granicą, inni po domach obywatelskich szukali przytułku. X. kanonika Trzcińskiego p. wojewoda do domu swego zaprosił. PP. Adomowstwo Walescy, w dom swój przyjęli professora Franciszka Szopowicza w zamiarze powierzenia mu edukacyi syna swego Tadeusza, ale że pan brygadyer potrzebował wyjechać do wód, a małego jedynaka zostawić niemiał dość serca, p. Szopowicza więc w Tuczynie zostawił. P. Szopowicz celował szczególniéj w wydziale nauk przyrodzonych i matematycznych, ale i wszystkie inne nieobce mu były. Kilka języków gruntownie posiadał, grał pięknie na arfie i czasem sam na sam śpiewywał sobie przy arfie psalmy, lub ojczyste śpiewki. Pobyt p. Szopowicza w Tuczynie, ważną w mém życiu stanowi epokę, bo ten znakomity mąż, a moich rodziców prawdziwy przyjaciel, zajął się uczeniem mnie podług zasad wskazanych przez komissyę edukacyjną dla szkół narodowych podwydziałowych, czyli jak dziś zowią gimnazyów. Pani Szopowiczowa z domu Hamsówna niegdyś panna służąca stołowa p. wojewodziny Potockiéj, jeszcze od Warkowicz znajoma z matką moją, do ścisłéj z nią przyszła przyjaźni. Była to osoba wyższego ukształcenia z niepospolitym talentem muzyki a szczególniéj śpiewu. Pobyt tych państwa wpłynął niezmiernie na ożywienie Tuczyńskiego towarzystwa. P. wojewoda wielce ich poważał, a wojewodzianki całém sercem przystały do p. Szopowiczowéj. Dla mnie, te kilkanaście miesięcy mieszkania ich w Tuczynie, były czasem najszczęśliwszym mojéj młodości. Dziwnie miły i łatwy sposób wykładania przedmiotów naukowych, jaki posiadał Szopowicz, zachęcał mię i ułatwiał nauczenie się tego wszystkiego, co było potrzebném do klassy czwar-

téj szkolnéj, ażeby w niéj czasu naprożno nietracić. Początki dane mi od Skoczkowskiego, niemałą były mi pomocą, szło mi więc dobrze, nauczyciel mię lubił, a w nagrodę pilności i postępu, dawał mi początki botaniki, do któréj z dzieciństwa miałem ochotę. Nieraz, bywało, zadowolony mojém uczeniem się, to na moję prożbę i na arfie mi grywał. Ojciec mój widząc moje przykładanie się do nauk i korzyść z nich odniesioną, wylewał się z całém swém przywiązaniem dla mnie, matka się radowała, a nasz czcigodny pan, łask swoich dla mnie nieszczędził. A wszystko to winienem był Szopowiczowi! Cześć i dzięki popiołom twoim dostojny mężu, któryś tak szczęśliwie rzucił światło na mój umysł! jeżeli dziś co umiem, to wszystko twojém jest dziełem! Siedmdziesięcioletni starzec, młodnieję wspomnieniem i dziś twojéj dla mnie życzliwości!

W Tuczynie wesoło było i lato całe nieprzerwane żadném niepomyślném wydarzeniem upłynęło wesoło. Zbliżał się ze wrześniem św. Michał, ale na ten raz p. wojewoda, 30 września chciał mieć uroczystszym, gdyż zamierzył sobie wyprawić imieniny x. wojewodzie Wołyńskiemu, i mnóztwo gości zaprosił. Xiążę Hieronim Sanguszko z piérwszego małżeństwa z xiężniczką Jabłonowską, miał syna Eustachego i córkę za jenerałem Mokronowskim. W powtórném małżeństwie z panią Kuczkowską z domu Pruszyńską miał dwie córki Dorotę i Teklę i syna Józefa. Xiężniczka Dorota, do wdzięków cudnéj urody, łączyła jeszcze piękniejszą duszę. Dosia była pieszczotą, skarbem, szczęściem rodziców, uwielbieniem wszystkich, a najstaranniejsze wychowanie dopełniało tę szesnastoletnią doskonałość. Xięztwo byli w wysokiém u wszystkich poważaniu, ale Dosia była przedmiotem kochania, admiracyi i prawie ubóztwienia dla Wołynianów, ona była matką sług i poddanych. Zbiegano się w dom xięztwa, ażeby choć widzieć tę nieziemską istotę: szczęśliwy kto ją poznał; szczęśliwy stokroć kto jéj życzliwe uczucia pozyskał; ale jakieżby szczęście było tego, któryby był jéj serce i rękę otrzymał! Lecz w xiędze wyroków czarno zapisaną była jéj przyszłość — aniołowie tylko radowali się: bo do ich chorów wielbiących pana nad pany, jeden głos czysty, miał przybyć jeszcze! Xiężniczka i z rodu i z fortuny piérwszą partyą na Wołyniu była.

28 września wieczorem przyjechał xiążę wojewoda, xiężnéj nazajutrz dopiéro oczekiwano. Dzień ten zszedł uroczyście i dość nawet wesoło, xiężnéj jednak niebyło. P. wojewoda

niespokojny kazał wysłać na całą noc umyślnego do Sławuty. 30-go xiążę solenizant odbierał powinszowania od licznie zgromadzonego obywatelstwa i był bardzo wesoły, ale gospodarz i jego rodzina pocierpali w duszy oczekując powrótu posłańca, bo już xiężnéj przestali się spodziewać i cóś okropnego przeczuwali. Wieczorem cały ogród i łąki Horynia wspaniałą illuminacyą zajaśniały. Pyszny fajerwerk na górze ogrodowéj przedstawiał świątynie, cyfry, piramidy w brylantowych światłach, a ogniowe fontanny walczyły o pierwszeństwo z wytryskiem pięknéj massy wody, dolną część ogrodu zdobiącym. Fajerwerk spóżniono do zmroku, i tańce po nim dopiéro rozpocząć się miały. Kiedy tak w pośród ochoczych i życzliwych wiwatów zdrowie solenizanta przy cyfrze jego w najlepsze spijają, posłaniec ze Sławuty powrócił. Kajetan Marcinkowski postrzegł go rozmawiającego z moim ojcem i z oczów jego okropną nowinę wyczytał. Ojciec wręczył pokryjomo p. wojewodzie list p. Pruszyńskiego brata xiężnéj, donoszący pokrótce: że Dosia i Józio dostali ospy, która najgorzéj się wysypuje, że Kitel, Wykisały i Lernet robią co mogą, ale żadnéj nadziei uratowania niemają, że xiężna na miłość Bozką xięcia zaklina ażeby wracał. Mój ojciec wysłał natychmiast do Annopola, ażeby tam Schary, miał w pogotowiu kilkanaście koni na przeprząż. P. wojewoda i dla siebie powóz przygotować kazał. Marcinkowski wziął na siebie list xięciu przeczytać i tyle tylko przeczytał, że dzieci dostały ospy. Ruszyli wszyscy z ogrodu, p. wojewoda przeprosił gości, że ich opuścić musi, i nikt mu tego za złe niepoczytał, a z balu tak świetnego smutne się zrobiło zamięszanie. O jedenastéj, xiążę i p. wojewoda już byli w drodze. Trzeciego dnia wieczorem przyjechał posłaniec ze Sławuty z listem do wojewodzianek, donoszący, że Dosia i Józio jakby tylko czekali przybycia ojca, nazajutrz jedno po drugiém we trzy godziny życie skończyli, że rozpacz rodziców nie do wypowiedzenia, że nikt niejest w stanie nieść im jaką pociechę, bo żal ciężki wszystkich uciecha, bo tylko z rodzicami cierpieć i płakać mogą. Boleśny ten cios xięztwa cały Wołyń podzielał, smutek powszechny zamknął domy obywatelskie, i zdawało się, że żałoba wywołana nieszczęściem xięztwa cały Wołyń okryła. We trzy dni potém p. wojewoda przywiózł stroskanych rodziców do Tuczyna, z córką ich najmłódszą Teklą, dziś jeszcze żyjącą hrabiną Włodzimierzową Potocką, która wdzięków siostry nieposiadała i tylko duszą była jéj podobną. Ale to było jeszcze małoletnie dziecię, niemające sposobów pocieszenia nieutulonych w żalu rodziców. Wkrótce rozpoczęły

się zwyczajne polowania; szukał w nich roztargnienia biedny xiążę, ale żadne zabawy, jak zwykle bywało w téj porze, nieożywiały jesiennych wieczorów. Smutnie, leniwo płynęła jesień, nieweselej i zima przechodziła. Xięztwo na zimę przenieśli się do dóbr swoich na Ukrainie.

Spokojnie było w kraju za panowania Pawła, a jeżeli były jakie wojny, te się daleko od granic państw jego toczyły. Podług mądrych ustaw jego, wyborowi urzędnicy zasiadali we wszelkich sądownictwach, i wykonanie praw żadnéj trudności, ani zwłoce niepodpadało. Gorliwy jednak o dobro tak własnych jako i nowo przybranych dzieci, monarcha zsyłał wiernych sobie, światłych i zasłużonych mężów, dla rozpoznania, czy wola jego i prawa ściśle były spełniane. A były to czasy dziwnie niespokojne. Konsul Bonaparte stawał się już groźnym Europie. Legije Polskie formowały się we Włoszech. Dąbrowski, Liberadzki i inni zbierali pod swoje chorągwie młodzież wymykającą się z naszych prowincyj za granicę. Krążyły wieści o naszych wojakach, a ojcowie i matki ciesząc się walecznością swych synów, ocierali łzy wyciśnięte ich odjazdem, ale się taili. Z wiadomościami ukrywano się, bo cesarz niesprzyjał Bonapartemu, bo i zaciąganie się pod jego znaki brałby był za złe. W tym to czasie jenerał adjutant graf Gudowicz wysłany był na Wołyń w pomienionym celu, a może i dla wybadania, czy też duch Francuzki nierozszerza się w tych prowincyach. P. wojewoda znał grafa, i gdy ten odwiedził x. Lubomirskich w Równym, p. wojewoda zrobił mu wizytę i do Tuczyna zaprosił. W kilka dni potém, wieczorem całe towarzystwo domowe Tuczyńskie, zebrane było w pokoju p. wojewody. Matka moja czytała w głos nowo wyszłe tłómaczenie, *Matki Rywalki* p. de Genlis. Kiedy wszyscy z zajęciem słuchają dają się słyszeć na dziedzińcu dzwonki pocztowe i bije łuna od lecących kagańców. P. wojewoda gościa się domyślał, kazał sobie podać szablę, przypasał ją do codziennéj szaraczkowéj czamarki i zielonego kaszemirowego pasa i tak na spotkanie wysokiego urzędnika, ku drzwiom przedpokoju postąpił. Wojewodzice i ich rezydenci, byli we Francuzkich tużurkach, w kamizelkach z klapami, włosy po-prostu zczesane; ubiór wcale przeciwny, przepisanemu od samego cesarza. Wprowadził p. Wojewoda grafa, wszyscy powstali; gospodarz prezentował córki, synów i całe towarzystwo obecne. Zmarszczył się Gudowicz na widok Francuzkiego ubrania młodych, i często na nich z ukosa poglądał. Tymczasem i p. wojewoda i wojewodzianki tak umieli zająć gościa, iż się powoli

udobruchał, a gdy p. Teressa śpiewała mu Włoskie, Francuzkie i Polskie śpiewy, do zupełnie dobrego przyszedł humoru i z młodzieżą o ich modnym stroju grzecznie i dowcipnie żartował. Po wieczerzy ojciec mój odprowadził gościa do górnych apartamentów, p. wojewoda przy drzwiach przedpokoju pożegnał i uprosił, ażeby dzień jutrzejszy w Tuczynie odpoczął. Nazajutrz p. wojewoda w mundurze swym wojewódzkim, w orderach, przy szabli, synowie z zaczesanemi wercetami i harcapami, upudrowani w mundurach najściślejszéj formy, poszli odwiedzić grafa. Gudowicz jeszcze niebył ubrany, zmięszał się więc gdy wszedł gospodarz w pełnéj etykiecie, przepraszał p. wojewodę, ale widać było z oczu, jak był zadowolony tą attencyą, żądał jednak żeby młodzi zdjęli ceremonijalne suknie i tylko sobie w zwyczajnych byli ubraniach. Wzbraniał się p. wojewoda temu uchybieniu etykiety, graf nastawał, i ceremonijalna ta sprzeczka przetrwawszy z kwadrans, zakończyła się dogodzeniem żądaniu Gudowicza. Po obiedzie graf poszedł do siebie na godzinę odpoczynku, obiecując że wróci na partyę wista, a potém z pannami w żmurki i gotowalnię grać będzie. Tymczasem zjechali się pokryjomo zaproszeni goście z sąsiedztwa i muzyka podstolica Pruszyńskiego z Pustomyt. Zdumiał się Gudowicz zobaczywszy tyle dam, a jeszcze więcéj, kiedy p. Teresa podawszy mu rękę wprowadziła go na oświeconą salę.

Zagrzmiała muzyka narodowym tańcem, poszły pary, na czele wojewodzianka Teresa z Gudowiczem. „Pani! — rzeknie graf głosem rozrzewnionym— ojciec pani dziwy ze mną wyrabia!“ —„Ojciec mój chce dowieść jak jest rad tak dostojnemu gościowi.“ —„Ale jakiż ma do tego powod? jaki interes?“ — „Czyż chęć zasłużenia sobie przyjaźnych uczuć, potrzebuje mieć bodźcem interes? Czyż nas, obecne położenie niezbliża? Czyż senator Polski, niejest godzien przyjaźni wysokiego Ruskiego dygnitarza?“ — „Prawda! wszystko prawda, pani mówisz, jak myślisz, a myślisz tak, jak jéj szanowny papa. Ale dobroć wasza niepadła na niewdzięczne serce, ja chcę być godnym waszéj przyjaźni, i wysoki dygnitarz Ruski dowiedzie jéj i dotrzyma senatorowi Polskiemu. Mówmy więc otwarcie, po-przyjacielsku. Wieści chodzą o téj prowincyi, jakoby wysłani z Francyi rewolucyoniści krążyli po Wołyniu i rozsiewali swoje szkodliwe, niby to filozoficzne zasady, że nawet takowi w Tuczynie się znajdują; że młodzież wymyka się ciągle za granicę do legij Polskich, że komunikacya między obywatelmi tutejszymi,

a legijonistami trwa, i ciągle wiadomości ztąd tam i nawzajem bezustannie krążą. Liczna młodzież zebrana w domu państwa daje domysły wspierające rozsiewane wieści. Niedowierzam doniesieniom, i dla tego wolałem sam być w Tuczynie i przekonać się osobiście o wszystkiém na miejscu. Cóż zastałem? ojca obywatela, otoczonego dziećmi i pokrewnymi, spokojność i uprzejmość w domu, i nawet żadnego podejrzenia powziąć niemogłem. Miejcie się jednak na ostróżności; żadnych pism, xiążek, rysunków z zagranicy nieodbierajcie i w domu nieprzechowujcie. Ja dam mój raport do monarchy o Tuczynie, i spodziewam się, że po mnie, żadna urzędowa wizyta spokojności waszéj niezakłóci, w jakimby to niebyło celu." Czule uścisnęła rękę grafa, polonez się skończył, graf dziękując za taniec, piękną rączkę wojewodzianki ucałował. Zabawa nieustawała, tańczyli ochoczo, i graf rozochocony, w skocznych nawet tańcach kompanii dotrzymywał, a bal do dnia się przeciągnął.

Nazajutrz Gudowicz odjechał, z rozrzewnieniem żegnając p. wojewodę i jego rodzinę, a upewniając o prawdziwéj swojéj przyjaźni, dał p. wojewodzie też same co i p. Teresie przestrogi, i zapewnił, że od wszelkich nieprzyjemności ze strony rządu po jego raporcie jest wolny. P. wojewoda ze swojéj strony upewnił grafa, że jak on, tak i wszyscy obywatele Wołyńscy jednym tchną duchem wierności i przywiązania dla swego monarchy. Te kilka słów p. wojewody, jako zdanie Gudowicza, powtórzone były w raporcie jego i wiele wpłynęły na spokojność Wołynianów. To też dom p. wojewody jeszcze szacowniejszym stał się dla współobywateli i swobodnym dla wszystkich przytułkiem.

Tejże zimy zajęła się wojna między Rossyą i Persyą, i brygadyer Baur, już jako jenerał dywizyi, na czele półku dragonów, których był szefem, wyprawiony został. Przeznaczenie tego człowieka, tak go powiązało z domem Tuczyńskim, że go nieraz jeszcze wspomnieć nam przyidzie.

P. wojewoda zaproszony od x. Michała Lubomirskiego na karnawał do Dubna, wyjechał z córkami i z ich ochmistrzynią, a za nimi i wojewodzice pociągnęli. Tam po raz piérwszy w obywatelskiém Wołyńskiém gronie hr. Alexander Chodkiewicz wszystkich serca sobie pozyskał.

ROZDZIAŁ VII.

TUCZYN 3.

KASZTELANIC, PAN JÓZEF.

Piękna wiosna wróciła strapionym uspokojenie, i powoli wesołość wracać zaczęła. W Tuczynie znowu zbierała się młodzież, przybyło jeszcze dwóch synówców p. wojewody i kasztelanic Bieżyński, ów Adaś, o którym wspomnieliśmy, celujący między młodymi staranném wychowaniem i piękną urodą. Wzrostu był więcéj niż miernego, kształtnéj kibici, włosów płowych, oczu niebieskich pełnych życia, rysów twarzy Antinousa, a uśmiéch miał tak pełen wdzięku, że go z uśmiechem anioła porównać można było. I serce tak piękne było jak postać, dla tego też pozyskał sobie miłość u wszystkich i p. wojewodzie przypadł do serca, a historya smutna matki jego jeszcze mu więcéj życzliwości jednała. Młody, piękny, dobry, edukowany i bogaty, nie do odrzucenia był u młodych obywatelek, i wiele matek projekta sobie na niego robiły. Ale p. Adam, od wstąpienia w progi Tuczyńskie tak przylgnął do rodziny Walewskich, że mu się zdawało, że tam się urodził i wychował. Z początku wszyscy mniemali że o p. Karolinie zamyśla, ale niemiał szczęścia jéj się podobać, bo zdaje się, że wojewodzianka, starszym Rejentowiczem Krzysztofem była zajęta. Czy i kasztelanicowi to się zdawało, nikomu się niezwierzył, ale zaloty swoje do p. Teresy obrócił i nader mile przyjęty został. Niedługo tail się ze swemi uczućmi, p. wojewoda z radością słuchał oświadczenia, z powagą jednak do decyzyi córki odwołał się. P. Teresa odpowiedziała, jak zwyczajnie dobre córki odpowiadają: „Jeśli mon cher père, znajduje ten maryaż odpowiedni życzeniom swoim, ja nic niemam p. Adamowi do zarzucenia.“ — „To jest, inaczéj mówiąc, że ci się kasztelanic podobał?“ — „A tak, mon cher père“,— spuściwszy oczy, odpowiedziała p. Teresa. I pokłonili się oboje do nóg p. wojewodzie, i stanęły układy i wesele naznaczone było na ś. Michał, na ten dzień bowiem i x. biskup naznaczył poświęcenie parafijalnego kościoła w Tuczynie, więc dogodno było pokrewnemu przy téj ceremonii i błogosławić ślubem kochaną Teresię. To się stało w końcu maja, i do 29 września dość było czasu na

przygotowania, kiedy i w pałacu już sala jedna i górne okazałe apartamenta i paradne pokoje ukończone były. Ale ważnéj okoliczności niedostawało; xiężna Jabłonowska była zagranicą, a o p. Józefie ani wieści niebyło. Pod koniec lipca p. wojewoda z córkami i moją matką wyjechali z wizytami zapraszającemi na wesele. Kasztelanic na podobną wędrówkę wybrał się z p. Węgierskim, którego za powrótem swoim do majątku wezwał do siebie i jak ojca szanował. Miesiąc prawie trwała ta wędrówka; p. wojewoda czasem odłączał się od córek, zostawiając je w znajomych domach, i wstępował do innych, a wszędzie zapraszał z rodziną. Nikt nieodmówił, bo każdy z zadowolniem do jego domu uczęszczał.

Zbierali się więc bliżsi i dalsi, a nawet i bardzo dalecy obywatele; a jakto zwyczajnie bywa jedni ze szczeréj życzliwości, ci przez ciekawość, a niektórzy dla smacznego kąska i puharu. Sławna bo też była kuchnia wojewodzińska, a piwnica na cały Wołyń słynęła, i niejeden antał niedzisiejszego tokaju na tę uroczystość dobyty został. Ojciec mój ciągle temi przygotowaniami zajęty, w parę dni po wyjeździe pańskim, siedział wieczorem na ganku swego mieszkania, dysponując ekonomom dyspartymenta potrzebne na rozchody balowe, gdy w tém przybiega sztafeta z Warszawy. Zdawało się ojcu, że z tém miastem żadnych stosunków niebyło, niecierpliwie zatém rozerwał pieczęć i te słowa z przerażeniem wyczytał: „Ratuj kochany panie Łukaszu! Nieszczęście zewsząd mię ogarnęło. Ożenienie moje z p. koniuszanką niedoszło z mojéj przyczyny, szczerze ci się przyznaję! Niegodzien byłem téj zacnéj damy, bo serce moje uwięzło w stosunkach z kobietą, dla któréj nic świętego niéma. Opuściła najlepszego męża dla amantów, z których ja dziesiątym już byłem. Dom jéj dla wszystkich nienajprzykładniejszego życia otwarty, był zbiegowiskiem gry i swawoli. W czasie bytności ojca mojego już te związki exystowały, ale potrafiłem się ukryć i na pozór do woli się ojcowskiéj zastosowałem. Bywałem nawet u mojéj narzeczonéj, udawałem zaloty, i długo mi wierzono. Dowiedziano się wreszcie o mojém postępowaniu, poznano komedyę, którą odgrywałem, i p. Teresa odesłała mi pierścionek. Dotknęło mię to głęboko, bałem się ażeby wiadomość o tém do ojca niedoszła, chciałem widzieć p. Teresę, ale mi i to odmówiono. Mój Czapliński mimo całą surowość zasad swych moralnych, potrafił jakoś wkręcić się do domu pp. koniuszowstwa, ale nic się niedowiedział, późniéj

tylko dowiedziałem się, że ojcu o tém niedonosili, snadź chcieli, ażeby cała kara zgryzoty, na mojém tylko sumieniu leżała. Wkrótce wyjechali do Drezna, ja odetchnąłem, wróciłem do mojéj Cyrce i z większym jeszcze zapałem wylałem się na romanse i gry azardowne. Przedałem Niemanowice, a ta summa i zostawione mi od ojca 40,000 zł. na weselne ekwipowanie się, stopiły się na zielonym stoliku, lub przeszły do kieszeni mojéj kochanki. Żyłem więc na kredyt, grałem na honor, i ani postrzegłem się jak w długi wlazłem. Sprzedane moje ruchomości mało mi pomocy zrobiły, i dwadzieścia tysięcy zł. mają na mnie wierzyciele. Kochanka moja widząc mię w niedostatku i zadłużonym, z jakimś oficerem Ruskim wyniosła się z Warszawy; mnie kredytorowie w areszcie trzymają. Jestem zgubiony! Zawiodłem zaufanie najlepszego ojca, zasłużyłem na wzgardę téj, któraby mię prawdziwie uszczęśliwić mogła! Niemam przyjaciela, któryby mi rękę podał, a wstyd mi moję po wsparcie wyciągnąć. Sam sobie obrzydłem i pewniebym dotąd już nieżył, gdyby mię tak ściśle niestrzeżono. O! ratuj przyjacielu! ratuj! Nadewszystko nic niemów ojcu mojemu, mojemu drogiemu ojcu! ta wiadomość życieby mu zatruła, a on tak spokojny! tak szczęśliwy! Tercia kochana idzie za mąż, a ja jéj na weselu usłużyć niemogę! Jeśli się dowiedzą o tém, co się ze mną stało, ileż goryczy w ich serca wleję! Radzić sobie nieumiem, znosić nieszczęścia niemam cierpliwości, a żyć muszę, żyć okryty wstydem, ażebym powoli umierał. Ratuj! jeżeli możesz nieszczęśliwego Józefa.“

Silne wrażenie list ten zrobił na moim ojcu, śpiesznie odprawił oficyalistów, ażeby bez przeszkody zająć się interesem niecierpiącym zwłoki. Rzewnie był przywiązanym do całéj rodziny p. wojewody, bo go jak ojca kochał, bo go jako obywatela uwielbiał, a w p. Józefie choć błądzącym wysoko cenił szlachetność serca, na któréj nieraz patrzał dowody. Ale coż tu robić? 20,000 zł. w owych czasach, summa była niepospolita. Miał wprawdzie ojciec w kasie wojewodzińskiéj złożone 10,000 zł. wzięte za dom, które w każdym czasie wolno mu było podnieść, ale to dopiéro była połowa tego co mu potrzebném było. Na szczęście p. Libory Wroczyński plenipotent p. wojewody znajdował się w Tuczynie, w ścisłéj był przyjaźni z moim ojcem i do starszéj siostry mojéj konkurował. Kazał ojciec prosić go, gdy wszedł, bez ogródki powiedział mu: „P. Libory, ufny w twéj przyjaźni, proszę pożycz mi 500 czer. zł. zaraz, mam pilną potrzebę, ale jaka? niepytaj, kiedyś dowiesz się może. Termin wy-

płaty na kontrakta, procent sam sobie oznaczysz." — „P. Łukaszu! — odpowie zacny prawnik, — worek mój równie jak i serce dla przyjaciół otwarte: bierz ile potrzebujesz, sekretu wiedzieć niechcę, a w twojém ręku złe użycie téj summy być niemoże. Warunków żadnych niekładnę, a wspomnieniem procentu obrażasz uczucia prawdziwéj przyjaźni." Uściśnięli się dwaj przyjaciele, p. Libory przyniósł 500 dukatów w piękném złocie obrączkowém, a ojciec dał mu na prostym papierze *pro memoria.* Nazajutrz potém pieniądze leciały sztafetą do Warszawy z takim listem mojego ojca: „Nie do mnie należy sądzić pana i czynić mu wyrzuty, kiedy ci własne przekonanie tak srodze je czyni. Ja mam sobie za szczęście, że śpieszną pomocą usłużyć mu mogę jw. pan o niczém niewie, ale pan przyjeżdżaj niezwłócznie. Ojciec choć zagniewany zawsze jest ojcem, a pański jest piérwszym z najlepszych ojców. Wracaj więc, a Bóg nam dopomoże i wszystko pójdzie najlepiéj. Moje mieszkanie, zawsze po prawéj stronie od wjazdu w oficynie; tam pana z upragnieniem oczekuję. Najżyczliwszy Detiuk."

Kamień z serca zsunął się poczciwemu mojemu ojcu i błogo mu było na duszy, i był wesół, i mnie swoim Antośkiem i towarzyszem kawaleryi nazywał i p. Kościuszkę przypomniał, ale zachowanie sekretu najmocniéj zalecał. Umiałem już uczuć i ocenić zacny postępek mojego ojca; ze łzami całowałem jego ręce, a moje rozrzewnienie i jego rozczuliło i serdecznie mię do swego ojcowskiego łona przycisnął. Uczułem na mojém czole łzę szacowną cnotliwego sumienia i byłem szczęśliwy!

Wrócił p. wojewoda zdrożony i zaraz udał się do swego pokoju. Wojewodzianki z moją matką udały się do swoich, ażeby się otrząsnąć z kurzawy i odetchnąć po trzytygodniowéj podróży. Pan uwolnił je od przyjścia na wieczerzę i sam zaraz wszedł do kąpieli, a potém na spoczynek, ojciec mój tylko mu towarzyszył. „Cóż tu u ciebie słychać, kochany mój p. Łukaszu?" —„Wszystko jak najlepiéj jw. panie." — „Widzę żeś wesół, musi tu iść wszystko jak należy." —„Cieszę się i z powrótu jw. pana, i że wszystko co się robi, będzie z jego zadowolniem." — „Tego pewny jestem. A listów jakich niebyło do mnie"? — „Niebyło żadnych."—„Ani z Warszawy? Ten Józef! zabija mię swojém milczeniem! Nikt mi nic niedonosi, a on już blizko rok jak niepisuje. Niewiem co się stało z jego ożenieniem, i niejedną noc myśląc o nim, bezsennie przepędzam. Ach! to dziecko moje pierworodne! dziecko mojego serca! i ty go z moich synów najlepiéj lubisz? wszak prawda?" — „Niezawodnie jw. panie. Ale posłałem dziś na pocztę do Równego, w nocy posłaniec wrócić

powinien.“ — „Cokolwiek będzie, proszę cię p. Łukaszu, nieukrywaj nic przedemną!“—„Spełnię najwierniéj rozkazy jw. pana.“Potém p. wojewoda położył się w łóżku, uściskał mego ojca i rozstali się.

P. wojewoda wstawał latem i zimą o piątéj godzinie, i mój ojciec także i zaraz szedł do pana, tam do ósméj trwały narady o interesach, o gospodarstwie, o domowych potrzebach, o dzieciach pańskich, poczém pili sobie razem kawę; potém p. wojewoda expedyował z sekretarzem Janickim jeśli miał jaką korespondencyę, a o dziesiątéj ubrany już był na pokojach, i o tejże godzinie córki z ochmistrzynią na pokoje zejść były powinne. O pół do piérwszéj dawano do stołu, a po obiedzie i czarnéj kawie rozchodzili się wszyscy po swoich kątach, gdzie kto na fajkę, gdzie kto przedrzymać się, a przynajmniéj rozebrawszy się w chłódku odpocząć. P. wojewoda szedł do siebie na całogodzinny spoczynek, po którym najczęściéj konno lub karylką, z moim ojcem wyjeżdzał na oglądanie gospodarstwa. Czasem i damy tę przejażdżkę podzielały, natenczas, zaprzęgano sześć koni do sześciomiejscowéj dorożki, tam siadały damy, a woźnicami byli wojewodzice. Niekiedy jeżdzono tak do Szubkowa, gdzie był ogród fruktowy wyborem owoców słynący. Nabierano duże kosze fruktów, i jadąc przez wieś, rozrzucał pan pomiędzy dzieci włościańskie, które wiedząc co ich czeka, w porządku uszykowane, powrótu pańskiego czekały. Za powrótem z przejażdzki, podawano kawę, bo herbatę mało kto jeszcze pijał, a p. wojewoda wcale jéj nielubił; poczém w ogrodzie lub na ganku pałacowym bawiono się aż do ósméj, to jest do wieczerzy; o dziesiątéj wszyscy się rozchodzili jeśli gości niebyło. Taki tryb życia był latem, zima mniéj była ożywiona, a jednak się nienudzili. Zebrawszy się o piątéj na kawę cały wieczor zabawiano się czytaniem xiążek, co zwyczajnie mojéj matce się dostawało, bo na podziw pięknie czytała. Czasem zbierała się partya wista, w któréj już panu, ojciec mój kompanii dotrzymywał; a jeśli niebyło partyi, to we dwóch sobie w rumla grali, gra jednak tak była cicha, że czytaniu nieprzeszkadzała.

Następnego dnia po powrócie z podróży, p. wojewoda późniéj się obudził, mój ojciec czekał już w gabinecie. „Prosić p. Detiuka!“ rzekł pan do kamerdynera. — „Jestem jw. panie!“ odpowiedział wchodząc ojciec. — „A! dobry dzień! A cóż to p. namiestniku! cóś nie w tak wesołym humorze jak wczoraj?“—„Ciężko zmartwiony jestem.“ — „Pewnie niedość masz jeszcze żwierzyny, albo niegrzeczny Horyń, łowką ryb ci niedopisał, — rzekł żar-

tobliwie pan,— to ciężkie zmartwienie!"—„I to byłaby dla mnie nieprzyjemność, bo chciałbym wystąpić, jak najw. pana przystoi. Ale dzięki Bogu, wszystko nam idzie jak z płatka, i nie o to chodzi! Niemiły, smutny list odebrałem."— „Zkądże? czy nie z Maniatyna, może nasza kochana Skirmuntowa niezdrowa?" bo p. wojewoda wiedział, że mój ojciec tę siostrę, jak własną córkę kochał.—„O! nie, zdrowa, i w tych dniach oboje jw. panu służyć będą; mój list zdaleka!"— „Może od swoich z Litwy?"— „I to nie, moi bogaci pokrewni zapomnieli o mnie!"— „Czy nie z Warszawy?— zawołał pan zrywając się z łóżka— „mów! mów! cóż tam mój Józef?"— „Ciężko chorował!"— „Umarł? czy żyje? niedręcz ojcowskiego serca, mów tak, jak jest!"— „Żyje, i powoli do zdrowia przychodzi."— „Czemuż tu do mnie nieprzyjeżdza? czyżby mu u ojca niebyło lepiéj!"— „Nieśmie."— „Cóż zrobił?"— „Cały majątek stracił, zadłużył się."—„Marnotrawny!"—„Ożenienie jego rozeszło się!"— „Co! ożenienie? O! niegodny! mniejsza o majątek, rzecz nabyta. Ale mnie serce srodze boli, że tak godnéj kochania osoby niezaślubił! Jam mu zawierzył, a on! on mnie tak oszukiwał! To było ukochane moje dziecko, dziecko tak dobre! jam mu zaufał, a on mię! niech mię milijon set... on mię na dudka wystrychnął! O! nie, ani na oczy! Napisz mu wmpan, ażeby nieważył mi się nigdy pokazywać!"—„A jeśli ten wyrok biednego do grobu wpędzi?"— mówił zcicha niby do siebie mój ojciec.—„Co wmpan mówisz?" zapytał p. wojewoda wzruszony.— „Nic, ja to sobie tak głośno myślę!"— „Wmpan coś taisz przedemną?" — „Wszak wszystko powiedziałem." — „Może on w biedzie? może potrzebuje pieniędzy? poszlij mu ile chcesz z mojéj kasy, ale mu napisz, żeby się nieważył nigdy przedemną pokazać, bo go odepchnę, przeklnę! tyle mi wstydu, tyle zmartwienia narobił!"— To mówiąc, oparł ręce na kolanach i oczy zakrył. Ojciec mój skinął na kamerdynera, żeby panu dawał się ubierać, i dla przerwania tak przykrego dla obu położenia, ucałowawszy rękę ukochanego pana, wyszedł.

Ważny krok był już zrobiony, czytał ojciec w sercu swojego dobrego pana, że przeciw wyroku surowego sędziego, serce najczulszego ojca w obronie stanęło. Wypadł jakiś interes, że p. wojewoda zażądał ażeby mój ojciec sam pojechał do Równego. Rad z dobrego przygotowania w sprawie syna przed ojcem, wyjechał mając nazajutrz powrócić. Ale rzeczy inny zupełnie obrót wzięły. P. starosta Turno, brat drugiéj żony p. wojewody, wuj p. Teresy, wracając z Warszawy, wstąpił do Tuczyna, i wszystkie awantury biednego Józefa, ze szczegó-

łami opowiadał. Złośliwie to było ze strony starosty, bo potrzebującemu nieprzyniósł pomocy, a przed ojcem go oskarżył, ale już tego cofnąć niemożna było. Szczęściem, że p. Turno, dawniéj nieco wyjechawszy z Warszawy, najpóźniejszych wiadomości panu wojewodzie o synu dać niemógł. P. starosta rano wyjechał i mój ojciec wróciwszy już go niezastał. Interes w Równém najpomyślniéj był zrobiony i p. wojewoda serdecznym uściskiem dziękował mojemu ojcu, ale mu z żalem ukrytą prawdę wymówił, na syna się srożył, obiecywał go wydziedziczyć, wyrzec się, przekląć. Mój ojciec milczał, a gdy pan, wyburzywszy się, w oczach sługi szukał odpowiedzi: „Zostawmy to czasowi,—rzekł mój ojciec,—gniew jw. pana, jest sprawiedliwy, choć może zasrogi, aleś ojciec! a Bóg nam w Ewangelii, powieść o marnotrawnym synu na przykład zostawił.“ W tém któś z sąsiadów nadjechał, rozmowa się przerwała, i mój ojciec wyszedł pełen dobréj otuchy.

W kilka dni potém, p. wojewoda mając jeszcze kilku bliższych sąsiadów do zaproszenia, na parę dni z domu wyjechał. Mój ojciec siedział przy swoim kantorku przeglądając spis zaproszonych gości i rozporządzając gdzie komu, jakie dać mieszkanie, ja pisałem kartki z numerami dla wręczenia ich murgrabiemu pałacu,—w tém turkot zajeżdzającego powozu obudził moję ciekawość, ojciec go nawet niezauważał. Wyskoczyłem na ganek i ujrzałem wysiadającego mężczyznę pięknéj postawy, który mię zapytał: „Jest p. Detiuk?“—„Mój ojciec?—odpowiedziałem,—służę panu!“ i wprowadziłem go do pokoju. Obrócił się ojciec od kantorka, a ujrzawszy przybyłego, wykrzyknął: „P. rotmistrz!“ i oba serdecznie się uścisnęli. Domyślałem się kto to jest, i wyszedłem, żeby im nieprzeszkadzać rozmowy. W kilkanaście minut zawołał mię ojciec i p. rotmistrzowi przedstawił. Był to najstarszy syn naszego pana, p. Józef, wracający pod strzechę ojcowską; uściskał mię i o czémś tam ze mną mówił, niepamiętam, wiem tylko, żem się na niego napatrzeć niemógł, i że moje młode serce od téj chwili, nazawsze do niego przylgnęło. Ojciec gościa umieścił w swoim pokoju, sam się wyniósł do drugiego gdzie ja sypiałem. Tego wieczora, nikomu niedano wiedzieć o przyjeździe wojewodzica, bo mój ojciec chciał, ażeby zdrożony i tylu uczuciami miotany, wcześnie udał się na spoczynek.

Około północy wrócił p. wojewoda z kagańcami, wyszedł na spotkanie pana mój ojciec, ale nic po sobie niepokazał i wszystko do jutra odłożonem zostało. Jakoż o piątéj jak zwykle był już u p. wojewody. Mówili długo o przygotowaniach

do zbliżającéj się uroczystości, i mój ojciec szczegółowie okazywał, jak wszystko ładem idzie. Zadowolony pan zacierał ręce i poświstywał ulubione: *U drzwi twoich.* Widząc ojciec dobre usposobienie humoru pańskiego, postanowił z chwili przyjaźnéj korzystać, a wyliczając osoby z familii, rzekł: „Szkoda! dwoje z rodzeństwa niebędą asystować p. Teresie do ślubu i błogosławić, ale cóż? xiężna za granicą, a p. Józef....“—„Cóż ten p. Józef? wmpan go z ust niewypuszczasz, za cóż go tak kochasz?“—„Bo do pana mojego i twarzą i duszą podobny!“—„To tylko chyba w twoich oczach. No cóż ten p. Józef?“—„Możeby zjechał na wesele siostry, ale...“—„Cóż, ale?“—„Ale nieśmie.“—„Dla czegoż nieśmie?“—„Czyż jw. pan niekazałeś mu napisać, ażeby się nieważył jw. panu na oczy pokazywać?“—„I wmpan mu to napisałeś?“—„Miałżebym być nieposłusznym rozkazom mojego pana?“—„Hm!“ mruknął p. wojewoda i zaczął chodzić zadumany po pokoju i ulubionéj nóty niepoświstywał. Milczenie trwało chwil kilka, ojciec śledził poruszenia pana, i w chwilowo rzuconych wzajemnie wejrzeniach, śledził walkę i grę uczuć ojcowskiego serca. „Czy więcéj nic niepisał do wmpana?“—„Nie.“—„I myślisz, że on mógłby się jeszcze poprawić?“—„Kto do win swoich najrzetelniéj się przyznaje, wstydzi się za nie, i cierpieniem duszy pokutuje, czyż ten od poprawienia się jest daleki?“—„I chciałbyś może, ażeby w ojczyste progi powrócił? ale nie, nie, jabym go widzieć niemógł; nie! oh! on mi tyle zawinił!“ mówił p. wojewoda, ale głos jego wzruszony, zdradzał i surowość słów i serca uczucia. „Odpuść nam nasze winy! wymówił ojciec mój z czułością.“—„Odpuszczam mu! cóż chcesz? odpuszczam, ale widzieć go! o! nie, niemogę, nigdy“,—i głos coraz wolniał i coraz więcéj był drżącym. „A gdyby p. Józef był tu już w domu?“ to rzekłszy, przez okno od którego pan był odwrócony, ojciec dał mi znak, na który czekałem na ganku i dałem znać wojewodzicowi.—„Co! niech mię milijon set!.. Co? Józef tu w moim domu?!“—zawołał p. wojewoda głosem, w którym jeszcze był krzyk, ale już zwycięztwo przywiązania nad gniewem rozpoznać można było;— Jak on śmiał?... to już zapewnie wmpana robota?“—„Tak jest jw. panie! moja! a jeśli ten mój postępek zasługuje na naganę, to mię ukarz, to jest od usług swoich oddal, bo to byłaby dla mnie najsroższa kara!“—„Nie! mój drogi przyjacielu,— odpowie p. wojewoda wyciągając rękę do mego ojca,— czyż mógłbym mieć ci za złe tyle przywiązania do mojéj rodziny? Pozwól mi tylko nabrać nieco męztwa potrzebnego na takie spotkanie!“— Zaledwie tych słów domówił, drzwi się otworzyły, i syn marnotrawny był u

nóg ojca. W sercu p. wojewody już gniewu niebyło, ani nawet w oczach ślad jego pozostał. Przycisnął do łona ukochane dziecko, całował czoło i twarz jego, wpatrywał się w zmienione oblicze, a nic mówić niemógł; łza tylko gorąca, łza czułości ojcowskiéj, łza przebaczenia, z oczu ojca na lice powróconego syna spłynęła. Ojciec mój stał na boku i oczy zapłakane ocierał; p. wojewoda wyciągnął ku niemu rękę, którą ojciec z rozrzewnieniem do ust przycisnął. „O! dziękuję ci! dziękuję, ani wiem nawet jak ci odwdzięczę za tę rozkoszną niespodziankę! Jam jednak przeczuwał, marzył, że ty ją dla mnie przygotujesz. Patrzaj! jak teraz jestem szczęśliwy! tu przy sercu syn mój ukochany; a tu uściśnienie dłoni prawdziwego przyjaciela!“ to mówiąc, przycisnął ojca mego do serca i szczerze ucałował.

—„Czy Józio widział się już z siotrami?“—„Nikt dotąd jeszcze niewie o przyjeździe p. rotmistrza.“—„Ani p. Detiukowa?“—„Za cóżby moja żona miała wiedzieć wcześniéj od wszystkich?“— „No! wieszże co p. Łukaszu! poszlij prosić twojéj żony, żeby tu do mnie z Tercią i z Karolką na kawę przyszły, a potém poszlij za moimi chłopcami.“— Odszedł mój ojciec i syna z ojcem sam na sam zostawił. Była tam najszczersza spowiedź winowajcy, i najuroczystsze odpuszczenie sędziego. Niezwykłe tak ranne zaproszenie zdziwiło wojewodzianki, wypytywały kamerdynera: „coby to było tak pilnego, i czy niéma kogo u pana?“— „Niewiem,“— odpowiedział ze spokojną twarzą kamerdyner. Narzuciwszy więc ranne ubranie, wojewodzianki z moją matką pośpieszyły na wezwanie p. wojewody. Jaśniało radością oblicze szczęśliwego ojca, nócił pieśń ulubioną, wesoło przyjął dobry dzień od przychodzących, ale p. Józefa ukrył wprzód w gabinecie. „Terciu!— rzecze do starszéj córki— miłego dziś mamy gościa.“— „Będziemy mu z serca rade, mon cher père!“— „Ale ten gość i na weselu twojém zostanie.“— „Jeżeli tak miłym jest papie, to i nam obojętnym niebędzie.“— „Kogożbyś żądała mieć w tym gościu?“— „O! siostrę Teonię chciałabym mieć około siebie i jéj błogosławieństwo otrzymać!“— „A tegoż?“— zapytał p. wojewoda, otwierając drzwi gabinetu. — „Jozio! Józio!“— krzyknęły razem obie wojewodzianki i uwiesiły się na szyi brata; p. wojewodzie łzy, ani mówić, ani poświstywać ulubione *U drzwi twoich*, niedopuściły. Tkliwa to była scena; płakali łzami radości i śmiéch radości te łzy osuszał.

Nadeszli młodzi wojewodzice i kasztelanic, czułe było braci powitanie. Śniadanie było wesołe, p. wojewoda nikomu niepowiedział wmpan, wmpani, wszyscy byli: ty, wszyscy kocha-



ni. U obiadu, pił ojciec zdrowie powróconego syna, mieszkanie naznaczył mu obok swojego pokoju, bo go długo niewidział, bo niejedną noc bezsennie o nim przemyślał, bo całą przeszłość jego zapomniał i tylko czuł potrzebę wylania uczuć ojcowskiego serca. Dzień ten był prawdziwą uroczystością, był prawdziwém świętem familijném. P. wojewoda opowiadał swoje konfederacyjne wypadki, p. Józef smutną swoję historyę, p. Karolina grała nową sztukę Bethowena, p. Teresa śpiewała Włoskie arye i ulubione ojcu Polskie piosneczki, bo obie pod dyrekcyą Budziewicza wysoko w muzyce postąpiły, już nawet długi fortepijan, czyli pantalon Waltera z Wiednia miały.

Kasztelanic im dłużéj bawił w Tuczynie, tém więcéj odkrywano w nim pięknych przymiotów i coraz więcéj serca wszystkich ku sobie pociągał. Wiele anegdotek o jego dobroci krążyło w Tuczynie. Te które pod mojemi oczami zaszły, wymienię. Był w Tuczynie mularz Justycki, doskonały majster i wielce od architekta Merka uważany; miał żonę, ale pani Justycka więcéj lubiła kieliszek, niż dom i męża, ztąd i częste nieporozumienia zachodziły pomiędzy małżeństwem. Zdarzyło się, że jednego wieczora, p. Adam, słuchając muzyki w słodkich dźwiękach z pod pięknéj i biegłéj ręki p. Teresy wychodzącéj, opóźnił się, sam do stancyi aż na stajniach powracał. Ledwie wyszedł na drogę przedzielającą dwa dziedzińce, aliści słyszy jakiś głos swarliwy, niby jęczący, niby groźny, zbliża się w to miejsce, i mimo noc dość ciemną, rozeznaje kobietę na wpół leżącą nade drogą.—„Kto to?“—zapyta kobieta.—„Co wmpani tu robisz?“— zapyta kasztelanic. „A, idę do domu.“—„A gdzież wasz dom?“— „Oś tut, niedaleko, ale cóś mnie się w oczach kręci, a wpan kto? pewnie pacholik którego z paniczów? bo to i młode i ładne jak paniątko. Pomoż mi wasan wstać, bo mi cóś nogi pocierpły.“—„Może wmpanią do domu odprowadzić?“—„A co to ja sama niepotrafię?“—„Ale noc ciemna i nogi niesłużą, a może i złe psy na drodze.“—„Ha! prawda, psy, o tam u popadi, ale ona jeszcze od psów gorsza. No chodźmy! Ale wara odemnie, żadnéj podufałości, bo jakem majstrowa, jakem Justycka, zęby powybijam.“—Śmiał się po-cichu kasztelanic i podał ramie p. majstrowéj, i ciężkię niepewne jéj stąpanie silnie podtrzymywał. W domku ich jeszcze się świeciło, weszli, mularz siedział przy stole i modlił się na xiążce, poznał kasztelanica, i zerwawszy się z siedzenia, kłaniał się, całował ręce młodego pana i niewiedział jak za tyle dobroci dziękować, ale p. majstrowa nic już ani mówiła, ani pamiętała. Ciepło izdebne, w moment ją objęło i cały spirytus do głowy popędziło. Zale-

cił p. Adam Justyckiemu, ażeby mieli oko na kobietę skłonną do napicia się, bo może być kiedyś okropny przypadek. Justycki przeprowadził p. Adama aż do pałacu, i za to został nagrodzony. Nazajutrz, nocna awantura z Justycką, była nowiną bawiącą towarzystwo pałacowe, pikowano kasztelanica; ale mularz i jego żona obsypywali błogosławieństwem młodego pana.

Potrzeba było p. wojewodzie posłać do Dubna dla Bessona 50 czer. zł. za jakiś przysłany sprawunek; ojciec mój niemógł oderwać się od zatrudnień mnogich przed blizką już bardzo uroczystością,— p. wojewoda kazał posłać pisarza Ankwicza, którego wierność i poczciwość znane już były z wielu dowodów. Do Dubna było mil ośm; wysłany wieczorem na pół drogi między Równém i Warkowiczami zanocować musiał. Nieszczęście chciało, ażeby biedak niedopilnował się, i czy zgubił czy mu je ukradli, dość że rano z noclegu opatrzył się że niéma pieniędzy. W strachu i rozpaczy, wraca nazad do Tuczyna. Rano dosyć, kasztelanic przyszedł do mojego ojca, bo z nim miał wszelkie narady o swoje przygotowania. Wtém wchodzi Ankwicz blady, chwiejący się, ledwie mówić może, rzuca się ojca memu do nóg i z płaczem nieszczęście swoje wyznaje. Ojciec rozgniewany ostro mu wyrzuca jego niedbalstwo, a niewie sam co tu w takim razie poradzić. Kasztelanic bierze go do drugiego pokoju, dobywa zwitek 50 czer. zł. i dając rzeknie: „Kochany p. Detiuk! ratujmy tego poczciwego człowieka! Niech p. wojewoda o niczém niewie; mnie ta bagatela różnicy niezrobi, weź to, i wypraw natychmiast pisarza mojemi końmi. Zwłokę powrótu można będzie jakoś wyexkuzować, a interes zrobi się tak, jak papa żąda.“ Ojcu memu łzy w oczach stanęły, uściskał kasztelanica, wyszedł do pisarza, i surowo zalecił więcéj pilności i ostróżności w podobnych poleceniach: „Tysiąc złotych mój panie, to summa, to trzy lata twéj służby, którąbyś utracił, gdyby nie wspaniałość jw. kasztelanica. On to łaską swoją i ciebie i dzieci twoje uratował.“ Rzucił się do nóg p. Adamowi pisarz, podniósł go kasztelanic i rzekł z uśmiechem: „Ale bądź ostróżnym p. Ankwicz, bo ja na drugi raz i grosza niedam.“ Pisarz odjechał śpiesznie końmi kasztelanica, i tym razem już lepiéj się sprawił, a z całą rodziną swoją gorąco modlił się o szczęście tak dobrego pana.

Kasztelanic wiedział od p. Węgierskiego o pobycie moich rodziców w Ludwipolu, i był dla nich z najszczérszą życzliwością i szacunkiem, a ojca szczególniejszą ufnością zaszczycał. W chwilach poobiednich, kiedy się wszyscy po swoich kątach

rozchodzili, Adam najlepiéj lubił ten czas u mojego ojca. Jednego dnia, p. Węgierski, kasztelanic i wojewodzic siedzieli sobie na ganku naszym z fajkami, p. Adam opowiadał figle swoje szkolne, p. Węgierski pobyt Adasia przy nim, ztąd poszła rozmowa o Bystrzycach, o Ludwipolu, zasępiła się piękna twarz p. Adama, bo w sercu jego smutne wspomnienie wywołała. Służący mego ojca, słuchając ze drzwi siennych, przez łzy spoglądał na kasztelanica; ale ten sługa, był to ów Szełest kozak, którego odesłano z Warszawy, ani mu, na najusilniejsze prośby przy paniczu zostać niepozwolono. Nie w kozackim już ubiorze, ale w wojewodzińskiéj liberyi strojny przystojny lokaj, po imieniu Janem był zwany. Ale w sercu poczciwego włościanina odzywała się przeszłość i przywiązanie do swoich panów. Rozrzewnienie jego zauważano, i średni wojewodzic Wojciech z drwinkami do niego przemówił: „A, p. Jan, jaki czuły! jaki łaskaw! nasze rozmowy podsłuchuje!“—„Niepodsłuchywałem ja jw. panie; co mi do rozmow pańskich? ale oderwać oczu niemogę od oblicza mojego prawego pana... Jw. panie!— mówił daléj upadłszy do nóg kasztelanica—mnie tu w służbie, jak u ojca, alem ja twój poddany! Niedano mi być przy jasnym panu w Warszawie, to pozwól odtąd służyć tobie, póki w Szełeście ducha stanie.“ Szczerze objął go i ucałował kasztelanic.—„O mój dobry Szełeście! twoje takie wynurzenie się, zasługuje na moję wzajemność. Wiem jak poczciwie służyłeś mojéj biednéj matce, a dzisiejsze położenie twoje pokazuje, że i tu wierności, statku i zdatności dowodzisz. P. Detiuk pozwoli że cię znowu do osobistych moich usług biorę, rodzinę twoję całą i ciebie od poddaństwa zupełnie uwalniam; a panu, — rzecze do mego ojca, — innego usposobionego na jego miejsce dam człowieka. Szczęśliwym! jeśli ten poczciwy chłopiec, zawdzięczonym jest odemnie, tak, jak zasługuje! “ Odtąd Szełest nieodstępnym był swojego dobrego pana, a w r. 1809. zgonem swoim, życie pana swego ocalił. Szlachetna, wielka dusza była w pięknym Adamie i życie też jego piękne było!

Tymczasem zbliżały się i uroczystości i tydzień już tylko do terminu zostawał. Damy wielce były zajęte. Kupcy, krawcy, szwaczki haftarki i różni rzemieślnicy, dniem i nocą snuli się po pałacu; ci dostawiali towarów, ci towary przerabiali na suknie, bieliznę, sprzęty i różne potrzeby sutéj wyprawy. Wszystko płaciło się gotówką i ciągle ważne Holenderskie dukaty z rąk do rąk przechodziły. I narzeczona niepróżnowała: razem z siostrą siedziały przy jednych krośnach, przy drugich moja matka i p. Wosińska, wyśpieszały ślubnéj sukni przybory.

Robota odbywała się na pokojach, bo p. wojewoda lubił patrzeć na córki igłą zajęte. Kawalerowie asystowali damom, a narzeczony nieodstępnym był swojéj p. Teresy. I warta też była téj miłości i tego uwielbienia z jakiemi był dla niéj piękny kasztelanic. P. Teresa niebyła tak piękna jak p. Karolina, ale ileż to najpiękniejszych serca i umysłu przymiotów, ile talentów, wdzięki oblicza podwyższało! Miernego była wzrostu, i dość miała ciała, ale kibić kształtną. Włosy ciemne, rysy twarzy mniéj regularne, familijne Turnów, nosek nieco zadarty, oczy pełne życia i wyrazu słodyczy, usta piękne, świeże i cudnéj piękności zęby, białość twarzy, gorsu i rąk czysta i delikatna, ręka i noga malutkie i dziwnie kształtne. P. wojewoda, oprócz ojcowskiego przywiązania, miał dla jéj rozumu wielki szacunek, w ważnych interesach jéj się powierzał, rady nawet zasięgał. Całe życie téj damy wzorowe było! A w szczęściu i w niedoli umiała zachować umiarkowanie, wiarę i tę słodycz charakteru, którą, od lat młodych, wszystkich życzliwość zjednać sobie umiała. Radował się ojciec pięknem jéj zamęźciem, odpowiedniem jego życzeniu, ale czuł, że bez Terci będzie mu smutno i tęskno. To go tylko pocieszało, że córkę niedaleką sąsiadką mieć będzie.

ROZDZIAŁ VIII.

TUCZYN 4.

WESELE PANNY TERESY.

Najpiérwsi na wesele p. Teresy, zaczęli się zjeżdżać swoi. Brat p. wojewody p. brygadyer z żoną, z dwoma synowicami Maryą i Ludwiką, z kuchnią, kredensem, cukiernikiem i usługą; pp. jeneralstwo Karwiccy, p. starosta Turno, pp. Skirmuntowie, pp. Xawery, Antoni i Felix synowcowie, p. Ślaski, siostrzeniec p. wojewody, p. Zawisza z Litwy, także koligat jakiś bawiący i w przody w Tuczynie, wielce w salonach ceniony, a zwłaszcza z tańca. P. młody dotąd mieszkał z wojewodzicami na stajniach, ale na tydzień przed weselem przeniósł się do kamienicy w miasteczku, gdzie i dwór jego i wszystkie weselne przygotowania miały swe stanowisko. Ruch był wielki w pałacu i w miasteczku, ale nieładu nigdzie niebyło. Każdy

miał swój zakres, za który niewychodził i każdy swoje porządnie spełniał.

D. 28 młodzi byli u spowiedzi. Pannie młodéj towarzyszyły przybrana matka p. brygadyerowa i moja matka. Panna młoda i dwie drużki biało skromnie ubrane, a młoda obszerną zasłoną okryta była. Od południa i dalsi zjeżdżać się zaczynali. Dla x. biskupa obiadującego u xięztwa w Równém, na pół drogi wysłano powóz wojewodziński i konie, i szanowny nasz pasterz o czwartéj zajechał przed ganek. Wyszedł p. wojewoda z całą rodziną na spotkanie; mój ojciec karetę otworzył i wysiadającemu ramie podstawił; wojewodzice podprowadzili na wschody; na ganku p. wojewoda i rodzina jego przyjęli błogosławieństwo i ucałowali ręce pokrewnego pasterza i na pokoje wprowadzili. Chciał mu p. wojewoda ustąpić swój pokój, ale świątobliwy kapłan, obrał już sobie mieszkanie na probostwie bo i porządne były pokoje i blizko kościoła, gdzie mu o 7-méj rano już być potrzeba, gdzie też i wyżsi z duchowieństwa i kler pomieszczeni byli. Po xiędzu biskupie, nieustannie już przyjeżdzali goście, nieschodziłem z ganku pałacowego, bo niepowiem że mię to bawiło, ale zachwycało. Tegoż wieczora przyjechali xiążęta Sanguszkowie wda Wołyński i strażnik Lit. z żonami, x. Sapieha wda Smoleński i z nim razem Ludwik Raciborowski star. Czerwonogrodzki i podczaszy Podolski Józef Witosławski, właściciel sławnego pięknością swoją w Podolu Krzywczyka, którego położenie z siebie już okazałe, gustem swoim jeszcze więcéj przyozdobił. P. wojewodzina Bełzka Potocka, kasztelaństwo Rzewuscy, Potocki star. Szczyrzeski, który, wracając od wód, wstąpił odwiedzić koligata i na ten akt uroczysty zatrzymanym został. Wszyscy domowi, na ciasnych byli kwaterach. Wojewodzice, ich krewni i rezydenci zajmowali jedną austeryę w miasteczku, drugą taką przygotowano dla kawalerów przyjezdnych. W pałacu i na stajniach było 19 apartamentów dla dam. Na komisaryi dla trzech domów były pokoje, a dwa porządne dworki oficyaliści na te dni kilka dla gości ustąpili. Mój ojciec ze mną mieścił się w małéj izdebce przy kuchennéj oficynie, a w jego mieszkaniu x. Sanguszkowie mieścili się. Każdy dom zajezdny w miasteczku wyporządzony był dla gości. Daléj jeszcze tego wieczora przyjechał x. Eustachy Sanguszko z żoną, niedawno zaślubioną sobie piękną xiężniczką stol. kor. Czartoryską, kasztelaństwo Platerowie z Beresteczka z córką Adelą i synem pięknym Edwardem, kasztelaństwo Tarnowscy z Podberezia, starosta Denysko, jenerał Bobr z żoną, podkomorzy Piniński,

podstolina kor. Karszyna, wojewodzina Ledóchowska, starosta Zagórski szwagier chor. kor. strażnikowa kor. Czacka z córkami, x. Lubomirscy Józefowstwo z Równego z piękną córką Heleną, gubernator Glazenap, marszałek gub. Worcell, podkomorzy Gostyński. Stary murgrabia pałacowy Urzędowski w paradnéj liberyi, w trzewikach z brylantowanemi stalowemi sprzączkami, z kapelusikiem pod pachą, zwijał się to tędy to owędy, ale się niepomylił i każdego na swoim miejscu ulokował, dwóch młodych zręcznych froterów miał do pomocy. Ja dosiedziałem prawie do północy przypatrując się zajeżdżającym powozom i wysiadającym z nich gościom. Uprzejma gościnność p. wojewody i ta wziętość, jakiéj słusznie używał w obywatelstwie, ściągały gości do jego domu, a zaprowadzony przez ojca mego porządek, że nietylko panowie, ugoszczeni byli, ale i sługom na niczém niezbywało, i za karm koni płacić niemieli potrzeby, żadnego uskarżenia się, ani panów, ani sług nigdy niewywołał.

Już tego wieczora p. Teresa pięknie ubrana, w towarzystwie drużek, niegospodarowała na ojcowskich pokojach; p. Adamowa Walewska spełniała w domu brata obowiązek gospodyni, i gości przyimowała. Tańców niebyło, a gdy już rozchodzić się mieli, dwóch drużbów podali ręce pannie młodéj, ta pożegnała czule ojca, pięknym ukłonem pozdrowiła całe zgromadzenie, i w towarzystwie tylko sióstr i mojéj matki, do swego panieńskiego apartamentu odprowadzona była. X. biskup wcześnie udał się na spoczynek, damy także niedosiadywały i starsi panowie, młodzież rozsypała się po swoich kwaterach, na dwóch tylko czy trzech stolikach dogrywano wista. P. wojewoda najpóźniéj się położył. Mój ojciec zdawszy panu sprawę ze stanu przygotowań na dzień jutrzejszy, obejrzawszy wszystkie kąty i dawszy zlecenia na jutro zebranym dworskim, sam także udał się na spoczynek.

Cel tych wszystkich przygotowań i trudów, i kres ich, było oczekiwane jutro! to wielkie jutro, dla domu p. wojewody, już tylko o kilka godzin było odległe. Myśl o niém, różne w różnych budziła uczucia i wrażenia. Narzeczeni niecierpliwie go pragnęli i lękali się jego nadejścia, bo to jutro będzie dla nich zaczęciem nowego życia. Pojmiemy to łatwo, przypomniawszy siebie w ich położeniu. Jest to bowiem w naturze ludzkiéj, że gdy czego wielce pragniemy, wszystkie usiłowania łożymy, ażeby dopiąć naszego celu, a gdy już chwila spełnienia żądań zbliża się, radzi temu spełnieniu, chcielibyśmy jednak tę chwilę jeszcze nieco oddalić. Szczęśliwy! kto dobre

trafił, ale niestety! jak często nadzieja zawodzi! — P. wojewoda zajęty przyjęciem jak najuprzejmiéj swych gości, i pewien, że ład, obfitość i porządek we wszystkiém będzie, zadowolony spokojnie zasypiał marząc o przyszłém szczęściu swéj lubéj Teresi. O! bo niemasz słodszéj myśli dla rodziców jak myśl o szczęściu dzieci, a jeszcze dobrych dzieci! Haneczko moja! pociecho jedyna starości mojéj! kreśląc te wyrazy, ojciec twój o tobie, o twéj przyszłości marzy, i takiego ci szczęścia życzy, jakie było Teresy i Adama, których wesele tu opisuje! Rodzice zebrani na wesele wojewodzianki, o weselach córek swych także marzyli. Młodzież płci obojéj, zazdroszcząc może państwu młodym, snuła w swych marzeniach i swoich wesel obrazy, a może i zamki na lodzie budowała. Piękna i cicha noc wrześniowa sprzyjała snom, które rozsiewając makówki swoje, słodkie marzenia śpiącym nasyłały; kucharze tylko i lukiernicy téj słodyczy kosztować niemogli.

Pałac p. wojewody niebył jeszcze wewnątrz zupełnie ukończony. Najpiękniejsza część jego, okrągła sala, zastawiona rusztowaniami na których sztukatorowie Probst z czeladzią około sklepienia pracowali. Ale po prawéj stronie, były paradne bawialne pokoje, po lewéj ogromna sala jadalna, która na ten raz i za salę do tańców służyła. Wspaniałe to były, i prawdziwie senatorskie komnaty! Główny bawialny pokój, biały mozaikowy z drzwiami i oknami, suto złocistą rzeźbą ozdobionemi. Błękitne adamaszkowe firanki u drzwi i okien, i takąż materyą okryte meble biało lakierowane ze złotą rzeźbą. Między oknami od gzymsu do posadzki źwierciadła i źwierciadło ogromne nad wspaniałym mozaikowym kominem. Przyległy gabinet o trzech parapetach, sztucznemi marmurami wyłożony z takimże kominkiem. Firanek u okien niebyło, meble złocistą materyą okryte, a naprzeciw środkowego okna wielkie Weneckie źwierciadło pięknie odbijało widok na Horyń i malownicze jego okolice. Drugi pokój bawialny, był obok piérwszego, ale już w skrzydle pałacowém i z niego przechodziło się do pokoju p. wojewody. Niższym był od głównego, ale obszerny, wesoły i ozdobny obiciem i firankami adamaszkowemi amarantowemi i takim pokryte meble. Styczny z obydwoma bawialnemi, był bilardowy, malowany w pejzaże przez Burkiewicza, i z niego wychodziło się do głównéj sieni. Sala jadalna ozdobna w arabeski naśladujące płaskorzeźby na tle szafirowém, nazywała się szafirową. Oddzielała ją od paradnego pokoju nieukończona jeszcze okrągła sala, przez którą na teraźniejszą uroczystość, architekt Merk zręcznie urządził, wygodny, elegancki nawet,

płótnem wybity, wybielony i w girlandy dębowe i wazony przystrojony przechód. Nad temi pokojami na piętrze były dwa wielkie apartamenta. Po prawéj od wschodów, świeżo wymalowany, pięknemi obiciami wyklejony, z firankami u okien i gustownie umeblowany, z pięciu pokojów i wielkiego przedpokoju złożony przeznaczonym był dla państwa młodych. Po lewéj podobnyż zajęła x. wojewodzina Wołyńska i jéj synowa. Piękne wschody wiodące do tych komnat, na ten dzień ponsowém suknem pokryto, sień drzewami przystrojono. Przy oranżeryi przystawiony był ogromny namiot, gdzie stoły przyrządzano. Pokój karmazynowy i p. wojewody, do ubierania się panny młodéj naznaczono. Damy zaproszone rozmieszczono jużto w pawilonach pałacowych, już w apartamentach nad stajniami, a kareta zaprzężona, ciągle stojąca przed pałacem, do przewożenia dam gotową była. Sześciu lokajów i tyluż froterów naznaczono do usługi po apartamentach. Konie gościnne stały we czterech austeryach na karmie p. wojewody. Wszystko było obmyślane i opatrzone nietylko dla panów, ale i dla sług. Dla panien garderobnych i lokajów, był stół, gdzie uczciwe szlacheckie jadło, w czasie tych balów, więcéj sześćdziesięciu osób karmiło, a w dzień ślubu i kilkanaście butelek stołowego wina zastawiono.

Nastąpił nareszcie i 29 września, pięknie pogodny i jak na jesień bardzo ciepły. X. biskup o ósméj już był w kościele, bo poświęcenie kościoła jest uroczystym obrzędem i wiele czasu zabiera, a szanowny pasterz chciał przy nowo poświęconym ołtarzu mieć piérwszą mszę solenną i po niéj błogosławić państwu młodym. Zapowiedział więc że na dwónastą, czeka z summą. Do tego więc wyroku stosować się musiano ze wszystkiemi ceremonijami weselnemi, które chciał p. wojewoda ażeby obyczajem staropolskim najuroczyściéj spełnione były. Rano więc wszyscy powstawać musieli i rano być postrojeni. O dziewiątéj panna młoda w strojném rannem ubraniu z sześciu drużkami, siostrą swoją Karoliną, x. Heleną, dwóma stryjecznemi Maryą i Ludwiką, Maryą Mossakowską i Adelą Platerówną weszły do p. wojewody, gdzie już przybrana matka p. Adamowa Walewska i p. Karwicka jéj oczekiwały. Pokłoniwszy się do nóg ojca, otoczona drużkami usiadła przy gotowalni i panny ubierać ją na głowie zaczęły. Tymczasem damy wczoraj przybyłe zbierały się na pokoje, nowe przyjeżdżały, a wszystkie postrojone jak na taki akt solenny przystało. Przybyli z gości, marszałkowie, Rakowski, Borejko, Nowowiejski, pp. Jełowiccy Paweł, Mikołaj i Tomasz z żonami, starosta Za-

krzeski z córką, Pruszyńscy, Czarnieccy, Lenkiewiczowa z Huszczy, Grocholski Antoni z Tereszek z piękną żoną, siostrą stryjeczną p. młodego, podkomorzy Mołodecki, chor. Kor. Stecki, z dwóma synami i synowemi, wojewoda Wilga z synem i synową piękną starościanką Tłumacką siostrą małéj Cesi Potockiéj, i innych wiele, których nieznałem i niepamiętam. Było tak nawet, że wielu sam p. wojewoda nieprzypominał sobie; powitawszy tylko gościa, pytał ojca mego „kto to jest?“ ale nic mu niechybił, witał wszystkich uprzejmie i powinszowania odbierał. Całe zgromadzenie zebrało się już na pokoje, obszerne komnaty niebyły jednak zaobszerne dla tylu osób, mieszczono się przecięż wygodnie. W owych bowiem czasach, niebyło jak dzisiaj mody, żeby na wielkiéj sali wywijając się kilkanaście osób, na ciasnotę narzekały. W szczupłéj izdebce, częstokroć więcéj było wesołości, jak dziś w ogromnych gmachach, bo była jedność i otwartość szczera w szlacheckich stosunkach.

Bytność gubernatora wymagała formy; ale gubernator od dawna przyjaciel, zaraz oświadczył, że od téj urzędowéj etykiety uwalnia, urzędnicy jednak byli w mundurach. P. wojewoda miał żupan ze srebrzystéj materyi, rubinową spinką pod szyją spięty, kontusz granatowy z sajety z axamitnemi ponsowemi wyłogami i srebrnym garniturem, mundur Sieradzkiego województwa; do tego stosownie bóty safijanowe czerwone ze srebrnemi podkówkami, pyszny pas lity i bogato oprawny pałasz Puławskiego przy boku, na szyi order ś. Stanisława, przez ramie po wierzchu kontusza i pasa błękitna wstęga Orła białego, na lewéj piersi dwie gwiazdy, w ręku czapeczka biała rogata z kosztownym barankiem. Śliczna to była i poważna postać p. wojewody! miał już lat sześćdziesiąt i sześć, ale można było o nim z Wirgiliuszem powiedzieć: *Jam senior, sed cruda viridisque senatus.* Wzrost słuszny ze stosowną otyłością, trzymał się prosto, chód miał śmiały i poważny, a w tańcu Polskim i chód i postać majestatyczne. A twarz! nigdy tych pięknych, wspaniałych rysów niezapomnę! Czoło wysokie i oczy pełne życia, pełne rozumu, nieprzygaszone namiętnościami i zużyciem, nos wydatny ale foremny i do dużéj twarzy proporcyonalny, usta kształtne i pełne przyjemnego uśmiechu, a zęby tak jeszcze zdrowe i białe, że wielu młodych chętnie mienialiby na swoje. Włosy znacznie posiwiałe, nosił okrągło podstrzyżone, na świeżéj twarzy mało miał zmarszczków, a i te wtedy się tylko pokazywały widoczniéj, kiedy silniejsze uczucie smutku lub gniewu sercem owładło.

Taka była powierzchowność tego dostojnego pana, a pod tą piękną postacią, jeszcze piękniejsza ukrywała się dusza. P. wojewoda był krwistego temperamentu, i posiadał jego łagodność i żywość aż do uniesień; nigdy jednak nikogo w gniewie nieukrzywdził; a wspierać bliźnich i łzy cierpiących ocierać, miał sobie za powinność jak codzienną modlitwę, za potrzebę życia, jak chléb powszedni. *Odpuść nam nasze winy*, było świętém jego prawidłem; to też urazy łatwo przebaczał, z tymi nawet, z którymi z interesu proces mieć musiał, w niezachwianéj żył przyjaźni. Pobożny bez przesady, hojny bez rozrzutności, rachunkowy bez chciwości, wierny w danem słowie, wytrwały w pracy, niezachwiany w przeciwności, niedumny w szczęściu, arystokrata z równymi, przystępny i uprzejmy dla niższych, szacował tych co uczciwą pracą dorobili się majątków, a czy magnat z przodków czy szlachcic dorobkowy, byle uczciwy człowiek, zarówno u niego miał cenę. Dla poddanych był ojcem, dla sług najlepszym panem, ale był sprawiedliwym, zasługę nagradzał, przestępstwom niepobłażał. Rzadko był w złym humorze, co poznać można było po milczeniu i zasępionéj twarzy. W uniesieniu piérwszém wyrażeniem było: „niech mię milijon set!“ ale to po chwili ustawało, a udobruchany uśmiechał się i nócił, lub poświstywał *U drzwi twoich*. Pięknie a nawet wymównie tłómaczył się i pisał ojczystą mową i po-Łacinie łatwo rozmawiał; Francuzki język rozumiał tylko. Wesołym był i lubił w drugich wesołość, to też dom jego sławił się zabawami, bez nadużycia, bez nadwerężenia majątku. Jakim był gospodarzem, poświadczała wzorowa uprawa roli, bogate gumna, zamożny byt poddanych, porządne zabudowania gospodarskie, i porządnie utrzymane drogi. Zasłabe jest pióro moje, na oddanie wszystkich zalet, któremi świetniał ten mąż znakomity! Był to wzorowy przykład ojca, pana i obywatela, był to magnat, o jakich nam tylko dzieje wspominają, a o jakich następne pokolenia wyobrażenia nawet sobie zrobić niepotrafią. Wymówniejsze stokroć od moich usta, oddały mu hołd należny, a w historyi naszéj imie jego piękną zajmuje kartę. Z prawdziwą rozkoszą szczycę się tém, że mój ojciec służył takiemu panu, że jego szacunek i ufność pozyskał; i tém się szczycę, żem w tak zacnym domu wziął wychowanie.

Już prawie wszyscy goście byli na pokojach, gdy wszedł pan młody, a z nim dwunastu drużbów. P. młody z całą na wesele zaproszoną młodzieżą umówił się aby mieć jednakowe przyjacielskie mundury, a chcąc jeszcze więcéj zaskarbić sobie przywiązanie przyszłego teścia, wybrał mundur województwa

Sieradzkiego. Wszyscy mieli fraki granatowe z ponsowemi wyłogami, spodnie i kamizelki białe, bóty Węgierskie z ostrogami i okrągłe kapelusze z białemi kokardami. Solenizant mile przyjął powinszowania zacnéj młodzieży, a przyszłego zięcia serdecznie uściskał. Drużbami byli: trzech braci rodzonych p. młodéj i trzech stryjecznych, dwaj xiążęta Lubomirscy, dwóch rejentowiczów, p. Edward Plater i p. Zawisza. Było ich wszystkich do trzydziestu, ale czyż podobna wszystkich spamiętać? bliżéj tylko znajomych wymieniłem.

Tymczasem, kiedy panna młoda ubrana już na głowie wyszła do ojcowskiego pokoju dla przywdziania sukni; sześć panienek i tyleż chłopczyków z pokrewnych, lub zażylszych sąsiadów, wnieśli sześć ogromnych tac srebrnych z bukietami, przy każdym bukiecie była iglica złota z wyrytym rokiem i dniem ślubu. Cztery drużki p. Karolina, x. Helena i dwie stryjeczne panny młodéj, wzięły się do przypinania bukietów, biorąc dla dam od chłopczyków, od panienek dla mężczyzn. Dwieście iglic niewystarczyło dla wszystkich, choć duchownym bukietów niedawano. W ciągu téj ceremonii, w głównym bawialnym pokoju rozścielono pyszny Perski dywan p. młodego i postawiono na nim wspaniałe krzesło. Obok krzesła, stał stolik nakryty białą jedwabną złotem przerabianą serwetą, na nim na srebrnéj tacy chléb i sól, a na drugiéj starożytnéj złotéj, leżała korona ślubna zrobiona z zielonego axamitu na drótach o sześciu zębach zaokrąglonych, otoczonych sznurem z brylantów, na płaszczyźnie każdego zęba astor brylantowy, a podług ówczesnéj mody, osóbna opaska na głowę. Znakomite matrony zbliżyły się dla oplecienia korony mirtem i rozmarynem z pięknych drzew przez p. młodego przywiezionych. Przypięcie korony, zostawiono stryjence zastępującéj matkę i najbliższéj kuzynie, p. Karwickiéj. Piérwsza miała na zielonéj atłasowéj, takąż krepową złotem haftowaną suknię, na głowie strój z drogich koronek ze złotemi kłosami. Druga, na atłasowéj białéj srebrną koronką obszytéj, w axamitną amarantową greczynkę dyamentami obszytą i usznurowaną odziana była, na głowie z takiegoż axamitu opięcie z brylantami i białém piórem.

Gdy już panna młoda zupełnie ubraną była, dwaj bracia wprowadzili ją do salonu. Suknia jéj była biała krepowa, bogato srebrem haftowana, na białéj atłasowéj; kryza koronkowa, włosy pięknie utrefione, pół warkocza w pukle upięto, połowa w kształtnych kędziorach na piękną szyję spadała. Wszyscy wchodzącą uprzejmym powitali ukłonem, ojciec ją uściskał i wskazał na krzesło, dokąd ją bracia doprowadziwszy na bok

się usunęli. Przystąpiły matrony, drużki bukiet przypięły, a dwie matki przybrane uwieńczyły koroną. Podeszli dwaj drużbowie bracia, podali ręce pannie młodéj, p. młodego prowadziły, wojewodzianka Karolina i xiężniczka Helena, obie w różowych krepowych sukniach ze srebrem, na atłasie, w różach na głowie i same jak róże. Zaproszono p. wojewodę na krzesło. Dotąd szanowny starzec rozmawiał wesoło, zcicha nócił śpiew ulubiony, ale w téj uroczystéj chwili, silne uczucie sercem owładło. Milcząc usiadł na krzesło, i usiadł sam tylko, bo niebyło matki któraby z nim tę uroczystą radość dzieliła; a kiedy córka i zięć do nóg mu upadli, głośno się rozpłakał, głośno, wzniosłszy ręce i oczy, z psalmistą modły do Boga zanosił i głośno, położywszy ręce na głowach dzieci, ze łzami zlał na nich serdeczne ojcowskie błogosławieństwo. Niebyło nikogo z przytomnych, coby się tym widokiem niewzruszył.

Wstał p. wojewoda z krzesła, ale przybrana matka miejsca jego niezajęła, ani młodym pokłonić się dopuściwszy, szczerém uściśnieniem im błogosławiła; przed poważnemi jednak matronami kłaniali się i za błogosławieństwo ucałowaniem ręki dziękowali, ojcowie familii uściskiem ojcowskim błogosławili. Gdy młodzi całe koło wiekiem poważnych obywateli obeszli, p. wojewoda wziąwszy ojca mego za rękę,— „Terciu, rzecze, i Adasiu! oto jeszcze najżyczliwszy i najszczerszy nasz przyjaciel, a jemuż się niepokłonicie?“ Rzucili się oboje państwo młodzi w objęcie mojego ojca, a cicha łza i uścisk braterski, wiernie tłómaczyły uczucia i błogosławiącego i odbierających błogosławieństwo. W tém wszedł p. Burski koniuszy także w drużbowskiéj barwie, dając znać że jw. pasterz czeka ze mszą. I mnie p. wojewoda ślicznie na wesele p. Teresy przystroił: miałem białe majtki, czarmarkę granatową, z ponsowym axamitnym kołnierzem i srebrnemi potrzebami, czapeczkę szafirową axamitną i białe rękawiczki, bo ja tacę z koroną za jw. panem do salonu wniosłem i przy niéj, dopóki damy się niezbliżyły, jak na warcie stałem. Miałem już naówczas lat dwanaście.

Ruszono się do odjazdu: dwóch braci stryjecznych podali pannie młodéj ręce do karety zupełnie odkrytéj; usiadła z nią przybrana matka i cztery drużki. Pan młody i trzydziestu drużbów asystowali konno przy powozie panny młodéj. Kościół od pałacu odległy na parę tysięcy kroków; a kiedy panna młoda wysiadła przed kościołem, ostatnie powozy ledwie z pałacu wyruszyły. Ślicznież to było patrzeć, na ten długi szereg paradnych karet, w bogatéj uprzęży dzielnych koni i strojno przyodzianéj służby. Nic już podobnego późniéj widzieć mi się niezda-

rzyło i nikt już może niezobaczy, i to nawet, co świadek naoczny tu opisuję, za lat niewiele zmyśloną tylko powieścią zdawać się będzie. Zmieniły się zwyczaje, stroje i obyczaje nasze starodawne: wiek postępu wyśmiałby je może dzisiaj; wyśmianoby może obrzędy weselne wojewodzianki, i tę szlachecką poczciwą rubaszność, i tę łączność obywatelską sąsiedzką, jaka wiązała szlachtę w złym i dobrym razie. Było to życie powszechne, wspólne! Rozprzęgało je powoli panowanie Stanisława-Augusta, dzisiejsze ucywilizowanie zupełnie rozprzęgło. Zrodził się nieznany ojcom naszym egoizm, i silnie wzrasta. Zdaje się nawet, że z czasem i rodzinne krwi związki rozwiążą się, i tylko spekulacyjne stosunki zostaną. Wyśmieje mnie może z mojemi mniemaniami, oświecone dzisiejsze pokolenie, jako starego, ciemnego stronnika przeszłości, jako nieprzyjaźnego postępowi, a przyjaźnego starodawnym uprzedzeniom; ale ja, niezaprzeczam nieocenionym korzyściom dzisiejszego oświecenia, szanuję wykształcenie obyczajów, uwielbiam mężów, pod których wpływem krzewią się nauki i użyteczne wynalazki, i umysłowe udoskonalenie, lecz żądam uczuć, szukam serc! „Miéj serce i patrzaj w serce!“ święte słowa naszego nieśmiertelnego wieszcza!

Do kościoła wprowadzili pannę młodą x. Lubomirscy, p. młodemu towarzyszyły dwie stryjeczne. Msza ś. już się była zaczęła, goście zajęli ławki i krzesła. Piérwsza msza w nowo poświęconéj świątyni pańskiéj celebrowana przez pasterza dyecezyi, była na intencyę solenizanta fundatora i nowożeńców. Wyborna muzyka chorążego kor. grała na chórze; panie Dydyńska i Szopowiczowa, w towarzystwie pp. Zwierzchowskiego, Szopowicza, mego wuja i śpiewaków Międyrzeckich, harmonijnemi głosy, zachwycały modlących się Chrześcijan, przejmując ich serca wiarą, miłością i nadzieją, wraz z ich modłami wznosiły się w niebieskie sklepienia. O! bo nic tak niewzbudza ducha czystéj pobożności, jak piękny śpiew w czasie spełnienia świętéj ofiary ołtarza. Ale ileż to z nas, ciekawych słyszenia pięknéj muzyki, dla niéj tylko idziemy do kościoła, i ani nas obchodzi, co się przed ołtarzem dzieje! Za naszych ojców tak niebyło!!!

Po mszy świętéj, x. Piaskowski oficyał wstąpił na kazalnicę; a tymczasem x. biskup odszedł do zakrystyi i tam posiliwszy się kawą, i zmieniwszy obłóczenie, miał czas odpocząć z trudu, długiéj i nużącéj ceremonii poświęcenia kościoła i celebrowanéj solennie summy. Bo też i kazanie było długie; do trzech ważnych okoliczności zastosować je było potrzeba; naszpikowane było jw. i jośw. tytułami domów spokrewnio-

nych z państwem młodemi. Pięknie jednak mówił i chwalono go, a niosąc i solenizantowi i nowożeńcom najprzyjaźniejsze życzenia, zakończył temi słowy: „*ad multos annos, ad multos annos.*“ Skończyło się kazanie, ruch się zrobił w kościele, bracia p. młodéj podali ręce p. Teresie i raz jeszcze powiedli ją do nóg ojcowskich i raz jeszcze ojciec ją pobłogosławił; potém żegnała się z pannami i wszystkich głębokim ukłonem pozdrowiła. Otworzono balustradę ołtarza, pasterz siedział już na krześle przed ołtarzem w paradnéj asystencyi dyecezalnych dygnitarzy; młodzi upadli mu do nóg jako pasterza i blizkiego krewnego, podniósł ich, do serca przycisnął i łzą miłości Chrześcijańskiéj czoła ich skropił; krótko i wymównie wskazawszy im obowiązki małżeństwa, połączył ich ręce, wstał i z odkrytą głową słuchał ich przysięgi. Cóż bo to była za piękna, jak święta postać naszego pasterza! W oczach jaśniała wiara i ewangeliczna słodycz, uśmiéch był anielski, a wymowa ś. Pawła i Chryzostoma. Po ślubie zaintonował *Te Deum*, zabrzmiała muzyka z trąbami i kotłami, uderzono w kościele i po cerkwiach we dzwony, i dwadzieścia cztery razy na wiwat z mozdzierzów wypalono. Panna młoda witała mężatki i odbierała przyjaźne ich powinszowania.

W prowadzeniu pp. młodych, wielka zaszła odmiana: usunęły się drużki i drużbowie odstąpili, miejsce ich poważne matrony i sędziwi ojcowie zajęli. Pannie młodéj podali ręce Glazenop i x. wojewoda Wołyński, p. młodego prowadziły, przybrana matka i x. Józefowa Lubomirska. Oglądał się p. młody w stronę tylko pięknéj matki, mającéj na ten dzień córkę równych lat z sobą, a mównéj, lecz podeszłéj i już niepięknéj, ze spuszczonemi oczyma odpowiadał. Jadąc do pałacu w tejże co i wprzód karecie siedziała panna młoda z przybraną matką i z p. Karwicką, i panu młodemu z zaślubioną usiąść kazali. Sami więc drużbowie bez naczelnika, z mniejszą już gorliwością pannie młodéj, a z większą ochotą drużkóm asystowali. Między pałacem a kościołem jest piękny staw, a na nim porządna grobla. Przy wjeździe na groblę, wielka gromada włościan z dóbr p. wojewody czekała państwa młodych z chlebem i solą, a Jakób Dziesiętnik pałacowy powitał ich pięknemi Ruskiemi słowami, niosąc im życzenia i błogosławieństwo poddanych, i podarek, znalezioną w wałach Tuczyńskich starodawna jakąś srebrną tacę, dość nawet kosztowną. Mile przyjęli życzenia i podarek, a pan młody cóś im ofiarował, bo nizkim pokłonem i głośném wykrzyknieniem swoje zadowolenie okazali. Tymczasem ojciec mój i muzyka pośpieszyli przodem; powozy sunęły się zwol-

na i p. wojewoda wszystkich wyminął, ażeby dzieci na swoim progu powitać. Pannę młodą wysadzili z karety stryj i p. Karwicki, pana młodego wprowadziły na ganek siostra jego p. Grocholska i pani Walewska. Na ganku powitała ich muzyka chórem, którego stosowne słowa ułożył Kajetan Marcinkowski, a muzykę Budziewicz; p. wojewoda podał im chléb i sól i ojcowskiém rzewném uściśnieniem błogosławił. Wszyscy goście zbierali się w szafirowéj sali, gdzie przygotowano lekkie śniadanie, nim wszyscy goście się zbiorą.

Stół, w oranżeryi 60 łokci długiéj, 20 szerokiéj, w łuk zagiętéj, w całéj jéj długości był przygotowany z trzema bocznemi wystawami. Sześć drzew pomarańczowych w stół wprawionych, rozpościerały nad stołem piękne swoje gałęzie, a każdéj pień okryty był kwiatami. Wpośród tych klombów, srebrne serwisy z ogromnemi wazami, figury z Saskiéj porcelany, piramidy z ciast i cukrów, kosztowne kryształowe na srebrnych podstawkach do napojów przybory, tworzyły całość bogatą, okazałą, rozmaitą i gustowną. Stół w oranżeryi miał sto sześćdziesiąt nakryć, w namiocie mieściło się jeszcze dwa stoły każdy na pięćdziesiąt osób. Dano znać do stołu, ruszył x. biskup, za nim panna młoda prowadzona przez gubernatora i x. wojewodę Wołyńskiego, p. młody podał rękę x. wojewodzinie i p. kasztelanowéj Turnowskiéj. P. wojewoda i drudzy poważni obywatele, prowadzili piérwsze damy i długim szeregiem szły pary za parami. Prócz x. biskupa i piérwszych prałatów, reszta duchowieństwa zajmowali cały jeden stół pod namiotem. U głównego stołu na piérwszém miejscu posadzono państwa młodych, x. biskup i wojewodzina Wołyń. najbliżéj nich zajęli miejsca, nikomu z gości w rozmieszczeniu u stołu nieuchybiono. Panny wszystkie siedziały u wielkiego stołu, kawalerowie po za stołem damom asystowali, a jednak wszystkie trzy stoły zajęte były. P. Salukiewicz niegdyś xięcia prymasa Poniatowskiego, dziś p. wojewody kuchmistrz, wszedł paradnie wystrojony we fraku axamitnym, złocistéj kamizeli, ufryzowany, upudrowany, w trzewikach z batystowym przed sobą fartuchem i z nożem w złoto i perłową macicę oprawnym (dar x. Prymasa), i pokłoniwszy się państwu młodym, podał im na srebrnéj tacy, opleciony rozmarynem, z cyframi ich marcepan, potém wziął się do częstowania potrawami i Francuzkiemi i krajowemi, w których dnia tego najwyższy dowód dał swojéj doskonałości w sztuce kucharskiéj. Weszły kielichy, szampan niebył jeszcze tak upowszechniony jak teraz, podawano go jednak, równie jak i inne wyborne Francuzkie i Reńskie wina, jak porter i piwo Angiel-

skie, ale podawano po pewnych potrawach systematycznie i nieskąpo, i tém już rozporządzał Salukiewicz, bo pan jego dawny i gastronomem był i win wybornych używać umiał. Ale gdy przyszło zdrowie państwa młodych, piwniczy Remański, wniósł na złotéj tacy, kryształowy kielich z herbem p. wojewody na zakaz w Czechach zrobiony, prawie kwartowéj miary; lecz po sutym obiedzie, półtorawiekowy węgrzyn nieząstraszał w téj ogromnéj mierze i owszem zachęcał do spełnienia wiwatu. P. wojewoda skinął na mego ojca, ten wstał, i pokłoniwszy się x. biskupowi kielich mu podał. Powstał szanowny starzec, a podniosłszy nalany złocistym tokajem kielich błogosławił młodym, którzy aż do nóg jego się pokłonili. Przeszedł kielich do p. wojewody, od niego do gubernatora i krążył daléj z rąk do rąk poważnych obywateli. Gubernator wniósł toast solenizanta, solenizant x. biskupa i gubernatora, po kolei ojców familii, dam, stanu duchownego, pięknych drużek i t. p. za każdym toastem zmieniano kielich, a każdy był dobréj miary, za każdym toastem, brzmiały trąby i kotły, huczały moździerze.

Długo przeciągnął się obiad, słońce jednak jeszcze niezaszło jak się skończył. Wstających od stołu pan Adam Walewski stryj panny młodéj zaprosił na wety na górne pokoje. Co tylko najwyborniejszego z owoców, co najwykwintniejszego z cukrów, co najdroższego z win, wszystko to tam się znajdowało. Stół wielki okrągły zasłany obrusem złotem przerabianym, na środku ogromny kosz srebrny prześlicznéj roboty, a w nim malowniczo ułożone, brzoskwinie, pomarańcze, banany, melony drzewne, winogrona i wiśnie, uwieńczone ananasami; w czterech koszach kryształowych, były melony, kawony, rozmaite śliwki, bery i inne ; na misach kryształowych podobneż owoce z lodów, oszukiwały patrzących doskonałością naśladowania,—wszystko,nawet cukry w malowniczym porządku ułożone były. Wokoło, stół otaczały kosztowne talerze z Francuzkiéj porcelany i złote sztucce , a do napojów Angielskie i Czeskie kryształy. Było tam czém i oczy nasycić, i wykwintne podniebienie zadowolić i najwyborniejszych win zagranicznych dosyta się napić. Uprzejmy gospodarz hojnie częstował gości. Weszły puhary, lały się obficie wyborne napoje, i tu dopiéro wszedł obficie kosztowny prawdziwy szampan, i owe wysmukłe kielichy, które tak miło na brzegach Wilii, nasz szacowny Chodźko odmalował. Szampanem zdrowie państwa młodych spijano. Wiele jednak osób po utrudzeniu i rzęsistych przy obiedzie wiwatach, potrzebowali odpoczynku; x. biskup nawet od deseru się wymówił. Liczni jednak byli biesiadnicy,

gospodarz rozweselał, zachęcał, goście nieżałowali ni sobie, ni siebie, a wesołość rosła i rosła. Glazenop, ujęty miłém przyjęciem i uprzejmą otwartością wojewodzińskiéj rodziny, pijąc może po raz dziesiąty zdrowie solenizanta, w wylaniu serca, wśród najczulszych oświadczeń, ugiął przed nim kolano. Podchwycił klękającego i z rozrzewnieniem uściskał. P. Adam kazał podać węgrzyna, ale jakiego! pięć dukatów butelka! i kielich spory z napisem „*kochajmy się*“,—i spełniano ten toast w pośród najserdeczniejszych braterskich uściskań. Tymczasem dwóch wojewodziców i dwóch ich stryjecznych podnieśli krzesło, i gdy gubernator zabierał się schodzić na dół, posadzili go i niosąc na ramionach i śpiewając stosowne chóry, spijali zdrowie jego i tłukli po wschodach kieliszki. Gdy tak nasi obywatele raczyli się u kochanego p. Adama, damy wymknęły się, starsze dla odpoczynku, młódsze dla zmienienia stroju na lżejszy do tańców, niektóre zaś czując, że im ubiór choć przyciężki, ale do twarzy, i do tańców go niezmieniły. Drużbowie także poszli zamienić bóty na trzewiki, bo etykieta ówczesna wymagała, na wielkim balu być *chaussé.* A mógłże być bal uroczystszy nad imieniny i wesele w domu takiego magnata?

Niewiele było czasu między deserem i tańcami, bo i wety kończyły się przy świecach, w licznych bronzowych i srebrnych świecznikach misternie i gustownie ustawionych. Kiedy więc damy od siebie wracały, sala szafirowa już była wspaniale oświecona, równie i inne pokoje. Muzyka stroiła instrumenta, lokaje i frotery jeszcze przymiatali salę i ustawiali krzesła, w pośród których pod główną ścianą było wyższe siedzenie dla x. biskupa. O ósméj zaproszono gości na salę. X. wojewoda Smoleński najstarszy wiekiem poprowadził pannę młodą; skoro weszli, muzyka hucznie zabrzmiała narodowego. P. wojewoda szepnął na ucho xięciu, ten się posunął, ale par więcéj niepostąpiło, bo to był taniec ceremonijalny weselny. Xiążę oddał p. młodą gubernatorowi, następnie inni poważni ojcowie podawali rękę p. młodéj, ostatni oddał ją stryjowi, stryj bratu starszemu, ten pokłoniwszy się oddał ją ojcu. P. wojewoda obszedłszy z córką salę i przez wszystkie pokoje, jakby dla pożegnania ojcowskich progów oddał ją p. młodemu. Pokłonili się oboje do nóg ojcu, zatrzymawszy się potém z pokłonem przed x. biskupem, poszli w taniec a za nimi nieprzeliczone posunęły się pary. Po piérwszém obejściu sali, poważni obywatele zatrzymali taniec, i zdrowie piérwszéj pary spijali. Po kilku Polskich, które już p. wojewoda, już inni dostojni panowie z piérwszemi damami zaczynali, nastąpiły skoczne tań-

ce: jużto cudzoziemskie kadryle, anglezy, tampety, alagrelli i walce, jużto nasze narodowe mazury i krakowiaki. Były i tańce popisujące się. Uproszono x. Eustachową, że z x. Fryderykiem Lubomirskim tańczyła menueta, a z jakimże wdziękiem i powagą piękna xiężna wykonała ten okazały taniec! Xiężniczka Helena popisywała się z nieznanym jeszcze na prowincyi szalem, i wszystkich zachwyciła i serca ku sobie pociągnęła. Ale nic podobnego wrażenia zrobić niemogło, jak kozak p. wojewodzicowéj Wilżyny z Hieronimem. Nieodda pióro moje tych zalet jakiemi taniec ten się odznaczył. Kibić, ręce, nóżka, wybór kroków i na wszystko rozlany wdzięk czarodziejski, opisać się niedadzą, zapomnieć ich jednak niepodobna. Wstrzęsły się mury pałacu oklaskami, zdrowie wojewodzicowéj z trzewiczka spełniano.

Po północy odprowadzono państwa młodych z muzyką do ich apartamentów, gdzie pan młody wystąpił z cukrową kolacyą równającą się deserowi stryjaszka; ale niebyło komu nią się delektować. Pannom niepozwolono być na tym bankiecie, młodzież panien odstąpić niechciała, to tańcując z niemi, to im znosząc z góry łakocie, były więc same poważne osoby, i krążyły kielichy win wybornych, ale już nie z takim zapałem jak przy obiedzie i na wetach. Po godzinie wrócili i starsi na salę, wesołość nieustawała, hulała młodzież i niemało z poważniejszych w tańcu im dotrzymywali. Światło dnia, wpadając przez ogromne okna i mięszając się ze światłem świec po raz drugi dogorywających, niemiłym odblaskiem raziło oczy, i wielce niekorzystnie odbijało się na licach niespaniem i tańcem znużonych; nareszcie przyszła przecię komuś uwaga, że to już dzień, i rozeszli się.

Nazajutrz nikt ani myślał o ranném wstaniu, wszyscy dosypiali wydartych chwil nocy, i starali się wynagrodzić tyle niedospanych godzin. O dziesiątéj p. wojewoda dowiedział się do państwa młodych, ale jeszcze spali. O pół do dwunastéj, p. młoda z moją matką tylko pojechała do kościoła, i z gości nikt im nietowarzyszył. Około drugiéj dopiéro zaczęto się zbierać na pokoje. P. młoda w paradnéj różowéj materyalnéj sukni, we włosach utrefionych tylko oczekiwała czepka, bo p. wojewoda chciał, aby równie ceremonijalnie był włożony jak i korona. Czepek ten, był to upominek p. młodego, umyślnie od piérwszéj modniarki w Warszawie Lazarewiczowéj sprowadzony. Gdy się już damy zebrały, p. służąca wypakowała go z pudła. Był on z drogich koronek z różowemi wstążkami i kwiatami, a pod niego podług ówczesnéj mody dyadem dya-

mentowy. Mimowolny okrzyk dał się słyszeć między damami, nic bowiem podobnie bogato strojnego, a razem tak gustownego niewiedziano tu na prowincyi. Przybrana matka z kilką poważnemi damami oczepiły tym pysznym strojem panią młodą i do swojego grona zabrały.

Prócz duchowieństwa mało co z wczorajszych gości ubyło. Dzień drugi wesela, jako imieniny x. wojewody Woł. i wojewodzica Hieronima obchodzono, ale xiążę równo z dniem wyjechał, xiężna z synową zostały. I tego dnia niemniéj okazała była uroczystość. Dla urozmaicenia zabawy, ułożono tego dnia płynąć Horyniem do Holenderni, za rzeką leżącéj. Była to w istocie krowiarnia, gdzie kilkadziesiąt sztuk wybornego bydła starannie utrzymywano. Na spadzistości pagórka stał domek o trzech pokojach drewnianych, biało i zielono pod lakier malowanych, ze złoconemi obwódkami; po drugiéj stronie miała mieszkanie zasłużona staruszka p. Siewrukowa, doskonale znająca się na chowie bydła i urządzaniu nabiału, dozorczyni Holenderni. Przed domem obszerny aż do wody dziedziniec, za domem rozciągał się piękny gaj, gdzie rozmaicie rozrzucone drogi, z wdziękiem rozdzielały się i schodziły. Ogromny bat o maszcie i drugi mniejszy, ośm par pozbijanych czółen przygotowane do téj żeglugi, oczekiwały na łasze Horyniowéj pod górą pałacową. Dla bojących się wody, były powozy i najstarsi je zajęli, młodzi i młodzież woleli wodną przejażdżkę i falom się Horynia powierzyli. Dwie pary największych czółen zajęła muzyka, i przygrywając płynęła przed większym batem, na którym pp. młodzi w piękném gronie płci obojéj żeglowali. Krótko przed zachodem słońca przypłynęli do Holenderni, gdzie ich przyjemna czekała niespodzianka. Drużbowie cichaczem wystąpili z podwieczórkiem nieustępującym okazałością i wyborem traktamentu, ani deserowi p. brygadyera, ani cukrowéj kolacyi p. młodego. Gdy przypłynęła kompanija, p. Siewrukowa wyszła do młodych z chlebem, solą i błogosławieństwem, a za nią przypędzono prześlicznych sześć krów Tyrolskich z przychówkiem, na nowe gospodarstwo Terci od ojca. Potém wybiegło z gaju ośm dam i tyleż kawalerów ubranych po-Krakowsku i zaprosili całą kompaniję na pierogi i kurczęta. Stoły zastawione były pomiędzy drzewami i suto oświecone. Uczta długo się przeciągnęła, i zmrok był już ciemny, gdy się do powrótu zabierano, ale że noc była cicha i pogodna, całe więc towarzystwo wodą wracać wolało. Po brzegach rzeki paliły się beczki smolne, statki pięknie lampami ozdobione płynęły zwol-

na, a żeglarze w miłéj biesiadzie i przy dźwiękach muzyki, ani się postrzegli jak czas uleciał i do przystani przybili.

Na górze, zebrani oficyaliści i słudzy oczekiwali powracających państwa, powitali hucznym wystrzałem z moździerzów i wnet cała droga do pałacu zajaśniała kolorowemi lampami i palącemi się cyframi. Na górze palił się wspaniały fajerwerk, za którym ukryta muzyka i śpiewacy zabrzmieli chórem ułożonym przez x. Żebrowskiego rektora szkół Międzyrzeckich, od wiernych i życzliwych sług, najlepszym panom. Muzyka była Budziewicza, który i talentem swoim i kieszenią do składki oficyalistów na to przyjęcie należał. Zebrani potém na salę goście do rana się bawili i z rozwidnieniem zupełném Tuczyn opuszczali.

Na trzeci dzień zostali tylko pokrewni i ściśli przyjaciele. Chorąży kor. na następny dzień wszystkich do siebie zaprosił, muzykę odesłał, i sam na obiad tylko pozostał. Pili po obiedzie jeszcze może więcéj niż dni poprzedzających, i w słodkiém rozmarzeniu, z najprzyjaźniejszemi wynurzali się uczućmi. Chor. Stecki chciał się cichaczem wymknąć, kareta stała przed pawilonem, więc o ile mu wiek pozwolił, pośpieszał, wsiadł do karety i kazał ruszyć z kopyta. Byłem na ganku, a że mi się niezdawało, ażeby nasz pan pozwolił na taki odjazd sąsiada i powinowatego, jednym skokiem byłem na sali i znać p. wojewodzie dałem. Z żywością dwudziestoletniego młodzieńca wyskoczył z sali, przeleciał wschody i prawie w połowie dziedzińca dognawszy karetę, chwycił za koło i wstrzymał sześć koni kłusem bieżących. „A panie Janie!“—zawołał:—„niech mię milijon set... Także to ty mnie kochasz? A godzisz się najprzyjaźniejszego ci sąsiada tak ukradkiem opuszczać?“— Niebyło co mówić; i reszta kompanii z kielichami nadbiegła, wyciągają z karety, prowadzą pod ręce i na ganku nasze narodowe „kochajmy się“ spełniają. Ja widząc ten dziwny dowód siły p. wojewody, osłupiałem, niemogłem się opamiętać i do dziś jeszcze z podziwieniem wspominam. Wieczorem młodzież niesyta dwudniowych tańców, uprosiła Budziewicza, że im grał i tańcowali, a nawet p. wojewodę i chorążego koronnego do mazurka wciągnęli. Tego dnia po wszystkich folwarkach p. wojewody wyprawiano bankiety dla włościan i dla ubogich na uczczenie wesela panny Teresy, którą wszyscy jak anioła opiekuna kochali i czcili.

Takie to było wesele p. Teresy Walewskiéj; opisałem je z wielu szczegółami, które tak mi świeżo w pamięci zostały, a których trudno zapomniéć. Niewzbudza to opisanie może in-

teresu we względzie osoby, po któréj dzieci tylko zostały i dalsza rodzina, która ją niepamięta, albo nawet jéj nieznała; ale może zainteresować obraz obyczajów ówczesnych, i wspomnienie téj braterskiéj jedności, téj szczeréj wzajemnéj życzliwości, téj sprawiedliwości w ocenieniu zasługi drugich i osobistéj godności, jakie cechowały poczciwych ojców naszych. Przywykły od dzieciństwa patrzeć na tyle rodzin z najznakomitszych naszego kraju, nauczyłem się poznawać, co jest arystokracya naszych magnatów, jakie są ich charaktery, uczucia, sposoby myślenia i wzajemne ich między sobą stosunki, ale nauczyłem się razem i oceniać ich wartość! Niedziw więc, że z taką życzliwością, z taką czcią, wspominam p. wojewodę i jego rodzinę, bo zostawili po sobie zaszczytną pamięć u wszystkich, a jeszcze droższą dla mojego serca!

ROZDZIAŁ IX.

TUCZYN 5.

Po weselu pp. Bieżyńscy wybrali się do domu w Bystrzycach, bo p. Adam w Ludwipolu mieszkać nielubił. Wyjeżdżając hojnemi upominkami odpłacał się za oddane mu w czasie wesela usługi i wszystkich zadowolił. Żegnając się z moim ojcem, przy dziękczynném uściskaniu i upominku, oświadczył, że aż do skończenia szkół w Międzyrzeczu, corocznie na utrzymanie moje po trzysta złotych wypłacać będzie, i zaraz na rękę ojca piętnaście dukatów za piérwszy rok wyliczył. Dobroczynna ta summa dostateczną była na uczciwe utrzymanie szlacheckiego dziecka, jeżeli na prywatnéj stał kwaterze. Mnie umieszczono u staruszki szlachcianki Rembiszewskiéj, bardzo porządnie, i za dozórcę miałem Skoczkowskiego, młódszego brata mojego piérwszego nauczyciela. Niemiał on tyle nauki co Józef, ani tyle był ogładzony, ale był moralny chłopiec i celujący w szóstéj klassie. Niewiele miał ze mną do roboty, bo przygotowanie moje przy Szopowiczu wszystko mi ułatwiło. I dobrze mi szło w Międzyrzeczu i miałem łaskę u x. rektora, któremu polecił mię Szopowicz. Niemam co opisywać pobytu mego w szkołach, bo ten jest ten sam dla wszystkich uczących się. Nieświetniałem nadzwyczajnemi zdolnościami, ale się i wyprzedzić niedałem, a że byłem więcéj wesoły niż swawolny, to i bez kar szkolnych się obeszło i promocyę do piątéj klassy otrzy-

małem. Przez ten rok żadnych stosunków z uczniami niezabrałem, w wielu bowiem nieznalazłem tego ogładzenia jakie przywykłem widzieć w młodzieży bywającéj w Tuczynie. Z dwóma się tylko zbliżyłem; Ignacy Wyliżyński najmłódszy z rejentowiczów, i Dominik Starzyński, oba z klassy 6-téj, ale znajomość nasza zrobiła się w Tuczynie. Z Ignacym bywaliśmy razem, Dominika nigdzie spotkać niezdarzyło się. Konwiktorowie, panicze, jeszcze dumniejsi tém, że co niedziela u chorążego kor. na pokojach bawili się, z góry na mnie poglądali, i ja unikałem od nich. Ale raz p. wojewoda będąc u chorążego, pytał o mnie x. rektora i zadowalniającą odpowiedź odebrał. Chorąży przytomny rozmowie, zapytał o kogo chodzi? P. wojewoda mu o mnie opowiedział; a że p. chorąży znał dobrze mego ojca i bardzo go cenił, oświadczył więc x. rektorowi, że skoro cały tydzień niebędę mieć *malam notam*, żeby mię brał ze sobą w niedzielę do pałacu. Cóż to za zdziwienie było paniczów, konwiktorów gdy mię obaczyli na pokojach Międzyrzeckich, w mojéj eleganckiéj czamarce, i gdy przy prezentacyi p. chorąży w czoło mię pocałował. Rozpoczęły się jesienne polowania, do których przybył dom kasztelanowstwa z ogromnemi lasami pełnemi grubego źwierza. 16 października obchodzono w Bystrzycach imieniny pani saméj, na które zjechał p. wojewoda z rodziną i sąsiedztwo, bo razem obchodzono przenosiny państwa Bieżyńskich. Już tego niebyłem świadkiem i dopiéro na święta do Tuczyna przyjechałem. Kasztelanic odebrał od Trzebuchowskich brata swego Julka, i pani Teresa z pomocą siostry mojéj starszéj, którą dowodząc ojcu memu życzliwości za tyloletnią jego przychylność, wzięła na opiekę, kształcili go. P. Węgierski nieodstępnym już został domu kasztelanowstwa i domowe towarzystwo było przyjemne. Na święta zjechali pp. Bieżyńscy do Tuczyna i p. wojewoda przybranemu synowi sute wyprawił imieniny. W Tuczynie zawsze młodzieży dużo było i gość częsty, bawiono się więc wesoło, bo interesa szły ładem, pomyślnie i z intrat dokładały się córek posagi.

Dobre to były czasy! lata urodzajne i handlowe. P. Łowczy Jabczarski, coraz na większą stopę szyprując, u połowy prawie obywateli Wołyńskich zakupował pszenicę, płacił gotówką po dukacie korzec na miejscu, a jeśli produktami Gdańskiemi, to i wyżéj. P. wojewoda i wielu innych zadowoleni akuratnością i rzetelnością p. Jabczarskiego, trwali w niezmiennych z nim stosunkach. Ale niektórym zdawało się, że p. łowczy za wiele na nich zarabia i postanowili wyprawić się sami z pszenicą swoją do Gdańska. Tak więc p. podczaszy kor.

Czacki, brat jego stryjeczny strażnikowicz, xiążę Eustachy Sanguszko, Józef Stecki syn chorążego Kor. i kilku jeszcze, odprowadziwszy pszenicę do Buga w Korytnicy wyruszyli do Gdańska razem. Łowczy nietylko, że im za złe niemiał zajęcia się osobiście swoim fryorem, ale owszem jako biegły szyper, wiele im radą swoją pomagał. Jakiś mały wypadek zatrzymał łowczego w drodze i panowie pierwiéj od niego w Gdańsku stanęli. Wieść runęła po całém mieście o przybyciu naszych magnatów; ponajmowane magazyny tysiące łasztów pszenicy mieściły, ale nikt z kupców, ani przez faktorów, ani osobiście o cenie tych zapasów niedowiadywał się. W tydzień dopiéro nadjechał p. łowczy i natychmiast ruch wielki zrobił się w mieście, a drzwi jego mieszkania po całych dniach się niezamykały, taki był natłok spekulantów. Cena była wysoka i obieg złota ogromny. W dziesięciu dniach p. Jabczarski ukończył swoje targi po siedm czer. zł. korzec, trzecią część szacunku zboża biorąc jak zawsze w towarach, co kupcom było bardzo na rękę. U naszych panów, ledwie kto zapyta o pszenicę, a że ją chcieli zbyć po cenie p. Jabczarskiego a brać gotówką, stała więc pszenica nietknięta. P. Jabczarskiego statki już ruszały nazad naładowane cukrem, kawą, bakalijami, trunkami, bielizną stołową, srebrami, meblami i t. p. pokupnemi towarami; a nawet sam łowczy do wyjazdu się zabierał, kiedy nasi panowie niedoczekawszy się zbycia swego fryoru, zrzucili pychę z serca, i daléj w prośby do p. łowczego. Nieodmówił zacny szlachcic swojéj pomocy, i za jego wpływem panowie przedali swoję pszenicę po 110 zł. korzec gotówką.

Po ukończeniu targów pszennych, piérwszy z kupców i jakiś urzędnik municypalny, niepomnę już dobrze,ale zdaje się Zellerman, bo i podczaszy Kor, z którego ust całą tę historyę słyszałem, niepewnie tak go nazywał, zaprosił naszych magnatów, na wielki obiad, dawany w imieniu kupiectwa Gdańskiego, dla p. Jabczarskiego. Niewypowiedziany był przepych w potrawach, najrzadsze i najwyborniejsze wina wystąpiły w niepospolitéj obfitości; a piérwszy toast, wniósł gospodarz bankietu: „za zdrowie tego, który nas od lat dwunastu karmi i handel nasz pszenicą swoją wzbogaca! p. łowczego Jabczarskiego zdrowie!“ i muzyka grająca w czasie obiadu, huczno w trąby i kotły uderzyła. Osiwiały nasz szyper Wołyński, piérwsze miejsce przed magnatami u stołu zajmował i wszystkie honory bankietu dla niego były. Drugi toast wnieśli kupcy, zdrowie w ogólności obywateli Wołyńskich, a obecni, i za siebie i za całą prowincyę dziękować musieli. Po obiedzie, panowie Wołyńscy od-

prowadzili p. Jabczarskiego do jego mieszkania i prosili, aby ich komiss przyjąć raczył, albo po-dawnemu pszenicę u nich zakupował; ale staruszek od wszystkiego się wymówił, obiecując pomagać im wpływem swoim i radą, i wspólnika niegdyś swego p. Chodakowskiego im zarekomendował.

Taż sama wiosna pamiętna i nadzwyczajném wód wezbraniem. W Tuczynie, Horyń zalał wszystkie łąki i utworzył jezioro, więcéj kwadratowéj mili rozległe, a z pałacu do Holenderni po wierzchu wierzb i topoli nadbrzeżnych czółna pływały. Wspaniały to był widok, ale trwał tylko trzy dni, po czém dość raptownie wody opadły. Wylew ten żadnych znacznych szkód nienarobił, i tylko młyny Tuczyńskie przez dwa tygodnie intraty zwykłéj nieprzynosiły.

Roboty około ukończenia pałacu, zimą nawet nieustawały. P. wojewoda jakby przeczuwał jakąś konieczną potrzebę tego pośpiechu, i sztukatorów, jakiemi tylko mógł sposobami ujmował, ażeby z robotą pośpieszali. Pobłażanie, i że tak powiem nadskakiwanie pana, ozuchwalało zarozumiałych Niemców, tak, że już i pałacowym i miasteczka mieszkańcom nieznośnymi się stawali. Dwa wielkie pokoje naprzeciw stancyi mego ojca, oddano im na skład form i odlewanie sztukateryj. Nadchodziła Wielkanoc, i od Kwietnéj niedzieli Niemcy Katolicy porzuciwszy robotę, oddali się nabożeństwu. P. wojewoda podług zwyczaju na rannéj sessyi naradzał się z moim ojcem względem następujących świąt, bo spodziewając się oprócz rodziny wiele gości, chciał więc jeszcze okazaléj wystąpić: polecał więc mojemu ojcu, ażeby i dla sług równie jak dla panów, święcone i porządnie i obficie przygotowane było. Apartamenta pałacowe wszystkie miały już swoje przeznaczenie. Na święcone pańskie naznaczono salę szafirową, na stół marszałkowski salę dolną w lewym pawilonie, chodziło tylko o miejsce obszerne dla liberyi, i mój ojciec wielce się biedził, gdzie się z ich stołem podzieć. Kamerdyner Makarewicz i piwniczy Romański, przypomnieli się, że tamtych lat pod bokiem mego ojca, właśnie w izbach przez Probsta zajętych, bywało dla służby dworskiéj święcone, i że teraz można je przez święta na ten użytek obrócić. Przyjął mój ojciec radę, tém więcéj, że pod jego bokiem, i że przez to zapobiegało się mogącym wypaść nadużyciom, i kazał jak najostróżniéj z większego do mniejszego pokoju wszystko powynosić. Rozgniewany Probst, że bez jego zezwolenia noszono formy i narzędzia, wleciał zapérzony do p. wojewody ze skargami na mego ojca, że mu wszystko zrujnował i że niema już czém kończyć swojéj roboty. Było to w Wielki pią-

tek, ojciec mój wyszedł dla dalszych rozporządzeń i spotkał się z panem, który w największém poruszeniu gniewu, od zwykłego: Niech mię i t. d. zaczął. Po kilku zamienionych ostrych z obustron wyrazach, p. wojewoda rzuciwszy czapkę, o ziemię. „Niech to milijon set djabłów weźmie takich sług!“ wykrzyknie; a mój ojciec równie żywy i unoszący się, w toż, rzuciwszy czapkę i témże samém wyrażeniem oddając złym duchom taką służbę, za obowiązek podziękował; potém milcząc rozeszli się i żaden czapki niepodjął, ojciec jednak zajmować się przygotowaniami nieprzestał. Kamerdyner, podjąwszy czapkę pańską, odniósł ją do pokoju, zastał pana siedzącego przy stole z głową spuszczoną na obu rękach opartą. „Kto tam?“ zapytał pan nieobracając się. „Przyniosłem czapkę jw. panu.“ „Możesz pójść sobie.“ Wszyscy dworscy kochali ojca mego jak ojca, a Makarewicz, który całą scenę widział i wiedział z jakiego powodu zaszło poróżnienie, niemógł wytrzymać i do pana przemówił. „Jw. pan był w izbie gdzie przygotowano święcone dla liberyi?“—„I pocóż miałem iść, żeby widzieć całą robotę moich sztukatorów w niwecz obróconą?“—„Jw. pan usłuchał Niemca, który najniegodziwiéj nałgał przed jw. panem.“ — „Idź waść do milijon set!“ i zamilkł, ale w głosie niewidać już było uniesienia gniewu z jakim przed chwilą wybuchnął; kamerdyner wyszedł.

Rodzina już się była zjechała, wszyscy chcieli nadąsanych pokombinować; ale mój ojciec niedał się niczém nakłonić, a panni tém, ni owém pośredników zbywał. Wieczorem p. wojewoda idąc do spowiedzi, kazał ojca prosić do siebie i po-chrześcijańsku przepraszał,—przepraszał podobnież mój ojciec pana; ale to była scena sucha, zimna i tylko obowiązkom obrzędu religijnego zadość czyniąca. Mój ojciec trwał w swojém postanowieniu, p. wojewoda ani namienił, że chce mego ojca nadal w obowiązku jego utrzymać, i znowu się jak obcy sobie rozeszli.

Wiosna była prześliczna, wszystko odżyło i nowém uśmiechało się życiem. Przeszła Wielka sobota, zjechali się zaproszeni goście, p. wojewoda uprzejmie ich wita, ale widno, że ciężka troska jakaś na sercu mu osiadła, ani się uśmiechnie, ani ulubionego śpiewu niezanóci, a smutek ojca i na rodzinie się odbija. Nadszedł i dzień piérwszy świąt, pogodny i ciepły, wszyscy piechotą poszli do kościoła.

Mój ojciec równie jak i pan jego będąc miłośnikiem dawnych zwyczajów, zaprowadził taki porządek. Cała kompanija zebrana piérwszego dnia świąt na pokojach, oczekiwała wezwa-

nia na święcone. Gdy wszystko już było przygotowane, kamerdyner w paradnym stroju dawał znać, lokaje otwierali po dwoje i cała kompanija wchodziła do sali, a mój ojciec spotykał pana z jajkiem święconém i winszował mu szczęśliwie doczekanego *Alleluja*, i dopiéro p. wojewoda wziąwszy od niego talerz obracał się do dzieci i do zaproszonych gości. Tak było już przez lat sześć, i terazby tak było, gdyby poróżnienie pana ze sługą niebyło na przeszkodzie. Wszystko jednak było przygotowane jak dawniéj i kamerdyner oznajmił że gotowo. Wszedł p. wojewoda z całą drużyną, ale nikt niepodszedł naprzeciw niego; boleśny wyraz twarzy, malował boleśne uczucie serca naszego zacnego pana. „Prosić p. Detiuka!“ rzeknie smutno, wszyscy czekają, kamerdyner wraca i odpowiada, że p. marszałek dziękuje. „To ja sam pójdę!“—„Nie mon cher père! niech papa pozwoli, ja z Józefem pójdę“, — ozwała się p. Karolina. — „Idź moje dziecię! idź!“ Mój ojciec chodził smutny po pokoju, widać w nim było walkę obrażonéj dumy szlacheckiéj, z przywiązaniem synowskiém do dobrego pana. Weszli deputowani, wojewodzianka rzuciła się na szyję memu ojcu, zaklinając ażeby poszedł, bo p. wojewoda niczego tknąć się niechce bez niego, i ciężkie zmartwienie zachmurzyło twarz ojca, ani się nawet do dzieci uśmiechnie. „Mój luby! drogi mój Detiukuniu! — mówiła daléj ze łzami — chodź! chodź! jak nas kochasz!“ Niemógł się ojciec mój oprzeć czułemu wezwaniu tych dwojga młodych ludzi, których całém swém sercem kochał, wzięli go więc pod ręce i powiedli do sali.

P. wojewoda podszedł ku niemu z rozstawionemi rękami mówiąc: „A p. Łukaszu! i tyż mię w takim dniu odstąpić chciałeś? I toż mi krewkości mojéj nieprzebaczysz? Któż mi poda ten święcony pokarm, który przez lat tyle nawykłem z twojéj życzliwéj przyjmować ręki?“ Za całą odpowiedź, chwycił rękę kochanego pana mój ojciec i do ust poniósł. P. wojewoda objął go po-bratersku, a to ciche uściśnienie i łzy obu zmięszane, były najpiękniejszém pojednaniem i ślubem nierozstania się aż do zgonu. Potém, wszystko szło już dawnym porządkiem, a cała rodzina wojewodzińska dziękowała ojcu memu, że pozostał. P. wojewoda odtąd jeszcze więcéj był wylanym dla mego ojca, i w obec wszystkich wyznał, że bez niego jużby się obejść niemógł. Do Probsta, taką niechęć powziął, że chciał nawet przemienić sztukatora, ale mój ojciec tego niedopuścił, i nietylko że Niemca na miejscu utrzymał, ale mu jeszcze dom na dziedzictwo wyrobił, i uprosił, że p. wojewoda z matką moją Probstowi syna do chrztu trzymał.

Po pięknéj wiośnie, piękne nastąpiło lato. Bujném zbożem okryte łany, zbiór obiecywały bogaty. Cieszyli się właściciele ziem nadzieją sutéj intraty, włościanie błogosławili imie Wszechmocnego za bogaty zapas chleba! Zboża dojrzewały, żniwa już blizkie były, — kiedy pamięcią starców niezasiągnięta na Wołyniu szarańcza, ogromnemi chmurami przeciągała nad krajem i po całych godzinach wśród dnia nocnym cieniem ziemię okrywała. Przestrach ją poprzedzał, a po niéj zostawało zniszczenie. Szczęśliwe pole, które ominęła, lecz gdziekolwiek ta klęska padła, na niwach przed chwil niewielą zbożem okrytych, zostawała czarna tylko ziemia, kryjąca we wnętrzu swojém zarodki tych strasznych pustoszycieli. Łan Szubkowski wcześniejszy od innych, na dniach zapowiadał już żniwo, a na żadnym folwarku tak pięknéj pszenicy niebyło, kiedy w nocy z 3 na 4-ty lipca osiadła na nim szarańcza, ale stwardłego już ziarna pozrzeć niemogła. Przededniem ekonom przyleciał dać znać mojemu ojcu, i on i włościanie radzili spędzać, mój ojciec kazał się wstrzymać, bo już to, co popsuła, poprawić było trudno, a że na całą dobę usiadła, był więc czas namyśleć się jakby ją na miejscu wygubić, i udał się do p. wojewody.

„Bóg łaskaw na nas jw. panie! błogosławi nam we wszystkiém, ale złe równie jak i dobre, z pokorą z jego ojcowskiéj ręki przyjąć potrzeba! Wszystkiego doświadczyć musimy.“—„Cóż to jest? cóż mi tak okropnego zwiastujesz?“ — „Jeszcześmy téj klęski niemieli: szarańcza na łan Szubkowski padła!“ — „Niech mię milion set! nieszczęście! spędzać!“—„Spędzać, to nietrudno, i odpędzić można, ale to, zakopaniu się jéj nieprzeszkodzi, a ta która odleci, klęskę daléj rozniesie.“ — „Cóż więc robić?‘ — „Poświęcić swój łan, i tém przeciąć dalsze szerzenie się.“—„To chyba spalić?“—„Nieinaczéj, tym tylko sposobem i lecąca się zniszczy i nasion swych zgubnych w ziemi niezostawi.“—„Kochany mój p. Łukaszu! leć! weź się natychmiast do téj roboty, niech wożą słomę ze wszystkich folwarków! Spal moję pszenicę, niech się zniszczy ten straszny nieprzyjaciel obecny i przyszły.“ Mój ojciec wsiadł na konia i cwałem puścił się na łan napadnięty, a w parę godzin obszernie wznoszące się dymy zwiastowały pożar na łanie. P. wojewoda patrzał z okien salonu na pożar i głośno śpiewał: *U drzwi twoich.* Czynność ta prawdziwie obywatelska, przerwała dalsze napady, i zdaje się, że następne hordy przerażone takiém przyjęciem, zwróciły kierunek na lasy Poleskie i tam swą zgubę znalazły. Nagrodził Bóg sowicie poświęcenie własnych widoków powszechnemu dobru, bo na drugich folwarkach tak omłotna okazała się pszenica, że

ilością swoją wynagrodziła utratę jednego łanu i w bilansie, przychód nieokazał się mniejszym od przeszłorocznego, i p. Jabczarski znowu pięknem złotem pszenicę zapłacił.

Następowała jesień. Pp. jeneralstwo Karwiccy chcieli ażeby św. Michał u nich w Mizoczu był obchodzony. Zgodził się na to p. wojewoda pod warunkiem, że jeneralstwo na całą jesień zjadą do Tuczyna. Huczny był bal w Mizoczu, i pokazały się na nim nowe osoby. Pani wojewodzina Szwejkowska siostra jenerała z córką Anną i synem Adamem. Zacna to, czcigodna była dama, przykład żywy wzorowych cnót ojczystych. Syn! i któż go niezna na Wołyniu z jego obywatelskiéj poczciwości? A panna Anna! Co natura ujęła jéj we wdziękach lica, to stokrotnie nagrodziła najszlachetniejszemi uczućmi, wysokim rozumem i mnóztwem pięknych talentów! Nową także i ważną osobą był młody hrabia Alexander Chodkiewicz. Wspaniała postać, wysoka uczoność, świetne serca przymioty i wielkie historyczne imie, jednały mu życzliwość i szacunek powszechny. Hrabia część tylko ojcowizny posiadał, bo matka p. starościna Żmujdzka resztą majątku władała, ale i tego co miał hrabia używał na wsparcie nauk i ulgę cierpiącéj ludzkości. Niebył żonaty i wszystkie nasze Wołyńskie magnatki, zięcia w nim sobie marzyły. Pani Karwicka powiedziała sobie, że go z wojewodzianką Karoliną ożeni. Poznał był wojewodziankę hrabia jeszcze przeszłego roku w Dubnie na karnawale u xięcia Michała Lubomirskiego, ale pobyt na Litwie całoroczny, niedozwolił jéj częściéj oglądać. Utkwiła mu jednak w pamięci i chętnie zaproszenie jeneralstwa na św. Michał przyjął, bo tam znowu miał zobaczyć, obecną w pamięci, a może i w sercu osobę. P. Karolina miała lat dziewiętnaście, wzrostem, kształtną kibicią i wdziękami oblicza, przewyższała wszystkie rówiennice, a pięknéj powierzchowności odpowiadała piękna dusza i męzki rozum. Wielu było ubiegających się o jéj rękę, ale żaden jeszcze wyobrażeniom jéj o zamęźciu i mężu nieodpowiadał. W marzeniach swoich szukała czegoś wyższego, a bal Mizocki zdecydował o jéj losie; swatowstwo p. jenerałowéj szczęśliwy wzięło skutek i spełniły się marzenia.

Na tym balu ułożono, że cała kompanija jeneralstwa zjedzie do Tuczyna na oktawę ś-go Michała, na bal maskowy i na polowanie, — i w saméj rzeczy p. wojewoda wróciwszy do domu, oznajmił ojcu memu o projekcie. Chwalił bardzo hrabiego i dał to poznać że wielceby sobie życzył mieć go za zięcia. Tydzień prędko upłynął. W domu zamożnym przygotowania niebyły trudne; goście się zjeżdzali, a było ich co niemiara, każdy je-

dnak, jak zwykle u p. wojewody bywało, znalazł uprzejme i miłe przyjęcie. Nastąpił dzień festynu; w pysznie oświeconych salach okazały się licznie zebrane rozmaite narody: Kamczadale i Murzyni, Peruwianie i Morlaki, starożytni Rzymianie i czasów Ludwika XIV Francuzi, Turcy i Hiszpanie, nawet Cyganie i Żydzi. Wojewodzianka z jenerałową ubrane były za Morlaczki, a piękny ten z siebie ubiór podnosiły jeszcze bogate klejnoty jenerałowéj. Hr. Chodkiewicz, był w stroju Polskim Bolesławowskich czasów; do twarzy i kibici ten strój potomkowi wielkiego imienia! Patrząc na niego, wyobraźnia mimowolnie przenosiła się w wieki ubiegłe i przypominała Jana-Karola w chwili, gdy po ślubie z Anną z Ostroga, na wojnę Chocimską się wybierał. Wesołość szczera panowała w całém zebraniu, a wspaniały Staropolski senator w niejednym tańcu z piękną Morlaczką oddawał w cichéj rozmowie hołd jéj wdziękom i przymiotom. Miłe były te rozmowy wojewodziance, a odpowiedzi jéj tchnęły szacunkiem i rozumną zalotnością. Bawiono się wybornie, a wstające słońce powitało tańcujące jeszcze rozmaite narody.

Spali długo dnia następnego, a nawet p. wojewoda zaspał zwyczajną swoję godzinę. O ósméj radzili sobie z moim ojcem, a wtém wszedł kamerdyner i zwiastował odwiedziny p. hrabiego. „Proś!“ rzekł p. wojewoda, i sam ruszył ku drzwiom na spotkanie dostojnego gościa; ojciec mój chciał wyjść, ale go hrabia zatrzymał: „Przed panem, tak przywiązanym do p. wojewody, sekretu niéma, proszę zostać z nami.“ Pokłoniwszy się potém do kolan p. wojewodzie, o rękę p. Karoliny prosił. „P. hrabio!—rzeknie p. wojewoda—twoje imie, twojéj duszy świetne przymioty, dają ci piérwszeństwo przed wszystkimi synami naszych obywateli. Nietaję się z tém, że szczęście jakie w połączeniu z tobą córki mojéj znajduję, marzenia moje przewyższa. Oddaję ci moję Karolinę i o los jéj spokojny, spokojnie do grobu zstąpię.“ Uściskali się czule, a o południu w obec wszystkich gości, hrabia i wojewodzianka zamienili obrączki i błogosławieństwo ojca otrzymali. P. Karwicka może najwięcéj się cieszyła, bo połączenie zaręczonych istotnie swatowstwa jéj było dziełem. I ten dzień uroczyście obchodzono, a hrabia nazajutrz wyjechał mając na 16 t. m. powrócić. Wesele postanowiono wyprawić na ś. Jędrzéj z równą jak i p. Teresy okazałością.

Z wyprawionego tak szczęśliwie maskowego balu, wielu jeszcze gości na polowanie zostało, a ciepła i dziwnie pogodna jesień sprzyjała téj rozrywce, a przy niéj i innym zabawom.

Wędrówki wodne na Horyniu, podwieczórki po różnych pięknych okolicach Tuczyna przerywały łowy, z których znowu wracając myśliwi, spotykani byli to przez chłopskie wesele, to przez Krakowskie, to przez jakichś rycerzów i współcześne im damy, to przez Żydów z towarami, rozdających bez zapłaty różne ładne bagatele. Między innemi, szczególniéj udał się tabor Cygański. Pani Karwicka, dusza tych zabaw, pomysł o Cyganach podała i swoim kosztem całą bandę, pod sekretem dla myśliwych, przystroiła. Niedaleko za pałacami, wznosi się las stary sosnowy, a w pośród niego gdzie-niegdzie piękne polanki. Na jednéj z takowych nad drogą, którą myśliwi wracać mieli, rozłożył się tabor ze swemi ogniami i szatrami. Już się zmierzchało, kiedy myśliwi zadowoleni ubiciem dzika i łosia, zbliżali się wesoło ku końcowi lasu. Nagle uderza ich blask jakiś i odgłos nieznajoméj muzyki. P. wojewoda pyta mojego ojca: „Co to jest?“ — „Niewiem jw. panie,“— i puścił się koniem ku miejscu zkąd łuna i odgłos dochodziły. Tymczasem kompanija polujących zbliżywszy się, rozpoznaje Cyganów tańcujących w najlepszą swojego kadryla. „Niech mię milijon set djabłów! — wykrzyknie. p. wojewoda, — Cyganie!“ a cierpiéć niemógł koczujących, choć całe przedmieście osiadłymi miał zamieszkane. Już gotował się na ostre wymówki mojemu ojcu, kiedy cała gromada Cygańska w skokach i pląsach, zastąpiła myśliwym drogę, obiecując im wróżyć i zapraszając na cygański bankiet. Poznano niespodziankę, pozsiadali z koni i z powozów, witali starszą (p. Karwicką) taboru, i pomięszawszy się z Cyganami, pod radnianym szatrem, znaleźli wyborną wieczerzę i późno na tańce wrócili do pałacu.

Tak jesień wesoło upływała, a tymczasem przygotowano wyprawę.. Wrócił hrabia na dzień oznaczony, było to święto kasztelanicowéj, któréj Bóg pobłogosławił już córeczką, a któréj ojciec uroczyste sprawiał imieniny.. Wróciła i najstarsza córka xiężna Jabłonowska, z ledwo wyszłą z dzieciństwa śliczną córeczką Dosią. Chorąży Kor. radował się z powrótu córki tak pięknéj, ale o projektach dla niéj myśleć jeszcze niemożna było, bo Dosia rok dopiéro 14-sty miała. Na tych imieninach odebrał p. wojewoda kuryera od jenerała Baura z listem przepraszającym że na uroczystości Tuczyńskie zjechać niemógł, bo assystował N. cesarzewiczowi w. x. Konstantemu będącemu w Dubnie i bytność jego w Tuczynie zapowiadał. Nazajutrz więc p. wojewoda odjechał do Dubna, ażeby się N. cesarzewiczowi prezentować, nim swą bytnością dom p. wojewody zaszczycić raczy. Niebytność gospodarza nieprzerwała zabaw, ale do przy-

ęcia monarchicznego gościa wielkie przygotowania czyniono. Trzeciego dnia wrócił p. wojewoda pełen radości z łaskawego przyjęcia u cesarskiego syna. Na dzień naznaczony przybył wielki xiążę otoczony licznym pocztém jenerałów, z pośród których Baur najlepiéj był uważany, i wiele miał wpływu u Cesarzewicza. Wielki xiążę młody, wesoły bawił w Tuczynie trzy dni. Niewymuszona uprzejmość p. wojewody, ten ton przyzwoity w zachowaniu się z tak wysoką osobą, piękny dobór towarzystwa, rozmaitość zabaw, tak ujęły xięcia, że po trzydniowém bawieniu w Tuczynie, przy najprzyjaźniejszém pożegnaniu z p. wojewodą, oświadczył że Tuczyn miłém mu będzie wspomnieniem, i że mieć się będzie za szczęśliwego, jeśli p. wojewoda jakim interesem jego x. m. obarczyć zechce; i wyjechał z Tuczyna do Równego. Zapewnie że bytność takiego gościa, niemałym zaszczytem dla domu obywatelskiego, ale wyznać potrzeba, że po jego wyjeździe swobodniéj się bawiono.

Wypadły hrabiemu jakiś interes, zmusił go prosić o przyśpieszenie wesela: nieczekając więc oznaczonego wprzódy dnia, wesele odbyło się 9 listop. na dzień imienin xiężnéj Jabłonowskiéj. Dżdżysty był czas i błotny, biskup jednak zjechał błogosławić ostatnią córę przyjaciela i krewnego, ale z zaproszonych gości ani połowy niebyło, niebyło też i okazałości o jakich myślano, wesele jednak odbyło się tak, jak na senatorski dom przystało. Ślub odbył się na szafirowéj sali świetnie przybranéj w pomarańczowe drzewa i oświeconéj. Xiężna Jabłonowska jako siostra najstarsza, zastępowała matkę i koronę pannie młodéj przypięła. Skrzywiły się na to niektóre z obecnych matron, że xiężna raz się rozwiodłszy z mężem, za drugiego wyszedłszy, niepowinna była spełniać tego obrzędu, ale to było żądaniem panny młodéj i tak być musiało. Różne ztąd na przyszłość niepomyślną robiono wnioski, niestety z czasem sprawdzone! Ale o tém potém. Niemam co ze szczegółami opisywać uroczystości wesela panny Karoliny, bo to byłoby powtórzeniem tylekroć już opisanych. Smutno było ojcu z ostatnią już córką rozstawać się; tydzień jeszcze hrabstwo zabawiwszy w Tuczynie, do domu swego w Pekałowie o pół milki od Młynowa, gdzie matka pana młodego mieszkała. Pani starościna Żmujdzka dla wieku i niedomagania, na wesele syna niezjechała, napisała tylko list pełen najprzyjaźniejszych wyrażeń do p. wojewody, a dla przyszłéj synowéj z błogosławieństwem, wysokiego szacunku klejnoty przysłała. Nazajutrz po przybyciu do Pekałowa państwo młodzi odwiedzili panią starościnę, mile matka przyjęła synową i niedozwoliwszy jéj nawet upaść sobie do nóg, czu-

le ją uściskała, nazwała córką i trzy dni od siebie hrabstwa niepuściła. Wkrótce i p. wojewoda za dziećmi pośpieszył i zaraz pani starościnie złożył winne uszanowanie. Wizyta tak znakomitego obywatela, którego p. starościna wysoko ceniła, uradowała tę panią zacną, ale dumną, przyjęła go najuprzejmiéj i na nadchodzące święta ze wszystkiemi dziećmi zaprosiła. Zjechała się cała rodzina wojewodzińska do Młynowa, a pani starościna występując hojnie i okazale, cały prawie tydzień u siebie zatrzymała. Na Nowy rok, chorąży Kor. chcąc także ufetować nowe małżeństwo, wszystkich z Młynowa do Międzyrzecza zaprosił. Tak się zakończył ten rok, p. wojewoda osamotniał, bo już niebyło przy kim zbierać się córkom obywatelskim w Tuczynie, a choć jeszcze towarzystwo liczne zostało, bez dam życia niemiało. PP. Bieżyńscy tylko dla przyjemności ojca więcéj w Tuczynie, niż w Bystrzycach bawili.

ZBIORY KANONÓW,

PRZEZ

KS. A. S. KRASIŃSKIEGO.

(Dokończenie).

KLEMENTYNY.

Na początku czternastego wieku, Klemens V papież, niepospolity prawoznawca, wydał zbiór dekretów, które pod imieniem Ustaw Klementyńskich (Clementinae) ogłoszone zostały przez Jana XXII, i stanowią czwartą część Całozbioru prawa kanonicznego (Corpus juris canonici). Cytują się Klementyny tak samo jak Dekretalija, z dodaniem: *in Clementinis.*

Ustawy rozproszone (Extravagantes). Pod tém imieniem znajome są dwa niewielkie zbiory postanowień papiezkich, które do uprzednich zbiorów nieweszły, lecz oddzielnie od siebie były w obiegu, i dla tego je nazwano rozproszone albo tułaczki (Extravagantes). Jedne z nich zebrane w XIV wieku, noszą imie Tułaczek Jana XXII; drugie zebrane pod koniec XV wieku zwane są Tułaczkami ogólnemi (Extravagantes communes). Cytują je, wymieniając tytuł, rozdział, z dodaniem *in Extravagantibus Joannis XXII*, albo *in Extravagantibus communibus.*

Weszły one do Całozbioru prawa kanonicznego, ale mniejszą mają powagę niż Dekretalija Grzegorza IX i szósta xięga czyli Sextus Decretalium.

Całozbiór tedy prawa kanonicznego (Corpus juris canonici) z sześciu części się składa:

1. Dekret Gracyana.
2. Dekretalia Grzegorza IX.
3. Szósta xięga Dekretalijów Bonifacego VIII (Sextus Decretalium).

4. Ustawy Klemensa V (Clementinae).
5. Ustawy rozproszone Jana XXII (Extravagantes Joannis XXII).
6. Ustawy rozproszone ogólne (Extravagantes communes) (1).

W niektórych późniejszych wydaniach znajduje się siódma xięga Dekretalijów, przy końcu XVI wieku przez Piotra Mateusza prywatną powagą zebrana (Septimus Decretalium).

Prawo nowocześne (jus novissimum) stanowią: 1. Koncylijum Trydenckie. 2. Bulle papiezkie. 3. Postanowienia kongregacyj kardynalskich, jakiemi są: kongregacya tłómaczów koncylijum Trydenckiego, kongregacya świętego urzędu czyli Inkwizycyi, kongregacya indexu, kongregacya biskupów i zakonników, kongregacya świętych obrzędów, kongregacya do rozkrzewienia wiary i t. d 4. Ustawy synodów prowincyonalnych przez stolicę Apostolską zatwierdzone. 5. Nareszcie konkordaty, które stolica Apostolska z dworami Europejskiemi pozawierała.

Koncylijum Trydenckie, które najpierwiéj Polska za Zygmunta-Augusta na sejmie Parczowskim w r. 1564 (2), a potém na synodzie prowincyonalnym w Piotrkowie r. 1577 (3) przyjęła, składa się z dwudziestu pięciu posiedzeń (sessiones), w których znajduje się wykład dogmatów i kanony tyczące się karności ko-

---

(1) Celniejsze wydania są:
Corpus juris Canonici emendatum, w Rzymie 1582, in fol., tomów 4.
Corpus juris Canonici ad exemplar Romanum diligenter recognitum, w Paryżu 1585, in fol. tomów 3.
Corpus juris Canonici ad exemplar Romanum, w Lugdunie, 1618, in fol., tomów 3.
Tamże, w 1613, w 1661, w 1671, in fol., tomów 3.
Corpus juris Canonici, w Lipsku, 1695, in fol., tom. 2.
Corpus juris Canonici, cui aecedunt annotatio nes Antonii Contii, Antverpiae 1573, in fol., tomów 3.

(2) Kommendoni w Relacyi do stolicy Apostolskiéj przyjęcie to na sejmie Parczowskim szczegółowie opisuje. Relacyę tę późniéj w piśmie naszém czytelnikom podamy.

(3) Synod ten mówi: Eosdem Canones ac decreta sine ulla exceptione sancte et reverenter (synodus) recepit et recipit, ae ut primo quoque tempore per eos ad quos id ex eorum praescripto pertinet in fota hac provincia debitae excentioni demandentur, praecipit et decernit, sub poenis in iisdem contentis.

ścielnéj. Są w niém nadto dekreta o poprawie nadużyć (de Reformatione), które w owéj epoce w wielu miejscach się wkradły (1).

Bulle papiezkie zebrane są w bullaryuszach jakiemi są:

Bullarium Romanum Laercyusza Cherubina, tomów 5, in fol., od Leona I do Klemensa X.

Coquelines, Bullarium Romanum bullarum, privilegiorum ac diplomatum Romanorum pontificum amptissima collectio, Rzym 1739—1744, 28 tomów, in folio. Do tego dodane cztery tomy Bullaryusza Benedykta XIV, i 14 tomów kontynuacyi, stanowią w ogóle 46 tomów (2).

Postanowienia kongregacyj Rzymskich niesą dotąd wszystkie wydane.

Niemało z nich pomieścił Ferraris na końcu swojego dzieła pod tytułem: Prampta Bibliotheca.

Niemało także ogłosił Gallemort w swojéj edycyi Koncylijum Trydenckiego.

Postanowienia kongregacyi tłómaczów Koncylijum Trydenckiego wydane są przez Zamboniego, pod tytułem: Collectio declarationum sacrae congregationis cardinalium sacri concilii Tridentini interpretum, in 4-to majori, tomów 8, 1812—1816.

Wyszły w Rzymie: Decreta authentica Congregationis sacrorum Rituum, wydane przez Aloizego Gardelliniego, 1824—1850, tomów 8, in 4.

Między decyzyami Roty Rzymskiéj wspomnimy tu tylko: Decisiones, deductiones et summaria in causis Poloniae, zebrane przez Załuskiego w Rzymie, in 4-to majori, 1733.

Obrzędy mszy św. jako też porządek administrowania sakramentów i odbywania innych posług duchownych, zawierają się

---

(1) Najlepsze wydania są:
Concilium Tridentinum, Rzym, 1564, in fol.
Concilium Tridentinum cum orationibus ex recensione Philippi Labbo, Paryż, 1667, in fol.
Wydanie Gallemarta z objaśnieniami kongregacyi powielekroć przedrukowane.

(2) Byłoby bardzo pożądaną rzeczą, zrobić zbiór bull odnoszących się do kościoła Polskiego. Mamy nadzieję, że uczony wydawca naszych najdawniejszych synodów zrobi tę przysługę dla naszego prawa kościelnego.

we mszale, rytuale, pontyfikale i ceremonijale biskupim. A że dla odróżnienia od textu pisane są czerwonemi literami, przeto od wyrazu Łacińskiego ruber (czerwony) nazywają rubryki albo rubrum. Są one ściśle obowiązujące.

Formuły używane w kościele zebrane są przez Monacellego.

Wielu jest kanonistów, którzy nad systematycznym układem Praw kościelnych pracując niezmiernie wielkie położyli zasługi. Do najcelniejszych należą:

Kanizyusz (1), Streinijusz (2), Lancellotus (3), Suarez (4), Benedykt XIV (5), Rejfenstuel (6), Barbosa (7), Ferraris (8), Müller (9), Dewoti (10), Szmalcgrüber (11).

---

(1) Henrici Canisii: Summa juris Canonici, tom jeden; kilkakrotnie wydana.

(2) Joannis Streinii: Summa juris Canonici, Coloniae 1658, in 4, tomów 3. Autor ten wysoko jest ceniony przez kanonistów.

(3) Lancellotti: Institutiones juris Canonici cum glossis etc., in 4, Tolosae. Pius V, pozwolił je dołączyć jako dodatek (appendix) do Całozbioru prawa kanonicznego.

(4) Francisci Suarez, Tractatus de legibus ac Deo Legislatore, w Londynie, 1679, in fol. Dzieło to jest bardzo przez kanonistów cenione.

(5) Benedicti XI de Synodo diaecesana libri tredecim. Najpóźniejsza edycya w Moguncyi r. 1842, in 8-vo, tomów 4.

(6) Jus Canonicum universum auctore Anaeleto Reifenstuel, 7 tomów, in fol., 1799.

(7) De jure Ecclesiastico, Lugduni 1654, in fol., tomów 2. Tegoż autora drugie dzieło w sześciu tomach pod tytułem: Collectanea in jus Canonicum położone jest na Indexie.

(8) Lucii Ferraris Prompta Bibliotheca canonica juridica etc., tomów 10, in fol., 1772, Wenecya — także in 4-to w porządku alfabetycznym. Franciszkan, konsultor sancti officii.

(9) Andreas Müller Lexicon der Kirchenrechts und der Römisch Katholischon Liturgie, Wireburg, 1838 r., tomów 5.

(10) Joannis Devoti Institutionum Canonicarum libri IV, tomów 4, in 8, także tomów 2.

(11) Schmalcgrüber Commentarii in jus canonicum universum 1844, Rzym, in 4, tomów XI. Dzieło to uważane jest jako jeden z najlepszych zbiorów.

Najnówsze zaś dzieła są: Zallingera (1), Waltera (2), Filipsa (3), kardynała Soglia (4), R. de M. (5), i Bouix (6). Dzieła Hontheima (Febronius) Van Espena, Ejbela Rechbergera, Rautensztraucha, i w ogólności pisarzy, którzy się nie czysto Katolickich lecz Febronijańskich, lub Jozefińskich zasad trzymają, z ostróżnością czytać potrzeba.

O źródłach prawa kanonicznego wydał osóbne dzieło Filips professor w uniwer. Wiedeńskim: Du Droit ecclesiastique dans ses sourses, 1852, Paryż, in 8-vo, przekład z Niemieckiego.

Dodać tu nam się zdawało co nasza literatura w téj gałęzi posiada. Najdawniejsze synody Polskie przytaczane w rękopismach są z dwunastego wieku, to jest:

1181 synod Łęczycki pod św. Bogumiłem za Kazimierza Sprawiedliwego.

1188 synod Łęczycki pod Zdzisławem Kozłorogiem.

1189 synod Krakowski pod tymże Zdzisławem. Na tym synodzie prezydował kardynał Malabranka legat Ap. (7).

1197 synod Łęczycki pod tymże Zdzisławem. Na tym synodzie prezydował kardynał Kapuano legat Apostolski.

Czternaście synodów od r. 1233 do r. 1406 wydał z rękopismu uczony Romuald Hube w Petersburgu r. 1856.

Załuski mając zamiar wydać Synodicon Poloniae Orthodoxae miał zebranych 39 synodow prowincyonalnych i około sześciudziesiąt synodów dyecezalnych już to w rękopiśmie już w dru-

---

(1) Juris Ecclesiastici publici Institutiones, Rzym, 1853, in 8, tomów 5.

(2) Manuel du Droit Ecclesiastique, przekład z Niemieckiego, miał już siedm edycyj.

(3) Philips, Du droit ecclesiastique dans ses rapports généraux, przekład z Niemieckiego, Paryż, 1851, in 8, tomów 3.

(4) Institutiones juris publici universis, tom 1, in 8. Institutiones juris privati ecclesiastici, Paryż, in 8.

(5) R. de M. Institutiones juris canonici publici et privati, Paryż, 1853, in 8, tomów 2

(6) Xiądz Bouix, dzisiejszy najznakomitszy kanonista, ogłasza osóbne traktaty prawa kanonicznego, z których już wyszły na widok públiczny:

1. De principiis juris canonici, Paryż, in 8.
2. De capitulis, Paryż, 1852, in 8.
3. De jure liturgico, Paryż, in 8.
4. De parocho, Paryż, in 8, 1855.
5. De judiciis ecclesiasticis, Paryż, in 8, tomów 2.
6. De concilio.

Zapowiedziane są traktaty: de papa, de episcopis, de romanis congregationibus, de cardinalibus, de religiosis ordinibus, de jure ecclesiae relative ad societates civiles.

(7) Synodu tego niéma u Załuskiego.

ku. Są one wyliczone w jego: *Conspectus novae collectionis legum ecclesiasticarum Poloniae.*

W rękopiśmie, który przytoczymy niżéj pod tytułem: Codex ecclesiae Polonae, wymienionych jest 150 synodów Polskich.

Trzy są zbiory statutów prowincyonalnych kościoła Polskiego. Piérwszy i najdawniéjszy ogłoszony na Synodzie prowincyonalnym zaczętym w Wieluniu a skończonym w Kaliszu przez Mikołaja Trąbę arcy-biskupa Gnieźnieńskiego, zatwierdzony przez Jana XXIII i Marcina V, wydany został w pięciu xięgach pod tytułem: *Statua provincialia toti provinciae Gnesnensi, Posnanensi, Vratislaviensi, Cracoviensi, caeteris et singulis episcopatibus sub archiepiscopatu contentis valentia, auctoritate Apostolica edita, uti clare potet ex bullis summorum pontificum hic insertis*, in-4, bez roku i miejsca druku, kart nieliczbowanych 102, druk Gocki ze skróceniami (1). Drugi jest Stanisława Karnkowskiego także z pięciu xiąg złożony pod tytułem: *Constitutiones synodorum metropolitanae ecclesiae Gnesnensis provincialium*, Cracoviae, 1579, in 4, przypisany Stefanowi Batoremu. Podstawą tego zbioru są statuta Mikołaja Trąby; lecz do niego wcielone zostały postanowienia późniéjszych synodów. Trzeci pod tytułem: *Constitutiones synodorum metropolitanae ecclesiae Gnesnesis provincialium auctoritate synodi provincialis Gembicianae per deputatos recognitae.* Zbiór ten powagą trzech papieżów Marcina V, Jana XXIII i Grzegorza XIII zatwierdzony, wydany został w Krakowie r. 1630 in 4-o z rozkazu arcy-biskupa Jana Wężyka, niewiele od Karnkowskiego się różni. Tu też należą prace szczególne jako to:

Zaraz po ogłoszeniu koncylijum Trydenckiego, Marcin Siennik wydał w Krakowie r. 1565 po-Polsku: Ustawy koncylijum Trydenckiego in 8-vo.

Na początku XVII wieku Jakób Janidłowski professor akademii Krakowskiéj ogłosił: Processus judiciarius ad praxim fori spiritualis regni Poloniae conscriptus authore Jacobo Janidlovio Bozantino (z Bożęcina) professore publico in alma acad. Drac. 1606 in 4-o, w Krakowie 1619, i 1643 in 4-o tamże. Wtejże epoce Andrzej Lipski wydał: Decas questionum publicarum in quibus ecclesiastica jura et immunitates ecclesiastici status

(1) Wiszniewski mówi, że te statuta wydane zostały u Hallera w Krakowie, r. 1518, przez Rudolfa Agrykolę, prof. akademii Krakowskiéj,— Maciejowski przytacza edycyę z r. 1513, także u Hallera; lecz zdaje się, że to musi być ta sama edycya, którą Wiszniewski pod r. 1518 przytacza. Exemplarz który mamy pod ręką, jest najlepiéj dochowany, ale bez roku, i miejsca druku.

clucicidantur, Krakow 1616, 1632, Poznań 1626, Gdańsk 1646, 1647.

Szymon Starowolski obok mnóztwa dzieł wydanych przez siebie, ogłosił w Rzymie prawo kanoniczne i zbiór koncylijów pod tytułem: Breviarium juris pontificii in usum simpicium parochorum libris VII simpliciter collectum, Romae 1653, in 4-o. Epitome Conciliorum tam generalium quam provincialium in Graeca et Latina ecclesia celebratorum quaecumque reperiri potuerunt. Item vitarum Romanorum pontificum epistolorum decretalium etc. libri XXVI, Romae 1653, in fol. (1).

Paweł Piasecki biskup Chełmski wydał dzieło pod tytułem: *Praxis Episcoporum*, in 4-o tom 1. Dzieło to przejrzane w Rzymie miało sześć wydań i cytowane jest przez kanonistów.

Mikołaj Zalaszowski archidyakon Poznański wydał dzieło pod tytułem: *Vacante sede jura capituli*, in 4-o w Poznaniu r. 1706.

Stanisław Pstrokoński jest autorem dzieła pod tytułem: *De recte gerendo episcopatu monita domestica*, Posnaniae, 1629, in 4-o.

Maciéj Miłuński Jezuita wydał: *Explanationes juris ecclesiastici, canonici, moralis, in librum IV decretalium de sponsalibus et matrimoniis in lucem publicam datae*, Vilnae 1705, in 8-vo.

Tu też zaliczyć należy: Opisanie historyczne obyczajów piérwszych Chrześcijan i kościelnéj karności przez x. I. H. B. S. 1746 r.

Xiądz Franciszek Minocki, professor obojga praw w uniwersytecie Krakowskim, rektor szkoły Poznańskiéj wydał: *Terminorum juris canonico civilis interpretatio*, 1773 anno, Posnaniae. Jest to słówniczek zawierający treściwe objaśnienie wyrazów prawnych.

Jest w rękopiśmie: *Codex Ecclesiae Polonae ex constitutionibus apostolicis praesertim pro regno Poloniae editis, nec non conciliorum provincialium ac synodorum diaecesanarum cum antiquiaribus tum modo adjectis ordinationibus, compositus*, tomów 4, in folio. Kodex pochodzi z czasów Stanisława-Augusta. Ułożony jest porządkiem materyi z postanowień synodów Polskich.

Xiądz Tymoteusz Szczurowski Bazylijan wydał dzieło pod tytułem: *Missya Bialska czyli rozmowy z prawa kanonicznego zebrane*, w Supraślu, 1792 r., in 4-o, str. 583.

W 1820 roku wyszło w Warszawie dzieło pełne nauki i jedności pod tytułem: *O władzy duchownéj*.

Aloizy Kappelli professor uniwersytetu Wileńskiego wł: *Manuale juris canonici*, w tablicach, Wilno, r. 1819.

---

(1) Dzieła te do rzadkości biblijograficznych należą.

Tablice te ułożone są podług Rechbergera. Stanowią samę treść wykładanego przedmiotu. W notach, przytoczonych i wskazanych jest mnóztwo autorów. Kapelli odznaczając się piękną Łaciną i płynném tłómaczeniem się, obrał za głównych przewodników Rechbergera i Wan Espena, nie czysto Katolickich pisarzy.

Proces kanoniczny Kiszki Zgierskiego sekretarza konsystorza Wileńskiego, dowodzi, że autor wyobrażenia o prawie kanoniczném niemiał. Ten jego proces jest tylko zbiorem ukazów.

Xiądz Józef Bowkiewicz prałat dyecezyi Wileńskiéj napisał rozprawę: *De moralitate processus judiciarii*, Wilno.

Felix Słotwiński professor prawa kanonicznego w Krakowie wydał tamże w r. 1839 *Institutiones juris ecclesiastici methodo scientifica*, we dwóch częściach. Rzecz wyłożona porządnie i dobrą Łaciną; ale w drugiéj części autor okazał się zwolennikiem Józefinizmu.

W zbiorze naszym nieopieramy się na powadze kanonistów, ale na samych źródłach, i dla tego przytaczamy tylko:

1. Całozbiór prawa kanonicznego (Corpus juris canonici).
2. Koncylijum Trydenckie.
3. Bulle papiezkie.
4. Postanowienia kongregacyj kardynalskich.
5. Statuta Synodalne Polskie zatwierdzone powagą stolicy Apostolskiéj, jako też prowincyonalne i dyecezalne nasze Synody.

ZARYSY

Z CZASOW POGAŃSKICH LITWY,

PRZEZ

J. JAROSZEWICZA.

(*Ciąg dalszy.*)

MIESZKANIA, WSI, GRODY, MIASTA I ZALUDNIENIE KRAJU.

Nim się pojawiły na Litwie i Żmujdzi miasteczka a później jeszcze miasta, lud mieszkał najczęściéj w odosobnionych sadybach i dworzyszczach (*ukis*, *giwata*), z których powoli tworzyły się rozrzucone po kraju wioseczki (*kiemas*, *kiemelis*). Dla tego też nieświadomy dróg i przejść Litewskich, długo mógł się błąkać po lasach i niemało nałożyć drogi około błót i jezior nim spotkał osobę ludzką. Było ich jednak niemało, już to ukrytych po trzebieżach leśnych (*trakas*, *trakönnaj*, *trakinne*), już koło gajów świętych, których ołtarze ofiarne częściéj zgromadzały lud pobożny, już w blizkości kunigasów lub xiążęcych stolic (*dwaras*, *wyraužas mestas*), a najczęściéj koło warownych gródków i zamków drewnianych (*pillis*). Wcześniéj niż inne okolice zaludnić się musiały pobrzeża rzek, one bowiem w lesistym kraju, najdogodniejszemi były gościńcami. Domysł ten potwierdza nawet podanie o kolonizacyi Palemonowéj drużyny. Osiadając nad rzekami obierano zazwyczaj najwyższe ich brzegi, albo też widły ze zbiegu dwóch rzek utworzone, jak dowodzą liczne osady. Kto się przypatrzył najdawniejszym przysadom Litewskim, lub pozostałym po gród-

kach horodyszczom, łatwo mógł postrzedz, że starodawni Litwini wybierając na nie i przyjemne dla oka a wygodne dla życia, i z natury już obronniejsze położenia, dziwnie z miejscowości korzystać umieli.

W lesistéj Litwie głównym materyałem do wszelkiéj budowli musiało być drzewo: bo chociaż niektórzy wspominają o ziemiankach (1), te niebyły zapewnie wszędzie na Litwie znane, a nawet z czasem tak wyszły z użycia, że nawet w mowie Litewskiéj niemają osóbnego nażwiska, lecz tylko z-Ruska zowią się *pagrobas* (od *pohreb*, sklep piwnica).

Każdy zapewnie umiał się obejść z siekierą gdy mu chatę przychodziło sklecić, gdyż podział pracy niebył jeszcze upowszechniony; wszakże rzemiosło cieśli mogło już oddawna niektórych wyłącznie zajmować. Samo nażwisko takiego rzemieślnika (*dailide* od *dailas* zręczny, sztuczny), dowodzi jakie u ludu mógł mieć znaczenie. Jakoż cieśla, umiejąc lepiéj od innych użyć topora (*kirwis*) dłóta (*kaltas*), piły (*trintine*) świdra (*grasztas*) a nawet hebla (*drasztuwas*), cyrkla (*gresztuwelis, skrestuwelis, skritulis*), linii (*bruksynis*) i gruntwagi (*swambals, sątesinis*), brany bywał do stawiania zarówno chat wieśniaczych, jak dworów xiążęcych i zamków drewnianych.

Prosta wprawdzie była architektura zwyczajnéj kurnéj chaty Litewskiéj, jednak wyłącznie tylko Litwinom i niektórym narodom północnym właściwa. Cała jéj budowa ku temu zmierzała, aby jak najlepiéj ciepło zachować mogła. Stawiono te chaty (jak i dotąd) nie z dylów w kostkę obrabianych, lecz z bierwion okrągłych z kory oczyszczonych, których dolna strona musiała być wyżłobioną, aby do wypukłości niższego bierwiona mchem przysłanego, szczelnie przystawać mogła. Tak okładane ściany, niebrano w słupy lecz na zamek wiązano po węgłach. Nad chatą niepostrzegłeś właściwego komina prócz łubianéj trąby, z któréj osóbny był użytek; dym zatém z gliny ulepionego pieca już osóbnym zasuwanym otworem i drzwiami wypadał do sieni i przez dach się przeciskał, już ową łubianą trąbą wylatywał na dwór, już wreszcie szukać musiał wyjścia przez wązkie zasuwiste otwory w ścianie, służące razem za okna. Kiedy się ogień przygasi, a otwory po wyjściu dymu przytulą w izbie temperatura ciepła do nadzwyczaj wysokiego podnosi się stopnia. Takie przejście od dymu i przeciągów powietrza do duszącego gorąca tylko przywyknienie od

(1) Narbutt III, 546. Jucewicz Litwa pod wzgl. star. zabyt. str. 225.

dzieciństwa znośném uczynić może; jakoż zahartowany do takich zmian Litwin na to niezważa, owszem znane i na Rusi powtarza przysłowie: „par kości niełamie (*szyłuma kaulii ne łausz*)"; a przy tém miał jeszcze i tę wygodę, że w dżdżystéj porze, o którą nietrudno było na Litwie, z łatwością przemokłą odzież i obówie w takiém gorącu wysuszał. Żeby dym mniéj dokuczał, pułap (*łubbas*) układano najczęściéj w kształcie półkulistego sklepienia z wyższą średnią jego częścią (*lubbas atrestas ney skiausczej*). Nazwa pułapu czyli stropu, każe się domyślać, że może był podbijany łubem lipowym lub korą z innego drzewa. Ognisko (*ugniawele*) pierwotnie było może po środku izby w dołku kamieniami obłożonym jak w numach. Potrzeba wypiekania chleba, nauczyła stawiać piekarniane piece (*peczius*), z przypieckiem. Ponieważ użycie szkła, albo jeszcze wcale było nieznane, albo się liczyło do przedmiotów zbytkowych, okna przeto zazwyczaj w kształt zasuwek wprawiane (*łungaswerems*) opatrywano źwierzęcą lub drewnianą błoną. Podłogą był tok czyli klepisko z gliny ubite (*kłojma, asła*). Stół z ławami pod ścianą, tarczan, dzieża, żarna, stępa, krośna i różne naczynia drewniane i gliniane, co wszystko miało właściwe Litewskie niepożyczone naźwiska, stanowiły sprzęt domowy. Chatę zamykały drzwi opatrzone nie zamkiem lecz prostą zasuwką drewnianą (*uszkajsztys*). Pokryciem dachu była słoma, dranice (*drekstine*), kora lub tylko darń (1). Zrana i wieczorem, dla oświetlenia dość ciemnéj izby, palono smolne łuczywo (*žiburris, szakaléj*), pod łubianą, gliną oblepioną trąbą, przez którą dym i kopeć na wierzch wychodził. Trzonem był tu albo zwyczajny przypiecek, jak to i dzisiaj w wielu miejscach widzieć można, albo też zawieszona pod takim kominem żelazna krata, z któréj do korytka wodą napełnionego, węgle spadały (2). Przenośnem światłem niebyły świece, lecz błonki darte z niesmolnego drzewa (*rekszalej*). Z chatą łączyły się i inne ku wygodzie gospodarskiéj służące budowle, co domowi całemu nadawało kształt dość podłużny (3); stodoła z oborą a często i śpichlerz (*kletis*) stały zazwyczaj osóbno.

Opisaliśmy zwyczajne kurne chaty Litewskie; lecz był jeszcze inny rodzaj mieszkań, bodaj czy nie najdawniejszy przypominający owe szałasy, które kiedyś w odległych wiekach może w czasie wędrówki do Europy, wznosili przodkowie Li-

(1) Stryjkowski kron. 214. „dom kuczka, prostém darnem nakryta."
(2) Gwagnin, Opis ziemi Żmujdzkiéj, w przekładzie str. 25.
(3) Gwagnin l. c. „lud prosty mieszka w chatach przydłuższych".

twini na pobyt czasowy. Chcemy tu mówić o tak nazwanych *numach* czyli raczéj *namajach* (1), w których na wielu miejscach przez wiosnę, lato i jesień mieszkają Żmujdzini chociaż obok tego i zwyczajne mają domy. Ponieważ Gwagnin w opisie swoim jest niedokładny (2), a Michalon piszący za Zygmunta-Augusta czasów, to tylko w powszechności powiedział: że Żmujdzini dotąd w szałasach przy ogniskach obyczajem żołnierskim żyją (3); posłuchajmy więc jak nam te numy jeden z nówszych pisarzy opisał. „W xięztwie Żmujdzkiém, mówi on, we wszystkich trzech powiatach: Rosieńskim, Szawelskim i Telszewskim, a osobliwie na pograniczu Kurlandyi, Prus i koło wybrzeży morskich, pewnie teraz jeszcze (r. 1829) znalazłbym num kilka tysięcy. Jest to budynek 10—15 sążni długi a 5—6 szeroki, powszechnie z bierwion okrągłych stawiany, którego dach na łatach piérwiéj korą jabłonową wysłany, dla bezpieczeństwa ognia, a na wierzchu słomą pokryty. Żadnego okna lub niekiedy jedno tylko, a dwoje drzwi z obu stron numy, jedne mniéj szerokie dla wejścia ludziom, drugie szersze dla zapędu bydła i wywózki nastoju. Nad drzwiami są małe okienka, dla wyjścia dymu, a we dnie dla wprowadzenia światła, ze środka zasuwane. W średzinie numy, jest wykopana jama szeroka na ognisko w figurze kwadratu lub koła, najmniéj łokci trzy lub cztery w przemiarze a na łokieć głęboka. We środku téj jamy z drew suchych brzozowych lub olchowych rozwodzi się ogień. Obwód ogniska ułożony kamieniami, zastępuje miejsce ławy do siedzenia domownikom, którzy rozłożywszy się koło ognia w czasie chłodnym, wszystkie roboty robią. Że zaś latem jest gorąco, oraz aby od ognia niebyło niebezpieczeństwa, to od obwodu ogniska wkoło, odstąpiwszy najmniéj łokci 3 lub 4 daje się w czworobok ściana z bierwion lub desek albo płot, ale niewyżéj nad półtora łokcia, a najwięcéj dwa, żeby czeladź robiąc i chodząc koło ognia, mogła widzieć bydło i wszelkie żywioły, które się rozstawiają wokoło przy ścianach bu-

---

(1) *Namaj* właściwie znaczy „dom własny.“ Od tego wyrazu pochodzą: *namej* w domu, *namez* do domu: *namalinkej* ku domowi, *namisękis* domownik. Nienależy zatém pisać i czytać *Numa* lecz Namaj, gdyż *Nüma* będzie stół wexlarski, *Nümas* lichwa (ob. Słow. Mielkiego pod temi wyrazami). Idziemy jednak za powszechniéj używaném wymawianiem tego wyrazu.

(2) Gwagnin opisanie ziemi Żmujdzkiéj str. 25.

(3) Michalon de moribus Lithvanorum Epeta. fragm. v. p. 23, wyd. Bazylei. „in tabernaculis ad focos more militari vivunt“.

dowli. Przestrzeń między ogniskiem a przedziałem gdzie się bydło stawi, utrzymuje się czysto zamieciona. Okapy dachu są bardzo znacznie wydatne, ponieważ pod niemi składają się narzędzia gospodarskie: wozy, sochy, brony i t. d. a nawet przystawiają się małe chlewki trzyścienne dla świń i drobiu. Słowem jeden budynek numa składał niegdyś całego gospodarstwa zabudowanie.“ (1).

Takie było mieszkanie prostego ludu. Możniejsi dość wcześnie obeznawać się mogli z lepszemi wygodami życia. Przykład narodów sąsiednich, z któremi Litwini wieloliczne miewali stosunki, mógł się do tego niemało przyczynić. Kiedy więc gmin po-staremu żył jeszcze w kurnych swych chatach, mieszkania panów i xiążąt jak zewnątrz tak i wewnątrz inną przybierały postać. Jakoż w ich domach już o kilku lub więcéj komnatach zaczęły się dość wcześnie pojawiać dymniki (*aukszinis, perswetas*), kominki (*kaminas*), piece kaflane (*kakalpuodes*), okna ze szklem, jeśli nie krajowém to przez handel nabytém (bo kafli i szkła oszczątki w miejscach odwiecznych siedzib natrafiać się zdarza), dalej podłogi z drzewa a może i cegły (*pliteles*, *iszkłoju* układam podłogę), dachy kryte gontami (*skindelis*), czasami z podkładem kalanicy (*malksnos*, *malkmenne*); drzwi pojedyńcze (*anga*) zamczyste (*jutrina spina* zamek, *raklas* klucz), podwójne (*durrys*), a nawet ganki przed domami (*pryangis*) i sklepy pod domówstwem (*junga, jugas*). W oświetleniu zaś komnat świeca (*żwake*) albo też lampa zastąpiły dawne łuczywa. I wewnętrzne przystrojenie mieszkań pańskich znacznéj musiało uledz zmianie, gdyż handel, a bardziéj jeszcze zdobycze wojenne, w obfitości dostarczyć mogły potrzebnych do tego przedmiotów. O dworach pańskich częste mamy wzmiankę w kronikarskich relacyach (2). Mówiąc o mieszkańcach wspomnieć winniśmy i o łaźniach (*pirtes*), w których dawni Litwini bez różnicy stanów parzyć się wielkie mieli upodobanie. Stanowiły one niemal konieczną część gospodarskiego zabudowania, służąc razem do suszenia lnu i roszczenia słodu. Każdy przeto możniejszy gospodarz miał własną łaźnię; lubo i takie być musiały, które całéj służyły osadzie. Sposób ich ogrzewania, za

(1) Dyon. Paszkiewicz w Dzienniku Wileńskim r. 1829 styczeń — Jucewicz podaje, że w obszerniejszych numach zboże nawet składają (*Litwa pod wzglę. staroż. zabytk. str. 226*).

(2) Odznaczał się między innemi dwór *Sudargi* spalony przez Krzyżaków 1316 r. (*Dusburg u Stryjkowskiego str. 267*).

pomocą pieców kamiennych (*krosnos*), był zapewnie taki sam jak dzisiaj.

Powiedzieliśmy, że lud wiejski mieszkał nietylko w odosobnionych chatach i dworzyszczach, jak to i dzisiaj jeszcze widzieć można w Kurlandyi, lecz i po wioskach. Te nigdy niebyły wielkie na Litwie. Nietrzeba tu było korzystać z lada źródełka, potoku lub rzeczki, gdzieś w jarze płynącéj, co w prowincyach Rusi południowéj tłumnie zgromadza lud wiejski na jedno miejsce, z czego się tworzą sioła kilkadziesiąt a nawet kilkaset chat liczące; więcéj tu szło o znalezienie kawałka urodzajnéj ziemi, któréj niewszędzie było dostatkiem, niż o wodę, na któréj śród licznych rzek i jezior wcale niezbywało Litwie. W dziejach, a szczególniéj w drożnikach Krzyżackich, nażwiska tych drobnych wiosek Litewskich dość często są wymieniane, a nieraz nawet jedną nazwą oznaczono włość całą z kilku lub kilkunastu wiosek złożoną. W małych tych wioskach niekoniecznie pilnowano tego, aby chaty szły rzędem jedną lub dwiema połaciami; każdy bowiem tam się budował gdzie mu było dogodniéj, Wszakże gdzie niegdzie musiały być w rząd stawione chaty, kiedy w mowie Litewskiéj jest nazwa skrajnych gospodarzy (*galliunis* od *gales* koniec). P. Narbutt niemało starożytnych wsi i włości wyliczył, a wielu nawet położenie oznaczył (1).

Daleko wcześniéj niż miasta postrzegać się dają na Litwie i Żmujdzi, gródki i zamki; przynajmniéj częstsze o nich niż o miastach w pierwotnych dziejach Litwy znajdują się wzmianki. Najdawniejsze z tych gródków, sięgają może czasów, kiedy w tych stronach Skandynawowie gościli. Ciągłe z Krzyżakami wojny, którzy najczęściéj znienacka mieli zwyczaj na sąsiednich napadać pogan, znaglały Litwinów do zakładania na miejscach dogodnych już nad granicą, już wewnątrz kraju miejsc warownych, do których w potrzebie lud okoliczny z mieniem swojém mógłby się schronić naprędce, lub przy których zabawiwszy napastnika, dalsi mieszkańcy mieliby dość czasu szukać ochrony w ostępach leśnych. Pamięć tych gródków i zamków po całéj Litwie i Żmujdzi w niemałéj liczbie rozrzuconych, przetrwała dodąd w nażwiskach wsi i miasteczek, o wielu zaś świadczą tylko pozostałe horodyszcza, grodziska, zamczyska, znane u Litwinów pod nazwizkiem: *Pil-kałnas*, *Pilekalnis* albo *Pil-upe*, co znaczy zamkową, usypaną górę (*pilis*

(1) Narbutt, Dzieje VII, dod. IX.

zamek, *pilu* usypuję, *kalnas* góra) lub zamek nadrzeczny (*upe*, rzeka). Niemało takich grodzisk znaleźć można koło Uciany, Witkuń, Kalwel, Sungaliszek, Szykszń, Kurel i na wielu innych miejscach (1). Już za czasów Stryjkowskiego wielu zamków Litewskich i Żmujdzkich zaledwo ślad jakiś pozostał. Kronikarz ten opisując wojny Kiejstuta, między innemi powiada: „A tu *jakieś* często burzone zamki w Litwie i Żmujdzi będą wspomniane, których dziś nieznać ani słychać, bo dawnością czasu i częstém burzeniem, iż też k' temu drewniane były, zniszczały; *wszakże jeszcze i dziś, bardzo wiele horodyszcz gęstych w Litwie i Żmujdzi widzimy, które są jawnemi tego świadkami*" (2). Jeżeli więc Stryjkowski już tylko horodyszcza widział, cóż więc dziwnego, że my niemal o trzysta lat późniejsi od niego, niemałą liczbę zamków Litewskich z nażwizka znamy, posady jednak wielu z nich już nam trudno wskazać.

Pierwotnie zamki te i gródki były drewniane, rowem, parkanem i palisadą tylko warowne. Nieraz w potrzebie palili je sami Litwini; jeśli zaś nieprzyjaciel zamek jaki zniszczył, a był w owém miejscu koniecznie potrzebny, po ustąpieniu wroga z nadzwyczajną prędkością, nowe z drzewa stawiano warownie. Dla tego to, często czytamy w kronikach, że zamki po kilkakroć niszczone (*np.* warownia Onkaim) w krótkim znowu czasie na nowo powstawały. I niemasz w tém nic dziwnego; na przygotowanie i sprowadzenie materyału, tuż na miejscu rosnącego, nietrzeba było długiego czasu, licznego zaś robnika dostarczyć mogły okoliczne włości, gdyż ciężar budowy i naprawy zamków wszystkich dotykał. Zamki murowane z kamienia i cegły, nierównie późniéj wznosić zaczęto. Wzory do takich budowli brali Litwini od swoich sąsiadów, szczególniéj od Pruskich i Inflanckich Krzyżaków. Samo nazwanie muru (*muros*), cegły (*płyta* z-Ruska, gdzie właściwie znaczy kamień ciosiany), dachówki (*czerepyczia* z-Ruska), wapna (*miełas* z-Ruska, lub *kalkas* z-Niemiecka) naśladowania w téjże mierze obcych dowodzi. Jeżeli zaś są gdzieniegdzie ślady murów, na bardzo starożytnych horodyszczach, budowę ich przypisują Herulom lub Skandynowskim przybyszom (3).

---

(1) Baliński, Staroż. Polska, str. 279.
(2) Stryjkowski, Kronika, str. 415.
(3) Narbutt VII, dod. IX, str. 77. Kolaine. Co się tyczy cegły utrzymują niektórzy, że nie Ruś Litwę, ale przeciwnie Litwini Rusinów musieli nauczyć jéj wyrabiania, ponieważ u Litwinów miał

Do celniejszych miejsc warownych Litwy i Żmujdzi, a przynajmniéj takich, o których zachowała się pamięć w dziejach narodowych, policzyć możemy następujące:

1. *Ampille* na Żmujdzi niedaleko Memla czyli Kłajpedy, wspomniany w dziejach około r. 1262.

2. *Arwiston* zamek Żmujdzki około r. 1378 przez Krzyżaków zburzony (1). P. Narbutt przytacza włość Żmujdzką *Ariszki* położoną gdzieś między Ejragołą, Rosieniami i Worniami (2). Może obie te nazwy Arwiston i Ariszki są w związku.

3. *Bawsko* przy wejściu Musy do Niemna; zamek wspomniany na akcie rozgraniczenia Litwy od posiadłości kawalerów Mieczowych w Inflantach r. 1473 (3).

4. *Betigoła*, starożytna osada, pół wersty od Dubisy, może w czasie jednego z najść Skandynowów, albo też przez wracających do kraju Herulów, co więcéj z podaniem kwadruje, założona: według podania bowiem, zamorscy żeglarze, przybywszy do tego miejsca, płynąc w górę Dubisą, zawołali jakoby, ale po-Litewsku: „*Bet ir gałas*", co znaczy: tu koniec, rozumie się podróży,—i od tego wykrzyknika nowéj osadzie nadali miano (4). Miejsce to pamiętne i z tego powodu: że w r. 1254 Mendog przeznaczył połowę Betigoły na uposażenie Chrystyana, piérwszego biskupa Litewskiego, a r. 1257 nadał drugą jéj połowę zakonowi rycerzy Inflanckich (5).

5. *Bielica* u Krzyżaków *Pelic*, *Delic*, zamek na prawym brzegu Niemna, trzy mile od Lidy; był kluczem do Rusi Krewiczańskiéj. Z nazwiska sądząc wnosimy, że może powstał na dawném horodyszczu Słowiańskiém (6).

6. *Biseny* przy wejściu Dubisy do Niemna, zamek bardzo starożytny, stał na górze dotąd *Palemonową* (*Palemoniszkas kalnas*) zwanéj. Była tam i świątynia Romowe. Krzyżacy

---

być bożek, przełożony nad murowaną budowlą zwany *Kirpiczus*, a właśnie Rusin cegłę nazywa *kirpicz*. (*Konst. hr. Tyszkiewicz w Tece Wileńskiej* N. III, *o zamkach str. 28*). Ale zkąd się wziął ten bożek u Narbutta (*I, 112*)? Gdzie o nim znalazł wzmiankę? Tego nas nieuczy; chyba że Litwin piérwszego strycharza Ruskiego (kirpicznik) jaki się tu zjawił, ubóztwił.

(1) Przyjaciel Ludu r. 1839, T. I. str. 198, Kowno.

(2) Narbutt, VII, dod. IX, str. 65.

(3) Zbiór dyplomatów wydany przez Komis. archeol. Wil. I, 22.

(4) Tygod. Wileń. r. 1817. III, 278. Narbutt, Dzieje I, 167.

(5) Raczyński Kodex dyplom. Litwy, str. 4, 5, 12, 13.

(6) Narbutt VII, dod. IX, str 70. Baliński Staroż. Polska, str. 263.

dwakroć (r. 1315, 1363) zniszczyli Bisenę. Dzisiaj to miejsce zajmuje miasteczko Średniki z dworem.

7. *Biwerwarte* i *Senoreite*, zamki przez Żmujdzinów opuszczone, albo raczéj zdradą Krzyżakom wydane i przez nich około r. 1312 spalone. Leżało one gdzieś w Rosieńskim powiecie; nawet uroczyska niezostało po nich (1).

8. *Cydar* na północ Rosień, blizko Szydłowa; może dzisiejsze Cytowiany albo Tytowienéj, zburzony przez zakon r. 1296 (2).

9. *Czekiszki*, nad Dubisą, tak dawne jak Betigoła, jeśli podaniu mamy dać wiarę, bo sięgają najścia Skandynawów lub przybycia w te strony Herulów. Czekiszki były zapewnie starożytnym gródkiem.

10. *Dorsuniszki* lub *Dirsunen*, starożytny niegdyś zamek wyżéj Kowna na brzegu Niemna, dziedzictwa familii Dorsunów czy Dirsunów, spalony przez samych Litwinów, aby się niedostał Krzyżakom (3).

11. *Druskieniki* zameczek już w r. 1283 wspominany; Krzyżacy zwali go z Niemiecka *Salseniken* i zdobyli go w r. 1312, a potém w r. 1378 jeszcze go odwiedzili. Oszczątki horodyszcza dotąd postrzegać się dają na prawym brzegu Rotniczanki blizko jéj ujścia do Niemna. Krzyżacy i Soleczniki (wielkie) zwali Salseniken, gdzie również był zameczek; lecz z opisu miejscowości widać, że powyższe daty ściągają się do znanych nam z mineralnych źródeł Druskienik.

12. *Doble* miejsce warowne na Żmujdzi, przy granicy zachodniéj Semigalii; o nich jest wzmianka pod r. 1334.

13. *Drogezyn* czyli *Druśminy* w Lidzkiém, niedaleko prawego brzegu Ułły, gródek zniszczony przez Krzyżaków r. 1394.

14. *Ejgergoła* albo *Egollen*, nad dolną Wiliją niedaleko Kowna, podług podania miał na tém miejscu Kejstut zbudować twierdzę po zburzeniu Kowna przez Krzyżaków r. 1362 (4).

15. *Ejragoła*. Podanie niesie jakoby jednocześnie z Betigołą i Czekiszkami założoną była; piérwotnie mogła być miejscem obronném. W niéj mieszkał Litawor r. 1262, a Witenes tu się urodził. Zamek Ejragolski spalony przez Krzyżaków r. 1382.

16. *Ejszyszki* lub *Ejkszyszki* w powiecie Lidzkim, według

---

(1) Dusburg u Stryjkow. str. 263. Schütz u Narbutta VII, dod IX.
(2) Voigt. Gesch. Preus. IV, 127.
(3) Narbutt l. c. Baliński, Star. Pol. str. 426.
(4) Narbutt l. c.

podania przez Eiksza około 1070 r. założone; ma stare horodyszcze rowem i wałem otoczone (1)

17. *Gedymin* nad Mingą niedaleko Memla, gdzie teraz wieś tegoż nazwiska. O tym zamku wspominają kroniki pod r. 1304. Krzyżacy oblegali go w r. 1316 (2).

18. *Garden* (może od *gardas*, płot, ogrodzenie) dawna twierdza Żmujdzka, wioska między Szwekszniaki i Nowém-Miastem (3).

19. *Garsden* twierdza nad prawym brzegiem rzeki Mingi, na saméj granicy Pruskiéj, niedaleko Memla (4).

20. *Gessow* dziś *Gisciany*, miejsce obronne na północ Wellony, około r. 1378 przez Krzyżaków zburzone.

21. *Gressen* na Żmujdzi niedaleko Pruskiéj Goldyngi; zameczek przez Zakon spalony r. 1265.

22. *Grubin* zamek Żmujdzki wzięty przez Krzyżaków roku 1263.

23. *Junigeda*, w swoim czasie bardzo warowna twierdza Żmujdzka nad Niemnem, założona r. 1291, nadaremnie dobywana przez Zakon r. 1293, a w r. 1298 spalona, lecz znowu odbudowana. Przy niéj r. 1317 przegrali Krzyżacy bitwę z Litwinami.

24. *Jurborg*, przy ujściu Jury do Niemna, obok dzisiejszego Jurborku, gdzie dotąd góra zowie się *Wiszple* albo raczéj *Wisspillis* (*od wiss* zawsze, każdego razu, albo od *wissas*, cały i *pilles zamek*). Był to jeden z najdawniejszych zamków Żmujdzi, jakoby już r. 1025, może przez Skandynawów założony. Od początku XIV wieku częsta o nim wzmianka w wojnach z Zakonem. Spalili go Krzyżacy 1316 r., a odbudowawszy byli jego panami do r. 1392, w którym dostał się Litwie (5).

25. *Karszau* warowne miejsce na Żmujdzi w Karszowskim powiecie, ale dzisiaj ślad tego zamku zaginął (6).

26. *Kymel*, w powiecie Rosieńskim, może dzisiejsza wieś *Kielmy*, sześć mil na północ Rosień, spalony przez Krzyżaków r. 1294. Tak utrzymuje p. Narbutt (7). Dusburg zaś powiada, że zamek Kymel, o który często kusili się Krzyżacy, spalił w r. 1295 komtur Ragnety Ludwik Libentele, a Grodniany pobił. Wzmianka kazałaby się dorozumiewać, że Kymel musiał

---

(1) Połujański Opis lasów, II, 83.
(2) Stryjkowski, Kronika str. 267.
(3) Narbutt V, Dod. IX.
(4) Narbutt l. c
(5) Baliński, Staroż. Pols. str. 539, 540.
(6) Narbutt, VII, Dod. IX.
(7) Narbutt, l. c.

być gdzieś w Grodzieńskiém (1). Lecz jeżeli nazwa zamku powstała z wyrazu Litewskiego *Kiemalis* wioseczka, trudno go osadzać na Rusi Litewskiéj.

27. *Kolajne* z prawéj strony Niemna niedaleko dzisiejszéj wsi *Koliniany* niżéj Jurborka, sławna w Pruskich i Litewskich kronikach warownia, którą Surmin rycerz Litewski r. 1290 z nadzwyczajném męztwem od oblężenia mistrza Pruskiego Meinharda de Querevord uwolnił, i którą w roku następnym spalił komtur Królewiecki Bertold Brühowe, niezostawszy już w niéj załogi Litewskiéj. Dziś stare uroczysko w postaci wielkiego kurhana, składa się z samych drobnych ułamków cegły i wapna; zkąd wnoszą, że warownia musiała być murowaną, i że albo Skandynawom albo też Herulom z Włoch przybyłym i ze sztuką takiego budownictwa obeznanym winna swój początek (2).

28. *Kiernow*, niegdyś stolica xiążąt Litewskich; był od dawna warowny. Początek nastania téj osady odnoszą do r. 1035 (3). Krzyżacy zamek Kiernowski spalili r. 1365 (4). Odnowiony przez Witolda, temuż losowi uległ w r. 1390, gdyż sami dowódzcy za zbliżeniem się Krzyżaków z Witoldem, ogniem go zniszczyli (5).

29. *Kowno stare i nowe.* W starém Kownie, którego początek sięgać ma r. 1030, oddawna była silna warownia. Odpierała ona wielokrotne Krzyżaków napady, póki nareszcie r. 1362 nieuległa ich przemocy, po długiéj bohaterskiéj obronie. Kejstut straciwszy tę warownię, założył r. 1364 inną na wyspie utworzonéj przez Niewiażę przy jéj ujściu do Niemna, i nazwał ją *Nowém Kownem*. Lecz i ten gród niebawem opanowali Krzyżacy i nazwali go *Bożym Ostrowiem* (Gottes-Werder), lubo często oznaczany bywał i wyrazem Litewskim *Sallin* (wyspa). Odtąd miejsce to stało się znakomitém. Tam nieraz dla układów zjeżdżała się Litwa z Krzyżakami i niejeden też dyplomat był tam podpisany (6). Podróżny Francuzki Lannoy zwiedzając Kowno r. 1421 mówi, że to miasto jest wielkim zamkniętym grodem z bardzo pięknym i wielkim zamkiem (7). Dzisiaj miej-

---

(1) Dusburg u Stryjkow. str. 257.
(2) Dusburg u Stryjkow. str. 257, 258. Narbutt, l. c. Baliński, Star. Polska.
(3) Stryjkowski, str. 353. Narbutt, III, 219.
(4) Narbutt, V, 149.
(5) Narbutt, V, 438.
(6) Raczyński Kod. dyplom. Litwy, str. 56, 57, 59.
(7) Voyage de messire Guillebert de Lannoy, Mons. 1846.

sce nowego Kowna zastąpiła wieś *Szyłłany*, której nazwa przypomina *Sallin* (1).

30. *Krewo*, w którego zamku zakończył rycerskie swe życie Kejstut gwałtowną śmiercią r. 1382, do bardzo starożytnych grodów Litewskich należy (2).

31. *Kunow*, w powiecie Wiłkomierskiem, nad małém jeziorem, może w tém miejscu gdzie dzisiaj znajdujemy wioseczkę *Kunew* czy *Kuniew*. Była tam bardzo dawna warownia, sięgająca może czasów przed-Ryngoldowych, bo z nazwania swego łączy się z podaniami o Kunasie xięciu Litewskim (3).

32. *Kłajpeda*, tak nazwane może od *kłajpiu*, ścieram, na kolana padam, i *peda* noga, dla tego że wielkie piaski, śród których osada założona, ścierały nogi lub utrudzały chodzenie. Była to stara Litewska warownia, nad dawném ujściem Niemna. Na jéj posadzie zbudowali rycerze Mieczowi zamek *Memel*, który w r. 1328 ustąpili Krzyżakom Pruskim (4).

33. *Lemotyn* w starożytnym powiecie Żmujdzkim tegoż nazwiska, może w dzisiejszym Upickim (5).

34. *Lida* (od *lida*, *lidimas*, nowina, trzebież), stara osada Litewska, gdyż początek jéj sięgać ma r. 1180. Lidzki zamek r. 1323 założył Gedymin, a podanie niesie, że go budowali rzemieślnicy Kijowscy przy pomocy jeńców Wołyńskich (6). W r. 1392, za nadejściem Krzyżaków opuścił go xiążę Korybut, stojący tam na straży z wojskiem Siewierskiém, zostawiwszy wszystko na zdobycz nieprzyjacielowi (7).

35. *Lusen* albo *Losen* na Żmujdzi, niedaleko Goldyngi, miejsce warowne, przez Krzyżaków 1262 zdobyte.

36. *Łosk* czyli *Łoszesk*, dwie mile od Kowna, znany już w XIV wieku; wspomina o tym zamku Ruska kronika, którą Szlecer przywodzi (8).

37. *Medewageln* albo *Medwajken*, różnie przez Krzyżaków wymawiane (9), w powiecie Miednickim, zapewnie w tém miej-

---

(1) Narbutt, VII, Dodatek IV, pod Nowém Kownem.
(2) Historyę Krewa podał nam p. Baliński w IV tomie pism historycznych.
(3) Narbutt, l. c.
(4) Narbutt, IV, 575.
(5) Dusburg, P. III, c. 252. Narbutt, VII, Dod. IX.
(6) Narbutt, V, Dod. 1.
(7) Narbutt, V, 482.
(8) Szlecer. Gesch. v. Lith., str. 17, 19. Baliński, Opis Starożyt. Polski, str. 230.
(9) Narbutt, VII, Dod. IX.

scu, gdzie późniejsze Miedniki czyli Wornie; twierdza Żmujdzka bardzo dawna, którą w r. 1329 Krzyżacy z Mieczowcami pod wodzą Jana króla Czeskiego zdobyli, a w r. 1377 do szczętu zniszczyli. Tu z dawnych czasów palił się wieczny ogień na cześć Perkuna, dopiéro przez Jagiełłę i Witolda r. 1413 zgaszony. Miejsce, na którém był ołtarz, zowie się dziś Ugiany (1).

38. *Miedniki* drugie, z zamkiem podobnym do Lidzkiego, były pod Wilnem, Krzyżacy napadli ten zamek r. 1393 (2).

39. *Mejsagoła*, na trakcie z Wilna do Wiłkomierza, miała niegdyś zamek obronny (3); Krzyżacy pomagając Witoldowi, szturmem zajęli tę twierdzę r. 1390 (4).

40. *Merken* albo *Mederabe* w Aukstetii gdzieś z prawéj strony Niewiaży, zdobyte przez Krzyżaków r. 1291 (5).

41. *Merkes* na Żmujdzi wzięty przez Krzyżaków około roku 1263.

42. *Merecz* albo *Merkenpille*. Jeżeli pod nażwiskiem *Miziri* znał wędrownik Skandynawski *Snorro-Sturleson* nasz Merecz w wieku XII, gdzie jak powiada w rodzinnéj swojéj mowie mógł się z mieszkańcami rozmówić; zamek ten byłby jednym z najdawniejszych, bo jeszcze przez Skandynawów założony. Krzyżacy w r. 1377 wielkie z niego zabrali łupy, potém go r. 1393 zburzyli i na jego horodyszczu podobno zbudowali nowy zamek nazwany *Methenburg*. Warownię tę musieli odzyskać Litwini, kiedy znowu r. 1403 Krzyżacy ją opanowali. U Długosza Merecz zowie się *Merken* (6).

43. *Nauenpille*, dosłównie nowy zamek, Nowy-gród, Nowogródek; zbudowany przez Ryngolda około r. 1230, a zburzony przez Krzyżaków 1381 r.; wówczas marszałek Kunu Hattenstein piérwszy raz użył dział czyli bombard. Położenie tego zamku dotąd nieoznaczone. Jedni utrzymują, że był w tém miejscu, gdzie dzisiaj wieś Nowopańcy między Dorsuniszkami a Wajgowiszkami (7); inni że leżał na lewym brzegu Niemna w powiecie Sejneńskim, od Łaukiszek czyli Liszkowa mil sześć

---

(1) Baliński, Staroż. Polska, str. 514—516.
(2) Narbutt, V, 483.
(3) Narbutt, XII, Dod. IX.
(4) Narbutt, V, 438.
(5) Dusburg u Stryjkow., str. 258. Narbutt, IV, 345, VII, Dod. IX.
(6) Narbutt, VII, Dod. IX. Baliński, l. c. str. 339.
(7) Voigt Gesch. Preus. pod r. 1358.

na zachod (1), i że w tym Nowogródku (Naunpille) nie zaś Ruskim Mendog się koronował (2).

44. *Olita* albo *Abithen*, zameczek nad Niemnem w powiecie Trockim niżéj Merecza (3).

45. *Onkaim* dziś tylko góra zamkowa (*Pilkalnis*) dawna twierdza Żmujdzka, o werstę od Betygoły przy ujściu strumienia *Wiszkutes* (woskowy), do Dubisy, na gruncie p. Jankowskiego. P. Narbutt umieszcza tę twierdzę w miejscu gdzie dziś leży wioska *Ugiany* o trzy ćwierci mili od Pilkelnis; lecz zważając położenie miejscowe, niemasz nawet podobieństwa, aby tam była kiedy twierdza, gdy przeciwnie w Pilkalnas, góra ze śladami dawnych okopów, dowodzi bytności znakomitego stanowiska obronnego. Voigt w historyi Prus, nazywa to miejsce *Oukajm* albo *Auken*,— co też potwierdza x. biskup Maciéj Wołonczewski, w dziele swojém napisaném po-Litewsku, p. t. „*Biskupstwo Żmujdzkie*": pisze bowiem, że tę górę istotnie nazywano *Auka*, co w dawnym języku Litewskim znaczyło Ofiarę (dziś *oppiera*), i że Niemcy przekręcili tę nazwę w Onkaim. Chociaż więc inni przypuszczają, że Żmujdzini tę górę, jako panującą nad osadami okolicznemi mogli nazwać *Antkajmu* (*and* nad, *kajmynas* sąsiad), wywód wszakże x. biskupa, zdaje się być trafniejszym, a nawet wspiera go ta jeszcze okoliczność, iż miejsce to było jakiś czas pobytem arcy-kapłana, i Krzyżacy, dla tego oddawna nawiedzali Onkaim, że tam według ich mniemania pomieszczone był skarby z Pruskiego Romowe. W pierwotnych dziejach Litwy częsta jest wzmianka o tym grodzie:— *Gerdyłło*, ochrzczony Litwin, ostrzega r. 1285 załogę o napadzie Krzyżaków i naraża ich na klęskę pod tym zamkiem. W r. 1291 Krzyżacy palą Onkain. Odbudowany po raz drugi i trzeci, znowu wpada w ręce Krzyżaków, najprzód r. 1303 przez zdradę *Draika* czyli *Draikolita*, który w Ragnecie z familiją się ochrzcił, następnie r. 1304 przez zdradę *Świrtiłły*, i zapewnie musiał być zniszczony, gdyż go Litwini odbudowali, ale r. 1328 zrównał go z ziemią komtur Ragnecki. W 17 lat późniéj zaszła pod tym zamkiem niepomyślna bitwa dla Litwy, między Olgerdem a w. mistrzem Krzyżackim Dusmer. Widać, że ten zamek przez wzgląd na dogodność miejsca, już po raz czwarty czy piąty był odbudowany, gdyż w czasie przyjmowania wiary przez Litwinów i spółcześnego naciskania Żmujdzi przez Krzy-

---

(1) Narbutt, VII, Dod IX, str. 83.
(2) Narbutt, IV, 135.
(3) Narbutt, VII, Dod. IX, str. 64.

żaków, w zamku tym znalazł schronienie ostatni krewe-krewejta Gintowt i około siebie wyznawców dawnéj wiary gromadził. Bawił on tam aż do czasu przybycia Jagiełły i Witolda, którzy po sejmie Horodelskim r. 1414, wyprawili się byli na Żmujdź, dla nawracania tego ostatniego zakątka pogaństwa. Kiedy z rozkazu króla wycinano święte gaje około Onkain, Gintowt opuścił swoje schronienie, i tułając się po kraju między ludem jeszcze sobie przychylnym, w 74 roku życia dokonał. Tak więc wiekopomną powinna być dla Żmujdzi góra Pilkalnis: tu bowiem przez wiele lat toczyły się krwawe z Zakonem boje; tu było ostatnie naczelnika pogańskiéj wiary schronienie; tu wreszcie zajaśniało piérwsze znamie krzyża św. dla téj krainy i poraz piérwszy ze skutkiem zlały się na głowy ludu święte zdroje chrztu odrodzenia (1).

46. *Parnrey* albo *Pernarowo* blizko Ejragoły, miejsce dotąd niezbadane (2).

47. *Pastow*, zamek obronny, dziś wieś *Pestwiany* w parafii Średnickiéj, około 1378 r. przez Krzyżaków zburzony (3).

48. *Poswojtoj*, zameczek za Jurborkiem nad rzeką Świętą, gdzie dziś Poświęciańska zastawa graniczna (4).

49. *Pilleny* lub *Pullen*, tego naźwiska warownych miejsc było kilka: 1, między rzekami Suszwą i Niewiażą, na drodze z Kejdan do Bejsagoły, dziś wieś Pillany; 2, już tylko uroczysko na granicy Kurlandzkiéj; wreszcie 3, Pilleny pamiętne w dziejach bohaterską obroną załogi w 1336 r. za czasów Olgierda przeciw Krzyżakom. Niemasz zgody względem położenia tych ostatnich Pillen. Długosz, Stryjkowski i Kojałowicz, mówiąc o owéj obronie Pillen przez walecznego Margera, biorą Krzyżackie *Pullen* w powiecie *Troppen*, jak Wigand pisze, za Punie, leżące nad Niemnem niżéj Olity w powiecie Trockim: u Pruskich bowiem kronikarzy, Troppen często znaczy toż samo co Troki. Tegoż mniemania są i wydawcy *Starożytnéj Polski* (5), a za nimi poszedł i nasz wieszcz Litewski po miejscowém obejrzeniu okolicy, w poemacie swoim pod tytułem „Marger". Przeciwnie p. Narbutt, opierając się na własnych śledzeniach i idąc za przewodnictwem Dusburga, jako też topograficznych notacyj Krzyżackich, utrzymuje: że *Pulle* czyli

---

(1) Korrespon. z Kowna w Gaz. Warsz. 1855, N. 18.
(2) Narbutt, VII, Dod. IX, str. 83.
(3) Narbutt, l. c., str. 85.
(4) Narbutt, l. c.
(5) Baliński, Star. Polski, str. 427—429.

Pilleny owe, nie nad Niemnem i nie w Trockim powiecie, lecz były nad Szeszupą bliżéj jéj źródeł i w powiecie zwanym Troppen w kraju Zapuszczańskim, właśnie tam gdzie dziś znajduje się wieś zwana *Pilluny* niedaleko Pilwiszek (1).

50. *Pilkałnis*: przy miasteczku Liszkowie nad Niemnem; jest to góra zamkowa a na niéj ślady warowni, z oszczątkami wieży okrągłéj, z ogromnych budowanéj kamieni, bez żadnego śladu wejścia. Starożytną tę ruinę nazywa lud prosty „Wieżą olbrzymów" (*Milzios weżoja*). Jak się ta warownia właściwie nazywała niewiemy; Krzyżacy nieraz się o nię ocierali, w roku zaś 1331 podobno byli nawet jéj panami, a podanie głosi, że mieli tam działa, które nadzwyczaj daleko sięgały (2). Takież góry zamkowe (*pilkałnas*) mamy na wielu innych miejscach; *np.* niedaleko Poswala przy ujściu Tołoty do Muszy (3), tudzież niedaleko jeziora Dusiaty, w lesie zwanym Puszcza w powiecie Nowo-Alexandrowskim, i na wielu innych miejscach (4).

51. *Pilup*, tak się zowie spory kopiec sypany pod wsią Rumszyszkami o milę od Olity, na którym w starożytności musiał być zamek, z nazwiska nam nieznany, gdyż wyraz Pilup znaczy tylko zamek nadrzeczny (5).

52. *Pista* albo *Pistena* i Junigeta, o któréj wyżéj wspomnieliśmy, były dwa zamki niedaleko siebie położone, jak z opisu wypraw Krzyżackich wnosić należy. Pista była we włości Rosieńskiéj niedaleko Ejragoły. Krzyżacy r. 1291 zamek ten oblegli, r. 1298 razem z Junigetą spalili, lecz został odbudowany, kiedy w latach 1318 i 1322 widzimy znowu Krzyżaków na próżno do niego szturmujących (6).

53. *Płotele* na wyspie obszernego jeziora, pięć mil od Telsz, jeden z najdawniejszych zamków Żmujdzi, może jeszcze przez Skandynawów założony, jak z opisu Stryjkowskiego i Miechowity wnieść można (7).

54. *Poporć*, przy lewym brzegu Wilii naprzeciw Kiernowa, w wyprawach Krzyżackich r. 1391 i 1394 wspominany. Był to zamek drewniany na górze, który w końcu panowania Jagiełły zniszczał (8).

---

(1) Narbutt, IV, 600, VII, Dod. IX, str. 86.
(2) Narbutt, VII, Dod. IX, str. 80.
(3) Baliński, l. c., str. 451.
(4) Połujański, Opisanie lasów, II, 136.
(5) Baliński, l. c., str. 440.
(6) Dusburg u Stryjkowskiego, str. 259, 268, 298.
(7) Baliński, l. c., str. 525.
(8) Połujański, l. c., str. 75.

55. *Przełom* miano Słowiańskie, zapewnie późniéjsze: właściwego Litewskiego nazwania nieznamy. Było to miejsce obronne na prawym brzegu Niemna sześć mil niżéj Grodna, jeszcze pod r. 1378 wspominane (1).

56. *Puteniken* czyli *Puteby*, nad Jurą, zameczek niemałego znaczenia w początkowych wojnach z Krzyżakami, którzy go w r. 1307 przez zdradę Spudona opanowali i wraz z posadą spalili (2).

57. *Rajgród* (może od *rauju* wyrywam z ziemi i *gardas* ogrodzenie) policzamy do rzędu miejsc warownych Litewskich, gdyż ta część Podlasia ulegała oddawna zwierzchnictwu Litewskiemu, i była jak wiemy wydziałem Trojdena (r. 1281), który z tego powodu mianował się xięciem Podlaskim (3). Że Rajgrod musiał być obwarowany, same jego położenie nad granicą Pruską każe się tego domyślać. Na lat dwadzieścia kilka przed zajęciem Rajgrodu przez Trojdena, wojował w tych stronach xiążę Danijel, (r. 1255), a wracając z téj wyprawy, gdy szedł przez jezioro, postrzegł na jego brzegu piękną górę, z oszczątkami na niéj grodu zwanego *Raj* (4). Czy to niebyło czasem stare uroczysko Rajgrodu? Wszak i p. Narbutt pisze, że Rajgrod zwał się dawniéj Rajem, a wyraz ten ma znaczenie u Litwinów Zapuszczańskich dziewosłęba, swata (5).

58. *Romowe* albo *Romene*, świątynia, pobyt krewe - krewejty i osada zapewnie warowna w widłach między rzekami Suszwą i Niewiażą. Kronikarz Dusburg piszący za czasów Witenesa r. 1326, powiada że Ludwik Libentelle komandor Ragnicki, zburzył to Romowe r. 1295 (6). Podług p. Narbutta zniszczenie tego miejsca miało nastąpić dopiéro między r. 1316 a 1320 (7). Drugie Romowe nad ujściem Dubisy zburzyli Krzyżacy 1294 r. (8).

59. *Rudmin* zameczek dwie mile na południe Wilna nad rzeczką dziś Rudominą (9).

---

(1) Baliński l. c. str. 385 i 386.
(2) Dusburg u Stryjkowskiego str. 263. Narbutt, VII, Dod. IX, str. 87.
(3) Stryjkowski str. 309. Kron. Bychowca str. 20. Narbutt, IV, 284, 285.
(4) Latop. Wołyński w połnom sobr. str. 191.
(5) Narbutt, VII, Dod. IX, str. 87.
(6) Stryjkowski, str. 142.
(7) Narbutt, l. c. str. 89.
(8) Narbutt tamże.
(9) Narbutt l. c. str. 89.

60. *Senorcite* o tym zameczku wspomnieliśmy pod *Biwerwarte*.

61. *Sisditen*, *Sundite*, albo *Surdite*, na Żmujdzi w ziemi Miednickiéj, zamek dość obronny, od którego w r. 1314, po daremnych szturmach Henryk marszałek Zakonu ze stratą ustąpić musiał (1).

62. *Sudarga* znaczna twierdza na lewym brzegu dolnego Niemna, niżéj Jurborka, należała do pana Litewskiego zwanego *Sudorg*. Dziś w tém miejscu wieś Sudargi albo Johannisburg (2).

63. *Strawieniki* albo *Strawilissen* lub *Streben*, w r. 1348 oblegane, a w r. 1368 zdobyte przez Krzyżaków (3).

64. *Sunnepille* albo *Sunnenpille* (synów zamek, zapewnie przy urodzeniu synów, podług zwyczaju Litewskiego założony), leżał gdzieś niedaleko prawego brzegu Niemna mil pięć od Nauenpille, może dzisiejsze Sumieliszki na drodze z Puń do Jezna (4). Inni biorą ten zamek za dzisiejsze Sejny (5). Sunnepille zdobyte były przez Krzyżaków 1368 r. Drugi gródek tegoż nażwiska spalony przez Zakon 1381 r. stał w tém miejscu gdzie dziś Jegłowo, półtory mili za Suwałkami, obok jeziora i wsi zwanéj Surpiły.

65. *Troki* (od *trakas*, *trakönaj*, *trakinne* trzebież), jedna z najdawniejszych osad Litewskich. Wspomniany wyżéj wędrowiec Iślandzki z XII wieku Snorr-Sturlesohn, mówiąc o stronach przez się zwiedzanych, mówi między innemi o osadzie *Triki*, któréj mieszkańców mógł trochę rozumieć (6). Jeżeli więc wzmiankę tę rzeczywiście do Trok odnieść należy, godzi się przypuścić, że tę starą Litewską osadę (jak tego samo jéj nazwanie dowodzi) pomnożyli albo na nowo osiedlili późniejsi Skandynawscy przybysze. Inni utrzymują, że w miejscu gdzie dziś stare Troki był zamek *Turgani*, który w r. 1045, zdobył jakiś namiestnik w. x. Kijowskiego, i Troki tam założył, co też dało powód umieszczenia powyższéj daty w dzisiejszym herbie powiatu Trockiego (7). Jakkolwiek uważać będziemy to poda-

---

(1) Dusburg u Stryjkowskiego str. 266.
(2) Narbutt l. c. str. 92.
(3) Kronika Rumborska u Stryjkowskiego str. 273. Baliński Star. Pol. str. 472.
(4) Narbutt l. c. str. 92.
(5) Baliński l. c. str. 372.
(6) Czacki o Lit. i Pol. pr. I, 8 wyd. piérwsze Narburt. 111, 316.
(7) Ist. statyst. oczerki Wileń. guber. str. 137.

nie, zawsze posłuży na poparcie dawności osady. Rzeczą jest pewną, że Troki przynajmniéj od czasów Gedymina (r. 1321), były warowne a razem stolicą xięztwa, przeniesioną z Kiernowa. Miały one dwa zamki: jeden w starych Trokach drewniany, potém przez Kejstuta wymurowany, a w r. 1405 przez Witolda na klasztor Benedyktynów oddany; drugi przy nowych Trokach na wyspie jeziora Galwie, którego szczątki murów, dotąd jeszcze widzieć można. Zamek Trocki roku 1383 zdobył Witold z Krzyżakami, lecz wkrótce tegoż roku przez Skirgiełłę odzyskany zastał (1). Lannoy który r. 1421 zwiedzał Polskę i Litwę, tak pisze o Trokach: „Mieszka w rzeczoném mieście Trokach i zewnątrz w kilku wsiach, wielka ilość Tatarów, a tam mieszkają pokoleniami, którzy są prości Saraceni, niemający nic z wiary Jezusa Chrystusa, a mają język osóbny zwany Tatarski. I mieszkają podobnie w rzeczoném mieście Niemcy, Litwini, Rusini i wielka ilość Żydów, którzy mają każdy język szczególny (2).

66. *Twerymont* czy *Twer* (od *twora* ogrodzenie zwłaszcza kamienne) u kronikarzy Ruskich *Twiremet* lub *Twirement* zwany, był to gród na Żmujdzi, o którym pod r. 1252 w wojnie Towciwiłła z Mendogiem wspomina latopisiec Wołyński (3).

67. *Utena* o pół mili od dzisiejszéj Uciany, na górze od dotąd zwanéj Pil-kałnas (zamkowa góra) sięga bardzo odległéj starożytności, bo końca XII lub początku XIII wieku. Gród ten miał założyć xiążę Litewski Utenes. W tym zamku około roku 1281, przebywał Doumunt brał Narymunta (4).

68. *Wardach* albo *Warrach* zameczek Żmujdzki niedaleko Goldyngi (5).

69. *Wajken* albo *Wajkan* miejsce warowne na Żmujdzi, którego położenie dotąd niezbadane. Utrzymują, że leżało w Zapuszczańskiém między dolnym Niemnem a Maryampolem (6). Z opisu pochodów Krzyżackich tyle tylko dójść można, że Wajken było blizko włości Rosieńskiéj, na dwa dni drogi od Ejragoły. Gród ten z całą włością Wojkońską r. 1322 Krzyżacy z Krzy-

---

(1) Narbutt V, 332, 336.
(2) Voyages et ambassades de messire Guilibert de Lannoy etc. Mons, 1840.
(3) Połnoje sobranije, II, 188.
(4) Stryjkowski str. 239, Baliński Star. Pol. str. 276, 277.
(5) Narbutt VII, Dod. IX, str. 94.
(6) Narbutt l. c.

żownikami zamienili w pustynię (1). Zdaje się że Wejgów czy Wejgawo, często wspominane w wyprawach Krzyżackich, za jedno z Wajken brać należy (2).

70. *Wendzigoła* albo *Wendejagel* miejsce niegdyś warowne na północ Kowna (3). Wspomina o niém Wigand pod r. 1384 (4).

71. *Wieprze* u Krzyżaków *Wepern*, nad rzeką Świętą przy małém jeziorze, ślady tego zamku dotąd zostały (5).

72. *Wejkszyszki* albo *Wekszuszki* w kronikach Niemieckich *Wissewalde*, a w latopiscu Daniłowicza (który mówi że, tam był zamek) *Wejszczuszki*; leżał na prawym brzegu Wilii, w miejscu zwyczajnéj przez tę rzekę przeprawy; blizko dzisiejszego miasteczka Janowa. Miejsce to nieraz wspominane w wojnach z Zakonem. Tu miała miejsce bitwa z Krzyżakami r. 1390, (6). Wzmiankowane w kronikach Krzyżackich Wissewalde, biorą inni za dzisiejszy zameczek pod Wilnem, zwany dawniéj *Suderwą Wirszyłów* położony nad Suderwianką wpadającą z prawéj strony do Wilii. Są tam ślady zameczka i mogiła, która podług podania, ma być mogiłą poległych Krzyżaków (7).

73. *Wellona* na prawym brzegu Niemna, między Średnidnikami a Jurborkiem wzniesiona pod koniec panowania Witenesa, miała w sobie świątynię bogini tegoż nażwiska (Wellona) (8). O téj twierdzy nader często wspominają dzieje Litewskie. Krzyżacy niemogąc zdobyć Wellony, wznieśli na początku XIV wieku na przeciw niéj dwa zamki: *Friedburg* i *Bajern*, z których ostatniego dobywając Gedymin (r. 1340 i 1341) rażony strzałem broni ognistéj, poległ; co dało powód do mniemania jakoby pod Welloną śmierć poniósł. Zamek ten razem ze świątynią spalili Krzyżacy r. 1364, Kejstut go odnowił, lecz Krzyżacy powtórnie go zdobyli w r. 1404 i wówczas świątynię pogańską przerobili na kościoł. Gdy Wellona wróciła pod panowanie Litewskie, Witold, rządząc tym krajem, mieszkał w tym grodzie r. 1414 (9).

---

(1) Dusburg u Stryjkowskiego str. 268.
(2) Stryjkowski, str. 225. Voigt, Gesch. Preus. V, 67, 358, 359. Narbutt l. c. str. 95.
(3) Narbutt l c. str. 94.
(4) Voigt, Gesch. Preus. V. 425.
(5) Baliński l. c. str. 282.
(6) Narbutt l. c. str. 94.
(7) Narbutt l. c. str. 97. Baliński l. c. str. 201.
(8) Voigt, Gesch. Preus. V, 66. Narbutt IV, str. 574.
(9) Narbutt I, 56, 57, Dod. IX. str. 95.

74. *Wilkia, Wilki*, u Krzyżaków *Wilkenberg*, mała twierdza, trzy mile niżéj Kowna nad Niemnem między ujściem Niewiaży i Dubisy, spalona r. 1388 przez samych Litwinów, lecz znowu widać odbudowana, gdyż r. 1391 wydali ją Żmujdzini Witoldowi (1).

75. *Wiłkomierz* (*wilka-merga* wilcza dziewczyna), u Krzyżaków *Wilkomirgen* albo *Wilkenburg*, nad rzeką Świętą należy do najdawniejszych zamków Litewskich. Początek jego odnoszą jedni do X wieku, inni założycielem Wiłkomierza w r. 1225 mianują Dowszprunga xięcia na Dewałtowie czyli Dziewałtowie, które także musiało być warownym grodem. Warownia stała na górze dotąd zamkową zwanéj, spalili ją Krzyżacy w odwrócie od Wilna r. 1391 (2). Pod Wiłkomierzem xiążę Michał Zygmuntowicz z Jakóbem z Kobylan, wodzem posiłków Polskich odniósł r. 1435 owe pamiętne zwycięztwo nad Skirgiełłą i Frankiem Kersdorfem mistrzem Inflanckim, które dla jego rycerstwa taką było klęską, jak bitwa Grunwaldzka dla Krzyżaków Pruskich (3).

76. *Wilno*, stolica Litwy, było już osadą nim Gedymin zbudował tu zamek murowany, 1321 lub 1322 r. Wilno może nawet już w XII wieku swój byt miało, jeśli wspomniane *Welnii* przez Snorra-Sturlesona Iślandzkiego wędrowca do właściwego Wilna odnieść zechcemy. Lecz i Ruscy kronikarze znają Wilno już od XII wieku; mówią nawet o jakimś xięciu Litewskim *Dawilu* który w téj stronie r. 1129 nad osóbną panował dzielnicą (4). Toż samo potwierdza nasz Długosz (5). Wszakże kroniki nasze powszechniéj do XIII wieku odnoszą początek Wilna; w nich czytamy, że go po zburzeniu siedliska arcy-kapłana przez Krzyżaków nad Dubisą i Niewiażą, xiążę Litewski *Swintorog* czy też syn jego *Germond* założył około r, 1272 nowe Romowe śród doliny przy ujściu Wilny czyli Wilenki do Wilii i że ta dolina odtąd zaczęła się nazywać *doliną Swintoroga*, gdzie obok świątyni było i zgliszcze pogańskie (6). Od téj więc daty musiała już tu być i osada, która z czasem w Wilno urosła. Gedymin przeto nie do pustego przybywał miejsca, gdy po szczęśliwéj Ruskiéj wyprawie (r, 1320), stolicę swą z Trok (gdzie bardzo krótko trwała) prze-

(1) Narbutt V, 423, 472, VII, Dod. IX, str. 95, 96.
(2) Stryjkowski, str. 457.
(3) Stryjkowski, str. 552. Narbutt VII, 169.
(4) Karamzin Hist. IV, nota 103, str. 45, i nota 277.
(5) Długosz, Hist. xięga. IX, str. 16.
(6) Stryjkowski, str. 296.

niósł do Wilna około r. 1322. Być jednak może, że budowa zamku cokolwiek się wcześniéj zaczęła, gdyż trudno przypuścić, żeby w jednym prawie roku tyle murów stanęło. Że ten xiążę r. 1323, rzeczywiście już tam mieszkał, na to mamy dyplomatyczne dowody w jego odezwach do papieża Jana XXII, do różnych zakonów mnisich, i miast Hanzeatyckich, tudzież w układach z mistrzem Inflanckim i arcybiskupem Ryzkim tegoż roku datowanych z Wilna. Obszerniéj o Wilnie będziemy mieli sposobność mówienia na inném miejscu.

77. *Woruta* albo *Boruta* miejsce warowne wspominane w zajściach Mendoga z Towciwiłłem (1), dzisiejsze horodyszcze w powiecie Nowogródzkim (2), lub Boruny w powiecie Słonimskim (3).

Lubo widzieliśmy, że nieraz przy będącéj już osadzie zakładano zamki, najczęściéj wszakże tak bywało, że dopiéro zbudowanie jakiego gródka, dawało początek podzamczom. Obronne miejsce sprzyjało w obu razach, pomnożeniu się osadników, i takim to sposobem tworzyły się pomału na Litwie miasteczka. Że jednak w tych miasteczkach, bardzo długo więcéj wiejskiego było jeszcze życia, na to dowód mamy i w samym języku, który Litewskim wyrazem nieumie nazwać ulicy (*uliczia* lub z Niemieckiego *gases*), bruku (*brukas*), rynku (*targowete, targas*), i w napomknieniach dziejowych świadczących o rolniczém zatrudnieniu podzamczan (4). Takie zawiązki miejskich osad, daleko wcześniéj zjawiły się na Litwie, niżeli na Żmujdzi, bo Żmujdzin zamiłowany w swobodzie nielubił siedzieć gromadnie; wolał raczéj mieszkać po wsiach z nielicznych domów złożonych, a częściéj jeszcze jak dotąd Łotysze w Kurlandyi, w odosobnionych chatach, gdzie każdy był niejako zapełnym w swoim obrębie panem, wolniejszém oddychał powietrzem, a sąsiad nie tak łatwo mógł jego prawa własności naruszać. Być nawet może: że owe długie a niszczące wojny, na które Żmujdź z powodu sąsiedztwa z rycerzami Niemieckimi, wystawioną była, radziły unikać gromadnych osiedleń, gdyż łatwiéj odosobniona zagroda, niż ludna wioska lub miasteczko, przed okiem

---

(1) Latop. Wołyński w połn. sobr. str. 188.
(2) Narbutt IV, 160,
(3) Narbutt VII, Dod. IX, str. 68,
(4) Tak *np.* wspomina Dusburg, że w r. 1318 marszałek Henryk dobywając Junigety i Pisteny spalił obu tych zamków podzamcza, gdzie pełno było świeżo nawiezionego zboża. *Stryjkowski str. 268.*

chciwego łupu nieprzyjaciela, śród puszcz i bagien ukryć się mogła. Ten stan rzeczy na Żmujdzi doczekał się nawet czasów Chrześcijańskich. Łasicki kreśląc obraz tego kraju za panowania Zygmunta-Augusta powiada: że na Żmujdzi wiele jest zamków, ale rzadkie miasta a nieliczne wioski, i że dopiéro Jakób Laskowski z rozkazu tego króla, zaczął Żmujdzinów w gromadniejsze społeczeństwa zbierać i na pewnych miejscach osadzać (1). Piérwsze osady miejskie na Żmujdzi były to bez wątpienia liche tylko mieściny, może nawet więcéj przez obcych niż krajowców zaludnione; niesądzimy jednakże aby Laskowski, choć się tak przed Łasickim przechwalał, zakładał istotnie piérwsze miasteczka na Żmujdzi; niektóre z nich mogły uprzedzić pobyt jego w tym kraju; przynajmniéj Miedniki (2), siedlisko duchownego zarządu, musiały już być pod koniec XV wieku, więc przed Zygmuntem-Augustem, dość sporém miasteczkiem, kiedy Marcin II biskup Żmujdzki, nadał im w r. 1392 prawo Chełmińskie. Wówczas gdy pisał Łasicki inną zapewnie miała już postać Litwa, pod względem miejskiego osiedlenia, lecz jeżeli się o parę wieków nazad cofniemy, powyżéj skreślony obraz Żmujdzi, łatwo się da i do całéj w powszechności zastosować Litwy.

Ponieważ głównie idzie nam o to, aby okazać stan osiedlenia właściwéj Litwy, nietykając jéj zaborów: niemówimy przeto szczegółowo ani o zamkach i osadach Słowiańskich na Rusi Litewskiéj i Podlasiu (Grodno, Nowogródek, Brześć, Kamieniec Litewski, Suraż, Drohiczyn, Bielsk, Mielnik i t. d.), ani o dalszéj południowéj i wschodniéj Rusi, oddawna z państwem Litewskiém złączonéj, któréj miasta i grody wylicza i

---

(1) Łasicki: de diis Samogitorum p. 45, 46: „Disperse per silvas, campos degunt, rara ne pugos nimium multas; arces autem munitas multas habent, quorum fenestrae meridiem versus spectant. Etudio Sigismundi-Augusti regis in coctus et societates convocati..... Inter eos qui minoris dignitatis sunt fuit Jacobus Lascovius Polonas nobilis tractus Calisiensis ex quo haec percepi, qui in hisce hominibus pie crudiendis et in certa loca cogendis Sigismundi-Augusti jussu plurimum operae impendit.“

(2) Kojałowicz każe Witoldowi zakładać Miedniki r. 1413. „Vitoldus.... oppidum Miedniki aedeficare mandavit, quod ut ejus tempestatis mos ferebat, nullae adhuc per Samogitiam civitates essent, (*Hist. II, 95*). Niezakładał jednak Witold nowego miasta w miejscu pustém, lecz tam gdzie była już oddawna miejska osada a nawet gródek. Medewageln.

kronikarz XIV wieku napisany przez Szlecera (1), i spółcześny ze Świdrygełłą rękopism, znaleziony w tajném archiwum Królewieckiém (2), i wreszcie świeżo podana wiadomość przez hr. Konst. Tyszkiewicza o grodach Rusi Litewskiéj w Mińskiéj i Witebskiéj gubernii (3). Zostawiwszy przeto na ten raz Ruś na stronie, powróćmy do saméj Litwy.

Gdybyśmy na mapie ówcześnéj Litwy, oznaczyć chcieli i mogli, wszystkie dotąd wymienione zamki, gródki i miasteczka, w czém drożniki czyli marszruty zachowane po Krzyżakach, a opisujące ich pochody do Wilna, Trok, Nowogródka, Lidy i t. d. z wymienieniem odległości wsi i miasteczek wielce byłyby pomocne (4); gdybyśmy do tego dołączyć jeszcze mogli wszystkie horodyszcza i z miejscowości już nam dzisiaj nieznane osady, wreszcie nazwiska włości w kronikach i drożnikach Krzyżackich wspomniane; — czyliż patrząc na taką mapę, dość gęsto ludzkiemi siedzibami zasłaną, niepowiedziałby każdy: że pogańska Litwa, niemusiała być stroną w ludność bardzo ubogą? I rzeczywiście musiała być dość ludną, kiedy jeszcze przed zaborami na Rusi dalszéj, już tak czynnie i tak gromadnie na zewnątrz występować mogła. Prawda, że rola i rzemiosła niewiele jeszcze rąk potrzebowały, wszyscy jednak nieopuszczali domów dla odparcia wroga, odmszczenia krzywdy, lub zdobycia łupów; choćbyśmy nawet zgodzili się na to, że w wielu zajęciach gospodarskich (niecały ich ciężar) kobiety zastępowały mężczyzn (5); wszakże nawet przez przybliżenie oznaczyć niepodobna, jaka na Żmujdzi i Litwie mogła być liczba mieszkańców. Zaludnienie tego kraju w różnych epokach jego bytu politycznego, mogło być rozmaite. Nim Krzyżacy swoje niszczące rozpoczęli napady, żyżna Żmujdź może była daleko lu-

(1) Schlözer Gesch. v. Lithauen str. 17, 19, Narbutt, VII, Dod. IX, str. 99.

(2) Karamzin Hist. II, nota 117, IV, 195. Kotzebue, Swidrigail str. 144, 145. Narbutt l. c. str. 97, 103.

(3) Teka Wileńska N. III, 17. i d. N. IV, str. 205 i t. d.

(4) Drogi ten zabytek geografii Litewskiéj miał sobie udzielony p. Narbutt przez zmarłego Żegotę Onacewicza, razem z kroniką Wiganda, tłómaczoną z Niemieckiego na język Łaciński dla Długosza, i trzema ogromnemi folijałami, poświadczonemi przez historyografa Voigta dyplomatów, korespondencyi Witolda i Jagiełły, wypisanych z archiwum tajnego Królewieckiego— szacowne skarby, z któremi niejeden radby się zapoznać!

(5) Kraszewski, Litwa I, 25. Szajnocha, Jadw. i Jagiełło, III, 26.

dniejszą niż Litwa; ale Niemieccy rycerze z szczególniejszą ochotą brali się do wytępienia pogańskiéj ludności. Co niepadło pod mieczem, musiało iść w niewolę, z któréj rzadko udało się komu w ojczyste powrócić progi. Pozostali nawet na miejscu, niemając bezpieczeństwa, rzucali odwieczne siedziby, a zostawiwszy po sobie pustkowie i zgliszcza, szukali z oszczątkami swego dobra w głębi puszcz schronienia. Niezawsze wprawdzie zapuszczali się Krzyżacy w głąb' kraju; rabownicze ich najazdy bardzo często miały tylko na celu pograniczne powiaty, bo nieraz przedsiębrali takie wycieczki, ułatwiając jedynie spełnienie ślubu na ziemi pogańskiéj tłumnie zebranym Krzyżownikom, przy czém rycerska biesiada i hojne upominki, jednały Zakonowi i nadal przychylność wodzów krucyaty. Pomimo to jednak, gdy wyprawy tego rodzaju często, bo kilka razy do roku, ponawiane były, zawsze więc na ludność kraju zgubny musiały wywierać skutek. Pustoszały zatém okolice dawniéj gęsto zasiedlone, a dziki źwierz odzyskiwał panowania swoje śród ostępów leśnych, które na uprawnych niegdyś zagonach nanowo porosły. Takich miejsc wówczas niemało znalazłbyś na Litwie, lecz przedewszystkiém obraz podobnie zdziczałéj okolicy, przedstawiał szczególniéj cały pas pogranicza Pruskiego od Bałtyku do Mazowsza, na kilka mil szeroki, przez samych Niemców pustynią (Wildniss) nazwany, przystępny tylko dla śmielszych łowców, lub szpiegów Krzyżackich, albo też dla obustronnych łotrzyków (latrunculi, Ströter), którzy w głuchéj puszczy ukryci wyglądali dogodnéj pory, do niespodziewanego na Prusy lub Litwę napadu. Niemówimy tu o morach i głodach, które podług świadectwa kronikarzy, dość często nawiedzały Litwę i dziesiątkowały naród, bo te klęski nawiedzały kraj w znacznych przerwach czasu, kiedy przeciwnie niszczący miecz Krzyżacki, rzadko którego roku w pochwie spoczywał.

Ubytek ludności przynajmniéj w części wynagradzała sobie Litwa, już to przez brańców wojennych, już przez dobrowolnych osadników. W rzędzie piérwszych, byli nietylko Niemcy, Polacy, Rusini, Tatarzy i Żydzi zabierani w Polsce, ale też pobratymcy Litwinów z Prus i Kurlandyi, zwłaszcza od czasu gdy już wiarę Chrześcijańską przyjęli. Jak wielka liczba wojennych brańców po całym kraju musiała być rozrzucona, już z tego możemy wziąć miarę, że z Aldoną córką Gedymina, Kazimierzowi synowi Łokietka poślubioną, samych Polaków wolnością obdarzonych 24 tysiące do ojczyzny wróciło (r. 1325). Od XIII wieku ludność Litewska znacznie pomnażać

się zaczęła przez dobrowolnych z sąsiedztwa wychodźców. Pogaństwo Prus, Kurlandyi, Łotwy, Semigallii i Inflant, unikając srogiego ucisku Niemieckich rycerzy, wielokrotnie szukało schronienia z całemi rodzinami i mieniem ruchomém, u jednoplemiennym Litwinów. Niemało też kolonistów dobrowolnych, dostarczyli Sudawi z Jadźwingami, orężem Krzyżackim lub Polskim z ojczystych siedzib swoich wypierani. Oto są niektóre daty tych przesiedleń zachowane u spółcześnego Dusburga (r. 1326) i w innych kronikarzach. Wojsiełko przyjmował wychodźców Pruskich około 1266 r. Wkrótce potém przybyli (r. 1268) Nadrowczycy, Szalowczycy, Skalowity i Pojczańczycy. Nadrawczyków emigracya ponowiła się jeszcze r. 1275. W latach 1276 i 1277, widzimy nowych z Szalawii i Pojczanii przybyszów, którzy w Grodnie, Słonimie i okolicach tych miast osiedli. W Grodnie a pewno i w innych miejscach, znaleźli oni swoich rodaków Bartów dawniéj już w Litwie zamieszkałych, których część r. 1284 do Prus wróciła. O tych Bartach czyli Borciach, osadzonych na czyńszu pieniężnym, do służby wojennéj i innych robocizn obowiązanych, wspomina ustawa włoczna Zygmunta-Augusta (1). Naźwisko ich zachowało się do naszych czasów w powiecie Lidzkim, gdzie się znajduje starostwo zwane *Borcie*, denominacya niepochodząca od barci pszczelnéj (po-Litewsku *kuzawas* albo *drowis*), lecz od ludu Bartów. Klęski zadane Jadźwingom, przez Bolesława Pudyka (r. 1264) i Leszka Czarnego (r. 1282), zmusiły rozproszonych niedobitków, szukać bezpieczniejszych śród Litwy siedzib, jak tego dowodzą w różnych stronach po Litwie i Rusi Litewskiéj napotykane osady, dotąd Jaćwieżów i Jatwiesków noszących nazwę. Resztki Sudawów pokrewnych Jatwie, podobnąż odbyły wędrówkę: co bowiem z tego ludu po mordach Krzyżackich lub przyjęciu wiary i osadzeniu w Prusiech, jeszcze zostało, wszystko to w latach 1283 i 1284 poszło do

---

(1) Ustawa na wołoki hospodara korola jehomosti, atr. II: „Iż perwiej Bortewie rożnosti w robotach ot inszych poddanych naszych mieli, i teper ich zostawim, aby wodle szacunku hrontów, za wsi powinnosti, czynszy, owsy i siena, pieniażmi s wołok do skarbu naszoho płatili, jako i osadniki. A koli im na wojnu iti każem, majut mieti tot rok wolny ot wsich płatów. A mosty im powinnye i też za rozkazaniem i listom naszym, mosty nepowinnye mostiti majut, a za to im folgu w czynszach naszych diełati każem, podle woli naszeje.“

Litwy. Jedni z tych wychodźców osiedli w okolicy Trok i Sumieliszek, gdzie ich jeszcze 1375 r. znaleźli Krzyżacy (1); inni zaś zaludnili okolice Lidy, po nad górną Dzitwą w dzisiejszéj parafii Ejszyszkiéj, gdzie dotąd mamy wieś Kierszyszki, przypominającą obwód Kierszawski, pierwotne wychodźców gniazdo w ziemi Sudawskiéj (2). I wpóźniejszych czasach bywały jeszcze emigracye Prusaków do Litwy, o co też częste zachodziły spory z Krzyżakami: w traktacie *np.* zawartym między Witoldem a Zakonem r. 1404 (3), obie strony przyrzekają przez lat 10 żadnego nieprzyjmować wychodźca bez zezwolenia mistrza i w. xięcia; po upływie zaś tego czasu ma to być dozwoloném, ale tylko co do ludzi wolnych (4). Od r. 1241 przemoc hord Tatarskich, zaczęła napędzać niemało osadników do Litwy, z Rusi południowéj; kiedy zaś w okolicach Lidy (r. 1242) pod Kojdanowem (1249 r.) i nad Okoniowką (r. 1250) rozbiła się o pierś Litewską stepowych najeźdźców nawała, wychodźcy Ruscy jeszcze gromadniéj wciskać się musieli do Litwy gdzie znajdowali większe bezpieczeństwo przed łupieżą baskaków Batego. Może znajdowane w niektórych okolicach, obok wsi Litewskich, sioła wyłącznie przez lud Ruski zamieszkałe (jeśli tylko niepowstały z brańców wojennych) należą właśnie do pierwotnych osad ówczesnych z Rusi przybyszów. Lecz Rusini nietylko wiejską ale i miejską zasilali ludność, gdzie wspólnie z nimi dość wcześnie osiadali Niemcy, Polacy, Tatarzy i Żydzi. Szczególniéj Wilno zarobkiem handlowym, zwabiało tych cudzoziemców do siebie, a że i xiążęta niemałe ztąd ciągnęli zyski, widokami przeto różnych korzyści zachęcali do osiadania w Wilnie, cudzoziemskich rzemieślników i kupców. Znane nam są listy Gedymina do miast Hanzeatyckich wyprawiane, w których namawia ludzi przemyślnych, rycerzy i rolników, by się garnęli pod jego opiekę; wiemy, że tym nowym osadnikom dozwalał nawet rządzić się pra-

---

(1) Wzmiankę o tych osadach znajdujemy u Wiganda, który opisując zwyczajny napad Krzyżaków na Litwę pod Winrychem v. Kniprode mówi: „Procedunt contra Powunden, ubi per diem et *Sudavensas* igne et interfectione. (*Voigt. Gesch. Preu. V*, *267*).

(2) Dusburg u Stryjkowskiego str. 253, 255. Latop. Wołyń. i Narbutt, 1, annis citates. Karamzin. IV, nota 151, str. 66.

(3) Oryginał Witolda podpisany w Kownie w niedzielę po Wniebowzięciu, — w. mistrza tegoż dnia (17 sierpnia) w Ritterswerder, a zatém także w Kownie, bo je tak Krzyżacy nazywali.

(4) Voigt, Gesch. Preus. VI, 273.

wem Ryzkiém (1). Ale niesame tylko przemysłowe widoki, były powodem do gościnnego przyjmowania obcych przychodniów, znalazły się zapewnie jeszcze inne do tego pobudki. Jeżeli nie lud prosty, to niezawodnie klassa wyższa mieszkańców, a tém bardziéj sami panujący i to jeszcze mogli mieć na uwadze: że osiadający Niemiec, Rusin, Polak, a nawet Żyd, przynosząc z sobą, czy to jaką naukę, czy przemysł i nowe życia towarzyskiego wyobrażenia, dotąd mało lub wcale na Litwie nieznane; tém samém stawał się niejako cywilizatorem kraju. Umieli też cudzoziemcy z dobréj o nich opinii korzystać i swoje wiadomości w materyalną obracać korzyść, niejeden z nich wstąpiwszy w służbę w. xięcia do niemałych przychodził zaszczytów. Zbiegi Krzyżaccy stawali się nauczycielami Gedyminowiczów, tłómaczami i pisarzami w kancelaryi xiążęcéj (2); najbieglejsi mistrzowie ówcześnéj artyleryi, byli Rusini (3); Hanka czyli Hennike mieszczanin z Rygi był rządcą Wilna za Jagiełły, który go w aktach dyplomatycznych „wiernym sługą, wierną radą“ nazywa (4), bo też jako minister w. xięcia występował w umowach z Krzyżakami i w piérwszych układach o rękę Jadwigi w Polsce i w Węgrzech. Cóż więc dziwnego, że w czasie apostolstwa Jagiełły, ludność Wilna w połowie już Chrześcijańska (5), miała zabezpieczone swobodne wyznawanie wiary i własne cerkwie i kościoły (6). Powiedzieliśmy, że Polacy osiadali w miastach Litewskich, lecz mamy ślad że nawet wioski posiadali na pograniczu w ziemi Litewskiéj: w traktacie Jagiełły i Kiejstuta z Krzyżakami r. 1379 w Trokach zawartym, przy wyliczeniu wsi nadgranicznych Litewskich, wzmianka jest nietylko o osadzie Sudawów, „das grosse Dorf do di Sudawin sitzen“ ale i o dziedzictwie Polaka „das andir Sablocza Pomenen Dorf des Polens“ (7). Do téj różnorodnéj ludności, którą się napełniała Litwa, dodaliśmy jeszcze Tatarów i Żydów, o których kilka słów powiedzieć nam zostaje.

---

(1) Raczyński, Kod. dypl Litwy r. 1323. str. 28, 29
(2) Narbutt, IV, 612, V, 236.
(3 Wigand u Voigta l. c. V, 458.
(4) Raczyński, Kod. dypl. Litwy str. 57. „unser getreuer Diener“— „unseres getreuent Rothes.“
(5) Wremen. Sofij. str 381. Latop. Daniłowicza, str. 204. 205.
(6) Szajnocha, Jadw. i Jagiełło III, 41.
(7) Raczyński, Kod. dypl. Litwy, str. 55.

Od czasów Olgierda, a nawet i wcześniéj, często widzimy Tatarów jako sprzymierzeńców lub na żołdzie w wojsku Litewskiém. Być zatem może, że już na wiele lat przed Witoldem, zasłużeńszym z pomiędzy nich ww. xiążęta rozdawali ziemie i tym sposobem zaprowadzalli piérwsze tego ludu na Litwie kolonije. Domysł ten zdaje się potwierdzać i podanie między Litewskimi Tatarami zachowane: jakoby przodkom ich dozwolono było brać w małżeństwo Litewki; jeżeli który niemógł mieć żony z narodu własnego (1). Na takie związki duchowieństwo Chrześcijańskie za czasów Witolda żadną miarą zgodzićby się niemogło (2); ale śród Litwinów Olgierdowych jeszcze w pogaństwie będących, podobne małżeństwa łatwo mogły mieć miejsce, boć i sami Litwini niewglądali w to sciśle, jakiéj wiary miały być własne ich żony. Dodają Tatarzy, że dzieci z takich małżeństw zrodzone wolno im było w swojéj wychowywać wierze z tém tylko zastrzeżeniem, aby się ojcowie ich od wielożeństwa wstrzymali, co też rzeczywiście zamieniło się w stałe Litewskich Tatarów prawidło. Jeżeli tak było rzeczywiście, podobny zakaz posłużyłby za dowód, że w czasach Olgierda już i między pogaństwem Litewskiém poligamija cierpianą niebyła. Zapewnie i swobodne wyznanie Koranu, już wtedy musiało im być zapewnione, a przynajmniéj niewiele się o to troszczył pogański Litwin jaką ma wiarę nowy osadnik, któremu i swojéj narzucać nigdy niemyślał. Ta swobo-

---

(1) Narbutt VIII, 246. Litewskiego Tatarzyna zdanie sprawy złożone 1558 r. sułtanowi Sulejmanowi o Tatarach Litewskich, przełożył z Tureckiego Muchliński, w Tece Wil. N. IV, str. 267.

(2) Musiały jednak bywać zdarzenia, naszemu twierdzeniu przeciwne, nietylko za Witolda, ale nawet w czasach późniejszych, kiedy uznano potrzebę ogłoszenia prawa broniącego Tatarom pojmowania żon Chrześcijanek (*V. L. III, a. 1616, str. 309, tit. o Tatarach*). Jakiś dziedzic Waki, który pod pseudonymem Czyżewskiego, wydał pismo pod tyt. *Alfurkan Tatarski na czterdzieści części podzielony* (r. 1616, a późniéj r. 1640 z dedykacyą do Alexandra Nowomskiego opata Starotrockiego), przywodzi takoż przykłady żenienia się Tatarów z Chrześcijankami, co mimo zawziętości z jaką rzuca różne na ten naród potwarze, mogło jednak być rzeczą prawdziwą. Nic zatém dziwnego, że 58 lat przed owém prawem (r. 1616) czyniący relacyę o swoich rodakach, ów Tatarzyn Litewski, małżeństwa takie za uchodzące na Litwie uważał, dodając nawet, że po żonach Chrześcijankach, wielu mężów przybrało sobie familijne nażwisko; przy czém tę jeszcze dołącza uwagę, że żon takich na cmentarzach Muzułmańskich niegrzebano. (*Teka Wil. IV, str. 258, 267*).

da wyznawania Mahometańskiéj religii, zamieniła się w tak niezmienną zasadę, że jéj i po zaprowadzeniu Chrześcijaństwa w Litwie naruszać niechciano. W dziejach Prus czytamy, że gdy r. 1402 Litwini ze Żmujdzią oblegli Ragnetę i zdobyć jéj niemogli, spaliwszy podzamcze zabrali w odwrócie Tatarów, których tam osiedlano (3). Okoliczność ta wprowadza na wniosek, że i Krzyżacy, naśladując Litwinów, czy z brańców czy dobrowolnych przybyszów, chcieli również u siebie zaprowadzać Tatarskie osady. Od samego nastania, głównym obowiązkiem Litewskich Tatarów, musiała być służba wojenna, spełniana w stosunku posiadanéj ziemi. Najwięcéj tych osadników sprowadził do Litwy Witold z wyprawy swojéj na ich stepy 1397, co też dało powód powszechnemu mniemaniu, jakoby dopiéro od téj daty zjawili się na Litwie Tatarscy osadnicy; lecz o kolonizacyi Witolda niżéj powiemy obszerniéj.

Najdawniejsze na Litwie mogiłki żydowskie, od niepamiętnych czasów już opuszczone, pokazują koło Ejszyszek. W przyszkółku żydowskim tego miasteczka widziano jeszcze r. 1798, kamień grobowy z napisem Hebrajskim i datą 4931, czyli r. 1170 ery naszéj (2). Jeżeli wyczytanie owéj daty na kamieniu niebyło błędne, pomnik ten najlepszym byłby dowodem, że pod koniec XII wieku, mieli tu Żydzi nie czasowe ale trwałe osady. Niewiemy wprawdzie czy Ejszyskie mogiłki do Żydów brańców w Polsce nachwytanych, czy do dobrowolnych należały przychodniów? Ale być może, że one służyły zarówno jednym jak drugim. Znana gorliwość Starozakonnych, co do zachowania przepisów religijnych, i wstręt grzebania ciał zmarłych w niewłaściwych miejscach, były zapewnie dostateczną pobudką, że i niewolnicy żydowscy, lubo po kraju rozrzuceni, po swoim zgonie, przy staraniu swych jednowierców, do wspólnych trafiali mogiłek; wszak to w owych wiekach, przy rzadko gdzie dozwolonych cmentarzach żydowskich, przewożenie ciał zmarłych, ze stron nawet odległych, niebyło nowością dla Żydów.

Różnemi drogami mogli się Żydzi wciskać do Litwy, ale według podań kronikarzy naszych najwięcéj przybyć ich miało z Kijowa (3), co bardzo jest do prawdy podobném. Trzeba bo-

---

(1) Voigt, Gesch. Preus. VI, 239.

(2) W roku narodzenia Chrystusa liczyli Żydzi 3761 lat od stworzenia świata. Odjąwszy tę liczbę od 4931 daty kamienia grobowego, przypadnie data jego nastania na r. 1170, (cf. *Narbutt, III, 271*).

(3) Kompilator T. J. R. w wyjątku umieszczonym przez p. Narbutta w Tygodniku Wileńskim r. 1817, N. 77.

wiem wiedzieć, że Kijów, na cały świat ówczesny słynący z handlu, ze wszystkich stron zwabiał do siebie przemysłem kupieckim, a szczególniéj lichwą zarobkujących Żydów. Skrzętne dzieci Izraela przebywszy Niemcy w swojéj ku wschodowi wędrówce, rozsypały się po Słowiańszczyźnie i napełniwszy cały trakt z Niemiec aż do Kijowa, znalazły tam swoich jednowierców, którzy znowu od wschodu ku zachodowi zdążali. Tych ostatnich, już oddawna niemało było osiadłych nad Wołgą po miastach Bulgarskich i Chazarskich, gdzie nawet wiarę swą między ludem miejscowym krzewić zaczęli. Wyznanie ich miał przyjąć r. 740 chan Chazarski *Bulan*, i Arabski pisarz, *Jehuda Halewy*, ułożył nawet r. 1140 o nawróceniu tego Bulana rozmowę, którą w r. 1167 przełożył na Hebrajski język *Jehuda Abben Tybbon*. Władzcy Chazarscy do rozbicia ich potęgi w r. 990 i 1016 szli za nauką Mojżeszową, któréj w powszechności niebrakło w Bulgaryi i Chazaryi, jak o tém wspomina inny pisarz Arabski *Edrissy* podług wiadomości kupieckich r. 1154 zbieranych w Sycylii (1).

Z dwóch zatém przeciwnych stron zwlekali się Żydzi do stolicy Rusi południowéj, nęcone spodziewanemi zyski. Niemała też ich liczba musiała osiąść w Kijowie, kiedy jedna z bram tego miasta *Żydowską* nazwaną została (2). Zrazu gościnnie przyjęci, bez żadnych przeszkód rozwijać zaczęli swój przemysł w nowéj siedzibie; nawet xiążę Światosław Izjasławowicz, miał się szczególniéj opiekować Żydami, dla znacznych zysków, które z nich ciągnął. Ale lud Kijowski wcześnie się postrzegł, komu dał przytułek w swych murach, i czém na przyszłość zagrażała mu kolonija żydowska. Jakoż zaraz po śmierci Światosława (r. 1113), pospólstwo zniechęcone ku tym przybyszom, z powodu czynionych w handlu przeszkód i zdzierstw lichwiar-

---

(1) Tak utrzymuje o krzewieniu się wyznania Mojżeszowego między Chazarami Lelewel (*Polska wieków średnich*, *II*, *437*, *438*). Zmarły professor b. uniwersytetu Wileńskiego Szymon Żukowski, odpowiadając na niektóre pytania zadane mu przez kanclerza Rumiancowa, między innemi napisał: „Ani z dzieła (dyalogu) Judasza Lewity (Jehudach-Hallai) pod tytułem *Sepher-Cosri*, ani w wojażu Benjamina z Tudeli, o przyjęciu wiary Żydowskiéj przez Khazarów dowodu wyczerpnąć niemożna.“ Rozwiązanie téj kwestyi zostawujemy tym co mają sposobność rozpatrzyć się w źródle wskazaném; dodamy tylko, że i p. Lelewel nieutrzymuje, żeby cały naród Chazarów, przyjął wyznanie Mojżeszowe, ale tylko niektóre indywidua, a między nimi i chanowie.

Latop. Wołyński w półn. sobran. II, 60, pod r. 1151.

skich, rzuciło się na nich z wściekłością, szerząc mordy i rabunek; następca zaś Światosława, Włodzimierz Wsewołodowicz Monomach, wywołał (r. 1114) Żydów ze stolicy Rusi jako przedmiot nienawiści powszechnéj. Byli więc zmuszeni ustąpić z kraju; wszakże są ślady, że jeszcze do r. 1124 przynajmniéj ich resztki znajdowały się w Kijowie (1). Ci więc Żydzi Kijowscy, jak twierdzi wyżéj przywiedziony kompilator, już około roku 1155 mieli się znajdować na Litwie, lecz większa ich część nienajlepszego doznawszy przyjęcia, wyniosła się jakoby do Polski. Z tegoż źródła dowiadujemy się, że xiążęta Litewscy, Żydów w kraju pozostałych, a brańcami wojennymi z tegoż narodu ciągle pomnażanych, za niewolników swoich uznali, tak właśnie jak się to działo w Niemczech, gdzie w wieku XII liczono Żydów, do niewolników kamery cesarskiéj (2). Wreszcie chociażbyśmy podania naszego kompilatora, o gościnnym dworze przez Żydów około r. 1326 w Wilnie założonym, za prawdziwe nieprzyjmowali; rzeczą zdaje się być wielce do prawdy podobną; że owi xiążęcy niewolnicy, przy opiece panującego, który zyski z nich ciągnął, w piérwszych dziesiątkach XIV wieku znacznie już w liczbę urosnąć musieli, a choćby o własnym gościnnym dworze jeszcze i pomyśleć niemogli, tedy jak wszędzie tak również i tutaj, stanowiąc od początku naród w narodzie, swój tylko interes na celu mający, umieli zapewnie w każdém zdarzeniu, korzystne dla siebie w pogańskiéj Litwie czynić obróty.

Taki był przyrost w XIII i XIV wiekach z obcych stron napływającéj do Litwy ludności. A cóż się działo z miejscową? Sądziłbym, że i ta wzrastać musiała. Ginął wprawdzie lud w niszczących wojnach, na które ciągle narażoną była Litwa, lecz od czasu dokonanych na Rusi zaborów, straty te coraz mniéj samą tylko dotykały Litwę, mogącą się wyręczać za-

(1) Karamzin, Hist. II, 141, 142; nota 214, str. 425, 426.

(2) Żydami, w których ręku był handel wewnętrzny, opiekowali się Niemieccy panujący, bo też niemałe z nich ciągnęli zyski, biorąc pogłówne i inne podatki. Żydowi, jako obcemu, niesłużyły prawa obywatelskie; ani osoba, ani mienie jego niebyły zabezpieczone. Musiał zatém szukać opieki panującego, za którą rocznie się opłacał i po śmierci zabierał opiekun całe jego mienie. Z takich stosunków między opiekowanym a panującym wynikło, że w średnich wiekach nazywano Żydów czeladzią kamery cesarskiéj (Keiserliche kammer-knechte), gdyż majątek ich niewątpliwym był kapitałem cesarskiéj komory. (*Fischer Gesch. d. deut. Handels I, 265, 266. Czacki, I, 103*).

stępami, których jéj hołdownicze dostarczały kraje. Kiedy więc ze wzrostem potęgi Litewskiéj, coraz więcéj ustalało się bezpieczeństwo wewnątrz, coraz rzadsze bywały przenosiny i tułactwo wiejskiéj ludności, przedtém nieraz z ojczystych zganianéj siedzib; kiedy tym sposobem pomnażać się musiały dostatki domowe a z nimi środki zaradzenia potrzebom życia, trudno nieprzypuścić, aby przy takich okolicznościach krajowa ludność wzrastać niemiała. Z rękopismu Piotra biskupa Kamaraceńskiego, który pisał o Litwie w r. 1418, a zatém w pięć lat po zupełném nawróceniu Żmujdzi, dowiadujemy się, że wszystkich apostolstwem Jagiełły i Witolda nawróconych pogan miało być 5,635,500 (1). Gdybyśmy za rzetelność tych liczb ręczyć mogli, massa ludności na początku XV wieku, powinnaby była być daleko znaczniejsza, bo komuż niewiadomo, że wiele jeszcze zostało pogan, których nawróceniem przez długi szereg lat po Jagielle, duchowieństwo Litewskie trudnić się musiało. Lecz owa cyfra jest widocznie przesadzoną. Podczas Bazylejskiego soboru r. 1434, Julijan kardynał, uwielbiając w mowie pamięć zmarłego Jagiełły, między innemi powiedział: że od czasu przyjęcia przezeń wiary więcéj 30,000 pogan ochrzczonych zostało (2). Lecz i z tego o całéj ludności kraju wniosku robić niemożna, to tylko pewna, że w pogaństwie ogromna jeszcze pozostała massa, w czasie śmierci Jagiełły.

---

(1) Petri Episcopi Camaracensis de Manichaeis! Agapianis in Russia et Litvania, A. 1418, u Narbutta, I, 392.

(2) Malinowski w przypisie do Wapowskiego Dziejów, I, 231.

Bielsk Podlaski,
d. 25 czerwca v. s. 1858 r.

ZBIÓR UŁAMKOWYCH WIADOMOSCI

O OSOBACH I ZAKŁADACH NAUKOWYCH W DAWNIEJSZYM I OBECNYM (1829) STANIE WILEŃSKIEGO UNIWERSYTETU,

PRZEZ

X. STANISŁAWA JUNDZIŁŁA,

W TYMŻE UNIWERSYTECIE ZASŁUŻONEGO PROFESSORA.

(*Ciąg dalszy*).

ONACEWICZ.

W roku 1828 oddalonym został z uniwersytetu Ignacy Onacewicz, dyplomacyi i statystyki państwa Rossyjskiego nauczyciel....

Człowiek ten, wyznać trzeba, gruntowną miał znajomość nauk, które wykładał. Będąc nauczycielem historyi, najprzód w szkole Białostockiéj, potém w uniwersytecie, znakomite usposobienia swojego okazał dowody. Dobrze obeznany z literaturą Łacińską, po-Francuzku miernie, lecz po-Niemiecku wprawnie mówił i pisał. Czynny, pracowity, wiele czytał i wiele do objaśnienia ojczystéj historyi w krajowych i zagranicznych biblijotekach zbierał materyałów. Roku 1823, wydał panowanie Henryka Walezego i Stefana Batorego, z rękopismów Jana Albertrandego w dwóch tomach in 8; oraz panowanie Kazimierza Jagielończyka z tychże rękopismów wyjęte, z wizerunkami, kartami

geograficznemi i tablicą genealogiczną, r. 1826, we dwóch tomach w Warszawie....

KUNDZICZ.

Roku 1829 stycznia 15 dnia, zszedł z tego świata x. Tadeusz Kundzicz, wysłużony w uniwersytecie professor, kanonik Wileński, sufragan Trocki, orderu św. Anny 1-széj klassy kawaler, ostatni z Jezuitów w gronie tegoż uniwersytetu. Po zniesieniu zakonu swojego trzymał się nieodstępnie astronoma x. Poczobuta, a r. 1781, przy odnowieniu uniwersytetu mianowany był professorem matematyki stosowanéj. Mało obeznany z nauką, którą miał wykładać, nieprzenikniony ważnością przyjętych na się obowiązków, nieczuły ani o korzyść uczniów, ani o zaszczyt téj głównéj krajowéj szkoły, oddany całkowicie, w młódszym wieku, albo płochym zabawom, albo gnuśnemu próżnowaniu, nigdy z przygotowaniem na lekcye nieprzychodził, i tych nad kilkanaście w ciągu roku niedawał. Ztąd u młodzieży akademickiéj żadnych prawie niemiał słuchaczów i z powszechném zgorszeniem przez dwadzieścia kilka lat katedrę tę niedołężnie zajmował.

Gdy w r. 1803, uniwersytet nowe urządzenie i hojne uposażenie otrzymał; a x. Adam Czartoryski, wówczas kurator, dla dźwignięcia tego zakładu, niektórych dawnych professorów usunąć postanowił, Kundzicz do proszenia o emeryturę był zniewolonym; wkrótce jednak, na mocy świeżo nadanych przywilejów, do kanonii Wileńskiéj, a potém i sufraganii Trockiéj wyniesionym został.

Lubo młodym jeszcze wyszedł ze swego zakonnego zgromadzenia, tak jednak duchem jego był skażony, iż niechciał nigdy podnieść się do stopnia powszechnéj późniejszéj oświaty i obeznać się z celniejszemi przynajmniéj dokładnych nauk zasadami. Ztąd łatwowierny aż do zabobonności, przyjmował bez braku wszelkie najnierozsądniejsze, byleby nadzwyczajne, twierdzenia, i tych bezsensnemi sofizmatami upornie bronił i utrzymywał; kuracye magnetyczne Marewiczowéj i Lachnickiego, proroctwa Wojciechowskiéj niewarte wspomnienia, leki Antośków, i wszelkie gminne powieści: o nurzaniu się jaskółek, o zimowém drętwieniu ptastwa i t. d. miały w nim gorliwego obrońcę. Leki nawet Antośków, z krzywdą zdrowego rozsądku, między cuda liczyć niewstydził się.

Nic nigdy nieczytał, żadnego naukowego dzieła niekupił i niemiał. Bez natchnienia, bez genijuszu, kusił się niekiedy o pisanie wierszy, i te przed poufałymi, a czasem nawet w liczniejszych posiedzeniach, czytał lub deklamował. Niektóre z tych wierszy, jak: *Dzięki do Boga za przywrócenie zdrowia*, poziome i płaskie, po-Częstochowsku rymowane, samo tylko nad bezsilnym mozołem politowanie sprawiają. Oda jednak do metropolity Siestrzencewicza, pochlebstwem przepełniona, zjednała mu przedstawienie, niby za naukowe zasługi, do wysokiego św. Anny 1-széj klassy orderu, którego dotąd żaden z rzetelnie zasłużonych w uniwersytecie mężów nieotrzymał. W tymże czasie tenże metropolita poruczył mu rządy dyecezyi Wileńskiéj; ale ten tak trudny i delikatny urząd niedługo sprawował.

W życiu domowém skąpiec, istotnych i nieodbitych nawet sobie wygód odmawiał. Dla familii twardy i nieużyty, uczynione niekiedy dary drogo sobie opłacać kazał. Znajoma jest publiczności exdywizyjna sprawa jego z własnym synowcem, któremu dawszy darem niby na kupno majątku 80,000 zł. Pols,. do płacenia sobie dożywotnie siódmego od téj summy procentu zobowiązał; a tym sposobem do rychłéj utraty tego majątku i exdywizyi przyprowadził. Tymże łakomstwem powodowany wszystkie majątki duchowne, które tylko posiadał lub urządzał, bezwzględnie rujnował, a włościan nielitościwie i nie po-chrześcijańsku odzierał i niszczył. Jasiar, majątek funduszu Kossakowskiego na ubogich studentów, w czasie krotkiéj administracyi swojéj do połowy ludności i osady uszczuplił. Zniszczenie tego majątku powszechnym, ówczesnym, wojennym klęskom przypisywał. To jednak jest pewna, iż sam gorszym był nad wszystkich obcych nieprzyjaciół niszczycielem. Plebaniję Ciundzińską opustoszywszy, a lud do ostatniéj nędzy przyprowadziwszy, sam dobrowolnie opuścił. Uniwersytet majątek swój Mussę, a kapituła Wileńska folwark Ponarski i majątek sufragański, samém tylko rychłém odjęciem administracyi ocaliły. Śmieszna to było słuchać, jako, przy znajomych powszechnie swych zdzierstwach i ciemiężeniu, w towarzyskich posiedzeniach częstokroć głośno i upornie utrzymywał, iż dzisiejszy byt włościan w pomyślniejszym niż dawniéj jest stanie.

AGRONOMIJA.

Nunc, veneranda Pales, magno nunc ore sanandum.

W ustawach r. 1803 uniwersytetowi nadanych, między wielu nowemi urządzeniami, utworzona została katedra nauki wiejskiego gospodarstwa, i fundusz roczny 500 rs. na utrzymanie praktycznéj rolniczéj szkoły wyznaczony. Nauka agronomii niebyła dotąd w żadnym zagranicznym uniwersytecie wykładaną w takiéj obszerności, jaką jéj u nas dać zamierzano. Przestawano wszędzie na niektórych tylko teorycznych wiadomościach, ile te z kameralnemi umiejętnościami mniéj lub więcéj miały związków. Znakomitsze zaś zakłady praktycznego gospodarstwa, jak: Stof-Wyll w Szwajcarach, Mögelin w Prusiech, Bath w Anglii i t. d. kosztem pojedyńczych prywatnych osób lub stowarzyszeń założone i utrzymywane były (1). Uniwersytet też nieśpieszył się z zaprowadzeniem téj nowéj w kraju naszym szkoły; zwłaszcza, iż z krajowców niebył nikt do tak rozległego przedmiotu usposobionym, a cudzoziemiec żaden się nienastręczał.

Xiążę Adam Czartoryski, mianowany niezwłócznie po wyjednaniu ustaw, kuratorem naukowego naszego wydziału, troszczył się tym niedostatkiem, i rychłém usposobieniem zdatnych nauczycielów zaradzić usiłował. Ku osiągnięciu tego celu założony przed kilku laty pod Petersburgiem gospodarski folwark zdał się mu dogodnym środkiem. Właścicielem tego folwarku

---

(1) Zakład praktycznego wiejskiego gospodarstwa w Moskwie późniéj utworzony, niema żadnych z tamecznym uniwersytetem stosunków. Cesarskie towarzystwo, z najznakomitszych w kraju osób złożone, ma blizko stolicy folwark doświadczalnego gospodarstwa i szkołę do kształcenia przyjmujących się uczniów, i tymi bezpośrednio zarządza. Zakłady te, w początkach hojnością członków wspierane, dziś z własnych utrzymują się dochodów, jak o tèm dzieje corocznych towarzystwa posiedzeń w Dzienniku Wileńskim ogłaszane przekonywają. Świeżo założone towarzystwo wiejskiego gospodarstwa Rossyi południowéj w Odessie od żadnego podobnież naukowego zakładu niezależy. W Niemczech, instytut agronomiczny w Flohenheim w królestwie Wirtemberskiém r. 1818, i w Schlesheim w Bawaryi r. 1822, nakładem swych rządów założone i oddzielnemi ustawami opatrzone, iż niewspomnę wielu innych, z żadnemi naukowemi zakładami niemają związków.

był niejakiś Anglik. Ten zająwszy blizko miasta kilkadziesiąt morgów ziemi, począł ją uprawiać z wielką swoją korzyścią. Przyległość ludnéj i bogatéj stolicy, łatwy i zyskowny odbyt drobiu, nabiału, jarzyn i wszelkich ogrodowych płodów, nowość nieznanych dotąd w uprawie narzędzi, nowy tryb pielęgnowania bydła, nowy kształt ekonomicznych budowli i wnętrzne ich urządzenie, sposób prowadzenia rachunków, oszczędność, ochędóstwo i t. d., zjednały folwarkowi temu sławę wzorowego Angielskiego gospodarstwa.

Xiążę Czartoryski, mocniéj nad innych uprzedzony o wysokiéj tego zakładu doskonałości, zalecił obwieścić uczniom uniwersytetu, iżby życzący nauczyć się wzorowego Angielskiego gospodarstwa do Petersburga przyjeżdżali. Na skutek takowego wezwania czteréj młodzieńcy: Wincenty Herberski, Justyn Samowicz, Stanisław Kłągiewicz i Michał Zafataj oświadczyli ochotę korzystania z téj nauki, jeśli, jako niedostatni, dobroczynną pomocą wsparci będą. To wsparcie ofiarował Alexander Pociéj oboźny Litewski. Tak opatrzeni rzeczeni ochotnicy przed wiosną r. 1804 do Petersburga wyjechali.

Piérwsza ta naukowa wyprawa nieprzyniosła zamierzonéj przez kuratora korzyści. Mniemany bowiem ów wzorowy Angielski folwark był rzetelnie wydoskonalonym tylko do pielęgnowania kuchennych jarzyn i pastewnych roślin ogrodem, a staranny chów drobiu i nielicznéj trzody główném właściciela zatrudnieniem. Wysłani więc uczniowie, przepędziwszy w téj szkole dwa lata, w jesieni r. 1806, do Wilna powrócili. Herberski począł się uczyć medycyny; Samowicz wszedł w prywatną służbę u Michała Tyszkiewicza; Kłągiewicz został geometrą; Zafataj podobnież prywatne gdzieindziéj przyjął obowiązki. Żaden z nich nieczuł się w stanie, ani żądał zajęcia wakującéj katedry agronomicznéj.

Około r. 1819, Michał Oczapowski, niegdyś student uniwersytetu, począł czynić kroki o wsparcie na wyjazd za granicę, dla doskonalenia się w téj nauce, jako już z teoryą i praktyką w krajowém gospodarstwie dobrze obeznany; mając w téj mierze za sobą niejakąś opiniję z ulepszenia majątku młodych baronów Rönne na Żmujdzi, u których przez kilka lat w obowiązkach rządcy zostawał. Lecz skutku tych życzeń nieotrzymał. Roku więc 1819, ogłosiwszy drukiem *Zasady agronomii* i *Zasady chemii rolniczéj*, do Mögelina w Prusiech, sławnego gospodarskiego zakładu Thaera, o własnym koszcie wyjechał. Zkąd, w końcu drugiego roku, rozpoczął korrespondencyę wprost z xięciem Czartoryskim, zalecając się mu na wakującą katedrę agronomii w uniwersytecie. Xiążę ten, tak wiele krajowi i uniwersytetowi za-

służony, obok rozległych i gruntownych w prawie i literaturze wiadomości, mało z dokładnemi i stosowanemi naukami obeznany, chybiał często i w ocenianiu rzetelnéj ich wartości i w wyborze osób do wykładania ich powoływanych. Opisanie gospodarskiego zakładu w Mögelinie ujęło go zupełnie na stronę Oczapowskiego, a osobiste poznanie w Puławach i czynione mu od rządu Polskiego propozycye założenia szkoły agronomicznéj w Warszawie, tyle na xięciu sprawiły wrażenia, iż w nim i wysoki talent pisarza, i gruntowną znajomości teoryj agronomicznych, i doskonałą sposobność utworzenia długo oczekiwanéj w uniwersytecie praktycznéj szkoły wiejskiego gospodarstwa upatrywał. Zalecił więc uniwersytetowi, mimo przełożenia rektora Malewskiego, wybrać Oczapowskiego zwyczajnym publicznym agronomii professorem. Wybór ten niezwłócznie ministrowi do potwierdzenia przedstawił, i potwierdzonemu 5,000 rs. wynagrodzenia za koszta zagranicznéj podróży wypłacić rozkazał.

Oczapowski, wkrótce po swém wybraniu r. 1822, przybył do Wilna i zajął katedrę agronomii; lecz nieusprawiedliwił powziętéj o sobie nadziei xięcia kuratora. We wstępnéj rozprawie nieokazał zapowiedzianego talentu wprawnego pisarza (1);

---

1) Pisma Oczapowskiego, przed wyjazdem za granicę i po powrócie drukowane, najsłabszy w nim talent pisarza okazują. To mianowicie, co oryginalnym płodem jego być się zdaje, ledwo w poczynającym szkolnym żaku wybaczoném byćby mogło Napuszone przemowy do zasad agronomii i chemii rolniczéj są potworowatemi i częstokroć bezsensnemi tych nauk panegirykami. „*Ogromna rękodzielnia* (są słowa autora: Zasady agronomii, str. 1—3) *żywności rodzaju ludzkiego.... uważana jako umiętność, nietrzymając się żadnego prawidła* (!!).. *w ciągłym łańcuchu rozumowania rozwija przez uwagę podane myśli, wydobywa z nich szczęśliwe wypadki*" i t. d W rozprawie na rozpoczęcie kursu agronomii r. 1822 października 27 czytamy (Dziennik Wileński r. 1823 styczeń str. 89), w piérwszym okresie jak następuje: „*Najszanowniejszemi darami człowieka, po cnocie, są bez wątpienia, nauka i prawda; piérwsza każe nam być moralnym, dwie ostatnie, pożytecznym dla współ-ludzi.*" Nieco niżéj: „*Potrzeby człowieka są liczne i rozmaite: do jednych przywiązany jest byt jego indywidualny; drugie służą do zaspokojenia wygod i przyjemności życia.*" Z tego zaraz wnosi: *Słowem, gospodarstwo wiejskie, jako przemysł uważane, wyświadcza towarzystwu ludzkiemu najważniejsze pożytki; bo jest źródłem najpiérwszych potrzeb, wygod i do-*

a w krótkim programacie, czyli prospekcie lekcyj jego, nieokrzesaność stylu w każdym okresie widzieć się daje. Szkoła jego, któréj, wedle głoszenia, cała prowincya z niecierpliwością oczekiwała, niemiała żadnych prawie słuchaczów. Bez wymowy, bez daru zwięzłego i jasnego tłómaczenia się, niezjednał szacunku i poważenia w szczupłéj nawet garstce uczniów, którzy się w początku na lekcye jego zapisali. Na śmieszność się nawet wystawił, gdy powtarzanie i objaśnianie swych lekcyj niedołężniejszemu jeszcze bratu swojemu, Antoniemu Oczapowskiemu, poruczył. Za kurs dodatkowy obrał chemiję rolniczą, a późniéj naukę leśnictwa, tę ważną i wysoce dziś wydoskonaloną umiejętność, w związku z botaniką, a w niektórych częściach na wyższym geometrycznym rachunku opartą. Nieobeznany z temi zasadami, niemógł nikomu jasnego o prawdziwem leśnictwie dać wyobrażenia. Niemając więc ani słuchaczów, ani dostatecznéj materyi do sześciogodzinnego w tygodniu wykładu, skracał ile mógł lekcye swoje, i pod rozmaitemi pozorami opuszczał. Słaby ten w szkole professor dopiéro w praktycznèm gospodarstwie miał rozwinąć całą moc wyższego genijuszu swojego, i okazać dzielność wydoskonalonego pracą i rozmyślaniem talentu; miał pokazać w naocznych przykładach, jak rolnik z danego obrębu ziemi, stosownie do klimatu i miejscowych okoliczności, może ciągnąć i wydobywać największe korzyści.

Niemiał dotąd uniwersytet we władaniu swojém takiego majątku, któryby obszernością i rozmaitością gruntów do rozpostrzenienia wszystkich gałęzi wiejskiego gospodarstwa, oraz blizko-

---

statków człowieka." Ja, jako nie agronom, mniemałbym raczéj, iż gospodarstwo dla tego jest źródłem wygód i dostatków człowieka, iż zaspokaja, a nie rodzi potrzeby jego. W prospekcie lekcyj swoich, gdy mówi *o sztuce wydobycia i pielęgnowania potrzebnych w życiu ludzkiem roślin i źwierząt*, (Dziennik Wileński r. 1822 październik str. 232), niezrozumiała jest dla mnie sztuka wydobycia roślin i źwierząt; sam tylko Stwórca może wydobywać z nicestwa rośliny i źwierzęta. Tamże, na str. 234 zamierza mówić o teoryi rolniczego przemysłu, mając rozważać pod rozdziałami: *praca, kapitał, materyał surowy, czyli ziemia i talent.* Tu mi się piérwszy raz zdarzyło czytać, iż ziemia i talent są surowym materyałem; i wyznać muszę, iż tego wcale niepojmuję. Niżéj obiecuje mówić *o pokarmach roślinnych.* Ze wszystkiego zaś, co poprzedziło i co następuje, domyślam się, iż to ma być raczéj mowa o pożywności roślin; a te dwie rzeczy bardzo są różne i dalekie od siebie.

ścią położenia dla uczęszczania doń uczniom był dogodny. W jesieni r. 1827 uniwersytet wszedł w układ z Tadeuszem Kukiewiczem, radcą kolegijalnym, o kupno po-Jezuickiego majątku Zameczka, na prawéj stronie Wilii, o pół mili od Wilna, położonego, który sam professor Oczapowski po uprzedniém obejrzeniu, za najdogodniejszy do założenia szkoły praktycznego wiejskiego gospodarstwa uznał, za 30,000 rs. Minister powszechnego oświecenia układ ten potwierdził, i rzeczoną summę Kukiewiczowi z funduszu edukacyinego wypłacić rozkazał. Przy nabyciu tego majątku fundusz edukacyjny, prócz rzeczonéj summy, stracił 15.000 rs. kapitału na Zameczku opartego, od którego posesor 900 rs. rocznego procentu płacić był obowiązany; a to bez żadnéj dla nauk i kraju korzyści, jak się to niżéj okaże.

Na początku r. 1828, uniwersytet wszedł w posiadłość Zameczka, a Oczapowskiemu zalecił wygotować i przedstawić sobie szczegółowy plan założyć się mającéj szkoły, z wyrachowaniem kosztów, tak na piérwszy zakład, jak i na ciągłe jéj w późniejszym czasie utrzymywanie. Oczapowski w podanym planie, niemając względu na oszczędności, tę piérwszą dobrego gospodarstwa zasadę, taką rozległość szkole swéj nakreślił, iż wykonanie jego wszystkim rozsądniejszym członkom zdało się niepodobném. Kaplica do religijnych obrzędów, ogród botaniczno-agronomiczny, gabinet narzędzi fizyczno-agronomicznych. gabinet mineralogiczny, biblijoteka, laboratoryum chemiczne, dom na pomieszczenie dwódziestu uczniów, organistów i t. d. były to ważne i kosztowne piérwszych nakładów przedmioty. Toż dopiéro opłaty na utrzymanie kapelana, ogrodnika, nauczycielów geometryi i rysunków topograficznych, chemii, fizyki, mineralogii, licznych rzemieślników, i innych ekonomicznych pomocników i officyalistów, ogromną stałych rocznych wydatków wynosiły summę.

Gdy plan ten w uniwersytecie długo niezyskiwał potwierdzenia, przybył do Wilna w miesiącu lutym senator Nowosielców, kurator uniwersytetu. Ten zważywszy pilnie i we wszystkich szczegółach przedstawiony sobie projekt, i wysłuchawszy w poufałych konferencyach uwag i tłómaczeń Oczapowskiego, niewiem, czy zrażony ogromnością niechybnych w wykonaniu wydatków, czy co podobniéj, przekonany o niedorzeczności wszystkich projektowanych snów i urojeń, wyjeżdżając na powrót do Warszawy, zostawił w opieczętowaném piśmie do rektora, który wtedy obłóżnie chorował, niespodziewane zalecenie, w którém Michała Fryczyńskiego z Krzemieńca wezwać i urządzenie

całkowitego gospodarstwa w nabytym majątku poruczyć mu rozkazał (1). Na skutek czego Fryczyński, dotąd nauczyciel agronomii w Krzemieńcu, na końcu kwietnia do Wilna przybył, i gospodarstwo swe w Zameczku niezwłócznie rozpoczął.

GOSPODARSTWA WZOROWEGD ROK PIÉRWSZY.

Oczapowski, zaraz na wstępie swym do uniwersytetu, niezjednał sobie żadnego prawie w nim przyjaciela; prędko bowiem i w talencie pisarskim i w zdatności professorskiéj, należycie ocenionym został. Nikt też nietuszył dobrze o zdolności jego w praktyczném gospodarstwie; zwłaszcza gdy i chorowity stan zdrowia, często bowiem srogich reumatycznych doświadczał bolów, do znoszenia trudów pracowitego rolnika, czynił go niesposobnym, i w zadzierżawionym na się majątku Świątnikach przez kilka lat żadnego obiecanego niesprawił ulepszenia, i uniwersytetowi za dzierżawę znacznie się zadłużył. Fryczyński, przeciwnie, ponieważ nic niepisał, a uczył tylko w liceum Wołyńskiém, gdzie prawi znawcy zdatności rzadko zazierają, ani z jednego, ani z drugiego talentu niebył znanym. Lecz stronnictwo reformatów, z którymi oddawna w ściślejszych zostawał stosunkach, głośne mu dawało pochwały, i wielkie na nim pokładało nadzieje (2).

(1) Wkrótce po wyjeździe Oczapowskiego do Mögelina, x. Czartoryski, chcąc mieć w odwodzie drugiego usposobionego agronoma,, któryby, wedle potrzeby, w Wilnie lub Krzemieńcu mógł być użytym, kazał wysłać za granicę na naukę wiejskiego gospodarstwa, kosztem liceum Wołyńskiego, zaleconego sobie ucznia Michała Fryczyńskiego. Ten r. 1821, udał się podobnież naprzód do Mögelina, gdzie przepędziwszy blizko dwa lata, i zwiedziwszy niektóre inne kraje, w końcu r. 1824, do Krzemieńca powrócił, i tam obowiązki nauczyciela agronomii sprawował.

(2) Z pomiędzy reformatów główniejszymi Fryczyńskiego przyjaciołami byli professorowie: Mianowski, Podczaszyński, Jaroszewicz, Szantyr lustrator dóbr beneficyalnych; Mierzejewski sekretarz rządu uniw., Lewicki dyrektor liceum Wołyńskiego; z filaterów najwięcéj dawał mu dawniéj pochwał Franciszek Malewski, ścisłą z nim w Berlinie przyjaźnią połączony, a który i sędziwego ojca swojego mocno na stronę jego był uprzedził.

Kukiewicz, przedając Zameczek, zostawił, na rzecz uniwersytetu, wszelki dobytek gospodarski, który sam w nim posiadał; jako to: bydła rogatego sztuk sześćdziesiąt kilka, konie, świnie i drób' wszelkiego gatunku; zboża, już na usiew wiosenny, już na domowe do nowego zbioru użycie, zupełną i dostateczną ilość, wódki garncy 500, miedź browarną i wszelkie drewniane tak browarne, jak inne ekonomiczne naczynia i sprzęty; a to wszystko w najlepszym stanie i urządzeniu; cztery sadzawki główną rybą zarybione, oraz sieć wielką do rybołówstwa w stawie, w sadzawkach i jeziorach świeżo sporządzoną. Nadto, na początku lata przeprowadzono ze Świątnik, innego majątku uniwersyteckiego, który dotąd w Oczapowskiego był dzierżawie, całą oborę, to jest: bydła rogatego sztuk pięćdziesiąt kilka, koni dwoje, świń, ptastwa we wszelkim gatunku niemałą liczbę, wędliny i różnéj okrasy kilkaset funtów; miedź browarną, wszelkie ekonomiczne żelaztwo, naczynia drewniane i wiele twardego oprawionego drzewa na radła, pługi, wozy, sanie i t. d. wódki garncy 1,500. Przy takiéj ekonomicznego dobytku obfitości mógł nowy rządca nietylko bez żadnych w gotowiźnie nakładów rozpoczynać swe gospodarstwo, lecz i niemałe z przedazy wódki, nabiału i luźniejszéj nad możność utrzymania obory, na bezpośrednią korzyść i udoskonalenie zakładu swojego niezwłócznie pobierać dochody........

CUDZOZIEMCY W UNIWERSYTECIE.

Komissya edukacyina, konstytucyą r. 1775 utworzona, obejmując w swój rząd najważniejsze oświaty narodowéj dzieło, została w smutnym stanie wszystkie nauki, które dotąd, pozbawione rządowéj opieki, w rękach samych tylko zakonnych zgromadzeń zostawały. Nauk klasycznych słabe gdzie niegdzie widać było zawiązki; dokładnych zaś i stosowanych umiejętności żadnego prawie nikt niemiał wyobrażenia. Piérwsze więc rozkrzewiać, drugie całkowicie tworzyć i zaprowadzać potrzeba było. Założenie szkół głównych i ustanowienie hierarchii naukowéj zdały się komissyi najdogodniejszym do osiągnięcia tego celu środkiem. Lecz zachodziła wielka trudność wynalezienia w kraju zdolnych na najpotrzebniejsze katedry nauczycielów, jak się to o naukach matematycznych powiedziało. Trzeba było udać się do cudzoziemców, i szukać za granicą, czego w domu znaleźć nie-

podobném było. Niezbędna konieczność ten jedyny dźwignienia nauk wskazywała sposób.

Rzadko się zdarza, iżby człowiek prawy, a niezupełnie pozbawiony środków, opuszczał dobrowolnie rodzinną swą ziemię, choćby w téj zmianie najkorzystniejsze dla siebie upatrywał widoki. Urok ojczyzny niełatwo skruszyć się daje; a przywiązanie do niéj głęboko w sercu od natury jest wyryte. Rzadkie podobnież jest zdarzenie, iżby kto, przy ograniczonych nawet środkach, nieznalazł na łonie swych ziomków mniéj lub więcéj wygodnego bytu; a obdarzeni wyższemi talentami zupełnéj we wszystkiém doznają pomyślności. Ztąd narody zniewolone szukać w obcych krajach zdatnych do zaszczepienia u siebie jakiejkolwiek gałęzi przemysłu lub nauki ludzi, przez tę niechybną kolej przechodzić muszą, iż przy ostróżnych nawet wyborach, mimo najhojniéj łożone ofiary, zawsze prawie na mierność, a częstokroć i zupełną niezdatność połączoną z nieznośnemi przywarami natrafiać muszą. Jak mało jest od tego prawidła wyjątków, smutne od pięciudziesiąt kilku lat uniwersytetu naszego okazuje doświadczenie.

1775 r. Mikołaj Regnier, rodem z Alzacyi, był piérwszym w akademii naszéj cudzoziemcem. Xiążę Ignacy Massalski, biskup Wileński, w piérwszéj swéj do Francyi podróży, przejeżdżając przez Strasburg, upodobawszy w tym młodzieńcu rzezkość i nadobną postać, łatwo go skłonił do przyjęcia u siebie obowiązku nadwornego cyruliczka. Regnier, młody, zwinny, dowcipny, w służbie swéj pilny i czuły, wkrótce tyle znalazł u xięcia względów, iż go kosztem swoim do Paryża na uczenie się chirurgii i nieznanéj dotąd w Litwie sztuki położniczéj wysłać postanowił; zkąd gdy po dwóch latach powrócił, r. 1775, świeżo wtedy ustanowionéj komissyi edukacyinéj, któréj sam był prezesem, do zaprowadzenia téj nauki w Wilnie polecił.

Regnier niemiał długo w swéj szkole, ani uczniów, ani uczennic: professya chirurga była w pogardzie u akademickiéj młodzieży z szlacheckich dzieci złożonéj; a niedołężni kontubernijalni cyrulicy, pyszni staroświeckiemi przywilejami, poczytując się za doskonałych w swém rzemiośle, zagrażającéj im téj nowości lękali się. Szlachta prowincyonalna, w przesądach pogrążona, sztukę położniczą skażeniem obyczajów głośno mianowała; i niepojmowała, jak uczony akuszer może, bez obrazy przystojności, dawać pomoc cierpiącym w rodzeniu matkom, co dotąd samych tylko babek wyłącznem było zatrudnieniem. Wkrótce jednak prowincya oświecać się poczęła, i uznawać potrzebę i pożytek téj nauki. Przeniesieni wraz z Gilibertem z Grodna

królewscy chirurgowie zachęcali inną młodzież do korzystania z tego zbawiennego zakładu. Przykłady ratunku w rozpaczalnych przypadkach dały poznać niewątpliwą wyższość sztuki nad zestarzałą i wiekami upoważnioną empiryą; a po kilku latach niezłomnego, jak się zdawało, wstrętu i nieufności, użycie światlejszych akuszerów i akuszerek, zwyczajnym naśladowania trybem, w powszechną zamieniło się modę. To było początkiem téj świetnéj fortuny, którą sobie Regnier w kraju naszym tak łatwo utworzył.

W epoce odnowienia akademii, r. 1781, gdy komissya, nadając nową jéj organizacyę, kilkunastu razem mianowała professorów, Regnier mimo pięcioletnie swe zasługi, niebył w poczet zwyczajnych członków policzonym. Rektor bowiem Poczobut to sobie za niezłomne postanowił prawidło, nikogo tym szanownym tytułem niezaszczycać, kto, względnie w swéj nauce, prawnie i zwykłym obrządkiem nieotrzymał doktorskiego stopnia. Bolało to mocno Regniego; i lubo w późniejszym czasie utworzył się zupełny prawie w akademii fakultet lekarski, on jednak, nieumiejąc języka Łacińskiego, i prócz znajomości chirurgii i sztuki położniczéj niemając żadnego naukowego ukształcenia, nieśmiał nigdy ubiegać się o ten stopień; a na kupiony około r. 1788, doktorski w akademii Królewieckiéj patent, Poczobut niemiał względu. Dopiéro r. 1793, gdy w czasie konfederacyi Targowickiéj utworzoną została oddzielna dla Litwy komissya edukacyjna, Regnier, wsparty protekcyą niesławnéj pamięci Symona Kosakowskiego, który się hetmanem z woli narodu mianował, rozkazem tejże komissyi w rzędzie zwyczajnych professorów policzonym został. Umarł w Wilnie dnia 19 lipca 1800 r.

Roku 1776, Stefan Bisio, medycyny doktor, rodem z Wenecyi, dawniéj nadworny xiążąt Radziwiłów w Nieświéżu, późniéj Wileńskich Jezuitów lekarz, przeznaczonym został do akademii na professora anatomii. W początku, dla zupełnego prawie niedostatku uczniów i braku preparatów, niemógł nikomu udzielać nauki. Po odnowieniu akademii r. 1781, gdy i słuchacze zbierać się poczęli, i Briottet potrzebniejsze preparata już wygotował, Bisio r. 1781, zniechęcony oddaniem dziekaństwa fakultetu fizycznego, do którego i oddział medyczny należał, x. Andrzejowi Strzeckiemu, katedrę opuścił i do ojczyzny swéj powrócił. Najsurowsza dyeta była główną zasadą medycyny jego, a Włoskie *brodo longo* powszechném na wszystkie choroby lekarstwem.

Regnier wysłany, jak się rzekło, do Paryża na naukę chirurgii i sztuki położniczéj, otrzymał zalecenie upatrzyć i umówić zdatnego chirurga, któryby w kraju naszym, zupełnie wtedy lekarzy pozbawionym, początkową przynajmniéj leczenia zewnętrznych chorób mógł założyć szkołę. Jakób Briottet, rodem z Burgundyi, prosektor w szkole lekarskiéj Paryzkiéj, przyjął to wezwanie, i r. 1777 do Wilna przybył. Nieumiejąc żadnego prócz rodowitego sobie języka, i niemając długo, równie jak Regnier, żadnych słuchaczów, niemógł zająć się niezwłócznie, ani teoryczném, ani praktyczném wykładaniem swéj nauki. Piérwsze więc lata przysposobieniu preparatów anatomicznych poświęcił, i tych znaczną liczbę w różnych gatunkach wygotował. Dopiéro r. 1781 za przeniesieniem z Grodna królewskim kosztem utrzymywanych uczniów, obeznany już nieco z krajowym językiem, chirurgii uczyć począł.

Skromny, pilny, pracowity, o postęp uczniów gorliwy, umiał i udzielać młodzi potrzebnych wiadomości i zjednać sobie powszechny szacunek ich i poważanie. W czasie odnowienia akademii niezyskał, podobnież jak Regnier, dla braku doktorskiego stopnia, tytułu zwyczajnego professora. Roku jednak 1788, na wstawienie się Joachima Chreptowicza, podkanclerzego Litewskiego, w nagrodę trudów w kuracyi żony jego, tytułem tym zaszczycony został.

Niemiał on żadnego naukowego ukształcenia. Jak nauki klasyczne tak gramatyka i pisownia własnego języka równie mu były nieznajome. Ale dla prostoty i skromności swych obyczajów, słodkiego i uprzejmego charakteru, gorliwości w pełnieniu obowiązków, powszechnie i w zgromadzeniu i w publiczności był szacowanym. W powszechnym niedostatku uczonych w kraju lekarzy, uchodził przez czas znaczny za doskonałego medyka; a z praktyki już lekarskiéj, już chirurgicznéj i późniéj akuszerskiéj znaczny zebrał majątek. Roku 1811, gdy Xawery Niesiołowski, u którego główny miał swój kapitał, przestał płacić procenta i majątek pod rozbiór kredytorów poddał, Briottet tknięty zagrożeniem straty mozolnie przez wiek zbieranéj fortuny, dostał pomięszania zmysłów; i w tym będąc stanie, straciwszy w krótkim czasie żonę, syna i pasierzbicę, którą jak córkę kochał, r. 1817, życia dokonał. Większa część majątku jego w obce zupełnie pzzeszła ręce (1).

---

(1) Piotr Horn, dziś (1829) cywilny gubernator Wileński, wtedy niższéj

R. 1781, Antoni Tyzenhauz, nadworny podskarbi Litewki, administrator stołowych dóbr królewskich w Litwie, pośród wielce ważnych i pożytecznych dla kraju urządzeń, umyślił założyć początkową lekarską szkolę w Grodnie, i na ten koniec sprowadził z Lyonu Jana-Emanuela Giliberta, doktora medycyny, któremu wybrawszy, częścią z włości ekonomicznych, częścią z pomiędzy synów różnych oficyalistów, kilku młodzieży, na naukę poruczył. Roku 1781, wkrótce po oddaleniu Tyzenhauza od administracyi, Joachim Chreptowicz, wtedy podkanclerzy Litewski, członek komissyi edukacyinéj, gorliwie interesami akademii zajęty, znając i sprawiedliwie ceniąc prace i talenta Giliberta, do Wilna go wraz z królewskimi uczniami przeniósł, a komissya professorem historyi naturalnéj i botaniki mianowała. To był piérwszy zakład nieznanéj dotąd w kraju naszym nauki; Gilibert pierwszym jéj był nauczycielem.

Professor ten nauce swéj całkowicie oddany, o postęp uczniów i pożytek kraju niespracowanie gorliwy, w Grodnie jeszcze, prócz lekcyj anatomii, początków medycyny i chirurgii, mineralogii, zoologii i botaniki, które uczniom swym codziennie już teorycznie już praktycznie dawał, w wiosennéj i letniéj porze, w towarzystwie tychże uczniów, zwiedzał przyległe miastu okolice, i w nich kamienie, skamieniałości, owady, ryby, ptastwo, źwierzęta, rośliny troskliwie zbierał, przyrodzenie ich i przymioty gruntownie wykładał. On piérwszy zebrane w tych okolicach rośliny metodycznie opisywać, w zielnik układać, a żywe do ogrodu wprowadzać począł. Przeniesiony do Wilna tąż pracą, z wielkim uczniów i kraju pożytkiem, przez dwa lata się zatrudniał. On piérwszy w akademii szczupły wprawdzie na dziedzińcu niegdyś Jezuickiego konwiktu ogródek założył i już gruntowemi, już oranżeryowemi roślinami, w liczbie blizko dwóch tysięcy napełnił. Wsparty hojnością Stanisława-Augusta, który go nadwornym swym medykiem mianował, znaczny zbiór suchych Europejskich roślin zakupił, a z funduszu edukacyinego biblijotekę rzadkiemi, jakie wtedy były, dziełami opatrzył. On

---

klassy urzędnik, pojął był w małżeństwo, przed kilką laty, mimo wiedzy rodziców, pasierzbicę Briotego Helenę Godin; a po jéj zejściu wszystkie kapitały, do 30,000 czerwonych złotych wynoszące, po wynagrodzeniu bliższych krewnych we Francyi, odziedziczył.

rozpoczęte w Grodnie opisanie roślin Litewskich, według układu Boyena w Wilnie dokończyć usiłował (1). On piérwszy medyczne swe, zoologiczne i inne w historyi naturalnéj postrzeżenia, w kształcie dziennika wydawać począł (2).

Mąż prawy, nauce i obowiązkom swym zupełnie oddany, od mądrego króla wysoce szacowany, dwóm światłym ministrom jego przypodobany, nieuszedł jadowitych pocisków Jezuickiego stronnictwa. W Grodnie x. Xawery Bohusz, próżniak, intrygant, mozolne jego około historyi naturalnéj prace, ciągle i uszczypliwie wyszydzał. W Wilnie x. Andrzej Strzecki, podobnyż prożniak i płaski dowcipniś, już w towarzystwie swych zwolenników, już przed mało wtedy oświeconą publicznością, również mu dogryzał; jak o tém wyżéj, mówiąc o akademice, powiedziałem. Mierził więc sobie Gilibert dłuższy w kraju naszym pobyt, a niespodziewany i groźny przypadek odjazd jego przyśpieszył.

Awanturnik niejakiś, Berluc, Francuz, knuł względem żony jego bezwstydne zamiary; a dla osiągnięcia skutku, życie mu odjąć postanowił. Na ten koniec wrzucił zdradliwie truciznę do przygotowanéj dlań kawy. Szczęśliwém zdarzeniem postrzegł to Onufry Orłowski, jeden z celniejszych uczniów jego; zręcznie odwrócił zamierzoną zbrodnię, i życie nauczyciela swojego ocalił. (3)

---

(1) *Flora Litvanica inchoata, seu enumeratio plantarum quas circa Grodnam collegit et determinavit Joannes Emmanuel Gilibert Facul. Monspel. Med. Doct. Coll. Reg. Med. Lugdunei professor aggregatus, Regis Poloniae Consiliarius, nec non Medicus Ordinarius, M. D. Lit. Physicus. Grodnae 1781, Vilnae 1782.*

(2) Dziennika tego: *Indagatores naturae in Magno Ducatu Litvaniae*, jeden tylko wyszedł sposzyt. Opisanie zubra z ryciną, badania o włośniku i t. d. wzorowemi nazwać się mogą.

(3) Król wybitym medalem uczcił pamiątkę cnotliwego czynu ucznia, który professora swojego od niechybnéj śmierci zachował. Medal ten z jednéj strony ma oblicze królewskie z napisem naokoło: *Stanislaus Augustus D. G. Rex Poloniae M. D. Lithvan.* Na stronie odwrótnéj: *Ob civem servatum Onufrio Orlowski studii botanici in academia Vilnensi repetitori diligentissimo, quod nefomdas detexit et impedivit insidias, in vitam, genti regique utilem et coram Magistri sui, Joan. Gilibert Hist. natur. profes. MDCCLXXXII.*

Gilibert srodze tym przypadkiem zgryziony, niechcąc osławiać żony swojéj, sądownie ścigać złoczyńcy zaniechał, i niezwłócznie niemiłą mu już zkądinąd ojczyznę naszę opuścić postanowił. Jakoż roku 1783, skończywszy wraz ze szkolnym rokiem lekcye botaniki, do Francyi wyjechał. Tym sposobem kraj i akademija straciły tego nigdy godnie nieodżałowanego professora. Umarł w Lyonie roku 1812, w późnéj i sędziwéj starości.

XIĄŻĘ UDALRYK RADZIWIŁŁ.

PRZEZ

JULIJANA BARTOSZEWICZA.

Wesoło kochał się xiążę miecznik Litewski Mikołaj-Faustyn Radziwiłł, w Barbarze Zawiszance, któréj ojciec Krzysztof sławny regimentarz z czasów drugiéj wojny Szwedzkiéj, umarł potém wojewodą Mińskim, jeszcze za panowania króla Augusta drugiego Sasa. Xiążę mieszkał w Zdzięciole na Litwie, a obok w Rohotnéj siedział pan Zawisza, który tu zjechał z Bakszt głównéj rezydencyi swojéj na zapusty; był to zaś bogaty bardzo, i dosyć wzięty pomiędzy szlachtą pan, ten Zawisza ojciec Barbary, podówczas starosta Miński. Wracała do kraju spokojność w wojnach Szwedzkich, klęska pod Półtawą wyparła z Rzeczypospolitéj Karola XII i Leszczyńskiego, szlachta więc raźno hulała oddając się wesołości. Piérwsze to były właśnie zapusty po zwycięztwie Półtawskiém. Radziwiłł często bywał w Rohotnéj i powoli coraz więcéj przywiązywał się do swojéj bogdanki. Tak zeszły i zapusty i post, nastąpiła Wielkanoc, a pili wszyscy, tańcowali i hulali. Litwa zalaną była przez wojska Rossyjskie, więc i oficerowie dopomagali szlachcie, jeździli po domach i sami przyjmowali i częstowali. Niezmiernie ożywiła się ta okolica, w któréj mieszkali Zawisza i xiążę Mikołaj, bo obadwaj umieli podejmować gości u siebie, a dobrze pili,—a żyli hulaszczo, szczególniéj Zawisza, który nawet regimentarzując chorągwiom szlachty, zawsze czas znalazł na hulankę pomiędzy jedną bitwą a drugą (1). Sposobiły się formalne zajazdy i najazdy w okolicy; dziś dawali sobie słowo, że zjadą się wszyscy do pa-

---

(1) Życie tego Zawiszy drukowaliśmy w Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych, r. 1857.

na starosty, jutro do pana stolnika, pojutrze do pana podkomorzego i t. d. i rzeczywiście objeżdżali się nawzajem. Zdzięcioł nazwano wtedy Wenecyą, bo tam był origo, to jest: początek wesołości, a do tego ludzie w Zdzięciole, jako w morzu Wenety, mokną w miodzie i winie. Rohotnę nazwano Paryżem, dla wystawności gospodarza i że przodowała wszystkiemu. Dom chorążego Słonimskiego pana Bykowskiego, który był człowiek bogaty, a nader skąpy, przezwano Amsterdamem, nibyto pan Bykowski, jak istny Holender na samych dukatach siedzi. Były jeszcze inne przeżwiska wiosek w okolicy. Tak szlachta do głuchego zakąta Litwy, pościągawszy niby stolice Europejskie, przejeżdżała się po nim, jakby po całéj Europie dokazując. Xiążę Mikołaj tyle zyskał na onych wesołościach, że swojéj pięknéj Basi, ani na krok nieodstępował, aż raz na zjeździe w Rohotnéj nagle wystąpił nibyto współgospodarz pana starosty, jako z córką jego zaręczony kawaler. W czerwcu tedy rodzice panny pojechali do Królewca po wyprawę, xiążę zaś pobiegł aż na Podgórze Krakowskie także po swoję wyprawę. Pod grudzień zjechali się nanowo, z dwóch odległych stron, przyszli małżonkowie w Rohotnéj i w Zdzięciole. Xiążę ustawnie dokuczał rodzicom o ślub, rodzice się wzbraniali, bo niechcieli nic robić nagle, owszem po-staropolsku chcieli sute wyprawić córce swojéj wesele, o którém nic jeszcze stanowczo z przyszłym zięciem niemówili. Ale xiążę tak napierał, że tydzień jeszcze nieupłynął od jego powrótu, aż w sam dzień imienin panny młodéj na ś. Barbarę, rodzice ją musieli xięciu ustąpić, i pozwolić na ślub prywatny, który się zaraz odbył w komnacie dworcowéj (4 grudnia 1710);— na imieniny pana młodego, które szły na trzeci dzień, odwieziono już pannę młodą mężowi do Zdzięcioła, gdzie się naturalnie odbyła wesoła trzydniówka niby wesele, i po nowym roku państwo młodzi objeżdżali już po kolei krewnych i znajomych wokoło: xiążę Mikołaj rad się był albowiem popisać ze swoją młodą i ładną zapewnie małżonką. Odwiedzili i Baliszty. Wszędzie po drodze zgromadzali się im przyjaciele i krewni, żeby dać przez to dowód przywiązania dla państwa młodych. Wreszcie i dyspensa z Rzymu i zatwierdzenie ślubu nadeszło, bo naturalnie starać się potrzeba było, aż tam o zatwierdzenie małżeństwa, gdy ślub bez zapowiedzi, bez właściwych formalności, może nawet bez wiedzy miejscowego proboszcza był wzięty. Szturmować to zapewnie dobrze i należy do fortecy, ale nie do kościoła i nie do Sakramentu; ale Polacy ówcześni do wybryków, do swawoli nawykli, i w kościele tak nieraz dokazywali, jak i na sejmikach. Mamy przykład choćby i na tém mał-

żeństwie Radziwiłła z Zawiszanką. Wielką zatém było uroczystością, ta dyspensa Rzymska, dla tego też świetnie ją obchodzili starzy Zawiszowie i państwo młodzi w Hłusku.

Miał xiążę miecznik, który wyszedł potém na wojewodę Nowogródzkiego i umarł tym wojewodą, wiele dzieci żyjących, bo aż czterech synów i cztery córki, nierachując tego co przedwcześnie umarło. Udalryk najstarszym był w tém rodzeństwie, urodził się zaś w Zdzięciole dnia 19 lutego 1712 (1). Pobożnym obyczajem Staropolskim na chrzcie świętym, kilku razem otrzymał patronów; nazwano go przeto Udalrykiem, jak mówiono ex voto, tak rodzice ślubowali nim się jeszcze narodził; nazwano go daléj Krzysztofem na pamiątkę dziada po kądzieli, nazwano wreszcie Karolem, przez uszanowanie dla xięcia Radziwiłła stryja kanclerza Litewskiego, dziedzica na Nieświeżu, który był głową rodziny, a do tego młode xiążątko urodziło się w sam dzień ś. Karola.

Zawód polityczny Udalryka niebył osobliwy i nie mógł nim być. Chociaż xiążę jeździł za granicę do sławnéj podówczas wojskowéj akademii Lignickiéj, chociaż tam podobno z wielką sławą skończył nauki i podróżował przez lat kilka po Europie, chociaż wychwalano przed rodzicami wysoko jego zdolności, nic się podobno nienauczył, głowę tylko sobie zaprószył różnemi wiadomościami, i oprócz wielkiego kapitału, jaki posiadał w nazwisku, bo nie w majątku, niemiał nic, czémby się mógł forsować w Rzplitéj. Młodo jednakże zaczął służyć ojczyźnie: ojciec zabiegał jeszcze do łaski Augusta II, i prosił dla syna o łowiectwo Litewskie, które świeżo zawakowało po śmierci Sawickiego (w lutym 1732). Udalryk wtedy albo już powrócił do Litwy, albo miał się ku powrótowi. Prośba jednak nic niewskórała, łowczym został starosta Sochaczewski Szaniawski, Koronijasz wziął Litwinowi pierwszeństwo (2). Po śmierci króla Augusta II, obrała Udalryka szlachta na sejmiku Nowogródzkim sędzią kapturowym; prawda i to, że na tym sejmiku ojciec osobiście przewodniczył szlachcie, prawda, że xiążę Mikołaj miał dosyć wziętości w województwie. Było wtedy jednakże około czterech tysięcy głosów w Nowogródku, porcya niemała; wsze-

(1) Kotłubaj w Galeryi Nieświezkiéj datę urodzin kładzie na dzień 28 stycznia 1712. Nasza data wzięta jest z notat Krzysztofa Zawiszy, dziada Udalryka; może się pomylił, gdy pisze późniéj, że Udalryk rodził się w sam dzień św. Karola, (t. j. 28 stycznia).

(2) Że xiążę starał się o łowiectwo, ślad w „Tece Podoskiego" T. 4 str. 233.

lako xiążę wojewoda umiał jakoś niechęci uspakajać, nieprzyjaciół godzić. Więc nic dziwnego, że najstarszego xięcia wojewodzica, szlachta sędzią obrała, chociaż ledwie skończył lat dwadzieścia: w Polsce zawsze takim wyborem dzieci, pokazywano dla rodziców wdzięczność lub przywiązanie. W rok później Udalryk został koniuszym wielkim Litewskim, po Michale Radziwille Rybeńce, ojcu Panie kochanku (1734). Była to nagroda dla ojca, za przywiązanie do rodziny Saskiéj, w czasie bezkrólewia. Wreszcie król dał Udalrykowi półkownikowstwo w regimencie pieszym buławy pol. Lit. (1). Na końcu dostało się mu i starostwo Mińskie po dwóch Zawiszach dziadzie macierzystym i rodzonym wuju. Xiążę Udalryk odbył do Mińska świetny wjazd (31 sierpnia 1739), po którym złożywszy na urząd przysięgę przed kasztelanem Smoleńskim, podług prawa nominował podstarościm Swięcickiego,— sędzią grodzkim Iwanowskiego,—pisarzem Żyzemskiego podczaszego Mińskiego, który pochodził z dawnych xiążąt Ruskich (2). Iwanowskiego ciekawa jest także historya, może ją za inną razą kiedy rozpowiemy.

Na tém koniuszowstwie, półkownikowstwie i starostwie, skończyły się wszystkie godności Udalryka. Niedoczekał się nic wyższego, lubo nieraz się kręcił i lubo się o to z dworem nawet poswarzył. Chociaż był Radziwiłłem, za bardzo mało go mieli nietylko spółobywatele szlachta, ale i król, ale i minister Brül. Udalryk mało się z początku troszczył o to, układając wiersze, do których pisania miał pociąg zawsze niepospolity, i nudził wszystkich wokoło.

Posłował xiążę koniuszy aż sześć razy na sejmy walne, był raz komissarzém Chełmskim na trybunał skarbowy Radomski (w r. 1746); wszystko to nic nienadało, senatorem dla tego niezostał. Bywało nieraz na dworze odzywał się za nim xiążę Michał Rybeńko hetman, pan którego król wielce szanował, ale i to nic nienadało, bo xiążę Rybeńko niebył takim Radziwiłłem, coby to umiał pogrozić, i pogniewać się: miękkie w nim serce przed majestatem, jak lód przed słońcem topniało przed uśmiechem wszedwładnego ministra, przed jednêm słówkiem króla jegomości. Xiążę hetman pamiętał wprawdzie o Udalryku, ale nie o to bynajmniéj chodziło. Kiedy umarł ojciec wojewoda Nowogródzki, który będąc najstarszym z jenerałów Litewskich, nieraz w dowództwie zastępował hetmana, xiążę Rybeńko ufność

---

(1) Patent królewski o tém z d. 9 listopada 1735— w Warszawie dla xięcia koniuszego Sygil. 42, str. 66.

(2) 31 sierpnia i 2 września 1739, Kuryer Polski N. 141.

aką miał w ojcu przelewając na syna, w r. 1747, mianował Udalryka regimentarzem jeneralnym wojsk Litewskich. Wysoki to był urząd, ztąd i zalecenie Udalryka dworowi było silne, a jednak niepomogło. Otoż na jednym ze zjazdów Wschowskich, na których zwykle król obradował z senatem, xięciu hetmanowi zachciało się koniecznie Udalryka wystrychnąć na wojewodę Nowogródzkiego. Juśćić to krzesło już od kilku pokoleń prawie dziedzicznie zostawało nietylko w posiadaniu Radziwiłłów, ale nawet dostawało się regularnie téj ich linii, z któréj pochodził Udalryk:—rodzony jego stryj, ojciec i brat byli jeden po drugim wojewodami Nowogródzkimi. Xiążę koniuszy już podówczas od kilku lat sprzedał starostwo Mińskie Iwanowskiemu bratu sędziego grodzkiego (1751), i rad byłby niezmiernie, w nowy się jaki urząd przyozdobić. Hetman Rybeńko słabym będąc, niezjechał wprawdzie do Wschowy, zesłał tam za to jednego ze swoich ministrów, którzy sprawy mu we dworze i po różnych okolicach Rzplitéj wyrabiali. Ale dwaj bracia Radziwiłłowie, hetman i xiążę chorąży, wieczne darli z sobą koty: więc kiedy hetman posuwał Udalryka, na złość starszemu, chorąży popierał do województwa xięcia krajczego Radziwiłła, który był rodzonym, a młódszym bratem naszego poety. Kiedy dwór się wahał komu z tych dwóch Radziwiłłów dać pierwszeństwo, przybiegł trzeci spółzawodnik xiążę Jabłonowski starosta Buski, ten co to był tak niezmiernie uczonym, i co dzieła pisał; otoż ów trzeci xiążę zapłacił Brüla i wziął z przed nosa koniuszemu województwo. Udalryk znajdował się we Wschowie, w czasie kiedy padł na niego taki niespodziewany piorun. Rozjadł się tedy niemiłosiernie, i wymyślać począł raz na Brüla przed Brzostowskim starostą Daugowskim, z którym bliziuchno w sąsiedztwie mieszkał we Wschowie. W uniesieniu powiedział, że zerwie z dworem, że niechce do niczego należeć w Rplitéj, że nawet koniuszowstwo porzuci, bo mu ubliża nosić jakikolwiek urząd po tém, co się dopiéro stało. Pan Brzostowski, który spekulował już oddawna na jakiekolwiek dygnitarstwo, i wyglądał niecierpliwie wakansu, złapał xięcia Udalryka za słowo, i wymógł na nim, że dał mu na piśmie zrzeczenie się koniuszowstwa bez żadnych innych pretensyj. Byłoby tedy zginęło wszystko, gdyby Brzostowski miał czas wyrobić sobie u króla przywiléj na ten urząd; gdyby kanclerz położył na nim pieczęć. Ale zaledwie wyszedł uszczęśliwiony in spe dygnitarz z komnaty, przybiega do stroskanego poety ów minister hetmański, który to dla niego przyjechał do Wschowy, i przybiega z odpowiedzią Brüla, że byleby miał cierpliwość, na inny raz niezawodnie dostanie piérwszy lepszy wakans xiążę koniuszy. Tutaj do-

piéro dowiedział się z przestrachem od Udalryka przyjaciel, że Brzostowski ma już na piśmie jego zrzeczenie się, więc jak natrze z góry minister hetmański na xięcia Udalryka, jak mu wytrze kapitułę, że zrobił nic potém, że próżno się wyexpensował na drogę, nietylko nic niezyskał, ale jeszcze i dawny urząd stracił, jak ów minister w oczy xięciu wyrzuci brak oględności, bo takie urzędy jak koniuszowstwo w Polsce i w Litwie niedają się nikomu darmo, ale jeżeli już na to przyjdzie, sprzedają się, przez licytacyę na więcéj; jak mu przypomni, z czém to xiążę za powrótem pokaże się żonie, z czém xięciu hetmanowi, niebędąc już zgoła niczém, ale to zupełnie niczém: zląkł się biedny nasz tetryk, i daléjże sprawę ratować. Szczęściem jak powiedzieliśmy, nieposzedł zaraz Brzostowski do xięcia kanclerza Litewskiego, który wtedy trząsł Litwą, a do którego stronnictwa sercem i duszą należał. Udalryk posłał więc do niego prosząc o swoje pismo, i udając, że ma cóś dodać do niego, że cóś musi w niém poprawić. Brzostowski nieostróżny dał pismo, które xiążę koniuszy poszarpał w oczach czy posłańca czy też samego starosty Daugowskiego. Tak przynajmniéj uratował swoje koniuszowstwo (1755).

Znudziło się to wreszcie xięciu i począł jawnie stawać jak obiecał przeciw dworowi. Osobliwością to wielką było na Litwie, bo Radziwiłłowie wszyscy w rumel wtenczas trzymali z królem przeciwko Familii, to jest Czartoryskim. Xiążę Udalryk występując tak, byłby szczepił rozdwojenie w obozie własnym i wrogowi zwycięztwo ułatwiał, ale na szczęście nikt się piorunów xięcia niebał i na wybryki jego kwaśnego humoru nikt niezważał. Mimo to Udalryk wystąpił publicznie z mową swoją na jednym z sejmików poselskich w Chełmie (1758). Naturalizował się nasz xiążę w onéj ziemi przez piérwszą żonę swoję Rejównę, któréj wioski tam leżały, widzieliśmy jak raz go szlachta w Chełmie wybrała na trybunał do Radomia. Wystąpił xiążę w Chełmie w obronie liberum veto, i czego też nienagadał, czego nieporuszył, co się też nienastrachał o wolności! Rzucał się mocno na Bogu ducha winnego króla, że chce do Rplitéj zaprowadzić *absolutum dominium* (to jest samowładztwo) i że tylko płaszczykiem gorliwości się pokrywa; dowodził, że rada cudzoziemska Brülowska oddawna się już na to sili, by w Polsce obalić wolność a rząd zaprowadzić taki jaki jest na Węgrach. Obietnice dworu są wprawdzie dla wolności, mają nam panować konstytucye, ale kto temu wierzy? pytał się xiążę. A potém dalszę mowę swoję przeplatał kolejno to radami dla Rplitéj, to pogróżkami dla dworu. Cała Europa mówił,

obecnie jest zaburzona: musi więc kiedyś wyniknąć pokój z téj wojny, stara się już nawet oto Hiszpanija i Holandya, a Polska czemu niema należeć do kongresu? Polska powinna mocarstwom ofiarować swoje pośrednictwo. Xiążę chciał więc żeby posłom Chełmskim dopisano do instrukcyi na sejm to żądanie. Na kongres podług niego mają jechać sami ludzie zacni, mogą być senatorowie i ze stanu rycerskiego, a głównie tego mają tam wszyscy pilnować, czy też o nas państwa bez nas nieradzą, czy niechcą czasem Rplitéj dzielić, lub zaprowadzić rząd inny, lub domowi Saskiemu dziedzictwo korony Polskiéj zapewnić. U nas są rządy arysto-demokratyczne, mówił xiążę, co nam więc po monarchii? Pomnożyć w Rplitéj trzeba siły zbrojne i podnieść władzę hetmańską: król ją naruszył, kiedy skupował regiment sześciuset ludzi z ordynacyi Ostrogskiéj, który pod xięciem Sanguszką do hetmana należał; król wprawdzie ludzi tych z powrótem oddał xięciu, ale już nie hetmanowi, pod wątpliwe prawo ich puścił, kiedy ich zrobił nadwornymi ludźmi prywatnego pana, a nie regimentem koronnym jak było dawniéj. Z téj puszki pandory wiele wypłynęło kłótni i zamęt władz, bo teraz xiążę i Rplita panami są w Ostrogu, a hetman xięcia niedopuszcza do Dubna. Narzekał daléj Udalryk na złą monetę. Mówił, że król na nic się nieogląda, że sieje fakcye w narodzie. Niepodobało się mu i świeże poselstwo stolnika Litewskiego do Petersburga. Imperatorowa dobra, mówił, nigdyby nas niezaczepiała, gdyby o to Poniatowski jéj niebłagał imieniem króla. Wyliczał potém xiążę nadużycia i krzywdy prywatnych, które z powodu przechodów wojska, miały w Litwie i Koronie miejsce. Żałował daléj, że jak Cycero przeciw Katylinie, tak on musi teraz występować przeciw Stanisławowi Poniatowskiemu, choć to zacny parentelat i zdolny człowiek. Po co podejmował się poselstwa do imperatorowéj? Przecięż wszystkie trzy stany mogą prawnie wysyłać posłów, to jest i sejm, nie zaś jedna rada senatu; dla tego hetman Branicki, aczkolwiek szwagier Poniatowskiego, był przeciw temu poselstwu. Niesłuży tutaj tłómaczenie, że stolnik jako prywatna osoba jeździł tylko od elektora Saskiego (tak dwór się tłómaczył przed szlachtą)! bo jeżeli tak jest, sprofanował stolnik dygnitarstwo które nosił; wart jest kary, bo żaden dygnitarz Rplitéj póki jest nim, niema prawa, niemoże od obcych xiążąt posłować. Do tego, ministrowie jak mogli kłaść pieczęć na to jego poselstwo? jeżeli zaś niepołożyli, tedy gabinetowéj użyto, a to już istna fabrykacya. Niechby tylko kanclerze Szwedzcy, Weneccy, Holenderscy, kładli tak bez pozwolenia stanów na ladajakiém piśmie pieczęci, ktoby na

nich zważał wtedy, że bogaci są i panowie? Chwalimy się żeśmy wszyscy równi, a możniejszym boimy się narazić? Gdzież ta równość? gdzie wolność? Tutaj xiążę puścił się w erudycye, prawił o Kromwellu i zakończył wnioskiem, że trzeba domagać się poprawy ministrów. A to go już prosto wiodło do celu téj długiéj filipiki. Chcemy, rozpowiadał tak daléj, żeby indygenowany przez trybunał Rudzieńskiego, Brül upadł i żeby sam wojewoda Rudzieński, za czynność prawu przeciwną był skarany, tém bardziéj, że starał się i dostał za to starostwo,—tož deputaci skarani być mają, i dobra Polskie Brüla zabraćby potrzeba na skarb. Chwalił w końcu xiążę szczerość swoję: „Żebym Bogu na sądzie ostatecznym nieodpowiadał, żem leniwie sprawy ojczyzny bronił, oto gadam, niemilczę jak Machijawel, lub jaki polityk. Protestuję się przed całym światem, żem poczciwości méj nikomu niezaprzedał, żem szedł zawsze wzorem poprzedników moich rzetelnych Radziwiłłów. Zniosę męki największe jakie za Dyoklecyanów, Neronów znosili Chrześcijanie, ale z wesołą twarzą, będę mówił ciągle.“ Tutaj już jawnie zabiegał kokieteryą, boć w Polsce nikt nikogo nigdy za słowo, za zdanie, za sposób myślenia, niemęczył i nieprześladował. Streścił zaś rozumowania swoje tak xiążę Udalryk: chciał podług prawa z r. 1736 cenić zarówno wszystkie państwa wojujące i niewojujące; chciał żeby Rplita krzywd Saskich niedochodziła, bo niéma Rplitéj z Saxoniją związku, a kto wkroczy do elektorstwa, nienarusza bynajmniéj przez to spokojności Korony; chcał pokoju na sejmie, więc niepozwalał za nic, nawet na obranie marszałka pókiby wojska obce Rplitéj nieopuściły i tém niezawiązał się pokój. Skończył żalami jak prorok Jeremijasz. Szczęście dla krola Augusta, że się mów takich w całéj Polsce nieobawiał, że tém bardziéj niestał o mowy xięcia Udalryka.

Jednak chociaż zabiegał o inne, i tych urzędów swoich które miał, xiążę Udalryk po kolei pozbywać się musiał. Koniuszowstwo wyłudził zawsze z niego ów starosta Daugowski, który we Wschowie miał jeszcze chrapkę na dygnitarstwo, tylko że wtenczas darmoby mu się to obeszło; dzisiaj po kilku latach czekania, zapłacić musiał. Dopilnował Brzostowski xięcia kiedy był w niedostatku a to z powodu amorów do panny Walichnowskiéj, umizgnął się tedy do niego i dostał koniuszowstwo za 1500 dukatów, ale z tym dodatkiem, że Udalrykowi ustąpił swojego pisarstwa wielkiego Litewskiego (w r. 1762). Pilno było xięciu Udalrykowi sprzedać i to pisarstwo, jakoż spłacił mu ten urząd Antoni Tyzenhauz, sławny potém w dziejach Polskich podskarbi nadworny Litewski. Było to już za rządów ostatniego

króla, którego jednak elekcyę xiążę podpisał z ziemi Chełmskiéj, i już nie jako żaden dygnitarz, ale jako jenerał wojsk Litewskich, naturalnie in partibus. Bezkrólewie przesiedzał wtedy w Gdańsku, i tam na ustroniu, zdala od wypadków politycznych, bawił się piórem, występował tylko w obronie rodziny. Gdy na xięcia Karola Panie kochanku obaliła się wielka machina Masalskich, Czartoryskich, Brzostowskich i koalicyi, gdy dobra Radziwiłłowskie szarpano a wiekowe zapasy szły w zdobycz łakomym, Udalryk niewystąpił żeby ich bronić szablą po-jeneralsku, ale bronił ich piórem, dyplomatycznie, po-politycznemu. To pewna, że wygotował po-Francuzku wykład praw i przywilejów ordynacyi Nieświezkiéj, że wykład ten drukował w Warszawie, i że piérwszy exemplarz téj pracy wręczył posłowi Rossyjskiemu Kejzerlingowi, a następnie innym posłom cudzoziemskim w Rplitéj. Naprożno tą razą xiążę śpiewał litaniję do wszystkich świętych,—kto sobie co robił z jego noty? Ale przynajmniéj zadosyć uczynił swojéj próżności i świerzbiączce do pióra (1). Wystąpił raz jeszcze na scenę w konfederacyach, które się wiązały po sejmie Czaplica, za sprawą dysydentów, i konsylijarzem obrany był nawet konfederacyi Kijowskiéj (w czerwcu 1767). W dwa miesiące póżniéj, obrany był posłem także z Kijowskiego na sejm; niewiemy czy już na nim zasiadał, chociaż rzecz to obojętna jest dla historyi, czy był xiążę czy niebył wtedy w Warszawie.

Xiążę Udalryk Radziwiłł koniuszy Litewski, sam poeta, śpiewał kiedyś pochwały wielmożnéj jéjmość pani Elżbiety Drużbackiéj skarbnikowéj Zydaczewskiéj w Rzemieniu nad Wisłoką rezydującéj. Trudno rozumieć tego wiersza do Drużbackiéj, pełnego erudycyi, niezwyczajnych zwrótów i przenośni; dosyć, że xiążę, który się bawił w czasach wolnych i literaturą, oddał hołd publiczny dziesiątéj Muzie Polskiéj, jak ją wtedy nazywano, i tém się pewnie niezmiernie cieszył, bo wiersze jego drukował w Zbio-

---

(1) Dzieło Udalryka ma tytuł: Exposé du droit d'ordination, ou pacta familiae de la maison des Radzivills, présenté par Ulrich duc de Radzivill, général de cavallerie de l'armée de Lithuanie, aux ministres des cours étrangères et principalement a S. E. monseigneur le comte de Keyzerling, ambassadeur de S. M. imperiale de toutes les Russies près la Republique de Pologne (Varsovie 1764, in fol.). Dzieła tego nieznamy, ale wiadomość o niém znaleźliśmy w katalogu biblijoteki uniwersytetu Kijowskiego: Алфавитный указатель библіотеки книгъ Им. университа Св. Владимира, porównać numer 14,848.

rze rytmów Drużbackiéj, uczony xiądz biskup Kijowski Załuski, i sama Muza, potoczystym wierszem mu odpowiedziała, uznając nizkość swoję przed majestatem xięcia poety. Naturalnie zainteresowała ta okoliczność, wszystkich spółcześnych szlacheckich czytelników w Polsce, którzy i na xięcia Udalryka zaczęli już spoglądać jako na jednę z ozdób Parnasu Polskiego. Stosunki literackie z Drużbacką podniosły go wysoko.

Xiążę pisał:

Nie z prostéj skóry pas ciągnę Rzemienia,
Z któréj tu snuje Muza swe osnowy,
Tać z Helikońskiéj cór idzie plemienia;
W Drużbackich kroplach kręte kroi rowy,
Gdzie po kamykach szumne grają zdroje,
Zkąd poetyckie smak dają napoje.
Któraż z Wisłocznych wód Rzemień opłócze?
Zkąd łatwiéj zwijać poetyckie węzły?
Niech się w szemrzących Drużbakach nauczę,
Jak myśl formować, jak sens czynić zwięzły,
Niech z Wisłocznemi Drużbuk kroplmi złączę,
Niech uchodzące wody czerpnę rącze.
Wszak gdy w Jordanie strumień Jana głaszcze,
Z duchem mądrości z głębi się wynurza,
Wraz Jan rzemienne na się wdziewa płaszcze,
By niezalała skazitelna burza:
Czysty jak kryształ, czyste pasze biodra,
Lepiéj, wyrazi Muzy ręka szczodra.
Własność Wisłoki opatrzać w potrzeby,
Spuszczając z nurtem z obfitością tratwy;
Kraj kraje żywi, napełniając w chleby:
Choć kręte buchty, przecięż transport łatwy,—
Muza łaskawa swe kieruje wiatry,
By nierozbiły skopuły czy tatry.
Drużbackie stoki już ożywiciela
Tytuł na sobie sprawiedliwie noszą:
A któż w kalectwie znajdzie zbawiciela?
Wszak dziwne skutki wód Drużbackich głoszą;
Muzy to dzieło, jéj cudowne leki,
Że i mych rytmów poprawi kaleki.

„Nierównająca się z doskonałością xięcia, jego sługa“, pani Drużbacka następujący odpisała mu reskrypt:

Niesłuszna sowie z orłem w zawód chodzić w locie,
Niesłuszna z nim się wzbijać, pod słońca promienie:
Orła pióra wynoszą, w przyzwoitéj cnocie,

Sowę pusta stodoła wśród dnia kryje w cienie,
Dopiéro jéj noc czarna, da wzrok widzieć świata:
Jednak sowa w prostocie swojéj, nizko lata,
Ptak wyniesiony,
Bierze ją w szpony.

Zamilkła muzy mojéj już odtąd chimera,
Wybił styl z głowy mojéj Litewski koniuszy,
Gdy mię z jego Parnasu dochodzi litera;
Upadła chęć do pióra, ręka się nieruszy
Do żadnéj pracy: bo mi trakt zaległ Radziwiłł,
Sens zmotał, z Aryadry kłębka nici wywił,
Mnie w labirencie,
Stawił w momencie.

Że niewiem, w którą stronę iść mam z błędnéj matnie,
Niewiem, w lewą czy w prawą, krok kierować z myślą;
Przyjdzie na to, że xiążę sposoby ostatnie
Poda: dowcipy jego gościniec zakryślą,
Sens wróci, chęć zaostrzy, z stylu skrzesze sęki,
Pióro zatemperuje, papier da do ręki.
Na tym wyrażę
Co wiek niezmaże.

Drużbacka aczkolwiek nierównie piękniéj i czyściéj pisała od wielu swoich spółcześnych (a cóż dopiéro mówić o xięciu koniuszym?) mogła na seryo głosić te pochwały Radziwiłła. Prosiła go też w następnych wierszach, by pozwolił jéj „wykroczyć w żądaniach swoich z granic nad wymiar“, to jest błagała xięcia, żeby „ugłaskał bystrość własnego pegaza“, chciała albowiem „zmoczyć pióro orle w jego stoku“. Rzemień da się pociągnąć zwłaszcza koniuszemu, tak mu dowodziła kalamburem; pas to prosty choć go płóczą Nadwisłoczne strugi, a na to się tylko przyda, żeby go pan do strzemion zażył na puślisko.

Krople z krynic Drużbackich, kaleki ubogie,
I same niedołęgi, ledwie leczyć zdolą:
Pańskim głowom, w których są nauk skarby drogie,
Nieporadzą, raczéj im uniżyć się wolą.
Muza w mądrość uboga, ale w piśmie szczera,
Co pisze, to za orłem pióra w polach zbiera,—
I tém się chlubi,
Co orzeł zgubi.

Drużbacka tedy oddając się zupełnie na łaskę xięcia, pozwalała mu gładzić skazy pism swoich, zwała się zwłaszcza w porównaniu przed nim niedoskonałą poetyczką; przyznawała

wreszcie że mu w niczém niesprosta, bo winna za nim nosić tekę z mądrością albo tabliczkę prostą.

I jakże xiążę niemiał się cieszyć, niemiał urosnąć we własnéj i w obcych opinii, po tym hołdzie, jaki mu ni ztąd ni zowąd, złożyła dziesiąta Muza!

Wielki bo też dziwak był ten xiążę koniuszy Udalryk. Mówiono o nim pospolicie: że był to „pan i w xiążkach i w mądrych się ludziach kochający,"— i takie nawet o nim zdanie wniósł do roczników szlachty Polskiéj xiądz Niesiecki. Inni znowu opowiadają, że xiążę „po większéj części przebywał w dobrach swoich zajęty naukowemi zatrudnieniami; miał być albowiem mężem bardzo uczonym i posiadał biegle sześć języków" (1). Jednak prawdę powiedziawszy miał xiążę głowę tylko zaprószoną; prawda, że czasami zajmował się xiążkami, stosunki jego z Drużbacką poświadczają, że szukał zajęcia w literaturze, owszem jako pełnen pretensyi do uczoności człowiek chętnie wchodził z literatami w stosunki, tylko że ich wtedy mało było w Rplitéj! Zbliżył się szczególniéj do znakomitego pod owe czasy lekarza, który chociaż Niemiec rodem, ale od piérwszéj młodości ciągle bawiąc w Polsce, rozkochał się w narodzie i w jego przeszłości tak dalece, że nauka historyczna wiele mu była winna. Mówimy tutaj o uczonym Mizlerze a Korof, z którym xiążę obszerniéj nieco korrespondował, szkoda, że niewiemy o czém, zapewnie o naukach przyrodzonych lub historyi (2). Były nawet chwile, że zajmował się nibyto na szczerze literaturą. Tak siedząc bez zatrudnienia w Gdańsku tłómaczył na Polskie z Niemieckiego jakieś listy familijne barona Bilefelta, widocznie z celem drukowania tego arcydzieła (3). Miał się też Udalryk za mówcę, statystę i polityka, jak widzieliśmy pisał noty dyplomatyczne do obcych ministrów. Ale co komu, a literaturze tém bardziéj, przyszło z téj miłości jego do xiążek, i do ludzi uczonych, z tego zarozumienia jakie miał o sobie, kiedy z natury niepotrafił się niczém zająć szczerze, i sił mu brakło żeby umiał cóś zrobić choćby najbiedniejszego? Wmawiał w sie-

(1) Kotłubaj, Galerya str. 366.

(2) Te korespondencye xięcia są w Muzeum Świdzińskiego w Sulgostowie.

(3) I ten rękopism xięcia znajduje się w Muzeum Świdzińskiego niemieliśmy sposobności przeglądać tych prac i listów Udalryka, ale wiemy o jednem i drugiem z katalogu. Bilefelta xiążę tłómaczył w r. 1764.

bie jednak xiążę łatwo, wszelkiego rodzaju zdolności, już nietylko literackie, i ludzie w niego różnie wmawiali. Był np. mechanikiem i postępowym na swoje czasy gospodarzem. Wynalazł naraz dwie machiny, jednę do chędożenia rzek, jezior i stawów ze trzciny, a potém kafar do bicia palów na tamy, groble i mosty. Xiążę ogłosił nawet drukiem swój wielki wynalazek we Lwowie (1), ztamtąd przynajmniej rozeszła się wieść po całym świecie Polskim, o tych wielkiego pomysłu machinach, jak zapewniano bardzo użytecznych, i ludzie nieśmieli się mu w żywe oczy. Prawda, że niewszyscy jednak dali się złapać na tę wędkę. Xiądz Bagiński Dominikan Litewski, spółcześny xięciu koniuszemu, dobitnie wypowiedział mu całą prawdę: „A jednak, powiada utyskując w swoich notatach, u samego tego xięcia i stawy zarosłe, i staw czyniący sto czerwonych złotych z młynem, woda wyniosła; lepiéjby ten xiążę doświadczył sztuki pomienionéj gdyby sam wziął siekierę i rydel a popracował zabijając pale i stawy wyczyszczając“ (2). Rzeczywiście xiążę był sobie mechanikiem, myślał i o postępowém gospodarstwie, a u niego samego najokropniéj szło gospodarstwo, i prawie gospodarować niebyło z czego.

Był ten xiążę całe życie swoje młodym i całe życie płochym i jużto oryginałem sławnym na całą Polskę; raz wraz różne popełniał niedorzeczności. Dziwili się temu wszyscy co go bliżéj znali i ubolewali nad tém jaki to niestatek, jaki nierozum w tak już słusznym człowieku. Prawda, że wiele też wad xięcia pochodziło z choroby: Udalryk albowiem był słabym i podagrykiem, a już do małżeństwa wcale się nienadawał; dla tego przekonywali go wszyscy, którzy mu dobrze tylko życzyli, żeby się wcale niepowinien żenić. Jak na złość dla nich, był xiążę bardzo romansowym, składał zawsze hołdy płci pięknéj, a względem Drużbackiéj znalazł się wcale po-rycersku. Żałowano też niezmiernie kobiety, na którą padł nieszczęśliwy los że zwróciła jego oczy na siebie, płakano też, że została jego żoną, chociaż xiężną Radziwiłłową. Kobieta, która szła za niego, robiła z siebie poświęcenie się; może w tém miała grę duma, może próżność, ale zawsze była tam z jéj strony chociaż kropla poświęcenia się: za tytuł albowiem pani i xiężnéj, bo nie dla

(1) Artykuł o tém ze Lwowa 12 lut. 1761. Opis obodwu machin w Biblijotece Warsz. 1846—1, 503.

(2) Rękopism x. Bagińskiego wydany przez Eustachego Tyszkiewicza, Wilno 1854, str. 36.

dostatków, narażała spokojność całego swego życia; Udalryk był jak każdy poeta ubogim, bardzo ubogim, zwłaszcza stosunkowo do innych Radziwiłłów. Odważyła się jednak na ten czyn bohaterski, oddała xięciu swoję rękę, Zofija Rejówna z Nagłowic podstolanka Chełmska, wdowa po Janie Pepłowskim kasztelanie Wołyńskim (1). Tém dziwniéj małżeństwo to uderzało, że tylko co zmarły kasztelan, był mężem staropolskiéj cnoty, miał wielki rozsądek, wymowę gładką, posłem bywał ustawicznie na sejmy walne, i raz wraz do różnych posług swoich zażywała go Rplita, a zawsze z wielką swoją radością i pożytkiem. Pepłowski żył pobożnie i w mądrych xięgach się kochał, a gdzie było Udalrykowi do niego! Wprawdzie był jeszcze wtedy xiążę dosyć młodym kiedy sie żenił, miał dopiéro lat dwadzieścia ośm i jeszcze niestetryczał, ale kto różnicy niewidział pomiędzy nim a Pepłowskim? Dwudziestoczteroletnia pani kasztelanowa jednak pocieszyła weselem swoje wdowieństwo. Ślub odbył się w ziemi Chełmskiéj pod Zamościem w Krasnymstawie (2). Nowa xiężna koniuszyna niemiała dzieci ani z Pepłowskim ani z Radziwiłłem, dla tego może przy sobie chowała i pielęgnowała obce dzieci, lubiła zwłaszcza dziewczęta, i potém wydawała je za mąż. Tak w Tąjkurach, dobrach mężowskich pod Łuckiem pamiętne dla swego serca sprawiła wesele córce rodzonego brata, pannie Elżbiecie Rejównie łowczance Pilźnieńskiéj, z którą się żenił Roch Krasicki, starosta Merecki; ślub państwu młodym dawał xiądz Wołodkowicz koadjutor metropolity Ruskiego (3). Dużo gości xiężna podejmowała wtedy w Tajkurach.

Udalryk powierzchownością swoją straszył kobiety. Wielki jak słoń, ledwie ustał na nogach, taki był niedołężny, ztąd życie całe przesiedział w krześle. Przy swoim nibyto wielkim rozumie, dziwnie ograniczony, szczególne miewał fantazye. Już to oczywiście, łatwo się domyśleć, że prędko mu się żona sprzykrzyła, dla xięcia trzeba było zawsze korony wdzięków, taki był romansowy. Ztąd opowiadają o nim, jak raz w przystępie miłośnego usposobienia, kazał szukać po całéj Rplitéj co najbieglejszego malarza, a znalazłszy takiego jakiego chciał, kazał mu odmalować na pamięć popiersie najpiękniejszéj kobiety, z rysami twarzy najidealniejszemi, choćby obraz ten przyszło tworzyć naj-

---

(1) Ojciec jéj Karol, matka Maryanna Brzezicka.
(2) 1 września 1740, Kuryer Polski N. 196.
(3) 21 lutego 1757, Kuryer Polski N. XII.

poetyczniejszéj wyobraźni. Malarz utworzył taki ideał, czy spełnił zadanie estetyczne, trudno wiedzieć, ale xięciu widać podobał się ideał, taki b y niewybrydny! Otoż podobno przed tym obrazem po całych dniach siadywał i przypatrywał się wdziękom i na ich cześć czułe na flotrewersie wywodził tony, bo xiążę do wszystkich talentów swoich łączył jeszcze i zamiłowanie do muzyki (1).

Nadzwyczaj charakterystyczne było pożycie xięcia z jedną i drugą żoną, czego domyślać się łatwo. Kiedy Rejówna umarła, zawarł wnet powtórne śluby i to z osobą, która wcale do wzoru idealnego jaki sobie stworzył, niebyła podobną. Prawda że przed zawarciem tych drugich związków, doznał wiele trudności od własnéj rodziny Radziwiłłowskiéj. Stary już upadkiem sił, bo zaledwie nogi dźwigał, chociaż niemiał jeszcze tak podeszłego wieku, jakby młodzik palił cholewki do dziewcząt.— W domu Kamieńskich na Wołyniu często bywał po-sądziedzku xiążę i tam sobie u nich tę drugą żonę upatrzył. Kamieńscy byli zblizka krewnymi Drzewieckich, rodziny bardzo wziętéj na Wołyniu, a sami niegdyś wzrośli na Radziwiłłach;— xiążę obudził zawiść spadkobierców, którzy na to nowe ożenienie się jego zezwolić niebyli radzi, rachowali pewno na spadek po nim: hrabstwo Berdyczowskie, jak je wtedy nazywano, oprócz miasta intratnego i handlowego, liczyło kilkadziesiąt wsi i było zawsze warte kilkadziesiąt milijonów. Długów było co niemiara, alež zawsze pańska to fortuna, złote było jabłko dla tych Radziwiłłów, co mniéj jeszcze posiadali od Udalryka, a byli tacy: świetne imie wymagało koniecznie świetnego stanowiska; że Udalryk był przytém wszystkiém ubogi to jego wina i nierząd, z Berdyczowa nawet odłużonego okroiłoby się zawsze na dosyć posażną szlachecką fortunę i jéj się to właśnie spadkobiercom tracić niechciało. Radziwiłłowi tam oczywiście niestarczyło; Radziwiłł z taką fortuną był zawsze w długach; ale każdy szlachcić wziąłby z ochotą i Tajkury i Berdyczów. Tymczasem opór krewnych tak daleko sięgał, że kiedy zmiarkowano o szczeréj serdecznéj afekcyi xięcia, Kamieńscy jaki czas spodziewali się napadu na swój dom, wieści przynajmniéj przylatywały dosyć częste o zamierzonéj wyprawie: zabiegając tedy niebezpieczeństwu, rodzice panny radzi że się skoligacą ze świetnym domem uwieźli narzeczoną jako blizką krewnę do domu Drzewiec-

(1) Pamietniki Seweryne Bukara.

kich (1), tam zjechał xiążę Udalryk, i zaślubił młodziusieńką pannę Eleonorę. Potém takież same były komedye i obawy kiedy się xięciu syn urodził, chciano go wykraść, a rodzice dobrze strzedz się musieli.

Żona udawała względem męża miłość, któréj oczywiście niemiała. Ile że miło to być xiężną, oświadczała zawsze, że dla męża zrobi wszystko, że będzie na każde jego skinienie; postanowił z tego za daną sposobnością Udalryk skorzystać. W starym piecu djabeł pali,—mówi niegrzeczne przysłowie;—otoż xiążę już raz puściwszy się na fale Kupidynowe, prędko zapomniał o ukochanéj Eleonorze, dla któréj tyle się poświęcał, i chociaż doczekał się syna, szalał po-dawnemu. Zakochał się tedy w pięknéj pannie Walichnowskiéj, i okropnie się dla niéj sadził na prezenta. Nieporządne życie, brak oszczędności, wreszcie te raz wraz nowe przywiązania, rychło ścięły z nóg xięcia, zaczął się po wszystkich stronach zapożyczać, wreszcie popadł w wielki niedostatek, bo już i przyjaciele i lichwiarze zarwani, nic mu pożyczać niechcieli; odważył się wreszcie na krok stanowczy i do żony otwarcie napisał o co mu idzie. „Oświadczasz się, mówił, że wszystko dla mnie zrobisz, daj tego dowód i pozwól na rozwód zemną, gdyż kocham się w pannie Walichnowskiéj i pragnę się z nią ożenić."—Łatwo się domyśleć, że tego pozwolenia niezyskał: może więcéj moralną od niego była xiężna Eleonora, może jéj na to interes niepozwalał. Kiedy więc jego amory nieuświęciły się nowym związkiem serdecznym, umarł nasz przyjaciel Drużbackiéj, poeta i myśliciel, kandydat do wielu urzędów, zalotny xiążę Udalryk w roku 1769, zupełnie zapomniany wśród potoku wypadków; miał lat 57.

Xiężna Eleonora wdowa prowadziła otwarty i gościnny dom w Berdyczowie po śmierci męża; może wtedy dopiéro odetchnęła od licznych kłopotów. Szanowali ją i wielcy i mali, odwiedzali ją np. w Berdyczowie hrabia du Nord (w. xiążę Paweł) z żoną, i dwa razy cóś król Stanisław, raz wracając z Kamieńca, drugi raz w czasie podróży Kaniowskiéj. Poświęciła się całkiem wychowaniu jedynego swojego syna xięcia Mateusza, o którym kilka jest konstytucyj zapisanych w Voluminach, a najprzód ta, że król stanowił podług prawa nad nim jako nad małoletnim opiekę (21 listop. 1776), a potém ta, że majątkiem niedzielnym czterech braci Udalryka, dzielić się pozwolił, zastrze-

---

(1) To jest do domu dziada szefa Drzewieckiego, który o tém wspomina w swoich pamiętnikach.

gając prawo małoletniego. Xiążę Mateusz oddany był potém na wychowanie do Petersburga do korpusu kadetów i ledwie pod koniec bytu politycznego kraju powrócił do ojczyzny. Niemięszał się do żadnych intryg i spraw krajowych, bo w innych przekonaniach wzrosłszy, już swoich rzeczy nierozumiał. Jest o nim w pamiętnikach szefa Drzewieckiego mały ustęp, opisujący jak przyjmował u siebie oficerów prowadzonych do niewoli z wojny Kościuszkowskiéj. Xiężna zaś matka jego poszła jeszcze raz za mąż za Stanisława Nowakowskiego, było to cóś około roku 1796, i jeszcze lat dwadzieścia z nim żyła. Ten pan Nowakowski był za czasów xięztwa Warszawskiego radcą departamentowym i posłem sejmowym z Lubelskiego. Dawna xiężna niemogła się pogodzić z Francuzami w Warszawie, gdzie wtedy mieszkała: bolało ją serce kiedy patrzała na żołnierskie ich rządy, kwaterunek najwięcéj ją oburzał, umarła już w roku 1816, ale nie przy mężu, który bawił wtenczas w Warszawie, pracował od kilku miesięcy w komissyi spraw wewnętrznych już za królestwa Polskiego, dla uregulowania miast. Mąż dopiéro przyjechał nazajutrz po jéj pogrzebie. Żyła lat sześćdziesiąt przeszło.

De Rusticorum regni Polonici, S. XIV, XV, XVI, conditione. Scripsit et auctoritate amplissimi philosophorum ordinis in academia pro venia legendi. Die XXI Julii a. MDCCCLIII H. L. Q. C. Publice defendet Auctor Xav. Osc. Brueggenej dictus Hasenkamp. Tilsiensis phil. Dr. Assumto ad respondentum Socio Arminio Julio Podlech Wormdittensi contra opponentes Gust. Weinreich, Russensem. hist. stud. Theod. Preuss. Caralenensem phil. stud. Regiomonti Prussorum, impressit arniu. Hartung.

W ćwiartce, stronic 38.

W chwili gdy nad kwestyą włościańską z taką gorliwością pracują i w królestwie Polskiém i w Litwie, może niebędzie od rzeczy poznajomić czytelników z rozprawą o losach włościan Polskich, napisaną przed kilką laty przez Brueggeneja w Królewcu. Historya ludu w Polsce znalazła teraz przyjemnych historyków. Poruszył tę rzecz Lelewel, w szczegóły wdaje się Tadeusz Lubomirski, Cieszyński w Poznaniu ogłasza konkurs na całkowitą historyę ludu. Za granicą nienawiść Niemiecka ciągle krzyczy na szlachtę Polską. Rzecz tedy zapewnie ciekawa będzie dla naszych czytelników wiedzieć, że i Niemcy są czasem sprawiedliwi względem nas.

Rzadki to, bardzo rzadki widok, ale chwała Bogu od niejakiego czasu coraz częściéj ukazuje się oczom naszym, widok sprawiedliwości Niemieckiéj względem plemienia Słowiańskiego.

Czy to czas jakiś krytyczny w stosunkach naszych sąsiedzkich nadchodzi? czy inne jakie przyczyny? dosyć że Niemcy powoli zaczynają się interesować to dziełami, to literaturą, to pomnikami, naszemi, piszą o nich, rozprawiają, i czego nigdy niebyło, z miłością i przywiązaniem sądzą o rzeczach Polskich. A tam gdzie jest przywiązanie, już niemoże być mowy o przesądach. Nowy dowód tego stawia nam pan Xawery Brueggenej de Hasenkamp z Tylży, który publicznie na dniu 21 lipca 1853, bronił po-Łacinie rozprawy w uniwersytecie Królewieckim *de Rusticorum conditione*, to jest o stanie włościan Polskich przez ciąg XIV, XV i XVI wieku. Brueggenej był już doktorem filozofii i starał się o pozwolenie publicznego wykładu lekcyj w uniwersytecie jako professor prywatny (privat dozent). Wybrał za przedmiot do rozprawy, przedmiot nas wyłącznie odchodzący, więc go poprzednio studyował: z nim razem drugi akademik Podlech z Warmienia (Wormditt), z nażwiska wyraźnie Polak, bronił rozprawy od zarzutów, które czynili inni dwaj akademicy, ale już Niemcy, obadwaj rodem z Pomorza wschodniego czyli z Prus Królewieckich. Widać więc z tego, że nasze stosunki, nasza przeszłość, interesuje wiele Niemców Królewieckich, kiedy mogą o niéj rozprawiać nawet seryo na publicznych dysputach. Nareszcie Brueggenej wybrał sobie przedmiot Polski, czyżby z tego płynęło, że chce wykładać historyę Rzplitéj w Królewcu?

Wszystko to jest bardzo pocieszające i piękne dla nas, ale wszystko to jednak, to zajęcie się nami Niemców i ta dysputa publiczna i ta rozprawa Łacińska, wszystko to niknie, przed samym faktem: sprawiedliwości Brueggeneja dla Polski. Powtarzamy rzadki to bardzo, rzadki objaw Niemieckiego współczucia. Rozprawa sama niema wielkiéj, jak dla nas, wartości. Dzięki Bogu, poszukiwania historyczne tyle już naprzód postąpiły, że każdy z nas, pracujących nad dziejami, nie prawnik nawet, może cóś dokładniejszego napisać o stanie włościan Polskich za czasów dawnych, nad tę Niemiecką rozprawkę. Dzieli się jak tutaj rzecz na trzy rozdziały, stosownie do wieków, któremi się kolejno zajmuje autor. Do historyi każdego wieku przywodzi fakta wypisane z kronik naszych, z różnych dzieł historycznych, z kodexów dyplomatycznych i z wolum inów prawa. Czasem krom faktów jest u niego troszkę polemiki, czasem spotykać można krytykę nówszych badaczy naszych, Czackiego, Lelewela, Maciejowskiego i t. d. Brueggenej bardzo jest oczytany w naszéj literaturze, bo nietylko przytacza źródła prawne, które do rozprawy mu posłużyły, ale nawet inne dzieła i poezye, które znowu mu posłużyły jako źródła obyczajowe. Jedném sło-

wem zupełna to kompilacya, w któréj niéma nic prócz faktów, żadnego wyższego na rzecz poglądu, żadnego rozumowania, tylko wyciągi, tylko cytacye i cytacye; jeżeli jednak dla nas niezawiera nic ciekawego ta rozprawa, zawiera wiele interesu dla Niemców. Owszem będąc poświęcona li tylko Niemcom, niemogła lepiéj dopełnić swojego badania jak go dopełniła. Przedstawia rozwój praw pewnego stanu, w Polsce wziętego oddzielnie, przedstawia ich wzrost i kolejny upadek. Treściwie podają samą historyę, napomyka o wypadkach i okolicznościach, które miały wpływ na stan ludu wiejskiego w Polsce. Określa zasługi królów na téj drodze, a daléj panów i szlachty. Wylicza skrzętnie podatki jakie niegdyś płacił stan wiejski, przytacza zdania dawnych autorów a czasem odezwie się satyrą spółcześną. Jedném słowem rozprawa doskonale przedstawia inwentarz praw włościańskich w Polsce,— powiadamy inwentarz, bo rozprawa ta jest jakby prostym summaryuszem Żeglickiego i Wagi do Woluminów legum i nierozwija organizmu historyi. Niemiał też Brueggenej wyższego naukowego celu, pisał tylko poprostu rozprawę, nie dzieło. Niejeden fakt pominął, ale trudno o luki i opuszczenia powstawać na autora.

Tyle więc nie rozprawa sama, ile sprawiedliwość Niemiecka (jak mówim) zniewala nas rozpisać się o xiążce Brueggeneja. Sprawiedliwość ta przechodzi nawet w miłość. Dowodem miłości zaś jest przedmowa i samo zakończenie rozprawy. Jedno i drugie więc głównie i jedynie tutaj zajmować nas musi. Na dobrą sprawę, żeby dać dokładne wyobrażenie o tém wszystkiem, trzebaby żywcem całą przedmowę wytłómaczyć, ale ją tylko streścim.

Autor zaczyna od twierdzenia: że nietylko rzecz jest interesująca badać obyczaje, prawa, historyę i genijusz narodu, który stracił byt samoistny, ale nadto pociąga to jeszcze tęsknotą za serce i przywiązuje. I zaraz potém autor robi wyrzut społeczności, że niekorzysta może tak jakby należało z rozważania bezstronnego dziejów, że uwodzi się namiętnością a jak tutaj niesprawiedliwością dla Polski. Przesądy rządzą na świecie, powiada autor, w historyi więcéj to widoczne niż gdzie indziéj. Na Polakach sprawdza się pogróżka wodza Gallów wyrzeczona w Rzymie, vae victis! winni są: bo zwyciężeni. Trudno zaprzeczyć powiada Brueggenej: że Niemieccy pisarze gwałtownie złorzeczyli Polakom. Ale czas już zbadać pilnie i skończyć raz owe chwalebne wrzaski na niedołężność obywatelską Polaków, czas przestać się wyśmiewać z upadku, który niby Rplitéj spowodowały stronnictwa.

Przyczyna tych fałszywych sądów, mówi daléj autor, leżała w nieznajomości historyi Polskiéj. Nikt z cudzoziemców nad nią niepracował; Polacy sami mało także swoję przeszłość rozjawiali. Najwięcéj nieznane jest Europie prawo i zwyczaje Polskie. „Complures annos in Polonorum rebus versatus, eorum institutis operam navare non praetermisi. Lat wiele pracowałem nad dziejami Polski i śledziłem jéj prawo",—powiada o sobie autor. „Z badania tego sumiennego oczywiście wywiodłem też to przekonanie: że fałszem jest co powszechnie prawią o ucisku włościan w Polsce. Nietemu to bynajmniéj uciskowi przypisać należy upadek Rplitéj, jak go przypisywać powszechna jest dzisiaj moda. Niemcy bez kłopotu powtarzają za panią matką pacierz, starą piosnkę, a zkądże wiedzą, że to prawda jest co mówią? nikt krom Polaków historyą włościan Polskich niezajmował się, zkądże taka pewność, zkądże sąd Niemców ryczałtowy z góry? Niemcy mają w swojéj literaturze dwie tylko małe rozprawy téj treści, jedną Graevenitza, drugą Jerzego-Samuela Bandtkiego." Autor więc powziął sam myśl wyświecenia dokładnego téj strony przeszłości Polskiéj, i postanowił napisać dzieło o prawach i obyczajach włościan naszych od początku narodu aż do upadku Rzplitéj (de jure et moribus rusticorum Polonorum inde a principio usque ad exitium regni). Rozprawa niniejsza jest tylko treścią kilku rozdziałów zamyślanego większego dzieła, które bodaj co najprędzéj autor chciał drukiem ogłosić. Tymczasem wybrał dla rozprawy trzy wieki w historyi włościan najważniejsze, te wieki w których prawo włościańskie tworzyło się i rozwijało. Trudna to była materya, bo w ogóle ciemności ją otaczają w historyi każdego narodu, a cóż dopiéro w historyi Słowian? U Słowian czyste źródło podań narodowych mącą jeszcze wprowadzane przez naśladownictwo albo z potrzeby instytucye Niemieckie, owe prawa Magdeburskie, a przy nich owe prawodawstwa Szredzkie i Chełmińskie, które chociaż mają Polskie nazwisko, ale tchną za to zupełnie duchem Teutonów. W Polsce nieprzyjęło się ani prawo Rzymskie, ani feudalne, owszem cechą praw Polskich jest (uważa autor) allodyalność. Wprawdzie i to niewszędzie, różne prowincye Polskie różne mają odrębności, np. Pomorze, Szlązk, Multany, Wołoszczyzna, Prusy, Kurlandya; ale autor zajmuje się li tylko krajem właściwie Polskim, tym który połączył te rozmaite narodowości w jedno prawo, i prawo to swoje na wszystkie odrębne społeczeństwa i narodowości rozlał. Litwa miała swoje prawo od wieku XV, to jest od czasu piérwszéj unii z Polską. Mazowsze i po roku 1526, to jest po wcieleniu swojém do Korony

zatrzymało starodawne statuta, Pomorze królewskie miało swój osóbny kodex, toż Wielka i Mała Polska, toż Kujawy, ziemia Sandomierska i Krakowska, Ruś, Wołyń, Podole, Ukraina, posiadały swoje prawo zwyczajowe, nawet w niektórych prowincyach i w ziemiach była kiedyś taka rozmaitość prawa, że miasta i zatrudnienia miały swoje osóbne kodexa, np. młynarzy, bartników. Ztąd musiała nastąpić unija prawodawcza narodów Polskich w Lublinie 1569; mimo to nierówności praw między prowincyami i nadal pozostały, to jest zwyczaj tu i ówdzie utrzymywał się ciągle.

Autor następnie przechodzi do przeglądu źródeł, które czytał. Narzeka na trudność poznania wszystkich, na sprzeczność ich z sobą. Błędy swojéj rozprawy głównie przypisuje tym okolicznościom. O Prusach, Litwie i Mazowszu cokolwiek tylko rozprawia, obszerniéj nieco zastanawia się nad losami włościan w Wielkiéj i Małéj Polsce. Wyliczając źródła, cytuje czego niezna a co zna. Choć jedno i drugie czasem nas dziwi, przecięż zawsze tam erudycya ogromna i zdumiewa nas Polaków. Szczerze autor chciał zapoznać Niemców z Polską, chciał wyrzucić z siebie wszystko co tylko o nas przeczytał.

Brueggenej liczy najprzód zbiory praw Polskich, zacząwszy od Łaskiego. Herbut podług niego kompilował kanclerza i zbiór prawa Przyłuskiego, chociaż się to Maciejowskiemu niezdaje. Zresztą o nikim z autorów Brueggenej zdania swego nieprzywodzi. Sarnickiego i Kożuchowskiego wcale nieczytał. Po zbiorach praw, przytacza streszczenia (compendia), ale zna z nich tylko prace Szczerbica i Kołudzkiego. Ze zbióru przywilejów zna zaledwie Brueggenej ze sławy pomniki prawa prywatnego, o których powiada, że bardzo licznie znajdują się w archiwach Krakowskiém i Warszawskiém, Poznańskiém i Wrocławskiém, ale niemiał do nich przystępu. Chyba niestarał się o to, bo niewiemy jak gdzie, ale w Warszawie, przystęp każdemu bardzo do tych źródeł łatwy, sądzim zaś że tak być musi i wszędzie. Zna za to wydane na świat dyplomataryusze: Dogiela, Raczyńskiego, Sommersberga, Stenzla, Dregera; nieczytał jednak Damalewicza, Szczygielskiego i Nakielskiego. Rzecz dziwna, że żadnéj wzmianki nierobi Brueggenej o naszym dyplomataryuszu Warszawskim, jak gdyby go na świecie niebyło. Jakto? tak mało praca ta, godna ze wszech miar największego szacunku i rozpowszechnienia, znajoma jest na uczonym świecie? Jednakże to już lat jedenaście przeszło, jak zaczęliśmy pracować nad tym dyplomataryuszem, który idzie zwolna ale ciągle, i daléj pójdzie. Żal nam bardzo tego zapomnienia, a raczéj nieu-

znania wielkich zasług Rzyszczewskiego. W herbarzach także poszukiwał autor dyplomatów, ale chociaż wiedział o Paprockim, Niesieckim i t. d. jednego tylko Okolskiego przeczytał, ale niebardzo mu chce wierzyć i podobno sprawiedliwie. Nareszcie następuje szereg historyków Polskich, z których autor czerpał. Polacy mówi najbogatszą ze Słowian mając literaturę, ale niżsi w niéj od Europy, a najwięcéj od Niemców, niebardzo lubili pisać historyę, ale ją kochali i wiedzieli o jéj wpływie na miłość ojczyzny. Tu może troszkę nieprawdy, która ztąd pochodzi, że autor niezgłębił, niepoznał dostatecznie historyi naszéj literatury. Zapewnie, że dzieł historycznych obrobionych, w stosunku do Europy posiadamy mało, ale w źródłach do historyi, w rękopismach, posiadamy takie bogactwa jakiego niema żadna, śmiało powiemy, literatura na świecie. Płynęło to bardzo naturalnie z samego pochodu historyi. W kraju gdzie tak wielka liczba osób posiadała wszelkie prawa obywatelskie, to jest prawa szlacheckie, źródła do historyi muszą być liczniejsze jak gdzie indziéj, bo tutaj każdy pisał, tutaj każdego interesowała sprawa publiczna. W Polsce moc była uprzywilejowanych, a za granicą było ich wszędzie niewielu, tak, że w porównaniu z Polską wszelki stosunek znikał.

Autor mówi, że Polacy dopiéro po upadku Rplitéj z zamiłowaniem wzięli się do obrabiania przeszłości. Rzeczywiście dzieł wtenczas namnożyło się więcéj, ale za to źródła historyczne ustały. Jednak choć ważne te dzieła, z przecięciem kanału podań szlacheckich, więcéj złego jak dobrego zrobiły dla pojmowania przeszłości. Ledwie kilku ludzi wyższych zdolnością i naukę trafiło do właściwego źródła historyi i malowało przeszłość Polską, nie podług swoich wyobrażeń, pojęć wieku lub konwencyonalnych jakich stosunków, ale podług skali historycznéj, podług prawdy. Otoż niewiemy istotnie czego tak bardzo nauczyć mogły autora te późniejsze po 1794 roku wydawane dzieła historyczne Polskie. Szczęśliwy, jeżeli dobrze trafił na autorów mających rzeczywistą wartość, to jest niefałszujących przeszłości; jeżeli zaś niebył tak szczęśliwy i nietrafił na nich toć nauczył się fałszu. Żeby zaś samemu sobie zrobić wybór dzieł i pisarzy, na to trzeba było długich i mozolnych studyów, trzeba było odbyć tęż samą drogę, co i wszyscy mający wartość rzeczywistą pisarze, trzeba było samemu być badaczem. Kto własną postępuje drogą, wtenczas wszystko mu tylko pomocnicze jest, i z faktów się uczy tego, czego w xiążkach niéma. Brueggenej jednak więcéj szedł po-omacku w téj pracy i za przewodnikami, za xiążkami piérwszemi lepszemi, ja-

kie mu się do rąk dostały. Jeżelić już nic innego, sam fakt, że nieznał naszego dyplomataryusza, świadczy przeciw niemu. Bogatszego źródła do wewnętrznego życia prawodawstwa narodu z czasów Jagiellońskich niemamy, owszem, to źródło dla tych celów któreśmy wskazali może jedyne.

Kronikarzy i historyków Brueggenej czytał od Galla aż do Stryjkowskiego i Kromera. Niezna tylko Górnickiego i Bielskich; jeżeli więc krótkie sądy o nich przytacza, widać że je na wiarę z jakiejś może przejrzanéj historyi literatury wypisuje. Pomocników swoich to jest poprzedników na drodze badań lekko ceni. Mówi, że ich mało, a to co jest, jest nic niewarte; wyjątek li tylko ustanawia dla dzieł czysto Polskich, gdy cudzoziemcy w ogóle grzeszą nieznajomością i języka i stosunków. Święta prawda. Chwali Modrzewskiego, Warszewickiego, Dreznera, Czaradzkiego, nawet Chwałkowskiego, ale Hartknocha i Lengnicha wyżéj stawia od nich wszystkich i znowu sprawiedliwie. Brauna broni przed Maciejowskim. Ale Jekel niewłaściwie używa źle nabytéj sławy, był to albowiem tylko pracowity pisarz ale mało znający się na rzeczy. Wagner, Hummerdoerffer, Brohm, którzy o prawach Polskich pisali, nic niewarci. Autor daléj żałuje Roepella, że nieskończył swojego dzieła, niedomyślając się tego, że niemógł skończyć, bo Roeppel pisał póty póki mu wątku i treści w Naruszewiczu stawało: kiedy się tutaj nić urwała, ustały nagle Geschichte Pohlens. Po Naruszewiczu trzeba dopiéro było grunt karczować na polu zarosłém, z Naruszewiczem w ręku szła daleko łatwiéj robota. Ale p. Roeppel już wielkie przygotowania poczynił, lat kilkanaście upłynęły mu nieprożno, na przewłoce zyskał przedmiot, i dzisiaj p. Roeppel, wiemy to z pewnością, przystępuje z dojrzalszą rozwagą do dalszego ciągu pracy.

Co do Polskich badaczów, Skrzetuskiego zna autor tylko z Historisch kritische analecten Jerzego Samuela Bandtkiego, (1802 roku). Daléj wspomina o *hrabi* Teodorze (przez omyłkę zamiast Tadeusza) Czackim. Wreszcie powiada że dzisiaj czterech głównie badaczów Polskich wielkie na polu historycznem dla ojczyzny położyło zasługi, to jest: Naruszewicz historyą narodu Polskiego,— Wincenty Bandtkie wydaniem zabytków prawa Polskiego, daléj Lelewel i Maciejowski. O Lelewelu pisze autor: „non sine laude sed interdiem levis rerum scriptor"; jestto herezya jakich mało: Europa dzisiaj niema uczeńszego i znakomitszego historyka nad Lelewela. O jednym Maciejowskim tylko Brueggenej z największą chlubą wspomina, że daléj idzie za owymi trzema badaczami jakich poprzednio wskazał i błędy

ich usuwa. Wprawdzie Roeppell zarzucał autorowi „Historyi prawodawstw Słowiańskich“, że niewyczerpuje materyi, ale Brueggenej broni Maciejowskiego od tego zarzutu tém zapewnieniem, że Maciejowski piérwsze dopiéro torował lody. Co zaś Kucharski zrobił dla historyi Polskiéj przez wydanie najdawniéjszych pomników prawodawstwa Słowiańskiego, pojąć tego nieumiemy. Nareszcie co się tyczy zdania o autorach Polskich, Brueggenej szedł za dziełkiem, „Essai sur l'histoire litteraire de Pologne par M. D. Berlin 1778“, daléj za Hoppiusem Braunem i Miclerem a Kolof, czasem za Maciejowskim. Brueggenej nieceni dzieł Janockiego i Starowolskiego; a historyi literatury Kojałowicza, Bentkowskiego, Wiszniewskiego i Ossolińskiego wcale nieznał.

To przedmowa autora,— a teraz zakończenie jego dziełka. W zakończeniu rozprawy Brueggenej mówi (przywodzim tutaj jego własne wyrazy wytłómaczone na język Polski): „Obejrzawszy sprawę włościan we wszystkich państwach, przekonaliśmy się: że włościanin Polski o niewiele stał niżéj od innych. W zeszłym wieku wszędzie jeszcze, włościanin, wyjąwszy jednéj tylko Anglii, przywiązany był do gruntu, był servus glebae; w Anglii tylko był właścicielem lub dzierżawcą jak i kmieć Polski za czasów Kazimierza W. Włościanin Polski nieulegał pod jarzmem ani też jak w klanach Szkockich niebył przywiązany do pana w taki sposób żeby jedną z nim nierozdzielną tworzył całość. Stan włościan Polskich był lepszy wtenczas jak w Litwie, Inflantach, Kurlandyi i Rossyi. Niczém się zaś włościanin Polski nieróżnił od chłopa Pruskiego, Węgierskiego, Niemieckiego, Francuzkiego, jeżeli się tylko ich prawa z sobą nawzajem porówna. Były bunty chłopskie w Polsce w roku 1042 (1642?) i 1704 na Ukrainie (o innych widać Brueggenej niesłyszał, oto i w tém widać jak mało znał źródła); ale jakże je porównać z buntami jakie we Francyi od XIV, a w Niemczech od XVI wieku chłopi wzniecali? Dla czegoż więc, pyta się zacny Brueggenej, dla czego wiecznie li tylko Polacy wychodzą na plac, kiedy o krzywdach i uciskach chłopów jest mowa? Czy na Polaków o to gniewać się należy, że tak długo znosili niewolę i włościan przywiązywali do gruntu, kiedy po upadku Polski, wszyscy jeszcze włościanie w Europie wyjąwszy jedynie Angliję i Francyę byli niewolnikami i przy ziemi? Fredro mąż bardzo wolnomyślący XVII wieku, mówił, że chłopi niesą jeszcze do wolności dójrzali, w XIX zaś wieku pewien urzędnik Pruski, człowiek światły i biegły w sprawie publicznéj, dowodził że niewoli niemożna zupełnie znosić, bo gdy włościaninowi nic

po wolności, uprawa ziemi wiele na zmianie ucierpi. Tutaj cytuje autor Holschego, autora dzieła Geographie und Statistik von West-Süd-und Neu-Ostpreussen, w dwóch tomach. Holsche powiedział na stronę włościan Polskich pomiędzy innemi i to: „Die leibeigenen in Deutschland besonders in Westphalen, welche Eigenbehörige genans werden, sind im eigentlichen Verstande *mehr leibeigen* als die polnischen Bauern, w temże dziele tom 2-gi stronica 408"; ale już 1760, (tutaj znowu *pomyłka w dacie*), Jędrzéj Zamojski, pięknego rodu znakomity potomek, nadając wolność i własność poddanym swoim zamieszkałym razem w sześciu wioskach dał wyborny przykład, który zaraz naśladowali Stanisław xiążę Poniatowski i jenerał ziem Podolskich dziedzic Puław. Prawda, że Polacy często opuszczali sposobność zniesienia niewoli, że nieposzli za popędem owego wielkiego kanclerza Jędrzeja Zamojskiego który w roku 1768 (pomyłka w dacie) spisał kodex włościanom przychylny, a pełen sprawiedliwości i ludzkości. Sejm go dla tego nieprzyjął, że prawodawca tylko prawo życia i śmierci zostawiał w kodexie przy panach."

Niemamy słów dostatecznych na podziękowanie panu Brueggenejowi, że jest sprawiedliwy dla naszego plemienia. Sprawiedliwość w nim do tego stopnia dochodzi, że sam uznaje się za Polaka, (idzie tu pewnie o historyczność, nie zaś o fakt rzeczywisty), mówi albowiem w przedmowie: „Quemvis sive populum sive hominem infestis fortunis conflictatum vereri humanum habetur, minimeque decet populum in literis ac judicandi subtilitate gloriantem temere vituperare, populum, *cui adnumerari haud displices scribenti*, qui pro se, ut hoc vitium leniatur, nititur." Bo jakże inaczéj rozumieć te wyrazy, któreśmy tutaj podkreślili?

J. Bartoszewicz.

DEOTYMA.

SZKIC DO DZIEJÓW POEZYI,

PRZEZ

A. TYSZYŃSKIEGO.

Lat już kilka, jak znane być w kraju zaczęły poezye młodéj autorki, pod imieniem Deotymy piszącéj. Mało jest przykładów, iżby jaki zjawiony talent tyle zyskał od razu hołdów, uwielbień, rozgłosu, iżby w przeciągu lat kilku przeszedł koleje, które zwykle długiego dopiéro zawodu piśmiennego bywają udziałem. Zaledwie się ukazały piérwsze utwory ducha téj młodéj poetki, wszystko co się zajmuje w kraju ruchem piśmiennym, dało swój poklask. Pisma peryodyczne krajowe ubiegać się na wyścigi zaczęły o zaszczyt umieszczenia chociaż jednego z jéj tworów,— najznakomitsi pisarze krajowi już w ten, już w inny sposób pośpieszyli wyrazić swój podziw (*), — osoby zasłużone zajęły się ich przekładem na język obcy (**),— pisma owszem wszystkich prawie języków doniosły o tym nowym talencie.

To następstwo wywołało jednak niedługo następstwo inne. Znaleźli się wkrótce pisarze i nawet z uczuciem poetyczném,

---

(*) Takiemi *np.* są: zwrót poświęcony Deotymie w 3-m tomie *Estetyki* Józefa *Kremera*;— studya nad jéj talentem *Z. Kaczkowskiego* (ogłoszone w *Gazecie Warszawskiéj* z r. 1854 i oddzielnie); poezye do *Deotymy*: A. *Mickiewicza*, A.-E. *Odyńca*, *Chodźki* i t. p.

(**) Wspomnimy tu tylko, iż znany z nauki i zasług, zmarły w r. 1855 jenerał *Szylder* zajmował się (jak to z ust jego sami słyszeliśmy) przekładem poezyj Deotymy na język Niemiecki.

pisarze, którzy przeciwnie nad owym zjawionym podziwem wyrazili swój podziw. Odmówiono autorce nietylko wyższéj zasługi, wyższéj poezyi, ale nawet wszelkiéj zasługi, wszelkiéj poezyi. W miejsce ód nastąpiły parodye; a publiczność, która poklaskiwała piérwszemu hasłu, poklasnęła też i drugiemu.

Taki fakt wywołuje z kolei uwagi nad sobą samym, to jest nad swoim *przedmiotem*, i chcemy ich tu kilka uczynić. Może zastanowienie się bliższe nad charakterem, nad szczegółami talentu, o którym mowa, wpłynie na ich ocenienie właściwsze, może też i rozwiciu samego tego talentu sądzoném jest, iżby do jego rozkwitu przyczyniły się jakie wpływy uwagi obcéj.

Co do nas, powiedzmy to: iż w poetycznych utworach Deotymy widzimy nietylko talent, ale cóś więcéj niż talent. Może owszem pośród spółcześnych nam zjawisk, niéma bogatszego duchowie, jak jest dar téj poetki. Poetka ta większéj części swoich utworów daje napis *improwizacyj*, bo je zwykle piórem lub słowem improwizuje, t. j. z szybkością samego natchnienia tworzy;— całość jednak poetyczna, którą w ten sposób nam daje, takiéj jest zwykle treści, że historya tworzenia się jéj, czyli improwizacya, która gdzieindziéj jest wszystkiém, tu się staje najmniejszą zaletą. Każdy taki utwór autorki tak jest zwykle zamożny w poezyę, iż poetyczności téj mógłby pozazdrościć każdy, by najznakomitszy poeta, i tak jest przytém bogaty w myśl, spekulacyę, iż myśli tych mógłby się niepowstydzić żaden filozof, iż owszem staćby nieraz mogły za ramy nowego spekulacyjnego systemu.

Co i dla czego widzi nam się niekiedy ujemném w poezyach autorki?— co i dla czego wydać mogło szereg zdań jéj zasłudze przeciwnych? — wnet o tém powiemy niżéj;— tu jednak wychodząc z uznania, iż autorka ta jest poetką istotnie, iż jéj talent odznaczył owszem wyraźnie swoję właściwość,— zastanowimy się raczéj z góry nad przyczynami, które ją wydały taką nieinną, a ustęp ten uczyni daléj jaśniejszą samą charakterystykę.

W rozwiciu wypadków większych, mniejszych i wszelkich, niejest skutek bez przyczyny;— te przyczyny muszą być jedne poprzednie, drugie następne, to jest te, które przyszły iżby zrodziły, i te które się przybliżyły, iżby zrodzone zostały; — tu powiemy w naszym przedmiocie przynajmniéj o piérwszych, jako lepiéj nam znanych.

Przyczyny które uczyniły Deotymę poetką taką, nie inną, są jedne ogólne krajowe, drugie jéj wyłącznie właściwe, domowe. Niepowiadamy, iżby te i owe przyczyny koniecznie musiały

stworzyć Deotymę poetką; Deotyma, jak wiele osób śród tychże warunków wzrosłych, mogła wcale niebyć poetką; i jest nią przedewszystkiem dla tego, iż się urodziła poetką; zastanawiamy się tylko, dla czego raz urodzona poetką, mogła stać się taką, nieinną?

Przez powszechną krajową przyczynę rozumiemy literaturę ogólną, do któréj autorka przyszła, aby w niéj miejsce zająć. Rok jest ledwie 4-ty lub 5-ty od czasu ukazania się piérwszéj improwizacyi Deotymy: poprzedni więc lat dziesiątek naszéj literatury był to ów czas, który znalazł rosnącą poetkę, i który przeto takim nieinnym kierunkiem wpłynąć musiał, na taki, nieinny, kierunek młodéj fantazyi.

Jakaż była i jest charakterystyka lat owego dziesiątka, to jest ostatnich lat kilkunastu naszéj literatury? Niepiszemy tu wcale fragmentu historycznego, a dotkniemy tylko ogólną wzmianką tego przedmiotu.

Za wiek złoty literatury Polskiéj uważany jest dotąd zawsze wiek Zygmuntowski, i słusznie;— dla wieku tego z głównem uszanowaniem zawsze będzie literatura:— zakwitł był bowiem w czasie kiedy w ogóle piśmiennictw Europejskich pisanie językiem własnym było jeszcze nowością, kiedy liczba piszących w jakimbądź kraju była jeszcze rzadkością. Wszakże odłożywszy na bok język i czynność, literatura Polska niebyłaby nigdy zbyt żywotną i ważną gałęzią piśmiennictwa ludzkiego, gdyby rzeczywiście wiek Zygmuntowski miał zostać wiekiem jéj głównym. Kroniki zasłużone i bez końca, lecz tylko *kroniki,*— polityczne i religijne polemiki z charakterem czasowym lecz tylko *czasowym,* —poezye Jana Kochanowskiego i naśladowców,— po parę pism z działu każdéj spółczesnéj umiejętności, przenoszących do kraju umiejętność obcą,—przekłady epopej Włoskich i starożytnych: oto jest prawie wszystko co pozostaje znaczącém z literatury téj; był to brzask raczéj świetny literatury, nie czas jéj słońca, to jest nie ten jéj okres, który wydaje rośliny i kwiaty dla ogółu życia Ludzkości, wróżące owoc.

Nieobrachowane są drogi i szczegóły, któremi i w jakich rozwijają się ludy stworzone;— liczymy tu tylko fakta, i albo mylimy się bardzo, albo czas ów żywotny, czas rzetelnego rozkwitu w naszéj literaturze przyszedł właśnie na biegące przed nami dziesiątki naszego stulecia. Do tradycyi już tylko wkrótce należeć będzie to niegdyś upowszechnione zdanie, iż myśl

Polska nic z siebie wydać, a naśladować tylko jest w stanie (*). Obudzenie się ufności w siebie, w swe siły, a ztąd *oryginalność*, ten najpiérwszy warunek odznaczenia się danéj literatury od innych, i jednocześnie talent, ten dar zjawiający się w duszach nie w skutek chęci lub pracy, ale z woli wyższéj; dwie te cechy będące wskazówką główną stanu kwitnięcia, nadejścia czasu, są własnością wszystkich prawie pisarzy naszych obecnéj epoki. Autorowie pism naszych filozoficznych, jak *Libelt*, *Trentowski* (**), *Kremer*, *Cieszkowski* i inni; poeci, jak *Mickiewicz*, *Zaleski*, *Pol*, *Zyg. K.* (że niewspomnimy tu nic o bliższych nam); powieściopisarze, jak *Rzewuski*, *Kaczkowski*, i tylu innych, których nażwiska zna każdy w kraju od dziecka do starca; historycy, jak *Dzieduszycki*, *Szajnocha* i t. d.: są to wszystko pisarze, których utwory godne są wieku kwiatu literatury. Wszyscy ci i wielu innych, których niewymieniliśmy, kształcą łącznie ten kwiat jakkolwiek cel i żywotność każdego nierównie widne. Kwiat każdy składa się już z ozdób, już z żywotności, ztąd jedni z pisarzy kwiatu są ci, którzy tylko kształcą ozdoby, inni, którzy (że tak powiemy) odpowiadają słupkom pręcika i pyłkom tarczy kwiatowéj, i którzy odznaczają głównie żywotność. Cóż to jest ta żywotność danéj literatury? oraz czyli i w czém mianowicie widną jest w naszéj? Literatura dana żywotną mianowicie jest wtedy, kiedy odbija wewnętrzną naturę spółcześnéj epoki ludzkiéj. Wiek biegący życia Ludzkości niejest to wiek jéj *dziecińśtwa*, *młodości*, ale wiek *męzki*; nie *pamięć* (wiek piérwszych tradycyj czyli religii), ani *fantazya* (epoka Grecka) cechą jest podrosłéj i rozrosłéj już dzisiaj Ludzko-

(*) Podobnie kiedyś sądzono w Anglii za wieku Anny; w Niemczech niedawniéj jeszcze *Leibnitz* i Fryderyk W. nieośmielili się nawet dla objaśnienia swych pomysłów używać języka krajowego.

(**) Lubiliśmy zawsze być blizko ze wszystkiemi głównemi pismami, które dotąd gałąź ogólna filozofii od czasu nastania swego wydała, i śmiało powiemy: że pisma jak *System loiki krajowéj* B. Tr. (reformujący loikę Hegla tak zmianą momentów tworzenia się myśli jak przeniesieniem nauki loiki w granice rzetelne loiki), i *System umnictwa* Libelta (rozwijający w miejscu dotychczasowych filozofij *rozumu*, filozofiję *wyobraźni* jako przejście do filozofii *czynu*), są to pisma, które tak ze względu na talent wykonania jako i *oryginalność* pomysłów do rzędu najznakomitszych dotychczasowych w owéj gałęzi odniesione być mogą. Na niektóre strony ujemne tych pism według sądu naszego wskazaliśmy w piśmie *Początki Filozofii krajowéj* (*Rozbiory i Krytyki*, 1854, Warszawa, Tom I-szy).

ści,— a raczéj *rozwaga* i *zamyślenie*. Nie o początkach już dzisiaj myślimy Ludzkości i świata jak niegdyś, nie o używaniu tego świata wyłącznie jak potém,— lecz raczéj o czasach już rozwiązania Ludzkości, o świata końcu. Umiejętność, filozofija, historya, sama religija, t. j. jéj teologija, stroną tą ledwo tylko ogólnie dotykaną przedtém, coraz się bliżéj zajmują. Literatura, któraby się mogła dziś nazwać żywotną istotnie, musi właśnie tę cechę wewnętrzną myśli Ludzkości, to zajęcie się, te względy odbijać.

Te względy były to właśnie *wypadkowe ziarna* które zakończyły poprzedzający nas okres filozofii Niemieckiéj, i względy te były to właśnie ziarna źródłowe, które rozpoczęły nowy okres naszego krajowego myślenia. Od autora *Metapolityki Messyanicznéj* (*). do autora *Modlitwy Pańskiéj*, we wszystkich prawie filozoficznych pismach naszych, wiek przyszły, wiek dla życia Ludzkości nadejść mający, jest głównym przedmiotem, celem prac, rozmyślania. Te zasady pism mało znanych, z treści niepopularnych, przez koryta pism popularnych przeszły daléj, jak wszędzie, do ogółu myśli krajowéj. Śpiewacy *np.* fantazyj, poeci jak Adam Mickiewicz, Julijusz Słowacki, Zygmut Kr. i inni, wiek ów jakiś daleki, wiek przerodzenia Ludzkości, to znowu jakiś wiek przejścia, już mową wiązaną, już niewiązaną głównie wyśpiewywali.

Ten był duch, ten kierunek odróżniający w stronie swojéj żywotnéj piśmiennictwo nasze od innych piśmiennictw Ludzkości, kiedy je zaczęła poznawać i niemi się przejmować autorka, o któréj mówimy. To było kierunku w jéj talencie źródło ogólne krajowe; jakież było obok domowe?

Dom rodziców autorki, zamieszkujących prawie nieprzerwanie Warszawę (mówimy tu o rzeczach spółcześnych, powszechnie znanych) był to dom, który w salonach swych przez lat kilkanaście zgromadzał,— *chciał, umiał i mógł* zgromadzać to wszystko, co najwięcéj odznaczoném było śród miasta światowie jak i duchowie. Znane powszechnie w mieście przez owe lata *wieczory poniedziałkowe* były i pozostaną epoką w kronice miasta Warszawy, a może z powodu następstwa i w życiu duchowém kraju. Głównem tłem tych wieczorów były

(*) *Hoëne Wroński*. Autor ten w początkach jeszcze wieku bieżącego osiadły we Francyi, zrazu matematyk gienijalny, następnie wynalezionę swą ogólną *formułę matematyczną* przenoszący do zrozumienia i przepowiadania rozwijających się dziejów powszechnych, może się nazwać ojcem ostatniego zwrótu naszéj filozofii.

rozmowy, spory w przedmiotach ze wszelkiéj gałęzi wiedzy, umiętności i nauk, a główną ozdobą moralną sfera sztuk pięknych, exekucye muzyczne, śpiew, deklamacye, sprzeczki poważne. Te i podobne tym szczegóły w czasie owych zebrań wieczornych plotły się, rozwijały, i zapewnie działały silnie ze swéj strony na fantazyę rosnącéj poetki, lub raczéj bezpośrednio wchodziły w skład jéj pierwiastków,—jakoż ostatnim wypływem tych zebrań i zarazem czasem ich najświetniejszym, były właśnie *improwizacye* saméj autorki.

Te były, powtarzamy, praktyczne źródła poczęcia się natchnienia Deotymy, treści ich i kierunku, te wpłynęły na ich charakter. Śród owych żywych rozmów i sprzeczek, których zwykle były przedmiotem najnowsze w literaturze krajowéj pisma, autorka i niewiedziała zapewnie o owém zdaniu, że myśl Polska naśladowczą tylko być może, być niemoże oryginalną,— ona sądziła zapewnie, że myśl żadna niemoże być inną jak taką, jeżeli rzeczywiście jest myślą;—jakoż jest to najpiérwszą ogólną cechą wszystkich Deotymy utworów, iż w nich niéma *ani cienia naśladownictwa.*

Śród owych rozmów i sprzeczek, w których spierano się tylko o takie lub inne *cele* stworzonych rzeczy, o takie lub inne *znaczenie* szczególnych zdarzeń, autorka i niepomyślała zapewnie, iżby być cóś mogło bez celu, być oderwane, być bez stosunku do ogółu; ztąd też drugim stałym i nieodłącznym rysem charakteru wszystkich jéj utworów jest: pamięć na *cel*, cel każdéj rzeczy pośredni i bezpośredni, chwilowy i ostateczny.

Śród owych rozmów i sprzeczek gdzie się spierano tylko w czém wieki przyjść kiedyś mające różnić się będą od naszych, w jakim będą stosunku do naszych, autorka i niepomyślała zapewnie, iżby przyszłość niemała kiedyś z gruntu przemienić biegących czasów, i uznawszy loiczność spółcześnych racyj, wierząc w proroctwa, uznała i uwierzyła: iż wiek który ma kiedyś nadejść, będzie to jakaś Era o tyle od naszéj wyższa, o ile jest nasza od dawnych, i owszem więcéj;— iż będzie to jakiś wiek nowy *Pokoju*, *Miłości*, *Szczęścia*, szczytu *Mądrości*, i że do wieku owego wszystkie szczegóły dziś istniejącego bytu w harmonii dążą (1).

---

(1) Iż wiara podobna nietylko niejest przeciwna, ale owszem wypływa z ducha i jest we wszystkiém zgodna z nauką katolicko-Chrześcijańską, okazaliśmy to także w naszém powyższem piśmie w oddziale *Wiek szczęścia.*

Te ramy są to ramy wszystkich prawie krótszych i dłuższych utworów Deotymy. Najprzód i przedewszystkiém *Wiara*, a wiara w *prawdę* Chrześcijańską, pochwycanie jéj w zwrócie do życia, wiara w prawdę *Miłości*, prawdę *Mądrości*, *Postęp*, *Wszech harmoniję*, *Wszechzwiązek* i przybliżanie się *Ery nowéj*,— jest to tło i charakter treści wewnętrznéj każdego prawie z owych utworów. Rzecby można, że trzy cnoty Chrześcijańskie *Wiara*, *Nadzieja* i *Miłość* to *Sztuka Rymotwórcza* autorki. Treść taką odziewa zawsze, dodajmy, wiersz gładki i harmonijny, w harmonii swéj rozmaity i nieraz silny.

Taki ogólny charakter wszystkich utworów Deotymy; poznajmy teraz pokrótce bliżéj ich szczegóły.

Powiedzieliśmy, iż Deotyma w utworach swych jest z gruntu oryginalną: znane podziały i naźwiska niemogłyby się więc zastosować do jéj poezyj; poezye te niesą to *np.* ani *elegije*, ani *hymny*, *ody*, *ballady*, *satyry* i t. p.: treść ich jest to poetyczne fantazyowanie przedmiotu każdego w granicach tych ram, o jakich dopiéro rzekliśmy, i może im tylko służyć ogólne naźwisko *Fantazyj* (1). Jeżelibyśmy zaś dla przedstawienia bliżéj ich charakteru różność jaką pomiędzy niemi dopatrzyć mogli, to chyba: iż jedne poświęcone są wykładowi *ogólnego biegu* Ludzkości i rzeczy świata; drugie (i tych liczba największa), wykładowi znaczenia *szczególnych rzeczy*, czyli to utworzonych przez człowieka, czy tylko otaczających człowieka; i wreszcie trzecie, w których fantazyowane są *rysy* samego człowieka.

Weźmy i przytoczmy tu treść kilku fantazyj z każdego z tych działów.

Do fantazyj, które nam odkreślają najlepiéj ogólne zapatrywanie się autorki na bieg rzeczy stworzonych, jéj system w tym względzie, odnosić możemy *np.* fantazye: *Gnoza*, *Podróż myśli w świat dziejowy*, *Miłość Najwyższa* i *Zmiłuj się nad nami*.

Wiersz *Gnoza* (z greckiego *gnosis*, poznanie) jest może najogólniejszym wykładem systemu racyonalnego młodéj autorki. „*I poznacie prawdę*, *a prawda was wyswobodzi*“ (2), rzekł *Chrystus*;— wyswobodzi od grzechu, a ztąd i wszelkich następstw grzechowych jako to: *cierpień*, *ucisków*, *ciemności*, *nieszczęść* i saméj *śmierci*. Wiersz *Gnoza* zdaje się nam być fan-

---

(1) Wydane dotąd przez Deotymę pisma, są: *Improwizacye i Poezye*, Warszawa 1854; *Tomira*, Warsz. 1855; *Improwizacye i Poezye, poczet drugi*, Warsz. 1858.

(2) *Jan VIII, 32.*

tazyowaniem właściwie téj prawdy. *Doskonalenie Wiedzy, Poznania*, to główna potrzeba Ludzkości, rękojmia zbawienia jéj. Utwor świata materyalnego jest dopiéro figurą duchowego, który ma przyjść.— To jest treść wiersza.

Przytaczamy tu zaczęcie, środek i dokończenie téj poezyi. Przytoczenie to zaznajomi też czytelnika, nieznającego dotąd poezyj Deotymy, ze śmiałością i oryginalnością jéj myśli.

Świat spoczywał spowity w całunowém niebie,
I był, lecz jakby niebył:— bo w bezdennéj ciemni
Ciszéj od zwartéj xięgi, od sfinxa tajemniéj,
Leżał,— i nikt go nieznał i sam nieznał siebie.
Ale gdy twórcze słowo niezbadanéj siły
Wyrzekło: *stań się światło*, padł świt wielkiéj zmiany,
Istoty w grze kolorów się uwidomiły,
I świat dopiéro *stał się*,— bo został *poznany*.

Jednak tylko *pół świata* zmieniło to słowo:
Świat ducha, gmach wieczności, przybytek kolosów,
Którego świat zewnętrzny jest tylko obrazem,
Leżał jeszcze w całunie duchowych niebiosów,
I czekał, by moc twórcza powtórnym rozkazem,
Starłszy już noc widzialną, starła noc duchową;
Lecz Stwórca niechciał wyrzec powtórnego słowa,
I w świat dziwnie rozdarty wprowadził *człowieka*.

Spójrz! wyrzekł: jego jedna zewnętrzna połowa
Błyszczy w sukni z eteru, w słońc przepasce złotéj;
A druga jeszcze leży w bezdeniach ciemnoty!
Szczęśliwy, kto tę drugą do światła wywoła!
Miłość moja dla ciebie téj chwały się zrzeka:
Oto promień mądrości zwieszam ci u czoła;
Ty rzeknij nowe „stań się“ — i niech słowo ludzi
Wiedzą, tém drugiém *światłem*, drugi świat rozbudzi!

(Człowiek jednak najgorzéj wypełnił ten rozkaz, i zamiast w świetle zanurzył się głupstwie, rozpustach; aż zaszła zmiana).

Jakaż to łuna z nieba?... niech ciemność ucieka,
Gnozo! o Bozka Gnozo! idzie król twéj chwały!
Światłość w jego imieniu to *światłość prawdziwa*,
Światłość, która oświeca każdego człowieka,
Przyszła ... ale ciemności jéj niezrozumiały.

Jednak koronne magi, te od Gnozy posły,
Zdala przeczuły Mistrza i hołd mu przyniosły.

. . . . , ...

On wrócił do światłości, do ojczyzny swojéj,
I światłość choć przyćmiona już po nim została.

. . . .
Błogosławione wieki, które zrozumieją,
Że wiedza świat ocali, gdy wszystkim zaświeci.
Trzeba tłumu badaczów, szeregu stuleci,
Na wymówienie jednéj, ach tak, jednéj głoski
Z tego nakazu: *stań się!* — lecz żyj, o nadziejo!
Już wiele głosek świeci na duchowém niebie,
Kiedy ostatnia padnie z piersi mędrców Bozkiéj,
Świat duchowy się wstrząśnie świtém wielkiéj zmiany...
Dotąd jest jakby niebył, póki niezna siebie,
I dopiero żyć zacznie, gdy będzie *poznany*.

Fantazya *Podróż myśli w świat dziejowy*, jedna z najdłuższych, jest to poezya, która bliżéj objaśnia pogląd autorki na koléj rozwijania się dziejów, jest to jakby podanie ram do historyozofii, a zarazem i odpowiedź na zapytanie: czyli istnieje *postęp*?

Autorka rozmyślając o dziejach, o burzach, które napastują co chwila uderzając o Ludzkość, wniosła: iż ta „aby nieupaść *stoi*,“ — lecz oto ukazał się tak myślącéj, nagle, w kształcie widomego zjawiska *duch-postęp* i wyłożył jéj koleje dziejów: — Ludzkość ma naznaczonych do przebycia er *sześć;* teraz jesteśmy u 5-téj, a 6-ta ostatnia blizko. Ludzkość jest w części zmysłową, w części duchową; trzy piérwsze ery pracowały stopniowo i w końcu wydały w 3-éj *piękność zmysłową* (Grecya), trzy drugie pracują stopniowie i wydadzą w końcu *piękność duchową*. Jak era trzecia starożytności (klasyczna i estetyczna) była syntezą czyli wynikiem dwóch poprzednich, tak i era ostatnia 6-ta, która ma przyjść będzie syntezą dwóch sobie poprzednich, t. j. epoki wiary (wieki średnie) i epoki wiedzy (obecnie biegącéj). Wykład ten objaśnia więc razem że *duch postęp* jest i *duchem dziejów*.

Miłość najwyższa. Fantazya ta czyli wielka parabola, tłómaczy nam znowu z innego punktu widziany mechanizm dziejów Ludzkości. Pewien król miał oblubienicę, kochał ją i pragnął ją sobie poślubić; lecz pierwiéj pragnął zrównoważyć uczucia. Oblubienica kochała go i czuła wdzięczność za wybór; król przed ślubem chciał więc iżby także do uczucia swego mógł dołączyć wdzięczność, i w tym celu opuścił ją na czas (na pozór) iżby doświadczył. Jakoż ujrzał: iż ukazał się wkrót-

ce młodzieniec strojny we wdzięki, ujęcie, i pragnął odbić dziewicę; — dziewica okazała się stałą, lecz młodzieniec nieszczędził pokus, i gdy wreszcie zapewnić ją zdołał, że narzeczony o niéj nie myśli, do niéj niewróci, zawahała się, ale w chwili upadku skruszył ją żal i — skonała. Śmierć ta stała się jednak dla niéj początkiem nowego życia; król niewymagał więcéj, zbudził ją z martwych, i zawołał ku sobie na wieczne życie. Staje się jasném, iż w przypowieści téj król jest to *Bóg*, jego oblubienica — *Ludzkość*, a kusicielem jéj — *Szatan*.

Fantazya kończąca oddział *improwizacyj* w ostatnim zbiorze autorki, a mająca napis: *Zmiłuj się nad nami*, znowu z innego punktu wykłada pogląd na dzieje. Po każdym buncie człowiek woła do Boga „*zmiłuj się nad nami*"; ale Bóg się niezmiłowywa, bo nienagradza buntów. — Mamyż więc cierpieć wiecznie na ziemi nieszczęść? — by dać odpowiedź ukazuje się autorce ideał cierpienia, Job i odsłania jéj część tajemnicy z losów i dziejów Ludzkości. Bóg rozgniewany niegdyś na Ludzkość, iżby był przebłagany zapotrzebował od niéj dwóch czar ofiarnych: *czary krwi* i *czary łez*; piérwszą zapełnił i przepełnił ofiarą swoją sam Syn Boży w ludzkie ciało wcielony; — nieszczęścia jednak z ziemi nieznikły jeszcze, bo jeszcze czara łez niejest pełna. Każdy człowiek, lud, naród, im więcéj dokłada łez do téj czary, tém więcéj przeważa dzieje i epokę ogólnego szczęścia przyśpiesza.

Fantazye, które mają za przedmiot *znaczenie szczególnych rzeczy*, są główną oryginalnością autorki. Powyższe ogólne ramy poglądu na dzieje powszechne są wprawdzie jéj własne, niesą jednak nowością z gruntu, ma podobne każda prawie spółcześna xiążka spekulacyjna. Podczas jednak kiedy pisarze spółcześni przestają na uznaniu tych ram, na twierdzeniach ogólnych, autorka stara się przedrzeć do szczegółów. Nie dzieje, nie sama Ludzkość, nie człowiek, lecz wszystko co w koło istnieje, co świat ten składa, jest przedmiotem badań, określeń, igrania fantazyi autorki w granicach tych ram. Od kamieni do duchów, od gwiazd do roślin, wszystko, co otacza człowieka, i co jest dziełem ducha człowieka, brane jest za przedmiot fantazyi. Sztuki piekne, *Muzyka*, *Malarstwo*, *Snycerstwo*, *Architektura*, *Śpiew*, *Tańce*, sama *Poezya*, — przedmioty nieznanéj nam żywotności, jak *Gwiazdy*, *Góry*, *Kamienie*, *Wody*, *Ogień* i t. p., — przedmioty z klassy żywotnéj jak *Kwiaty*, *Ptaki*, *Owady*, i t. p.: wszystko to, są napisy fantazyj autorki. Treścią każdéj prawie z takich fantazyj jest *spoglądanie na wewnętrzne znaczenie* danego przedmiotu, a mianowicie: znaczenie jego śród *chwili*, znacze-

nie *dziejowe*, stosunek do innych przedmiotów, i wreszcie, a nadewszystko, stosunek do *wieku nowego*.

Dla objaśnienia przytoczymy tu treść chociaż kilku z tego rodzaju fantazyj, a z najrozmaitszych przedmiotów; — wybieramy noszące napis: *Tańce*, *Góry*, *Harmonija*, *Astronomija* i *Różaniec*.

Tańce. Autorka przebiega w wierszu tym tańce różnych krajów i wskazuje jak te odbijają swą treścią różne charaktery tych krajów; —jak wreszcie w ogólnym tańcu iść muszą ludy, aż kiedyś największa z tancerek — śmierć, pokonaną zostanie, a pląsy ciał niebieskich i pląsy ciał ziemskich w jeden harmonijny taniec się złączą.

Harmonija. Jest to poezya fantazyująca *głos* i dopatrująca się znaczenia i celów głosu. Głos ludzki śpiewa i w kościele i przy biesiadzie, przy kolebce i przy pogrzebie. „Bóg Ludzkość stworzył w *jednią*, a jéj pieśń *chaosem*,“ — czemu? bo życie to walka nieba i piekła, prawdy i fałszu, walka dwóch głosów, a harmonję tworzy nie *dwugłos*, lecz tworzy *trójgłos*. *Grzmot* na Synai, *Jęk* na Kalwaryi, *Szum* w Wieczerniku, to *trójgłos*.

„Nie głos jeden, nie dwugłos, lecz ten trójgłos Boży
Dźwięczy szczęściem, bo tylko on harmonję tworzy.
Niezabrzmi on tęsknotą ni wahaniem srogiém,
Bo niezna samotności ten co trzykroć Bogiem;
Niezna walk, bo duch *Mądrość* tém żyje jedynie,
Że wiecznie z *władzą* Ojca łączy *miłość* w Synie.“
(Jakież więc ztąd następstwo i wniosek?)
Lecz Trójcę smucą fałsze co pieśń świata mącą:
Chce w nim mieć echo szczęścia nie wrzawę płaczącą,
Niech więc z *dwugłosem* ludzkim *jednogłos* przyrody
Zleją się w *obraz Bóztwa*, w drugi trójgłos zgody.
A gdy w sile dwóch chórów zrównają się głosy,
Niebo usłyszy ziemię, a ziemia Niebiosy!“ (1)

Góry. Treść fantazyi téj i poniższych przytaczamy tu mianowicie dla objaśnienia, jak autorka usiłuje i umie przedzierać się szczegółowie do badania i wyszukiwania znaczeń stworzonych

---

(1) Doktor kościoła Katolickiego ś. *Augustyn* objawiał i rozwijał to zdanie, iż w człowieku odbija się *podobieństwo* Trójcy Bożéj, w dalszéj naturze jéj *ślady*. W fantazyach autorki znajdujemy właśnie nieraz dostrzeżenia podobne. W wierszu np. *Piorun* dytyramb), tak określa trójcę w *człowieku* i w samymym *piorunie*:

rzeczy. Zapytuje tu ona gór o znaczenie ich, te rozjaśniają swe różnostronne cele, znaczenia, i znajdujemy tu między innemi następne wnioski: „My jesteśmy świata *zawojem* ziemi *koroną*, pierwiosnkiem *świtu*, dolin *zegarem*, *paziowie* słońca, niebios *łzawnice* (jako potrącane przez chmury w przelocie), *całuny* z lodu, oazy *zycia* (Karmel) *matki* potoków, *dzieci* olbrzymie, orłów *warownie*, Bozkie *organy* czołem *odwagi*, namiotem *marzeń*, *hełmem* zniszczenia, *szkatuły* ludów, *trójnogiem* pieśni, *klęcznikiem* troski, do *piekła* wschody, do *nieba* stopnie i t. p. (*Syon*, *Horeb*, *Ararat*, *Morya*, *Góra Oliwna*, *Golgota*,— *Parnas*, *Helikon*, *Olymp*, — *Wezuwius*, *Etna*, *Awentyn*, *Łysa góra*, *Wawel:* wszystkie te, oraz liczne inne nażwiska gór historycznych, ukazują się tu już w tém już w inném miejscu fantazyi, i dają powód do zapisywania powyższych wniosków). (1)

W fantazyi *Astronomija*, poetka zwracając się od ziemi ku obłokom, powołuje do sprawozdania ze znaczeń ich *gwiazdy* (2), i opowiada po kolei, co budowniczy, malarz, snycerz, poeta, muzyk, tancerz, kapłan, mędrzec, w gwiazdach czytać mogą, czytają.

Różaniec. Autorka dostawszy w podarunku od innéj znakomitéj autorki *Różaniec*, wywdzięczyła się poezyą o Różańcu. Wiadomy jest cel Różańca, lecz czémże jeszcze duch chciał, iżby był w swoim składzie? Ciemne ziarka różańca to grono zakonnych *braci* i *sióstr*, między niemi ametysty niby *biskupy*, ziarka korali to *kardynałowie*, krzyż różańca to syn Piotra w koronie splecionéj z bogactw 3ch światów, wyciągający ręce do aniołów; — różaniec to allegorya *Hierarchii*. Czémże jest jeszcze? — Ruch ziarnek to ruch Ludzkości, idzie lud pospoli-

---

„Człowieku! on już nie tajemnicą,
Niedrzyj przed matką, tyś burzy syn!
W tobie wre także trójca gromowa:
Myśl — błyskawicą,
Grzmotami — słowa,
Piorunem — czyn!“

(1) Przymiot tego rodzaju, to jest upatrywanie w jednym przedmiocie kilku i kilkunastu znaczeń, czytelnicy Teki mogli właśnie widzieć w poezyi Deotymy: *Hussarze*, umieszczonéj w N. 4-tym Teki.

(2) „Rycerze! i was wezwano
Na bitwy plac szafirowy.“

ty, gdzie niegdzie genijusz, — idą ziarnka różańca jak Ludzkość, lub raczéj tak idzie Ludzkość jak te ziarnka.

„Ziarnko różańca od krzyża
Oddala się jedną stroną,
Ale drugą się doń zbliża.
Tak Ludzkości długa droga
Wyszła z Boga — wróci w Boga.

Różaniec to allegorya *dziejów powszechnych.* Czémże jeszcze? do czego podobnym być może różaniec pośród wszechświata? Autorka w tę stronę jeszcze jak zwykle wznosi fantazyę, i tak wiersz kończy:

„Roztworzyły się etery,
Myśli moje w skrzydła zmienię;
Wirujące rzucam sfery,
Wyżéj przez próżne przestrzenie
Wzbijam się na takie szczyty,
Że ztamtąd lśniące pierścienie
I słońca i satelity,
Zwiły się w tak drobne sploty,
Jak jeden różaniec złoty.

Zkądże w nich ta do ruchu siła planetarna?
Może to dłoń jakiego olbrzymiego ducha
Co się modli — przesuwa te światy jak ziarna?
Jak się modli, któż słyszał? a raczéj któż słucha?

W fantazyach wreszcie, któreśmy odnieśli do trzeciego rodzaju, t. j. w których na placu jest człowiek, treścią ich główną jest: analizowanie *uczuć* i *myśli* człowieka, lub właściwiéj tych przedmiotów duchowych, które się odnoszą do losu człowieka. Dla objaśnienia powtórzymy tu treść poezyj noszących napis: *Św. Augustyn, Piękno* i *Szczęście.*

S. *Augustyn.* Uczony i namiętny Augustyn waha się komu ma większą część oddać, Bogu czy Światu. Anioł i szatan walczą o duszę jego, przynoszą „szale rozmysłu“, a młodzian stoi i patrzy, która strona przeważy. Anioł na szalę swoję kładzie *niewinność,* szatan położył *ciekawość* i przeważyła szala;—Anioł dokłada do niéj *wiarę,* szatan dołożył *wiedzę* i równoważy się szala;—Anioł położył miłość *powinności,* szatan dorzucił kostki *namiętności,* szala waha się;— Anioł dołożył skrzydło *modlitwy,* szatan wlał wody, to *nuda,* i szala waha się;— Anioł dokłada topór *pracy,* szatan boleść *choroby*, szala prze-

waża;— Anioł jednak położył szmaragd *nadziei*, lecz szatan cisnął skrwawiony *rozpaczą* sztylet, i tak szalą zatrząsnął, że młodzian zadrżał i zawołał: „opuszczasz świat Boże!“—ale Anioł położył wtedy koronę *z cierni*, to *rezygnacya*, szatan już do dania nic niemiał, jęknąwszy zniknął, a Augustyn zawołał: „O Moniko! matko moja, niebędziesz już płakać nademną“.

Piękno. Młody Edmund wróciwszy z podróży, w klasztorze Kamedułów na Bielanach, znalazł szkolnego towarzysza, którego był porzucił śród wiru uciech; ten opowiada: iż doszedł do tego miejsca rozumowaniem, szukając piękna;— uwierzył on najprzód w piękność *zmysłową*, i przed oczyma duszy widział *Barbarę*,— w cóż jednak i tak prędko zamieniła się owa piękność?— wniósł więc: „iż piękne *czucia* są więcéj niż piękne *kształty*, bo są ich duszą“, i ujrzał przed oczyma duszy *Krymhildę*, była to jedna z niewiast o pięknych czuciach (*Niebelungi*) uniosła się jednak zemstą, uczuciem także, przeszła w zbrodniarkę, wniósł więc: że „nad piękne *uczucia* są piękne *pojęcia*, bo są ich duszą,“— i oto znowu przed oczyma duszy ujrzał ideał piękności pojęć *Dydymę*, ta wszystkie nauki poznała, wszystkie objęła, lecz w końcu zakończyła niewiarą, wniósł więc: że nad piękność *pojęcia*, piękność myśli, jest piękność *ducha*, że ta jest rzeczywistą pięknością.

Szczęście. Jechał rycerz i szukał *szczęścia nieskończonego;*— mógł je mieć ale je musiał zdobyć, bo było zamknięte w zamku, a zamek ten był obwiedziony opłotem potrójnym. Widzi, iż strzegą go najprzód *choroby* i *nędza*, walczy i pokonywa piérwszego *wstrzemięźliwością*, drugiego *pracą*. Jest bogaty i czerstwy, lecz jeszcze niewidzi szczęścia, ma je tylko zmysłowe, walczy więc daléj. Obwód drugi strzegą *niewiadomość* i *hańba*, rycerz walczy i zwalcza je *nauką*, *zasługą*. Czerstwy, bogaty, mądry, okryty chwałą jeszcze niewidzi szczęścia, zdąża więc w obwód trzeci, idąc strąca po kolei po wschodach *nienawiście*, *samolubstwa*, *niezgody*, wchodzi wreszcie w przysionek, zdobywa tu *przyjaźń* i *miłość*, ale jeszcze szczęścia niewidzi;— otwiera więc w końcu drzwi komnaty, ale o dziwy! wychodzi ztamtąd: któż taki? oto: „drugi on sam“, widzi drugiego siebie, nie we śnie, nie we źwierciadle, ale na jawie.

„Wróg ten go mieczem wstrzymując w zapędzie,
Cichy jak lwy co wrót strzegą:
Walcz, rzekł, ten szczęście najwyższe zdobędzie,
Kto zwalczy siebie samego.“

Musielibyśmy podobnie powtórzyć zawarcie wszystkich fantazyj krótszych Deotymy, gdybyśmy przytaczać chcieli to wszystko co w utworach tych znajdujemy oryginalném, znaczącém. Tych kilka rysów mogą zapoznać nieznających jeszcze utworów poetki z charakterem jéj pieśni. Z saméj téj treści widzi zapewnie każdy, iż autorce téj jest wrodzonym dar wynalezienia czyli *oryginalność*, iż towarzyszy jéj *talent* (chociażby tylko talent), i że w utworach przez nię utworzonych jest *cel*, jest odbicie epoki ludzkiéj spółczesnéj, czyli *żywotność*. Talent, oryginalność, żywotność, są to, jak uważaliśmy, warunki zasługi piérwszego rzędu w literaturze,— te więc muszą przyznanemi być Deotymie. Z treści téj jasném też staje się także, dla czego poezye te niesą i niemogą być tak popularnemi jak inne. Charakterém ich, jak widzimy, głównie jest *myśl*, *spekulacya* (t. j. zapatrywanie się na wewnętrzne znaczenie rzeczy);— dla przyjaciół materyi, chwili, taka treść niemoże być ani zbyt powabną, ani zbyt jasną. Wszakże nietylko między stronnikami wyłącznie materyi lub wyłącznie ducha, lecz nawet pośród przyjaciół ducha, pomiędzy stronnikami idealności czystéj i historycznéj jest pewne nieporozumienie się, antagonizm. Choćby nawet idealista był tak bystro patrzący jak „bozki Plato", a poeta historyczny téj wagi jak „wielki Homer", poezyi faktów niepotwierdzi spekulant (1), i nawzajem stronnicy faktów nieprzyznają nigdy żadnych rzetelnych zasług spekulacyi. To jest przyczyną, iż niektórzy pisarze uczucia poetycznego nawet niepróżni i owszem poeci sami, ale zwolennicy wyłącznie poezyi historycznéj, odmawiali utworom autorki albo zupełnie poezyi, albo też wyższych zalet poezyi. W sądach tych główna naszém zdaniem omyłka jest w *wyrażeniu*. Inna bowiem jest rzecz: iż niepodoba się nam, niema dla nas uroku ten *rodzaj poezyi*, a inna: iż ta poezya „niejest poezyą."

Mówiąc to wszakże, czyli zwracając uwagę na zasługę, na istotny talent młodéj autorki, niepowiadamy iżbyśmy i co do nas nieznajdywali w tym talencie stron słabszych, iżbyśmy nawet wszystko co wyszło z pod tego pióra, lub tego natchnienia, za poezyę równéj wartości mieli.

---

(1) Plato (jeżeli się niemylimy w dyalogu *Jo*) uczyniwszy uwagę, że „Bóg *tworzy*, człowiek *wykonywa* utwór, a poeta *naśladuje* to co stworzone, dodaje daléj: „Solona sławią Ateny, Likurga Sparta;— o przyjacielu Homerze! a tobie w czém Rzeczpospolita zawdzięcza, żeś jest trzecim twórcą drugiéj rzeczy?"

Tak najprzód co do treści wewnętrznéj: stroną silną autorki jest spekulacya, liryzm,—słabszą jest fantazyowanie czynów powszednich, poezya czynu;—ztąd gdzie przedmiotem poematu jest *czyn*, nawet *serce* człowieka słabszą jest ta poezya. Jakoż znane nam dotąd dramata autorki,—jak *Wieńce* (dramat gdzie kilku przyjaciół sztuki wiedzie spór o drzewo żywota, a rozwiązuje go proste dziewczę wiejskie *Bogobojne* treścią swéj pieśni), i *Tomira* (dramat z legendy z okolic góry Sto-Krzyzkiéj, o kamieniu posuwającym się w górę, a zarazem poetyzujący twierdzenie: iż wielbiciele wiedzy czystoświeckiéj, muszą iść do dnia sądu w szacie zapomnienia), są to zapewnie pełne oryginalnego talentu dramatyczne próbki, ale o tyle tylko o ile spekulacyjne są w treści, o ile są fantazyą, nie dramatem;— ballady autorki jak *np. Krzyż Wojaka* w ostatnim zbiorze, i oparty na tle historyczném poemat *Duchy Rugii*, poezye poświęcone przedstawieniu czynów ludzkich potocznych, wchodzą w obręb pospolitych poetycznych obrazków, i owszem niknie w nich nieraz całkiem wyższy ów poetyczny talent.

Lecz oto teraz i na tle silném autorki, śród spekulacyi jéj, dodajmy: iż życzylibyśmy obok tychże celów, téj drogi, więcéj jedności w zasadzie.

Wiemy dobrze: iż fantazyi, jako fantazyi, wiele wybaczoném być może, iż lót jéj nieokreślony, niejasny, dodajmy jednak, iż gdy autorka w rozumowaniach swoich pragnie wychodzić z prawd, a mianowicie ze sfery religii, powinnaby jak najściśléj wychodzić z prawd, nie przypuszczeń—krok śmiały może wprawdzie podnieść do góry, lecz może i strącić w przepaść;— tymczasem zasady, a przynajmniéj wyrażenia autorki w tym względzie, bywają nieraz co najmniéj dwuznaczne. Tak *np.* w wierszu *Pielgrzymka Poety* (1), autorka mówi: iż należy zerwać z tradycyą, iść drogą nową;— być może, iż to twierdzenie w tém miejscu nieodnosi się całkiem wprost do religii, w każdym jednak razie odnosi się chociaż w części, objawia zasadę. Hasło takie tymczasem niejest to

(1) W ostatnim zbiorze poezyj Deotymy znajdujemy wiersz pod napisem: *Pielgrzymka Poety*, którego treść jest następna: Młody poeta wyszedł chcąc być śpiewakiem przyszłości, i w tym celu dążył ku górze, na wierzchołku któréj mieszkała *pieśń nieśmiertelna*, wszedł na nię, ale zaledwie oświecił go świt Ery nowéj, padł i skonał.— Szczegóły określonéj tu drogi, zdaje się nam, iż są allegoryą własnego zawodu autorki.

hasło nauki o gruncie pewnym; potępiać zasadę *tradycyi* (ulubiony i główny dogmat protestantyzmu) jest to potępiać siebie przed następcami, bo prawdy nasze będą już dla następców tradycyą;—wychodzić z potępienia tradycyi, jest to wychodzić z potępienia *ducha ludzkiego*, przeczyć bowiem iżby ten od czasu swego istnienia, swego myślenia, zdołał dójść jakiejś prawdy, choć jednéj prawdy, któraby była prawdą po wszystkie czasy, iżby był jakiś szereg i łańcuch prawd. Ramy tradycyi, istotnie, to więzy i przykre więzy,—myśl ludzka, nieraz wpadając na wykład ma pojęcia własne w danym przedmiocie, i niemogąc ich zamknąć w tych ramach, lubi je zerwać, lecz w tém jest zasługa i tajnia żywotności dalszéj pomysłów, iżby nie ramy do swego wykładu, lecz wykład swój do należnych ram umieć nagiąć. Sekta *np.* każda w Chrześcijaństwie, zaczynając od wykładu racyonalnego, jakiegoś szczegółu, zaczyna zwykle świetnie i zwolenników ściąga, lecz oto okazuje się daléj: iż lubo rozjaśniła dobitnie jakowyś szczegół, lecz tém samém zaćmiła ich dziesięć, i kona albo przemienia się w inną w dalszém rozwiciu. Świetne ostatnie systemata filozofii Niemieckiéj, które wychodząc z zasad Chrześcijańskich, taką rzeczywiście prawd massę w gałąź swą wniosły i zrazu tak się gruntowne wydały, skonały jednak, albowiem jakkolwiek w ramach swych wyszły z zasad Chrześcijańskich, ale z protestancko-chrześcijańskich. Co do autorki, o któréj mówimy, ta, widać to z wielu szczegółów jasno, nie z protestanckich, ale z katolicko-chrześcijańskich wychodzi zasad; niemożemy jednak niezwrócić uwagi na zbyt wielką niekiedy dwuznaczność w wyrażeniach, pomysłach: skutek może nie zdania jeszcze przed sobą samą sprawy ze szczegółów niwy swéj, swego poznania.

Tak *np.* w Fantazyi *Gnoza*, z któréj przytoczyliśmy wyżéj wyjątki, co znaczy to wyrażenie: iż „świat *duchowy* dopiéro *żyć zacznie*, gdy będzie *poznany?*“ Autorka odpowie nam zapewnie, iż jest tu mowa o życiu w odniesieniu do *poznania ludzkiego;* lecz w tym razie, co znaczyć będzie to wyrażenie przy początku tejże fantazyi, iż dopiéro po utworzeniu światła „świat stał się, bo został *poznany*“ (przez kogo? skoro jeszcze człowieka niebyło). W wierszu tym *Gnoza*, w *Podróży myśli* i w ogóle we wszystkich ogólnych ramach autorki, niespotykamy nigdzie wzmianki o pierwotném przestępstwie człowieka, upadku, o tym kluczu do całego wykładu, mechanizmu religii i dziejów, katolickiego. Przy zakończeniu poematu *Góry*, co znaczy wyrażenie odniesione do gór religijnych Chrześcijańskich: „Mogiły Mitów”? (może to miało znaczyć „Mogiły *tajemnic*”, ale właściwie *Mit* znaczy *bajkę*). Dla objaśnienia

wreszcie lepiéj naszéj uwagi, to jest tych zboczeń, które nieznacznie wciskać się dają w twierdzenia, rozumowania autorki, przytoczmy tu prawie cały jéj wierszyk *Miłość Mądrości.* Jest to zkądinąd wiersz piękny, godny najlepszych *Deotymy,* a główną treścią jego jest wyrażenie téj myśli: iż po Epoce *Siły* (Jehowa), nastąpiła Era *Miłości* (Chrystus), a przyjść ma Era *Mądrości* (Pocieszyciel). Autorka wspomniawszy tu przy początku, iż niegdyś Salomon przeniósł nad wszystko Mądrość, tak daléj określa Mądrość i owe Epoki:

„Mądrość wieczna, Mądrość Boża
Jest postępu narzeczoną,
Mądrość to tyranji wróg,
Mądrość jest Bóztwa koroną,
Mądrość to w człowieku Bóg.

Na wulkanicznym Synai
W chmurach i gromach się tai
Wielka Siła, Adonai.
Gdzie stąpi pękają chmury,
Gdzie spójrzy przemienia dzieje,
Przed nim drze się strój natury,
Przed nim człowiek kamienieje.
Lecz myśl próżno za nim sięga,
Zawysoka gromów sfera.
Wielką wtedy jest potęga
Gdy się na miłości wspiera.

U sinych szczytów Kalwarji
Z niebiańskim uśmiechem kona,
Wielka Miłość, dziecię Marji.
Przed nim bledną smętne słońca..
Drze się tajemnic zasłona....
Ale czemuż przy nim rzesza
Płacze, choć już jest zbawiona?
Ach! miłość uzdrawia, wskrzesza,
Ale miłość niepociesza,
Bo miłość jest łzą bez końca.

Szarpania tęsknoty wieszcze
Wstrząsają nasze stulecie,
Bo czujemy że nam jeszcze
Jest zamknięte niebo trzecie.

Więc z szczytów nieznanéj góry
Przyleć Ptaku białopióry,
Śród oświecających żarów
Zstąp na tęczy siedmiu darów,
O Mądrości! Paraklecie!

W wierszu tym tak religijnie na pozór brzmiącym, i mającym w sobie istotnie wiele treści prawdy, co znaczą *np.* wyrażenia: iż *Mądrość Boża* jest narzeczoną postępu?— dla czego już raczéj nie matką? — iż jest Bóztwa *koroną?* — zaciemne; a razem zawysokie mamy wyobrażenie o istocie Boga, iżbyśmy mieli objaśniać, lub przyznawać co jest jego płaszczem, koroną i t. p. W nauce katolickiéj *Mądrość* Boża uznaje się za cóś więcéj niż za koronę, uznaje się bowiem raczéj: iż to jest najpiérwsze zrodzenie Boże, *Syn Boży*, bez którego nic się niestało, cokolwiek się stało. (*S. Augustyn* w dziele o *Mieście Bożém* XI, 9). W określeniu Epoki Siły, co znaczy zakończenie znoszące początek: iż Potęga Boża niebyła w niéj jeszcze wielką („Wielką wtedy jest potęga, gdy się na miłości wspiera")? W określeniu Epoki trzeciéj co znaczy to wyrażenie: „Miłość niepociesza."— W rzeczach tak ciasnych, jak droga rzetelnéj prawdy, należałoby się wystrzegać i pyłku i ziarnka fałszów, z pyłków góry, z ziarnek, rozrastają się drzewa. Zabawki te myśli młodéj, poklaskiwanej, śmiałéj, w podobnych przedmiotach, tém niebezpieczniejsze są, jeśli genijalnéj. Dwuznaczną, tu jest wreście i sama całość. Hegel uczył iż po Królestwie *Ojca*, Królestwie *Syna*, nadejdzie Królestwo *Ducha*. (Hegla *Religion's Philosophie* wydania *Marheinake*). Wzywanie Ducha S. dla sprawienia odmian na ziemi, oczekiwanie tych odmian, niejest zapewnie zbrodnią Chrześcijańską, sam kościół katolicki śpiewa i wierzy wołając: „Znijdź Duchu Pański, a potworzą się i przemienione będzie oblicze ziemi,"— mimo to jednak owo oczekiwane Królestwo *Ducha* w umysłach nielubiących się więzić w ramy tradycyi dało wkrótce powód do tyla przesady, zmiany w dogmatach, iż właśnie przed czasem niedawnym oczekiwanie to wyłącznego jakiegoś *wieku Parakleta*, w jednéj z Encyklik stolicy Apostolskiéj (strzegącéj z potrzykroć powtórzonego proroctwa (1), wszędzie i zawsze jedności wiary) naganioném zostało.—Autorka objawia oczywiście wyznanie w swém wierszu iż po wiekach *Siły*, *Miłości* nastąpi Era *Mądrości*; koléj tę i przybliżenie się dla świata „Ery *Mądrości*, Ery *Niemieckiéj*, loicznie wykazywał Hegel;—wszakże równie loicznie do-

(1) Po trzykroć powtórzone „Paś owce." *Jan XXI. 17.*

wodził *Szelling*, iż w rozwinięciu kościoła Chrześcijańskiego powtórzą się epoki Apostołów, i że po wieku *Piotra* (kościoł Rzymski) wieku dzisiejszym jakoby *Pawła* (Protestancki), nastąpi wiek *Jana* czyli ogólnéj *Miłości* (1). Dwaj pisarze jakkolwiek obaj wierni w swoich wywodach, dochodzili jednak do następstw wprost odmiennych: piérwszy z nich bowiem twierdził iż po Epoce *Miłości* nadejdzie Era *Mądrości*, drugi przeciwnie iż po Erze *Mądrości* przyjdzie Era *Miłości*. Gdyby Autorka w swych stosowaniach trzymała się prawd katolickich, tedy najprzód wychodziłaby zawsze z uznania, iż wszystkie trzy Osoby Boże są łączne, i że wiek jednéj jest zarazem i wiekiem drugiéj, i powtóre, iż w nowéj Epoce ziemi, Epoce oczekiwanéj, wieszczonéj, nie głównie zakwitnie *Mądrość* jak twierdzą jedni, nie głównie *Miłość* jak twierdzą drudzy, nie *Piękność*, *Cnota*, *Żywot* i t. p. jak znowu inni;—ale i *Mądrość* i *Miłość* i *Piękność* i *Cnota*, *łącznie* w swych szczytach.

Raz jednak powtarzamy jeszcze, iż wszystko to, co mówimy o stanowisku religijném autorki, mówimy tylko jako o *dwuznaczności*,— i że przeto uwagi te wszystkie wyrażamy nie tyle w kształcie nagany tego, co było dotąd, jak raczéj w kształcie przestrogi o tém, co może być nadal.

Mówiąc o treści wewnętrznéj poezyj Deotymy dodajmy tu wreszcie: iż gdy główną cechą téj treści jest zimna reflexya, logika, tedy zdaniem naszém nie pomocne, ale szkodliwe ramy i allegorye, które zbyt jawną cechę zmyślenia w swéj treści noszą. Nierażą nas *np.* i owszem trafnie objaśniają przedmiot allegorye ogólne: Anioł i Szatan przed Augustynem walczą z dowodami swojemi; gdy rycerz zdobywa szczęście zamknięte w Zamku i t. p.;— ale gdy autorka opisuje nam szczegółowie jak śród komnaty ukazywał się jéj materyalnie *Duch Postęp*, jak się ukázał *Job*, takie figury zamiast dobitniéjszych objaśnień, rzucają i na dalsze rozumowania autorki cień dobrowolnego zmyślenia. Prorocy Hebrajscy kiedy mówili o stronie wewnętrznéj rzeczy, lub rzeczach przyszłych, tedy mówili prosto, iż im tę mowę dyktuje natchnienie Boże („mówi Pan“) nieuciekając się do żadnych zmyśleń allegorycznych.

Co do części zewnętrznéj wreszcie poezyj Deotymy, i tu łatwo jest widzieć jéj stronę słabszą. Nietwierdzimy bynajmniéj iżby w poezyach swoich autorka niemiała być silną, i owszem, znajdujemy w jéj poezyach przykłady, przy któ-

(1) W Filozofii Pozytywności czyli Objawienia. *Philosophie der Offenbarung*, wydanie D-ra. Paulus.

rych to, co zowie się silném w jakim bądź kolwiek języku, zostaje bladém. Takim *np.* jest cały Dytyramb *Piorun*, z którego przytoczyliśmy wyżéj strofę. Niepowiemy także, iżby autorka nieumiała się w dykcyi swéj tłómaczyć i żywiéj nad prostą loikę i obrazowo, czyli jak nazywano niegdyś romantycznie; zaprzecza owszem temu wiersz jéj niejeden, a dla przykładu wskazujemy na fantazyę: *Gopło i Góra Lechowa, np.* gdy tu po wzmiance o szeregu snów o *Popielu, Piaście*, mówi daléj w przechodzie:

„I znów cichną dziejów burze,
I za duchem znika duch...
Tylko pluszczą wodne róże,
I łabędzi błyska puch.
Jak ta woda mnie zachwyca!
Żywym mi się wzrokiem zda,
Gopło to Polski źrenica,
Gopło to jéj łza.“

Wogóle jednak jest to pewna, że przemagającym stylem autorki jest pewna rozwlekłość, a także szereg wyrażeń, przypadających raczéj do rozdziału loiki, niż sztuki, mającéj źródło w fantazyi. Tym myślom ze sfery loiki nadaje wprawdzie zwykle poezyę lub pomysł ogólny, lub sztuka słowa; jest to pewna jednak, iż szczegół ten jest jedną z najgłówniejszych przyczyn niezupełnéj popularności autorki.

Takie są w ogóle swoim cechy, zalety, wady pism Deotymy,—zalety widzimy wielkie, a wady małe. Jaką będzie ostateczna zasługa autorki téj? czy przy dalszém życiu, uczuciach, pogląd swój stosowany dotąd głównie do ogółów, do natury, odniesie do serc i do czynów, i da tejże wartości, tegoż niezwykłego układu dramata, epopeje, jak dała dotąd fantazye na rozmiar mniejszy? czy przestanie na obecnéj zasłudze? i nieprzekroczy jéj? o tém niewiemy;—lecz to wiemy, iż do tych czasów ta jéj zasługa w gałęzi poezyi, już odkreśloną jest, i zawsze zostanie sobą.

Poezya, zwróćmy uwagę, ten lot fantazyi, głównie kwitła pośród Ludzkości, za wieku młodego Ludzkości (według nas *starożytności*), za wieku, w którym w człowieku każdym głównie kwitnie fantazya;— był to czas Epopej wielkich w Indyi i Grecyi, czas religijnych mitów, utworu rodzajów poezyi, a w narodzie który (jakkolwiek spółcześnie na pozór lichy) miał missyę wszelką gałąź rozwicia ludzkiego odbić w stopniu najwyższym (Hebrajskim), był to czas *Proroctw*. — Wiek dzisiejszy Ludzkości jest to wiek *męzki*, wiek nie kwitnącéj fantazyi, ale *Rozwagi*. Całość ducha ludzkiego zawsze jest wprawdzie je-

dną;— i za wieku kwiatu fantazyi były badania, loiki,— i za wieku rozwagi są loty fantazyi, poezye;— lecz jak dójścia filozoficzne dawne, co do prawd dla Ludzkości głównych, niedoszły, ściśle mówiąc, niczego prócz tego, czego ich nauczyła fantazya, jéj ulegały przewadze,— tak znowu poezya dzisiejsza musi na sobie nosić odcień przewagi reflexyi, co do odcieni *myśli*, odcieni *uczuć*, co do saméj nawet *np.* sztuki porównań, najpiérwsze epopeje starożytności muszą ustąpić dzisiejszym drobnym nawet poezyom;—same nawet proroctwa w wiekach obecnych, które między nami ludźmi być mogą, i owszem być muszą (1), niebędą twierdzeniem samém jak dawniéj, lecz w odcień rozumowania, rozwagi, ubierać się będą.

Jedną z cech fantazyi Deotymy, jak to widzieliśmy, jest zajmowanie się zawsze wiekiem przyszłym, nowym i opowiadaniem tła jego; czy te fantazye autorki są to istotnie poloty, twierdzenia ducha wieszczego? i tylko stosownie do ducha wieku odbijają się w kształcie reflexyi? są zwichnięciem choréj fantazyi?— Odpowiedź zdaniem naszém jest łatwa. Niemamy wprawdzie przywileju dawnéj Synagogi Hebrajskiéj umiejącéj pośród pism tysiąca proroków, odróżniać rzetelnych proroków, i tych tylko zatrzymywać w kanonie;—kiedy jednak w utworach danych widzimy obecność *ducha*, t. j. ślad istotnego natchnienia, a że źródła i celu widzimy, iż jest to duch Chrześcijański, duch prawdy, tedy niewolno jest wątpić, i utwory takie za utwory idące z prawdy poczytać musimy.

Cel pewny, barwa *wieszczenia*, *uduchownianie* wszystkiego co jest zmysłowém, w wieszczeniu przewaga *rozwagi*, to więc dotąd jest główny charakter głównych Deotymy poezyj.

Nowym rodzajem poezyi przez nię stworzonym jest jak widzimy *Fantazya*, czyli *Liryka spekulacyjna*.

Do tego rodzaju utworów autorki jeden tylko w nówszéj poezyi znajdujemy podobny rodzaj, t. j. *Fantazyę Szyllera*;— fantazyowanie myśli, fantazyowanie uczuć, było tu także jedyną treścią utworu. Treść jednak fantazyi Szyllera (odbicie nauki Kanta), tak się ma do treści fantazyi naszéj autorki, jak właśnie początki filozofii Niemieckiéj do początków naszéj filozofii krajowéj:— t. j. jak chwila do czasu, punkt do przestrzeni, myśl pojedyńcza w sobie czyli *egoizm* do myśli Ludzkości w sobie, myśli w wszechświecie.— Utworem Fryderyka Szyllera była *Fantazya serca*, utworem Deotymy jest *Liryka wieszcza.*

---

(1) „A prorokować będą synowie wasi i córki wasze.. przed tym nim przyjdzie Dzień Pański wielki i jawny.“ *Dz. apost. 11. 17. 20,*

BIBLIJOGRAFIJA WILEŃSKA

za rok 1858.

(*W porządku chronologicznym*).

---

1. Eysa Mociba del mozu barnu; (in 8-vo, str. 39, 2¼ ark. Dworzec).
2. Orde Totius Divini Officii per solvendi pro anno reparatae salutis 1858; (in 12, str. 156, 6½ ark.; Zawadzki).
3. Betrachtung über die am 23 october 1857 stattgefundene Fejerlichkeit in der Rabbinenschule, in Folge ihrer zehnjährigen Existenz, und eine Rede, gehalten amselben Tage von S. Pucher Rabbinats-Candidat; (in 12, str. 22, ark. 1; Zawadzki).
4. Ben Porat, t. j. życiorys znakomitego rabina Menasza Ben Porat, przez Marka Płungiańskiego; (in 8-vo, str. 136, ark. 5¼; Romm).
5. Masechet Beca, t. j. o obrzędach religijnych w dni świąteczne; (in fol., str. 80, ark. 20; Romm).
6. Masznajot, t. j. Deuteronomijum; (in 4, część I str. 338, cz. II str. 338, cz. III str. 320, cz IV 392, ark. 178½; Romm).
7. Lista członków Muzeum starożytności połączonego z Wileńską archeologiczną komissyą na rok 1858; (in fol., str. 4, ark. 1; Zawadzki).
8. Boża Czeladka, opowiadanie we 3-ch częściach przez J. I. Kraszewskiego; (tom I, str. 250, t. II, 335, t. III 393; (in 12, ark. 41; Zawadzki).
9. Przyczynki do historyi domowéj w Polsce: (Samuel Korecki, Adam Tarło, Bogusław Radziwiłł), przez Władysława Syrokomlę; (in 8, str. 60, ark. 3¾; Marcinowski).
10. Sidur Tefiłot Mikoł Haszana ał pi Kusach Haary, t. j. modlitwy na cały rok, przez rabina Ary; (in 8, str. 352, ark. 14¾; Romm).
11. Wybór modlitw dla ludzi Rzymsko-Katolickiego kościoła, nowa edycya pomnożona modlitwami i innemi ćwiczeniami żywota chrześcijańskiego; (in 12, str. 209, ark. 8¾; Zymelowicz).
12. Nekrolog marszałka Ihumeńskiego powiatu Tadeusza Zawiszy; (in fol., str. 1, ½ ark.; Rozenson).

13. Karawaka czyli krzyż anielski; (in fol., str. 1, $\frac{1}{2}$ ark.; ZYMELOWICZ).
14. Medrasz Rabot im Peresz Harezu, t. j. alegoryczny komentarz na Pięcioxiąg Mojżesza z nowemi przypisami; (in 8, str. 572, ark. $18\frac{1}{2}$; ROMM).
15. Elementarius arba lengwus moksłas skaytit raszto szwento. Lietuwiszkay del wayku Lietuwniku par kunigu K Olechnowicziu; (in 8, str. 70, ark. $4\frac{3}{8}$; ZYMELOWICZ).
16. Памятная книжка Виленской губерніи на 1858 годъ, съ картою Виленской губерніи; (in 12, str. 111, ark. 5; ZAWADZKI).
17. Minim Weuhow, albo zbiór artykułów literackich i poezyj rozmaitych, przez starszego nauczyciela Rabińskiéj szkoły Żytomirskiéj Łazarza Cwejfela; (in 12, str. 132, ark. 5; ROMM).
18. Hagada szel Pesach, t. j. modlitwy Wielkonocne; (in 12, str. 78, ark. $3\frac{1}{4}$; ROMM).
19. Mistre Paryz, t. j. Tajemnice Paryża, przełożone na język czysto Biblijny, przez K. Szulmana; (in 12, str. 179, ark. 8; ROMM).
20. Teka Wileńska wydawana przez Jana ze Śliwina, numer trzeci; (in 8, str. 420, ark. 27; GLÜCKSBERG).
21. Łuach Misznat Tarat, t. j. kalendarz na rok 5619 od stw. świata; (in 8, str. 16, ark. 1; ROMM).
22. Pomniki rytownictwa krajowego, oddział I, odciski z blach mniejszych, znajdujących się w biblijotece Łohojskiéj Konstantego hrabi Tyszkiewicza, wydane nakładem ich właściciela; (in 8, str. 209, ark. 24 razem z rycinami, bez rycin 2; MARCINOWSKI).
23. Midbar Kowe, t. j. mowa nauczyciela religii, Salomona, miana w dzień oczyszczenia z grzechów, przełożona z Niemieckiego przez P. Karaśika; (in 12, str. 24, ark. 1; ROMM).
24. Moksłas skaytima raszta Lietuwiszka dieł mazu wayku kuremi padieti ira wisoki Moksłay Krykscioniszki, teypo ir trumpas, nobażenstwas kożnos dienos wirams yr moterims słuziancias; (in 8, str. 32, ark. 2; ZYMELOWICZ).
25. Nauka czytania pisma Polskiego dla małych dzieci, z różnem nabożeństwem i katechizmem katolickim krótko zebrana niegdyś, kilkakrotnie drukowana i znowu przedrukowana; (in 8, str. 28, ark. 2; DWORZEC).
26. Istorije Szwęta senoje istatima, nu sutwierima pasaules lig użgimima Kristaus Wieszpaties, treti karta iszspausta; (in 16, str. 96, ark. 3; ZAWADZKI).
27. Kasper Karliński, dramat historyczny we trzech aktach, przez Władysława Syrokomlę; (in 12, str. 87, ark. $3\frac{5}{8}$; ROZENSON).
28. Новый букварь для обученія юношества чтенію по Русски; (in 8, str. 28, ark. 2; DWORZEC).
29. Pamiętnik niebardzo stary, (wyciąg z notat Władysława N.), przez Alexandra Grozę, wydanie poprawne; (in 16, str. 339, ark. $10\frac{1}{2}$; ZAWADZKI).

30. Grammatyka języka Polskiego dla użytku uczącéj się młodzieży, przez x. P. W. Podlewskiego, część piérwsza; (in 12, str. 76, ark. 4; Zawadzki).
31. Tani i łatwy sposób robienia w domu wybornych świec łojowych, maczanych i z formy lanych; (in 8, str. 56, ark. 2½; Marcinowski).
32. Officyum albo codzienne nabożeństwo ku większéj czci i chwale Boga etc.; (in 12, str. 360, ark. 15; Dworzec).
33. Menorat Hamaor, t. j. Lichtarz, dzieło religijno-moralne; (in 4, str. 783, ark. 99½; Romm).
34. Kur Lezahow, t. j. objaśnienie różnych legend Talmudycznych, przez J. B Szereszewskiego; (in 12, str. 246, ark. 10¼; Romm).
35. Kalejdoskop życia, przez Jana z nad Berezyny; (in 12, str. 80, ark. 3½; Rozenson).
36. Seder Kinot Letisza Beab, t. j. modlitwy na dzień 9-ty mca Aw; (in 8, str. 168, ark. 10½; Romm).
37. Mysznajot, t. j. Deuterenomijum, część V, str. 324, VI, str. 486, (in 4, ark. 102; Romm).
38. Seraficzne nabożeństwo do Boga w Trójcy jedynego etc.; (in 8, str. 46, ark. 3½; Blumowicz).
39. Sposób benedykcyi Szkaplerza SSS. Trójcy; (in 8, str. 28, ark. 2; Blumowicz).
40. Nauka czytania pisma Polskiego dla małych dzieci, etc. (in 8, str. 28, ark. 2; Zymelowicz).
41. Doręczny zbiór kanonów przydatniejszych, na wzór słównika ułożony, przez x. S. S. D.; (in 12, str. 164, ark. 7; Rozenson).
42. Moksłas skaytima raszta Lietuwiszka dieł mażu etc.; (in 8, str. 32, ark. 2; Dworzec).
43 Nabożeństwo codzienne na otrzymanie świątobliwego życia szczęśliwéj śmierci i chwały wiecznéj etc.; (in 18, str. 177, ark. 5; Zymelowicz).
44. Mierzwienie ziarna podług systemu pana Bickes, rzecz wyjęta z oryginalnego dzieła pana Bickes, a ułożona w Polskim języku przez Więckowskiego w Mińsku; (in 16, str. 26, ark. 1; Marcinowski).
45. Studya nad xięgami w naukach przyrodzonych; (in 12, str. 103, ark. 4½; Zawadzki).
46. Życie, cuda i cześć świętego Kazimierza królewica Polskiego, wielkiego xięcia Litewskiego, przez x. A. Lipnickiego; (in 12, str. 324, ark. 13½; Zawadzki).
47. Dni doroczne na Litwie, szereg obrazków, przez Władysława Syrokomlę: Dni pokuty i Zmartwychwstania; (in 16, str. 54, ark. 1¾; Rozenson).
48. Czekino abecadłowe, czyli sposób żeby abecadło samo do głowy popadło; (in 16, str. 10, ½ ark.; Rozenson).
49. Łuach Misznat Tarat, t. j. kalendarz na rok 5619 od stworzenia świata; (in 24, str. 48, ark. 1; Romm).
50. Nabożeństwo codzienne na otrzymanie świątobliwego życia, szczęśliwéj śmierci i chwały wiecznéj etc.; (in 18, str. 162, ark. 5; Romm).

51. Seder Korban Mincha, t. j. porządek składania ofiar; (cz. II, in 4, str. 228, ark. 28; Romm).
52. Gawędka o swojaku przez Białoruską Dudę (z Teki Białoruskich obrazków), N. 1; (in 16, str. 68, ark. 2; Zawadzki).
53 Historya biblijna dla dzieci, wyjęta z ważniejszych i większych dzieł pana (Schmids) Szmida; (część I str. 95, cz. II str. 112, ark. 8$\frac{3}{4}$; Zawadzki).
54 Munką Wieszpaties Jezaus arba Diewabajmingus dumojimus apej Munką Jezaus Kristaus; (in 16, str. 200, ark. 6$\frac{1}{4}$; Zawadzki).
55. Записки Виленской Археологической Коммиссіи, издаваемыя подъ редакціею дѣйствительныхъ членовъ К. И. Малиновскаго и А. К. Киркора; (po-Rossyjsku, Francuzku i po-Polsku, in 8, str. 26, ark. 2; Marcinowski).
56. Łuach Misznat Tarat, t. j. kalendarz ścienny na rok od stworz. świata 5619; (in fol., str. 2, ark. 2; Romm).
57. Wypisy Francuzkie dla dzieci lat najrańszych, ułożone przez Aleksandra Zdanowicza, wydanie nowe zupełnie przerobione; (in 12, str. 248, ark. 10$\frac{1}{2}$; Zawadzki).
58. Officia trium Ordinum S. P. Francisci Breviario Romano-Seraphico addenda; (in 12, str. 228, ark. 9$\frac{1}{2}$; Zawadzki).
59. Русская азбука для нижнихъ чиновъ; (in 8, str. 71, ark. 4$\frac{1}{2}$; Dworzec).
60. Masechet Gitin, t. j. traktat o rozwodach z Talmudu Babilońskiego; (in fol., str. 180, ark. 45; Romm).
61. Anaf ec-Aboth, t. j. Mirtowa gałązka o trzech liściach, przez A. B. Gotlobera; (in 12, str. 79, ark. 3$\frac{5}{6}$; Romm).
62. Seder Selichot, t. j. modlitwy o odpuszczenie grzechów; (in 4, str. 152, ark. 19; Romm).
63. Seder Korban Mincha, t. j. porządek składania ofiar; (in 4, cz. I, str. 444, ark. 56; Romm).
64. Sefer Likute Hałachot, t. j. zbiór mniemań; (in 4, str. 34, ark. 4$\frac{1}{2}$ Romm).
65. Wandina, fantazya, przez Henryka z Obsyngi, z trzema rycinami; (in 12, str. 196, ark. 8$\frac{1}{2}$; Marcinowski).
66. Nauka o częstéj spowiedzi i komunii, przez O. Boone, piąte wydanie, przez autora przejrzane, tłómaczenie z Franc.; (in 32, str. 63, ark. 1; Dworzec).
67. Przewodnik obchodzącym pamiątkę Zbawiciela naszego Jezusa Pana dróg Jerozolimskich etc.; (in 12, str. 104, ark. 3$\frac{1}{4}$; Zawadzki).
68 Grób Nieczui, powieść napisana przez Zyg. Kaczkowskiego; (in 12, tom I str. 342, II str. 367, III str. 268, IV str. 278, ark. 49$\frac{1}{2}$; Zawadzki).
69. Skarb duszy pobożnéj albo zbiór osobliwych nabożeństw etc.; (in 18, str. 430, ark. 12; Zymelowicz).
70. Biurym Chadaszym, t. j. nowe komentarze na Biblię, przez A. B. Lebensona; (in 8, str. 200, ark. 13$\frac{3}{4}$; Romm).

71. Wiadomość o zgromadzeniu Siostrzyczek ubogich we Francyi, z Francuzkiego; (in 16, str. 68, ark. $2\frac{3}{4}$; Glücksberg).
72. Podarek ślubny, czyli nabożeństwo dla osób do stanu małżeńskiego zabierających się lub w nim zostających, tudzież potrzebne nauki i rady, celem otrzymania szczęścia i zbawienia w stanie małżeńskim, nowe wydanie; (in 12, str. 274, ark. $11\frac{3}{4}$; Glücksberg).
73. Bechinot Ołam, t. j. badania świata; (in 12, str. 192, ark. 8; Romm).
74. Seder Techinot, t. j. Zbiór modlitw dla niewiast; (in 8, str. 120, ark. $7\frac{1}{2}$; Romm).
75. Marta czyli jarmark w Rychmond, opera w 4 aktach, muzyka Fryderyka von Flottow; (in 12, str. 11, $\frac{1}{2}$ ark; Blumowicz).
76. Наставленіе простому народу какъ предохранять себя отъ болѣзней, и какъ лечить ихъ простыми средствами, въ отсутствіе врача; (in 12, str. 168, ark. 7; Zawadzki).
77. Początki architektury napisane przez K. Podczaszyńskiego, professora architektury w b. Cesarskim uniwersytecie Wileńskim, część III, składnia budowli ogólna, z 11-tą tablic wzorów i 35-cią drzeworytkami wśród pisma; (zeszyty V i VI, in 4, str. od 161 do 233, ark. 10; Zawadzki)
78. Собраніе Государственныхъ и частныхъ актовъ, касающихся исторіи Литвы и соединенныхъ съ ней владѣній, (отъ 1387—1810), изданное Виленскою Археологическою Коммиссіею подъ редакціею ученаго Секретаря Маврикія Круповича, часть первая; (po-Polsku, Rusińsku, Słowińsku, po-Łacinie, in 4, str. 163, ark. 21; Zawadzki).
79. Pamiętniki Józefa Drzewieckiego, spisane przez niego samego, (1772—1802), tudzież reszty pamiętnika tegoż (1806—1851), z papierów po nim pozostałych zebrane, z przydaniem wiadomości o życiu autora, przez J. I. Kraszewskiego, z trzema portretami litografowanemi; (in 8, str. 462, ark. 29; Zawadzki).
80. Wypisy Niemieckie na klassę czwartą szkołom w królestwie Polskiém przez radę wychowania publicznego polecone, prozą i wierszem; (in 12, str. 199, ark. $8\frac{1}{2}$; Zawadzki).
81. Skarb duszy pobożnéj albo zbiór osobliwych nabożeństw etc.; (in 18, str. 388, ark. 12; Rozenson).
82. Staropolskie roraty i dwie pomniejsze poezye, przez Władysława Syrokomlę; (in 16, str. 48, ark $1\frac{1}{2}$; Rozenson).
83. Historya święta dla użytku młodzieży, przez x. S. Kozłowskiego, rektora semin. dyec. kanonika kated. Wileń. część druga, historya Nowego Testamentu; (in 12, str. 235, ark. 10; Zawadzki).
84. Sidur Tefilot Mikoł Haszana, t. j. modlitwy na rok cały; (in 8, str. 112, ark. $10\frac{3}{4}$; Romm).
85. Sefer Tehilim, t. j. Psalmy Dawidowe; (in 8, str. 388, ark. $24\frac{1}{4}$; Romm).
86. Neues deutsches ABC. und Buchstabir-Buch für die Jugend; (in 8, str. 32, ark. 2; Romm).

87. Teka Wileńska wydawana przez Jana ze Śliwina, numer czwarty; (in 8, str. 378, ark 30¾; Glücksberg).
88. Kewod Habait, t. j. opis Wileńskiéj szkoły Rabińskiéj, oraz przy tém traktat o pożytku i niezbędnéj potrzebie wychowania dla młodzi Izraelskiéj, przez kandydata na rabina Gurlanda; (in 12, str. 68, ark. 3; Romm).
89. Pustelnik w Proniunach, powieść w dwóch częściach, przez Ignacego Chodźkę, autora Obrazów Litewskich, podania Litewskie, serya trzecia; (in 12, str. 318, ark. 13½; Zawadzki).
90. Bes Jehuda, t. j. dom Jehudy, czyli historya rozszerzenia wiary Izraelskiéj; (in 8, str. 182, ark. 13; Romm).
91. Szczęście za górami, powieść Józefa Korzeniowskiego; (in 12, t. I str. 311, II str. 227, ark. 22½; Zawadzki).
92. Sidor Tefiłot Izrail Keminhag Sefard, t. j. zbiór modlitw wedle obrządku Izraelitów Portugalskich; (in 8, str. 440, ark. 27½; Romm).
93. Sefer Tehilim im Mecudat Dawid i Mecudat Cyon i Memadot, t. j. Psalmy z objaśnieniami Mecudat Dawid i Mecudat Cyon, do których dodane są modlitwy nazwane Memadot; (in 8, str. 392, ark. 37½; Romm).
94. Новый Русско-Польскій букварь; (po-Rossyjsku i po-Polsku, in 12, str. 72, ark. 3; Zawadzki).
95. Sefer Kasuf Łachaim, t. j. o dokładném pisaniu Pięcioxięgu na pergaminie, przez Abrahama-Chaima; in 8, str. 40, ark. 2½; Romm).
96. Selichot Keminhag Lita, Rajsin, Rezamit, t. j. modlitwy o odpuszczenie grzechów, wedle obrządku synagog Litewskich, Białoruskich i Żmujdzkich; (in 8, str. 160, ark. 10; Romm).
97. Cena Urena, t. j Pięć xiąg Mojżeszowych w języku Żydowskim; (in 8, część I str. 348, II str. 368, ark. 51; Romm).
98. Kesaw Joszer, t. j. zbiór pism rozmaitych, przez Szałom Kohana; (in 12, str. 194, ark. 8; Romm).
99. Seder Kinot Letisza Beab, t. j Żałośne modły na dzień 9-ty mca Ab, w którym zburzona została Jeruzalem; (in 8, str. 85, ark. 5; Romm).
100. Masechet Berachot, t. j. o wszystkich szczegółach co do modlitw i chwały Pańskiéj; (in fol. od str 1 do 68, ark. 17; Romm).
101. Kinat Jehuda we-Israel, t. j. mowa pogrzebowa nad zwłokami rabinów Lebe Załkinda i Izraela Ginzburga; (in 8, str. 39, ark. 3; Romm).
102. Piosneczki Karoliny Proniewskiéj, Bogu na chwałę, na pamiątkę przyjaciołom; (in 16, str. 263, ark. 8½; Zawadzki).
103 Starosta Kopanicki, więzień w Sonnenburgu, ustęp z piérwszych lat panowania Augusta III, przez Władysława Syrokomlę; (in 12, str. 126, ark. 5½; Rozenson).
104 Machzor, t. j. koło modlitw świątecznych; (in 8, str. 380, ark. 23; Romm).
105. **Новый Русскій букварь, заключающій азбуку и т. д.; (in 8, str. 28, ark. 2; Zymelowicz).**

106. Harysat Beter, t. j. zburzenie twierdzy Beter w Palestynie przez Rzymian, utwór K. Szulmana; (in 12, str. 109, ark. 5; Romm).

107. Bałsą Diewa pri Żmogaus arba apdumojimą gieradieiszcziu Wieszpaties Diewa etc; (in 16, str. 128, ark. 4; Zawadzki).

108. Prawidła wymowy i poezyi, wyjęte z dzieł Euzebijusza Słowackiego, wydanie nowo poprawne; (in 12, str. 268, ark. 11½; Zawadzki).

109. Historya Kommunizmu albo obalenie utopii socyalistów za pomocą historyi, przez Alfreda Sudre, etc.; (in 12, str. 563, ark. 23½; Marcinowski).

110. Złoty Ołtarzyk czyli krótkie zebranie różnego nabożeństwa, etc.; (in 12, str. 636, ark. 26½; Zawadzki).

111. Galerya Nieświezka portretów Radziwiłłowskich, opisana historycznie przez Edwarda Kotłubaja, z drzeworytami Michała Starkmana, zeszyt szósty; (in 8, od str. 378 do 440, ark. 4; Marcinowski).

112. Początki architektury napisane przez K. Podczaszyńskiego, professora architektury w b. Cesarskim uniwersytecie Wileńskim, część III, składnia budowli ogólna, z 11-tą tablic wzorów i 35-cią drzeworytkami wśród pisma; (zeszyt III i IV, in 8, od str. 97 do 160, ark. 4; Zawadzki).

113. Gesmes arba poezja, kunigo Józapo Żelvovicz, pirma dalis: ape seną Żokaną; (in 16, str. 147, ark. 4¾; Zawadzki).

114. Мѣсяцословъ хозяйственный на лѣто Христово 1859; (po-Rossyjsku i po-Polsku, in 4, str. 72, ark. 9; Romm).

115. Zbiór psalmów, pieśni duchownych i modlitw, do publicznego i prywatnego nabożeństwa kościołowi Ewangelickiemu służący; (in 12, str. 841, ark. 35; Zawadzki).

116. Gospodyni Litewska, czyli nauka utrzymywania porządnie domu, etc.; (in 8, str. 496, ark 31; Zawadzki).

117. Słownik Polsko-Łacińsko-Łotewski ułożony i napisany przez xiędza Jana Kurmina; (in 8, str. 282, ark. 18; Zymelowicz).

118. Machzor, t. j. modlitwy świąteczne, część I; (in 4, str. 336, ark. 42; Romm).

119. Masechet Kesubot, t. j. traktat o warunkach małżeństwa; (in fol., str. 224, ark. 56; Romm.

120. Seder Techinot Ubakuszot, t. j. modlitwy dla niewiast Izraelskich; (in 8, str. 88, ark. 10; Romm).

121. Piérwsze początki Pisma świętego dla dzieci; (in 16, str. 146, ark. 4½; Zawadzki).

122. Kałwaria arba Kialas Kriziaus sopulun Jezusa Kristusa etc.; (in 16, str. 48, ark. 1½; Zawadzki).

123. Wykład pacierza, składu Apostolskiego, przykazań Bożych, kościelnych, świętych Sakramentów, kondycyj do spowiedzi i dalszych przepisów religii św. z zastosowaniem do życia praktyczne-

go. we dwóch częściach, napisany przez x. Jana Narkiewicza kand. ś. t.; (in 12, str. 276, ark. 11½; Zawadzki).

124. Modlitwy sierot, przez Ignacego Chodźkę; (in 16, str. 16, ½ ark.; Zawadzki).

125. Joresz Hanełam, t. j. tajemny następca; (in 12, str. 23, ark. 1; Romm).

126. Machzor, t. j. modlitwy świąteczne, część II; (in 4, str. 312, ark. 39¼; Romm).

127. Chowot Halewawot, t. j. obowiązki serc; (in 8, cz. I str. 416, cz. II str. 356, ark. 48¼; Romm).

128. Mimozá, powieść sentymentalna, przez Lucyana Siemieńskiego; (in 12, str. 51, ark. 2; Glücksberg).

129. Rituale Sacramentorum ac aliarum Ecclesiae Romano-Catholicae Caeremoniarum, ex Rituale Synodi Provincialis Petricoviensis depromptum Editio nova, aucta et emendata; (in 12, str. 491, ark. 29½; Zawadzki).

130. Na pamiątkę bytności w Wilnie Najjaśniejszego Cesarza ALEXANDRA II w dniu 6 września 1858 roku; (in 4, str. 7, ark. 1; Blumowicz).

131. 6 Сентября 1858 года въ Вильнѣ; (in fol. str. 4, ark. 1; Glücksberg).

132. Żiwataj Szwętuju tu kuriu wardajs żemajczej uż wis gieb wadinties, ejła abeciełas surasziti ir iszpausti; (in 16, str. 280, ark. 9; Zawadzki).

133. Kalendorius arba metstkajtlus ukiszkasis nuog użgimima Wieszpaties 1859; (in 4, str. 62, ark. 8; Zawadzki).

134. Pokój temu domowi; (in fol., str. 1, ark. 1; Zawadzki).

135. Dziennik podróży po Litwie i Żmudzi odbytéj w 1856 roku przez d-ra T. Tripplina; (in 12, tom I str. 267, t. II str. 230, ark. 21½; Rozenson).

136. Masechet Kiduszyn, t. j. traktat o zaręczynach; (in fol, str. 164, ark. 41; Romm).

137. Seder Tefiłot Mikoł Haszana, t. j. zbiór modlitw na rok cały; (in 8, str. 128, ark. 8; Romm).

138. Directorium Divini officii recitandi Missaeque Celebrandae, pro provincia Lithuaniae et Russiae Ordinis FF. Praedicatorum juxta ritum ejusdem Ordinis Dioecesano conformatum in annum 1859 editum; (in 12, str. 68, ark. 3; Zawadzki).

139. Въ память пребыванія ГОСУДАРЯ ИМПЕРАТОРА АЛЕКСАНДРА II въ Вильнѣ 6 и 7 Сентября 1858 г. Изданіе Виленской Археологической Коммиссіи; (po-Polsku, Rossyjsku i po-Francuzku, in 4, str. 231, ark. 27½; Zawadzki).

140. Teka Wileńska wydawana przez Jana ze Śliwina, numer piąty; (in 8, str. 474, ark. 32; Marcinowski).

141. Korrepetytor, Ranne odwiedziny, Fraszki, opowiadania i powieści Włodzimierza Wolskiego, serya druga; (in 16, str. 251, ark. 8; Zawadzki).

142. Najpiękniejszy dzień w życiu, dziełko poświęcone dzieciom, etc. (in 16, str. 292, ark. 9; ZAWADZKI).
143. Directorium Horarum Canonicarum et Missarum juxta Rubricas Novissimas Breviarii et Missalis Romano-Seraphici, ad usum Fratrum Minorum de observantia, et Monialium tertii ordinis S P. N. Francisci in Dioecesibus: Mohiloviensi, Vilnensi, Telsensi, Minsensi, Żytomiriensi et Tiraspolensi degentium, pro anno Domini Communi 1859 editum; (in 12, str. 83, ark. 3½, ZAWADZKI).
144. Pamiętniki historyczne do wyjaśnienia spraw publicznych w Polsce XVII wieku posługujące, w dziennikach domowych Obuchowiczów i Cedrowskiego pozostałe, wydał z rękopismu, wstępem i przypisami objaśnił Michał Baliński; (in 8, str. 152, ark. 9½; MARCINOWSKI).
145. Prawidła Chrześcijańskiego życia na świecie, skreślił x. Quadrupani, a przetłómaczył z dziewiątego wydania X. S. S. D.; (in 12, str. 72 ark. 3; DWORZEC).
146. Przestrogi pobożnym osobom wątpliwościami i bojaźnią miotanym, skreślił x. Quadrupani, a z drugiego wydania przełożył X. S. S. D; (in 12, str. 102 ark. 4½; DWORZEC).
147. Konfraternija Anny świętéj, powinności Bractwa, odpusty i t. d.; (in 16, str. 100. ark. 3; ZAWADZKI).
148 Dzieje Rzymsko-Katolickiego Kościoła, w krótkich szczegółach zebrał X. S S. D.; (in 12, str 544, ark. 22, ZAWADZKI).
149. Ewangelije Polskie i Żmujdzkie na niedziele i wszystkie święta całego roku; (in 16, str. 386, ark. 12, ZAWADZKI).
150. Patronkaj szcieśliwas smerties Barboraj Szwentaj Karunka, etc.; (in 12, str. 24. ark. 1; DWORZEC).
151. Hryć, dramat Ukraiński w pięciu aktach—Z podań ludu i z wydarzenia pod koniec ośmnastego wieku—Marek Jakimowski— Duma, przez A. Grozę; (in 16, str. 200, ark. 6¼; ZAWADZKI).
152. Officium defunctorum Ordinis Carmelitarum; (in 8, str. 69, ark. 3; BLUMOWICZ).
153. Directorium Divini Officii recitandi Missarumque Celebrandarum ad usum Fratrum ordinis Minorum Sancti Francisci Conventualium in Imperio Rossico pro anno Domini 1859; (in 12, str. 59, ark. 3; ZAWADZKI).
154. Officyum albo codzienne nabożeństwo ku większéj czci i chwale Boga etc; (in 12, str. 354, ark 14¾; ZYMELOWICZ).
155. Rożanczius Szwęczius Marios Panos ir saldziausi warda Jezusa, etc.; (in 16, str. 351, ark. 11; ZAWADZKI).
156. Masechet Berachot, t. j. o wszystkich szczegółach do modlitwy i chwały Bożéj, część I; (in fol. str. 463, ark. 116; ROMM).
157. O Maryo, bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy; (in 8, str. 4, ¼ ark.; MARCINOWSKI).
158. Kto Go kocha, wie wszystko, umie wszystko i posiędzie wszystko; (in 8, str. 4, ¼ ark.; MARCINOWSKI).
159. Bes Jehuda, t. j. dom Jehudy, czyli historya rozszerzenia wiary Izraelskiéj, część druga; (in 8, str. 182, ark. 11; ROMM).

160. Краткая солдатская памятная книжка, Новоингерманландскаго пѣхотнаго полка; (in 12, str. 23, ark. 1; Dworzec).

161. Directorium Divini Officii recitandi Missarumque Celebrandarum ad usum Fratrum ac Monialium ordinis Carmelitarum Discalceatorum in Russia editum pro anno Domini 1859; (in 12, str. 65, ark. 2¼; Marcinowski).

162. Directorium Officii Divini recitandi di sacrique peragendi in Dioecesi Camenecensi in annum Domini 1859; (in 12, str. 131, ark. 5½; Marcinowski).

163 Nauka Chrześcijańska dla młodzieży postępującéj, zebrana z dzieła xiędza Leonarda, wydanego w Wiedniu, dziełko szkołom w Królestwie Polskiém polecone, wydanie siódme; (in 12, str. 211, ark. 9; Zawadzki)

164. Два привѣтствія и одно слово, Сvнодальнаго члена Іосифа, митрополита Литовскаго; (in 12, str. 27, ark. 1; Zawadzki).

165. Prospekt na Podróż do Włoch, napisaną przez Józefa Kremera professora Jagiellońskiego uniwersytetu i szkoły Sztuk Pięknych, Autora Listów z Krakowa; (in 8, str. 16, ark. 1; Zawadzki).

166. Gromota Łyugszonu uz guda Diwa Kunga ikszan, etc.; (in 12, str. 490, ark. 22; Marcinowski).

167. Chumesz, t. j. Pięcioxiąg Mojżeszowy, z komentarzami Targum-Unkelet, Rasze, z dodatkiem Szyr-Haszyrym, Ruth, Ejcho, Kehelet, i Ester, z objaśnieniami Rasze; (in 4, str. 508, ark. 64; Romm).

168. Seder Tefiłot Mikoł Haszana im Teitsz, t j zbiór modlitw na cały rok z tłómaczeniem Niemieckiém; (in 8, str. 431, ark. 27; Romm).

169 Halichet Kedem, t. j. opis starożytności Palestyny i Egiptu, przez K Szulmana nauczyciela języka Hebrajskiego w Wileńskiéj żydowskiéj szkole Kommercyjnéj; (in 12, str. 130, ark. 6; Romm).

170. Masechat Gitan, t. j traktat z Talmudu Babilońskiego o rozwodach; (in 8, str. 340, ark. 21; Romm).

171. Bawa Mecya, t. j. średnia brama, czyli traktat o zwracaniu rzeczy znalezionych, oraz o innych przedmiotach mających związek z dawném Izraelskiém postępowaniem sądowém; (in 8, str. 486, ark. 30; Romm).

172. Apej Brostwą Błajwisties arba nusiturieima; (in 16, str. 16, ½ ark.; Zawadzki).

173. Dziesięć uwag dla osób w smutku i utrapieniu zostających; (in 18, str. 36, ark. 1; Zymelowicz).

174. Grammatyka języka Polskiego, skrócona, napisana przez Antoniego Odrowąża Kamińskiego; (in 8, str. 190, ark. 12; Marcinowski).

175. Grammatyka języka Polskiego, napisana przez Antoniego Odrowąża Kamińskiego; (in 8, str. 262, ark. 16½; Marcinowski).

176. Franciszek z Assisu, kantata, przez Władysława Syrokomlę; (in 8, str. 31, ark. 2; Marcinowski).

177. Szkolne czasy, nowe opowiadanie Jana Dęboroga, przez Władysława Syrokomlę; (in 12, str. 74, ark. 3½; Rozenson).
178. Directorium Horarum Canonicarum et Missarum pro Dioecesi Luceoriensi in annum Domini 1859; (in 12, str. 114, ark. 4¾; Zawadzki).
179. Kopa z naddatkiem bajek naszych pisarzy dla młodzieży płci obojéj, zebrał i wydał Ignacy-Piotr Legatowicz; (in 16, str. 62, ark. 2; Zawadzki).
180. Dawna przodków naszych obyczajność, to jest ustawy obyczajności, przyzwoitości, przystojności i grzeczności, napisane i wydane przez Ignacego-Piotra Legatowicza; (in 16, str. 50, ark. 1½; Zawadzki).
181. Teka Wileńska wydawana przez Jana ze Śliwina, Numer szósty; (in 8, str. 370, ark. 25½; Glücksberg).
182. Directorium Horarum Canonicarum, nec non Missarum, in annum Domini 1859 pro Dioecesi Tiraspolensi; (in 12, str. 100, ark. 4¼; Zawadzki).
183. Положеніе о Человѣколюбивомъ обществѣ въ городѣ Вильнѣ; (in 8, str. 24, ark. 1½; Zawadzki).
184. Ustawa Towarzystwa Dobroczynności w mieście Wilnie; (in 8, str. 24, ark. 1½; Zawadzki).
185. Sprawozdanie Wileńskiego Towarzystwa Dobroczyności za rok 1857; (in 4, str. 32, ark. 4; Zawadzki).
186. Elementa puerilis institutionis legendi idioma, latinum et in eodem inserviendi Sacrificio Missae cum quibusdam orationibus pueris consonis etc.; (in 8, str. 60, ark. 3½; Zawadzki).
187. Pociecha dusz wiernych przeciwko bojaźni śmierci, nowo wydana, przez Tomasza Stankara; (in 12, str. 346, ark. 15; Glücksberg).
188. Уставъ Высочайше утвержденнаго Виленскаго Скаковаго общества; (in 8, str. 50, ark. 3; Dworzec).
189. Mistre Paryz, t. j. Tajemnice Paryża, przełożone na język czysto Biblijny, przez K. Szulmana, część III; (in 8, str. 192, ark. 7 Romm).
190. Szwentas Izydorius Artojas (Iszlinkiszka pergulde K. M.; in 16; str. 84, ark. 2½; Marcinowski).
191. Dramata i komedye przez Artura Barthels, serya I; (Serce, brata dramat w 3-ch aktach, Niewiniątko komedya w 1 akcie); (in 12, str. 182, ark 8; Rozenson).
192. Directorium Horarum Canonicarum et Missarum pro Dioecesi Telsensi seu Samogitiensi in annum Domini 1859; (in 12, str. 144, ark. 6; Zawadzki).
193. Senas Auksa Ałtorius arba surynkimas Iwayriu Małdun etc.; (in 16, str. 571, ark. 18; Zawadzki).
194. Sefet Kesiwot Ołam, t. j. ścieżki świata, przez inspektora szkoły Rabińskiéj H. Kacenelenbogena; (in 12, str. 330, ark. 12½; Romm).
195. Tikun Lel Szewuot Wehoszana Raba, t. j. modlitwy odmawiają-

ce się w wigiliję świąt Szewuot i Hoszana Raba; (in 8, str. 372, ark. 23; ROMM).

196. Dyetetyka homeopatyczna, prawidła dyetetyczne nieodbicie potrzebne przy homeopatyczném leczeniu, przez sztab-lekarza T. Hausmana R. D.; (in 16, str. 31, ark. 1; MARCINOWSKI).

197. Rys geografii powszechnéj, na wzór Fr. Xaw. Ansarta, etc.; (in 16, str. 270, ark. 8½; ZAWADZKI).

198. Nauka czytania pisma Polskiego dla małych dzieci etc.; (in 8, str. 28, ark. 2; ROMM).

199. Ordo Divini Officii recitandi Missaeque Celebrandae juxta Calendarium et Rubricas Breviarii Missalisque Romani ac nostri peculiaris Novissimae ad usum FF. Minorum S. P. N. Francisci Capucinorum provinciae Russiae etc.; (in 12, str. 64, ark. 3; ZAWADZKI).

200. Bawa Mecya, t. j. średnie wrota czyli traktat o zwrócie rzeczy znalezionych, tudzież o innych przedmiotach mających związek z dawném sądownictwem Izraelitów; (in fol, str. 287, ark. 59½; ROMM).

201. Памятная книжка Виленской губерніи на 1859 годъ; (in 12, str. 111, ark. 5½; ZAWADZKI).

202. Der Rabbiner und der Lehrer was sie ihrem Volke sein sollen, Rede gehalten am Sabbath parscha Korach, den 30 Siwon 5618 (31 may 1858) in der Rabbinen-Schule zu Wilna, von S. Minor; (in 12, str. 35, ark. 1½; ZAWADZKI).

203. Directorium Horarum Canonicarum et Missarum juxta Rubricas Breviarii et Missalis Romani ac Decreta S. R. congregationis ad usum FF. Ord. SSS. Trinitatis Provinciae S. Joachim conscriptum, pro anno Domini 1859; (in 12, str. 50, ark. 2; BLUMOWICZ).

204. Directorium Divini Officii et Missarum pro Congregatione Canonicorum Regularium Lateranensium in annum 1859 conscriptum; (in 12, str. 51, ark. 2; BLUMOWICZ).

205. Ordo Totius Divini Officii persolvendi pro anno Domini 1859 tertio post bissextilem, in commodum cleri Archidioeceseos Mohiloviensis etc.; (in 12, str. 152, ark. 6½; ZAWADZKI).

206. Ordo Divini Officii ac Missarum juxta ritum Monasticum et Decreta Sacrae ritum Congregationis persolvendi, in commodum religiosorum ordinis Sancti Patris Benedicti etc.; (in 12, str. 72, ark. 3; ZAWADZKI).

207. Directorium Divini Officii recitandi Sacrique peragendi juxta ritum S. R. Ecclesiae et Rubricas Breviarii ac Missalis ad usum Religiosorum ordinis Eremitarum S. P. Augustini, pro anno Domini 1859; (in 12, str. 55, ark. 2½; MARCINOWSKI).

208. Новый Русскій букварь, заключающій азбуку, и т. д.; (in 8, str. 28, ark. 2; ROMM).

209. Seder Hatfiłosz Mikoł Haszana, t. j. modlitwy na cały rok; (in 24, str. 496, ark. 8; ROMM).

Podług powyższego spisu, roczny rezultat czynności drukarskich w Wilnie otrzymaliśmy jak następuje:

NAZWA DRUKARNI.	ILE KTÓRA WYDRUKOWAŁA.															
	Polskich		Litewskich		Rossyjskich		Łacińskich		Niemiec.		Hebrajskich		Mięszanych		Razem	
	dzieł	ark.	dzieł	ark.	dzieł	ark.	dzieł	ark.	dzieł	ark.	dzieł	ark.	dzieł	ark.	dzieł	ark.
Zawadzkiego	36	432¾	10	48	5	20	13	86¾	2	2½	—	—	7	82½	73	672½
Marcinowskiego (licząc w to i niepomieszczony w spisie *Słownik języka Polskiego*, którego co miesiąc wychodzi nie mniéj nad trzy arkusze, oraz *Kuryer Wileński*, którego co tydzień wychodzi około 5ciu arkuszy) . . .	15	144½	2	24⅓	—	—	3	8¾	—	—	—	—	2	262	22	439¾
Glücksberga	4	132¼	—	—	1	1	—	—	—	—	—	—	—	—	5	133¼
Rozensona (dziś Syrkina)	12	69	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	12	69
Dworca	6	26½	2	4¼	4	10½	—	—	—	—	—	—	—	—	12	41¼
Romma	2	7	—	—	1	2	—	—	1	2	55	1527⅔	1	9	60	1547⅔
Zymelowicza	7	44	2	6½	1	2	—	—	—	—	—	—	1	18	11	70½
Blumowicza	4	7	—	—	—	—	3	7	—	—	—	—	—	—	7	14
Rządowa (wydaje Wiadomości gubernijalne raz na tydzień, około arkuszy 2ch)	—	—	—	—	1	104	—	—	—	—	—	—	—	—	1	100
Wszystkie więc razem drukarnie wydały w ciągu roku	86	863	16	83¼	13	139⅓	19	102½	3	4½	55	1527⅔	11	37½	203	3087½

LISTY Z WARSZAWY.

I.

Pogląd na życie Warszawskie. Karnawał. Koncerta. Cyrk. Teatr; komedye. Krytyka. Nówsze dzieła: Wasilewskiego, Lewestama, Wojciecha Szymanowskiego, Gliszczyńskiego, Encyklopedya, Talmud, Wolne Żarty i Szpargały humorystyczno-artystyczne. Kronika. Nasze redakcye.

Amicus Plato, amicus Aristoteles, sed major amica veritas.

Obwiązawszy pismo nasze powyższą dewizą, przesyłamy ją jako herolda sprawozdawczéj pracy, w celu obdzielenia się nią w pokorze ducha za stołem jedności braterskiéj z tymi wszystkimi, którzy niemają sposobności przyjrzenia się twarzą w twarz naszéj powabnéj *Syrenie*, przez dzieje Warszawą nazwanéj. Niech te cegiełki lepione z współczesnych objawów na polu obyczajowości i umysłowości społeczeństwa starszéj siostry Gedyminów grodu, przyłożą się choć w części do téj mozaikowéj budowy, jaka się pod twojém przewodnictwem, szanowny Redaktorze! wznosi na pożytek bratni. Z upragnieniem chcielibyśmy spoić ten miejscowy urób zapałem ku wszystkiemu, co tylko wzniosłe i piękne, co nas tu wzrusza i uzacnia;—chcielibyśmy pominąć na téj drodze, po któréj Dyogenes z latarką śród dnia chodził, to wszystko, co się żądłem gadu z pod stóp wychyla lub cierniami pychy dokucza. Lecz obowiązki sprawozdawcze każą nam być źwierciadłem, w którém się nietylko promienie słońca, lecz i ciemne nocne szaty odbijać muszą; trzeba więc przybrać rolę Ezopa, wrzucającego do sakwy chléb przed

siebie a kamienie za siebie; trzeba na cześć zacnych objawów palić kadzidła na dziękczynnym ołtarzu, a brudy i gruzy spychać do dołu-czasu, który przydeptany, wydać może za czasem kwiaty i owoce, jeżeli go większość lepszemi uprawi czyny.

Któż niezna Warszawy, tego pięknego rozrastającego się wciąż polipa, osiadłego na Warszowéj wyżynie, obmywanego białą, nieoblamowaną dotąd wstęgą Wisły, niegdyś przez lud Białą-wodą zwanéj? Kto niezna jéj setnych pałaców, kilku piękniejszych kościołów, lub owych świetnych bławatnych sklepów, ustrojonych w zagraniczne draperye i mnogie światła gazowe, niby najwspanialsze świątynie? Kto niezna wysławianych wdzięków naszych mieszkanek dziś krynolinami do nieskończoności spotęgowanych? Kto niesłyszał o jéj roju *biednych* urzędników siwiejących w *bogatych* pałacach lub w końcu, kto niewie? o naszéj, 40,000-cznéj klassie ludności, w dwóch trzecich prawie częściach drwiącéj z krwawéj pracy już to z pod sień *bankowéj Krymki*, już też laskami faktorstwa i przebiegu przywołującéj na nas wszystkie *klęski Egipskie* z dodaniem *lichwiarstwa* i *cynicznéj spekulacyi?* A choćby też kto i nieznał tego wszystkiego, my niemyślimy wdzierać się w prawa architektów, topografów i usłużnych wujaszków całéj Warszawy, którzy wszystkim pochwalne peany trąbić gotowi. Zadaniem naszém będzie wnikać głównie w świat duchowo-moralny, niemniéj rozmaity, niemniéj błyszczący i miejscami brudny jak sama nasza stolica: wznoszą się i w nim także świątynie, jedne dla szlachetności, ale są i świątynie dla złotych bałwanów, okadzanych trybularzami pochlebstwa i znikczemnienia; są i tu obszerne, proste ulice prawości i prawdy, ale wiją się także i zaułki fałszu i obłudy konwencyonalnéj, jak to się trafia szczególniéj w większych massach ludności, gdzie powierzchowność bywa najczęściéj kluczem do otwierania stosunków towarzyskich i społecznych. Nawet obecny wykład fizyologii przybysza Lemerciera w resursie kupieckiéj odbywany, nic się tu nieprzyłoży do odgadnięcia istoty ducha, bo wszechwładne stołeczne przysłowie: „jak cię widzą, tak cię piszą",—rozsiadło się na naszym bruku rozlegle, wywoławszy swoją fałszywą nauką tysiące małpich futer, złotych łańcuchów i balonów damskich, dla pokrycia częstokroć rzeczywistéj rdzy ubóztwa duszy i serca.

Spójrzawszy *à vol doiseau* na to życie Warszawskie, niespostrzeżesz na tle jego różnych na pozór pulsów w porównaniu z innemi stolicami Europy; życie to przedstawi ci się mrowiskiem, gdzie niezliczone żyjątka porają się gorączkowo tu i ówdzie, często jedno depcząc po drugiém, i dążą na pozór Bóg wie

gdzie i po co? Opuściwszy wzrok niżéj, ujrzysz żyjącą dyoramę, w któréj żałobne szaty, pstrocizna Stańczyków, togi poważne, lotne Rusałki, czarne Mefistofele i błyszczące słońcem postacie przesuwają się i krzyżują po mnogich drogach. Gdy ucha przychylisz, posłyszysz, że jednym wtoruje ponury dźwięk pogrzebowego dzwonu; drugim chóry serafów po złotych strónach pieśń szczęścia chwilowego przygrywają i szatami brylantów osłaniają skronie; a innym poświst ojczystych wichrów i skargi drzew rodzinnych jedyną ochłodę w boleściach za wszystkich braci w serce zwiewają, najczystsze zaś perły bez niedoli i zapału światło im po drodze niecą. W końcu wszyscy się łudzą, wszyscy stawiają zamki na lodzie, które sroga dłoń śmierci zawsze obala i w nicość obraca na wieki, jeżeli pod strzechą tych zamków rozsiadło się sobkowe plemie żądań i chuci. Lecz stanąwszy z téj górnéj pozycyi w kole swéj braci i zmięszawszy się z ich sercami i głowami, przylgniesz zwolna do tego spotęgowanego gwaru i bruku, na którym poważne postacie serca i czynu, pracujący cicho i bez szumu w winnicy ojczystéj, na którym bracia duchowi i siostry rodzinnego zapału obejmą cię w swém gronie wirowém i przyniewolą swym torem spełniać czarę przeznaczeń i zwijać ciężkie pasma obowiązków swoich, śród tak lekkiéj na pozór i błyszczącéj atmosfery stołecznego życia.

Życie Warszawskie do prowincyonalnego ma się tak, jak nurty bystrego potoku do cichych prądów strumyka; oba do jednego celu zmierzają i wpadną oba, choć w odwrótnym stosunku szybkości, do morza wieczności, zostawiając po sobie prawie jednakie skutki swojego przepływu. Łódka życia po bystrym potoku prędzéj do kresu swojego przejedzie niż po powolnym strumieniu,—i gdzie większa korzyść? trudno oznaczyć; obie łodzie wypełnią swoje, a w obec ludzkości ta ma większe zasługi, która prędzéj przeznaczenia dokona, mniéj strwoniwszy czasu.

Mówią, że w zabawie najlepiéj się charakter człowieka maluje, że zaś społeczność jest zbiorowym człowiekiem, więc mamy Warszawę w obecnéj karnawałowéj porze na gorącym uczynku. Wywodzić jeremijady na zabawy i tańce byłoby anachronizmem w spółczesnym nam rozwoju towarzyskich potrzeb i wyobrażeń. Zabawa dla ludzi pracy jest tak potrzebną jak promień słońca dla kwiatów wynurzających z pod śnieżnych dachów swe powiędłe czoło. Człowiek pochopny do żywéj zabawy prawie zawsze ma lepsze serce od ponurego; to samo da się przystosować i do narodu. Lubimy tańczyć i ponosić wydatki

na przyjacielskie zabawy, nikt też nas niepomówi o sybarytyzm lub sobkowstwo i wyrachowanie ościenne; lecz każdemu z nas powinna być pamiętna ta maxyma: wedle stawu groble sypią. Tylko wieszczom narodu cierpiącym za siebie i za wszystkich wolno jest powiedzieć:

Tańczcie, gdy was taniec łudzi,
Ja garść śmiechu rzucę wam!

Rok nowy spójrzawszy znów w przyszłość 4-ma twarzami, niby nasz Światowit na 4 strony świata, na Warszawę obecnie zwrócił twarz ciągłemi łzami niebios zalaną, która się kiedy indziéj zimą nazywała, a dziś właściwie nazwę jesieni przybraćby powinna. Ta też twarz spłakana popsuła, znać zrazu humor karnawału, szczególniéj w obu resursach, Dolinie Szwajcarskiéj, kompletach u nauczycieli tańców i salach ludowych, które za lat poprzednich nieprzestawały w danych chwilach zacząwszy od *Kamiennych schodków* do *Trzech krzyżów* wabić ku sobie tłumami zwolenników Terpsychory, Bachusa. Obecnie karnawał czyli po-staremu mięsopust wyrywa się już jakby z podzaklęcia, szczególniéj w miejscach zabaw publicznych, w którém go czasy krytyczne na kieszenie nasze trzymały i zwracały nieco żądze nasze do porządku, sprawiwszy dotąd mały ruch w sklepach bławatnych, oraz niejaką zmianę w zbytkowych karnawałowych strojach. Te też przyczyny zrządziły, iż rogi ulic Warszawy nieoblepiają się dotąd olbrzymiemi głoskami balów tak imponująco, jak to bywało za lat dawniejszych, gdy i *rajskie* zabawy na chwilę obyczajowość naszę ćmić poczynały. Lecz pobieżne spostrzeżenie mniejszych objawów zbytku nic jeszcze niestanowi; u nas chęć pięcia się nad stan i nieobrachowanie się z przychodem nie tak rychło za dziesiąte granice wypłoszonemi zostaną; *Polska buchalterya* całkiem jest inna od *Włoskiéj* i *Niemieckiéj*, ostatnich trzymają się tylko po biurach, piérwsza rozsiadła się w prywatnych domach: *debet* nazywa się mężem, *credit* żoną, a *conta* córkami i synami, *redukcyą* zaś częste bale, sygara, gazy, stuzłotowe stroje na głowę, preferanse, czasem rogaty djabełek i t. d. Oczywiście, że *rachmistrzami*, takiéj buchalteryi stają się nielitościwie zdzierający lichwiarze, krawcy, na równi dziś z nimi u nas stojący, daléj modniarki i t. d., zkąd *bilans* zawsze musi przedstawić pod linijką okropny *credit*! Lecz jeśli przyjdzie ta błogosławiona chwila reakcyi ku oszczędności, jeżeli wkradająca się powszechna bieda zwróci nas ku energicznéj jedności na polu przemysłu, prywatnych stosunków i wszelkiéj rodzinnéj pracy, wtedy

na pamiątkę tak szczęsnéj zmiany pomnik spiżowy wznieśćby należało. Bez wątpienia przyjść musi ta ważna epoka w obyczajowości naszéj, złamiemy w końcu kark téj cholerycznéj postaci, bodaj jak najprędzéj.— Zwracając się do resurs, wspomnimy, że te dwie instytucye zabaw publicznych całkiem się różnią od siebie; każda z nich ma tradycyonalne swoje cechy i barwy, które im wyłączność nadają. Chcąc swe oczy olśnić przepychem i wdziękiem talij i strojów Warszawskich *rusałek*, oraz przyjrzeć się *dobremu-tonowi* naszego miasta, należy się udać do resursy kupieckiéj, inaczéj wielką nazwanéj. Doborowa orkiestra Lewandowskiego i Kuhnego z chórku zagrzewa do pląsów, błyszczące oczy rozpromieniają światła żyrandolów, a alebastrowe obnażone ręce i dekoltowane gorsy nęcą lubo w koło wirowe, w które się jednak mięszaj z oględnością, byś niedoznał losu Ikara śród przechodzących ze śródka saloniku skupionych mężczyzn, niewiadomo dla jakiéj przyczyny w ten sposób zawadzających zwolennikom tańca. Ztąd też się dzieje, że wielu z młodzieży naszéj często przez resztę nocy stara się na *kompletach* realizować zasoby swych pragnień i gorączkowego nastroju. W ogóle resursa kupiecka jest przybytkiem salonowéj ceremonii i mistrzynią mody, lecz nigdy prawdziwéj zabawy, do jakiéj każdy Polak wzdycha, mając to w krwi swojéj, iż kiedy się bawić, to już z całéj duszy! dla tego też z resursowego tam mazura małobyś mógł wnieść o usposobieniu naszém, w którym się przecięż tak dobitnie ono maluje, gdy jest tańczony z duszą i niekrępowaną choć również przyzwoitą swobodą. Być może, iż obce narodowości, jak salonowa dyplomatyczność Francuzka, chorowanie na spleniczną oschłość synów Albijonu i tak zwana u nas *druga arystokracya* wschodnia, wpływ pewny na to ognisko zabaw wyższéj naszéj sfery wywarły. Za to resursa Nowa jest najpopularniejszém u nas miejscem dla osób szukających rozrywki w spotęgowanych kołach szału i w więcéj swojskiéj, szczerszéj ochocie, mniéj dbając o to, czy na ich ramionach dłoń hrabiowska lub bankierowska spoczywa.

Mniejszą o jeden stopień degradacyą w tym rodzaju zabaw, co do jakości zgromadzonych osób stanowi salon Doliny Szwajcarskiéj w Alejach. Najpotrzebniejszy z publicznych salonów, ma on wszelkie warunki do wesołéj i swobodnéj zabawy; a liczna orkiestra Bacha, Niemca, rozrucha najsztywniejsze nogi, boć zdarza się u nas widzieć starców z nad mogiły, biorących co rok lekcye tańców i uczących się wiecznie lansyera i polki, co im pomaga jak umarłym kadzidło. Rażącą znowu sprzeczność z tymi woltyżerami emerytalnymi, stanowią drobniuchne skry-

nolinowane elfy, uwijające się po tym salonie, które Niemieckie mamy wprowadzać zwykły, i które dla porządku rzeczy jeszcze z lat kilka przy taboreciku siedziećby mogły.

Wspomniany dyrektor orkiestry bawiący u nas od początków lata, wykonywaniem obcych i swoich kompozycyj, ściąga do salonu tego codziennie liczne zastępy miłośników Polyhymnii; lecz sympatyę tę pozyskał on nietyle znakomitą biegłością orkiestrową, bo o téj po Bilse'm jego poprzedniku z Lignicy tu przybyłym, niełatwo nas przekonać. Pozyskał on ją raczéj przysługiwaniem się zręczném przez odgrywanie naszych narodowych melodyj, które w *Wieńcu melodyj* i *Kwiatach Polskich* dość pięknie po sali rozsiewa, już to płacząc łzami Halki (Moniuszki), strzelając z armat w marszu x. Poniatowskiego, brzmiąc polonezowym pochodem Kościuszki; już też strojąc po-wiejsku skrzypki z grzmotem podkówek krakusów, hucząc oberkiem mazurów, niepominąwszy i skocznych dźwięków Tatrzańskiego kobziarza. W każdym razie to zajęcie się naszą narodową muzyką jest choć małą oznaką wdzięczności przybysza za hojne Polskie złote; a mamy tych przybyszów zawsze co niemiara, zacząwszy od Tyrolów po bawaryach, magików: Epstelna, Debraina, aż do d-ra Lemerciera kończącego już podobno interesujące dosyć swoje prelekcye fizyologiczne z stosownemi ku temu aparatami.

W ogóle wszystkie u nas obce muzy znachodzą przytułek; narodowe malarstwo tylko najniżéj w tym względzie stoi, bo też artystyczny pędzel niema i niemiał swéj opiekuńczéj muzy, a czasby mu było ją przystawić. Ze wszystkich sztuk pięknych muzyka u nas najrozleglejszego doznaje przyjęcia, dosyć tylko jest wspomnieć, iż każdy średniéj nawet zamożności dom uważa piano za mebel najpotrzebniejszy; a zauważać także należy, że niéma najsłynniejszego w Europie smyczka, gitary lub nawet świeżo wynalezionego ophikleidonu, któryby przez Warszawę po dalsze niesięgał laury. Niemoże więc nas obwinić to dawne twierdzenie: „Kto nielubi dzieci i muzyki, ten niejest dobrym człowiekiem." Niedawno podziwialiśmy talent rodziny Nerudów, szczególniéj wirtuozki Wilhelminy, lecz podziwialiśmy ci tylko, którym płody Słowiańskiego natchnienia podwójną brzmią wartością; bo jest u nas kasta potężna swemi dążnościami i szkatułami, która jedynie z fizyonomii sobie właściwéj lub podobnéjże nazwy, wróżyć zwykła z góry cóś nadzwyczajnego, a umiejętność téj fizyonomancyi, znać w wysokim

posiada stopniu, kiedy odrazu pana Reinhardta tenorzystę opery Londyńskiéj, niedawno tu występującego w Hugonatach, nad Dobrskiego przeniosła! Prawdziwi zaś bezstronni znawcy widzieli w nim tylko dobrego salonowego śpiewaka, lecz zasłabego na śpiewaka opery, w któréj z tym samym przymiotem występuje u nas p. Stierling protegowany przez powyższą kastę. Wszakżeż ona i Dobrskiego polubiła z zapałem za to, że w operze Żydówka tak długo w hałasie śpiewał! Wolelibyśmy jednak nad wszelkich niedouczków Stierlingów i Reinhardtów posłyszeć tu na scenie rodaka naszego Ostrowskiego, który niedoznawszy w swéj ziemi uznania znalazł go hojnie w Dreźnie, gdzie pod Niemieckiém nażwiskiem poklaski znawców odbiera.

Koncerta rodziny Neruda mimowoli ważną tu rolę odegrały, aby ich kilkoma tylko słowy pozbyć. Najprzód obiegały dziwne rozumowania, że smyczek wcale jest niestosowny dla płci niewieściéj; zapomnieli jednak ci pseudo-krytycy, że natchnienie i talent niedzielą się na skrzypce, klawisze i tym podobne formy Bozkiego daru, danego dla tych wszystkich, którzy tylko serce i duszę mają: a zresztą wartoby tu przypomnieć te słowa z bajki Krasickiego: „Czy nos dla tabakiery, czy tabakiera dla nosa?“ Ważniejszém nieco odbiciem najbrukowości naszéj nacechowane są jeszcze koncerta téj rodziny: tocząca się sprawa za ogróżki przeciwko redakcyi gazety Warszawskiéj jest tego ostatecznym do dziś wynikiem. Wyjaśniając rzecz tę więcéj, notujemy tu fakt, iż słuszne wykrycie nieprzyjaźnych nam idej i dążności, powyższéj kasty zamieszczone w jedném ze sprawozdań, gazety Warszawskiéj, wywołało zrazu bezimienne listy, w których między innemi starano się dowieść, że Izraelici tylko są przeznaczeni do *odrodzenia tego nieszczęśliwego kraju* swoją jednością w obec *zgnilizny* Polskiego narodu!! Następnie przysłano redaktorowi list z licznemi podpisami, wyzywający go na rękę lub odwołanie tego pod groźbą, co skrycie w swojéj *jedności* chowali. Sprawa ta mimowoli przypomina nam znanego bohatera Urynia!

Dziwnie się tu z tém wszystkiém zestawiają życzenia drukowane w chwilowych zeszłorocznych sprawozdaniach innego autora w téjże gazecie, zachęcające te dwie narodowości kraju naszego do zjednoczenia się duchem, kiedy właśnie ten duch jeszcze tak jest odmienny, jak biały z czarnym kolorem!

Najstosowniejsząby rzeczą zresztą było, aby pismo nasze nas wzywało do jedności na drodze postępu pominąwszy gru-

zy i śmieci, które jedna dłoń silna uprzątnąć może, prostując i oczyszczając drogę. Zresztą, jak wiadomo, około słońca drobne planetki krążyć muszą; niechże więc serdeczność braterska, szlachetność, i wytrwała, rozumna praca, będą naszemi słońcami.

Wyczerpując rzecz o publiczném naszém życiu karnawałowém, potrącimy tu jeszcze o maskarady i cyrk sztucznych jeźdźców. Piérwsze dosyć się udają, jeżeli tylko mnogość masek, domin i ciżba, warunki ich powodzenia mają stanowić. Dobry ton Warszawian zwykł hojnie napełniać sale redutowe w gmachu teatralnym zwolennikami maskarad tylko w środkowe tygodnie karnawału; tak się też i obecnie dzieje; jednakże jak za lat poprzednich tak i dziś ludzi tam dużo, a rzeczy i charakteru mało; maskarady u nas zaaklimatyzować się niemogą, one nie dla nas stworzone, charakter nasz tam, gdzie jest niezepsuty obczyzną, maskowania się nielubi, a intrygi sercowe wypowiadają się oko w oko i zazwyczaj niefałszowanym głosem. Zresztą nakupić dziwacznych masek i strojnych domin jest łatwo, ale trudno nam zastosować dowcip podmaskowy z maskowym wyrazem, a wszakżeż i ta zabawa mógłaby mieć swój cel moralny, bo niczém niekrępowaną szykaną wad i śmieszności ludzkich, przysługi obyczajowości mógłaby czynić; lecz u nas ci, co się przestrajają, sądzą, że nos krzywy lub chałat Żydowski już za wszystko starczą. Maskaradowe zaś 3,000-czne nieraz tłumy nic tu jeszcze nieznaczą, bo u nas i aleje Saskiego ogrodu w lecie podobnie się napełniają, w celu widzenia się wzajemnego i przejrzenia strojów.

Dyrektor sztucznych jeźdźców Hinne doznawszy pogorzeli cyrku na zimę należycie zabezpieczonego, zaraz po piérwszém przedstawieniu, obecnie widowiska swoje odkrył w ujeżdżalni przy Saskim ogrodzie. Warszawianie cisną się na jego sztuki tłumnie, więcéj przez współczucie niż dla dogodności miejsca i czegoś niezwykłego, bo z tém nas Renz aż nadto oswoił, a wygody najmniéjszéj za swój pieniądz spodziewać się niemożna w tém zaimprowizowaném na razie miejscu. Konie tylko piękne i dobrze utresowane, pochwalić należy. Jak w tym wypadku tak i w innych, massy naszéj ludności o brak współczucia obcéj niedoli pomówić niemożna; w czém nas ciągłe utwierdzają objawy, nieprzemilczając i teatrów amatorskich na cel dobroczynny odbywających się w obecnéj porze karnawałego szału.

Przejdziemy teraz na pole naszéj kultury. Najprzód cieszyć się należy, że śród nas znajdują się ludzie, którzy kosztem swojéj szkatuły usiłują wzbudzić drzémiące, może i nie bez powodu, dramatyczne talenta. Premijum p. Edwarda Starzyńskiego sciągnęło z kraju na stół areopagu 25 oryginalnych komedyj walczących o piérwszeństwo. Areopag ten składa się między innemi, z osób przez każdą prawie redakcyę pism Warszawskich po jednéj wyznaczonych. Fr. hr. Skarbek jest tu sędzią prezydującym; wyrok niezadługo nastąpi. Premijum przez xięcia Wasilczykowa w dzień imienin naszego sławnego artysty Żółkowskiego wyznaczone, za napisaną najlepiéj komedyę z główną rolą solenizanta, wywoła także zapewnie wielu współzawodników. Dzięki składamy w imieniu pracujących tym szlachetnym opiekunom sceny naszéj, bo rzeczywiście u nas komedye pisać mogą tylko ci, ktorzy na chléb ciężko pracować niepotrzebują, lub którzy już ustaloną sławą autorską okryci, niedbają o owe 100 zł. przez dyrekcyę teatrów wyznaczanych za każdy akt sztuki, która lat kilka czasem po przyjęciu w repertuarze teatralnym spoczywa, nim wychyli na świat swe komiczne lice. Ludzie zaś utalentowani sypać niemogą jak z rękawa utworów dramatycznych; Korzeniowski napisawszy ich przeszło czterdzieści, zwraca swe pióro ku innnym rodzajom literatury pięknéj; a St. Bogusławski i hr. Alex. Fredro, okrywszy się wieńcami zasługi, zostawili wzór i przykład dla młódszéj generacyi.

Dla téj to młódszéj generacyi, dla utalentowanych a nieokrzyczanych jeszcze autorów, ciężka się zaprawdę próba mieści w doczekaniu się publicznego uznania ich pracy, o czém z przykładów mówimy; a z planu reżyserskiego tak wypada, iż każda obca krotochwila, nawet operetka lub balet, piérwszeństwo mieć muszą co do przedstawienia przed nierozgłośnemi bardzo swojskiemi imionami, za któremi tylko samo dzieło przemawia. Wprawdzie autorom pewnéj już sławy lub pewnego w świecie piśmienniczym stanowiska, autorstwo, choćby się błaho zalecało, prędszego doznaje uznania. Mieliśmy niedawno tego przykład na komedyi *Wiejscy politycy*, i krotochwili *Godzinka u dziennikarza*, które wychyliły się szybko na scenę, lecz zniknęły z niej jeszcze prędzéj, zapewnie bezpowrótnie. O wartości tych utworów już pisały gazety Warszawskie. M. Gliszczyński acz na inném polu, szczęśliwie ominął zabójcze formy puszczenia w świat swojego dzieła, p. t. *Hus i Husyci*, zwróciwszy się bezpośrednio do publiczności przez prenumeratę, i korzystnie wyszedł na tém pominięciu przywilejów monopolowych nabyw-

ców naszych. Radzibyśmy zanotować więcéj podobnych w piśmiennictwie naszém przykładów.

Chcąc przytoczyć najnowsze drukowane w Warszawie dzieła, weźmiemy najprzód na stół *Poezye Edmunda Wasilewskiego* (T. I, Warszawa, nakład xięgarni Gebethnera i spółki r. 1859). Tak z przedmowy autora w 1839 napisanéj, jak i z własnych wspomnień widzimy, że to są poetyczne dzieci zrodzone z różnych chwil autora. W serdeczne objęcia przyjmujemy tę, choć niewszystką jeszcze dziatwę o żałobnych splotach, o paskach tęczowych i poszarpanych koszulkach, które już to jęcząc dźwiękami *Wawelskiego dzwonu*, już też nócąc śpiewami z mogił Krakusa, Wandy i Kościuszki, zlewają swe boleśne pienia z szumem lasów naszych i skargami fal szemrzącemi pod brzegami Wisły. Śpiewak *Skargi drzew* użalił się przed nami ze swoich cierpień, tonem tak rozległym, dźwięcznym i naszym, że kto tylko choć kawałek serca w piersiach swoich czuje, niemoże mu nieoddźwięczyć resztkami tętna swojego łona i pełném westchnieniem uznania niepośledniego talentu. Zimniejszy pogląd fachowego krytyka zarzuci gdzie-niegdzie artyzmowi formy i rytmiczności wiersza, lecz dla nas tu mniejsza, czy szata wszędzie jest cała, byle pod nią pierś spiżowa wydawała dźwięki zdolne poruszyć braci. Bolesław Wiktor - recenzyą swoją w *Kronice* ogłoszoną, dosyć dziwnie ocenił talent Wasilewskiego; zapatrywanie się suche oczyma fachowemi snadź niedozwoliło tu pochłonąć sercem wielkości uczuć poety, nazwanych poniekąd *niesfornemi*; ztąd też Wasilewski u recenzenta jest lichym poetą! Jednakże sprawozdawcy chętniebyśmy dali przydomek znakomitego poety, gdy przysłużył się literaturze naszéj czémś podobném jak *Skarga drzew* i wiele innych Wasilewskiego, niewszystkim dotąd znanych. Sympatyczniéj i słuszniéj ocenił te poezye Kaszewski w Biblijotece Warszawskiéj. Poezye Wasilewskiego dzielą się na *Krukowiaki*, *Sonety*, *Pieśni*, *Dumania*, i w *Imionnikach*, które to ostatnie niesą bynajmniéj ową sztambuchową rutyną, lecz niektóre z nich ustępy mogłyby być ryte na stali. Między perłami tego niecałego jeszcze skarbu poety, podobały się nam najwięcéj: *Dzwon Wawelski*, od *Poetów odpowiedź*, *Widzenia*, *Pieśń wygnańca*, *Marzenie po balu*, *Przy pieśni*, *Pieśń djabelska*, *Pieśń waryata*.

By odgadnąć ogrom uczucia poety, dosyć tu przytoczyć ustęp z *Marzenia po balu:*

„Gdy szaleć, to w szale na wieki utonąć,
Nietylko na krótką tam chwilę;
Gdy kochać to ogniem wulkanów zapłonąć,
Nieprzestać, aż w zimnéj mogile.“

Z takiém sercem i z taką duszą wieszcz musiał w końcu zanócić cierpieniem ogółu:

. . . .
„Pieśń moja gra w piersi szalonéj,
Jak fala co z trupem się pieści,
I wieści méj duszy strwożonéj
Obłudnie jak uśmiéch niewieści.

Pieśń moja do gròbów przypadła,
Jak wianek do trupa dziewczyny,
Jak pająk na róży usiadła,
Jak żmija w kolebce dzieciny.

Gdybym sam pieśń moję usłyszał,
Twarz moja przestrachemby zbladła,
Przestrachembym płuca zadyszał,
A w serce śmierćby się zakradła.“

W pieśni téj odkrysztalił poeta uczucia, cierpienia i walki duchowe,— a objąwszy ludzkość mocą swojéj duszy wieści jéj proroczo:

. . . .
„Lecz światu dziś lekarza trzeba społeczeństwa,
Takiemi bądźmy wszyscy,—a choć burza warczy,
Do przełamania zawad niech nam sił wystarczy,
Lub do zwieńczenia skroni gałązką męczeństwa.“

Na scharakteryzowanie poezyj Wasilewskiego przytoczymy, iż jedność ich i śmiały polot mimowolnie przypominają nam śpiewaka *Słowa Jeremijego*, żałobną swą szatą wywołują wspomnienie poezyj K. Balińskiego, choć wszyscy ci trzéj poeci oryginalnemi postępowali drogami.

Godném ocenienia jest także dziełko Fr. Henr. Lewestama p. n. *Obraz najnówszego ruchu literackiego w Polsce* (Warszawa nakładem i drukiem S. Orgielbranda, 1859 r.). Miło jest wziąć xiążkę krytyczną do ręki, w której cóś pożywniejszego dla umysłu wyczytasz, niż popisywanie się z ciężką erudycyą, błyskotkami stylu lub szermierką pióra. Xiążka leżąca przed nami na stole nierazi nikogo podobnemi własnościami; nieprzestraszy cię tam obosieczna kosa pseudo-krytyki, ani ujrzysz w niéj owych

konikowych skoków, niektórych gazeciarskich recenzentów, którzy ukłówszy to w ucho, to w nos, to w serce autora, kończą często niesmacznym całusem w ucho; lecz wszędy rozlane zdroje powagi i sądu zdrowego doświadczonego na tém polu literata, orzeźwiają twe myśli i poprowadzą z zajęciem twe oczy od początku do końca dzieła. Krytyka niema u nas stałego organu, a usiłowania p. Lewestama w celu wydania nieprzerwanych, w osóbném piśmie krytycznych sprawozdań, rozbiły się o trudność pozyskania odpowiedniéj liczby prenumeratorów. Z tém wszystkiém palmę krytyka trzyma u nas niezaprzeczenie Lewestam, (*) a dotyka nią przedmiotów nie sposobem chłosty Zoila, lecz palcem ojcowskiéj powagi, która się słusznością rządzi. Zarzucają jednak pióru tego krytyka mało sercowego ciepła, może to i słusznie, bo na to trzeba być i poetą; jednakże nikt go niepomówi o brak głębokiego rozumienia estetyczności i rozległych encyklopedycznych wiadomości. Krytyk poeta jest arcykapłanem kapłanów piśmiennictwa,— my takiego stałego, duchownego przełożonego jeszcze niemamy, bo na to trzeba oddzielnego nieprzerwanego wydawnictwa i poświęcenia mu się wyłącznego głową i sercem, zadanie też prawdziwego zacnego krytyka jest wielkie. Lecz dzięki i za te chwilowe recenzye, mogą one młódszéj generacyi wytknąć choć w części drogę śród labiryntu krzyżujących się zdań i sądów w narodzie, gdzie katedra wszechnicy żyje tylko w wspomnieniu i gdzie krzykacze gazeciarscy częstokroć najsprzeczniejsze zdania o tym samym przedmiocie głoszą. Krytyka jest nam koniecznie potrzebną, a choć ś. p. ojciec Baka powiedział, że: „Nie krytyka świat pomyka, lecz odwieczna dłoń Sternika,“ jednak można mu odpowiedzieć Francuzkiém przysłowiem: „Aide toi, et le ciel t'aidera“; bo Bóg dawszy nam wolę, zostawił nam wolność błądzenia i wolność doskonalenia się, inaczéj wpadlibyśmy w objęcia fatalizmu Turków i marnieli jak oni. Dziełko pana Lewestama, obejmuje pokrótce przegląd i uwagi nad niekoniecznie wszystkiemi najnówszémi utworami: W. Pola, Syrokomli, Kraszewskiego, J. Korzeniowskiego, Z. Kaczkowskiego, Szajnochy, Niewiarowskiego, d-ra Tripplina, Lucyana Siemieńskiego, Ad. Pługa, Seweryny Pruszakowéj, H. J(abłońskiego), (przecudny *Gwido*),— i t. p. boć tam niéma wymienionych tu autorów nówszych jeszcze dzieł, jak: *Wita Stwosza, Ułasa, Starosty Kopanickiego, Staréj Osy, Szkicu historycznego* o początku Lachów i t. d; a *Dziennik Warszawski* już prze-

(*) Piérwszeństwo, zdaniem naszem, należy zawsze A. Tyszyńskiemu, co bynajmniéj niezmniejsza znakomitych zasług Lewestama. (pr. Red.)

brzmiał, zostawiwszy do ocenienia nówszą, następczynię *Kronikę*. Dla harmonii dzieła zdałyby się tam były daty przy każdéj recenzyi umieszczone;— dalszego więc pocztu recenzyj z upragnieniem oczekujemy.

Z ważną jeszcze wiadomością z pola naukowego przychodzi nam się podzielić z tymi wszystkimi, którym wzrost ojczystego piśmiennictwa jest wielce interesującą rzeczą. Chcemy tu mówić o *Encyklopedyi* nakładu S. Orgelbranda, jako o dziele, którego brak na półkach naszych ciągle się nam dotykalnie czuć daje. Otóż piérwszy zeszyt już wydrukowanym w tych dniach został; wydawnictwo następnych poszytów, sądzić należy, pójdzie śpiesznie, bo do dzieła wzięto się z zapałem i szczerym zamiarem wytrwałości. Praca więc półroczna komitetu redakcyjnego, obok poprzednich mechanicznych przygotowań przy zbieraniu wyrazów z różnych naukowych źródeł a szczególniéj z olbrzymiéj Encyklopedyi Mejera, wydała już widomy skutek; spółpracownicy się garną, najsłynniejsi literaci miejscowi i zagraniczni nieodmawiają swojego pióra,—w ogóle będzie to, sądząc z początków, porządnie i treściwie opracowany skarbiec wszelkich umiejętności z rozleglejszym zwrótem ku rzeczom Polskim i Słowiańskim, oraz z zachowaniem ścisłém wszelkich przepisów i dogmatów naszéj wiary, co mu typ miejscowy Polski zapewnia. Mężowie na polu literackiém zaszczytnie znani, jak Lewestam, Pankiewicz, Rogalski i Wojcicki, stanowią redakcyę wraz z naukowym nakładcą, i roztrząsają prace spółpracowników na ustanowionych stale w tym celu posiedzeniach. Posiedzenia te zwiększane nieraz zaproszonymi literatami, niesą obok tego bez pewnéj styczności z rozwojem naszego języka, często wyradzają się tam kwestye, mianowicie co do nieustalonéj jeszcze naszéj pisowni, o których rozstrzygnięciu warto tu wspomnieć. I tak postanowiono między innemi w całém tém dziele używać zgłoski *X* w cudzuziemskich tylko wyrazach, podobnież litery *g* nieprzemieniać na *j* w wyrazach z obczyzny nam przybyłych *np. generał, geodezya* i t. p. Wszystkie przymiotniki, które w połączeniu z rzeczownikami stanowią imiona własne *np. Lombardzko-Weneckie* królestwo, pisane będą dużemi na początku głoskami, podobnież zbiorowe nazwy narodów jak: *Polak*, *Francuz* i t. p.,— bynajmniéj niezapatrując się na nowatorstwo niepotrzebne dzieł Lwowskich,—gdzie np. *morze białe* dla niejednych wydawaćby się mogło koloru białego. Głoska *j*, ów gordyjski węzeł naszéj pisowni, przez jasne i na zasadach języka oparte wywody znanego filologa p. Papłońskiego, znalazła tu wyraźne swoje określenie.

Z tytułu ilości zaproszeń rozesłanych do literatów Polaków w kraju i za granicą, można wziąć miarę co do statystycznéj liczby naszych uczonych. Zaproszeń tych było w ogóle do 460, z czego na samą Warszawę przypadło 260 z górą. Encyklopedyę tę postanowiono objąć mniéj więcéj w 20 tomach, formatu Brokhauzowskiego *Conversations Lexikonu.*

Życzyć tylko należy temu pożądanemu dziełu podobnego niepraktykowanego w dziejach xięgarskich pokupu, jakiego doznał wydany świeżo nakładem tegoż xięgarza i typografa S. Orgelbranda przedrukowany *Talmud*, którego 4,000 exemplarzy w okamgnieniu między wyznawców jego się rozeszło, tak że wydawca nowe wydawnictwo zamyśla. Talmud ten, będąc zbiorowym komentarzem do Biblii Izraelitów, składa się z 12 tomów, a cena dzieła wynosi 300 złp.

Między pojawionemi tu świeżo xiążkami, z tytułu przynajmniéj pomysłu, należy wspomnieć także o dwóch dziełkach Wojciecha Szymanowskiego p. n. *Gra z geografii królestwa Polskiego, z tablicą gry* przedstawiającą ważniejsze punkta naszego kraju, oraz *Geografija królestwa Polskiego.* Jest to kompilacya nieszczególna, a własne poglądy autora mianowicie w początkach drugiego dziełka, mogłyby być za setne wygnane granice; w ogóle zaś wydanie liche a mianowicie blada trudna do rozpoznania rycina wcale niezaleca litografii, w któréj odbita. Cena też wygórowana jednego dziełka 90 a drugiego 60 kop. jest czystą igraszką z cudzych kieszeni.

Wolne Żarty, które tu sobie wiele sympatyi zjednały, zastąpione zostaną nowém illustrowaném peryodycznie wychodzić mającém pismem pod nap. *Szpargały humorystyczno-artystyczne przez bocianów Polskich.* Ciekawiśmy dalszéj dążności tego rodzaju publikacyj, jak dotąd Wolne Żarty przemknęły nie bez pewnych zasług dla narodowego dowcipu, któremu węgielny kamień położyli: Żółkowski swoim *Momusem*, i kawaler naturalnego krzyża *Ramotami.* Pismo takie będące dowciwnie karzącą satyrą, powinno zajmować w czytelni domowéj takie stanowisko jak komedya na scenie, to jest głównie tchnąć żartami, wady narodowe lub wkradające się poprawiającemi: dla tego też postać *Wujaszka całego świata* jest tu nader korzystnym pomysłem; przedstawiał on się niejednokrotnie doskonale, lecz może jeszcze większe wyświadczyć przysługi, gdy rozmaiciéj, rozleglej i głębiéj w stan społeczeństwa naszego spoglądać będzie, depcząc ironiją plugawe robactwo nurtujące najzdrówsze jego pokłady.

Zarzucali tu niektórzy nieoryginalność téj postaci, utrzymując, jakoby co do swego charakteru był naśladownictwem *Eisel'a*

i *Beisel'a* z Niemieckiego Kladerradatscha przeswojonego; w prawdzie na widok Wujaszka przypomina się mimowoli Eisele, lecz życia jego jest czysto swojskie. Między najdowcipniejszemi częściami téj publikacyi liczą się *doniesienia*. W Kronice nieporozumień literatów tutejszych Wolne Żarty ważną rolę odegrały.

Gazeta *Kronika*, znalazła szlachetną pomoc w osobie Edwarda Staweckiego, pełnego najlepszych chęci i zacnego serca miłośnika ojczystéj kultury. Numera początkowe wyszłe z téj nowéj redakcyi, do któréj ludzie słynnego pióra najchętniéj przystąpili, odznaczają się świeższą barwą i żywszemi zarysami, niż dawniejsze zbyt ciężko-erudycyjnie-suche. Recenzya Kaszewskiego na *Poezye Jana z nad Berezyny* i na *Adeodata* G. Żmichowskiéj w Wieńcu umieszczonego, jest dla téj gazety bardzo szczęśliwą forpocztą dalszych zapewnie w tym rodzaju artykułów; bo Kaszewski, znakomity tłómacz Greckich tragedyj, odznacza się głęboką nauką, żywym poglądem na rzeczy, i filozoficznością myśli zaprawionych umiarkowaną dozą dowcipu. Krytyk ten przeglądy swoje opromienia przytém słonecznemi błyskami poezyi,— łączy więc w sobie wszystkie warunki prawdziwego krytyka, który wpierw powinien być poetą niż filozofem i krytykiem. Ocenienie jednak *Cyganów* Korzeniowskiego (w Bibl. Warsz.) w tym punkcie, iż według słów recenzenta, szkoda taki zasób poezyi na łachmany włóczęgów zwieszać,—niemoże trafić do przekonania naszego i tych wszystkich, którzy twórcom genijalnym nieśmieją wytykać przedmiotów pracy. Właśnie większa zasługa, iż z brudu i łachmanów dramaturg tęczową tkankę wysnuć potrafił. Wracając się do *Kroniki*, poklasnąć jeszcze należy wprowadzeniu do niéj na wzór Gazety Codziennéj, przeglądu codziennego pism czasowych, p. n. *Literatura peryodyczna*; przeglądów tych w Gazecie Codziennéj piérwszy podał myśl młody tutejszy literat Wł. Sabowski. Jestto bardzo pożądany obrazek w gazecie, a przyjęcie go i przez Kronikę będzie stanowić urównoważenie w sądach i recenzyach, co niejest bez korzyści dla czytającéj publiczności, wymagającéj od podobnych sprawozdań sumiennéj treściwości, powagi i niepopisywania się arlekinadą słowa. *Sprawozdania* jednak *tygodniowe* w Kronice z objawów życia naszego, nieodznaczają się ową lekkością fejletonową, połyskami lekkiego stylu właściwego *gwiazdce* z Gazety Codziennéj, ani też zalecają się poważnym, obszernym poglądem starszéj jéj siostry, gazety Warszawskiéj, lub też odrębnemi od nich a miłemi dla umysłu cechami. Początki te jednak nic jeszcze niestanowią. Radzibyśmy nadal jak najkorzystniéj o téj ważnéj części gazety napisać, życząc jéj z całego serca najszczę-

śliwszego powodzenia, gdyż przymioty serca redaktora, ryzykującego już po drugi raz swój materyalny zasób dla dobra ogółu, nieoglądając się na zyski, powinny coraz zwiększać koło mu życzliwych przyjaciół.

Kończąc list niniejszy dotkniemy tu jeszcze nader żywotnéj kwestyi, jaką dziś przedstawiają wszystkie prawie redakcye pism peryodycznych, i czasowych niektórych w Warszawie. Ogólny pogląd na ich kierunek i rutynowe formy, sądzić należy, obojętnym być niepowinien, boć one to głównie powinny zachętą, nasuwaniem pracy, i wpływem, naprzód ten wóz popychać, który się *postępem* nazywa, a to tém więcéj, gdy obecnie prasa peryodyczna prawie jedynym jest jego wyrazem. Wyznać jednak należy otwarcie, że gdyby nie z własnego natchnienia garnący się tu nawał poganiaczy-pisarzów ustalonéj już sławy, ster tego wozu rychłoby zrdzewiał, postęp niewiele zyskał, a przynajmniéj utknąłby na skalistéj ziemi *żup* zaginionych, i spoglądał bez końca w *meteoryczną* aurę, zajrzawszy czasem *w stęchłe xięgi* obcych ludów, zapominając o tém, co go otacza i czeka. Stanowisko redaktora w piśmiennictwie jest potężne i niezbędne; lecz redaktor nietylko ma się odznaczać rozległą wielostronną nauką, ale więcéj jeszcze zacnością nienaruszalną ubocznemi względami, jakiemi są: protekcye, pozycya w hierarchii światowéj i t. p. okoliczności; wartość rzeczywista pracy pod sąd redaktora oddanéj powinna tu być jedynym motorem. Niedosyć także redaktorowi spoczywać spokojnie za parawanem naklejonym z *urzędu* rozgłośnych autorów tworami, ale należy się jeszcze w imieniu ludzkości i osobistego charakteru, dłoń światłéj pomocy podać świeżym połyskom talentu, a przynajmniéj niepogrążać ich w ciemnościach teki i bocznéj kieszonki bez uprzedniego zdrowego sądu...

Młodzi sumienni pisarze bywają tu długo ofiarnemi kozłami przy przeprowadzeniu form redakcyjnych, trudniejszych im do zgryzienia niż najcięższy i wielostronny przedmiot saméj pracy; a to tém więcéj, że tak Biblijoteka Warszawska, jak Gazeta Warszawska i Codzienna, oraz dawniéj Kronika, chorują i chorowały na żądzę przykrywania się jedynie dalmatyką zasłużonych kapłanów piśmienictwa, lekceważąc prace częstokroć zdolnego literackiego nowicyatu. Dla tego też czuć się tu daje brak organu i pola dla tych świeżych gladyatorów słowa, jakim był np. *Przegląd Naukowy* redakcyi Skimborowicza. Niemówimy tu jednak o tych, którzy mistrzowsko znając wszelkie powierzchowne środki dla dopięcia celu, i umiejąc arcy-sztucznie rozprawiać o okładkach i formacie dzieł różnych, prawie zawsze nicość wewnętrzną swoich płodów pomyślnym uwieńczają skutkiem na drodze typo-

graficznéj. A wszakżeż to my moralni podobno lekarze społeczeństwa winniśmy karki łamać tym hydrom, które się u nas ze śmieci stronności i niesłuszności wylęgają; lecz któż za nas to zrobi, jeżeli sami pomagać będziemy ich wzrostowi? Artykuły przyjęte przez redakcye, jeżeli będą wciąż ustępować miejsca w ogłoszeniu napływającym późniéj, to nietylko, że jest krzywdą materyalną dla autora, ale co główniéjsza, staje się moralném zabójstwem zapału i talentu jego. Kunktatorstwo Fabijusza w wydaniu ostatniego wyrobu, jest tu większą klęską dla piszącego, niż doraźne pobicie na głowę jego artykułu Mamy to wszystko przed oczyma, a co do zalegania artykułów przyjętych dawniéj i spychanych nówszémi, grzeszy Czytelnia Niedzielna, tak ważne dla ludu naszego pismo; co większa, notujemy tu jako fakta, iż nierozgłośnym jeszcze autorom przed czytaniem ich pracy zarzucano ze strony niektórych redakcyj, iż dla ukształcenia się *niejeździli za granicę!* lub że *firmy* jeszcze niemieli! W takim razie Polskie *grafy* za granicę jeżdżący, i metrowie kopyt, na polu piśmienictwa laury-by zbierali.

Są to rzeczywiste przykłady; daj Boże! aby ich więcéj niebyło.

Warszawa d. 24 stycznia 1859 r.

II.

Zdarzenia z życia umysłowego i publicznego. Walne posiedzenia dwóch Towarzystw. Słowo o młodzieży biurowéj. Objawy karnawałowe. Prymadonny. Teatr. Publikacye. Zakład fotograficzny K. Bajera.

Suum cuique.

Smutno jest w téj sprawozdawczéj drodze notować wyroki, które głoszą dzwonnice dźwiękiem grobowym na drogie ziomkom osoby, na pracowników osierocających niwę umysłowości ojczystéj. Po niedawno zgasłym przedwcześnie Apolinarym Zagórskim autorze *Gawęd naukowych*, zaliczyć tu musimy późniéj zmarłego Teofila Rybickiego professora chemii przy tutejszém

gimnazyum realném, autora dzieła: *Technologija chemiczna*, pracującego przez lat 33, na korzyść kochających go uczniów, — a w końcu Zygmunta Krasińskiego zmarłego w styczniu w Paryżu, wieszcza, który serca nasze tak głęboko przejmował wielkością myśli i hormonijną potęgą słowa. Ale dług natury jest świętym, *requies* domówione w sercach rodaków jest jego ostateczném spłaceniem; a życie nasze, to gra cieniów z światłością, to wieczna alluzya do natury, z którą człowiek harmonizując musi pogrzebać swoje nasiona, by z nich obfite zeszły plony, które go unieśmiertelniają w kole ludzkości.

Również smutnie przychodzi zapisywać fakta sprawiające śmierć moralną, bo śmierć zacności i sumienia tam mianowicie, gdzieśmy się tego najmniéj spodziewać powinni. Rezultat konkursowych posiedzeń dla przyznania premijum zapisu Starzyńskiego za najlepszą komedyę, i sprawa z biblijoteką po ś p. Świdzińskim pozostałą wywołująca tu wiele komentarzy, nasunęła nam te pochmurne myśli Co do piérwszego wytłómaczymy się jaśniéj, gdy powiemy, iż nietyle nas zdziwiły prace Niemca *Fallmereyera* dowodzącego erudycyjnie, iż Grecy dzisiejsi są prawymi Słowianami (*), ile wiadomość dziś już publicznie znana, iż bezimienny autor *Azet* komedyi konkursowéj p. n. *Mąż i konkurent*, jest ten sam właśnie, który tę komedyę czytał na posiedzeniu i nadzwyczaj zachwalał. Sprawę własną sam pan wójt sądził i oceniał, tak, że stanowczo przechylił na swoję stronę szalę zwycięzką przeważająca się także ku komedyi Bogusławskiego. Komedya zresztą powyższa była wybornie napisaną i godną lepszego losu, niż jéj autor zgotował, już to przez użycie wbrew przepisów konkursowych anonymu oddalającego premijum, już też przez historyczne o niéj na przyszłość wspomnienie; z czego wszystkiego, gdy konkurs odwołano do przyszłego grudnia, autor drugiéj z rzędu najlepszéj komedyi utracił należną mu w prostém następstwie rzeczy nagrodę. Wszakżeż o chęć zysku nikt tu znakomitego dramaturga pomówić niemoże, bo po osobistém rozwiązaniu zagadkowego anonymu, sam przeznaczył 2,000 złp. za napisanie najlepszego dramatu historycznego.

Drugim grubszym jeszcze cieniem z téj przechodniéj w świecie umysłowym kamer-obskury, cieniem wypadającym na jasne czoła dobrzemyślących ludzi, jest sprawiedliwa obawa o los *biblijo-*

(*) Treść tego w rozprawie *Monniera* w *Revue Germanique*, m. Listopad r. z.

teki i muzeum po Konstantym Świdzińskim w Sulgostowie dla korzyści ziomków przekazanych z ulokowaniem ich w Warszawie. Broszura skreślona pod powyższym napisem przez J. Łoskiego (Warsz. 1857, w druk. Gaz. Warsz.) objaśni dostatatecznie, pragnących tego, o stanie i szczegółach pamiątkowego zbioru; my tu ograniczymy się głównemi jego rysami. Świdziński godny przedstawiciel Załuskiego i Ossolińskiego, posiadał najbogatszą dotąd w kraju skarbnicę naszę dziejową; zbierał on ją od r. 1832, bo dzieła i pamiętniki nagromadzone przezeń do r. 1831 głównie w Poznańskiém u sukcesorów pozostały; a to, co w 4-ch wielkich salach swojego pałacu pomieścił sam trudem i własnym kosztem, w innych krajach jest dziełem wielu monarchów potężnych i niejednego stulecia. Zbiory te pamiątek narodowych składają się: 1) z xięgozbioru zawierającego dzieła Polskie i obce wynoszące razem z będącemi za granicą do 30,000 tomów; 2) z rękopismów w liczbie 2,000, dyplomów oryginalnych kilkaset; 3) z rycin w liczbie 14,000 sztuk z górą; 4) zbioru obrazów; 5) numizmatyki; 6) starożytności, jak wykopaliska, zbroje, sprzęty po historycznych osobach i t. d. Dla upowszechnienia szlachetnych zamiarów czcigodnego nieboszczyka przytoczymy tu z powyższéj broszury wyjątek z listu jego do margrabiego Wielopolskiego pisany .... ,,Spokojny i szczęśliwy zostaję, bo wiem, że prace i zbiory moje w twoje ręce powierzone doprowadzisz do celów pożytecznych a zbawienych dla ziomków naszych, bo niezachwianie przeczuwam, że pamięć o mnie i o usiłowaniach moich ku dobru ziomków śród nich, tém współdziałeniem wyświetnisz i zapewnisz zbawienie duchowi mojemu, który spoglądając z wieczności na tę ziemię, że praca moja w zbawienne wzrasta pożytki przez ciebie śród ziomków, wiecznem szczęściem radować się będzie.“— Dodajemy tu, iż jak wiadomo, osobnym jeszcze kodycylem dodanym do testamentu ś. p Świdziński oddał to mienie swoje pod opiekę wszystkich ludzi będących ozdobą kraju i literatury naszéj. Opiekunowie główni byli wyznaczeni, a na ich czele zasłużony wielce w literaturze naszéj hr. Alex. Przeździecki.

O sprawie, jaka się skończyła w senacie na korzyść margrabi Wielopolskiego może mniéj więcéj zainformować drukowane przemawianie tegoż w sądach, i *sprzedowane* po xięgarniach w kraju i za granicą.

Lepiéj późno jak nigdy! mówi przysłowie; ale (utinam sim falsus vates!) los biednego biblijotekarza wyrzuconego za progi niezadługo po śmierci testatora, nierokuje dla ziomków pomyślnego skutku ich oczekiwań co do saméj biblijoteki, która już dzi-

siaj podobno do dóbr margrabiego przewiezioną została. Spełnić świętą wolę konającego łatwiéj być powinno, niż czynić ofiary z swojego mienia, lub poświęcić np. uczncia rodzicielskie na ołtarzu ojczyzny; a przecięż, wiemy, jak postąpiła matka Machabeuszów, co Brutus z dziećmi zrobił swojemi przejęty dobrem kraju, znamy także czyny oblężonych naszych Głogowian i Karlińskiego w Olsztynie.

Pocieszające już objawy na drodze jedności duchowéj i wspólnych dążeń okazało towarzystwo Rolnicze w królestwie, uorganizowane w roku zeszłym. Wchodzi w czyn dewiza jego: *podniesienie zasadniczéj podstawy pomyślności kraju przez ścisłe zjednoczenie pojedyńczych usiłowań*; *wyprowadzenie stosunków rolnictwa naszego z zgubnego dla nich dotychczasowego odosobienia na drogę wspólnéj użytecznéj pracy i zbiorowego działania.* Walne roczne posiedzienia tegoż towarzystwa w z. mcu przez sześć dni trwające były już obfite w pomyślne rezultaty zakreślonego zbawiennego usiłowania; pokazało się, że za pracą dobrze rozwiniętéj organizacyi, zawiązania stałych rolniczych korespondencyj i udzielenia stosownych nagród, obudziło się prawie nowe życie w najgłówniejszych warstwach naszéj ludności, a oszczędność zbytek w kluby ujmować poczyna. Niebędziemy wchodzić w szczegółowe zasady tego zbiorowego łączenia rąk obywatelskich z najdalszych zakątków królestwa, bo o tém broszura p. n. *Ustawa tawarzystwa Rolniczego w królestwie Polskiém*, obszerniéj traktuje; wymienimy tylko ważniejsze dotychczasowe jego rezultaty w tak krótkim dokonane czasie. Otóż członków towarzystwa było 1466; z żądających 968 osób na tegoroczném zebraniu przypuszczenia do towarzystwa 814 wybrano; dotąd więc w ogóle liczymy 2,289 stowarzyszonych. Funduszu obecnie Towarzystwo posiada 36,000 r. sreb.

Obrady rozpoczęły się 3 lutego, wprzód poprzedzone rannéem nabożeństwem, odprawioném w kościele pp. Wizytek, gdzie się obywatele tłumnie zebrali, wedle praojców zwyczaju nic niepoczynających bez Boga; ku czemu bardzo się stosuje wielka myśl Wal. Wiełogłowskiego: „Tam gdzie myśl Boża niełączy społeczeństwa, tam żaden klej ludzkich pomysłów nic trwałego złączyć niezdoła.“ „Błogosławiony jest naród, któremu panem jest Bóg“, powiedział nasz wieszcz Woronicz.

Szły też obrady zdrowo i rozumnie, a przybytek dla nich otworzył nowowystawiony gmach towarzystwa Kredytowego ziemskiego w pięknie pomalowanéj alfresco sali, z pysznemi filarami marmurowemi o kapitelach z kararu. Razi tam tylko portret

na pół bajecznego Numy (ciekawość z jakiego autentyku?), mający mniéj styczności z rolnictwem niż *np*. Cyncynat, lub wreszcie nasz Piast, albo Podskarbi niegdyś królewski Tyzenhauz, albo Staszyc, hr. Brzostowski, i pamiętny nam jeszcze Piotr Steinkeler. Gmach ten kosztujący do $2\frac{1}{2}$ milijonów zł. P. jest zlewkiem kopij z pałaców Weneckich; wszakżeż rozmiar i ozdoby zewnętrzne, stawiają wielką kamienicę w rzędzie najlżejszych i najozdobniéjszych ale nienajwspanialszych pałaców Warszawskich.

Sala wspomniona brzmiała codziennie to wymównemi i logicznie skreślonemi rozprawami członków, to sprawozdaniami, to wreszcie głębokiemi debatami nad potrzebami rolnictwa naszego. Przysłuchawszy się temu wszystkiemu, mimowoli powtórzyłbyś myśl Horacego: *mens sana in corpore sano;* bo rzeczywiście ogół naszych ziemian bardzo zdrowo sobie w téj sprawie poczyna. Mowy: czcigodnego przezesa Andrzeja hr. Zamojskiego, mająca za godło jedność i wytrwałość, i członków towarzystwa: Goltza, Alex. Kurtza, Dziewanowskiego, Aug. Trzetrzewińskiego, zasługiwały na największą uwagę; przyjęte też były z oklaskiem. Przeglądając obecne prace obradujących, ich budujące postanowienia na korzyść znacznych i najmniejszych gospodarstw upadłych w moralności i mieniu naszych chłopów,— oraz decyzuje co do czystości naszéj mowy w nazwach agronomicznych,— niepodobna przyznać prawdy temu dwuwierszowi naszego xięcia poetów:

„Niech tylko czterech, pięciu, sześciu radzi,
I nic niezrobi i pewno się zwadzi.“

Napływ tysiąca blizko obywateli nienarobił tu niepotrzebnego szumu karnawałowego; resursa tylko kupiecka poznajomiła się raz jedynie z znaczną liczbą Warszawskich gości i ich powabnemi wiejskiemi *różami*. Oglądaliśmy chętnie te massy wiejskich mieszkańców, nie z tém jednakże wrażeniem, jakie owładnęło piórami niektórych sprawozdawców, widzących tu cóś nadzwyczajnego nowe życie w Warszawie, krew' zdrówszą, rumieńsze twarze i postawy więcéj męzkie i dziarskie od tutejszych i t. p. Wyznać jednakże należy otwarcie, iż w młódszéj generacyi stanu rycerskiego nieupatrzyliśmy ani tu, ani na prowincyi, wcale postaci przypominających nam owych *braci ślubnych* uprzytomnionych nam przez pióro Z. Kaczkowskiego. Szanowni recenzenci! w imieniu Warszawian i słuszności wręcz wam głosimy, iż nieczujemy się w niczém niższymi od naszéj braci ziemiańskiéj, a jeżeli nas praca umysłowa więcéj lub wcześniéj bróżdami po czołach poorze, za to w głębi duszy więcéj ducho-

wego życia kryjemy; sił też nam niezbywa do rodzaju naszych zatrudnień, a zbytek jeżeli niemniejszy to pewnie niewiększy od nurtującego kieszenie i krew' pańską po dworach wiejskich. Przeszły już te czasy, kiedy Warszawianie byli typem rozpusty, do któréj się chętnie lwy prowincyonalne zapisywały, a które już teraz i z strzech wiejskich zniknęły. Wszakżeż, jeżeli o rumieniec chodzi, to i u nas są liczni jego przedstawiciele, jak wszyscy prawie rzeźnicy, piwosze; a postaw więcéj imponujących niż naszych krawców z piérwszorzędnych ulic, nigdzie nieznajdziesz. Prawie całą ukształceńszą klassę młodzieży tutejszéj stanowią biurzyści. Spójrzyjmy w ich życie. Leniuchów z urzędu prawie tam nieznajdziesz; pensye małe, a ubrać się porządnie trzeba, bo ubiór niemal tu ważniejszą rolę niż wartość istotna człowieka odgrywa. Chcąc więc krakać tak jak i wrony, i radzić o potrzebach życia, należy pozabiurową pracą byt sobie pewniejszy zapewnić; jedni zatém lekcyami, inni literackiemi płody wybijają się krwawo z biedy, w którą ich szczupła płaca, strącany od niéj 10-ty procent, stempel nominacyjny, półroczna pensya od awansu, wygórowana drożyzna lokalu, daléj szewc, krawiec, nieznacznie wtrącają. Jedyny zbytek, który ich kieszeniom największéj szkody przynosi, stanowią cygara, prawie w nałóg tu już obrócone; *totus bez atu* preferansowy rzadko, a Niemiecki *djabełek* prawie nigdy na stół téj klassy młodzieży niewchodzi. Przy takich trudnych warunkach utrzymania, niedziw, iż czują obawę wchodzenia w związki małżeńskie, i wielu z nich w uściskach celibatu resztę dni wlecze, nowemi długami dawne opłaca, dymem kawiarnianym serce uwędzi, ogranicza się wreszcie na śledzeniu zgrabnych trzewiczków po Warszawskiém błocie, i przepłynąwszy Dunaj *tonie w Dunajcu*, to jest przed 40 tu latami służby przeniosłszy się do wieczności, idzie na łono Abrahama odbierać emeryturę.

Przed obradami towarzystwa Rolniczego, odbyło się w d. 30 stycznia *Posiedzenie publiczne towarzystwa Lekarskiego* w pałacu Kazimierowskim, gdzie obchodziło 38-ą rocznicę swojego istnienia, pod prezydencyą d-ra Helbicha, sumiennego lekarza, prawego ziomka, przyjaciela biednych pacyentów naszych, oraz światłego literata. D-r Szokalski równyż przyjaciel cierpiącéj ludzkości, słynny nasz oftalmista, sekretarz stały towarzystwa i zasłużony w naszéj literaturze, wzniósł głos: *O duchu panującym w praktyce lekarskiéj u nas i za granicą, ze względu na nasze obecne położenie.* Rozprawę tę przyjętą poklaskiem, pisma nasze w całości powtórzyły; my tu przytoczymy końcowe jéj myśli... „We Francyi lub Niemczech, dosyć lekarzowi na tém,

jeżeli jest honorowym człowiekiem; u nas potrzeba mu więcéj: musi mieć niemiał religijne namaszczenie, musi zapomnieć o sobie i to nietylko w chwilach zapału, jak to gdzie indziéj się dzieje, lecz przez założenie sobie wyższych moralnych celów, przed któremi blednie egoizm." Wszyscy też wiemy, że dr Szokalski teoryę z życiem swojém pogodził.

Chcąc być wiernym fotografistą obecnego czasu, wiozącego na swym rydwanie obok poważnych tog, kołczany amorków, skrzydełka sylfid i Bachusowe wieńce, należy nam zabrać na ten wóz i ustrojony w pstrociznę karnawał; a tém samém dalsze rysy jego opisać. Od połowy drogi zerwał się on po-dawnemu z zimowego snu swego; woskowane posadzki zaszumiały radośnie pod podwójną froterką szczotek i nóg naszych; rogi tylko ulic żalą się na małą liczbę sążnistych reklam, może dla tego, że liczne sąsiedztwo klepsydr zaciemnia ich horyzont. Tak to wszystko się dziwnie plecie na tym Bożym świecie! Śród żywych wieńców naszych piękności i niepiękności oddających głęboki dank lansyerowi, ujrzałbyś wiele ciekawych znamion, gdyby wrodzony nam pociąg do tańca podsycany muzyką i węgrzynem a przedewszystkiém obecnością dam, pozwolił na nie patrzeć Anacharsysa okiem. Mimowoli tam wpadniesz w sam wir zabawy, i zapominasz o świecie, niby w Hesperyjskim ogrodzie, gdzie obojéj płci młodzież Warszawska doprawdy pięknie, z czuciem i odcieniami tańczyć umie. Za złe też jej podobnéj zabawy nikt brać niemoże, bo młody niewesoły, a stary nienabożny na licho się przydadzą. Uważają, iż tego karnawału więcéj taneczników niż tanecznic po salonach widzieć się daje; doprawdy dziwne czasy, bo dotąd panny kawalerów wieńcami swemi mogłyby były zarzucić. Wesel tu dosyć, ale *Krakowskich*, z organistą złotomównym na czele, zjeżdżających się kulikiem ale po błocie. Zapały podkostiumowe, środa popielcowa zasypuje zazwyczaj popiołem niesmaku, i troską o przyszłość tak, że niekwapią się bardzo w tych ciężkich czasach do zamiany Hymenowego symbolu w rzeczywistość, pod co się jednak wcale niepodciągają robocze klassy. Jednakże w czasie wieczorowych szałów spotęgowanych doborową orkiestrą Kuhnego i Lewandowskiego w obu resursach lub Adlera, Chojnackiego, i Platera na prywatnych zebraniach, zdaje się, iż zcieśnionym parom tanecznym nic więcéj nie brak do szczęścia na całe życie, jak uklęknięcia do powiązania rąk stułą na stopniach ołtarza; bo serca żywo bijące aż nadto ku temu wówczas są usposobione, a oczy pałające rozkosz zwiastują.

Zwykle na posadzkach salonów resursowych, w każdym

karnawale pojawiają się tu *primadonny*, o których mówi cała Warszawa. Poławiają się te osobliwości na jedném morzu szaloném, ale w niejednych prądach; jedne imponując wdziękami rozpromieniają je drogiemi kamieniami i są rzeczywiście bogate, drugie częstokroć wyższe pięknością, dorównywają tamtym niemal w stroju, ale ogromnym deficytem w szkatule mamy lub papy daleko niżéj od nich stoją. O piérwszych niéma tu co pisać, bo kto wie czyby tę naszę Polską bazgraninę czytać zechciały; drugie stawszy się po balu w domu małemi istotkami prędzéj rzucą okiem na te słowa, które im tu poświęcamy. Młodzież nasza czyto z próżności, czy z uwielbienia wdzięków primadonny, zazwyczaj podczas zabaw ciśnie się do jéj ręki jak muchy na lep; ustawiają się numerami, i tworząc komeci ogon szczęśliwéj królowéj, czekają z upragnieniem kolei do tańca. A ona otoczona pasem Wenery utkanym z czarnych fraków i białych krawatów sieje blaski cudnych swych oczu wkrąg stiukatowych ścian salonu, nóżką lekką suwa po płytach woskowanych, jak sylfida nad błoniem, i nieznacznym uśmiechem uroczéj rusałki wszystkich serca czaruje: lecą więc w tajemne koło młodzi i podstarzali, nieletni i *kawalerowie z czasów xięztwa Warszawskiego.* Ci ostatni, zazwyczaj z wielkiemi pretensyami, jeżeli jeszcze niesą opatrzeni złoconém szkiełkiem lub grubym łańcuchem od zegarka, tak są przyjemni dla podobnéj prymadonny, jak gałki z chleba rzucane tu jeszcze nieraz podczas obiadu, bez względu na anachronizm tego natrętnego zwyczaju.

Koniec końcem, lotna zdyszana dziewoja pierś szczęściem napawa; rodzice się uśmiechają, sprawiają nowe szaty, i żadnych choćby codziennych zaprosin z swym ósmym cudem nieopuszczają, a zaproszenia takie, *comme de raison* z urzędu muszą być częste. *Kuryer*, ów potulny wujaszek całéj Warszawy, a szczególniéj płci pięknéj, pomaga wielce do szerzenia zbytku i próżności niektórych klass naszych, przez owe anonsy o cudnych, niebiańskich strojach, i talijach piękności naszych, które niebawem nazajutrz po balach widzą się *wydrukowanemi* niby incognito w łatwych do odgadnięcia sylabach ich nażwisk Kru.., Pru.., Ga.., Gę.. i t. p.

Nikt, kto tylko estetyczność poczuć umie, niejest obojętnym na piękne jéj formy mianowicie skupione w żywym podobnym nam obrazie; jednak obraz taki syren naszych stanie się wietrznym i niewzbudzi w rzeczywistości uwielbienia, jeżeli go serce pełne szlachetnego zapału nieożywia. Ależ trudno tam szukać czegoś podobnego, gdzie zapał dziewicy w połyskach fałdów balowych sukień zamieszkał, a miłość próżnością przytłumiona

rychło się z gazowemi promyki ulotni. Mimowoli przypominają się tu wiersze z *Mimozy* L. Siemieńskiego:

„Nielubię, gdy się romans zaczyna od balu,
Nielubię heroiny wyciętéj z żurnalu,
Na którą się modniarka składa i perukarz,
Bo najczęściej pod blichtrem serca niewyszukasz."

A serce właśnie największém jest mieniem kobiety; miłość nieogarniona największym motorem jéj życia. Miłość prawdziwa to ów kwiat czułéj Mimozy, która za dotknięciem listki swoje ze drżeniem zwija, a często wzruszana usycha na dobre; listków jéj zrywać niewolno, bo rychło zmarnieje; lecz pielęgnowana ręką przywiązaną, w pełni kwiat swój rozwinie. Z natury rzeczy wynika, iż gdzie dusza więcéj się skupia, a zapał niedrobiazguje, tam większa trwałość prawdziwéj miłości. Ale syreny nasze psute poklaskiem świata, serce zwykle na ostatnim kładą planie; skromność niechełpliwa i niesalonowa, obok żywych *filarów salonowych*, staje im się zawadzającym słupem, niby piecem w lecie. Praca też nigdy nawet oknami do ich budoarów nie zajrzy; pobożność ogranicza się na podbojach oczyma w kościele; a jeżeli róg bogatéj obfitości nieosypał życia zalotnie, i jesień już grozi, natenczas przy obecnym wstręcie młodzieży klassy średniéj do małżeństw, kończą zwykle swą karyerę oddaniem ręki staremu bogaczowi, zkąd straszne następstwa, ściągające winę po części na rodziców nieodględnie prowadzących swe dzieci.

Gdy zaś z małżeństw powstają rodziny, a z rodzin społeczność się składa, więc jeżeli składowe części się psują tam i ogół cierpieć musi. Historya nas uczy, że gdzie obyczaje rodzin upadły, tam i cały naród upaść musiał. Przekonywających na to dowodów dziejowych i zdrowych maxym dla obojéj płci naszéj mogłoby dostarczyć dzieło x. J. Gaume, p. n. *Dzieje życia rodzinnego wszystkich starożytnych i tegocześnych ludów* i t.d. przełożone wybornie przez p. Belejowską (Warsz. 1858, nakładem Merzbacha). Styl przytém przyjemny i urozmaicony czyni to dzieło bardzo przystępném dla najlżejszych nawet umysłów, a dziejowe stanowisko kobiety w społeczności zachęcić powinno płeć piękną do czytania swéj historyi.

Ustępy naszego sprawozdania traktujące pobieżnie o niektórych klassach Warszawian i Warszawianek, dla nieprzedstawienia ich jednostronnemi lub kostycznie wypowiedzianemi, zamkniemy tu tą uwagą, iż nikt nikomu form życia wytykać nie powinien; wolną wolę ma każdy, ale cel życia ogółowo go biorąc, powinien być jeden, inaczéj staniemy się nieforemnościami, ano-

malijami społeczeństwa. Ku poparciu zastosujemy tu tę prawdę z geometryi, która także w zgodzie z naszém życiem postępować musi,—mówi ona: „Dwie linije równoległe przecięte trzecią sieczną czynią rozmaite kąty, które ostatecznie powinny się równać dwom kątom prostym. Te dwa kąty proste utworzone z krzyżowania się dróg ludzkich, stanowią cel wspólny, t. j. żyć jak Bóg przykazał i prawa społeczne wiekami urobione wymagają,— które zawsze rozsądek dyktuje.

Pisząc w czasie, kiedy karnawał zziajany już dogorywać zaczyna, niepodobna pominąć i tych, którzy mu chwile odpoczynku uprzyjemnić pragną. Otóż ofikleista Kolasanti dmie dłań w swój nieznany dotąd instrument; niezmordowany Hinne wtóruje pląsami Arabskich koni; magicy: Belicki i Debraine zawracają głowy zręcznością i atletyczną siłą; magnetyzer baron du Potèt w resursie nowéj udziela prelekcye o nauce Mesmera; a Niemcy z salonu Doliny Szwajcarskiéj z swymi Albinosami i dzikimi ludźmi (Negrami) ciągle się wybierają jak gęsi do cieplic. Albinosy ci, z cerą twarzy wapienną i białemi jak jedwabna pela włosami, pokazywani byli w Paryżu za 2-sous, u nas wejście dwu i 3-ma złotemi się opłaca; przy czém nasłuchamy się niestworzonych baśni publikowanych przez entreprenerów, przemawiających bezkarnie do publiczności, jakby bawili Eskimosów kraju. Są naprzykład cynicznie reklamowani w afiszach i oddzielnych broszurach za członków jakiegoś narodu mieszkającego pod ziemią na między-morzu Panama i t. p.,—są ani mniej ani więcéj jeno zwyczajne Niemcy, a historya naturalna nas uczy, że narodu Albinosów niéma; są tylko ludzie chorobliwego stanu z podobnemi jak wyżéj znamionami, powstałemi, mówiąc technicznie, z braku barwnika pod błonką rogową, która ciało pokrywa. Wyradzają się ludzie podobni nad Renem, w Sabaudyi i Szwajcaryi; śpiewają też i mówią dobrze Niemieckim językiem. Litość cię zdejmie patrzeć na te cztery niewolnicze zaprzedane istoty, a większa jeszcze na owych dwóch Negrów w stanie znikczemnienia pozostających śród ucywilizowanych narodów, i przedstawianych po szarlatańsku publicznie jako ludożercy swych rodziców, a to wszystko dla lekko zarobionych pieniędzy, których żądza obrazem i podobieństwem Boga kupczyć zniewala. Uchowaj Boże i nadal nasz naród od wyciągania zysków kosztem nietylko ludzkiéj, ale nawet psów i małp swobody. Wprawdzie w czasach grubszéj ciemnoty lud Smorgoński i u nas z niedźwiedziami chodził, lecz dziś już zniknął ten zwyczaj, na pogardę którego urobiliśmy szydne wyrażenie: to *Smorgoński kawaler!* i t. p. Nadmienimy, iż wspomniony w prze-

szłym liście fizyologista p. Lemercier dziś na skutek zaproszenia udziela swe pożyteczne prelekcye uczniom tutejszych gimnazyj. Z tego wszystkiego zestawia się spostrzeżenie, iż cyrki, magniczne sztuki od lat kilku i świeżo prelekcye publiczne, weszły w modę Warszawskich rozrywek; obówie tylko z drewnianemi podeszwami hurtownie do nas z kraju antypodów sprowadzone zaaklimatyzować się niemogą; snać nogi nasze krępowania nieznoszą.

Teatr nasz niecierpi nic od karnawałowych uciech; zamiłowanie sceny gromadzi zawsze licznych jéj zwolenników, tém więcéj, gdy nas nowemi swojskiemi zaintereresowała sztukami, jak dramatem Wacława Szymanowskiego *Sędziwoj* i piękną operetką *Król Pasterzy* z partyturą Oskara Kolberga (zbieracza Polskich pieśni z melodyami) i librettem T. Lenartowicza. Muzyka tam prześliczna, kompozytorem jéj głęboki badacz naszéj melodyi narodowéj, czego dał dowód w zbiorze *Pieśni ludu Polskiego.* Dramat Sędziwój na 5 rozłożony aktów prócz 1-o i 2-o głównie aktu, nieutrzymuje do końca powziętego w początkach interesu widzów. Wiersz tam jest dobry i z zaletą opracowane postacie drugorzędne, ale sam Sędziwoj szukający kamienia filozoficznego po świecie a szczególniéj ów znany nam alchemista Seton z wybornéj powieści Dziekońskiego, a potém z pięknego poematu Ilnickiéj, w dramacie tym bardzo prozaicznie wyglądają. Zresztą oryginalne komedye, przyjęte już i spoczywające od lat dwóch pod sklepieniem biblijoteki teatralnéj, niemogą jakoś doczekać się szczęśliwéj chwili wypłynięcia, na scenę, a tém samém powiększyć liczbę rodzinnych utworów. Takie przynajmniéj krążą tu skargi autorów. Mówiąc o teatrze, pominąć niemożna na deskach jego dokonanego faktu, świadczącego o koleżeńskiéj przyjaźni i uwielbieniu przez nią dramatycznego talentu; w dniu bowiem 26 lutego artyści naszych teatrów na pamiątkę 25-letniego zawodu artystycznego Aloizego Żółkowskiego wręczyli mu podczas próby teatralnéj pierścień brylantowy z stosownym napisem i wierszem wypowiedzianą dedykacyą. Wspomnimy, iż ten Polski Guarick pobiera dwa razy mniejszą pensyę od niektórych solistek z baletu; snadź nogi czasem więcéj dokażą niż głowa!

Gdy od Krakowa doszła nas pocieszająca wiadomość dzieł Długosza, a od Żytomierza o chwalebnie zawiązanéj ze składek prywatnych drukarni i podobném wydawnictwie Biblijoteki domowéj, musimy tu dla harmonii wspomnieć o działalności i w Warszawskiéj oficynie Minerwy objawionéj już to w nieustającéj pracy i drukowaniu Encyklopedyi, już też w ogłoszeniu świeżych dzieł, oraz w publikacyach o prenumeracie na zbioro-

we prace po ś. p. Zagórskim pozostałe, na wybór poezyj Lenartowicza i w końcu o prenumeracie na poemat bohaterski Szwedzkiego wieszcza J. Tegnera, pod napisem Frytyofowa Saga przez Józefa Grajnerta przełożony wierszem rymowym, a wydrukować się mający z drzeworytami. Rysunki robił Ign. Jasiński, zdolny młody malarz, uczeń tutejszéj szkoły sztuk pięknych: drzeworytów ma dostarczyć p. Drążkiewicz przedstawiający korzystnie swój talent w illustrowanéj sielance Kraszewskiego, p. n. *Wioska.*

Odsyłając rzecz o świeżo wyszłych tutaj dziełach do następnego listu, a mianowicie o słówniku *Amszejewicza, Opowiadaniu ojca* przez F. S. Dmochowskiego i utworach Słowackiego—niemożemy się rozstać z wrażeniem doznaném po zwiedzeniu obecnie fotograficznego zakładu K. Bajera, najwięcéj rozwiniętego z podobnych pracowni. Dziś fotografija na tak wysokim stopniu udoskonalenia stanęła, iż chociaż jako sztuka z malarstwem się zrównać niemoże, jednakże od niego większe dla wszystkich niemal gałęzi wiedzy ludzkiéj przynieść może korzyści. Tę myśl nasunęło nam obejrzenie i porównanie ich z prac K. Bejera. Artysta ten i Sachowicz wyborny minijaturzysta, najlepsze tu wykonywają portrety, ale nikt z Polskich fotografistów więcéj od Bajera przysługi naukowéj dla ziomków nieczyni. Na usprawiedliwienie tego twierdzenia wymienimy tu tylko odfotografowane przez niego dwie nasze *wystawy starożytności*: Warszawską z r. 1856 i Krakowską tak niespodziewanie, dla naglących okoliczności niedawno zwiniętą; daléj wychodzące wciąż poszyty *medalów z czasów Zygmunta I i album widoków Warszawskich.* Wiadomo jest jak szczególniéj wystawa Krakowska nadspodziewanie wiele i nader ważnych pamiątek z przeszłości naszéj przedstawiła; dziś gdy te stalowe zbroice, oręże, ubiory, pomniki sztuk dawnych i języka naszego, inne rzadkie okazy rozproszyły się znów z Piastów i Jagiellonów grodu wracając pod strzechy dworków i pałacy Polskich, dziś to wszystko widzimy w odbiciu zgromadzone w Warszawie, w pracowni Bajera, który trudem swoim i dobrą wolą w ten sposób postanowił przynieść krajowi z swéj sztuki pożytek. Między innemi, są tam bardzo ciekawe unikaty pomnikowe naszego języka z wieku XII i dalszych; daléj drzeworyty: Anny Jagielonki i Dymitra Iwanowicza Samozwańcem zwanego, z napisem historycznym wokoło obrazka; niemniéj fotografije utworów Wita Stwosza i t. p. Wszystkie pamiątki opatrzone są stosownemi objaśnieniami. Przedmioty wystawy Warszawskiéj z równąż dotykalną dokładnością i wykończeniem starannem są od-

fotografowane. Artysta ten wyszukuje niemniéj gorliwie obrazy pędzla Orłowskiego, by odfotografowane w całość kompletną ułożyć. Między interesującemi zabytkami naszéj przeszłości i jako dowód różnorodnego użytku z téj sztuki, ujrzysz tam jeszcze odfotografowany z najmożliwszą dokładnością list Mickiewicza do Józefa Muczkowskiego professora w uniwersytecie Jagiellońskim w r. 1829 z Petersburga pisany w przedmiocie wydawnictwa poezyj tegoż wieszcza. Dokładność tego faxymile, téj kopii listu in 8-vo na 3-ch stronach zapisanego, tak jest drobiazgowa, iż na piérwszy rzut oka, zdaje ci się, że oryginał masz przed oczyma z plamami i zbrudzonemi zagięciami przez czas narzuconemi.

Album widoków Warszawskich p. Bajer postanowił sposobem prenumeraty po dwa zeszyty co miesiąc wydawać; każdy zeszyt zawierać będzie 2 ryciny formatu wielkich arkuszy. Piérwszy zeszyt predstawia *widok zamku* z tarasem, ogrodem i zjazdem od strony Wisły, oraz *rynek Starego miasta* uchwycony szczęśliwie śród dziennego ruchu i gwaru kupczących, i zajadających obok pompy przez lud *hotelem pod słońcem* zwanéj. Prenumerata na to album wynosi miesięcznie zł. 20; przy 1-m zeszycie zaliczający otrzymuje w dodatku ozdobną tekę do rycin. W pracowni téj utalentowani artyści zajmują się retuszowaniem, i kolorowaniem portretów, ztąd też 3 sale zawieszone różnorodnemi obrazami zaspokoją przyjemnie oczy i umysł zwiedzających osób, a portrety przedstawione żywo i z wykończeniem niedadzą ci i zamarzyć, obok niższéj daleko ceny, o portretach utworu pędzla, przytém stereoskopy ustawione licznie najpiękniejsze obce i swojskie przedstawiają widoki. Lecz dowód rozległości téj sztuki i zarazem naginania się jéj do najmniejszych rozmiarów znajdziesz w mikroskopijnym punkciku na szkle utkwionym, wielkości szpilczego łebka, którego przedmiotów gołém okiem rozpoznać niezdołasz, i który wzięty pod mikroskop okaże ci kopiję z obrazu wielkości ćwierci łokcia, przedstawiającą trzy rozmawiające osoby.

Przyjemnie jest rozpatrywać się i pisać o podobnie rozwiniętym zakładzie artystycznym, w czasie, gdzie spekulacya i tym darem słońca niegodziwie frymarczy, skłoniwszy tu *np.* jakiegoś profana fotografistę Żyda, który za 4 złote wykonywa ułakomionym taniością portrety z wykrzywionemi twarzami i bez oczu, niby w dodatku szydnie zastosowanym do łatwowiernéj ich ślepoty.

Dnia 1 marca 1856 r.

LISTY Z PARYŻA.

I.

Zawiązując rozmowę z braćmi Litwinami, najwłaściwiéj podobno zacząć od polowania—tém bardziéj, że polowanie w wielkiéj teraz modzie w Paryżu.— Jakto? spytacie, Paryżanie myśliwstwem się trudnią?— Nieinaczéj, to rzecz bardzo naturalna. Rousseau twierdzi, że lato najsłuszniéj się ocenia w zimie, a zimę najlepiéj opisywać w lecie; Cuvier utrzymuje, że niestałość leży w naturze wszechstworzenia:—choćbyśmy więc niewierzyli własnym oczom i własnym skłonnościom, musiemy uwierzyć prawdzie uznanéj przez wielkiego filozofa i wielkiego naturalistę. Ale jeżeli prawdą jest, że człowiek zawsze niestały, zawsze łaknie zmiany i miłuje kontrasta, to niezawodnie w ognisku największéj oświaty najmocniéj tęskni do matki natury. Jeżeli wy wieśniacy przesyceni wonią kwiatów wśród ciszy leśnej tęsknicie czasem za gwarem miasta— to my, przykuci na opoce stolicy Prometeusze, którym cywilizacya gorzéj niż sęp trzewy wyjada, wzdychamy zawsze do pól i lasów.

Człowiek w wielkiém mieście przesycony wszystkiém co daje sztuka, znudzony sobą, niekontent z drugich—czuje w całéj pełni zbawienne wpływy natury; w dzień chodząc wzdłuż murów zasłaniających niebo, duma o szafirowych horyzontach, o drzew zieleni, o wód krysztale—w nocy śni mu się, że po tych modrych strefach na skrzydłach szybuje, że w téj zieleni brodzi do pasa—że pies przy jego nodze zadyszany bieży .. i podanym na wiatr nosem tropi źwierzynę—że widzi nad strugami zamyślone bociany, na bagnach dzikie kaczki ukryte w trzcinie—kuropatwy na rżysku, zające pod miedzą, wilcze oczy w łozach, a jastrzębia w powietrzu... Wszystko co niejest nim, to go zachwyca; zdaje mu się że w tém niemém stworzeniu drzemie mnóztwo pokornych sympatyj dla jego cierpień ukrytych...

Ztąd wyszedł zapewnie ów gust do polowania, owo zamiłowanie przygód myśliwskiego życia, z których całą nową stworzono literaturę. Do rozbudzenia tego gustu we Francuzach niebardzo do Mohikańskiéj exystencyi skłonnych, przyczyniło się także niemało dwóch ludzi: Gerard, sławny zabijacz lwów, któremu każdy w duszy odwagi zazdrości, i cesarz Napoleon nieustannie wmawiający w Paryżanów miłość natury. Koniec końców, zkądbądź to poszło, faktem jest, że w tych ostatnich latach Paryżanie i Paryżanki wszystkie wolne chwile strawili na polowaniu; powróciwszy zaś, o niém mówią i piszą, tak wiele, że niéma miesiąca, żeby się niepojawiła jakaś myśliwska xiążeczka, opisująca mniéj więcéj zajmujące strzeleckie wycieczki, które w ogóle czytają się przyjemnie, bo mają jakby zapach żywicy i skoszonego siana.

Same tytyły tych dzieł zajęłyby dobry arkusz druku; do ostatnich tego rodzaju publikacyj liczy się xiążka margrabiego Dax, pod zapisem „*Souvenirs de mes chasses dans le midi de la France*“. Właściwie, margrabia niejest strzelcem, ale raczéj przyjacielem źwierząt, wtajemniczonym głęboko w ich życie domowe, charakter i sposób myślenia; ta to znajomość kieruje go w pogoniach, a czytelnika uczy historyi naturalnéj.

Urodzony, wychowany i zamieszkały w Pyrenejach, margrabia Dax podobnie jak hrabia Wodzicki, spędził większą część życia pod gołém, niebem i jako naturalista dyletant, przekładając nad towarzystwo ludzi, towarzystwo źwierząt, napisał nader dowcipną ich psychologiję, gdzie dowodzi faktami, że owe źwierzęta, na które człowiek tak z góry patrzy, mają duszę i często wyższe od ludzkich cnoty.

Zakochany w źwierzętach strzelec Dax, swéj nieboszczce sarnie jeszcze wspanialszy wystawił grobowiec jak lord Byron, który na pomniku psa swego, w Newstead, kazał wyryć złotemi literami ów sławny napis:

. . . „*Tu leżą piopioły istoty, która miała piękność bez próżności, siłę bez zuchwałości, odwagę bez okrucieństwa i wszystkie cnoty człowieka bez wad jego. O! Boatswain! niechlebiam tobie!..* i t. d.

Dla tego, że dowcip i elegancya przebija na każdéj karcie, xiążka pana Dax jak *Zapiski ornitologiczne* pana Wodzickiego, czyta się nader przyjemnie, i rozprzestrzenia niejako serce człowieka dając obszerniejszy zakres jego uczuciom. Znalazł on już nawet mnóztwo naśladowców i utworzył, że tak powiem, osóbną szkołę myśliwskiego piśmiennictwa. Ale królem strzel-

ców i królem ich literatury jest zawsze Gerard, który znów nowy tom do swéj lwiéj epopei dorzucił.

Znacie Gerarda, tego potomka Herkulesa, co tém się tylko różni od praszczura, że zamiast lwiéj skóry nosi elegancki mundur Spahisa; zapewnie sława jego już do was dobiegła, bo to sława niepospolita. On piérwszy dał poznać światu prawdziwego lwa i pustynię. Czytając szorstkie opisy Gerarda, czekającego na lwa po nocach z karabinem w ręku, mimowolnie przychodzi na myśl Buffon w koronkowych mankietkach i axamitnym fraku, przechadzający się krokiem paradnym po królewskiéj menażeryi, lub wykończający w watowanym buduarze opis straszliwego króla pustyni. Gdyby wtedy jaki duch złośliwy był mu podsunął *Polowania Afrykańskiego strzelca*, niewątpliwie byłby się zarumienił poczuwszy, że zamiast lwa pustyni, wymalował dla potomności wizerunek pokojowego lewka. Niechcę przez to bynajmniéj ujmować genijuszu wielkiemu naturaliście, Boże uchowaj; chcę tylko powiedzieć, że ten co zwał Ludwika XV „*wzorem bohaterów* i wzorem monarchów"— a panią Genlis „aniołem światłości", miał widoczną skłonność do upiększania swych wzorów; jakoż zwierzęta Buffona są tém czém pejzaże w ośmnastym wieku: dziwnie wymuskane i nienaturalne.

Porucznik Spahów nienależy wcale do téj szkoły; niejest ani naturalistą, ani deklematorem, tylko wyłącznie i jedynie strzelcem. Namiętność myśliwska zrobiła zeń, pomimo jego wiedzy, historyka pustyni i jéj straszliwych mieszkańców. Śmiało rzec można, że kto nieczytał opisów Gerarda, niezna lwa— kto chce go poznać, niech je czyta—chyba że woli puścić się do Afryki, i tam, w noc xiężycową, z wierzchołka dęba, studyować naocznie.

Ze swego krzesła z xiążką w ręku, czy z dębowéj gałęzi, co mniéj wygodnie, obaczy też same widoki, też same turnieje krwawe i namiętne dramata, obok których nasze walki na Lilipucie wyglądają batalije. Tam to obrazy! Weźmy piérwszy lepszy.

Cztery lwy walczą pod okiem kochanki; ta patrzy na nie spokojnie—długo obserwuje walczących jak Rzymianka gladyatorów, aż wreszcie, znajdując, że kochankowie nie dość prędko się zagryzają, prowadzi ich do innego lwa, którego siłę i odwagę poznała zdaleka po głosie. Tam zaczyna się nanowo bój, w którym zalotnik wybrany dusi jednego rywala, drugiemu nogi gruchoce, trzeciemu wydziera oczy—poczém, wstrząsnąwszy grzywą, kładzie się u nog lwicy, która w nagrodę liże rany zwycięzcy...

Inny szkic przedstawia znów dwa lwy walczące na śmierć w obec lwicy. Bój trwa długo. Lwica przypatruje mu się ciekawie, ruszając ogonem na znak zadowolenia. W końcu, kiedy już obaj padli, kiedy już niesłychać ani ryku, ani trzeszczenia kości—kiedy dwaj zapaśnicy rozdarłszy się wzajemnie, skonali, i grobowa nastąpiła cisza—lwica wstaje, wącha ich trupy, i z największą obojętnością odchodzi szukać innych wielbicieli. Oto kokietka! Czemże Balzakowska *kobieta bez serca* obok Afrykańskiéj lwicy?

Lew przeciwnie, wedle Gerarda jest wzorem małżeńskiéj wierności i przywiązania. Nietylko w czasie konkurencyi, ale zawsze ma dla swéj towarzyszki uprzejmość i względy dobrze wychowanego człowieka. Skoro przychodzą do domu, czyli do jaskini, lew zajmuje się przysposobieniem wieczerzy; bieży szukać zdobyczy, a ona kładzie się i leży dopóki jéj niezaprosi do biesiady. Wtedy lew siada zdaleka, czule spogląda na jedzącą i pilnuje żeby jéj nieprzeszkodzono. O własnym głodzie myśli dopiéro jak ją nakarmi—kiedy ona zaczyna drzemać, on zabiera się do jedzenia. Lwy z Włoskich bulwarów daleko mniéj dbają o swoje towarzyszki z Domu Złotego.

Są w Algeryi trzy gatunki lwów: płowe, siwe i czarne; ten ostatni rodzaj jest najstraszniejszy. Lew czarny niebłąka się awanturniczo jak dwaj jego pokrewni, ale osiada w jaskini jak baron feodalny, i mieszka w niéj sobie czasem lat trzydzieści; nieschodzi cale na doliny napastować trzody, tylko jak rozbojnik emeryt, siada przy drodze którędy pasterze gnają woły, i w téj procesyi upatrzywszy sobie cóś stosownego, porywa, dusi, i ze spokojném sumieniém powoli niesie zdobycz do legowiska.

Lew przez dzień cały śpi, dopiéro o zachodzie słońca wychodzi rycząc, i już całą noc pracuje: dusi ludzi, wysysa krew z wołów, tuczy się cudzym kosztem—prawda że to praca nieprawna—ale cóż pocznie nieborak kiedy niéma Bursy?

Co się zaś tyczy przesławianéj wspaniałomyślności króla pustyni, o téj Gerard trochę inaczéj mówi niż poeci. Pokazuje się z jego studyów, że lew wspaniały tylko w dzień, bo wtedy jest najedzony i śpiący;—ale szlachetny ten szacunek cudzéj osoby i własności, opuszcza go skoro głód przychodzi—i w tym to punkcie lew podobny najwięcéj do człowieka, który także, zazwyczaj dobry, a przynajmniéj niezły, kiedy mu na niczém niezbywa, a okrutny i nieubłagany jak mu czego braknie.

Arabowie widać także niepolegają na wspaniałomyślności lwa, gdyż ze wszystkich nieprzyjaciół na świecie, najwięcéj go się obawiają. „Lew ma siłę od Boga"—mówią, chcąc przez to

powiedzieć, że to plaga Boża, z którą walczyć niepodobna. Obchodząc tedy prawo Boże, polują na lwa tylko podstępem. Zazwyczaj podstęp jest taki. Kopią dół, jak studnia głęboki, ogradzają go krzakami i napędzają trzody tak żeby lew uderzając na nie, wpadł w zdradziecką pułapkę. W ten tylko sposób biorą lwa—wstępnym bojem prawie nigdy z nim niewalczą, bo drżą na samo jego wspomnienie.

Przy takiém usposobieniu Arabów, łatwo pojąć jak wielkie na ich umyśle musiała zrobić wrażenie odwaga Gerarda, który najśmielszych zuchwalstwem swojém zdumiewa. Obdarzony nadludzką energiją i nigdy niezachwianą krwią zimną, sercem jakby w stal zakutém, orlim wzrokiem i ręką, co nigdy niedrży, Gerard rzeczywiście sam na sam ze lwami cudów waleczności dokazuje; zabił ich własną ręką już przeszło trzystu. Poluje on tylko w nocy. Po zachodzie słońca, po którym w tamtych strefach wnet ciemność nastaje—wychodzi sam, i ze strzelbą na plecach idzie spacerować po lwich ścieszkach ledwie znacznych wśród lasu; albo usiadłszy na skale obok jaskini, czeka powrótu gospodarza, z którym walka zawsze rozpaczna, bo go nigdy prawie kula na miejscu niezabije, a im mocniéj zraniony tém gwałtowniéj na samego zabójcę uderza.

W jednym z takich zapasów, Gerard ze lwem ująwszy się za włosy, mocowali się z sobą... Kto się uląkł? Lew uląkł i runął w przepaść ugodzony w serce sztyletem. Nazajutrz dopiéro horda Arabów tryumfalnie sztylet Gerarda z lwiego serca wydobyła.

To mi odwaga! To mi emocye! I dziwić się tu po tém, że bogacze co już wykupili wszystkie wrażenia na świecie, poszli szukać Gerarda, i w jego towarzystwie, wśród pustyni posrebrzonéj światłem xiężyca, przeżyli jeszcze parę nocy, czując w piersiach młodzieńcze bicie serca i wzruszenia, których już niespodziewali się doznać na ziemi.

Ilekroć czytam opisy wypraw Gerarda, który co rok ogłasza swoje buletyny, zawsze myśl moja z Afryki ucieka na Litwę, do owych lasów, gdzie ów sędziwy zubr brodaty piérwszy raz w życiu przeląkł się zbłąkanéj kuli Napoleońskiéj—i pytam siebie: czy w tych wspaniałych puszczach już niéma strzelców coby nam malowali Gerardowskie obrazy... sto razy piękniéjsze, bo nasze—coby potężném graniem rogu zgłuszyli mdłe skrzypki i symfonije cudzoziemskich trubadurów, którzy na Litwie wyglądają jak hrabia Birbanteroco w Soplicowie? I zawsze odpowiadam sobie, że tam są, że tam być muszą myśliwi, których opowiadania zniewieściała Europa słuchałaby z dreszczem...

Ach! gdyby raczyli przemówić! I wy zapewnie wielebyście dali za to; może nawet mnie, profanowi, przebaczycie ten list myśliwski przez wzgląd, że to jest wywoływanie Litewskiego Gerarda.

II.

Jakby na kolendę dla Paryża, wyszła xiążka niezrównanéj piękności, jedyna pod względem treści i formy. Jestto *Naśladowanie Chrystusa*, wydane z przepychem, na który się składały wszystkie średniowieczne manuskrypta i malowidła. Ażeby to wydanie uczynić godném treści, pan Curmer, wydawca, przerzucił biblijoteki całego Chrześcijańskiego i niechrześcijańskiego świata—obejrzał wszystkie zabytki téj sztuki, która wraz z pierwotną wiarą do nieba uciekła. Drukarz artysta pojął, że wzory do illustrowania *Imitacyi* znaleźć tylko można w świętych manuskryptach, w których, jak motyl w szaréj siermiędze gąsienicy, zasklepiło się średniowieczne malarstwo. W tych to xięgach czekając przebudzenia, śniło przecudnie.... nasiąkało powoli przepysznemi farby i kreśląc miłośnie pełne nadziemskich rojeń zgłoski, przysposabiało odrodzenie. Wszystkie postacie niebiańskie, Madony, Aniołowie i Apostoły, które późniéj miały zapełnić obrazy, freski i ołtarze, zrodziły się w tych pokornych i wspaniałych zarazem xięgach. Są one Nazaretem, gdzie malarstwo święte igrało czekając wieku cudów.

Któż z nas niebył chociaż raz w życiu zachwycony widokiem owych przecudnych okien katedralnych, przez które wpadające słońce sypie na marmurowe posadzki rubiny, szafiry, szmaragdy i opale— a na których drżąca świętym zapałem ręka, przed wiekami wymalowała stary i nowy Testament? Słońce, jakby przewracając karty téj szklanéj Biblii, opromienia kolejno wszystkie jéj obrazy: ledwie przygaśnie Geneza, zapala się Apokalipsa—a skoro ta w cień zapadnie, promienieje Ewangelija; i tak w każdy dzień jasny, słońce, jak Bozka pochodnia, suwając po tłómaczeniu *Słowa* Pańskiego, uplastycznia je zachwyconemu oku modlącego się.

Podobnego wrażenia doznaje człowiek przeglądający karty nowej edycyi *Naśladowania*.

Czterysta trzydzieści sześć stronic przekopijowanych sposobem litochronomiczym ze starych manuskryptów, składają ten tom drogocenny jak relikwijarz.— Zrazu olśniony przypychem, niewidzisz przedmiotów, tylko blask złota i grę kolorów, co tęczowemi blaski przywodzą na myśl drogie kamienie, któremi święty Jan posypał suknie wybranych swojéj Bozkiéj Jeruzalem. Do-

piéro oswoiwszy się z tą łuną, spostrzegasz desenie i figury rojące się jak kolumny owadów w promieniu słońca—i podziwiasz te arcydzieła skreślone nieznaną ręką odludnego mnicha, który strawiwszy życie na téj pracy, zawsze tylko na brak czasu narzeka. „*Hastiveté m'a buslé*“ zapisuje na każdéj karcie malarz Francuzkiego manuskryptu *Cité de Dieu*. Illustrator spędził piędziesiąt trzy lat, schylony nad tą wielką xięgą—ale żeby wyczerpać wszystek raj jaki miał w duszy, potrzeba mu było żyć wieki...

Powyższy manuskrypt dostarczył panu Curmer najbogatszych arabesków i liter wielkich. Ze sławnéj xiążki do nabożeństwa Anny Bretonki, arcydzieła sztuki Francuzkiéj z XV wieku, wyjęto cztery spore obrazki rozpoczynające cztery xięgi *Naśladowania*. Najpiękniejszym z nich jest przedstawiający *Królowę na modlitwie*. Anna wśród pięknego krajobrazu klęczy ze złożonemi rękami przed mszałem rozłożonym na kamiennym stole; wzrok jéj od xięgi w niebo ucieka, na licach odbił się wyraz nieba. Wkoło niéj, rozmaicie ugrupowane klęczą damy dworu.

Z téj że xiążki wyjęto *Kalendarz* będący jedną z głównych ozdób *Imitacyi*. Jestto tuzin obrazków przedstawiających całoroczne prace i przyjemności rolnika; orkę, żniwo, polowanie, winobranie, las w maju, las w zimie, pana powracającego do domu wśród śnieżystéj zamieci, częstującego włościan, tańcującego z nimi na dożynkach, i t. d. Każda z tych winijetek zaleca się naiwną gracyą, któréj tak trudno dopatrzeć w nowych utworach sztuki.

Pomiędzy obrazkami a drukiem, krąży nieprzerwanie suta girlanda i wieńczy wszystkie karty nie powtarzając się nigdy. Strumień ten wezbrany kwiatami, w kapryśnych skrętach coraz to nowe wynajduje cacka, i porwawszy swym prądem zamki, pałace, ptaki, zwierzęta, tryumfalne łuki, obeliski i piramidy, niesie wszystko i rzuca pod stopy świętego textu. Jestto więcéj niż Maurytańska rozmaitość. Szlaki wyjęte z Ewangelii Karola Wielkiego, Sakramentarza Drogona, i Biblii Karola Łysego, cechuje surowa wyniosłość Romańskiego stylu. Są to same arkady i monumenta dźwigane przez urojone potwory. Text tronuje wśród tych portyków jak pradziad Karlowingów pod baldachimem; ale wnet Gotycka fantazya wywraca Byzantyńskie zamki, i sieje na ich miejscu kwiaty i aniołki. Kto chce wić wieńce, niech przypatrzy jak je splatali starzy koloryści. Kwiaty pod ich palcami mnożą się i mienią do nieskończoności: to skromnie otaczają kartę, jak habrowy wieniec głowę dzieweczki; to się rozrastają we Florenckie bukiety; tu sypią się na text,

jak róże przed monstrancyą w Boże Ciało, ówdzie rzedną, bledną i mdleją jak grządki pod zimnym oddechem jesieni.— Dalej Flora wpada w allegorye. Szlak wyjęty z xiążki nabożnéj z XVI wieku, przedstawia damy kwietne, od których zapewnie wzięły początek *les fleurs animées* Grandvilla; róże z kobiecą twarzą zdają się tam rozmawiać z fijołkami zmienionemi w dziecіątka—gwoździk prowadzi liliję pod rękę, i tak daléj. Napiękniejsze z utworów tego wiosennego pędzla są szlaki wyjęte z odwiecznéj xiążki Jana Fouquet, znanéj pod nazwą: „*les Anciennetés des Juifs.*" Mają one wilgotną świeżość robot ogrodowych i zwodliwsze są od owoców Apellesa: tamte tylko ptaków zwodziły, te ujrzawszy, dziecko zaraz wyciąga rączkę, chce złapać i zwykle łzami oblewa niedające się zerwać kwiatki.

Co kart kilkanaście powkładano portrety sławnych poetów duchownych. Międzý innemi jest wyjęty z *Watykańskiego Petrarki* wizerunek tego wieszcza oprawiony jakby w gęstwinę lasu, po któréj snują się ptaki i rozmaita źwierzyna uderzająca doskonałością rysunku. Pośród tego rozruchu natury i obejmujących go wdzięcznie gałęzi—poeta w niebieskiéj draperyi z pochyloną nad xiążką głową, siedzi jak jego Laura w Sonecie, nie zważając na pieszczoty lasu i całusy zefiru:

„*Et ella si sedea*
Humile in tanta gloria
„*Coverta gia de l'amoroso nembo.*"

To niesłychane bogactwo ram rosnące w miarę pokory textu, czyni wrażenie uczczenia niewiedzącéj o sobie cnoty.

„O, jakże nędzne jest życie na téj ziemi—woła autor *Naśladowania*—wszystkie potrzeby ciała, jedzenie, picie, odpoczywanie, to istne tortury dla człowieka żyjącego w Bogu; pragnie on z całéj mocy wyzwolenia duszy z tak marnych więzów." Westchnienie to surowego trapisty oplata girlanda radująca oczy jak szal Perski, albo Ukraiński łan złotego zboża strojny w szkarłatne maki i habry błękitne. Najjaskrawsze z tych wieńców wyjęto ku ozdobie Chrześcijańskiéj xięgi aż z Indyjskiéj *Baghavata-Purana*, inne przywieziono z Arabii—bo nie było kraju gdzieby niezajrzeli niezmordowani zbieracze kwiatów mających służyć za posłanie świętéj nauce Zbawienia. Po tych skarbach sztuki, zasady abnegacyi i ubóztwa, stąpają cicho i poważnie jak bosa noga zakonnika po mozaikach przybytków Panskich.

Powyższy opis ledwie słabe dać może pojęcie o téj edycyi policzonéj słusznie do najpiękniejszych wydań naszego wieku.

Skreśliłem tu tylko postać téj xiążki, pomijając zupełnie trudności jakie narodzinom jéj towarzyszyły, a które pojmą ci tylko, co znają z doświadczenia surowość biblijotecznych cerberów, stojących u drzwi do sali manuskryptów, ich podejrzliwość, zazdrość i niechęć dla zwykłego śmiertelnika przychodzącego zdejmować wzory z xiąg pokazywanych tylko pomiędzy dwóma świecami, podróżującym monarchom. Bez poparcia swego rządu, pan Curmer byłby pewnie nieodemknął napotykanych co krok ryglów;—ale niemniéj przeto należy mu się wdzięczność Chrześcijańskiego świata za ten religijno-biblijograficzny pomnik, który z jego nażwiskiem przejdzie do potomności, jak Horacy z Elzewirem.

III.

Dawno xiążka nienarobiła tyle hałasu w Paryżu, ile ostatnie dzieło Micheleta „*l'Amour*“. Zaledwie wyszła z drukarni, pochwycono ją, i najsprzeczniejsze ozwały się o niéj głosy; jedni krzyczeli na jéj niemoralność i materyalizm—drudzy unosili się nad jéj idealną moralnością. Organ Jezuitów, *l'Univers*, wołał że to wyrafinowane śmieci—*Revue des Deux Monde*, że to najwznioślejsza aspiracya duszy. Sądy były tak wprost przeciwne, że kto chciał dowiedzieć się, co zawiera w istocie ta xiążeczka, musiał ją koniecznie wziąć do ręki, i dopiéro przeczytawszy, zrozumiał przyczyny namiętnych filipik i panegiryków jakie wywołała.

Xiążka Micheleta o miłości niejest w niczém podobna do istniejących w tym przedmiocie studyów; nieprzypomina ani *Fizyologii Małżeńskiéj* Balzaka, ani rozprawy którą Stendhal o kochaniu napisał: obaj powyżsi autorowie rozbierali uczucie rozumem, szukali miłości w głowie; Michelet znalazł ją w sercu—i to iest główna różnica jaka zachodzi pomiędzy jego utworem, a utworami jego poprzedników.

Zaprawdę, jestto dziwne dzieło... rodzaj nierymowanego poematu, w którym duch ciągle się miesza z materyą—śmiała analiza subtelnych uczuć, dla wielu zupełnie ciemna, dzieło moralisty i poety zarazem, które chociaż jest utopiją, daje wiele do myślenia, a mimo zuchwałych dociekań, budzi same uczciwe myśli,—jestto obraz przedstawiający figury nagie, a przecięż pełne czystości, jak posągi Greckie, których surowa forma odpycha wszélką myśl sprośną.

„Utworzyłem, mówi autor, dwoje młodych ludzi, pożeniłem ich, i przeszedłem z nimi całe życie, aż do grobu.“

Oto kanwa na któréj haftował. Niejest to jednak romans; autor niewziął téj formy, niechcąc zajmować się indywiduami, ale

ideą, którą osoby muszą koniecznie nieco zacierać; chodziło mu także o zostawienie całego obrazu w półcieniu, który przy wykończeniu charakterów zniknąćby musiał.

Miłość o której mówi Michelet, niema nic wspólnego z galanteryą; niéma tam ani słowa o miłości kapryśnéj, miłości próżnéj, ani o innych miłościach wcale na tę nazwę niezasługujących; autor pogardził wszystkiém co jest kłamstwem w kochaniu. Oczyścił ten kwiat drogi i rzadki ze wszystkich chwastów pasożytnych, które się krzewią i niepozwalają mu żyć w gorącéj atmosferze salonów. Dla tego tytuł dzieła *l'Amour* jest może zaogólny; napis *Małżeństwo*, dałby wyraźniejsze pojęcie treści—*Kobieta* byłoby jeszcze lepszém określeniem rzeczy, bo o nię tu chodzi w istocie; autor, jéj naturę rozbiera, mężczyznę uczy tylko jak kochać żonę i jak z nią postępować.

Ostatecznie, xiążka o któréj mowa, wydała mi się bardzo wysoką pod względem estetycznym, a bardzo nizką, pod względem ocenienia kobiety i stanowiska jakie jéj naznacza. Michelet deifikuje kobiétę—ale zarazem czyni z niéj niewolnicę, i o tę to ważną niekonsekwencyę rozbijają się niemal wszystkie piękności jego poematu.

Opierając się na powadze fizyologii, autor powiada: „Kobieta jestto przez naturę zraniona istota, która tylko w małżeństwie znajduje chwile rekonwalescencyi.“ Uznawszy ją tedy za wiecznie chorą, nakazuje mężczyźnie niezmordowane poświęcenie zakochanego infirmijera— każe bawić żonę w domu i nieodstępować na chwilę, żeby niewyszła za próg, gdzie na nię czekają tysiączne zasadzki, których tylko przez nieobecność swoję uniknąć jest zdolna.

Wyszedłszy z téj zasady, że kobieta jako nieuleczona pacyentka żyć musi pożyczoną od męża duszą, Michelet postępując logicznie, musiał ją przykuć do myślącego za nię mężczyzny, zamknąć na klucz tę wzorową parę, a nawet obawiając się żeby myśl jaka obca niewcisnęła się z zewnątrz, napisać na drwiach: „tu wejść niewolno“—autor bowiem niepozwala na żadną interwencyę obcą w tém dwupłciowém pustelnictwie, które małżeństwem zowie; ani służących, ani przyjaciół, ani znajomości, ani kościoła— ledwie xiążkę, i to jeszcze z wyraźnem pozwoleniem męża. Służący, powiada, jest szpiegiem— przyjaciel, przebranym nieprzyjacielem— rodzina, uprzywilejowaną impertynencyą, która pod pozorem krewieństwa ma zawsze prawo mięszać nieprzyjemne słowa w rozmowę—świat, wężem, który syczy w ucho kobiecie pokusy— religija nakoniec, bezduszną formą niepotrze-

bną niewieście dopóki ludzie niewzniosą Bogu godniejszych Go. ołtarzy.

W tém systematyczném odosobnieniu, Michelet naturalnie musiał zrobić z męża służącego żony— a tytułem wynagrodzenia dać mu funkcye nauczyciela, ojca i spowiednika. Z tych względów wymaga żeby mężczyzna w dwudziestym ósmym roku żenił się z ośmnastoletnią panną, i tym sposobem górował nad nią dziesięcioletniém doświadczeniem; kobietę zaś radzi wziąć tak młodą, dla tego, że wtedy jest ona białą kartą, na której mężczyzna może napisać co zechce.

Ale gdzie znaleźć mężczyznę, któryby chciał i mógł udźwignąć ten niezmierny ciężar różnorodnych funkcyj, jakie Michelet wkłada na męża? Nikt nieprzeczy, że wyższość intelligencyi męzkiéj nad kobiecą istnieje, ale pochodzi raczéj z wychowania nie z natury; gdyby mężczyzn uczono tylko haftować, tańczyć i brząkać na fortepijanie, prawdopodobnie różnica pomiędzy frakiem a spodnicą niebyłaby tak bardzo wielka jak utrzymują,—a przypuściwszy nawet tę regułę ogólną, to i tak wyjątki nadto ważną grają rolę na świecie, ażeby na nie niezwrócić uwagi—to i tak zdarzyć się może, że panna Tańska pójdzie za Hofmana, pani Staël za Staëla, pani Roland za Rolanda... i cóż się wtedy stanie z małżeństwem opartém jedynie na indywidualnéj wyższości męża?

Pochłonięcie kobiety przez mężczyznę, gdyby nawet miało na swoje usprawiedliwienie najczulszą miłość, byłoby zgwałceniem praw przyrodzonych. Jak jedni, tak drudzy mamy sobie daną od natury indywidualność i rodzimy się w społeczności;—tém samém jesteśmy przeznaczeni żyć wielorakiém życiem: życiem własném, życiem rodziny, życiem przyjaciół, życiem ojczyzny i życiem Ludzkości,— i dla tego to mamy potrzebę przechodzenia z samotności w towarzystwo i odwrótnie: w towarzystwo, ażeby oddać drugim, co się u nas uzbierało dobrego—w samotność, ażeby w skupieniu pozwolić pracować duszy; tylko przez tę ciągłą wymianę możemy powiększać największy skarb téj ziemi, wspólny kapitał sympatyi.

Zamiast tracić na czystości i energii, jak to twierdzi Michelet, dusza nasza hartuje się i wyrabia w ciągłéj z ludźmi styczności. Wszystkie siły moralne na tym świecie działają i oddziływają na siebie wspólnie: kto kocha, uczy kochać—a ilekroć bogacimy ducha jakiém nowém uczuciem, wylewamy ten skarb nowy na cześć naszych bogów domowych. Fałszem jest ażeby kobieta szczodrze uposażona od natury, zdolna zapalić się do muzyki, malarstwa, do wielkiéj myśli, jeżeli prawdziwie kocha mę-

ża, mniej go kochała wyszedłszy z koncertu, muzeum, lub towarzystwa ludzi wyższych. Przeciwnie, wróci ona do domu lepsza, tkliwsza, i wszystkie doznane wrażenia przemienione w miłość, odda miłości, która jest treścią jéj duszy.

Michelet niepowiada tego, ale w gruncie niedowierza kobiecie; obawia się wpływów zewnętrznego świata, i dla zakrycia go przed okiem żony, drzwi zamyka. Ale czyż tym sposobem odejmie jéj ciekawość, wyleczy ją z ambicyi, pozbawi ochoty poznania rzeczy nieznanych? Zwykle system więzienny przeciwny wywiera skutek: dotąd widzieliśmy zawsze, że monotonija budzi marzenia i płodzi nudę, a nudę od jakiéjbądź rozrywki, niestety, przedziela tylko odległość okazyi.

Przypuściwszy nawet kobietę tak słabą żeby co krok się potykała, to pewnie ani poetyczny mur zasłoniony miłosiernie zielenią, ani czułe wejrzenie pana, nieuchroniłoby jéj od téj przyrodzonéj kruchości. Warty, rygle, mury, ostatecznie podniecają ciekawość do poznania rzeczy nieznanych. Kto chce kobietę ustrzedz od złego, musi jéj saméj własną obronę poruczyć, gdyż żadne stworzenie Boże niemoże cnoty swéj umieścić w drugim i *zasłużyć* przez prokuracyę. Lepiéj więc zamiast drzwi zamykać i zasuwać firanki, wykształcić umysł i serce niewieście tak, żebyśmy ją mogli poruczyć własnéj pieczy i uważać za istotę odpowiadającą za swoje czyny. Wtedy będzie wiedziała czém jest w obec Boga, i oparta na własnéj godności, z łatwością się oprze sedukcyom, któremi gardzi każda kobieta mająca rozum i wolę.

Polecane przez Micheleta *odosobnienie*, na którém zahipotekował małżeństwo, pewnie nieda powyższego wykształcenia. W przeznaczeniu człowieka napisano—i to jest właśnie co stanowi wyższość jego natury—że ile razy dobrą sprawę czynić zechce, musi ją czynić wspólnie z drugimi. Kto sam szuka prawdy, zginie, jeżeli nikt w pojedynku z życiem niezechce mu sekundować.

Nawet myśl zrodzona samotnie w naszéj głowie, potrzebuje potwierdzenia, żebyśmy ją za prawdziwą uznali. I tak, chociaż powyższe uwagi wywołane czytaniem xiążki Micheleta, wydawały mi się sprawiedliwe, siedziałem zadumany, pytając siebie: czy to tylko tak jest w istocie jak mi się wydaje?

— O czém tak myślisz?—zagadnął mnie nagle głos niewieści.

— O *Miłości* Micheleta. Co sądzisz pani o téj xiążce.?

— Ja?—odrzekła—Alboż wy dbacie o sąd prostéj kobiety, co rozum nie w xiążkach, ale w sercu czerpie?

— Czyżbym pytał niedbając?

— No, to powiem panu, ale niech to pomiędzy nami zostanie,

że Michelet lepiéj o Rewolucyi niż o kobietach pisze. Tam broni wolności — a tu jest tyranem, a co gorsza Jezuitą. Osypał nas różami, niby wielbi, ubóztwia, kocha, a na klucz zamyka. Protestuję! Ja sądzę, że ten mnie najwięcéj szacuje, kto mnie czyni odpowiedzialną za siebie, i każe się saméj pilnować. Powtóre, zkąd przyszło do głowy Micheletowi, żeśmy zawsze chore? Protestuję drugi raz! Oświadczam, że jestem zdrowa, i niepotrzebuję żeby na mnie od rana do nocy chuchano. Piękna historya to małżeństwo wedle Micheleta! Toć to klasztor i szpital, w którym mąż pełni funkcye przeora, spowiednika, doktora i siostry miłosierdzia. Dziękuję za łaskę!

— I ja też tak myślę.

IV.

Guizot syn zaczyna nabywać sławy literackiéj w Paryżu. Polem jego popisów jest *Journal des Debats*, gdzie odczasu do czasu artykuły swoje umieszcza. Treść ich zwykle poetyczno-moralna. Jako próbkę tego młodego pióra, podaję wyjątek ze świeżo ogłoszonego artykułu o Anglii i Szkocyi, który tu sprawił pochlebne dla autora wrażenie, a w którym napotkałem niepowszednią charakterystykę Byrona i WalterSkota. Zestawienie tych dwóch genijuszów, natchnął autorowi widok posągu sławnego romansisty w Edymburgu. Oto w jaki sposób Wilhelm Guizot definijuje dwa meteory, które jednocześnie pojawiły się na mglistym horyzoncie połączonych trzech królestw Anglii Szkocyi i Irlandyi.

... „Nigdy dwa genijusze piszące spółcześnie jednym językiem, niewcieliły w siebie całkowiciéj charakteru dwóch narodów tak zupełnie różnych choć połączonych, jak Byron i WalterSkot. Anglija odepchnęła Byrona — on ją przeklął — uciekł od niéj — wstrząsnął z całéj siły karnać społeczeństwa, w którém się urodził; chciał koniecznie naturalizować się na wygnaniu ażeby lepiej zaprzeć się swéj ojczyzny; stał się Wenetczykiem przez miłość, Grekiem przez śmierć swoję; ale mimo to wszystko, został Anglikiem, dla tego, że był przedewszystkiém Byronem. Wtém leży przyczyna monotonii jego koczującego i zmiennego życia, kapryśnéj i skomplikowanéj poezyi. Charakter Byrona, jestto charakter Angii zbuntowanéj; indywidualizm posunięty aż do samolubstwa i cynizmu — bałwochwalstwo swego *ja*. Genijusz jego jest także nim, i nim tylko, obok całéj ruchomości kontrastów i jednostajności jakiéj można oczekiwać od poety nietającego żadnéj swojéj fantazyi i malującego się ilekroć się zobaczy. *Childe-Harold*, *Don Juan*, są to ledwie przebrane Byrony; *Kain*, to

także Byron, tylko antydatowany o sześć tysięcy lat. Wyobraźnia jego przepełniona własnym wizerunkiem, mogła — jak słusznie powiada p. Villemain — stworzyć tylko jeden typ niewieści, kobietę jakiéj pragnęła duma jego: tkliwą, poświęcającą się, uległą i zdolną do wszystkiego dla miłości; taki charakter ma każda Byronowska niewiasta, czy jej na imie Julija, Haïde, Zuleika, Gulnara, czy Medora; Byron przegląda się w sercach wszystkich swoich bohaterek, a pochlebia sobie w portretach wszystkich swoich bohaterów. Przez swoje dzieła rówie jak przez życie, przez błędy swoich utworów jak przez ich niesłychaną piękność, Byron jest wyrazem téj przewagi indywidualizmu, która jest w Anglii gruntem każdéj duszy i podstawą społeczeństwa.

„Jakże różnym jest WalterSkot! Ten kocha swoję ojczyznę tak mocno jak jéj nienawidził Byron; studiuje z zapałem jéj dzieje i najdrobniejsze zwyczaje; zna każdą ruinę i każdą legendę ukochanéj ziemi; chory, ledwie ją na rozkaz lekarza porzuca; umierający, chce w niéj umrzeć; konający, odzyskuje głos dla tego tylko, żeby zawołać: „O! Szkocyo!" Na dwadzieścia ośm romansów, piętnaście jéj poświęca oraz wszystkie poezye; jeżeli zaś w innych krajach powieść swą umieszcza, zawsze wsuwa do akcyi Szkota; jest tak widocznie Szkotem, że kiedy do chaty wieśniaka zawitał, ten przyjął go jak swego mówiąc żonie: „To musi być ktoś z sąsiedniéj wioski."

.... „Byron, poeta bez ojczyzny, wielki pan bez skrupułów, z kraju do kraju wodził żywot tułaczy, prowadząc go przez wszystkie warstwy społeczne; wedle kaprysu żył z parami, z boxerami, z mnichami, z Małgorzatą Cogni, piękną Wenecką dziewoją, z hrabinami i piratami—zawsze i wszędzie widząc nie świat, nie ludzi, ale tylko siebie. Rzec by można, że te wszystkie podróże Byrona, to nieustanna gonitwa własnego cienia po pustyni.

„Przez ten czas WalterSkot w głębi Szkocyi, przy domowém ognisku, bez awantur i wysileń, odgadywał czego widzieć niemógł, pojmował, czego niedoznał, wywoływał życzliwą wyobraźnią, różne narody i różne czasy, wszystkie pokorne lub wielkie figury Ludzkości, wszystkie wesołe i smutne obrazy życia. WalterSkot uśmiecha się nawet do tych, z których żartuje—tłómaczy tych nawet, których musi potępić; a kiedy wpycha w rozpacz lub do grobu najdroższe swéj wyobraźni utwory, czyni to ze smutną rezygnacyą; tak dalece jest bezstronny, że pojmuje rolę cierpienia na tym świecie—ze łzami, samą nawet śmierć exkuzuje; wie, że to rzeczy ludzkie, i tak je przedstawia, iż skutkiem spokoj-

nego miłosierdzia osładza wrażenie najsroższych ciosów, pod któremi padają jego bohatery.

„Byrona tylko w pewnym wieku czytać można; ażebyś go mógł admirować, musisz iść ku niemu, do niego się dostroić; jeżeliś go pokochał, przepadniesz... wtedy znosić musisz genijusz jego jak tyraniję, stajesz się Byronistą.— WalterSkota w każdym wieku czytać można bez przygotowania, nieprzestając być sobą. Zaledwie go weźmiesz do ręki, zapominasz o sobie, tak jak on o sobie zapomniał. Jestto najprzystępniejszy genijusz na świecie; a kto kolwiek go czyta, powie jak ów wieśniak Szkocki: „To ktoś z sąsiedniéj wioski.“

.. „Byron, to typ gwałtowny indywidualizmu, który stanowi siłę Anglii. WalterSkot, jest doskonałym typem sympatyi będącéj czarem Szkocyi.— Miejsce, na którém postawiono posąg jego w Edymburgu, jest zupełnie zgodne z jego naturą; na granicy cywilizacyi i przyrody, obok kolei żelaznéj i łąki na której pasą się trzody, autor *Vaverleya* ukazuje się wojażerowi we właściwych ramach. Na tle prześlicznego pejzażu, obok drogi na któréj, jak w jego romansach, mnóztwo osób się kręci— WalterSkot siedzi jakby czekał na podróżnych wychodzących z dworca kolei, chcąc ich oprowadzać po swém rodzinném mieście, cieszyć się ich zadziwieniem, i pokazać im że Szkoty wcale niepodobni do Anglików, a w całym świecie nic podobnego do Edymburga nieznajdzie.“

Drugi tom *Pamiętników* Guizota ojca jeszcze niewyszedł. Tymczasem, nieczekając aż sam się odda w ręce sprawiedliwości, sądzi go *Dykcyonarz Spółcześny*, dość trafnie i sumiennie. „Guizot, pisze pan Vapereau pod litera *G*, jako człowiek polityczny należy do rzędu ludzi, których tylko potomność ocenić może. Nienawiści, jakie przeciw niemu wybuchły we Francyi, pochodzą w części z uraz osobistych za pokrzyżowanie interesów prywatnych, w części są skutkiem niechęci natchnionych nieszczęściami publicznemi, które jego rządom przypisują. Ale chociaż szarpano srodze politykę Guizota, nikt jego osoby nieszarpnął; charakter jego bez skazy, pozostał celem admiracyi powszechnéj. Najzawziętsi nieprzyjaciele, zastosowali do niego dany niegdyś Walpolowi przydomek, nazwali go *Corrupteur incorruptible*.

„Też same wady i też same cnoty co w jego osobie, znajdujemy w stylu Guizota. Historyk, czy filozof, narzuca on raczéj niż wykazuje, rezultaty swoich poszukiwań. Dzieła historyczne, które stanowią główną jego sławę literacką, wywołały ostre krytyki w tych czasach. Pomiędzy zarzutami czynionemi ich for-

mie, te były najgłówniejsze, że nadto w xiążkach ogólników i pewników, a zamało faktów i prostoty.“

Powyższą definicyę, jak się zdaje, natchnęła *Dykcyonarzowi* lektura piérwszego tomu *Pamiętników*, w których dotąd ciężka doktryna przeważa wszystkie inne względy.

V.

Paryzki Teatr Włoski, ów rezerwuar, do którego ściekają najczystsze krople harmonii jaką Bóg jeszcze zrasza tę ziemię— choć w wielkim komplecie i jak Włoch sumiennie śpiewa, niebudzi przecięż zapału i niema znaczenia jakie kiedyś miał w Paryżu. Przed kilkoma jeszcze laty otwarcie jego stanowiło tu epokę. Dzienniki miały już nawet umyślnie na ten cel przysposobione artykuły, w których anosowały stylem wschodnim powrót *Słowików*. Sala *Ventadour* była jakby ostatnim salonem tutejszéj społeczności. Wielkie damy chodziły do *Włochów* żeby pokazać brylanty, ramiona i okazałą toaletę, któréj dla braku zgromadzeń prywatnych niemożna było pokazać gdzieindziéj. Teatr Włoski był więc wystawą produktów elegancyi—gdzie właściwie prawie niebyło słuchaczy, tylko widzowie, tak mocno zajęci kontemplacyą czarownego wieńca kobiét, kwiatów i dyamentów rozłożonego na szkarłatnych axamitach, że zwykle parter niewiedział wcale co się dzieje na scenie. Ale mimo to, śpiewano tam cudnie i choć rzadko, ale gorąco admirowano—nie klaskaniem, broń Boże, tylko owym cichym wykrzyknikiem, „*brava*“ „*bravi!*“ który jak szmer liści porwany wietrzykiem wraz z zapachem drzewa, leci na scenę i jest najwyższą nagrodą aktora. Teatr Włoski był tak konieczną cechą dobrego tonu, że Balzak do swego arystokratycznego Olimpu przyjął tylko te kobiety, które miały loże w *Bauffach*. Bóztwa niższego rzędu, co tam tylko krzesła posiadały, wykwintny malarz herbownego świata, zepchnął gdzieś w bezsłoneczne strefy, których opisać zapomniał.

Od czasów Balzaka bardzo zmienił się Paryż. Dziś powrót śpiewaków Włoskich tyle go obchodzi, co powrót studentów z wakacyi. Przez lat dziesięć Paryzka populacya tak się wyrodziła, że jéj jużby Balzak niepoznał. Drogi żelazne dając Paryżanom wielką łatwość podróżowania, wprowadziły w modę sielanki; każden ma jakiś dom na tak zwanéj wsi, która nieistnieje—bo ów dom stoi samotnie na piasku, otoczony tak zwanym parkiem, to jest krzaczkami, pośród których wygląda jak ubrana pietruszką sztukamięsa. Gdzie więc wyjrzysz w okolice Paryża, wszędzie napotkasz takie wsie bez wieśniaków, zamieszkane przez miej-

kie damy i ichmościów, reperujących pilnie nadwerężone Paryzką drożyzną dochody. Oszczędność przebrana za pasterkę, trzyma elegantki na wsi, gdzie bez sromoty można nosić stare suknie i niemodne kapelusze.— Skoro wybije nareszcie szczęśliwa godzina powrótu, powracają do stolicy:—ale witają się nietak jak dawniéj, wśród świateł, tańców i muzyki; odbywa się to wszystko jakoś ciszéj i zimniéj. Zamiast balów dają sobie Brytaniczne herbatki—a zamiast iść do teatru, grają u siebie komedye i opery... I znów, jak tylko stopnieją śniegi, jadą na wieś namawiając się wspólnie żeby tam jak najdłużéj pozostać.

Tak więc zima, która zaczynała się dawniéj w Paryżu ostatnich dni września, zaczyna się teraz wtedy kiedy jéj blizki koniec kalendarz zwiastuje. Jaki to ma wpływ na obyczaje, niewiem—ale na muzykę najgorszy. Willegijatura zabiła teatr Włoski! Zajrzyjmy jednak do niego, bo jeszcze na to zasługuje.

Mario Alboni i Frezzolini są teraz arcykapłanami w téj świątyni harmonii. Najświetniejsze dotąd było przedstawienie *Rigoletta,* w którym Frezzolini ma rolę niezmiernie do swego talentu stosowną. Pani Frezzolini, dziś piérwsza w Paryżu śpiewaczka, jest dziwnie idealną istotą. Wysmukła i wiotka jak tuberoza, wydaje się tak cierpiąca, tak słaba, że obawiasz się żeby lada chwila nieskonała na scenie, jak pani Malibran. Głos jéj słaby, płynie widocznie z cierpiącéj piersi. Ale jeżeli instrument jest wątły, dusza podwaja się ażeby go ożywić zapałem. Porównaćby można głos téj idealnéj Włoszki, do sławnych jéj ojczystych fresków, których miękką piękność czas miejscami pozacierał. Niknące malowidło widać jakoby przez mgłę: choć kolor pobladł, znać jeszcze kontur wyborny; prześliczne głowy górują nad znikającém ciałem—miłe uśmiechy ożywiają blade usta, z ręki zostały tylko przezroczyste palce świadczące o czystości formy—ciało spopielił czas, została tylko jego dusza nieśmiertelna. Toż samo stało się z głosem Frezzolini zamglonym raczéj, nie zużytym przez organiczną niemoc: bezsilność jego nagradza expressya i smak wyborny. Melodya znika czasem w jéj piersiach, ale nigdy się niedefiguruje; słuchając tego głosu często się zdaje, że to dolatujący zdaleka śpiew, którego niektóre tony wiatr porwał w drodze.

Kto zna *Rigoletto,* czyli dramat Wiktora Hugo „*Le Roi s'amuse*" z muzyką Verdego, wyobrazi sobie łatwo, jak taki głos do roli *Gildy* (Bianki) przystaje. Frezzolini wygląda w niéj jak blada piękność w żałobie. Piérwsze jéj ukazanie się z lampą na schodach i tęskna *canzonetta,* którą ztamtąd rzuca, wywołały w sali długi szmer sympatyi. W trzecim akcie Rossini zażądał po-

wtórzenia cudnego finału, w którym błagalny głos Gildy goni za pieśnią zemsty Rigoletta, i jakby co chwila padając na kolana, błaga o litość nad uwodzicielem. Frezzolini z twarzą Rzymianki w téj scenie wygląda jak jedna z Sabinek szkoły Rzymskiéj, które rzucają się na miecze i rozbrajają wojowników.

Ale zenitem jéj talentu jest zawsze ostatni kwartet złożony z jęku rozpaczy, wesołego śmiechu, krzyku zemsty i rozpustnéj piosnki—czterech sprzeczności, które płyną razem, bracia harmoniją, a wrogi uczuciem. Z tego kwartetu (arcydzieła Verdego), wytryska w końcu grupa melodyi wyobrażająca śmierć męczennicy. Jaki wyraz, jaki rozdzierający urok nadaje Frezzolini téj scenie, tego wypowiedzieć niemożna. Tu wszystkie wady i przymioty razem jéj służą: bladość, wiotkość wrodzony wyraz cierpienia, połamane w piersiach tony, drżenie przepełnionego łzami głosu, wszystko się składa żeby urzeczywistnie anielską wizyą Hugona. Jakiś poeta Niemiecki wspomina o dzwoniącym w płonącéj wieży dzwonie— musiał on tak brzmieć jak głos Frezzolini w téj scenie.

Przepyszna ta reprezentacya, o mało co niezostała popsutą uporem Maria, który uroiwszy sobie że roli Franciszka Igo śpiewać już niemoże, oświadczył, że niewystąpi. Uderzono na alarm w dyrekcyi; wypowiedzenie służby takiego dygnitarza, to nieżarty, bo jak świat wielki niéma go kim zastąpić. Dyrektor niemogąc nic wskórać prośbą, uciekł się do groźby. Zważywszy że śpiewak biorący 14,000 fr. *miesięcznie*, powinien wszystkiemi siłami teart podpierać i grymasić mu niewolno, wytoczył proces. Wezwany przed sąd Mario, i zapytany: czemu śpiewać niechce? odpowiedział: że bez narażenia swéj sławy, niemoże już brać na siebie trudnéj roli króla.— Sędziowie wzięli się na sposób. Ufając w próżność artysty, niezawyrokowawszy nic, oświadczyli, że przysięgli przyjdą do teatru na próbę, gdzie oskarżony musi im najtrudniejsze arye z *Rigoletta* zaśpiewać.— Między przysięgłymi był Meyerbeer i Rossini. Ujrzawszy przed sobą takich sędziów, Mario, jak ów kruk w bajce, wolał upuścić ser, a popisać się z głosem. Śpiewał więc piękniéj niż kiedykolwiek. Złośliwy Rossini, który ten podstęp wymyślił, śmiał się i klaskał co siły.

Wyszedłszy z teatru, sędziowie wydali następujący wyrok:

„Zważywszy, że tenor Mario śpiewa lepiéj teraz niż dawniéj, trybunał wskazuje go na występowanie w *Rigolecie* w roli króla, ile razy dyrektor Calzado powyższą rolę mu poruczy; w przeciwnym razie, jeżeli pan Mario pomocy swojéj odmówi, trybunał wskazuje go na płacenie panu Calzado summy 6,000 fr. za ka-

żdą bez niego przedstawioną reprezentacyę opery *Rigoletto*. Prócz tego, sąd skazuje pana Mario na koszta procesu."

Tak pochlebnie zmuszony śpiewak, chcąc podnieść samowolnie podany w podejrzenie swój talent, tak świetnie zadał kłamstwo sam sobie na publiczném przedstawieniu *Rigoletta*, że Verdi znów przez całą tegoroczną zimę będzie królować w taatrze Włoskim, zrzuciwszy z tronu Mercadanta którego uczone *Il Giuramento* niezyskało uznania w Paryżu.

Opera komiczna uczy się nowéj opery Meyerbeera pod tytułem: *Dinorah*. Jaki jest ten utwór—niewiadomo: bo to nowe dzieło jak wszystkie poprzednie partycye wielkiego twórcy *Hugonotów*, więcéj zakryte w kolebce niż tajemnicza Izys bogini. Swoim zwyczajem, Meyerbeer przedsięwziął wszelkie środki ostróżności, ażeby przed piérwszą reprezentacyą ani jeden akord nowéj opery niewyleciał na ulicę; kazał powstawiać watowane drzwi do sal, w których śpiewacy uczą się roli, i tę daje im tylko po kawałku, żeby niemogli pojąć całości przed ogólną repetycyą—sam dyrektor teatru niezna opery, na któréj przedstawienie krocie łoży. Pozostanie ona mitem aż do szczęśliwego wieczora, w którym ją Paryż usłyszy. Jak tylko te dźwięki do mego ucha dolecą, stanę się ich echem w Wilnie.

LISTY Z PARYŻA.

Paryż, 5 lutego 1859 r.

I.

O czémże mówić w téj chwili jeżeli nie o karnawale, którym cały Paryż zajęty— jeżeli nie o téj zawierusze grzmiącéj muzyką, wiejącéj strusiemi czuby, intrygującéj tysiącami czarnych maseczek, stukającéj milijonem korków, wabiącéj szelestem jedwabnych sukień— odurzającéj wyziewem pachnideł, które, jak mgła nad łąką, nad tą tańcującą zgrają się unoszą? Rzucił się w nię Paryż, nie z duszą, ale z głową, jak czyni człowiek trawiony niesmakiem, dławiony czczością, cierpiący lub oczekujący.

Jedni w karnawale szukają zapomnienia nadziei, które w dzień Nowego roku na cesarskich pokojach błysły może zbyt ułudnym blaskiem... inni wierząc w wielkie przetworzenie Italii, na któréj oko mądrego monarchy ciągle spoczywa, umocnieni w nadziejach ręką Włoskiéj królewny, huczną zabawą chcą skrócić oczekiwanie— inni nakoniec, a takich najwięcéj, dotknięci chorobą wieku, spleenem, owym smutnym potomkiem życia bez ideału i bez wiary— przychodzą na balu Opery zapomnieć o tym i tamtym świecie, i przeczuwany nawał kar, utopić w kar-nawale.

Dla tego bal Opery tak sławny swą świetnością i werwą, teraz dziwny przedstawia widok... może jedyny w swoim rodzaju: widok tłumu ubranego w arlekińskie suknie, którego nogi skaczą zawzięcie, a twarze pozostają zimne i znudzone. W téj sali gdzie jeszcze przed kilką laty szalona wesołość szumiała jak morze szampańskiego wina, teraz tańcuje nuda przebrana za zabawę— nuda, któréj nawet orkiestra Musarda, co jak trąba sądu ostatecznego, mogłaby w grobach budzić umarłych, niemoże rozpędzić.

Dla młodzieńca, co tu przyjdzie szukać tego czego się szuka na balu, wesołości, skocznéj tancerki, intrygi lub awantury—

bal Opery wielkiém będzie rozczarowaniem; ale dla psychologa zbierającego szkice obyczajowe, lub dla artysty szukającego efektów, jest on nader zajmującém polem obserwacyi.

Ogromny gmach Paryzkiéj Opery w noc balową pała jak pochodnia. Illuminacye gazowe rzucają odeń łunę, która zdaleka pożarem się być zdaje. Skoro północ wybije, przed długi, pokryty dachem perystyl, zajeżdzają bez przerwy powozy, z których wszelkiego rodzaju kostiumy, a mianowicie białe, sypią się jak kwiat jabłoni potrąconéj skrzydłem nocnego ptaka. Tłum różno-barwny płynie a płynie— i znika, jak w paszczy smoka, w pięciu rozwartych podwojach.

Sień gmachu, w którejby czwórką zawracać można, cała ubrana jest w kwiaty: kamelije, eryki, hijacynty, tulipany, fijołki, żonkile, tacetty, narcyzy i tuberozy, wszystkie kwiaty wiosny oszukane sztuczném światłem i ciepłem, kwitną tu na zieloném tle bluszczów osłaniających ściany i obie strony schodów.

Pośród tych uroczych szpalerów, maski i domina płyną cicho po korytarzach wysłanych dywanami, aż do rzędu watowanych drzwiczek prowadzących do sali balowéj, drzwiczek w których każden co tu piérwszy raz wchodzi, zatrzyma się zdumiały, bo ztąd czarowny ujrzy widok.

Scena, orkiestra i parter zniwelowane jedną podłogą stanowią jeden ogromny salon oświecony trzydziestą kandelabrami każden o tysiącu świec gazowych. Pod blaskiem téj gazowéj pożogi, roi się tłum podobny do rozhukanego morza, lub zbożowego łanu szamotanego burzliwym wichrem. Tysiąc par porwanych muzyką, co z trzystu muzykantów złożona, grzmi szaloną *polkę*, skacze z hałasem, od którego dzwonią żyrandole, trzeszczą belki, pękają ściany i uszy...

Wszystkie ubiory jakie nadał ludziom klimat lub zrodził przepych ożeniony z kokieteryą, uwiązane w jedną girlandę, drgając konwulsyjnie jak wąż pocięty na sztuki, lub krupy wrące w okrętowym kotle— składają ten bal monstrualny, najzimniejszy i najhałaśliwszy ze wszystkich, bal którego opisywać się niepodejmuję...

Wabiony kolorami, odurzony hałasem, długo błądzisz pomiędzy kadrylami, długo wpatrujesz się w te blade, zmęczone twarze uderzające przesytem,— aż w końcu jakiś cię przestrach ogarnia— zdaje ci się, że to nie ostatni wtorek, ale dzień zaduszny, a ten tłum skaczący, to nie zapustne pląsy, ale taniec Makabra zawiedziony przez szkielety na grobie miłości, wiary i nadziei...

Takie czynią wrażenie aktorowie balu Opery; gorsze dale-

ko widze téj reprezentacyi— tłum bogatych przypatrujący się z loży skaczącéj hołocie, i przez długie lorynety upatrujący w tym odmęcie smacznych rybek, któreby na kolacyę przyjemnie było znaleźć na półmisku. Teraźniejsza młodzież Paryzka jest okropna. Niemówię tu o młodzieży pracującéj— ta zawsze dzielna, odważna i niezmordowana;— ale o téj złotéj, mającéj sławne imiona, lub pełne kufry akcyj— o téj, co to ma kiedyś rządzić krajem, z któréj mają wyjść przyszli deputaci, senatorowie i ministrowie. Są pomiędzy nimi intelligencye wyższe, głowy zdolne; oświecone— są indywidua, któreby mogły być niepospolitymi ludźmi, gdyby ich ogólny wir nieunosił. Ale jakże iść przeciw wodzie? jak się oprzeć powszechnemu prądowi i myśleć o czém inném jak o tém o czém wszyscy myślą jedynie, to jest: o koniach, cygarach, kamelijowych damach, a przedewszystkiém o pieniądzach.

Artykułem wiary téj młodzieży jest: „Miéj pieniądze, a reszta będzie ci dodana“— przykazaniem jéj: „nieżenuj się“. Za tém poszedł naturalnie wstręt do wyższego towarzystwa, do salonów, gdzie niemożna położyć się na kanapie i gadać kawiarnianém narzeczem— za tém poszła obojętność na wszystko, co z boginią Mamoną niespokrewnione. Podniesione do najwyższéj potęgi *Ja*, zajmuje całe ich serce i życie. Poświęcenie, uważane już przez poprzednie pokolenie za chimerę, dziś zwie się głupotą, z któréj głośno śmiać się można: złota młodzież Paryzka kłania się tylko *wygranéj*. Kto wygrał ten dobry— kto przegrał, zgubiony. Nikt niepyta zkąd wyszedłeś— jaką biegłeś drogą— bylebyś zaszedł, to dosyć; byle się tylko udało, to dobrze. Panowie ci, żyją tylko w dwóch ostatecznościach: w rozpuście, albo w powadze, którą umieją udawać ilekroć biorą pióro do ręki, lub rozmawiają z ludźmi, od których przyszłość ich zawisła. Wyszedłszy z bursy lub biura, szukają tylko zabawy— a bawić się nieumieją. Jeżeli piją, to aż do utraty zmysłów— jeżeli jedzą, to do przesytu— jeżeli jeżdżą konno, to na złamanie karku. Dawnego dowcipu Francuzkiego nierozumieją; subtelne przyjemności, które bawiły ojców, ich niezajmują; życie towarzyskie, w którém tamci czerpali humor i ogładę, dla tych jest ciężkim obowiązkiem— rodzajem pańszczyzny, którą odrabiać potrzeba. Obojętni na wszystko co ich osoby niedotyka, nieujmą się choćby za najświętszą sprawą— nawet za sprawą zasad, która zwykła rozbudzać w ludziach namiętności; namiętność ich spoczywa zamknięta w pugilaresie, poznać ją można tylko na giełdowym targu.

Teraz wszystko się analizuje, wszystko sprowadza do liczby

niezawsze pewnéj ale zawsze pozytywnéj. Zamiast ważyć zasługi, ważą się kieszenie— a największą obelgą jaką można komu wyrządzić, jest powiedzieć mu, że niema ani grosza. Trzeba widzieć jakiém okiem zgromadzenie patrzy na człowieka, o którego wartości taki wypadł wyrok.

Teraz niéma litości dla ubogich. Czemu ubogi? W tym czasie, wyjąwszy niedołęgi, każden się może i powinien zbogacić— wszystkie drogi do Potozu otwarte; tém gorzéj dla tych co zamiast iść niemi, grzęzną w pobocznych manowcach; ale tém lepiéj dla innych: dziedziczyć po bankrutach stracone szansy— to najwyższa nauka złotéj młodzieży Paryzkiéj.

Ażeby jednak być sprawiedliwym i niezostawić was pod niemiłém wrażeniem, a mianowicie, żeby niepsuć wam serca do Francyi, która jest zawsze „perłą narodów“— muszę opowiedzieć zdarzenie dówodzące jeden raz więcéj, że niéma reguły bez wyjątku.

Trzy lata temu, w Nowy rok, szedłem przez Włoski bulwar z jednym z takich złotych młodzieńców, o którego sercu niewątpiłem nigdy, ale którego obyczaje kazały mi się lękać o jego przyszłość. Widząc dokoła zbytek tryskający ze wszystkich sklepów zaopatrzonych w noworoczne prezenta— rozmawialiśmy o wielkim przepychu i wielkiéj nędzy, które w téj ogromnéj stolicy ciągle w parze idą— mówiliśmy o potędze pieniędzy, o tém, jak wielkim jest koruptorem złoto jeżeli rządzi samowładnie, a jak wielkim czynnikiem moralnego postępu, jeżeli zamiast rozkazywać, służy.

Tak moralizując, ujrzeliśmy przed sobą śliczną dziewczynkę, zaglądającą przez szyby do paradnego sklepu cukiernika. Sukienka jéj perkalowa budziła litość w téj porze, i dziwnie wyglądała obok dostojeństwa twarzy i kształtnych paluszków, któremi małemu braciszkowi wskazywała wykwintne łakotki.

— Biedaczka!—zawołał mój towarzysz;—ta pewno niedostała dziś podarunku.. Ale kiedym ją spotkał, dzień nieskończy się dla niéj tak smutnie jak się zaczął. Muszę jéj kupić jedno z tych pudełek, na które patrzy.

To powiedziawszy, czyniąc zadość fantazyi, wszedł do sklepu, i wyszedłszy z cukierkami zbliżył się do dzieweczki. Ta spojrzała nań tak poważnie, że młodzieniec oniemiał, i niewiedząc co powiedzieć, wyciągnął ku niéj koszyczek.

— Czego pan chcesz odemnie?— spytała dziewczyna.

— Chciałem ofiarować ci te cukierki, którym się przypatrywałaś.

— Mnie? nieznajoméj! Czy niemasz przyjaciół, którymbyś mógł dawać prezenta?

— Mam, i wielu— wydałem dziś dla nich na podarki dużo pieniędzy— ale jeżeli przyjmiesz te cukierki, będzie to jedyny prezent, który mnie uraduje.

— Jeżeli tak, to przyjmuję, i, żeby cię jeszcze więcéj ucieszyć, powiem panu, że to piérwszy prezent jaki w życiu dostaję.

To rzekłszy, kiwnęła główką i chciała odejść, kiedy panicz zawołał:

— Żadna xiężniczka nie je lepszych cukierków jak te, przeczytaj napis.

— Nieumiem czytać,—odrzekła smutnie— a widząc zdziwienie panicza, dodała:—Nie przez lenistwo, ale dla tego, że matka bardzo biedna niemoże mnie posyłać do szkoły... Chciałabym umieć czytać... mówiła jakby sama do siebie,— o! i śpiewać... i grać także... ale co tam o tém gadać! Bądź pan zdrów! muszę iść do domu, bo matka czeka.

Deszcz zaczął padać... młody obejrzał się, a obaczywszy próżną dorożkę wsadził w nię dwoje dzieci i kazał odwieść do matki, któréj adres sobie zapisał.

W parę dni potém, dziewczynka, która tak pragnęła umieć czytać i śpiewać, została oddaną na najpiérwszą pensyę w Paryżu— a w parę lat została żoną panicza. Tego roku niezbywało jéj na podarunkach; jak każda bogata pani, obsypaną była w Nowy rok wszystkiém na co tylko może się zdobyć elegancya Paryzka;— ale wszystkie to świetne dary niedorównały najmilszéj staréj pamiątce. Wczoraj jeszcze pokazywała mi koszyczek po cukierkach, które dostała przy mnie na Włoskich bulwarach, a który szczęśliwa i bogata, chowa starannie, jak panna Rachel gitarę, z którą na tymże bulwarze zbierała *sousy*.

II.

Tegoroczne kursa w *Sorbonie* i *College de France* wykładane są jak następuje:

W *Sorbonie:* Saint-Marc Girardin mówi o Lafontainie; Patin o poezyi Łacińskiéj z czasu, który był wstępem do wieku Augusta; Resseeu Saint Hilaire, o historyi Aten i cywilizacyi téj Rzeczypospolitéj od czasu prawodawstwa Solona aż do śmierci Peryklesa; Valon, wykłada kurs historyi monarchii we Francyi aż do Franciszka I.

W *College de France:* Kurs porównawczy prawodawstw, pana Laboulaye; Philareta Chasles prelekcye o literaturze Angielskiéj i Niemieckiéj; nakoniec, najwięcéj nas obchodzący kurs literatury Słowiańskiéj Alexandra Chodźki, który na opuszczonéj katedrze Adama zasiadłszy, daléj rzecz jego ciągnie, iszcząc zarazem jego proroctwo:

„Orzeł upada, ty latać będziesz;
„Adam gdy ginie, ty żyjesz:
„Na jego tronie ty kiedyś siędziesz,
„Jego się blaskiem okryjesz."

Ponieważ zeszłego roku dzienniki krajowe zupełnie fałszywe o prelekcyach p. Chodźki podawały wieści, chcąc was zawiadomić dokładnie jaki jest tegoroczny program jego kursu, zapytywaliśmy o to samego professora. Oto co nam raczył na zapytanie nasze odpowiedzieć:

„Program tegorocznego kursu mojego następujący:

1. „Co do części piśmiennictwa przebiegam historyę literatur Słowiańskich, zatrzymując się po drodze nad wykładem znakomitych dzieł *prozą*, jak naprzykład, siedm najdawniejszych prawozbiorów; lepsi kronikarze (obecnie *Nestor* porównywany z *Gallusem*), kaznodzieje, poeci piśmienni, (bo w przeszłym roku głównie zastanawialiśmy się nad poezyą gminną); teatr, pamiętniki etc.

2. „Co do części językowéj: wydane przezemnie legendy Serbsko-Słowiańskie XIII wieku, jako wstępne przygotowanie do najstarszego z pomników Staro-Słowiańskich, to jest do *texte du sacre*; ten ostatni zajmie większą połowę lekcyj letnich i jesiennych. Oto ogólny rys skreślony *stante pede*.

„Piśmiennictwo przebiegam chronologicznym porządkiem: Zadunajskie, Czeskie, Kijowskie, Dalmackie, a najdłużéj zatrzymamy się nad Polskiém z szesnastego i siedmnastego wieku."

Prelekcye Alexandra Chodźki niesą bardzo uczęszczane; słuchają ich po większéj części Słowianie i Francuzi zajmujący się specyalnie tym przedmiotem; dla ogółu tutejszéj publiczności przywykłéj do katedralnego aktorstwa, są one zapoważne— zresztą, traktują o Słowiańszczyźnie, która tyle obchodzi Francuzów co ciepło w Ameryce. Prawda, że słuchają oni chętnie nawet raportów o Maroku i o Eskimosach, ale im rzecz daléj od nich się dzieje, tém musi być zabawniéj opowiedziana, żeby ich zajęła. Dla tego na wszystkich posiedzeniach naukowych Paryzkich, tak w Instytucie jak w Sorbonie i College de France, razi cudzoziemca brak powagi i pewien rodzaj aktor-

stwa, od którego żaden professor Francuzki, niewyjmując nawet Micheleta i Quineta, niejest wolny.

To co niemile uderza nas, już tylko z opowiadania znających świętéj pamięci uniwersytet Wileński, oburzałoby pewnie tych pomiędzy wami, co słuchali niegdyś w waszym grodzie owych mężów.... Tutejsza społeczność ma inne gusta: na sessye akademickie i na prelekcye chodzi jak na teatr, i przepadłby w jéj opinii professor, gdyby jak Polak lub Niemiec, samą tylko nauką się zajmował, niedodawszy do niéj mnóztwa żartów, konceptów, figlów, dramatycznych gestów i mimiki, przypominającéj jeżeli nie Talmę, to przynajmniéj Lemaitra.

Ażebyście mnie nieposądzili o przesadę, opowiem wam pokrótce posiedzenie najuczeńszego z uczonych gron Paryzkich— posiedzenie *Akademii nauk*, które się odbyło temi dniami w pałacu Mazarina Z niego będziecie mogli wnosić o innych.

Godzina trzecia wybiła na kopule instytutu. Zielone axamitne ławki przeznaczone dla publiczności w sali posiedzeń, już przepełnione słuchaczami; ten i ów zaczyna się niecierpliwić, słychać lekkie tupanie, jak w teatrze kiedy kurtyna długo się niepodnosi. Miejsca akademików stoją jeszcze puste.

O kwandrans na czwartą uczeni zaczynają się schodzić do pobocznéj sali *obrad*, gdzie ukradzione nauce chwile poświęcają grzeczności. Akademija zaczyna posiedzenie od komplementów. Mineralogowie przynoszą nowe kamienie do budynku przyjaźni— doktorowie złocą sobie wzajemnie pigułki— botanicy. fraternizują z astronomem Babinetem i piscykultorem Costą, i podawszy sobie dłonie przedstawiają rozczulający obraz harmonii nieba, ziemi i wody.

Nareszcie dzwonek prezydenta przerywa poufną pogadankę i przywołuje akademików na naznaczone w sali miejsca. Choć grono jeszcze niekompletne, sekretarz wieczysty, pan Elie de Beaumont, zaczyna czytać raport. Chwila milczenia— poczém uczeni ciągną daléj rozpoczętą w pobocznym pokoju rozmowę tak głośno, że szmer jéj tłumi głos czytającego. Cisza panuje tylko na ławach natężającéj słuch publiczności i notujących gazeciarzy.

Ci ostatni zajmują dwie ławki na boku: poznać ich można zdala po szeleście skrzypiących piór na papierze. Tamto rodzą się scyentyficzne sprawozdania, których Figuier dostarcza *Pressie*, Foucault *Debatom*, Meunier *Przyjacielowi Nauk*, i tam daléj. Na piérwszém miejscu figuruje xiądz Moigno, sprawozdawca naukowy *Cosmosa*. Xiądz ten okropnie brzydki i wielki pedant, niecierpliwiony rozmową, która mu słyszeć niedozwala, wy-

krzywia się ciągle, co jest powodem głośnego śmiechu, który tu i ówdzie wybucha. Hałas coraz wzrasta; głosu raportera już wcale niesłychać— wszyscy patrzą na xiędza i śmieją się.

Zmiana dekoracyi. Drzwi się otwierają i wchodzi oddział akademików maruderów. Fizyonomije ich charakterystyczne. Ten siwy ufryzowany w formie wachlarza, to pan Montaigne, zawsze milczący botanik, który przy rozkwitającym tulipanie o sessyi zapomniał; ten w czarnym fraku zapięty pod szyję, to Cordier, człowiek na prawdę uczony i poważny, który sam jeden mógłby usprawiedliwić spóźnienie; ten co tak starannie gładzi siwy kosmyk włosów i patrzy w zegar jakby urągał uciekającemu czasowi, to Flourans, który południe ludzkiego życia na rok sześćdziesiąty nastawił; ten wyświeżony w białym krawacie z różyczką u guzika, to sławny naturalista Serres; ten tłusty i rumiany, to operator Velpeau; ten o głowę od niego wyższy, blady i rozczochrany, to naturalista Quatre-Fages; za nim idzie astronom Laugier, którego zapewnie nie niebieskie ciała zatrzymały; daléj Biot, Becquerel, Clocquet, Combes— daléj reszta, wszystkich razem dwudziestu pięciu.

Ledwie usiedli, wbiega podskakując, ciężko uczony Jobert de Lamballe, i jak motylek z kwiatka na kwiatek, tak on od fotelu do fotelu przelatuje, szepce coś na ucho temu i owemu, kłania się i śmieje. Podczas téj promenady i coraz straszniejszych wykrzywiań xiędza Moigno, pan Beaumont kończy odczytanie raportu.

Uciszono się nieco. Jeden z członków odczytuje rzecz o sztucznêm rozwijaniu szczęk. Kilku akademików dyskutuje użyteczność téj nowéj teoryi; z dyskussyi wypada, że człowiek dla tego lepiéj gryźć niebędzie, ani bolu zębów nieuniknie.

Inny członek zabiera głos i woła: „Panowie! Najpiękniejszą z nauk jest nauka gazów!“ Na ten wykrzyknik chemicy odpowiadają grzmotem oklasków. Rzecz o gazie ciągnie się dość długo. Po czém członkowie przystępują do obioru wice-prezesa. Nowy urzędnik podniosłszy oczy ku kaflanemu sufitowi, który jest niebem instytutu, głosem wzruszonym dziękuje Opatrzności, że w roku upłynionym czuwała nad nim i nad kollegami, oraz prosi jéj, żeby i na rok przyszły miała instytut w swéj świętéj pieczy... kilku członków pieczętuje tę modlitwę głębokiém westchnieniem.

Potém mineralog Wille ukazuje się w lektoryum, z grubym rękopismem, i zaczyna czytać rozprawę mineralogiczną, ale ponieważ jest mocno zakatarzony i ma usta zasłonione szalikiem, prócz kilku obok stojących, nikt więcéj go niesłyszy. Powsta-

je szmer i sykanie— xiądz Moingo przeciągnął twarz tak, że z tłustéj zrobiła się chuda— koledzy proszą, żeby szanowny mineralog niemęczył piersi czytaniem; ustępuje przecię, a pan Milne-Edwards przemawia w te słowa:

„Panowie! Jeden z korespondentów naszych donosi jakoby zaobserwował, iż pomiędzy żyjątkami lęgnącemi się w sanie, jest jakaś generacya spontaneiczna, rodząca się bez rodziców. Musi to być pomyłka, przeciwko któréj protestuję. Panowie! to być niemoże. Szanowny nasz kolega prześlepił matkę i chce nam dowieść rzeczy niepodobnéj.“

Tu uczony dowodzi obszernie, że kto się rodzi musi mieć rodziców— że nawet *animałkuły* mają ich, kiedy istnieją i t. d. Panowie Quatre-Fages i Dumas popierają zdanie Edwardsa; korespondent jednomyślnie uznany za warjata. Sypią się dwuznaczniki— śmiech powszechny.

Skoro się nażartowano dosyta ze spontaneicznych żyjątek, pan Coste professor embryogenii porównawczéj, zdał sprawę z piérwszéj siejby ostryg rozpoczętéj na piasczystém dnie zatoki Saint-Brieuc. Rezultat jéj bardzo pomyślny, uradował wszystkich amatorów tego przysmaku. Nielubiący ostryg astronom Leverrier z trudnością sprowadziwszy rozmowę z tego gastronomicznego przedmiotu do ciał niebieskich, wystąpił z oskarżeniem przeciw redaktorom pisma *Annuaire du bureau des longitudes*, którzy wprowadzili w błąd publiczność, numerując fałszywie planety. Rzecz niesłychana! dano planecie 54, numer 47! Mówca powstaje gwałtownie na wichrzycieli planetarnego porządku; *Longitudy* bronią się jak mogą przez usta swych redaktorów Laugiera i Senarmonta— ale astronom niesłucha i zapala się coraz bardziéj:— aż prezydent widząc, że dyskussya schodzi na drażliwy przedmiot osobistości, a zapalczywy Leverrier gotów robić scenę— przeciągłém dzwonieniem przywołał mówców do porządku, i zamiast o szóstéj, o pół godziny wcześniéj posiedzenie rozwiązał.

Kończąc wierne zeń sprawozdanie, winienem zwrócić waszą uwagę na to, że powyższa sessya jest sessyą *akademii nauk*, któréj nietrzeba mięszać z *akademiją nauk moralnych i politycznych;* ta, pod prezydencyą Villemaina, w inszy sposób, i nie o ostrygach, ale o ludziach rozprawia. Opowiem wam jéj posiedzenie inną razą.

III.

W *Théâtre de la Gaîté* przedstawiają teraz *Kartusza*, pięcioaktową dramę pana Dennery, autora, a raczéj kompilatora *Fausta*, który niedawno narobił tyle hałasu na bulwarze *Zbrodni*, tak zwanym dla tego, że na nim znajduje się szereg teatrów, w których zwykle same mordy i pożogi przedstawiają. *Kartusz* powiększył liczbę tych ośmiopiętrowych melodram, i jak wszystkie tego rodzaju utwory, został przyjęty z zapałem przez publiczność, chociaż prawdę powiedziawszy, potrzeba nowéj sztuki złodziejskiéj tak bardzo czuć się niedawała. Sukces *Kawalerów Mglistych*, w których rozwinięto całą wiedzę Londyńskich oszustów, tak jeszcze przytomny w umysłach dyletantów i uczni, że wypadało zaczekać aż złodzieje nowy jaki uczynią wynalazek, tworzący nowe sytuacye. Ale widać, że autor naglony prywatną potrzebą pieniędzy, na potrzeby publiczne niezważał, i polegając na saméj nazwie ulubionego Paryzkiego rabusia, był pewien, że dobrą zrobi spekulacyę. Jakoż nieomylił się: czterdziesta edycya *Kartusza* równie jak piérwsza zajmuje.

Nad układem sztuki, pan Dennery także głowy sobie niełamał: przykroił ją zupełnie na formę wyż wspomnianych *Kawalerów Mglistych*, po których nastąpiła. W tamtych lord Angielski trudni się ściganiem rozbojnika Schepparta; tu Francuzki hrabia dowodzi tropiącą Kartusza obławą; Schepparta gonią po Tamizie— Kartusza po dachach Paryzkich; tamten wymyka się pogoni po sznurowéj drabinie, którą mu wspólnik rzuca z mostu; Kartusz ucieka z więzienia po sznurze, który mu z wyższego piętra spuszcza podwładny. Obydwóch w więzieniu odwiedzają wielcy panowie i damy, ciekawe obejrzeć zblizka a bezpiecznie, tak szkodliwych złoczyńców; obadwaj korespondują z przyjaciółmi, z ich pomocą uciekają z więzienia i powtórnie wpadają w ręce sprawiedliwości. Obaj nakoniec, rozbijają ludzi przez jakieś szlachetne pobudki, są złodziejami przez miłość synowską i braterską, obaj wystawieni tak pięknie, że publiczność rozczulona ich zacnością, w zapale chętnieby im nagrodę cnoty przyznała.

Dla tego podobne sztuki jak *Kawalerowie Mgły*, których przedstawiono dwieście razy, i *Kartusz*, którego zapewne niemniejsza liczba reprezentacyj czeka, wydają nam się daleko niemoralniejsze niż dramata malujące jaskrawie rozbojników bezwstydnych, jak naprzykład „*Droga do Brestu*“, którą po piérwszéj reprezentacyi zakazano.

Pan Dennery dołożył wszelkiego starania, ażeby niepopaść w brutalność poprzednika i nietylko niestraszyć ludzi cynizmem zbrodni, ale nadać jéj pewną cechę dystynkcyi. Ażeby mu odjąć piętno pospolitości, bohatera swego Kartusza wyniósł do godności Fra-Diavolów i Rynaldów; przedstawia go wprawdzie jako złodzieja, i każe mu się przyznawać, iż ma pewne drobne zabójstwa na sumieniu— ale te małe grzeszki każden mu przebacza widząc szlachetność duszy i dobroć serca jego bandyckiéj mości.

Podnoszą go także w oczach publiczności, stosunki *Kartusz* pana Dennery ma przyjaciela w szkolnym koledze, człowieku nieposzlakowanéj cnoty— a kochankę w niewinnéj jak anioł wieśniaczce, przy któréj, wśród pól i lasów odradza się, i zapomina zupełnie o spłatanych w mieście figlach. Autor z tak wielką odmalował go miłością, że widz w końcu łapie się na gorącéj dla Kartusza sympatyi, i dałby wiele, żeby zamiast rusztowania, na którém kołem go łamano, znalazł w końcu żywota wygodny domek i serdecznych przyjaciół.

Już to w ogóle, sztuki przedstawiane ubiegłego roku w teatrach Paryzkich, niezalecają się ani talentem, ani moralnością. W *Teatrze Francuzkim* piérwsze miejsce zajmował ciągle Scribe; dostateczny to zapewnie dowód jak nizko upadła świątynia Corneilla, Racina i Moliera— bo Scribe dzisiejszy, to nie dawny słusznie chwalony autor *Szklanki Wody* i *Kamraderyi*, ale teatralny krawiec szyjący sztuki na obstalunek wedle miary aktorskich piersi— to grajek grający na najniższéj strunie duszy ludzkiéj— to ubóztwiający *pôt-au-feu* episier, którego ostatnie sztuki jak *Feu Lionel*, *Doigts de Fée* i *Trzy Maupeny* każdego szlachetniejszego człowieka oburzają.

Z takim ideałem, teatr Francuzki, gdzie jeszcze żywa pamięć Racheli inne wywołuje wspomnienia, gdzie ta Grecka kamea dotąd pokutuje i mówi ludziom o prawdziwéj piękności— niemógł jak dawniéj być schadzką wyższego towarzystwa Paryzkiego; pod berłem Scribego mógł wabić tylko jego sprzedających pieprz hołdowników. Jedynym skarbem tego teatru jest teraz Molière, którego nieśmiertelność dopiéro na jego własnéj scenie całkowicie czuć można.

Tłómaczenie Sofoklesowego *Edypa Króla* przez pana Lacroix, było prócz Moliera jedyną wartą widzenia reprezentacyą w *Théâtre Français*— ale gust publiczności tutejszéj oczywiście tragedyom niesprzyja. Przepyszne przedstawienie Greckiéj tragedyi, w całéj czystości stylu, w całéj swéj monumentalnéj formie i pierwotnym wdzięku— ściągnęło mniéj widzów niż ostatni *vaude-*

ville ulicznego bazgracza— niż arcy-nędzny *Zbytek*, którym pan Jules Lecomte niezhańbiony haniebnym procesem, teatr Moliera udarował.

Odeon zwany tu drugim *Teatrem Francuzkim*, mógłby teraz słusznie do piérwszego pretendować miejsca. Przeszłego roku dał kilka sztuk, jak na te czasy, znakomitych. Do takich liczy się *Młodzież* Augiego, komedya oparta na wysokiéj myśli i napisana prześlicznym wierszem; *Le marchand malgré lui*, Roland'a, także wierszem— płód młodzieńczy zapewnie, ale właśnie dla tego sympatyczny, pełen wzniosłych pragnień, i niestępionych jeszcze uczuć doświadczeniem, owém „ciepłem pierzem dla samolubów, ową bawełną w uszach od ludzkiego jęku"— utwór, który jak lawina spada z góry i gruchocze przybytki uświęconego duchem czasu sobkowstwa.

W tymże teatrze, który jest zieloną oazą na Saharze stolicy— bo tylko jego dwudziestoletni parter polewa tu jeszcze łzami drogie kwiaty uczucia— przedstawiają teraz pana Bouilhet pięcio-aktowy dramat wierszem, *Helena Peyron*, także pod względem stylu znakomity i zadziwiający śmiałością niektórych scen swoich. Wznowiono także sztukę Diderota *Ojciec Rodziny*.

Teatr *Gymnase* pole popisów Dumasa syna, nieprzedstawił w zeszłym roku żadnéj sztuki, któraby okrzyczaną sławę autora *Pół-Świata* poparła. *Syn Naturalny* mimo pomocy stugębnéj reklamy, która w Paryżu służy gorliwie już sławnym pisarzom, niezyskał powodzenia — i gdyby niebył utworem Dumasa, wygwizdanoby go pewnie bez ceremonii jak na to zasługuje, niemając ani powabu *Kamelijowéj Damy*, ani obrazowości *Demi-Mondu*, ani piękności *Diane de Lys*, ani nawet praktyczności *Kwestyi Pieniężnéj*.

Teraz w *Gymnase* grają *Kopciuszka*, napisanego na temat libretta Rossiniego, przez Teodora Barrière, autora *Dziewic Marmurowych*, który tą razą zawiódł na swéj sławie ugruntowane oczekiwania. Odwieczna treść *Kopciuszka* rozwinięta w téj sztuce w sposób tak bezbarwny i bezduszny, że pojąć trudno jak może być płodem tegoż pióra, co przed parą laty uchwyciło i oddało chorobę wieku z talentem, któremu dotąd nikt z młodéj szkoły Francuzkiéj niedorównał.

Vaudeville brat bliźni *Gimnaze*, najpiérwszy z teatrów Paryzkich drugiego rzędu, odniósł aż trzy wielkie zwycięztwa zeszłego roku. *Les Faux-bons-hommes*, których sława musiała dojść aż do was, są dotąd niezrównaną kolekcyą obrazków kreślonych z natury à la Gavarnie. *Les Lionnes Pauvres*, Augie-

go, sztuka uznana za niemoralną dla tego, że śmiało zdziera zasłonę z przyczajonéj pod berłem prawa niecnoty, i wytyka palcem sromotną prawdę, że połowa mężów Paryzkich mająca szczupłe dochody, niepyta żon za co kupują szale i koronki— grywaną jest zawsze z radością tych stadeł, co mogą bez zarumienienia słuchać zarzutów dramaturga.

Trzecie zwycięztwo Vaudevillu, powodzenie sztuki *Roman d'un jeune homme pauvre*, którą pan Feuillet z wycinków swojéj powieści ułożył, jest dla nas zupełną zagadką— zagadką smutną, bo dowodzącą złego gustu, a co gorsza braku prawdziwéj cnoty i prawdziwego czucia. Utwór taki zrodzić się tylko może w epoce tak nieskrupulatnéj jak nasza; tylko w czasie tak powszechnéj jak dzisiejsza obojętności, autor niewięcéj czujący od innych ale chcący uchodzić za moralnego, może począć na zimno, równie czułostkowo-ckliwy potwór. Wprawdzone tu do akcyi osoby przypominają portrety Angielskich *Keapseaków*, w których wszystko niby piękne a fałszywe i przesadzone: wielkość oczu, małość ustek, obfitość włosów i gładkość lica; w xiążkach tych mężczyźni zawsze podobni do dziewczyn, a kobiety do wcielonéj pełni xiężyca.

Taż sama rafinerya istnieje w duszy bohaterów Feuilleta: niesą to ideały nakreślone szeroko— niebotyczne— upragnione równie na scenie jak w xiędze,— ale jakieś ni ludzkie ni anielskie twory, z duszą wymanijerowaną jak sumienie dewotki spowiadanéj co wieczór przez biegłego kazuistę. Maxym Odiot, ów biedny ideał, patrząc w siebie przez mikroskop, dostrzega potwory w kroplach wody, która człowiekowi co widzi oczyma jakie Bóg dał, dostatecznie przefiltrowaną się zdaje. Tak w głębie ducha swego zapatrzony, ten bohater wygląda jak przeglądający się w strumieniu Narcys, który w języku kwiatów rozkochanego w sobie egoistę wyraża.

Niejestże to smutny objaw, że taka sztuka mogła zyskać choć chwilowe powodzenie— a nawet nagrodę Montiona, która przez trzy lata daremnie cnoty na scenie czekając, oddała się wreszcie temu kto ją najlepiéj trawestować potrafił.

Chciałem was nieco zaznajomić z kilku głównemi teatrami: na tém bowiem polu kwitnie, zasilająca płodami swemi teatra całego świata, Paryzka sztuka dramatyczna, o któréj nieraz mówić wypadnie. Prócz wymienionych, są jeszcze dwa godne wzmianki teatra: *Porte-Saint-Martin* i *Ambigu Comique*. W piérwszym przedstawiano niegdyś wszystkie dramata Wiktora Hugo i Dumasa; teraz nawet czasami się tam z niemi spotkać można. Obecnie wznowiono Dumasowego *Ryszarda d'Arlington*, ową

przerażającą gonitwę ambicyi, którą autor tak trafnie apopleksyą zakończył. Grano tam także niedawno *Antonego*, którego namiętność męzka dziś równie niepojęta, jak potworna namiętność Myrry.

Przy tych barczystych utworach szkoły 30-go roku, przy tych bujnych dzieciach poezyi i zapału, których pełny puls życia bije mocno, a pierś szeroka wszystkie ludzkie cnoty i zbrodnie pomieścić może— dziwnie mizernie wydają się te nowe, w retorcie smażone twory, któremi dzisiejsi bezpłodni pseudo-moraliści chcą rasę ludzką poprawiać.

Muzyka jeszcze uboższą była zeszłego roku niż dramat. W Wielkiéj operze dotąd jedyną nowością *Hugonoty*; w Operze komicznéj *Dama Biała*; we Włoskim *Cyrulik*, *Norma* i *Trovatore*. Nowo' tam wprowadzony *Giuramento* Mercadanta, nieznalazł uprzejmego przyjęcia— i po części słusznie. Mercadante, to tylko talent, nie genijusz— to nauka, rzadko oświecona natchnieniem. Iskra Boża nieożywia jego zimnych posągów. Jest on wtajemniczony we wszystkie skrytości orkiestracyi, zna klasyczną mowę muzyki jak filolog starożytne języki— jest to potężny kapelmajster, ale nie wymówny operzysta: harmonija w jego partycyach zalewa zawsze melodyę— instrumenta zagłuszają głosy.

Mercadante, pradziad Włoskiéj muzyki, widział rodzącą się sławę Rossiniego; słyszał piérwsze akordy elegijnéj harfy Belliniego i okrzyki tryumfu, wśród których skonał ów łabędź, co jak Rafael i Mozart nieprzeżył młodzieńczych złudzeń. Widział Donizettego jak pochwyciwszy sztukę łabędzia, zerwał się z nią na wszystko, i zdobył wszystko, prócz oryginalności; patrzał na rozkwitający talent Verdego, którego zuchwalstwa i powodzenie przewidział. I mimo to, niezmienił swojéj metody— pomiędzy tą plejadą wielkich artystów, pozostał wielkim professorem. Od lat piętnastu stojąc na czele Neapolitańskiego konserwatoryum, przysposobił niemało wybornych muzyków, którzy mając od niego naukę a natchnienie z Nieba, mogli być najwyższymi kapłanami tonów; dał więc muzyce wielu apostołów, ale żadnego pomnika jéj niewystawił. Opery jego *Ismalia*, *I Normami a Parigi*, *Bravo*, *Pelagio*, *Gli Orazii e Curiazii*, nieprzeszły po za Alpy— tylko *Westalka* i *Giuramento* pozyskały obywatelstwo po za granicami Italii.

W *Giuramento*, najlepszym swoim utworze, Mercadante nakreślił piérwsze linije dramy muzycznéj, którą Verdi późniéj tak śmiało rozwinął i wyraził: Mercadante jest Kolumbem nowego świata, którego Verdi stał się szczęśliwym Vespucym. Opera

ta uczona ale nieefektowna, zawiera kilka prześlicznych ustępów. Mercadante nieposiada kopalni dyamentów, ale jak znajdzie jaki przypadkiem, nikt go lepiéj od niego niewyszlifuje. Jest to jubiler, który niema sobie równego pod względem roboty i oprawy. Na nieszczęście zbywa mu na brylantach.

Tak tedy muzyka równie jak dramat, rzeźba i malarstwo, czeka swego odnowiciela. Dzieła dawnych mistrzów, któremi żyją starsi, a których młodzi nierozumieją— same jedne świecą promieniem niebios na gazem oświeconéj ziemi; przez posągowe twarze tych kolosów, Genijusz Sztuki patrzy na świat jak *Melancholija* Durrera.

Pamiętacie ten sztych tajemniczy?

Olbrzymi Genijusz *Odrodzenia* siedzi w ciasnym zakątku, zda się pozbawiony ruchu i powietrza. Ten kąt ciasny, to poziom, to niebo szesnastego wieku. W koło geniusza leżą pomięszane wszystkie wynalazki owego stulecia— obok siedzi Amor zaspany... A geniusz zadumane czoło pochyla na piersi jakby ukrywał łzę... znać, że cierpi! Czy to znużenie? o nie! Po tylu dokonanych dziełach, tylu odkryciach, on nie zmęczenie czuje, ale przestrach... Z twarzy mu patrzy trwoga zgłodniałego bez chleba— rozpacz niezmordowanego wędrowca, któremu już ziemi pod nogami zabrakło— gniew żeglarza, któremu wyschło morze— przestrach astronoma, który już zbadał wszystkie niebios tajemnice... Genijusz szerokie czoło pochyla ku ziemi— może łza jego gorąca odwilży spiekłe piaski. Jakby na urągowisko, stoi przy nim drabina... na co drabina, kiedy już poznał wszystkie szczyty? Zresztą, czyż niema skrzydeł? Ha! w tych skrzydłach właśnie źródło jego boleści. Po co tak wielkie? a przestrzeń tak mała?.. O! Melancholijo! Któż w twarz twoję spojrzawszy, tajemnic duszy niezbada i nieodgadnie, że ty tak dumać będziesz dopóki wielkie słońce *Odrodzenia* niezejdzie!.....

IV.

Wyszedł piąty i szósty tom *Historyi literatury dramatycznéj* Jules Janina. Na nich kończy się piérwsza część tego dzieła złożonego z kartek luźnych a tak sztucznie spojonych, że ani wiążącéj je nici nieznać, ani czuć ciężaru xiążki na ich skrzydłach— co także niemałą jest zaletą, boć główną wartością tych kartek są właśnie owe skrzydła, na których obleciały świat do koła, opowiadając mu zwycięztwa lub przegrane wielkich bitew literackich w czasie najzażartszéj wojny klasyków z roman-

tykami. Ogień akcyi dotąd je ożywia. Po trzydziesto-letniéj, wysuszającéj pracy dziennikarskiéj, niezmordowany Janin dotknąwszy piórem wspomnień młodzieńczych, odzyskał dawną werwę, ironiję, dowcip, subtelność stylu, obrazowość, lekkość, słowem wszystkie przymioty, które go na tron feletonu wyniosły.

Tom piąty prawie cały poświęcony jest Fryderykowi Soulié. Przyjaźń jaka łączyła z nim autora, tłómaczą tę cześć dla pisarza wprawdzie sławnego, ale sławy swéj nieusprawiedliwiającego dziełami. Pamięć powieści Souliego już prawie zatarła się we Francyi; pomnik który sobie wystawił, rozsypuje się skutkiem braku cementu, i wkrótce zniknie zupełnie. Soulié był raczéj wyrobnikiem nie artystą: łamał i ciosał kamienie silnie i rączo— ale niepostawił żadnéj kolumny. Jakże wiele jednak zdolności wyszafował w tych długich i skomplikowanych jak labirynt, romansach— ile sił fizycznych i moralnych pożarł ten świat osobny, który Soulié po za rzeczywistością uplótł z aniołów i szatanów— z bajecznych zbrodni i cnót nadludzkich! Żal bierze przeglądając te dzieła, że tam tyle gwiazd nie na swojém miejscu, tyle nieprodukcyjnego cieplika— że to wszystko minęło,

„*Jak kwiat będący motylom gospodą,*
„*Jak niezabudka drżąca przy leszczynie,*
„*Jak łza... jak wszystko co się zowie modą*"...

Ale inaczéj być niemogło. Wszystkie równie gwałtowne fikcye do gniotącéj zmory podobne, trwają noc jedną, przez czas czytania— i znikają przy piérwszym brzasku dziennym; zostaje po nich tylko wspomnienie, mętne jak treść ich, potworne jak ich forma.

Soulié spotęgował wszystkie wady szkoły romantycznéj trzydziestego roku, a zalety jéj pomniejszył— dla tego z ogromnych stosów jego xiążek zaledwie kilka przejdzie do potomności. Ale czego pamięć niezaginie we Francyi, i co słusznie ceni w przyjacielu Janin, to jego zacny charakter i niezmordowana pracowitość. Soulié jak Danaida lał atrament w bezdenną urnę codziennéj improwizacyi; równie dzielnego robotnika nieposiadało i nieposiada najpracowitsze na świecie dziennikarstwo Francuzkie. Obarczony liczną rodziną, Soulié karmił ją swém piórem, przez trzydzieści lat niewypuścił go z ręki, i oddał dopiéro śmierci, jak dzielny żołnierz oddaje broń swoję— z boleścią i przerażeniem... Taki pracownik, zaprawdę był godzien wyższych natchnień.

Janin z bratniém wylaniem oddaje ostatnie usługi téj pokutującéj pamięci. Opowiedziawszy odważny żywot Souliego, przypomina jego dramy: *Romeo i Juliettę, Krystynę, Klodyldę* i t. d. a przypomina je tak wymównie, że wszystkie te zapomniane płody odżywają pod gorącém tchnieniem przyjaźni.

Kreśląc bijografiję Souliego, Janin choć bardzo nim zajęty, ma jednak czas zbaczać tu i ówdzie i szkicować po drodze rozmaite poetyczne lub historyczne figury. W jednéj z takich wycieczek spotyka się z *Wilhelmem Meistrem* Goëthego, i wyśmiewa się z niego jak gamen Paryzki z niemodnego surduta. Ustęp ten razi w tak niepospolitéj xiążce. Prawda, że *Wilhelm* niejest arcydziełem— a skoro Goëthe nudzi, czyni to jak wszystko z zadziwiającą doskonałością, równie hojnie leje opijum jak nektar w swą złotą czarę— prawda, że nuda zadymia horyzont *Wilhelma*, ale na tém zamgloném niebie dwie gwiazdy świecą światłem nieśmiertelném: Filina, istny szatanek Szekspirowski wcielony w kobietę— i Mignon, tęskna nimfa uczucia uwieczniona genijalnem piórem Goëthego i idealnym pędzlem Scheffera. Te dwie figury powinny były wstrzymać krytyczny zapęd Janina; ale Fracuz tak szczęśliwy jak może szydzić z Niemca, że niepodobna żądać, żeby sobie téj uciechy odmówił.

Wzór swojéj Mignony Goëthe znalazł we Włoszech— na Weneckim bruku uszczknął ten poetyczny kwiatek. Raz przechodząc przez Piazzetta, obaczył tańcującą na linie dziewczynę, i uderzony jéj pięknością, zaraz w żłobionych jak kamee strofach, wyrył fantastyczną postać kuglarki; wierszyk ten zaczyna się temi słowy: „Jak ty mi jesteś wdzięczna, dzieweczko moja mała, jakby ręką sztuki ulepiona; jakeś zachwycająca, o! czarownico bezkostna, giętka jak na stawie trzcina. Stworzyła cię *harmonija*, a *wolność* cię porusza. O! czyste dziecię, możesz śmiało w figlarnym tańcu nożki ku niebu wyrzucać— nasze ręce podniesione modlitwą mniéj są niewinne jak ty cała" i t. d. Fantastyczna dzieweczka, nakryta skrzydłem potężnéj wyobraźni Goëthego, z czasem wyrosła na nieśmiertelną Mignonę.

Ale wróćmy do dzieła Janina. Do najlepszych obrazów téj obrazowéj xiążki liczy się wizerunek przyjaciołki Byrona, lady Blessington. Nietylko piękny ale i uczący jest portret téj wielkiéj damy, któréj salon przez lat trzydzieści był najpiérwszym w Anglii — która napisała pięćdziesiąt tomów niepowalawszy atramentem arystokratycznych paluszków, a co większa, przeszła po ślizkich ścieżkach życia niezabryzgana w oczach Albijońskiéj pruderyi— i sto razy stargawszy formy, została niepokalana

w opinii arystokracyi Angielskiéj, która jak Rzym Westalki, karze złapane na *kryminalnéj konwersacyi* matki ordynatów. Zazwyczaj, jeżeli Angielka wysokiego rodu przekroczy przepisany regulamin, lub da się schwytać na jakiejś niekonwencyonalności— wnet zimny wiatr z salonowych świstawek póty na nię dmucha, aż ją wykorzeni z wyżyn, gdzie panowała, aż ją uniesie i zepchnie z Folkstonu w morze, które równie jak wyspa nieubłagane, niesie ją daléj i na kontynent rzuca.

Lady Blessington była jedynym wyjątkiem w téj regule— i dla tego głównie na uwagę zasługuje. Wachlarz którym umiała się zasłonić od burzy, wachlarz misternie przetykany bezczelnością, powabem, kokieteryą i rozumem, znalazł wybornego historyka w Janin'ie; wszystkie subtelne figle milady wchodzą w talent jego, i pod jego piórem nabierają znaczenia bardzo ważnéj nauki.

Daléj spotykamy portret Karola Nodier. Piękny to był charakter, wysoki umysł i złote serce tego uczonego poety, którego cały talent rozleciał się w błyszczących kawałkach, jak uderzony młotem dyament. Zacny autor *de la Fée aux Miettes*, całe życie strawił na szukaniu przedziwnych okruszyn erudycyi; widział je i łapał w księgach, jak jaskółka łapie w powietrzu owady, i jak ona nimi się karmił. W salonie jego odbywały się walne posiedzenia romantyków; tam Wiktor Hugo czytał najpierwiéj swoje dramata; tam młodziuchny Musset usłyszał piérwsze poklaski— w biblijotece arsenału któréj Nodier był biblijotekarzem, kuła się broń umysłowa, która w trzydziestym roku całą Francyę wzburzyła.

Wszystko to Janin opisuje z talentem; wolimy atoli też same obrazy w *Pamiętnikach* Dumasa:— Dumas ten przedmiot traktuje szerzéj, i z większą miłością; mniéj tam może artyzmu, ale daleko więcéj serdeczności, która z pod pióra Dumasa tryska wysoko, ilekroć w sympatyczną strunę swéj duszy uderzy.

Ostatni tom *Literatury*, cały zajmują teatra. Widzimy tu najprzód galeryę znakomitych artystek: panią Malibran, ów genijusz muzyki spalony własnym ogniem; panią Sontag, co umarła ze śpiewu, jak słowik w legendzie; panią Smithson, tak powabną pod fantastyczną girlandą Ofelii; ulubioną Goëthego Eufrozynę, któréj życie także okwitło jak róża. Na wszystkie te groby kapłanek sztuki, Janin rzuca pachnące kwiaty wymowy— słowa jego jak nóty pogrzebnéj muzyki, wywołują te blade, wdzięczne widma, które kiedyś dzierżyły jedyne prawdziwe królestwo na ziemi: berło genijuszu i piękności.

Do tych elegij autor domięszał kilkanaście kart wesołéj iro-

nii wyszydzającéj zakulisowe światy. Nikt lepiéj od niego nie-zna okropnéj nędzy jaka pod tym szychem panuje— nikt zręczniéj nieodłącza kłamstwa i brzydoty, które jak ołów' i mosiądz do złota, z którego klejnot zrobiony, wchodzą w skład sztuki dramatycznéj. Rozdział: *la Débutante*, to istny poemat bohatersko-komiczny; rozdział: *Repetycya*, obrzydza dramat, jak widok kuchni odejmuje apetyt do obiadu.

Rachel niefiguruje w *Historyi literatury dramatycznéj*. Autor poświęcił jéj osobną xiążkę, illustrowaną wspaniale. Chciał uczcić wyżéj niż inne pamięć téj, którą „*son enfant trouvé*“ nazywa. Jakoż, on piérwszy poznał się na genijuszu Racheli, i jak perłę z morza wyłowił z Paryzkiego odmętu. Obaczywszy ją grającą w pustym teatrze 1838 roku, tak grę jéj zrozumiał i opisał, że we trzy dni potém, nieznana figurantka stała się chlubą Paryża.

Historyę Racheli Janin rozpoczyna od tego wieczoru. Bierze ją z kolebki jéj rodzącéj się sławy i przechodzi z nią całe życie. Xiążka ta napisana jest w tonie wysokim, zupełnie wolna od powszednich Lecomtowskich szczegółów. Autor jednoczy Rachelę z wzniosłemi typami, które uosabiała na scenie; zapatruje się na nię nie jak na kobietę, ale jak na żywą statuę wyobrażającą na przemiany Kamillę, Hermijonę, Roxanę, Fedrę, Ataliję, Emiliję i Paulinę— studyuje tragedyę przez tragiczkę— komentuje starego Corneilla wedle jego młodéj wyrazicielki, i z nią razem odkopuje poetyczne skarby Racina. Tym sposobem, arcydzieła grupują się obok téj co była ich duszą, i jak białe posągi stoją na jéj grobie. Niemożna było wielkiéj artystce piękniejszego wystawić pomnika.

Znakomitą tę xiążkę ozdobioną dwunastą fotografijami przedstawiającemi Rachelę w rozmaitych rolach, uważam za arcydzieło Jules Janina i jako taką, uwadze waszéj polecam.

Pod tytułem *Histoire de mes idées*, wyszedł dziesiąty i ostatni tom *Dzieł kompletnych Quineta*. Opowiada tam pod jakiemi wrażeniami kształtowały się jego pojęcia. Jestto godna korona tego znakomitego profesora, historyka i poety, który najgłębiéj może ze wszystkich współcześnie żyjących rodaków ora[1] niwę ojczystą. Nie tu miejsce na rozbiór tego śmiałego dzieła, które dotykając wszystkich politycznych i religijnych niedostateczności, powtarza ciągle co niegdyś autor wpajał w *Kolegijum Francuzkiém* w młodych swych słuchaczy.

„Nieopierajcie się na tém co inni zrobili, ale na tém co jest missyą waszą. Nietłómaczcie, twórzcie. Tchnijcie ducha na tę

glinę, którą wieki około kolebki waszéj nagromadziły, i znajdźcie samych siebie. Patrzcie w serca wasze i działajcie!"

Dziś w saméj Francyi nieznalazł się dość śmiały krytyk, coby jak należy to ważne dzieło komentował. Widać, że nie pora— czekajmy— niezginie ono— i będzie zrozumiane...

Uczony filolog i członek instytutu, Ernest Renan, wydał doskonały przekład *Xięgi Hijoba.* Znawcy mówią, że starożytny ten poemat nieznalazł dotąd wierniejszego tłómacza; ci zaś co go z Hebrajskim oryginałem niemogą porównać, podziwiają potęgę stylu i patryarchalny ton mowy, do któréj język Francuzki tak mało się nadaje. Przełamać tak wielkie trudności mógł tylko tak genijalny pisarz jak Renan, który łączy w sobie głęboką naukę z wysokiém poczuciem piękna.

Cóż powiedzieć więcéj o literaturze? Chyba to, że chwila obecna wcale jéj niesprzyja. Oczy i uszy wszystkich wyłącznie na horyzont polityczny zwrócone— stodoły karmi duchowéj prawie puste. Zasiewy dobrze się znaczą, ale jeszcze wszystko na pniu stoi. Obiecują drugi tom *Pamiętników* Guizota, przedostatni Thiersa, Pamiętniki xięcia Broglie;— ale to wszystko dotąd w stanie obietnicy pozostaje: autorowie się nieśpieszą, i poniekąd słusznie, bo dopóki trwa przesilenie polityczne, dopóki oczekiwanie w jakąbądź pewność się niezmieni, dopóty xiążka nikogo zająć niemoże, a publiczność czytać będzie same tylko depesze telegraficzne, korespondencye z Włoch i rozporządzenia Monitora.

LISTY O TURCYI.

Ruszczuk.

W listach moich niespodziewajcie się znaleźć świetnych obrazów, a tém bardziéj głębokich rozpraw historycznych. Przebiegam kraj bez najmniejszéj pomocy xiążkowéj; być może, że nieraz będę deptał miejsca obchodzące historyka, niewiedząc o tém wcale, niedomyślając się nawet zaginionych miast pod nowém dzisiejszém nazwiskiem mało znaczących Bulgarskich wiosek. Będę wam opisywał to, co zobaczę, uwalniając was od sprawozdań z moich własnych wrażeń i marzeń poetycznych i niepoetycznych, a nadewszystko będę się wystrzegał dopatrywać tego czego w istocie niéma; ograniczę się do skreślenia obecnego stanu Bulgaryi. W narysie tego obrazu niebędę się trzymał żadnego planu, będzie to po-prostu opis tego, co mi się nawinie pod oczy, i w takim porządku w jakim się przedstawi.

W końcu lutego wyjechałem z Stambułu parowcem Tureckim, na którym niewidziałem ani jednego urzędnika Turka; kapitan, jego pomocnik, maszynista i majtkowie, wszyscy byli Słowianie, Kroaci i Dalmaci. Towarzystwa (jak się tu wyrażają) *à la franca* niemiałem żadnego; ale pokład za to napchany był pomimo brzydkiego czasu podróżnymi rozmaitéj nacyi, którzy wszyscy z podkurczonemi pod siebie nogami siedząc w jednéj zbitéj massie, przedstawiali dziwną mięszaninę kolorów, ruszającą się mozaikę z czerwonych fesów, siwych kołpaków, Tureckich mołłów, z białych, czerwonych, czarnych i pstrych zawojów i z najrozmaitszych barw bund, burnusów i futer. Ze szczelin téj mozaiki buchały kłęby dymu z lulek i cygaret. Tak się wam zawsze przedstawi pokład statku na Wschodzie; przyzwyczaiłem się już do tego widoku, ale zanim to nastąpiło po ca-

łych godzinach stałem i przypatrywałem mu się z ciekawością, co chwila spotykając cóś mi nowego, nieznanego. Tą razą płynąc przez Bosfor, którego górzyste wybrzeża niepozwalają dąć wiatrom z całą zaciekłością, z złośliwą niecierpliwością czekałem na chwilę, kiedy się znajdziemy na pełném morzu, ciekawy byłem co się dziać będzie z tą żywą, pstrokatą mozaiką. Wysunęliśmy się z kanału—ze świstem i rykiem uderzył silny wiatr północny;—tu i ówdzie brodaty Turek z klątwą poprawił szuby;— wkrótce statek począł hasać z góry na dół po bałwanach, lulki pogasły, straszny powstał nieład na pokładzie. Z początku cieszyłem się, że choć choroba morska konwulsyjnie wstrząsnęła opasłemi mumijami Tureckiemi; śmiałem się widząc, jak wiatr dorwawszy się do którego mołły, niewiedział którą zdzierać z niego suknię i błądził w ich liczbie bez końca: bo trzeba wam wiedzieć, że Turek odziany jest jak cebula w kilka kaftaniczków, kaftanów, jupek. kacabajek, na wierzchu których czy w lecie czy w zimie u zamożniejszego zawsze być musi futro długie do kostek, z krótkim stojącym kołnierzem i rękawami mało co łokcie przechodzącemi. Bawiło to mnie, powiadam, czas pewien; ale kiedy choroba niemiłosierna owładnęła już całym pokładem, kiedy tylko czkawka, skrzyp okrętu i świst wiatru między linami jedynym był głosem, zeszedłem do kajuty, dziękując Bogu, że nigdy niecierpię na morzu.

Nazajutrz stanęliśmy na parę godzin przed Burgas, miastem jak wszystkie inne Tureckie obiecującém cóś porządnemi czerwonemi dachami i białemi domami; ale dość jest wejść do miasta aby się przekonać, że wszystkie są bracią w brudzie, kale i ciasnocie. Wyszedłem na pokład; przy samych drzwiach sali piérwszéj klassy usłyszałem jakiś cieńki pisk, cóś jakby narzekanie płci pięknéj;—to mnie nieco zaciekawiło, począłem dochodzić, zkąd dobywa się ten głosik o całą oktawę wyższy od kwiczolego—i o zdumienie moje!—w kojcu długim zaledwie na pięć łokci, szerokim, na dwa, przy łokciowéj zaledwie wysokości, był harem jakiegoś effendiego, od burzy i gorszych oczu ludzkich przykryty żaglami i matami od góry do samego dołu, tak, że tylko przez parę cali nad podłogą przez szczeble kojca dochodziło światło Boże do owéj klatki. Upuściłem chustkę i nachylając się po nię starałem się zapuścić oko w ten kojec tajemniczy: tam na matach, pomiędzy łupinami pomarańcz, orzechów i czosnku, ujrzałem owinięte w wielkie i białe płachty kokony (panie) effendiego; było ich pięć, czy sześć i para dzieci; twarzy niewidziałem żadnéj, tylko uderzył mnie pięknością wielki warkocz jasnych włosów.

Niemogłem dojrzeć nic więcéj, bo mnie spędzono. Dawniéj taką ciekawość można było drogo przypłacić, i dziś jeszcze chociaż daleko rzadziéj, ciekawce bywają niemiłosiernie poniewierani,— mnie tylko jakiś długi, chudy palec z umalowanym na czerwono paznogciem, szturgnął w nos, i usłyszałem ze trzy razy powtórzony wyraz: *giaur*. Do samego wylądowania w Warnie wokoło obchodziłem kojec, ale i z zewnątrz już go Murzyn pilnował.

Przed dwóma i pół laty byłem w Warnie; wówczas nędzota tego miasta pokryta była ogromnym ruchem Europejczyków—snuły się rozmaite mundury, tu i ówdzie odzywała się hulacka pieśń żołnierska, ulice zapchane były barakami przekupniów, a ci szczególniéj Francuzcy szybko umieją z desek i płócien budować sobie całe miasta, a wybieliwszy je i ocackawszy szychami, dać im pozór przyjemniejszy dla oka, aniżli miejscowe kałuże, kupy gnoju i śmiecia. Warna jak każde portowe w Turcyi miasto, zamieszkana jest przez Greków, a mała liczba Bulgarów tonie między nimi nietroszcząc się o swój język, owszem z dumą posługując się Greckim. Warnę w Europie nazywają fortecą, i tak ją macie na kartach znaczoną—i jest twierdzą, jeżeli nią jest która z twierdz Tureckich. Brama w Warneńskiéj fortecy, z balów dębowych, sądząc po zawiasach dziś połamanych, musiała się kiedyś zamykać. W kazamacie przy bramie siedzi jakiś stary Turek; widziałem go walczącego z błotem, które potokami tłoczy się z góry pod sklepienie bramy i zapiera całą sklepioną drogę w kilkodziesięcio-krokowéj jéj długości. Ten *bekczi* (strażnik) jest i kawiedżim (kawiarzem) zarazem; ostatni ten przemysł wyśmienicie chodzi w parze z każdym urzędem strażniczym. Po drogach, co kilka godzin są *kuluki* (strażnice), gdzie dla czuwania nad bezpieczeństwem podróżnych i eskortowania poczt jest kilka konnych *raptich* (żandarmów); otoż każdy taki kuluk jest kawiarnią, gdzie krajowiec ma zwyczaj zesiąść z konia, oprowadzić go nieco, wypalić lulkę lub nargille, i wypić malutką filiżankę kawy,—z czego dochód naturalnie o wiele przechodzi mizerną pensyę naczelnika strażnicy.

W saméj Warnie niemając nic do widzenia, z towarzyszami moimi wyszedłem na obejrzenie okolicy tak dla nas ciekawéj, pól oblanych krwią Węgrów i naszą. Na północ od jeziora kilka godzin ciągnącego się, a blizko od miasta na milę, ma być pole klęski 1444 r.; tam w dniu 3 maja 1856 r. postawiono pomnik Władysławowi Jagiellończykowi. Na sypanym kopcu (których mnóztwo jest w Turcyi) stoi kolumna kamienna, pira-

mida czworoboczna zakończona ostrosłupem, a nosi dwa napisy Polski i Łaciński, które skopijowałem na gruncie, zostawiając odpowiedzialność za błąd ortograficzny panu hr. Ostrorogowi.

Mowa miana w czasie poświęcenia pomnika była panegirikiem dla pana W. hr. Z., sądząc z słów, które mi przytoczył jeden z towarzyszów moich, a obecny uroczystości: „Bracia! tu poległ król nasz Władysław— i cztery wieki minęły, aż dopiéro Władysław nasz wódz i t. d. i t. d.“.. Wielkie, nieśmiertelne imiona! ileż to do waszéj nieśmiertelności jest przylepek!

Ś. p. ojciec mój, gdy mi potocznym sposobem, dzieciakowi jeszcze opowiadał dzieje Polski, wspominał, że na miejscu, gdzie poległ Władysław Warneńczyk, Amurat drugi kazał położyć kamień z napisem, którego dziś niepamiętam całego, ale którego koniec doskonale mi dotąd pozostał w pamięci: „*discite mortales non temerare fidem.*“ Niewiem, gdzie ojciec mój zaczerpnął wiadomość tę, jak niewiem który z dwóch pomników więcéj tłoczy krew Jagiellończyka.

P. konsulowi Angielskiemu, który był na uroczystości poświęcenia kolumny, oddano ją pod opiekę. To nie na wiele się przydało, bo Turcy wrodzy tego wszystkiego, co powstaje z pod rąk giaurów, powyłamywali kamienie z pedestału i mało już brakuje, żeby cała kolumna runęła. Przy samym mieście widziałem w 1855 r. piękny sadek założony przez Francuzów— ani śladu dziś po nim, z korzeniami powyrywano, lub powyłamywano drzewka!

W Warnie interesa służbowe wymagały widzenia się z paszą, gubernatorem Warny i jéj okręgu (kaza). Dla Europejczyka, dopóki się nieotrzaska z tutejszemi biurami, są one zawsze przedmiotem podziwienia. Pasza dość rano, bo często już około 9 wyszedłszy z haremu, w posłuchalnym pokoju siada na sofie; obok niego stoi szkatułka z dwówa kałamarzami, piaseczniczką z mikowym piaskiem, wielkiemi wyzłacanemi nożykami i dzwonkiem. Jeżeli pasza niema żadnéj sprawy do rozpoznania, co się nadzwyczajnie zdarza rzadko, wtedy to raz lewą, to prawą nogę z kolei podkurcza pod siebie, a drugą wysuwa na kanapę, pije dym z długiego cybucha (Turcy mówią pić lulkę) i myśli, t. j. patrzy na sufit. Nieczęsto jednak pasza ma długą chwilę podobnego kiefu. Wyrazu tego nieumiem dobrze spolszczyć, Włoskie *dolce farniente* odpowiada niby znaczeniu Tureckiego kiefu, ale nieokreśla jeszcze tak doskonale tego błogiego stanu duszy, przedsmaku rajskiéj rozkoszy, przez Proroka prawowiernym obiecanéj. Nasze rozrywki po większéj części oparte są na ruchu fizycznym lub moralnym; mamy przechadzki,

przejazdki, bale; mamy upartych graczów preferansa lub faraona uderzającego w struny namiętności,— Turek jest wrogiem tego wszystkiego co burzy spokój; Turek szuka obezwładnienia ciała, aby mógł marzyć swobodnie, ubiega się za narkotykami i opijum albo haszyszem buduje sobie siódme niebo Mahometa. W dzień pogodny widywałem, szczególniéj w Azyi, szeregami nad rzeką Riwą siedzących Turków, nieruchomych jak posągi, milczących jak kamienie; jedni mieli utopione oczy w niebo, inni zawieszone na gałęziach kasztanów, lub upadłe w prąd rzeki—wszyscy całą duszą oddani kontemplacyi używali kiefu, i na twarzach ich spokojnych i jasnych niedojrzałem nigdy śladu powszedniéj troski, panował na nich wyraz najwyższéj błogości. Po kilkogodzinném bezwładném narozkoszowaniu się, pojedyńczo jeden po drugim wstają myśliciele niebieskich migdałów i rozchodzą się głęboko westchnąwszy; czasami wtedy który zaśpiewa zwrotkę jakiéj pieśni, zakończy ją płaczliwém *ach aman! aman!* i idzie spokojnie w swoję drogę. W piątki i w czasie Bajramu i płeć piękna Turecka używa podobnego kiefu. W arabach (rodzaj Tureckich pojazdów) ciągnionych przez konie, woły i bawoły, i pieszo, tłumy Turczynek wysypują się za miasto; tam na cmentarzach między cyprysami lub na łąkach ocienionych drzewami zasiadają spokojnie, upstrzywszy płaszczami swojemi szeroką przestrzeń. Chciałbym widzieć naszą płeć piękną skazaną na kilkogodzinne kosztowanie kiefu; chybaby jaki czarnoxiężnik sarny nasze pozaklinał w kamienie, wtenczas może pozostałaby się jaka trawa niepotrącona poskokiem, jakie zacisze nieobudzone pieśnią i serdecznym śmiechem. O nieoszacowane, święte pustoty naszych majówek, kiedy i starym godzi się udawać młodość, gwar wasz dotąd mi dzwoni w uszach, dotąd mi roją się przed oczami lekkie, powiewne postacie—i tęskno mi!

Kief Turecki daleko zapędził mnie od biura paszy. Mówiłem wam, że rzadko Pasza ma chwilę samotną, a to dla tego, że każda sprawa opiera się o niego, czy to chodzi o kwestyę administracyjną, czy o pobicie się na ulicy dwóch zawadyaków, o wszystkiém Pasza wiedzieć musi i wszystko rozstrzyga; a że co dnia ma mnóztwo najrozmaitszych spraw i wypadków i o wszystkiém chce wiedzieć i wszystkiego sam wysłuchać—kończy się naturalnie na tém, że niewie o niczém. Od samego rana jak tylko biuro otworzą, niéma do żadnego wydziału drzwi zamkniętych, są tylko zasłonięte suknem ugarnirowaném fręzlami; zasłonę tę co chwila odchyla jakiś interesant, aby się przekonać czy wejść można. Korytarze zapchane są interesantami, służbą, czauszami, zaptiemi i bateryą kaloszów i trzewików żółtych, czer-

wonych, płowych czekających przed każdemi drzwiami na powrót swoich panów.

Pasza, gdy wejdzie ktoś, któremu chce okazać uszanowanie, przyjmuje go stojący, prosi siadać i sam siadłszy sięga po dzwonek—na dźwięk jego wpada służba: „kawa i cybuch!“ Przy cybuchu mówi się o interesie i rozkaz załatwienia go otrzymuje się natychmiast, chyba że potrzeba czego szukać w aktach. Wtenczas dziwny się czasem robi rejwach w całém biurze: pasza dzwoni, przywołuje to tego, to owego urzędnika; ciekawa rzecz wtedy widzieć jak zdejmują się ogromne worki z papierami, jak się wysypują na ziemię, jak pomiędzy niemi siedząc lub leżąc na brzuchach pisarze przerzucają po kilka razy papiery, w kopertach, bez kopert, złożone lub zduszone. Dobrze poszukiwanie poszło, jeśli po półgodzinie ktoś ze szperających wykrzyknie: *Isz—ałłah! war!* chwała Bogu jest! lub przypomni sobie, że szukany dokument znajduje się u niego na sofie pod kilimkiem lub dywanikiem; ale też bardzo często odbiera pasza odpowiedź: *Kajb—ołdu.* (zginęło). Odpowiedź ta, jest to rzecz naturalna, że jéj się nawet dziwić niewypada—po-prostu robi się drugie podanie i rzecz skończona.

W kancelaryi najwięcéj osób; napełniona jest pisarzami i pisarczykami rozmaitego wieku, najrozmaitszéj odzieży. W około ścian siedzą wszyscy i na kolanach piszą trzcinami, lewą ręką przyciskając papier i trzymając w niéj mosiężny kałamarz z długim ogonem, w którym przechowują się trzcinki i nożyki do ich temperowania. Po skończeniem pisaniu, pisarz zamknąwszy kałamarz kładzie go za pas,—i po tym kałamarzu poznasz godność podrzędniejszego Kiatiba (pisarza), jest to pewien rodzaj zaszczytnéj dekoracyi; tak udekorowanego Turka nazywa się już *mołłą* czyli uczonym, piśmiennym.

W konaku, to jest rządowéj rezydencyi gubernatora, lub kajmakana (namiestnika) jest i więzienie! więźniowie w najcięższych kajdanach jakie mi się w życiu widzieć zdarzyło, używają się do różnych posług i ciągle snują się pod strażą po podwórzu i korytarzach— straszny szczęk kajdan jest jedną z cech charakterystycznych gubernatorskiego konaku. Stan więźniów jest opłakany, mizernie żywieni, skuci po dwóch, skołatani pracą, niemają nawet w nocy chwili wypoczynku; kto wie czy noc dla nich w brudnych dziurach, na kupach barłogu i śmiecia, w rojach robactwa, niejest straszniejszą od krwawego potu dziennéj pracy. Między więźniami widywałem i Turków w znacznéj liczbie, ale najwięcéj jest Bulgarów i Greków.

Konak gubernatora w Warnie jest wielką ruderą drewnianą, grożącą blizkim upadkiem; okna tu i ówdzie pozaklejane papierem, lub zupełnie i szyb i papieru pozbawione. Paszowie niewiele dbają o poprawę budynków, bo rzadko z nich który kilka miesięcy zostaje na jednéj posadzie; przerzucani ciągle sami się uważają za przechodnich *mussafirów* (gości) i nietroszczą się o utrzymanie budynku. Całém ich dążeniem jest skorzystać z czasu i zebrać porządny zapas, na wypadek przydłuższej może dysgracyi.

Z Warny drogę do Szumli odbyłem pieszo. Nieznalazłszy dostatecznéj liczby siodeł na poczcie, a raczéj nieznalazłszy ich wcale, nająłem dwie Tureckie bryki. Przez lat kilka miałem sposobność przypatrzenie się tym powozkom prawowiernych, zamiast kół mającym cztery różne nieforemne wielokąty; już budowa sama tych wozów nigdy nieobudzała we mnie do nich wielkiego zaufania; niesądziłem, jednak, żeby siedzący w nich człowiek, skazany był na tak ciężkie turtury. Bryki pokryte są matami i płótnem napiętém na rzędzie obręczy, lecz tak nizkich, że niepodobna jest zrobić żadnego siedzenia; Turek obyczajem swoim podesławszy dywanik i skrzyżowawszy pod siebie nogi ma dosyć miejsca, widziałem tak podróżujących nawet po czterech w jednéj budzie—nas dwóch po różnych próbach, siadania to przodem to tyłem, to bokiem, znalazło niby wygodniejsze położenie, ale za piérwszém puszczeniem się wozu w drogę, illuzya nasza zniknęła, zaczęliśmy się niemiłosiernie szturgać głowami w obręcze, łokciami w deski i siebie, każde stuknięcie o kamień, których dzięki niedbałości i apatyi tutejszych mieszkańców niebraknie, było bolesnym karambolem czół naszych. Po takiéj półgodzinnéj jeździe, koło wpadło w dół, głowa moja uderzyła w budę; pociemniało mi w oczach i gdym się po krótkiéj chwili opamiętał, znalazłem się złapany w samotrzask, gardlony dwiema obręczami, między które uderzenie wozu wepchnęło mi głowę. Po téj przygodzie oddałem katu i *araby* i *arabadżich* (wozy i woźnice), i Tureckie drogi, wziąłem dubeltówkę i szesnaście godzin do Szumli odbyłem pieszo, a ogniste faetony Tureckie przywlokły się dopiéro w kwadrans za mną. Od Warny do Dewny idąc po nad jeziorem i błotami, spotykaliśmy niesłychaną ilość kaczek, gęsi i łabędzi, które znalazłszy tu i ówdzie już rozmarźnięte wody, zatrzymały się widać dłuższym popasem w swojéj pielgrzymce na północ. Droga do Szumli idzie krajem pagórkowatym, wyniesionym kulisto pomiędzy dwóma pasmami gór od południa małoznaczących; od północy wyższemi piętrami rysujących się na widokręgu. Wsi

na drodze mało i po bokach rzadko dają się widzieć; smutne pustkowie pokryte nizkiemi karlakami dębowemi, szczątkami niegdyś ogromnych lasów, lub porośnięte najnieznośniejszemi pod słońcem krzewami kolcowemi, Turcyi właściwemi, i nieprzebytą ścianą ciernia, twierdzą kuropatw, lisów, zajęcy i wilków.

Z dwóch noclegów na drodze do Szumli, jeden nam przypadł w Purnie wsi Bulgarskiéj o 6 godzin od Warny (godzina Turecka ma około 6200 kroków). Zapędziwszy się na błota za kaczkami, przybyłem do wsi już tak późno że niemogłem się dobrze charakterystyce jéj przypatrzyć— a trzeba wiedzieć że Bulgarskie wsi jakkolwiek w jednéj i tej saméj okolicy położone, różne jednak i rażące nieraz mają między sobą różnice, które zdradzają nawyknienia mieszkańców odrębne od sąsiednich. Uwiadomiony *kiaja* o naszém przybyciu czekał nas z latarnią przede wsią. Każda wieś w Rumelii oprócz *Czorbadiego* t. j. sołtysa ma *Kiaję* czyli kwatermistrza, który obowiązany jest przybywających do wsi gości przyjąć, zaprowadzić ich na mieszkanie i zająć się ich ugoszczeniem. Jest to zabytek starożytny, żyjący chociaż widocznie z dnia na dzień upadający do wód gościnności narodów Słowiańskich i Wschodnich. Podróżny wchodzi do wsi i woła: *Kiaja kia-ja!* po krótkiéj chwili niezawodnie odezwie mu się głos przeciągły: *ha! ha!* a zajadłe szczekanie psów wiecznie kiaję prześladujących, od chałupy ku podróżnemu posuwające się, przepowiada mu przyjście kwatermistrza. Po powitaniu przychodnia prowadzi go kiaja na mieszkanie do gospodarza, na którego z kolei przypada obowiązek podejmowania gościa, jemu go zdaje i na tém kończy swój urząd, jeżeli w domu niczego niebraknie, w przeciwnym razie to ztąd to zowąd potrzebne rzeczy znosi do chałupy. Kiaja we wsi zwolniony jest od wszelkich ciężarów, ale skóra jego narażona jest na razy niezawsze zbyt grzecznych *mussafirów* (gości), zwłaszcza Tureckich, i dla tego to kiaja, czy w zimie czy w lecie zawsze mieć musi na sobie kilka grubych kurtek samodziałowych, a na nich dopiéro krótki kożuszek, który go broni jak pancerz od uderzenia *mussafirskiego kamczyka* (bata). Ten strach sowicie wynagradza sobie kiaja sposobnością napicia się z gośćmi i podarunkiem, który zwykł mu się dawać na odjezdném. W najrozmaitszych porach, przez kilka lat pobytu mojego w Rumelii zdarzało mi się przybywać do wsi, ale trudnoby mi było naliczyć w téj olbrzymiéj liczbie kiajów, którzy mnie ugaszczali, dziesięciu zupełnie trzezwych.

Gdyby nietakie uorganizowanie gościnności, w Turcyi pozbawionéj domów zajezdnych, byłoby niepodobieństwem dłuższe

odbywać podróże; to jednak prawie urzędowe uorganizowanie gościnności, robiące z niéj obowiązek, a bardziéj jeszcze nadużycia gości, wpłynęły z czasem silnie na osłabienie samego źródła gościnności od wieków złożonego w sercu Słowian; o Turkach niéma co mówić, bo ci wyzuli się w Rumelii zupełnie z téj cnoty, na giaurów zwalając święty obowiązek nakazany przez Koran, poczytnjący się przezeń za jedną z najpiękniejszych moralnych ozdób Muzułmanina. Giaury! u Turków w Rumelii nieszukajcie serdecznéj gościnności; aby mieć o niéj prawdziwe wyobrażenie, potrzeba być w Azyi i to nieblizko brzegów Europiejskich: tam dopiéro przy prostocie obyczajów, znajdziecie, bez względu na wiarę podróżnego, i chatę i serce Muzułmanina dla siebie otwarte. Z powodów, których dotknąłem powyżéj, popsuł się Bulgar bardzo w wielu już okolicach—i jeśli go porównasz z naszym Polskim ludem, nieznajdziesz u niego téj serdecznéj gościnności Polskiego kmiotka, który ci niedrżącą skępca ręką poda sól i kawałek chleba, ale z duszy powitawszy, stawiając przed tobą *czém chata bogata*, przemawia do ciebie: „*Bóg dał, jedz i pożywaj*!“ Aby u Bulgara być dobrze przyjętym, potrzeba być Turkiem, lub urzędnikiem cesarskim, otoczonym Tureckimi zaptjemi — wtenczas bojaźń jest kluczem do gościnności; albo potrzeba się wylegitymować z jednoplemienności i wspólności wyobrażeń i wyznań, niby w jakiém Wolno-Mularskiém towarzystwie przyjętemi przezeń znakami, inaczéj chociaż ci na noc strzechy nieodmówią, czuć się będziesz przecięż w jakiejś dusznéj atmosferze. To u mnie goscinnością niejest! taką Żyd ma dla Żyda od krańca po świata kraniec, i nierównajcie jéj z gościnnością Polaka i Litwina. Kmiotek nasz djabła maluje po-Niemiecku, w piosenkach i przysłowiach wszystko co Niemieckie, od głowy z harbajtlem aż do chmielowych tyczek nóg jego, wyśmiał i wydrwił; kijem uzbrojony mszcząc się krzywd, trupami swojemi w walce z Niemcem własne zaścielał pola;—a jednak gdy mizerny *armerreisender* we fraczku wiatrem podszytym, od zimna dzwoniąc zębami, zgłodniały zajdzie do najuboższego kmiecia, drzwi się przed nim niezatrzasną—z politowaniem tam wejrzą na niego, mówiąc do siebie: „*to Niemiec, aleć i to Bozkie stworzenie;*“ wtedy nawet swawolny dzieciuch niewyśmieje przybysza; posadzą go przy ognisku, ogrzeją, nakarmią, napoją, na jutro często jeszcze opatrzą i życząc dobréj drogi za wrota wyprowadzą, nie jak Bulgar, który nieraz, jak to tylekroć sam widziałem, do pożegnalnej formułki dołącza gest strząśnięcia kasztana, a to znaczy tyle, co: „*bogdajbyś kark skręcił!*“

W Dewnie wnętrze domu wyznaczonego mi na kwaterę,

znalazłem podobne do wszystkich chat Bulgarskich: drzwi nizko ze środka zapierane potężnemi wrzeciądze; dwa półłokciowe okienka wychodzące na podwórze, bez szyb, a raczej z szybami z papieru, który tu nawet po wielu rządowych domach szkło zastępuje; nad oknami i pod niemi dwie fugi dębowe, w których przesuwa się gruba deska za okiennicę służąca. Na ścianie ode drzwi ku kątowi przybita jest długa listwa z kołkami, na których wiszą kotły i kociełki miedziane i czysto wybielane, a na samym końcu listwy kocieł z wodą i z czerpakiem do pieca,— oto jest powszechne ubranie jednéj ściany. Na drugiéj kilka świętych obrazów, nad niemi bardzo często w szafeczce Najświętsza Panna, przed którą lampa regularnie zapalona na wieczór w sobotę i w wiliję świąt uroczystych, a tych jest w Bulgaryi nieskończona liczba. Przy trzeciej ścianie oparta jest długa ława, na któréj leży poskładana pościel i wązkie długie poduszki wypchane słomą z kukurudzy, wełną lub pakułami. Pościel stanowią samodziałowe dywaniki wełniane lub z koziego włosia, i kołdry takież, lecz zdarzają się czasem i podwatowane. Łóżek nigdzie niéma. Gdy gość przybywa, zamiata się izba przed ogniskiem komina, które bezpośrednio leży na podłodze z gliny ubitéj, rozkłada się ogień, czy to w zimie, czy w najtęższy kanikularny upał, ściele się z rogoży mata, kładzie się poduszka; dywanik jeden za pościel, drugi daje się do nakrycia. Na tém posłaniu i siedzi się i śpi; krzeseł ani ławek nigdzie po wsiach niewidziałem; rzadko gdzie są stołki podobne do szewieckich, ale tém się od nich różnią, że są daleko mniejsze i na trzy krótkie nóżki, prawie nigdy niemają dwóch jednakowéj długości. Biada, kto niewiedząc o téj ich osobliwości siada na nich. Europejczyk przyzwyczajony do wygód, tu musi oduczyć kości od miękkiego puchu i włosianych materaców, bo tu nawet słomy do podesłania sobie pod boki nieznajdzie, tę bowiem miejscowy sposób młócenia zboża na sieczkę pełną kurzawy i piasku obraca. Bulgar śpi na ziemi prawie gołéj, ubrany zawsze, zdejmując tylko na noc skórzane chodaki, na głowę zaciska czapkę baranią, wyciąga nogi do ognia i wygrzewając je przy nim śpi jak zarżnięty, przebudza się tylko czasem, poczuwszy zimno w podeszwach, które go ostrzega, że ogień przygasa. Jak śpi gospodarz, tak spać musi i gość jego, chociaż jest lepiéj zaopatrzony, bo czasem wedle godności dwa i trzy dywaniki podścielą pod niego.

Za przybyciem mojém na kwaterę, dziatwa i kobiety pouciekały do drugiéj izby, przedzielonéj od piérwszéj niziutkiémi drzwiami, przez które prawie na klęczkach przechodzić trzeba.

Przyjął mnie gospodarz z uszanowaniem i bojaźnią, lecz widząc, że prawie tak dobrze mówię po-Bulgarsku jak on sam, ciekawie wypytywać począł co jestem za człowiek, a potém ośmielony, zanim jeść podano, w obszerną się ze mną puścił pogawędkę. Naprzód wiem treść wszystkich zapytań, na które mi odpowiedzieć wypadnie, cierpliwie jednak zawsze na jedne i te same odpowiadam zagadnienia: czy są u was krowy? czy się żyto sieje? czy koguty tak samo pieją jak tutaj? a po stu podobnych na zapieczętowanie: czy są u was Turcy? Zdawszy taki examen, mam i ja potém prawo o to i o owo się zapytać; dziwne czasami odbieram odpowiedzi, ale rzadko kiedy takie, któreby na sobie nosiły jakieś piętno podania dziejowego, jakąś cechę z lat zamierzchłych pozostałą, lub ślad dzisiaj pracującéj duszy, wykluwającéj się z ciemnoty. W tém jaju pisklę jeszcze w łupiny niestuka,—daleko jeszcze przed niém wiosna, w któréj piérwszą piosenkę zapieje. Tu wszystko jeszcze martwe, wszystko zamarłe aż do pamięci co było kiedyś—i oto Bulgarowi wieśniakowi niechodzi, patrzy na gruzy zamków i grodów tak obojętnie jak na kamienie leżące na drodze; wyobraźnia jego w braku tradycyi, gruzów tych niedotknie twórczością i nawet ni djabłem ni smokiem zaludnić ich nieczuje potrzeby. I jakże chcecie, żeby przy podobnéj obojętności mogła się jaka przechować tradycya? Bierność, bierność we wszystkiém stanowi tło charakteru wieśniaków Bulgarskich w ogóle. Ta bierność rozciąga się aż do kwestyi narodowéj. Na dowód przytoczę wam dosłównie następujące zapytanie, które mi zadał jeden wieśniak w Rocynie pod Tirnawą: „Czy to prawda, że królowa Angielska kupuje od sułtana Bulgaryę?—Nic niewiem o tém; czyś o tém słyszał?—Ot tak powiadają; Anglik bogaty chce kupić i sułtan chce sprzedać, już się i na cenę zgodzili, tylko sułtan tego niechce, czego chce królowa Angielska.—I czegoż to?—Ona chce, żeby pozwolić dzwonić po cerkwiach Bulgarskich, a sułtan się temu sprzeciwia, żąda żeby i nadal przed nabożeństwem klepać w deskę,—haracz, dziesięciny, wszystko inaczéj sułtan pozwala przemienić, pozwala w każdéj wsi cerkiew pobudować, ale klepadła znieść nieda.”— A co? nieciekaważ kombinacya polityczna? czekają aż ich ktoś zabierze lub kupi!!

W poprzednich podróżach moich zauważyłem dziwną szczególność u Bulgarów: chęć przeczytania wszystkiego, co jest pisane lub drukowane, w jakimkolwiek bądź języku, bez troszczenia się bynajmniéj o zrozumienie; chodzi im tylko o proste wygłoszenie pisma: *da az to pejem*, abym wyśpiewał. Napotykałem nauczycieli wiejskich, mozolących się nad *wyśpiewaniem*,

Niemieckich, Francuzkich, Włoskich xiążek, które im przypadkiem wpadły w ręce, ale po za wyśpiewanie pisma nigdy ich ciekawość niesięgała daléj. Powszechne parcie się Bulgarów do oświaty (jeśli nią naukę czytania nazwać można), z tego stanowiska sądzę, być może błędnie; ale ilekroć zdarzyło mi się napotkać wiejską młodzież, która przeszła przez szkołę, wszędzie, bez wyjątku prawie, nieznalazłem żadnego zastosowania umiejętności, ani jego pragnienia, oprócz chwalby: możem da to pejem i u dukianów (przekupniów) zanotowania długów, już nie kreskami na drzwiach, lub karbami na kiju, ale w xiążce *atramentem, literami i liczbami*. Ta ciekawość jednak, ta żądza jednak, jakkolwiek bierna, *wyśpiewania wszystkiego*, niesłychanie dla Bulgarów zbawienną być może i skrócić im niezmiernie drogę, jaką Bulgarzy przy dzisiejszym upadku duchowym przejść muszą, zanim otrząsną się z upodlenia i moralnego pognębienia, w jakie je kilkowiekowe jarzmo wepchnęło.

Do Szumli przybyłem po południu i szczęśliwém zdarzeniem w dzień szkolnych półrocznych examinów; naturalnie niezaniedbałem z tego skorzystać i zwiedziłem szkoły męzkie i żeńskie.

Przed trzema laty byłem w Szumli i rozpytywałem się o stan szkół; pamiętam, że liczba uczniów w owym czasie dochodziła do 300 i uderzyła mnie już wtedy swoją znacznością. Liczby najlepiéj przemawiają: aby więc pokazać jaki Bulgarzy w okolicy Szumli zrobili postęp, dosyć jest powiedzieć, że dzisiaj uczniów i uczennic ma Szumla do 800.

Uczniowie na zadawane im pytania dość dobrze odpowiadali. Jeden z urzędników wysokiéj Porty, doskonale mówiący po-Grecku, zdziwiony wielką liczbą uczniów i odpowiedziami ich, począł sam zadawać pytania z geografii, z arytmetyki, z których wcale nieźle wychodzili zapytani. Gdyśmy po examinie wyszli na ulicę, następująca zawiązała się rozmowa między urzędnikiem wysokiéj Porty, a Bulgarem, jednym z opiekunów szkoły. „Powiedz mi, wiele tu jest Turków?"—Trochę więcéj niż połowa mieszkańców.—„Czy są tu jakie szkoły Tureckie, czy dzieci Tureckie uczą się i wiele jest uczniów?"—Jest szkoła—„Gdzie?"—Czy ją Effendi chcesz widzieć?— „Niezawodnie"—No, to niepotrzebujesz daleko chodzić, rzuć okiem przed siebie, patrzaj, jak *ciudżiuki* (dzieci) gromadnie z téj góry zjeżdżają po śniegu—a tu patrz jak igrają i z hałasem wojują śnieżkami? to zimowa szkoła Turecka, a letnia znowu jest inna.— Gorzka, ironiczna odpowiedź Bulgara pokryła ponsem twarz effendyego; nierzekł więcéj słowa i szedł zadumany. Gdyśmy sami na ulicy się zo-

stali, zapytał mnie z westchnieniem: „Czyś pan słyszał, co mi ten Bulgar powiedział? na nieszczęście, to gorzka pigułka, ale zasłużona i połknąć ją trzeba!— *Ujujurler, ujujurler dajma!*“ śpią, zawsze śpią!—Długo potém jeszcze rozwodził się nad smutnemi następstwami ospałości Muzułmańskiéj.

Duchowieństwo Tureckie, stojące na czele wszelkich instytucyj naukowych, wyjąwszy szkół wyższych nowo pozakładanych na wzór Europejski, posiada ogromne fundusze w dobrach ziemskich; gdyby te dobrze były administrowane i obracane na cel przynależny, szkoły Tureckie najlepiej byłyby uposażone w Europie. Z tego jednak źródła, oświatę mogą tylko czerpać Muzułmanie, a jak korzystają z niego, najlepiéj wam pokazuje odpowiedź dana przez Szumlańskiego Bulgara urzędnikowi wysokiéj Porty; Chrześcijanie, jeżeli niechcą pozostać w zupełnéj ciemnocie, sami muszą dbać o siebie i organizować potrzebne fundusze. Pod tym względem rząd niekładzie im żadnéj tamy, i pozostawia im wszelką wolność; niemięszając się, ani troszcząc o wykład nauk, pozwala jak najswobodniéj rozwijać się na drodze oświaty. Na téj to drodze toczą się najsilniejsze walki w Bulgaryi między dwóma żywiołami: narodowym Bulgarskim, a napływowym Greckim, który ma najpotężniejszych szermierzy w osobach despotów, władyków, archidyakonów, naczelników duchowieństwa Bulgarskiego, a zawsze rodem Greków. Walka ta poczyna tu i ówdzie przechylać się zwycięzko na stronę Bulgarów. Ruch ten od dwóch lat jawny, nieustanny, niezmordowany przeciw żywiołowi Greckiemu, mający za sobą wszelkie prawa słuszności zelektryzował i pogreczoną arystokracyę miast Bulgarskich, najmajętniejszą w Bulgaryi klassę *tudziarów* (kupców). Przed parą laty, nim Bulgarski żywioł odważnie rzucił rękawicę Greckiemu, w miastach bogacze Bulgarzy wstydzili się ojczystego języka, strojem i językiem starali się wyróżnić od współbraci cierpiących; starali się zbliżyć powierzchownością do narodowości rządzących, tą powierzchownością począć sobie u nich zaskarbienie łaski, a zakupienie jéj całkowite zakończyć pieniędzmi, zręcznie a pokornie sypanemi gdzie potrzeba. Z małym wyjątkiem, tym sposobem stanęło bogate mieszczaństwo Bulgarskie wręcz naprzeciw własnemu żywiołowi narodowemu; cicho, pokątnie, jak każdy tchórz bez serca i szlachetności, dopełniało matkobójstwa; nagromadzonemi kapitałami zagarnęło w ręce swoje wszelkie spekulacye i ogromne operacye pieniężne; pospołu z Greckiemi pijawki postawiło się w możności zakupywania *dziesięcin*. Znam Bulgarów, którzy na siebie od rządu zakupują dziesięciny całego paszali-

ku, znam takich, którzy ich mają po kilka corocznie. Zaiste złe leży w saméj administracyi państwa, i tu szukać źródła ucisku na który narzekają opodatkowani; ale i tu wyznać należy, że nie tyle rząd zdziera populacye, ile kupcy dziesięcin, którzy je exekwują bez litości, z niwy i dobytku biednego kmiecia wydzierając nie jedną, ale dwie i trzy dziesiąte. W surowości i bezsumienności owego dziesięcinowego zdzierstwa, Grek i Bulgar żadnemu najchciwszemu tyranowi przewyższyć się nieda, i niemasz do jego serca żadnéj drogi, to zakamieniało na wszystko; dziesięcioparówka ($2\frac{1}{2}$ gr. p.) przeważy w niém choćby nawet i życie człowieka! Wiedzą to wieśniacy Bulgarzy dobrze, i nienarzekają na padyszacha, ucisk przypisują kaźni Bożéj za tō: że krew' Chrześcijańska bije na krew' Chrześcijańską; owszem z dnia na dzień widząc poprawę swojego położenia, ufają silnie w dobrą wolę padyszacha i proszą Boga, żeby mu dopomógł powściągnąć paszów, władyków i miejskich czorbadżich Greków i Bulgarów.

Ruch żywiołu Bulgarskiego odważnie stawającego do walki z Greckim, przebudził, jak mówiłem mieszczan Bulgarskich i dał im nieco do namysłu; z jednéj strony postrzegli, że *trzeba* im przypomnieć sobie, że są Słowianie, i poczęli się głośno przyznawać do swojego pochodzenia, język Bulgarski powrócił w ich usta—z drugiéj strony ścisnęli się w falangę pospołu z Grekami; spodleni a chciwi bezpieczeństwa, niezdolni stanąć szczerze a jawnie po jednéj lub drugiéj stronie rozpoczynających się zapasów, osądzili za najmędrsze zarzucić płaszcz na oba ramiona. Znam takich którzy grube pieniądze sypią na znalezienie sobie organu Słowiańskiego przeciw Grecyzmowi, ale grubsze stokroć corocznie pospołu z tymi samymi Grekami, z którymi walczą, wyciskają ze współrodaków. Bliżéj przypatrzywszy się aktorom odgrywającego się dramatu, widzi się, że wielu z pomiędzy nich gra na scenie, aby zabezpieczyć się na wszelki możliwy wypadek walki. W ostatnich czasach jeden z młodych Bulgarów, który skończył edukacyę swoję za granicą, w mojéj przytomności wymównie i bez ogródki wyrzucał kilku bogatym mieszczanom ich dwulicość i niemiłosiernie ich chłoszcząc zdzierał z nich maskę pseudonarodową.— Zresztą pomimo silnéj manifestacyi ruchu Bulgarskiego, powszechność jego jest pozorną— przyjęty jest on przez massę z wrodzoną jéj biernotą, którą zda się koniec walki zupełnie nieobchodzić, i dla tego ruch Bulgarski odjąwszy mu jego źródła, kilka serc, kilka głów, sam z siebie ustaje;— trwając zaś niemoże do niczego więcéj po-

służyć, jak do podniesienia języka, co wprawdzie niejest rzeczą małą—ale niejest ostateczną.

Mieszkańcom Szumli niemożna zarzucić dwulicości—owoce też ich starań i krzątań się na drodze jeśli niewyraźnie pozwolonego, to cierpianego przez rząd rozwoju, widoczne są i żadnego niepotrzebują objaśnienia. Z pewnym rodzajem zadowolenia i radości patrzyłem na nie; niejeden naród wyżéj posunięty w oświacie, od Szumli powinienby uczyć się jak radzić sobie, jak ścierać rdzę po kilkowiekowych kajdanach, jak niszczyć pleśń, jak zdzierać trąd, którym długa niewola ciało dotknąć musiała. W roku 1830, poczuli mieszkańcy Szumli potrzebę uczenia się, i w téj to epoce utworzyli sobie piérwszy fundusz na założenie szkoły. Hadżi Hojan w mieście powszechnie szanowany, wpadł wówczas na szczęśliwą myśl udania się do cechów rzemieślniczych, i te dobrowolnie pewną stałą wyznaczyły ofiarę, niezaliczoną od razu, ale uważającą się za ciężar wieczysty, od którego corocznie cech, stosownie do wysokości swojéj ofiary, opłaca procent. Procenta te dołączone do dochodów kościelnych, były do r. 1856 zasiłkiem szkolnym. Gdy w tym czasie duchowieństwo Greckie spostrzegło coraz wyraźniéj rysujące się narodowe dążności Bulgarów, prędzéj czy później upadkiem mu grożące, znalazło *słuszny pozór* obrócenia kościelnych dochodów na cel inny, przedstawiając potrzebę pobudowania nowéj cerkwi dla znacznie wzrosłéj ludności Chrześcijańskiéj w Szumli. Wybieg ten mógł zadać cios śmiertelny rozszerzającéj się instytucyi szkół Szumlańskich—i byłby dopiął niezawodnie swojego celu, gdyby troskliwi o nię ludzie nieumieli sobie zaradzić. Syn wyżéj wymienionego Hadżi Hojana, Hadżi Anastaz, wraz z Hadżi, Symeonem, Matio Raczowem i 32 innymi mieszkańcami Szumli zawiązali się w towarzystwo na lat 5, wnoszące wkładki różnéj wysokości nieniższe jednak od 250 piastrów, i utworzyli tym sposobem fundusz roczny przeszło 25,000 p. Z téj summy założonem zostało przed półtora rokiem w Sumli gimnazyum, pod nazwą Szumensko-Presławskiego, które obiecuje, jeśli jakie przeszkody nieprzewidziane niestaną, znaczny rozwój i ważny ciężar zdolny przeciągnąć zwycięztwo w sporze z Grekami na stronę Bulgarską.

Wykład nauk w gimnazyum podzielony jest na cztery klassy i obejmuje: Religiję, stary i nowy Bulgarski język, stary i nowy Grecki, Łaciński, Francuzki, Niemiecki i Turecki, historyę naturalną, powszechną geografiję i matematykę. Przy gimnazyum jest odział żeński z dwóch klass złożony, w których wykłada się: religija, języki: Bulgarski, nowo-Grecki i Francuzki, geografija, ary-

tmetyka, kaligrafija, i uczy się robotek ręcznych. Umysł dziewcząt Bulgarskich znalazłem więcéj sprężysty niżeli chłopców; na examinie zapytywane okazywały się od nich daleko przytomniejsze i śmielsze, i z wielu odpowiedzi można było wnosić, że rzecz, któréj się z xiążki wyuczyły na pamięć rozumieją,—co niezawsze spostrzegłem u chłopców nawet starszych.

Oprócz gimnazyum są jeszcze niższe szkółki męzkie, i żeńskie, gdzie uczą się czytać, pisać i nieco rachować,—w tych jak również i najniższéj klassie gimnazyalnéj, będącéj przygotowawczą, nauka wykłada się według *metody wzajemnego uczenia się*.

Szumla się stara wszelkiemi siłami dźwigać się umysłowo, i jeżeli daléj tak się rozwijać będzie jak poczęła, niezawodnie zostanie przewodniczą całego ruchu narodowego w Bulgaryi.— Stara się zapełniać luki, których jest niezmierna ilość do zapełnienia; rzuca się na pole literatury, i jak to zwykle dzieje się u początkujących, z dumą patrzy na niedojrzałe swoje próbki, gotowa wyzwać arcydzieła literatur Europejskich do zmierzenia się z swojemi; pobłażającém okiem na to patrzéć potrzeba, niezabijać dobrych chęci biczem nielitościwéj krytyki, a starać się raczéj podać rękę szlachetnemu dążeniu.

Powiadał mi jeden Francuz urzędnik z biura telegraficznego, że w czasie ostatniego karnawału, Bulgarzy w Szumli już *à la franca* bawić się poczęli, i nawet jednego wieczora grano komedyę świeżo napisaną oryginalnie w języku Bulgarskim, i zapewniał mnie, że dwóch czy trzech amatorów, ile nierozumiejąc rzeczy mógł osądzić, grało bardzo dobrze. W rolach kobiet występowali mężczyźni, bo jeszcze płci pięknéj niemożna do publicznego pojawienia się namówić, nietylko jako aktorki, ale nawet jako widza. Nadzwyczajnie żałuję że niemogłem widzieć tego scenicznego Bulgarskiego widowiska; autor granéj komedyi pan Sawa Dobropłodnyj ofiarował mi jeden jéj exemplarz, o treści i wartości téj dramatycznéj próbki w języku Bulgarskim powiem wam być może w przyszłym moim liście, jeśli znajdę swobodną chwilę od zatrudnień mojéj służby, która mi zbyt wiele wolnego czasu niezostawia.

Spostrzegłszy różne pojawy budzącego się życia, przystąpiłem do osób świațlejszych w Szumli i biorących udział w xiążkowych ćwiczeniach, z pewną nadzieją, że od nich cóś będę mógł się dowiedzieć ciekawszego dla Słowian, że upoluję jaką pieśń, jakie podanie—gdzie tam! i tu taki zawód jak wszędzie! Pokazywano mi tylko kilkadziesiąt czworobocznych marmurowych kawałków, składających kiedyś podłogę w jakiejś budowli, cerkwi lub zamku w Presławiu; pokazywano mi je jako rzecz nad-

Janin z bratniém wylaniem oddaje ostatnie usługi téj pokutującéj pamięci. Opowiedziawszy odważny żywot Souliego, przypomina jego dramy: *Romeo i Juliettę*, *Krystynę*, *Klodyldę* i t. d. a przypomina je tak wymównie, że wszystkie te zapomniane płody odżywają pod gorącém tchnieniem przyjaźni.

Kreśląc bijografiję Souliego, Janin choć bardzo nim zajęty, ma jednak czas zbaczać tu i owdzie i szkicować po drodze rozmaite poetyczne lub historyczne figury. W jednéj z takich wycieczek spotyka się z *Wilhelmem Meistrem* Goëthego, i wyśmiewa się z niego jak gamen Paryzki z niemodnego surduta. Ustęp ten razi w tak niepospolitéj xiążce. Prawda, że *Wilhelm* niejest arcydziełem— a skoro Goëthe nudzi, czyni to jak wszystko z zadziwiającą doskonałością, równie hojnie leje opijum jak nektar w swą złotą czarę— prawda, że nuda zadymia horyzont *Wilhelma*, ale na tém zamgloném niebie dwie gwiazdy świecą światłem nieśmiertelném: Filina, istny szatanek Szekspirowski wcielony w kobietę— i Mignon, tęskna nimfa uczucia uwieczniona genijalnem piórem Goëthego i idealnym pędzlem Scheffera. Te dwie figury powinny były wstrzymać krytyczny zapęd Janina; ale Fracuz tak szczęśliwy jak może szydzić z Niemca, że niepodobna żądać, żeby sobie téj uciechy odmówił.

Wzór swojéj Mignony Goëthe znalazł we Włoszech— na Weneckim bruku uszczkął ten poetyczny kwiatek. Raz przechodząc przez Piazzetta, obaczył tańcującą na linie dziewczynę, i uderzony jéj pięknością, zaraz w żłobionych jak kamee strofach, wyrył fantastyczną postać kuglarki; wierszyk ten zaczyna się temi słowy: „Jak ty mi jesteś wdzięczna, dzieweczko moja mała, jakby ręką sztuki ulepiona; jakeś zachwycająca, o! czarownico bezkostna, giętka jak na stawie trzcina. Stworzyła cię *harmoniju*, a *wolność* cię porusza. O! czyste dziecię, możesz śmiało w figlarnym tańcu nożki ku niebu wyrzucać— nasze ręce podniesione modlitwą mniéj są niewinne jak ty cała" i t. d. Fantastyczna dzieweczka, nakryta skrzydłem potężnéj wyobraźni Goëthego, z czasem wyrosła na nieśmiertelną Mignonę.

Ale wróćmy do dzieła Janina. Do najlepszych obrazów téj obrazowéj xiążki liczy się wizerunek przyjaciołki Byrona, lady Blessington. Nietylko piękny ale i uczący jest portret téj wielkiéj damy, któréj salon przez lat trzydzieści był najpiérwszym w Anglii — która napisała pięćdziesiąt tomów niepowalawszy atramentem arystokratycznych paluszków, a co większa, przeszła po ślizkich ścieżkach życia niezabryzgana w oczach Albijońskiéj pruderyi— i sto razy stargawszy formy, została niepokalana

w opinii arystokracyi Angielskiéj, która jak Rzym Westalki, karze złapane na *kryminalnéj konwersacyi* matki ordynatów. Zazwyczaj, jeżeli Angielka wysokiego rodu przekroczy przepisany regulamin, lub da się schwytać na jakiejś niekonwencyonalności— wnet zimny wiatr z salonowych świstawek póty na nię dmucha, aż ją wykorzeni z wyżyn, gdzie panowała, aż ją uniesie i zepchnie z Folkstonu w morze, które równie jak wyspa nieubłagane, niesie ją daléj i na kontynent rzuca.

Lady Blessington była jedynym wyjątkiem w téj regule— i dla tego głównie na uwagę zasługuje. Wachlarz którym umiała się zasłonić od burzy, wachlarz misternie przetykany bezczelnością, powabem, kokieteryą i rozumem, znalazł wybornego historyka w Janin'ie; wszystkie subtelne figle milady wchodzą w talent jego, i pod jego piórem nabierają znaczenia bardzo ważnéj nauki.

Daléj spotykamy portret Karola Nodier. Piękny to był charakter, wysoki umysł i złote serce tego uczonego poety, którego cały talent rozleciał się w błyszczących kawałkach, jak uderzony młotem dyament. Zacny autor *de la Fée aux Miettes*, całe życie strawił na szukaniu przedziwnych okruszyn erudycyi; widział je i łapał w xięgach, jak jaskółka łapie w powietrzu owady, i jak ona nimi się karmił. W salonie jego odbywały się walne posiedzenia romantyków; tam Wiktor Hugo czytał najpierwiéj swoje dramata; tam młodziuchny Musset usłyszał piérwsze poklaski— w biblijotece arsenału któréj Nodier był biblijotekarzem, kuła się broń umysłowa, która w trzydziestym roku całą Francyę wzburzyła.

Wszystko to Janin opisuje z talentem; wolimy atoli też same obrazy w *Pamiętnikach* Dumasa:— Dumas ten przedmiot traktuje szerzéj, i z większą miłością; mniéj tam może artyzmu, ale daleko więcéj serdeczności, która z pod pióra Dumasa tryska wysoko, ilekroć w sympatyczną strunę swéj duszy uderzy.

Ostatni tom *Literatury*, cały zajmują teatra. Widzimy tu najprzód galeryę znakomitych artystek: panią Malibran, ów genijusz muzyki spalony własnym ogniem; panią Sontag, co umarła ze śpiewu, jak słowik w legendzie; panią Smithson, tak powabną pod fantastyczną girlandą Ofelii; ulubioną Goëthego Eufrozynę, któréj życie także okwitło jak róża. Na wszystkie te groby kapłanek sztuki, Janin rzuca pachnące kwiaty wymowy— słowa jego jak nóty pogrzebnéj muzyki, wywołują te blade, wdzięczne widma, które kiedyś dzierżyły jedyne prawdziwe królestwo na ziemi: berło genijuszu i piękności.

Do tych elegij autor domięszał kilkanaście kart wesołéj iro-

nii wyszydzającéj zakulisowe światy. Nikt lepiéj od niego nie-zna okropnéj nędzy jaka pod tym szychem panuje— nikt zręczniéj nieodłącza kłamstwa i brzydoty, które jak ołów' i mosiądz do złota, z którego klejnot zrobiony, wchodzą w skład sztuki dramatycznéj. Rozdział: *la Débutante*, to istny poemat bohatersko-komiczny; rozdział: *Repetycya*, obrzydza dramat, jak widok kuchni odejmuje apetyt do obiadu.

Rachel niefiguruje w *Historyi literatury dramatycznéj*. Autor poświęcił jéj osobną xiążkę, illustrowaną wspaniale. Chciał uczcić wyżéj niż inne pamięć téj, którą „*son enfant trouvé*“ nazywa. Jakoż, on piérwszy poznał się na genijuszu Racheli, i jak perłę z morza wyłowił z Paryzkiego odmętu. Obaczywszy ją grającą w pustym teatrze 1838 roku, tak grę jéj zrozumiał i opisał, że we trzy dni potém, nieznana figurantka stała się chlubą Paryża.

Historyę Racheli Janin rozpoczyna od tego wieczoru. Bierze ją z kolebki jéj rodzącéj się sławy i przechodzi z nią całe życie. Xiążka ta napisana jest w tonie wysokim, zupełnie wolna od powszednich Lecomtowskich szczegółów. Autor jednoczy Rachelę z wzniosłemi typami, które uosabiała na scenie; zapatruje się na nię nie jak na kobietę, ale jak na żywą statuę wyobrażającą na przemiany Kamillę, Hermijonę, Roxanę, Fedrę, Atalije, Emiliję i Paulinę— studyuje tragedyę przez tragiczkę— komentuje starego Corneilla wedle jego młodéj wyrazicielki, i z nią razem odkopuje poetyczne skarby Racina. Tym sposobem, arcydzieła grupują się obok téj co była ich duszą, i jak białe posągi stoją na jéj grobie. Niemożna było wielkiéj artystce piękniejszego wystawić pomnika.

Znakomitą tę xiążkę ozdobioną dwunastą fotografijami przedstawiającemi Rachelę w rozmaitych rolach, uważam za arcydzieło Jules Janina i jako taką, uwadze waszéj polecam.

Pod tytułem *Histoire de mes idées*, wyszedł dziesiąty i ostatni tom *Dzieł kompletnych Quineta.* Opowiada tam pod jakiemi wrażeniami kształtowały się jego pojęcia. Jestto godna korona tego znakomitego profesora, historyka i poety, który najgłębiéj może ze wszystkich współcześnie żyjących rodaków orał niwę ojczystą. Nie tu miejsce na rozbiór tego śmiałego dzieła, które dotykając wszystkich politycznych i religijnych niedostateczności, powtarza ciągle co niegdyś autor wpajał w *Kolegijum Francuzkiém* w młodych swych słuchaczy.

„Nieopierajcie się na tém co inni zrobili, ale na tém co jest missyą waszą. Nietłómaczcie, twórzcie. Tchnijcie ducha na tę

glinę, którą wieki około kolebki waszéj nagromadziły, i znajdźcie samych siebie. Patrzcie w serca wasze i działajcie!“

Dziś w saméj Francyi nieznalazł się dość śmiały krytyk, coby jak należy to ważne dzieło komentował. Widać, że nie pora— czekajmy— niezginie ono— i będzie zrozumiane...

Uczony filolog i członek instytutu, Ernest Renan, wydał doskonały przekład *Xięgi Hijoba.* Znawcy mówią, że starożytny ten poemat nieznalazł dotąd wierniejszego tłómacza; ci zaś co go z Hebrajskim oryginałem niemogą porównać, podziwiają potęgę stylu i patryarchalny ton mowy, do któréj język Francuzki tak mało się nadaje. Przełamać tak wielkie trudności mógł tylko tak genijalny pisarz jak Renan, który łączy w sobie głęboką naukę z wysokiém poczuciem piękna.

Cóż powiedzieć więcéj o literaturze? Chyba to, że chwila obecna wcale jéj niesprzyja. Oczy i uszy wszystkich wyłącznie na horyzont polityczny zwrócone— stodoły karmi duchowéj prawie puste. Zasiewy dobrze się znaczą, ale jeszcze wszystko na pniu stoi. Obiecują drugi tom *Pamiętników* Guizota, przedostatni Thiersa, Pamiętniki xięcia Broglie;— ale to wszystko dotąd w stanie obietnicy pozostaje: autorowie się nieśpieszą, i poniekąd słusznie, bo dopóki trwa przesilenie polityczne, dopóki oczekiwanie w jakąbądź pewność się niezmieni, dopóty xiążka nikogo zająć niemoże, a publiczność czytać będzie same tylko depesze telegraficzne, korespondencye z Włoch i rozporządzenia Monitora.

LISTY O TURCYI.

II.

Z Szumli przez Ruszczuk udałem się do Tirnawy i ztąd poczynam mój opis do Ruszczuka, dokąd z robotami mojemi od wsi do wsi posuwałem się przez trzy tygodnie. Lubownicy krajobrazów mieliby czém album swoje zapełnić w okolicy Tirnawy. Samo miasto na wyniosłych skałach ma tak dziwne położenie, jakiego mi się dotąd nigdzie spotkać niezdarzyło. Rzeka Jantra przerzynając się między skalistemi górami tak się kręci, że w długości ćwierć mili tworzy siedm czy ośm znacznych półwysep, ze stromemi z głazów ścianami; otóż na czołach tych półwysep zbudowane jest miasto. Pięknych domów mało, a nawet ściśle rzecz biorąc niéma ich wcale, uliczki kręte, wązkie, mieszkania stłoczone do siebie — pełno kału i brudu, jak w każdém mieście tutejszém, ale całość z różnych wyniosłych punktów widziana jest piękna.

Wąwóz Jantry, którego spodem idzie droga z Ruszczuka, począwszy od Tirnawy do wsi Samoden pełen jest dzikich naturalnych piękności. Nagie dziwacznych kształtów boki skał wyglądają z zielonych gajów, winnic, z sadów; woń Tureckich bzów i fijołków tak jest silna, że się zdajesz być do kwiatarni przeniesionym. Szum wodospadów zmięszany ze śpiewami ptastwa, a szczególniéj pod wieczór, kiedy krocie słowików jeden drugiego prześpiewać pragnie, okolicy téj dodaje czarodziejskiego wdzięku. Lubownik flory, tu dopiéroby mógł zielnik swój zbogacić! znalazłby między Tirnawą a Samoden wiele rzadkich roślin, znalazłby prawie, wszystkie nasze krajowe i rozkoszowałby się szczególniéj nad tutejszemi liljowemi i storczykowemi, których tu prześliczne exemplarze napotykałem. Nam jednak te wszystkie piękności natury, prozaicznie wyrażając się, kością w gardle stanęły. Z robotami naszemi przedzierać się musieliśmy przez te czarodziejskie. Boże sady i siekierą

zdobywać przejście między cierniami, głogami stokroć oplecionemi dzikim winogradem i mnóztwem wijących się roślin. Tirnawa wzięła naźwisko swoje od cierni i lepiéj nazwaną być niemogła. Podanie ludowe mówi, że przed wieki tu między cierniami i skałami pobudował się jakiś pasterz, nikt niewiedział o jego tu bytności z trzodą, dopiéro po jego śmierci opuszczone rozpierzchłe kozy doprowadziły ludzi do jego mieszkania; później w tém miejscu, dla niedostępności jego założono miasto, które się z czasem stało najznakomitszym grodem Bulgaryi i jéj stolicą.

W Tirnawie, w któréj się najprzód obudziła reakcya przeciw duchowieństwu Tureckiemu, spodziewałem się znaleźć więcéj życia czysto-Słowiańskiego; lecz pomimo zbliżenia się do znakomitszych mieszkańców, niemogłem dopatrzyć spodziewanego rozwoju: Szumla pod tym względem stoi niesłychanie wyżéj od Tirnawy, która zaniedbywa się w kształceniu młodzieży i nosi na sobie nieznośne piętno kupieckie.

Zbytkowny przepych panuje w domach bogatszych Tirnawian; kobiety odziane w ciężkie jedwabne materye, dźwigają na sobie ogromne naszyjniki z wielkich Austryackich monet, perły pięknéj wody, drogie kamienie i brylanty, w braseletach. Na niejednéj głowie, szyi i rękach widziałem tych świecideł, za któremi Bulgarki przepadają, za kilka i kilkanaście tysięcy franków; przedmioty te zbytkowne, powód śmiertelnéj zazdrości i nieprzyjaźni między sąsiadkami, są miarą szczęścia kobiety.

Stosunków między domami Bulgarskiemi niéma prawie żadnych: mężczyźni bez kupieckiego lub innego naglącego interesu rzadko odwiedzają się wzajemnie, — widują się po mizernych kawiarniach lub chodzą do siebie do sklepów; w dnie wielkich świąt, jak Bożego Narodzenia, Wielkiéjnocy odbywają się tylko przez cały tydzień niejako urzędowe wizyty, po załatwieniu których, mieszkańcy niemają w domach częstych z sobą styczności. Pomimo tego rozdziału i niewychodzenia z domu chyba w niedzielę na ulicę i na przechadzkę za miasto, Bulgarki znają doskonale kronikę miejscową, wiedzą co się dzieje u którego ogniska, jednėm słowem są wybornemi łowcami ploteczek, i pod tym względem żadnéj siostrze, córce Ewy, niezawodnie przejść się niedadzą.

Wiele Bulgarek jest prawdziwie pięknych, cóż kiedy to są kołkowate piękności odziane bławatami! patrząc na nie wpadasz na myśl: jakby to były śliczne kobiety, gdyby się odziały w białą koszulę i wiejską kieckę. Niemasz nic śmieszniejszego nad wyjedwabioną Bulgarkę, dziką i płochliwą, jak

Alpejska koza, (lecz nietak lekką jak ona), podającą gościowi na tacy konfitury i szklankę wody; trzeba ją widzieć jak przy tém usługiwaniu stoi jak drewniana, i jak tę służbę od wieków przyjętą odbywszy sromając się (wyrażenie Bulgarskie) wynosi się z izby. W wielu już jednak miejscach widziałem panny, które odniosłszy tacę wracały zasiąść obok poważnéj swéj macierzy — niesłychana ta śmiałość dowodzi wielkiego już postępu, i naśladowania zwyczajów *à la franca*. Jeśli w takim domu jest piękna panienka, starajże się tak patrzeć na nię, abyś nic niewidział prócz twarzy, bo broń cię Boże zsuniesz się okiem w dół po za granicę brody, zobaczysz albo postać zgarbioną, któréj piersi gdzieś w tył uciekły, albo przeciwnie pałąkiem wygiętą naprzód, a na dobitek zobaczysz ręce, które niewiedząc gdzie się podziać, pobożnie skrzyżowane spoczywają na brzuchu.

Niezagaduj do tak siedzącéj piękności, bo ją możesz narazić na apoplexyę, wszystką krew' z całego ciała zapędziwszy do twarzy; jedne po zapytaniu uciekają po-prostu, inne śmielsze, zarumienione po uszy, bąkają niezrozumiałą odpowiedź, i wówczas serdecznie żałujesz, że się ten piękny buziak otworzył, i samém otworzeniem się zabił miłe wrażenie, jakie piękność każda sprawiać zwykła.

Wielkanoc, jak to wyżéj wspomniałem, jest epoką odwiedzin; w czasie tych świąt nierobi się, jak u nas święconego, gotuje się tylko ogromna ilość jaj najrozmaciéj ufarbowanych, któremi gościa słowami: „Chrystus zmartwychwstał!“ powitawszy, częstują. Odchodząc, dostaje każdy kilka jaj w podarku od gospodarstwa, — niegrzecznością, a nawet obrazą byłoby ich nieprzyjąć. Spotykający się na ulicach częstują się jajami wzajemnie, i wyprobowawszy ich moc na zębach robią o nię zakłady. Przy tych jajowych podarunkach dowcipna płeć piękna pomiędzy gotowane mięsza i surowe jaja, i wtedy prawdziwie serdeczna panuje radość, kiedy komu ten prezent roztłucze się w kieszeni, albo przy zakładowém uderzeniu dwóm osobom od razu rozleje się na ręce. Podobno jednego z moich towarzyszów spotkał w Tirnawie ten przypadek.

Wedle opowiadań większe niegdyś i okazalsze były po miastach i wsiach *dżumbusze*, to jest wesela i zabawy na Wielkanoc. Dzisiaj arystokracya miejska wylega za miasto, mężczyźni na koniach, kobiety piészo lub w arabach wołowych, a cały dżumbusz polega na przesadném wystrojeniu się. Ubiór dam jest bez żadnego gustu; suknia wązka, stan prawie pod pachami, na sukni krótki kaftaniczek podszyty jakiém drogiém futrem

u kobiety zamężnéj na głowie czepiec lub rodzaj czapki perłami naszywanéj, chustą jedwabną owiązanéj w około; panny chodzą z gołą głową, ale mają mnóztwo świecideł we włosach, około czoła i w warkoczach na tył spadających Mężczyżni ubierają się najczęściéj w spodnie niby to po-Europejsku uszyte, ale w ten sposób, żeby im pozwalały wygodnie siadać po-Turecku, w kurtkę stanowiącą kamizelkę i w długą do kostek szubę, najczęściéj jasno-kafowego lub perłowego koloru; biała pończocha wełniana, kalosze z lakierowanéj skóry na wysokich bardzo korkach i fez, stanowią resztę ubioru. Niektórzy chodzą jeszcze w szerokich Greckich szarawarach, ale te pomiędzy Bulgarami *lepszego tonu* już powoli znikać poczynają, ustępując miejsca toalecie Europejskiéj. Zauważałem, że po-Europejsku ubrany Bulgar zawsze się nadyma, co chwila patrzy na zegarek, lub bawi się z ogromnym złotym łańcuchem i wita się po-Francuzku, ale cała Francuzczyzna kończy się na skaleczoném *bon jour*.

W Tirnawie u Bulgarów, niemogłem się dobrać do żadnéj tradycyi — nic się zgoła niepozostało u mieszkańców, oprócz nazwiska góry, na któréj niegdyś stał wielki zamek królewski i miały być bogate cerkwie; góra ta stanowiąca kiedyś najgłówniejszą dzielnicę miasta, pokryta dziś szczątkami murów, nazywa się Trapcza. Powiadano mi, że znaleziono przed parą laty pod gruzami wnijście do cerkwi dobrze jeszcze zachowanéj, pokazywano mi jéj miejsce, ale podobno Turcy mieli natychmiast kazać zawalić tylko co odkryte wnijście i najsurowiéj zabronili wszelkiego poszukiwania. Temu niechce mi się wierzyć, prędzéj, że tchórzliwi z natury swojéj Bulgarzy przerazili się kilku prostych fanatyków Turków, którzy nienawidzą, ani nowych, ani starych pomników chrześcijańskich,— i poszukiwań zaniechano; ale aby władze miały brać udział w tym zakazie, jest nieprawdą. Bulgarzy ciekawsi niemają odwagi, a władza niema ciekawości i obojętną jest na starożytności, których nierozumie, owa więc podziemna cerkiew' poczyna już wypadać Bulgarom z pamięci i przechodzi zwolna do rzędu rzeczy, o których mówi się obojętnie i *podobno*.

Pomiędzy dwiema częściami miasta, na dwóch górach, jest wązkie skaliste przejście łączące je z sobą; w grzebieniu tym jest przerwa, na któréj mizerny drewniany mostek stoi. Gdym się jéj przypatrywał, towarzyszący mi Turek opowiadał, jak w czasie zdobycia Tirnawy, gdy jeszcze téj przerwy niebyło, w tém miejscu najzacieklej bronili się Bulgarzy; długo zwycięztwo się chwiało, aż dopiéro Kawak Baba, Turek od Ałłacha natchnio-

ny przyskoczył do skały i jedném cięciem kiłycza (szabli) wyrąbał ową przerwę i tamtędy przeszli zwycięzcy Osmanie. Pokazywał mi w dole cmentarz Turecki i owego cudotworczego siłacza kamień grobowy, na którym ma być zdarzenie to opisane. Przed kamieniem wisi lampka, którą w piątki pobożni Turcy zapalają. Oto jest jedyna legenda, którą znalazłem w Tirnawie i to nie pomiędzy Bulgarami.

Zrobiłem jednak dosyć miłą znajomość z doktorem Bazylim Beron, który kształcił się w Monachijum, długi czas był za granicą i dziś osiadły jest w Tirnawie; zatrudnia się on zbiorem pieśni Bulgarskich. Pokazywał mi dosyć znaczny ich zapas, po większéj części zebrany w okolicach Kotła (Kazan), ma zamiar przełożywszy je na Niemiecki język, wydać z textem oryginalnym. Czytał mi ze dwadzieścia z tych pieśni, parę z pomiędzy nich nosi piętno historyczne i sięga ostatnich czasów bytu Bulgaryi, — jedna napomyka o wyprawie na odsiecz Tirnawy, ale szczupły orszak zdradzony przez jednego Bulgara, oskoczony i wycięty został przez Turków. Inne pieśni zdają się być starsze, opiewają one rozboje i krwawe gody rozbojnicze; kilka piosenek miłośnych oryginalną uderzają formą, a wyrobioną. Chciałem niektóre z tych pieśni przepisać sobie, doktor zrazu okazał grzeczną gotowość skopijowania mi ich sam, ale zobaczyłem późniéj, że nieżyczy sobie abym je posiadał, i ta grzeczność była tylko wybiegiem, aby mi pieśni niedać w ręce. Jeśli pan Beron niedokona zamiaru drukowania zbioru swych pieśni, wzmianka ta moja o nim posłużyć może za wskazówkę poszukiwaczowi gdzie już cóśkolwiek znaleźć można.

W czasie mojéj bytności w Tirnawie jeden wieśniak wykopał parę funtów pieniędzy, które gubernator zabrał dawszy mu na wagę tyle dzisiejszéj monety srebrnéj i złotéj ile się w kociełku znajdowało. Z Europejskich pieniędzy była jedna sztuka Filipa II Hiszpańskiego i jedna Polska Zygmunta III, i te są najpóźniejsze; między monetami złotemi mają się znajdować bardzo rzadkie sztuki Arabskie i Tureckie. Podejrzewają Bulgarzy gubernatora, że numizmaty Bulgarskie schował, żeby ich nikt niewidział; — podejrzenie niczém nieuzasadnione, bo gubernator, ani nikt z Turków przy nim nieumie rozpoznać głosek nie Tureckich, skoro więc przyzwał Bulgara, aby mu przezytał *Giaurowskie* napisy, sądził niezawodnie, że one są Bulgarskie, a gdy ich Bulgar nieumiał odczytać, zadecydowawszy, że są to *Frenckie* dopiéro zawołał doktora Berona.

W Tirnawie przed ostatnią wojną mnóztwo znajdowało się starożytnych monet, dzisiaj już niespotkasz rzadkich, bo je An-

glicy wykupili zjechawszy tu umyślnie, chyba znalcźćby jeszcze co można we włosach jakiéj *mumicy* (panny) na wsi.

W wielu bardzo miejscach przy rozwalonych murowanych mostach, przy starożytnych kopcach i ruinach spostrzegałem pełno dziur, które wedle opowiadań miejscowych są śladami poszukiwania pieniędzy, widziano je bowiem tam palące się. Poszukiwania robią się w nocy, już dla tego, żeby Turcy biorący dziesięcinę od znalezionych rzeczy niedowiedzieli się o nich, już i dla tego, że pieniądze *w nocy prędzéj się dają wykopać*, czasem nawet *same wychodzą na wierzch*, ale jedna jest niedogodność, że ich szatan strzeże i broni. Wielu kopaczów nocnych złe duchy spędziły z pod miasta między Widyniem i Widbolem; pomimo tego zryty jest grunt naokoło arkad, wielkie wyważone kamienie przez najodważniejszych Bulgarów, którzy chcieli się spotkać z ognistym smokiem, i którzy gdyby tylko porozumieć się mogli z djabłem chętnieby mu duszę zaprzedali za kociełek *żeltic*, tak u nich miłość pieniędzy jest silna i wszelkie inne przeważa uczucia. Jeżeli częste doniesienia do władz o wykopanych skarbach są prawdziwe, to w istocie mnóztwo ich leży pod Bulgarską ziemią; w ostatnich czasach do Łom-Palanki nad Dunajem zjechał urzędnik gubernatona na śledztwo, które nic nieodkryło, a mieli tam wieśniacy wykopać znaczne, skarby: pieniądze w urnach, drogie kamienie, bogate złote ozdoby i naczynia.

Opuściłem Tirnawę po ośmiodniowym w niéj pobycie z wielką radością: nic bowiem niema nieznośniejszego nad pobyt w mieście, gdzie niéma gdzie pójść, a interesa z władzami niepozwalają niczém się zająć, drobiazgami mitrężąc i czas i umysł. Dom gubernatorski rządowy jest w najopłakańszym stanie, niemożna wyobrazić sobie rudery bardziéj obrzydliwéj, w różne strony wykoszlawionéj od starości, z papierowemi tu i ówdzie oknami. Jeżeli dodacie do tego koszary wojskowe również stare i zaśmiecone w jedném podwórzu; szczęk kajdan więźniów, krzykliwe gamony trąb wojskowéj uczącéj się muzyki i tarabanienie bębnów,— będziecie mieli wierny opis centralnego punktu miasta i zrozumiecie z jaką radością ucieka się z takiego miejsca na wieś.

Piérwsza wieś na drodze do Ruszczuka jest Samoden, ze dwieście osady mająca. Lud prawdziwie zamożny; po-swojemu na biedę skarżący się i stękający. W Samoden i kilku wsiach na około Tirnawy, kobiety noszą się zupełnie inaczéj niż w całéj Bulgaryi: na głowie mają wielką deskę owalnéj

formy obszytą chustami, z tyłu dwa rogi deski do góry są zadarte i dziwną a śmieszną nadają postać kobiecie. W Samoden jakkolwiek blizko miasta, lud dosyć gościnny, lubiący w karczmie podchmielić sobie i wesoły. Tu wdawszy się w pogawędkę, napotkałem nareszcie i legendę historyczną.

Król Jan Szyszman, (który mieszkał w Tirnawie i miał wiele, wiele kraju, był królem Bulgarskim; kiedy on jechał, to trzysta zawsze miał przed sobą junaków i trzysta za sobą. Był to car pobożny — ziemia za niego rodziła, jak dzisiaj nigdy nierodzi. Była ziemia Bulgarska i szczęśliwa i szeroka, a junacka, dopóki nieprzyszedł Turczyn, carskiéj stolicy nierozwalił i Bulgarów niewziął w niewolę. Kiedy Turczyn przyszedł, a przyszło go wiele, bardzo wiele, była bitwa w Tirnawie trzy dni i trzy noce. Turcy Bulgarów wysiekli, król Jan Szyszman pędzony przez Turków wpadł konno na Prepericę (ten sam skalisty przesmyk, w którym Turek przejście szablą wyrąbał), ale Turczyn zamknął już mu drogę z przodu; król więc Jan Szyszman przeżegnawszy się skoczył ze skały i z Bożego dopuszczenia, ani on ani koń nic sobie z tego niezrobił, i uciekł ku Marynopolowi (wioska o kwadrans drogi od Tirnawy, cel przechadzek jéj mieszkańców), a Pan Bóg mgłą go od Turczyna zasłonił. Na wszystkie strony rozbiegła się pogoń; król Jan Szyszman około monasteru św. Trójcy przebył Jantrę, w Samoden napił się wody, i od tego czasu zdrój z którego pił nazywa się *Carską Czeszmą*. Niedaleko zdroja dwóch ludzi siało bostan, król pobłogowił, robotników i rzekł im: „siejcie dzisiaj, jutro będziecie zbierali“ i szybko popędził na koniu. Zaledwie dwaj wieśniacy pokryli ziemią ziarna kawonów, aż oto liście wychodzą z ziemi, rosną a rosną, i oto kwitną, — ludzie padli na kolana cud ten widząc. Nazajutrz kawony już były dojrzałe i jak powiedział król Jan Szyszman, dwaj owi wieśniacy zbierać je przyszli. Kiedy kawony zbierają, aż oto przypada ćma Turków i pyta się ich, czy niewidzieli takiego, a takiego człowieka tędy jadącego lub idącego? Wieśniacy odpowiadają prawdę: widzieliśmy. Turczyn pyta kiedy? Wieśniacy znowu odpowiadają prawdę: „a to widzieliśmy go jadącego tędy, właśnie kiedyśmy ten bostan sieli.“ Turczyn pokiwał głową, popędził daléj, ale niewiedział w którą stronę i zmylił się, a król Szyszman nad Dunajem dopadł do jednego wielkiego miasta gdzie spotkał swoję żonę, a że się tam widzieli, to miasto zowie się Widyń. Gdzie z Widynia poszedł król Jan, tego nikt niewie, ale nic złego Pan Bóg nań niedopuścił, bo był pan wielce nabożny.

Wieś Samoden ma dosyć porządną obszerną cerkiew. Struktura wszystkich cerkwi jest jedna; jest to budynek czworościenny z dachem nizkim, pokrytym dachówką, ma postać wielkiéj naszéj szopy i odróżnia się, tylko od niéj oknami i malutkim na szczycie krzyżykiem. W niektórych okolicach, gdzie ludzie budują się w ziemi i cerkiew zapuszczona jest do połowy w ziemię — naokoło cerkwi jest zawsze wysoki parkan murowany.

Do cerkwi po wsiach i miastach lud i zimą i latem chodzi bardzo rano. Kościelny zwołuje wiernych tłukąc młotem w zawieszoną deskę zwaną klepadłem, lub w kawał żelaznéj sztaby, która wydaje głos dosyć do dzwonka podobny. W niektórych miastach, ale bardzo rzadko, są dzwony, inne mają je sprowadzone, ale pomimo pozwolenia, boją się ich zawieszać zagrożeni fanatykami Turkami. Jakkolwiek Bulgarzy wiecznie marzą o dzwonach, niezawieszą ich, gdy się tylko choć jeden Turek skrzywi na ten ich zamiar. W kilku wsiach katolickich nad Dunajem, widziałem kościoły z Europejską strukturą i z porządnemi dzwonami.

Przebywając po Bulgarskich miastach, zauważyłem, że zbieranie się Bulgarów na modlitwę, do cerkwi nosi na sobie cechę jakiegoś niby spisku. Kościelny z maleńką latarką raniutko przesuwa się ulicą i kilkakroć puka we drzwi, zrazu cicho i wolno, późniéj nieco prędzéj i głośniéj, i znika w ciemnościach, żeby znów gdzieś daléj zapukać. Pukanie to w czasie ciszy, kiedy całe miasto uśpione i żadnego najmniejszego w niém ruchu niesłychać, dziwne robi na umysł wrażenie, a przykre. Będąc na miejscu Turków zniósłbym stokroć raczéj najgłośniejsze dzwonienie, niż to pukanie, które wydaje się być posłem jakiegoś umówionego napadu, hasłem jakiejś krwawéj roraty, siostry nieszporów Sycylijskich.

W Samoden zbudził mnie raniutko mój gospodarz, i jako w dzień niedzielny zaprowadził mnie do cerkwi. Wnętrze jéj znalazłem czyste, na ścianie Carskich wrot, obrazy niegodziwego pendzla z pod ręki niby Częstochowskich bohomazów, ale w złoto i srebro pooprawiane. Lud tłumnie był zebrany; nikogo niewidziałem modlącego się z xiążki, ani nawet z pamięci powtarzającego modlitwę — widziałem, tylko gęste pokłony i rzęsiste żegnania się. Naprzeciw Carskich wrot jest chór, do którego wschody prowadzą z sieni i tam za drewnianemi ramami drobniutko zakratowanemi zbierają się kobiety, i nikt ich twarzy niewidzi — przychodzą do cerkwi już po mężczyznach i odchodzą przed nimi.

O pół godziny od Samoden po lewéj i prawéj stronie wąwozu Jantry są dwa porządne monastery, w których pomimo ciekawości być niemiałem czasu — klasztory te nieraz przez cudzoziemców zwiedzane, wątpię żeby posiadały co ważnego, a nieznanego.

Od Samoden kończy się grunt kamienisty; ostatnie góry, przed zejściem w dolinę ku Ruszczukowi stanowią pustki najeżone tak ostremi wielkości głowy cukru wapiennemi kamieniami, że chodzić pomiędzy niemi niepodobna, ze szczelów wyrastają krzewiny kolcowe i osty. Od Samoden poczyna się ziemia żyzna, któréj rozór ma czarną połyskującą się barwę axamitu. W ogóle w całéj Bulgaryi grunt, albo gliniasty, ilasty, albo najczęściéj czarnoziemny bardzo bogaty w próchnicę, jedyny pod uprawę rzepaków, których tu nikt jak żyje niewidział, a produkt ten zwłaszcza w okolicach przyległych Dunajowi mógłby być znacznym przedmiotem handlowym.

Wsie na całéj drodze do Ruszczuka są zamożne, mieszkańcy ich mniéj lub więcéj gościnni; — różnicy téj powodu w małéj odległości wsi jednéj od drugiéj wytłómaczyć sobie nieumiem.

We wsi Kocyn, gospodarz, u którego nocowałem miał dom obszerny, bardzo porządny, kilka par wołów, kosze zbożowe zboża pełne, w podwórzu liczne snuły się indyki i kury, gdziekolwiek bądź zwróciłeś oko, dobry byt wszędzie widocznie cię uderzał; jednakże w pogawędce nieprzestawał Bulgar narzekać na biedę i ucisk, i opowiadać popijając dobre wino z własnéj winnicy jak jest *opłoszony*. Ostatni przydomek, jaki sami Bulgarzy powszechnie dają sobie, jest wybornie ich malujący: *opłoszeni* są do tego stopnia, że znajdują się rzeczywiście niby w letargu trwogi i przerażenia, z którego nic dotąd zbudzić ich niezdołało i Bóg święty wie co rozbudzi! Czego u Bulgara dobrém słowém niepozyskasz (kto bowiem go prosi o co, po-ludzku doń zagadując, jest mniéj jeszcze wart niż on opłoszony), to robi Turkowi z takim pośpiechem i zwinnością i tak serdecznym uśmiechem, że zdaje się iż szczególniejszą ma doń sympatyę. Niezawodnie groza Turecka musiała do tego stopnia upodlenia doprowadzić — aleć ona dzisiaj ustała, tu i owdzie nadużycia zdarzające się są już karane, czego dawniéj niebyło — co dnia spostrzega się dotykalną odmianę na lepsze, a mogę o tém sumiennie sądzić od parę lat kraj przebiegając i wszystkiego ręką mą własną dotykając; — pomimo to opłoszenie Bulgarów się niezmniejsza ani na jotę, — gdybyś im nagle wygnał

z serca ściskający je strach Turka, znaleźliby się w położeniu przykrém i na miejsce starego strachu stworzyliby sobie innego.

Gdzie urzędnicy, a mianowicie mudirowie czyli naczelnicy powiatów są energiczni, tam szybko ustają nadużycia, chociaż złe od kilku wieków zakorzenione nietak zdaje się łatwém do usunięcia; — to dowodzi powolności Tureckiego charakteru, który zresztą nigdy przeciw wymierzonéj sprawiedliwości słusznie, niesarka mówiąc: „*dogru!*“ sprawiedliwie. Wiele złego trwa jeszcze i dla tego, że o niém władze do poszukiwania nieskwapliwe niewiedzą; pokrzywdzony bowiem opłoszony Bulgar niema śmiałości poskarżyć się. Zapytany dla czego nieuda się po sprawiedliwość do władzy, ze strachem słucha téj rady, kiwa głową, w końcu odpowiada: *ne biwa*, *joszte połoszo cze stane* (gorzèj jeszcze będzie). Gdzie Bulgarzy mieli odwagę zapukać o sprawiedliwość wyżéj, tam nawet Porta wysłała komisarzy, którzy energicznie wzięli się do dzieła i złe przecięli; jak np. rozboje w okolicach Dewny, w górach między Szumlą i Karnabad, w zaroślach między Tirnawą i Ruszczukiem. Dziś tam wojażować można spokojnie, chociaż rozbojnicy niezniknęli, bo tam prawie każdy Turek jest zbójcą jeśli mu to uchodzi bezkarnie.

Kilka tygodni w r. 1855 mieszkając we wsi Czałyk-Awak (w Bałkanach na południe od Szumli) miałem sposobność dowiedzenia się, że wszystkie wsie leśne Tureckie zaludnione są hajdukami, a szczególniéj jedna Kamczy-Mahale rozsypana pomiędzy skałami nad rzeczką Kamczykiem Szalonym. Niepotrzeba mieć pieniędzy, aby być zabitym; dosyć mieć na sobie tyle, żeby to zapłaciło za nabój. Rzecz niesłychana, a straszna! w okolicach Kamczy-Mahale, Jeni-Mahale zabijano ludzi na pewniaka, na przynętę!! Na wązkiéj drożynie zakryty skałą lub krzakami siada rozbojnik tak, że prawie lufę do piersi przyłożywszy wypalić może niebędąc widzianym; otoż siedząc w takiém miejscu rzuca na drogę chustkę, nóż, kapciuch z tytuniem i t. p.; jadący zatrzymuje się widząc cóś zgubionego na drodze, z siada z konia, — wówczas czatujący rozbojnik ma czas przypatrzywszy się czy jest strzelić do czego, wytrzymać dobrze lub osądziwszy, że podróżny niewart naboja prochu, wyjść z ukrycia i powiedzieć mu: niebierz, to moje!

Myśliłem, że aby ukrócić to straszne zło niéma innego sposobu, jak całe wsie przesiedlić gdzie daleko na płaszczyzny w okolice bezleśne i oddać pod najczujniejszy dozór policyjny; pokazało się, że gdy dwóch czy trzech schwytanych na uczynku powieszono, rozboje ustały zupełnie. Kiedy się w te strony udawa-

łem., mudir prosił, abym się w Szumli dni parę zatrzymał, mówiąc, że musi powydawać rozporządzenia, bez których mógłbym mieć trudności przy wykonaniu robót. Dowiedziałem się późniéj, że wysłał Buluk-Baszę naczelnika żandarmów, do owych wsi, zapowiadając im, że gdy mi włos z głowy spadnie wszyscy będą solidarnie odpowiedzialni i srogo karani. I w istocie, tak byłem przez Turków strzeżony, że mnie to aż gniewało; kroku ruszyć się niemogłem żebym w około siebie niemiał zbrojnego otoczenia. Nieraz, będąc zapalonym myśliwym, cichaczem wysunąłem się sam jeden ze wsi; zdawało mi się żem się pozbył moich duchów opiekuńczych, — gdzie tam! zaledwie zrobiłem jeden strzał, już jakby z pod ziemi wynurzały się zawoje, wyrzucano mi, że się tak sam śmiem w las zapuszczać. Gdy się śmiałem z tego, — „Nieśmiéj się!“ wołano. — „Alboż tu są rozbojnicy?“ — „Czy są? na kamieniu, przy kamieniu, za kamieniem pod kamieniem!“ Jeden Turek drugiemu niedowierzał i wszyscy mnie pilnowali, to mnie prawie do rozpaczy przyprowadzało, chyba na robotę wychodziłem z domu, a wtenczas w promieniu pięciuset kroków w lesie, jak siecią tyralijerów byłem otoczony zbrojną strażą. Dziś w tę okolicę najbardziéj opłoszony Bulgar w podróż puszcza się bezkarnie dziewięćkroć przeżegnawszy się i obiecawszy jakiemu świętemu piastrową świecę zapalić. Okolicę tę uspokoił Nuserat-Béj, Tanzymat-Bejem powszechnie nazywany.

Z mieszkańcami Czałyk-Awaku żyłem w bardzo dobréj harmonii. Liczne co dzień miałem odwiedziny, a gdy nadszedł Ramazan, niemając robotnika, odprawiałem go pospołu z Turkami. Po zachodzie słońca po krótkiéj modlitwie i jedzeniu, poczynali się do mnie schodzić goście — kładłem im przed ogniskiem wielką skórzaną torbę z kawą, kto chciał gotował ją sobie, i tak przy kawie do świtu nieraz szła pogawędka. Nazywano mnie Hodzia (nauczyciel), wypytywano się mnie o różne rzeczy i słuchano z ciekawością. Raz o mało co niestraciłem zupełnie kredytu. Jeden z gości zapytał mnie: którędy do Turcyi przybyłem? Gdym mu moję podróż morską opisywał, słuchał Turek, nagle mi przerwał i rzecze: „A dzikiego morskiego Araba czyś widział?“ — „Niewidziałem.“ — Turek pokiwał głową, popatrzył na mnie i szepnął do swego sąsiada: — „Kłamie, niemorzem ale przez Becz (Wiedeń) przyjechał.“ — Sąsiad należał do mędrszych ze wsi i już bywalców, i zapytał: „Czy jechałeś statkiem parowym?“ Gdym potwierdził, zrobił uwagę, że statek parowy płynie szybko, i w kilka godzin robi bardzo wiele drogi, łatwo więc być może, że to miejsce gdzie są dzikie mor-

skie Araby przebyłem w nocy. Tłómaczenie to uznano za słuszne i przestano mnie o kłamstwo podejrzewać.

Dziki Arab w powiastkach gminnych Tureckich wielką gra rolę i jest dwojaki, jeden lądowy, a drugi morski. Dzikiego Araba lądowego widziałem. W r. 1856 pojechawszy do Paryża, oprowadzałem Turka po jego osobliwościach; gdyśmy w ogrodzie botanicznym przyszli przed klatkę z małpami i gdy nagle orangutan wyskoczył, a na publiczność przez sieć drócianą sypnął garścią żwiru, Turek zawołał: „bu majmun deil, bu jaban Arab!“ to nie małpa, to dziki Arab.

Cztery tygodnie Ramazanu przebyte z Turkami w Czałyk-Awak zeszły mi dosyć szybko, nienudziły mnie ich codzienne odwiedziny, zawsze coś mieli mi do opowiedzenia, byli grzeczni, uprzejmi, i gdybym na pewne niewiedział o ich rzemiośle, nigdybym nieprzypuszczał że jest pomiędzy nimi jeden rozbojnik. Z wieśniakami Bulgarami, pomimo przymusu jaki sobie zadaję, kilku godzin z rzędu przesiedzieć niemogę, i gdyby nieta nadzieja, że się czegoś i od Bulgara dowiem, tak częstobym się do nich niezbliżał. Ogromna jest różnica między naturalnym rozsądkiem Bulgara i Turka, konieczna różnica wypływająca z samych stosunków: ten jest zdobywcą i panem, ten podbitym i sługą. Uważać i na to potrzeba, że Bulgar do zmyślania i hipokryzyi od dzieciństwa jako niewolnik przyuczony, tak doskonale gra rolę głupca, że niktby u niego śladu rozumu niepodejrzewał, gdy tymczasem ma on dosyć rozsądku i niejednego mędrka wyprowadzić umie w pole; wielu długo udając głupców głupieje na prawdę, ale najwięcéj jest głów, w których śpią umysłowe władze.

Popełniłbym niesprawiedliwość, gdybym mówiąc o rozbojach pisał tylko o Turkach, jak gdyby oni sami rozbijali; Chrześcijanie także, a szczególniéj Grecy łupią podróżnych; z zasadzek czyhają na kupców i odbierają im życie. W okolicach Bazarcyka w górach Rodope, około Trajańskiéj-Bramy, w górach Samakowskich, w paśmie Drogomanów, Bulgarzy są rozbojnikami w współce z Turkami, i tu są podlejsi od tych ostatnich, bo za pieniądze przedają się za szpiegów, donoszą kto z jakiemi pieniędzmi ma przechodzić, dają przytułek rozbojnikom, którzy po większéj części niesą miejscowi, ale na zarobek przychodzą z Albanii — przebrani za Turków. Bulgarzy są przewodnikami tych nieświadomych kraju gości. W roku zeszłym rozbito kilka band rozbojników, w każdéj nieobeszło się bez Bulgarów i to bogatych gospodarzy.

Pomiędzy wsią Polikraszcza, (któréj mieszkańcy Bulgarzy znani są z niegościnności i silnie rozwiniętego popędu do kradzieży), a wsią Kocyn, idąc z Tirnawy w lewo Ruszczuckiéj drogi, są dwie wsie: Eski-Nikiup i Jeni-Nikiup, gdzie znajdują się ruiny wielkiego miasta rozrzucone na przestrzeni kilku wiorst. Wiele tam jeszcze jest kamieni ze szczątkami napisów Greckich, i poszukiwania głębsze pod rozwalinami mogłyby doprowadzić do jakiego ciekawego a ważnego odkrycia. Złomy kolumn tu i ówdzie leżące, mają niektóre do dwóch metrów średnicy! Pozbawiony wszelkiéj pomocy xiążkowéj, niewiem imienia miasta, które niegdyś, sądząc po rozwalinach, świetne być musiało. Miejscowe podania nieprzechowały jego nazwiska; mieszkańcy Tirnawy, których się o nie pytałem, odpowiadali mi, że tam była stara Tirnawa; lud miejscowy, powiada, że to jest miasto, w którém car Konstantyn mieszkał. Bulgarzy wszystkie stare pomniki odnoszą do czasów Konstantyna. We wsi Kocyn opowiadał mi jeden gospodarz, że tam mieszkał król Bulgarski, który miał ogromne stada świń i te utrzymywał w Kocynie, a że się tu prosiły, czyli po-Bulgarsku *kociły*, wieś od tego nazwaną została Kocynem. Bulgarzy mieli jednego króla, który z pastucha świń, dostąpił godności królewskiéj; tym szczęśliwym ukoronowanym pastuchem był Łagan.

W tych okolicach w Dekli-Tasz, jest z surowych kamieni ustawiona piramida w blizkości rozwalin zamku na skalistém wzniesieniu; o piramidzie téj taka jest legenda:

Król Bulgarski w zamku swym mieszkający miał bardzo piękną córkę — jednego razu przybyło dwóch zamożnych panów i razem prosili króla o córkę w małżeństwo. Król niemogąc córki dać dwóm, a odmową niechcąc jednego z możnych panów narazić sobie, odpowiedział, że ten z nich będzie jego zięciem, który większéj dokaże sztuki. W obec ludu wyszli obaj panowie, jeden kopnął nogą w skałę i wielką jéj część w dół zepchnął — zdumiony lud wykrzyknął: to cud, to człowiek zesłany od Boga. Gdy przyszła kolej na drugiego pretendenta, ten zeszedł na dół, zgarnął ogromne kamienie zepchniętéj skały, dźwignął je i zaniósł na powrót na górę. Osądzono, że to jest większa sztuka, a wybrany przez króla na zięcia, na pamiątkę swojego zwycięztwa, z głazów przez siebie zniesionych ułożył piramidę, która do dnia dzisiejszego przetrwała.

W okolicy obu dwóch Nikiup, jest mnóztwo sypanych wielkich mogił; te rzadsze, ale wynioślejsze ciągną się w kierunku ku górnemu Monasterowi. Pytającemu co znaczą te kopce? lud

odpowiada, że je sypał Dżenwis; niektórzy wymawiają to nażwisko z małą różnicą: Dżenhis lub Dżanhis. (?)

Święta Wielkiejnocy odbyłem w Bieli, ogromnéj wsi Bulgarskiéj, która odznacza się porozrzucaném bez ładu mnóztwem zabudowań i bez liczby wielkiemi kupami gnoju. Niewidziałem jeszcze czystéj wsi w Bulgaryi, wyjąwszy jednéj Kara-Mussa między Bazarczykiem, a Trajańską-Bramą, gdzie podwórka schludnie pozamiatane, plecione koszowym sposobem płoty, kołki w nich pionowo zabite i jedną wszystkie mające wysokość.

W Bieli znalazłszy tylko co wybudowany han, t. j. karczmę i czysto w niéj wybieloną osóbną izbę, zakwaterowałem się w nią, rad, że uwolnię się od stania w chacie jakiego gospodarza, gdzie obecnością mięszałbym wielki *prazdnik* i sam narażony byłbym przez parę dni znosić pijane towarzystwo weselących się kmieci.

Bulgarzy surowo zachowują posty, a mają ich bardzo wiele; nietylko że niejedzą z mięsem, ale nawet z mlekiem, ani z oliwą. Całém ich pożywieniem jest placek w popiele pieczony. Turecki pieprz kwaszony z kapustą na-surowo i zupa z pokrzyw, nad wodami jedzą ślimaki. Pod post ten podciągnięte jest całe rodzeństwo, dwuletnich dzieci niewyjąwszy nawet. Te ostatnie pomimo postów, są zdrowe i chociaż opychają się ciężkim klajstrowatym plackiem, niewidziałem dotąd żadnego dziecka chudego, z wielkim brzuchem, na cieńkich w półobręcz wygiętych nóżkach, słowem, nieznają tu co jest *Angielska choroba*, którą dotkniętych bardzo wiele dzieci naszych wieśniaków, szczególniéj na Mazowszu widzieć można.

Po tak ścisłym poście, naturalnie wszystko co żyje rzuca się na mięso, a szczególniéj na świninę, za którą Bulgar przepada — hula i pije przynajmniéj przez tydzień. Przejście to z jednego do drugiego zupełnie odrębnego sposobu życia, u nas zawsze pociąga za sobą mnóztwo chorób, a szczególniéj febry, tu przejście to niema tego następstwa. Bulgar jak w poście, tak i po nim jest zdrów; choroby na Bulgaryi, są różnego rodzaju złośliwe reumatyzmy i febry pochodzące z nagłéj a częstéj w dniu jednym zmiany temperatury. Febrom podlegli są więcéj Turcy niż Bulgarzy. W Plewnie znalazłem doktora z Europejskiéj szkoły, który w czasie mojéj tam bytności miał 30 chorych, z tych dotkniętych było reumatyzmami 23, a siedmiu febrą.

Ledwiem się w Bielewskim hanie umieścił, wnet pojawił się stary Turek Bej, subaszy czyli wójt gminy, począł mi robić wymówki, że stanąłem w karczmie. Gdym powody objaśniał,

przerwał mi mówiąc, że je pojmuje bardzo dobrze; ale dla niego jest wstydem, żeby urzędnik Padyszacha i do tego Europejczyk niemieszkał u niego — tu wyliczał mi mnóztwo baszów, których podejmował u siebie i usilnie upraszał żebym się przeniósł do jego domu. Kazałem przynieść kawy i podać fajkę — bej przyjął fajkę, kawę odsunął i prosił o raky (o wódkę). Sądząc z twarzy czerwonéj, podpuchniętych oczu i fijoletowego nosa, poznałem, że ten lubownik gorzałki nieradby na jednym kieliszku poprzestał, kazałem więc przynieść całą jéj karafkę, raz piérwszy przepiłem do niego, a późniéj zostawiłem go samemu sobie. Zabawił u mnie pół godziny, i wysuszył do dna całą butelkę blizko półtoréj kwarty mającą. Pożegnał mnie, sprowadziłem go w podwórze wedle obyczajów etykiety, po wschodach zeszedł dosyć dobrze, ale na konia w żaden sposób siąść niemógł, i trzykroć na niego wsadzony zsunął się na ziemię; nareszcie zobaczył wóz wołowy przed hanem stojący, kazał się na niego położyć, i odwieźć do domu. Dowiedziałem się że przed przybyciem do mnie już jedną taką butelkę wypróżnił u siebie. Piszę wam o tym Turku dla tego, abyście powzięli wyobrażenie jak piją synowie proroka: gdy który z nich pije, to pije strasznie!

W listach moich jak widzicie, nietrzymam się żadnego porządku, gawędzę o tém co mi na myśl przyjdzie: mówiąc więc teraz o Turkach opowiem wam jedno zetknięcie się z nimi, abyście sami osądzili jakie jest z nimi możliwe pożycie. Zeszłego roku w sierpniu byłem w Zofli, gdzie na łące pod miastem stałem w namiocie. Zaproszony parę razy przez Turków na obiad, odwzajemniając się zaprosiłem ich do mego namiotu na podwieczórek, starałem się przyjąć ich jak mogłem najlepiéj wedle ich gustu. Podwieczórek wyprawiliśmy im suty z potraw Europejskich i Tureckich; w mieście był lód, znalazły się kurczęta, ogórki i śmietana i chociaż bez raków zrobiliśmy Litewski chłodnik, który tak smakował gościom, że przeciw zwyczajowi jedzenia mało z każdéj potrawy, zjedli go potężną misę; mieliśmy kuropatwy, przepiórki, kilka jarzyn, a na koniec niezbędny w Tureckiéj kuchni pilaw, to jest ryż na sypko i ciasto. Naturalnie nieprzepomnieliśmy o winie i o bajecznéj na kilku gości liczbie kwart wódki. Na rozpostartym dywanie pod drzewami na łące rozsiedli się nasi goście, i przez dwie godzin przed podwieczórkiem palili fajkę i popijali wódkę małemi czarkami, przegryzując ją drobnemi kawałkami owoców, arbuza, ogórków i marynowanego Tureckiego pieprzu; bez téj przedgrywki obiad niema u Turka dobrego imienia. Czterech Cyga-

nów przy brząkaniu rozstrojonych bałabajek przyśpiewywało dzikie Tureckie melodye, okraszając je co chwila wykrzyknikami *aman!* i przeciągłém: o-o-o-o-och! które im dłużéj, a bardziéj drżąco się ciągnie i gwałtowniejszym z głębi piersi urywa się przydechem, tém jest bardziéj mistrzowskie. Przy tém wódkowém posiedzeniu, będąc gospodarzem, zręcznie umiałem się wykręcić od kolejki i gdy się zmierzchać poczynało zasiedliśmy do naszego podwieczórku. Tylko do chłodniku mieliśmy jedno narzędzie wspólne giaurom Europy, to jest łyżkę, zresztą wszystko siedząc z podkurczonemi nogami przy niziutkim okrągłym stoliku, jedliśmy palcami. Każdą potrawę zakrapiano winem. Po deserze i kawie przy fajce, koniecznie wraca się do pogawędki i naturalnie do wódki; w czasie tego finału, chcąc go jak najprędzéj dobrze zakończyć, nalawszy sporą czarę wódki, w ręce, piérwszego lepszego z gości wypiłem zdrowie Padyszacha. Poczęto przeciw mierze protestować, ale że to było zdrowie cesarskie wypito z kolei z wykrzykiem: „bim jaszin!“ tysiąc lat! Był to też i ostatni wykrzyk. Podchmielone porządnie głowy tą szklanką dostały jak obuchem; gościom moim splątały się i języki i nogi — jedném słowem, jak to mówią u nas, w kij ich spoiłem. Służba, która po skończeniu jedzenia przez panów, zasiada do pozostałych potraw i swoją drogą niezapomina o napitku, podchmielona także, niewiele wiedziała o Bożym świecie: z latarkami do domu prowadząc pod ręce swoich panów, zamiast do niego, zachodziła w błota i rowy. Nazajutrz opowiadano w mieście jaka wyborna to była zabawa.

Około południa zjawił się jeden z gości i prosił nas serdecznie na obiad; pojąłem co się święci — idzie tu o zemszczenie się i spojenie mnie na odwrót; — bądź co bądź przyjąłem wyzwanie przemyśliwając jakim sposobem wybawić się od przygotowanéj mi łaźni. Znając kraj, i wiedząc że tu wiele pieniędzmi zrobić można, począłem nabierać otuchy, że z téj łaźni wyjdę zwycięzko.

Pod wieczór zebraliśmy się w naznaczonéj godzinie i znaleźliśmy już licznie zebranych gości, służbę po wielkiéj sali krzątającą się z cybuchami, kawą, kieliszkami i rozżarzonemi węglami, które zosóbna każdemu gościowi w szczypcach podawać się muszą. Sala oświecona łojówkami i wielkim o kilkunastu gałęziach świecznikiem na środku stojącym, pełna była kłębów dymu, który wybuchał ze dwudziestu gęb gości siedzących na sofach. W kącie sześciu Żydków Hiszpańskich, muzykantów z dwóma tamborynami i z przeraźliwemi jak Chińskie tam-tam talerzami, widać odpoczywało po kilku już odegranych

kocich symfonijach. Przed sofami ujrzałem na nizkich stoliczkach złowieszcze baterye *raky* pomiędzy różnemi przegryzkami. Gospodarz sam niepodawał kieliszków ani potrzebował pilnować gości, aby pili; co chwila tylko wołał na starszego swego czybukczego, który był podczaszym: „raky, szarab getir!" podaj wina i wódki. Od dwóch piérwszych kieliszków niemogłem się wymawiać i obronić się niemogłem — znalazłem jednak wnet sposobność zdybania czybukczego sam na sam w sieni, zawarłem z nim przymierze, które zapięczętowawszy pięciofrankówką, byłem pewny, że nic na biesiadzie oprócz wody pić niebędę i tak się stało w istocie. Picie i śpiewy przeciągnęły się aż do 11 godziny. Życia całemu towarzystwu dodawał stary bankier, Żyd Hiszpański, który i pił tęgo i mnóztwo umiał Tureckich pieśni. Strasznego szczęku muzykalnych narzędzi i krzyku śpiewaków bez przymusu znieść niemogąc, dałem kilkanaście piastrów muzyce, aby jeszcze głośniéj biła w bębny i talerze i ostatniego tchu dobywała z piersi, a sam począwszy także śpiewać starałem się ten straszny piekielny sextet głosem moim zagłuszyć. Afferim! afferim! brawo! krzyknięto ze sof — a ja tymczasem Żyda bankiera posadziłem obok siebie przy muzyce i co chwila dopominając się u przekupionego czybukczego o kieliszek, w kwadrans czasu podpoiłem sarafa (bankiera) doskonale. Nieprzepomniałem i o gospodarzu; ten w dobrym humorze ściskał mnie serdecznie i głośno wołał: oto człowiek porządny! i pije i śpiewa i co chcesz!

Muzyczne szarywary przerwało się nieco; koło północy dano jeść — było ze dwadzieścia potraw słodkich, pieprznych, kwaśnych, imbierowych, gwoździkowych i Bóg wie nie jakich, — te po półtoréj godzinie posiedzenia goście skończywszy umyli ręce, namydlili usta i zęby i popłókawszy je ciepłą wodą znowu gotowi byli do odnowienia dżiumbuszu (zabawy). W maleńkich filiżaneczkach gorzka kawa po jedzeniu, ustąpiła natychmiast miejsca czareczkom z wódką, które w parę godzin później gości aż do sieni wyprowadzały; ale nim to nastąpiło, w taki złoty humor wprowadziły biesiadników, że fesy z głów poleciały pod ściany i zawołano: tańczyć! tańczyć! Co żyło, wszystko związało się w jedno koło i przy muzyce do kozaka podobnéj, poczęło się sunąć wokół ze strasznem tupaniem zrywać koło, chwytać się pod boki, to oburącz za głowę i na miejscu jak wycięty kozak z papieru targany niciami wyskakiwać i machać rękami; to znowu splątać się i przyskakiwać do siebie z pieśniami i krzykiem: uha ha! uha ha! Wystawcie sobie taki balet w noc sierpniową i baletników przynajmniéj

w pięciu flanelach każdy! Pot lał się strumieniami z ogolonych i niegolonych głów; ilekroć wolnieć poczynały nogi, tyle razy chwytałem za ręce starego bankiera i krzyknąwszy: uha ha! na nowo podniecałem gasnącą ochotę; nareszcie do tego ją nastroiłem stopnia, że myśliłbyś że ci ludzie poszaleli, że chyba róg Oberona w piętę ich łechce. Żyd bankier porwał świecę i to wznosząc ją nad głowę, to pod nogę przekładając, wśród tańczącego koła rozpoczął szalone solo. Stary dom trząsł się jak galareta, podłoga uginała się jak kładka z długiéj pojedyńczéj deski; nagle zatrzeszczało nam pod nogami i dwóch tancerzów po kolana zapadło w przełamaną podłogę, reszta odskoczyła pod ściany, zatrzymała się i podobna była do szypiących parą buchających samowarów. Wysapawszy się nieco, towarzystwo dla ochłody poczęło pić jeszcze i pod ranek wynosić się do domów. Czybukczy wychodzącego na Ałłaha mnie zaklinał, abym się czasem przed effendim niewygadał, że mnie spajał wodą — święcie to mu przyrzekłem, i za dotrzymanie wierne przymierza nietak już częste w XIX wieku, dorzuciłem jeszcze parę piastrów, i zadowolnieni rozstaliśmy się. Oto macie wierny obraz obiadu Tureckiego zakończonego dżiumbuszem.

Powracam do Bieli. W noc z Wielkiéj soboty na niedzielę nagle zbudzony zostałem przeraźliwym jakimś krzykiem, z którego zdać sobie sprawy nieumiałem, nic bowiem podobnego w życiu mojém niesłyszałem. W pół minuty krzyk się powtórzył. Było to *Kikiriki* razem przed cerkwią wypadłe z tysiąca kilku set Bulgarskich piersi. Wkrótce nastąpiło i trzecie Kikiriki, któremu już wszystkie zbudzone koguty zawtórowały jakby na komendę pianiem, a osły rykiem. Dowiedziałem się, że w czasie czytania męki Chrystusowéj, gdy kapłan dójdzie do miejsca, kiedy się sprawdza przepowiednia Zbawiciela Piotrowi, że go się trzykroć zaprze nim kogut zapieje, wtedy lud w cerkwi i za nią zgromadzony wykrzykuje owe Kikiriki.

W Wielką niedzielę przed karczmą bardzo już rano poczęli się gromadzić Bulgarzy ubrani w czystą bieliznę, w białe samodziałowe spodnie i z tegoż samego sukna siermięgę na piersiach otwartą; jak i u nas wieśniacy nienoszą żadnéj chustki na szyi; koszula z grubego bawełnianego płótna doskonale wybielona, z wąziutkim kołnierzem spięta jest pod szyją; na piersiach brzegi koszuli oblamowane czerwono i wełną dzierzgane w kwiatki, roztwierają się szeroko; butów ani trzewików wieśniacy nienoszą, chodaki z bawoléj skóry zastępują ich miejsce. Z pod baraniéj czarnéj, okrągłéj czapki z tyłu wygląda spory

kosmyk włosow w warkoczyk spleciony; reszta głowy jest ogolona zupełnie. Zgromadzeni Bulgarzy przed karczmą, milcząc pozasiadali ławy w około, i poczęli pić wódkę, każdy sam, rzadko który drugiego częstował; ta milcząca na pojedynkę pijatyka, niemiłe na mnie zrobiła wrażenie. Ci, którzy dosyć już sobie w czub naleli odchodzili zataczając się do domu, inni przybywali zajmować ich miejsce. Tak ciągnęło się to *popłókanie postnéj pokrzywy* (da kopriwa-ta se opłacze) do samego wieczora, za nadejściem którego kobza (po-Bulgarsku gajda), piszczałka i bałabajka, na któréj strunach brząka się piórem, odzywać się poczęły; — piano po największéj części pieśni Tureckie.

Tak się zabawiali starsi gospodarze i ludzie żonaci. Młodź żeńska, około godziny dziewiątéj rano, pospołu z matkami i niewiastami zamężnemi z każdéj chałupy wyszedłszy, zasiadała przed nią na wysokiéj kupie gnoju. Nieruchome te grupy różnokolorowo upstrzyły wszystkie kopce mierzwy. Ciekawy wiedzieć co się tam dzieje, przeszedłem się po wsi: — w milczeniu czesano głowy, zaplatano warkocze i robiono polowanie w gęstwinie włosów. Chłopcy dorośli przechadzali się po ulicach, zatrzymując się przy studniach gdzie od czasu do czasu pojawiała się jaka dziewczyna — niebyło tam jednak zalecanek naszych parobczaków! zaledwie czasem zasłyszałeś: „kakoste rado?“ i lakoniczną odpowiedź: „zdrawo!“ Mówię chłopcy dorośli, bo rzadko gdzie można spotkać 19 albo nawet 18-letniego Bulgara nieżonatego; dziewczęta przeciwnie są *momami* (pannami) zwykle do dwudziestu kilku lat.

Po południu dopiéro przed mieszkaniem Subaszy (wójta) poczęto się zbierać gromadnie, i pomimo silnego wiatru tańczono do upadłego do samego wieczora. Ciężki taniec Bulgarów, żadnych zmian niemający, w którym tylko nogi, a nie dusza udział bierze, wydał mi się podobnym do roboty za pańszczyznę. Połowę koła tworzą mężczyźni, drugą dziewczęta; takie koło w którém płeć jest rozdzielona, tupając i pokrzykując sunie się, w pyle, lub błocie. Pośrodku zapocony skrzypek lub kobziarz gra i sam wyskakuje, — a jedyna niejakaś odmiana w tańcu jest parcie odśrodkowe mężczyzn w celu rozerwania koła, jak kto może wtedy trzyma się jeden drugiego, największą pomocą tu są szerokie wełniane pasy — po rozerwaniu koła taniec idzie swoją drogą gęsiego, a tymczasem skrajne ogniwa starają się pochwycić się i na nowo związać koło.

Ubiór dziewcząt jest bardzo prosty: długa biała koszula dosyć wązka, u spodu w trzy lub czfery szlaki czerwoną albo

niebieską wełną wyszywana; rękawy szerokie zapięte; kołnierzyk wązki, stojący pod szyją zawiązany — koszula na piersiach wyszywana w różne jak kto umie figury i kwiaty. Miejsce sukni a raczéj spodnicy zastępują dwa wełniane suto słałdowane fartuchy, z których jeden krótszy z tyłu, drugi dłuższy z przodu jest przywiązany. W wielkie święta, pończochy czerwono upstrzone, trzewiki, stanowią resztę ubioru. W czasie zimnym wkłada na siebie dziewczyna kożuszek z krótkiemi rękawami do łokci lub takąż białą do kolan siermiężkę. Na głowie dziewczęta noszą długą, szeroko zaplecioną sieć z grubych sznurów wełnianych ufarbowanych mniéj więcéj, tak jak kolor włosów; sieć ta szeroką taśmą opasuje czoło i spada z warkoczem na plecy, który w téj sieci sznurowéj stanowi główny nerw środkowy. Nieświadomy, zwłaszcza kiedy sznurki dobrze dobrane są do barwy włosów, może się łatwo pomylić i podziwiać nadzwyczajną ich bujność. Głowa oprócz tego ubiera się w kwiaty, których mnóztwo zatyka się nad czołem za ową taśmę od sieci na szyi, zawleka się podwójny lub potrójny sznur monet, do sztucznych warkoczy przyczepiają się także pieniądze, tak, że idąca dziewczyna dzwoni jak kajdaniarz. Strój ten głowy jest bardzo ciężki.

Z Bieli przez Górny i Dolny Monastér, przez Obretenik, i Trestanik i Basrabę udałem się do Ruszczuka. W górnym i dolnym Monasterze, wsiach Tureckich w piękném położeniu pomiędzy zaroślami, a w żyżnéj ziemi, która buntując się przeciw niedbałości ludzkiéj, sama z siebie wypycha najbujniejsze trawy i chwasty, znalazłem bardzo mało uprawnéj roli, i Turków ubogich. Mieszkania ich porządniejsze są i schludniejsze od Bulgarskich; — a że Turek w domu gdzie ma kobiety to jest w haremie nieprzyjmuje gości: oprócz więc domu mieszkalnego, w tych okolicach ma każdy porządnie wybudowaną stajnię, w któréj rogu poręczami od koni i bawołów odgrodzonym, na wyniesieniu łokciowém nad poziom stajni jest ognisko; tu się zaściełają rogożki, i tu Turek przyjmuje swojego gościa, nakarmi go, gawędzi z nim wieczorem i nocuje z nim razem, dorzucając drew na ogień, gdy poczyna gasnąć. W Monasterze górnym, gdzie mnie wielki deszcz złapał, u Turka tak dwa dni przepędziłem. Dał mi, co miał w domu: dzikich suszonych gruszek gotowanych, kwaszonéj kapusty, nieco sera, a drugi dzień postarał się i o kurę. Przy odjeżdném niechciał wziąć ode mnie żadnego wynagrodzenia, ledwie zniósł że dałem mały bakczysz (podarunek) jego dziewczynce. Wszędzie,

gdzie tylko zdarzyło mi się być we wsiach Tureckich, widziałem dziatwę zadziwiającéj piękności.

Milę drogi posunąwszy się ku Ruszczukowi od Obretenik już niéma żadnych zarośli, — nagi step — nad głową moją krążyły orły — z pod nóg co chwila pierzchały mi susły — daleko tu i ówdzie ogromne chmury dymu leżały na niebie, to wypalano stare trawy, których nieskoszono, lub niezdołano wypaść; oprócz orłów, susłów i dymu, nic więcéj niewidziałem. Wspomnę tylko o Basrabie, w któréj blizkości w skalistych brzegach rzeczki Łomu, jest piękna obszerna jaskinia; bez drabin niemożna się do niéj dostać. Tam wedle podania ludowego miał przebywać święty Dymitry. Po nim wędrowni xięża odbywali w tém miejscu nabożeństwa, szczególniéj w czasach piérwszych po zaborze Bulgaryi, i teraz jeszcze podobno raz czy dwa razy do roku czyta tu xiądz liturgiję.

DOMOWA ZAGRODA,

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE;

napisał

OCTAVE FEUILLET,

przełożył

JULJAN HORAIN.

OSOBY.

JERZY DUPUIS dawny notaryusz lat sześćdziesiąt, czoło łyse, ubior staroświecki.
PANI DUPUIS, jego żona, pięćdziesiąt pięć lat, mała tłusta, żywa, ubrana czarno.
TOMASZ ROUVIERE, sześćdziesiąt lat, stary elegant, broda w kształcie wachlarza, mówi głośno, trochę z fanfaronadą.
MARYANNA stara służąca.

Rzecz się dzieje na wsi, w Bretanii.

Teatr przedstawia salon służący razem za pokój jadalny. Umeblowanie w stylu Ludwika XV. Nad kanapą zegar z tejże epoki. Między dwóma oknami barometr. Kilka portretów przedstawiających osoby upudrowane. Na gzymsie kominkowym zegar w kształcie globusa; po bokach dwa wazony sztucznych kwiatów. Przytém dwie szafki oszklone z rozmaitemi osobliwościami bardzo wątpliwego smaku.
Wieczor zimowy; godzina szósta. Jerzy Dupuis, pani Dupuis i Rouvière siedzą przy stole, przed kominkiem, na którym pali się rzęsisty ogień. Maryanna wchodzi i wychodzi dla posługi. Spora biała kotka myszkuje około stołu.

SCENA PIÉRWSZA.

DUPUIS, PANI DUPUIS, ROUVIERE.

PANI DUPUIS.

Powiadam panu, panie Rouvière, sądziłam że on sfixował, — kompletnie sfixował... Precz Minetka!... Przeskakiwał po cztery wschody na raz, krzycząc: To Tom! to Tom Rouvière! To ten djabeł wcielony Tom!.. Przepraszam, panie Rouvière, ale to jego ulubione wyrażenie, pan wiesz? — A ja jak mogłam starałam się za nim zdążyć, powtarzając mu: że to być niemoże, że to chyba pan du Luc w swoim nowym koczu, ponieważ wiedziałam od pani Le Rendu, że pan du Luc obiadował dziś w Semonville; a ponieważ ile razy przejeżdża przez Saint-Sauveur, tak łaskaw, że nigdy nas nieomija, za tém miałam racyę myśleć...

DUPUIS.

Ależ, moja pani, czyż te szczegóły mogą obchodzić Rouvière'a? Tyleż on zna panią Le Rendu, co i pana du Luc, to jest, że nigdy o nich niesłyszał. Nieprawdaż?... Zresztą wiesz dobrze, że pan du Luc ma swoje konie i nigdy niejeździ pocztą; a zatém to niemógł być on.

PANI DUPUIS.

Cóż poradzisz, mój przyjacielu, cóś jakby mnie szeptało że to on.

DUPUIS.

Ależ dajmy nareszcie temu pokój, moja kochana!... Pilnuj swojéj kotki, która się ciągle uprzykrza Tomaszowi.

PANI DUPUIS.

Precz, Minetka! Co to jest mościa panno? nigdy niebyłaś tak uprzykrzoną.... Ale zgodzisz się sam, mój mężu, że daleko naturalniéj było spodziewać się pana du Luc naszego sąsiada, niż pana Rouvière, którego nieznałam i o którym więcéj niż od trzydziestu lat żadnéj niemieliśmy wiadomości... No, szczerze.... niech pan sam nas rozsądzi.

ROUVIERE (widocznie zniecierpliwiony).

Masz pani słuszność, dziesięćkroć sto tysięcy słuszność!..

ale, co to jest? jeżeli mię język i oczy niemylą, zdaje mi się, że kotlety pani są przyprószone chlebem!

PANI DUPUIS.

Niestety! i to ja sama kazałam Johasi je osypać?.. Zdało mi się, że tak będzie lepiéj.

ROUVIERE.

To jest herezya! to zbrodnia w sztuce kucharskiéj. Niesłyszałem, moja pani, aby gdziekolwiek podawano kotlety z osypką! chyba... Objechałem wzdłuż i w szerz świat cały, i dopiéro tu, w Saint-Sauveur-le-Vicomte spotkałem się z osypanemi bułką kotletami.

PANI DUPUIS

Prawdziwie jestem w rozpaczy, panie Rouvière! Ale niech pan zokosztuje tego karpia. Zwykle miewamy rybę raz w tydzień; ale ponieważ mój Jerzy bardzo lubi ryby, zrobiłam szczególną umowę z rybakiem z Portbail o dostarczanie mi ryb dwa razy w tydzień we środę i w piątek, a że dzięki Bogu dziś mamy środę...

DUPUIS.

Dosyć moja kochana! Wszystko to dobrze! Ale pytam proszę, czy takie drobnostki mogą zujmować Rouvière'a? Ot powiedz mi raczéj, gdzie byłeś o téj chwili przed tygodniem?

ROUVIERE.

Przed tygodniem, mój przyjacielu,... byłem w Dublinie.

DUPUIS.

W Dublinie, uważasz!... to wcielony djabeł ten Tom!

ROUVIERE.

Z Dublinu pojechałem do Londynu, z Londynu do Jersey, i oto nareszcie jestem tu.

DUPUIS.

I to w Jersey przyszła ci szczęśliwa myśl odwiedzić towarzysza twojéj młodości?

ROUVIERE.

Wczora rano, mój przyjacielu. W sali hotelowéj postrzegłem mappę Normandyi; oczekując śniadania zacząłem ją przeglądać. Zastanowiło mię nażwisko twojéj wsi, — Saint-Sauveur-le-Vicom-

te. Dobrze! rzekłem do siebie.... Saint-Sauver-le-Vicomte;... ależ to tam, jeżeli się niemylę, mieszkał niegdyś Jerzy Dupuis, mój przyjaciel Jerzy. Jeżeli jeszcze żyje!... wstąpmy do niego na obiad. (*Patrzy na stół jakby czego szukał*).

PANI DUPUIS (uprzedzająco).

Pan czegoś szukasz, panie Rouvière?

ROUVIERE.

Proszę niezważać, bardzo proszę... (*głośniéj*). Mary anno Wszak Maryanna na imie służącéj państwa? Maryanno, moja kochana, czy niemacie przypadkiem cytryny? Przydałaby się do tego karpia.

PANI DUPUIS (biegąc do bufetu).

Zaraz, zaraz! Oto jest.

ROUVIERE.

Przepraszam panią po tysiąckrotnie.

PANI DUPUIS.

Więc to już od trzydziestu lat pan ciągle podróżujesz, jak prawdziwy Żyd Tułacz.

ROUVIERE.

Zupełnie tak.

PANI DUPUIS.

Jabym tak żyć niemogła!

ROUVIERE.

Niewątpię; ale ja — widzi pani, jestem oryginał.

PANI DUPUIS.

Musiałeś pan, panie Rouvière, w ciągu swoich peregrynacyj zajadać niezwyczajne łakocie?

ROUVIERE (jedząc).

Niesłychane rzeczy! Ah! Maryanno, moja kochana, zbliż się trochâ... Sądząc z zapachu, który aż tu czuć się daje, muszą w kuchni palić kawę; w ogólności na prowincyi mają zwyczaj przepalać kawę i to jéj odejmuje najdelikatniejszy aromat. Idź więc prędzéj, Maryanno, i powiedz towarzyszce swojéj Johasi.... wszak jéj Johasia na imie?.. Otoż powiedz jéj wyraźnie, że kawa powinna być tylko podrumieniona, podrumieniona, słyszysz!

MARYANNA (wychodząc półgłosem).

Temu wszystko inaczéj się podoba niż drugim.

ROUVIERE.

Téj kuropatwie, moja droga pani, trafiło się właśnie to, o-com się lękał dla kawy: jest ona przepieczona, a raczéj u-pieczona zanadto gwałtownie. Szkoda, wielka szkoda, bo żwierzyna bardzo dobrego gatunku.

PANI DUPUIS (bardzo zmartwiona).

Wszystkie nieszczęścia na raz! Proszę pana o przebaczenie, panie Rouvière... pańskie przybycie było tak niespodziane... zbyt mało mieliśmy czasu dla przygotowania się... Daruj pan nam dni kilka, to postaramy się, że będziesz zupełnie zadowolony; przyrzekam to panu.

ROUVIERE.

Zanadto jesteś dobra, droga pani; ale dziś o dziewiątéj w wieczor, ani minutę później muszę ruszać daléj. (*po chwili*): Tak pani, mogę śmiało powiedzieć, że w ciągu moich podróży, jadłem rzeczy niesłychane. Naprzykład: zajadałem kuskusu pod namiotem Araba, — kurry — palące kurry nad brzegami Gangesu, — na wyspie Jawie jadłem obrzydliwego Tripanga — śledzia tamtejszego, — w Chinach sławne gniazda jaskółcze z ricinowym olejkiem...

PANI DUPUIS.

O nieba.

ROUVIERE.

W Panamie jadłem małpy pieczone... Słowem niéma na świecie pokarmu, któregobym niekosztował.

DUPUIS.

To wcielony djabeł ten Tom!

ROUVIERE.

Ależ za to jeżeli jest pod słońcem człowiek, któremuby każda potrawa była do gustu, śmiem powiedzieć, że to ja nim jestem... Indyanie Gór-Skalistych... ci dzicy obdarzeni są dziwną przenikliwością.... dali mi w swoim języku przezwisko, które znaczyło tłómacząc dosłównie: „żołądek dobrego humoru“... to jest zawsze zadowolony — łatwy do nasycenia — niewybredny.

DUPUIS.

To wcielony djabeł ten Tom!

PANI DUPUIS.

Może pozwolisz jeszcze jednego bekasa, panie Rouvière? Widzę z przyjemnością, że to panu do gustu.

ROUVIERE.

Tysiąckrotnie dziękuję pani. Tak, lubię bekasy, niezapieram się; ale niemogę ukryć, że oto te mają wielką wadę: oprócz tego, że są zaświeżo zabite, zapomniano jeszcze opieprzyć je zlekka, co jest niezbędném dla tego gatunku źwierzyny... Ah, ah! proszę mi wybaczyć moję ciekawość, ale wątpię aby w ciągu całego mojego życia cóś do tego stopnia mię zaintrygowało, jak oto ten półmisek, który tam stoi na rozgrzewaczu... Przez rany Boga żywego i wszystkich świętych, coby też to być mogło?

DUPUIS.

Ja to umyślnie dla ciebie Tom kazałem urządzić: jest, to makaron po-włosku.

ROUVIERE.

Makaron Włoski, to?

PANI DUPUIS.

Tak, panie Tom..., to dowód attencyi Jerzego... Przypomniał mi, że pan często przebywałeś we Włoszech... Posłałam więc co prędzéj do korzennego sklepu, gdzie na szczęście znaleziono jeszcze tę małą ilość makaronów, i, z pomocą *Kucharki oszczędnéj*, bo Johasia traciła z tém głowę, sprobowałam sama urządzić go po-włosku.

ROUVIERE.

Po-włosku! Ależ moja droga pani, to tak podobne do makaronu Włoskiego jak ja do wieloryba, to, — nigdy, nigdy! — Ale jednak, może to być dobre samo z siebie... Zobaczmy, skosztujmy.

DUPUIS (po chwili).

I cóż, mój przyjacielu?

ROUVIERE.

Mój przyjacielu, wolałbym gryźć dudy organowe! To do niczego niepodobne! To jakiś makaron kościany, stalowy... ja niewiem co to jest. Trzeba aresztować kupca, który wam to przedał!..

DUPUIS.

Maryanno, zmień prędko talerz panu Rouvière. Ah! mój przyjacielu, na jakże niegodziwy obiad trafiłeś?

ROUVIERE (zimno).

Żartujesz! Wino masz zresztą doskonałe.

PANI DUPUIS.

Ja... już niewiem jak się i tłómaczyć... Umrę ze wstydu... Panie Rouvière, pokosztuj pan przynajmniéj tych pierożków, proszę pana ledwo nie na klęczkach,

ROUVIERE.

Bardzo chętnie... tylko skończę z tym grochem marynowanym, który byłby przewyborny, gdyby nieprzesadzono masła. (*Słychać dzwon kościelny*).

PANI DUPUIS.

Jakto! już na *Anioł Pański!* (*wstaje*). Przepraszam, panie Rouvière... na chwilę zostawiam pana; ale wrócę przed odjazdem pańskim. (*bierze płaszczyk rozwieszony na fotelu*).

ROUVIERE.

Co! pani wychodzisz w taki czas! Toż będzie z pół-łokcia śniegu... czy pani to wiesz?

DUPUIS.

Moja żona ma zwyczaj codzień wychodzić do kościoła na *Anioł Pański*, bez względu na pogodę, zimą czy latem: jest to nałog pięćdziesięcio-letni; nic temu nieporadzisz.

ROUVIERE.

Bardzo pięknie... Spodziewam się, że pani jesteś zadowoloną ze swojego proboszcza?

PANI DUPUIS.

Ah! tak, to bardzo godny człowiek! No, zostań pan z nami choć na jedną dobę,... jutro będziem go mieli na obiedzie; zrobisz pan znajomość, któréj pewno niepożałujesz.

ROUVIERE.

Jest-to moje najgorętsze życzenie, ale chyba na inny raz.

PANI DUPUIS.

Jerzy, pomoż mi pana uprosić; — niezapomnij także przede-

wszystkiém że pan Rouvière przyrzekł mi zakosztować pierożków. Ah, panie Tom, zalecam panu także moje konfitury, sama je robiłam, i jest-to jedna z moich małych pretensyj... Do widzenia, drogi panie.

SCENA DRUGA.

Ciż sami prócz PANI DUPUIS.

ROUVIERE.

Do widzenia, pani, do widzenia. (*Pani Dupuis odchodzi*). No, zobaczmyż tych pierożków. — Twoja żona jest trochę dewotką, nieprawdaż?

DUPUIS.

Tak, trochę... Ale ta jéj dewocya nikomu niezawadza. Niewtrąca się nawet do mojego rachunku sumienia. Pij-że! Czemuż niepijesz? (*spuszczając oczy*) Powiedz: prawdę Tom: moja żona, wydała ci się parafijánką najwyższéj próby, czyż nie tak?

ROUVIERE.

Ale bynajmniéj.

DUPUIS.

No tak, tak. Cóż chcesz? Przez całe życie niewytknęła nosa z téj dziury!... A zresztą, twoje przybycie zawróciło jéj głowę. Niewiedziała co począć. Mleła biedaczka językiem, mięszając groch z kapustą: byłto różaniec z drobnostek powszedniego życia, od którego aż bolą uszy.

ROUVIERE.

Ale zupełnie nie.

DUPUIS.

Oh tak!.. Niezapieraj się... musiała cię rozdraźnić. Mnie także zdawało się, że robiła wszystko co było w jéj mocy, aby przedstawić ci się ze strony najniekorzystniejszéj. Tém więcéj mię to gniewało, gdyż ręczam cię, że ma ona i dobrą stronę.... Biedaczka!

ROUVIERE.

Ależ ja bynajmniéj o tém niewątpię. Pierożki robi doskonałe; sam skosztuj.

DUPUIS (gwałtownie do kotki).

Precz Minetka! Każę utopić tę niepoczciwą bestyę. (*do Maryanny, która w téj chwili wchodzi*): Wypędź tego kota; jeżeli powróci, wyrzucę go przez okno. Przynoś kawę i idź precz!

MARYANNA.

Chodź, moja biedna koteczko, ponieważ ci Paryżanie nielubią ciebie. (*pół-głosem, wychodząc*): Hm, nic mu się niepodoba, radby dom do góry nogami przewrócić, ten!..

ROUVIERE (bierze szczypce i poprawia w piecu nócąc).

„O bell' alma innamorata, o bell' alma innamorat!..“ Czy nie macie teatru w Saint-Sauveur?

DUPUIS.

Teatru?!.. wyborny jesteś! Mamy teatr w czasie jarmarku, raz do roku, w środopościu.

ROUVIERE.

Tego to już nadto! Cóż do licha robicie z waszemi wieczorami.

DUPUIS,

Ha! co robim? zimą gawędzim przy kominku, gramy w pikietę z żoną, albo w wista z sąsiadami.

ROUVIERE.

Gwałtu! I to jeszcze z proboszczem, przysiągłbym na to.

DUPUIS.

Niekiedy i z proboszczem. Latem polewam w ogrodzie... Czasem idziemy na spacer aż nad brzeg rzeki, albo do lasku, a z resztą zwykle wcześnie udajemy się na spoczynek.

ROUVIERE.

Hm! Wszystko to bardzo moralnie. (*Chwila milczenia, Maryanna zdejmuje ze stołu nakrycie, i wychodzi*).

DUPUIS.

Nareszcie jesteśmy sami. Niechże cię jeszcze raz uściskam mój drogi Tomaszu, mój stary towarzyszu! Ale pij-że; dla czegoż niepijesz? Pokosztuj i powiedz mi, jak ci się podoba ten likier. Za twoje zdrowie! — Czy wiesz, że to już trzydzieści pięć lat od czasu jakeśmy się widzieli po raz ostatni!

ROUVIERE.

Tak, do licha! trzydzieści pięć lat, może bez mała, od chwili jakeśmy się uściskali po raz ostatni w kantorze dyliżansów, — przy ulicy Montmartre — przysięgając wzajemnie wieczną przyjaźń i przyrzekając utrzymywać ciągłą korrespondencyę. W ciągu dwóch lat korrespondencya ustała, tak zwykle się dzieje;.. lecz przyjaźń tlała jak iskra pod popiołem... Doskonały masz likier.

DUPUIS.

Podoba ci się, brawo! Przyznaj, Tom, że jeszcze zdarzają się nam dobre chwile w życiu naszém?

ROUVIERE.

I mnież-to o tém mówisz, mój chłopcze?

DUPUIS.

Prawda! któż o tém wie lepiéj jeśli nie ty, Lowlasie? Ale powiedz mi, Tom, czy niepodpisałeś jakiego cyrografu z djabłem, Nic się niezmieniłeś! Pozostałeś młodym i pięknym.... „Byłem młody i piękny!" Przypominasz jak to deklamował Talma? Masz brodę i wąsy jak u lwa z pod stóp Atlasu... przypominasz Henryka IV?... Pij-że, mój przyjacielu.

ROUVIERE.

Poczciwy stary Jerzy! (*podpiera się na stole*). No! powiedz mi zkąd ci przyszła fatalna myśl zagrzebać się tak żywcem na wsi?

DUPUIS (poważnie).

Znajdujesz żem zardzewiał? Co?

ROUVIERE.

Nie, nie; ale zkąd ci przyszła ta myśl?

DUPUIS.

Tak, zardzewiałem, czuję to sam. Ach, mój przyjacielu! wieś, prowincya! to nie czcze słowo. Zasłużyła ona dobrze niepoczciwa, na swoję opiniję! Można ją przyrównać do tych źródeł mineralnych, w które zanurzasz żywą istotę, a po pewnym przeciągu czasu wyjmujesz skamieniałą... Zkąd mi przyszła myśl, pytasz? Eh, mój Boże! cóż-bo jest życie nasze, Tomaszu? Fatalne jakieś połączenie samych przypadków, które porywają nas w kolebce i podając sobie z rąk w ręce, ciągną aż do grobu... Oto rum, mój przyjacielu.

ROUVIERE.

Czy masz zwyczaj co wieczor zapijać wiejskie nudy, Jurasiu?

DUPUIS.

Nigdy, mój drogi. To tylko dla twojego towarzystwa.

ROUVIERE.

Bo, pomyślałem był... To rum, nieprawdaż? dobrze, kończ twoję Odysseję.

DUPUIS.

W Paryżu, jak wiesz, miałem piękną przyszłość przed sobą: miałem nabyć, pod bardzo korzystnemi warunkami, praktykę tego adwokata, przy którym pracowałem. Przybyłem tu z powodu interesów familijnych, mając zamiar zostać najdłużéj trzy miesiące.... Ale gdzie tam! jak raz wieś chwyci kogo za kołnierz, to już trzyma mocno.... „I chciwy Acheron niepuszcza swéj zdobyczy.“ Krótko mówiąc, pozwoliłem się ująć temu urokowi, dziwacznemu bez wątpienia, ale codziennemu, ale nieustannemu, prowincyonalnego życia; upajałem się, mimowiedzy, tym błahym dobrym bytem, spokojem, tą słodką monotoniją wiejskiego żywota: bez nieufności ku tym ułudom niedostrzeżonym prawie, postrzegłem się nareszcie ujętym i ściśnionym jakby żęlaznemi obręczami; było już wówczas zapóżno; — zostałem więźniem.

ROUVIERE.

Oh! oh! wyobrażam sobie, że pani Dupuis ma pewny udział w tém wszystkiém.

DUPUIS.

Mój przyjacielu, chcesz wierz, chcesz niewierz, a powiadam ci, że była prześliczną. Prócz tego miałem wówczas starą matkę, któréj najgorętszém było życzeniem, abym tu osiadł. Nareszcie ożeniłem się, w spadku po teściu dostałem urząd notaryusza, i rzecz skończona.—Sprobuj choć trochę tego kirsch'u.

ROUVIERE.

Zaraz. Ale, powiedz mi, przecięż przez trzydzieści pięć lat niesiedziałeś jak zamurowany w Saint-Sauveur? niemogę tego przypuścić. Podróżowałeś przynajmniéj po Francyi? Jeździłeś od czasu do czasu do Paryża?

DUPUIS.

Niemów mi o tém. Wszystkie moje podróże zredukowały się

do przechadzki po tym ogrodzie, a Paryża niewidziałem od czasu rozstania się naszego przy ulicy Montmartre

ROUVIERE.

Co u djabła!.. Przecięż niegdyś miałeś namiętność do podróży.

DUPUIS.

Eh! do licha! mam ją ciągle mój kochany; lecz co począć? Ożeniwszy się miałem zamiar po piętnastu latach sprzedać mój urząd i zebrawszy całą fortunkę przenieść się do Paryża; ztamtąd zrobić wycieczkę do gór Pirenejskich... Widzieć Pireneje! to była manija całego mojego życia... Aż tu po pięciu latach małżeństwa, przyszła nam na świat córka.

ROUVIERE.

Masz córkę, ty?

DUPUIS.

At, jestem już dziadkiem... Chcąc niechcąc trzeba było pozostać notaryuszem jeszcze przez lat dziesiątek, aby dać jaki taki posag naszemu dziecku. Po upływie i tego czasu... ha! byłem już stary... Zostałem więc w moim fotelu! Powiadam ci, że moje życie, to jeden ciąg samych fatalności. — Zrobim sobie pończyku, co?

ROUVIERE.

Zgoda na pończyk!.. Masz więc córkę? I dobrze zapewno wydałeś ją zamąż?

DUPUIS.

Dość dobrze. Wyszła za podprefekta.

ROUVIERE.

Tam! do licha!.. Za podprefekta!... Zawiele kładziesz cytryn.

DUPUIS.

Tak ci się zdaje?.. Ale, ale: objaśń mi jedną tajemnicę mój Tomaszu! jakim to sposobem, jakim cudem twój mały fundusik mógł wystarczyć przez półwieku prawie, na tę ciągłą włóczęgę po świecie?

ROUVIERE (ożywiając się).

Uważaj! Miałem dziesięć tysięcy liwrów dochodu z ziemi; zacząłem od tego, że ojcowiznę zamieniłem na kapitał czyli przeszedłem na rentę; to podwoiło mój dochód; potém oddałem wszystko towarzystwu ubezpieczeń na życie, warując sobie do-

żywotnią tylko pensyę, i to go potroiło. Wówczas zerwawszy wszystkie więzy krępujące zwyczajnych ludzi, bez rodziny, bez sukcesorów, obywatel całego świata — wolny jak ptaszek podniebem, rzuciłem się w przestrzeń bez granic!.. Za twoje zdrowie przyjacielu Jerzy. Hop! hop! Hurrah!

DUPUIS.

To istny djabeł ten Tom! Ot to energicznie! To szczytnie!

ROUVIERE

Poświęciłem młodość moję samym dalekim podróżom, zachowując na starość bliższe i mniéj niebezpieczne. Moja noga, oto ta sama noga, która dotyka twojéj na tym kobiercu, deptała ślady tygrysa i słonia na ziemi Indyjskiéj. Szedłem nieraz w ślad za temi strasznemi włóczęgami aż do ich kryjówek w lasy bambusowe, wysokie i majestatyczne jak nasze kościoły.

DUPUIS (z uwielbieniem).

Do kroćset! Ot, to mi życie!

ROUVIERE.

W dwa lata późniéj przybyłem do Kantonu. To była chwila! mój przyjacielu! Wyobraź sobie cudną noc letnią. Obchodzono właśnie wstąpienie na tron niebieskiego cesarza. Nasz bryg zaledwo mógł się przecisnąć w pośród łodzi i dżonk ustrojonych niezliczoną mnogością latarń. Tysiące różno-barwnych ogni, wespół z gwiazdami firmamentu odbijało się w zatoce, a w dali, na lądzie, jaśniały porcelanowe świątynie!

DUPUIS.

Co za czarowny widok! Szczęśliwy Tom!

ROUVIERE.

Z Chin popłynąłem do Ameryki. Podróżowałem tam lat kilka, przechodząc kolejno z północy na południe, ze stepów do miast kwitnących, z dzikich puszcz Kanady do uśmiechających się lasów Brezylii, pieszo, konno, a najczęściéj w pirogach. Najdłużéj przemieszkałem w Peru. Lima miała dla mnie niesłychany powab! Niemogłem wyrwać się z tego miasta! (*dyskretnie*): miałem w tém moje powody.

DUPUIS.

Ach zdrajca! ach bandyta!

ROUVIERE.

Prócz tego, stałem się tam namiętnym graczem. Niepotrafisz sobie wyobrazić Jurasiu, jaki urok wywiera stolik do gry w téj ojczyźnie gallionów. Zdaje się jakby na jego sukno strzęsiono dyamentowe owoce owych drzew cudownych, o których bają powieści Wschodu. Niezobaczysz tam, albo bardzo mało, zwyczajnéj monety; ale za to połysk płowy sztab miesza się z jaskrawym blaskiem blaszek złota, ogień dyamentów, ze światłem mleczném pereł. Wszystkie skarby wczora wydarte oceanowi lub ziemi, ścierają się z sobą, walczą w twojéj obecności. Noc tam przebyta, wyda ci się minutą. Wzrok twój, zmysły twoje ulegną jakiemuś urokowi. Od zachodu słońca do wschodu przejdziesz kilkakrotnie wszystkie koleje, od tronu Rotszylda, do barłogu Hijoba. W ciągu jednéj nocy można tam osiwieć, wyłysieć, zwarjować; ale też tam tylko poznasz, co to jest życie, co to jest namiętność, co to jest gra!?

DUPUIS.

Ah tak! bezwątpienia... A ja, co przez całe życie, w nic innego niegrałem, jak tego nędznego wista po groszu, albo w pikietę z żoną na fasole... Przekleństwo! Ale mów daléj... Elektryzujesz mię.

ROUVIERE.

Wszystko jak wiesz ma swój koniec. Któregoś dnia zrobiło się mi jakoś smutno, byłem niezadowolony, siadłem więc na statek Amerykański, który udawał się w okolice południowego bieguna dla połowu wielorybów. Tam, dotknąłem prawie ręką lodowatych kończyn naszego świata: widziałem owe morsy z obliczami podobnemi do ludzkich, wsparte na lodowiskach i zadumane jak sfinx Tebański. Wpośród tych otchłani milczących, których widok tak dalece jest obcym ziemskiemu życiu, doznałem wrażeń, niby z innego świata. Doznałem złudzeń, jakby pośmiertnych, nowéj jakiejś planety. Widziałem tam, jeżeli się niemylę, dni i noce takie, jakie być muszą na naszym bladym satellicie. Cóż ci więcéj powiem, mój przyjacielu? Po trzech latach podobnie spędzonych, znalazłem się w Rio-Janeiro; ztamtąd popłynąłem do Europy, zwiedziwszy w przód wszerz i wzdłuż całą kulę ziemską. Tak to przeszła moja młodość.

DUPUIS.

Niéma monarchy, któryby ci niepozazdrościł twojego życia! A odtąd, Tomaszu?

ROUVIERE.

Odtąd już niepodróżowałem. Wyjeżdżałem czasem na spacer, ot naprzykład na morze Sródziemne... Ba! zdawało mi się, że jestem na jednéj z sadzawek Tuilleryjskiego ogrodu! — Zwiedziłem też wszystkie jego brzegi. Mało po mału gdy wiek coraz bardziéj dawał się uczuć, zmniejszyłem krąg moich wycieczek; teraz mieszkam sobie w Europie; jeżdzę z miasta do miasta, z kraju do kraju powodując się tylko chwilowym kaprysem. Europa, mój drogi, do mnie należy, to moja własność, moje dziedzictwo. Wszystkie uroczystości, które w niéj wyprawiają ludzie, albo przyroda, to dla mnie. Dla mnie to Neapol ma swoję zatokę i Wezuwijusz — Paryż Bulwary i Raszelę — Madryt Prado i walki byków! Dla mnie urządzali wystawy powszechne w Paryżu i Londynie! *Evviva la libertà!...* Daj ponczu!

DUPUIS.

Tom! ty jesteś człowiek genijalny! Ale nic mi niemówisz o kobietach? A musiałeś, hultaju, widzieć cudne! W Rzymie, naprzykład! ten piękny typ Rzymski, te smagłe żniwiarki z *Agro Romano*?

ROUVIERE (niedbale).

Tak, tak; zwłaszcza Transtaweranki,

DUPUIS.

A w Azyi?... W Smyrnie?.. Wszak byłeś w Smyrnie? Te cudne dziewice Jońskie z cekinami we włosach... Wszak je widziałeś?..

ROUVIERE.

Już też; rozmawiałem nawet z niemi.

DUPUIS.

A pomniki, Tomaszu, pomniki? nic mi o nich niemówisz? Alhambra, Kolyseum, Parthenon?

ROUVIERE.

To twoi dobrzy znajomi, cóż ci mam o nich więcéj mówić? Wszędzie się o tém naczytasz, napatrzysz. Wszyscy to widzieli. (*Chwila milczenia*).

DUPUIS (uderzając gwałtownie w stół).

Przekleństwo! (*wstaje, kładzie ręce do kieszeń i chodzi wielkiemi krokami po pokoju*).

ROUVIERE.

Co cię, tam za tarantuła ukąsiła ?

DUPUIS.

Ach Tomaszu, Tomaszu! Płonę ze wstydu, kiedy przyrównam twoje życie, do tego na jakie ja byłem skazany. Wówczas, gdy każde uderzenie twojego serca, odpowiadało jakiemuś szlachetnemu wzruszeniu; moje, niby zegar kuchenny, oznaczało głupio tylko godziny śniadania lub obiadu. Bo nareszcie, czyż ja żyłem ? Gdzie tam ! Urodziłem się, ożenili mię i umrę; a w tym czasie spałem i jadłem. Oto wszystko. I dla tego przed czasem zagasłem, zmumijałem, i w szeregu istot żyjących zniżyłem się do kretynów alpejskich, do żółwiow, do mollusków !

ROUVIERE.

No, no! już zabardzo się poniżasz. Jeżeli nieposiadasz więcéj téj żywości wyobraźni, tego dowcipu, któreś miał niegdyś....

DUPUIS.

Ach, przyznajesz nakoniec, żeś mię znalazł zardzewiałym!

ROUVIERE (zapala sygaro, staje przed kominkiem i poprawia wąsy).

Słuchaj, Jerzy, ja jestem człowiek szczery. Wiesz, że byłem zawsze takim. Wrażenie, któregom doznał przestąpiwszy próg twojego domu, było boleśne; obwiała mię tu jakaś atmosfera grobowa. Zdało mi się, żem wszedł do jednego z tych mieszkań przeszłowiecznych, które cierpliwość archeologa wydobyła na jaw. Nim ci oznajmili o mojém przybyciu, przeglądałem z jakąś ogłupiałą ciekawością te meble, te obrazy, te obicia, które z całą swoją martwą czystością powinnyby raczéj być umieszczone w jakiémś muzeum, nie zaś w domu zamieszkanym przez ludzi; przypomniałem sobie wówczas twój dowcip, którym się niegdyś odznaczałeś, twoję elegancyę, twój gust do sztuk pięknych, i w żaden sposób niemogłem pogodzić wyobrażenia, jakie mi o tobie zostało z tą mizerną exystencyą, o jakiéj wszystko co tu widzę zaświadcza. Wszedłeś wówczas; ujrzałem cię. Przemówiłeś do mnie. Może moje oczy, może mię moje zmysły myliły? Niewiem ... ale twoja mowa mię zdziwiła! twoje czoło nawet wydało mi się ściśnionėm... Otarłem skrycie łzę, — i rzekłem w duchu mimowolnie, jak gdybym stał przed twoim grobem: Oto wszystko, co zostało na ziemi po moim przyjacielu!... Nieobrażam ciebie, mój Jerzy ?

DUPUIS.

Nie, Tom, nie. Miałem zresztą poczucie mojego upadku; domyślałem się tego przynajmniéj. I to było do niezniesienia: wolę już pewność.

ROUVIERE.

Mówmy o czém innéem, mój przyjacielu. Zrzekłeś się swojego urzędu? I co zamyślasz teraz robić?

DUPUIS.

Cóż chcesz abym robił? Będę pomału dogasał.

ROUVIERE.

Eh, do kroćset! Zmartwychwstań raczéj! — Pomówmy rozważnie, mój Jerzy. Żeniąc się, stworzyłeś sobie obowiązki, którym już w zupełności uczyniłeś zadość: bardzo pięknie! Ale dziś, gdy twój byt, przyszłość twojéj żony, los twojéj córki, są zapewnione,... cóż może ci przeszkodzić pogrążyć się na jakich parę lat w bieżący wiek i odżywić w tém źródle twoje zdolności? Wiesz w jak cudowny sposób podróżuje się teraz: w ciągu dwóch lat, ręczam cię, możesz przebiedz całą Europę i dotknąć Azyi. Na widok rozlicznych cudów przyrody i sztuki, odzyszczesz dawną świeżość i ruchliwość twoich myśli... Uśpisz ten żal za lepszą przeszłością, który ci gryzie serce i skraca dni żywota! W dwa lata niewięcéj. A teraz, jeśli już koniecznie przenosisz samobójstwo moralne, masz wolną wolę!

DUPUIS.

Eh! mój kochany, do czegożby to było podobne, abym teraz, w moim wieku, wybierał się na wojaż? Miałbym minę studenta uciekającego samotnie ze szkoły.

ROUVIERE.

A któż ci powiada, abyś miał podróżować samotnie? A od czegoż ja jestem? Bierz i rozporządzaj jak chcesz mojém doświadczeniem, moim powozem, moim służącym, — a nareszcie wszystkiém co posiadam.

DUPUIS (zbliżając się).

Jak-to! Tom, doprawdy? będziesz mi wszędzie towarzyszył?

(Chodzą jeden obok drugiego po salonie).

ROUVIERE.

Ależ będę cię prowadził wszędzie ledwie nie za rękę, mój

chłopcze ! Uwolnię cię od przewodników, cziczeronów i wszelkiéj szarańczy napadającéj turystów. Niedziękuj, to mię zachwyca. Twoje wrażenia ożywią moje. A zresztą, czyż to nie pięknie, mój Jerzy, zakończyć naszą ziemską pielgrzymkę tak, jakeśmy ją zaczęli, jednocząc przygody, rozkosze, aż do wydatków. No, cóż, zgoda ?

DUPUIS.

Przyznam ci się, mój drogi, że nigdy żaden projekt niemiał dla mnie tyle powabu; ale...

ROUVIERE.

Żadnego ale, rzecz skończona ! Ostatek zimy przepędzim w Paryżu. Abyś się nienudził, będziesz zwiedzał muzea, spektakle... poprowadzę cię za kulisy... posłyszysz Alboni, Kruwelli... wszak niegdyś lubiłeś muzykę.

DUPUIS.

I zawsze lubię ! Nawet dotąd jeszcze grywam na flecie.

ROUVIERE.

To i flet z sobą zabierzesz !.. Cóż-to ja mówiłem ? Aha! zimę w Paryżu, — to już postanowiono ; ale z piérwszemi promieniami wiosny, jeśli zechcesz przyjąć moję radę, przeskoczym Pireneje ; przepędzim trzy miesiące na półwyspie... skorzystamy z lata dla zwiedzenia stolic Niemieckich... i potém na jesień, przez Tryest i Wenecyę ruszym do Włoch... Cóż mówisz o tym planie ?

DUPUIS (zatrzymując się).

Co mówię ?... (*z postanowieniem*) mówię, że on mi otwiera niebo ! ... Daj sygaro ! mówię, że masz słuszność ; — dość długo żyłem dla drugich... dość poświęcenia zrobiłem dla obowiązków! Eh ! do krocset ! mamy obowiązki i względem siebie samych. (*puszcza ogromne kłęby dymu*). Potrzeba zdać także rachunek Opatrzności i z darów, któremi nas obdarzyła ! Pojętność — wyobraźnia — poczucie piękna, — są to dary, których niegodzi się zaniedbywać. To wstyd, to zbrodnia właściwa tylko dzikim, zagaszać ten święty ogień pod popiołem!

ROUVIERE.

Tak, dobrze, bravo ! Teraz poznaję cię, mój Jerzy ! Ale kujmy żelazo dopóki gorące... (*woła*) Maryanno ! hola !

DUPUIS (zniżając raptownie głos).

Pst! pst! Co chcesz od niéj?

ROUVIERE.

Chcę ją uprzedzić o twoim odjeździe, chcę ażeby ci przygotowała jaki tłómok na drogę... Maryanno!

DUPUIS.

Pst! pst!.. Jakto, mój przyjacielu? czy mamy dziś i wyjeżdżać?

ROUVIERE.

O godzinie dziewiątéj... Zamówiłem konie na dziewiątą, wiesz o tém.

DUPUIS.

Tak, tak, wiem... ależ to noc szkaradna... chłodno jak na Syberyi. Zdaje mi się, moglibyśmy zaczekać przynajmniéj do jutra rano.

ROUVIERE.

Słuchaj! jeżeli masz zwyczaj chuchać w palce i lękasz się przepędzić noc w powozie, to nasuń szlafmycę na obie uszy i niewspominaj mi więcéj o podróżach!

DUPUIS.

Mój przyjacielu, nielękam się niczego i nikogo; ale przyznam ci się, że ten wielki pośpiech wprawia mię trochę w kłopot. Liczyłem na jakie parę dni dla obejrzenia się, dla zrobienia przygotowań.

ROUVIERE.

Jakich przygotowań? potrzeba ci tylko tłómok i trochę bielizny; masz na to godzinę czasu, to dosyć. Jeśli niemasz pieniędzy, to ja mam. No, nie dzieciń się, Jurasiu; jeśli odłożysz twój wyjazd na dwa lub trzy dni, to jasno jak słońce, że niepojedziesz. Niepotrzebuję ci wymieniać jakie wpływy, jakie przeszkody osłabią twoję odwagę i zrujnują zamiar. Cokolwiek bądź, w podobnych razach trzeba od razu rozciąć węzeł, albo zaniechać zamiaru...

DUPUIS (po namyśle).

Masz słuszność... Daj rękę, Rouvière; jestem twój!

ROUVIERE (woła).

Mar...

DUPUIS.

Nie, niewołaj Maryanny... nietrzeba. Wiem sam lepiéj co mi potrzebne do drogi. Sam spakuję walizę, jak tylko moja żona powróci. (*patrzy na zegar*): Osma godzina... tylko co jéj niewidać... Eh! co tam! to jedna chwila do przebycia; jeden smutny moment, to prawda... Ale koniec końców mam słuszność za sobą... a zresztą jeśli moja czara jest pełną słodkiego napoju, mam-że się jéj wyrzec dla tego, że jéj brzegi mają trochę goryczy?... Ah! Tom, co za przyszłość! co za widoki! Pireneje! Grenada, Wenecya, Neapol!.. to moje marzenia!.. Pięć minut po piątéj... Ah! dałbym dwadzieścia pięć luidorów, żeby być starszym o godzinę... Mój Boże! choćby o kwadrans tylko... Wiem, że to słabość, ale...

ROUVIERE.

Co tam! Chcesz abym ja oznajmił o tém twojéj żonie?

DUPUIS.

Prawdziwie Tom, byłaby to wielka przysługa.

ROUVIERE.

Więc dobrze! Idź pakować tłómok.

DUPUIS.

Niesądź jednak abym się lękał jakiéj gwałtownéj sceny; toby było robić krzywdę jéj charakterowi.

ROUVIERE.

Wkrótce się przekonam.

DUPUIS.

Powiedz jéj nadewszystko, że ja proszę, aby zachowała spokojność. Rozczulenia tylko mię zmartwią, a na nic się nieprzydadzą.

ROUVIERE.

Powiem, powiem. No! tłómok.

DUPUIS.

Biegę. (*Wracając*) Mój przyjacielu powiesz jéj to wszystko łagodnie, nieprawdaż?

ROUVIERE.

Bądz spokojny. Ależ i ty niecofnij się, kiedy już ja raz naprzód wystąpię.

DUPUIS.

Fe! uciekać z pola bitwy. Znasz mię przecię, Tom!

ROUVIERE.

Bo, w takim razie rola moja byłaby niesłychanie głupią, rozumiesz?

DUPUIS (solennie).

Tomaszu Rouvière, mam zaszczyt upewnić cię, że moje postanowienie jest niezmienne, że dzisiejszego wieczora o godzinie dziewiątéj, żywy lub umarły, jadę z tobą. Jeśli ci trzeba na to mojego słowa, masz je... Czyś kontent?

ROUVIERE (biorąc go za barki i popychając).

Idż układać tłómok! (*Dupuis wychodzi.*).

SCENA TRZECIA.

ROUVIERE sam (zacierając ręce).

Ah! ah! Teraz rzecz między nami, moja kochana pani Dupuis!.. Zapewno, główny mój cel w całéj téj sprawie jest zrobić przysługę Jerzemu, — ożywić go; ale dalibóg nieobojętną jest dla mnie i rozkosz, uderzyć jak gromem w spokój i pogodę téj śmiesznéj matrony. Oto kobieta, która wywraca cały mój systemat moralno-filozoficzny... Niejestem Turek.. wierzyłem dotąd bardzo po-chrześcijańsku, że wielożeństwo jest zbrodnią wartą szubienicy... Ale teraz... na honor, uważam za niepodobieństwo, aby człowiek przyzwoity, dobrze wychowany, mógł być skazanym na wieczne towarzystwo z osobą równie wstrętną, jak ta stara wiejska patelnia! — Wprzód nim ujrzałem tę kobietę, pojąłem ją, osądziłem i znienawidziałem! Tak, odgadłem ją był całkowicie, od berlaczy futrzanych aż do jéj czepka wyglądającego jak komin. W porządku tego nędznego świata, z drobnych na pozór okoliczności można odgadnąć i ocenić człowieka. — Odgadłem ją więc z téj głupiéj symetryi z jaką rozstawiła meble, że aż chce się poziewać patrząc tylko na nie; z metodyczności, którą oddycha wnętrze tego prezbiteryum... Wszystko co tu widzę, aż do barometru zbrukanego od jéj ciągle powtarzającego się zaglądania; aż do tych głupich osobliwości, do tego kolibra wypchanego, do tego kałamarza z konch, ta szklanka ze rżniętego kryształu, ten niedorzeczny kokos rzeźbiony pewno przez jakiegoś więźnia; wszyst-

ko co tu jest, daje mi wierny obraz jéj fizycznego i moralnego usposobienia... Ta kobieta... przysiągłbym, że chowa herbatę zawiniętą w prześcieradło, w téj komodzie z bielizną!... Biedny Jerzy!.. a jednak jest-to człowiek niegłupi!

.....Byłem rozgniewany za niego... bo niepodobna było wytrzymać; dokuczałem też jéj przez cały ciąg obiadu. Byłem nachmurzony jak Kałmuk! w duszy wstydziłem się tego... ależ na honor trudno mieć nerwy żelazne... Pan du Luc! pani Le Rendu! i ryby, i kotka!... Do djabła! tego było już nadto!.. Niemogłem sobie wyobrazić, aby to życie jałowe, rozsądek ograniczony, mowa gminna, które spotykają się tak często w tych prowincyonalnych kretowiskach, mogły tak dalece skupić się w jednym typie i utworzyć równie nieznośną jejmość...

No! będziemy mieć scenę gorącą; wiem ja jakie to harpije ukrywają się pod podobnemi maskami: widzę pazurek djabła z pod watowanéj rękawiczki dewotki.... Ale, jak mi się zdaje, trafiła kosa na kamień. Mam pełnomocnictwo Jerzego, mam jego słowo.. wiem że można na nie liczyć i niepopuszczę zdobyczy.

Biedny Jerzy! Ile to on musiał ucierpieć nim ugiął swoję rozumną głowę pod to głupie jarzmo. Eh! mój Boże, znam ja takie historye. Walczył biedak z początku mężnie, — potém mało po mału dał się uśmierzyć, jak tylu innych; uległ temu bezustannemu i rozprzęgającemu działaniu woli kobiecéj. Jest-to trzydziestoletnie męczeństwo! Ale do kroćset!.. pani Dupuis, koniec temu; mściciel już przybył! (*śmieje się*). To mi przypomina walkę z tą starą megierą Murzyńską, któréj gdy spała ukradłem fetysza. Ach, co to była za furya! Dziwna rzecz jak wszystkie stare kobiety podobne są do siebie. (*Na odgłos otwierających się drzwi staje tyłem do kominka*).

SCENA CZWARTA.

PANI DUPUIS i ROUVIERE.

PANI DUPUIS (do kotki, która stara się wcisnąć za nią).

A psik! Wasannaś tu niepotrzebna, zasłużyłaś że cię wyprawiono za drzwi, to i zostań tam (*zamyka drzwi*). O na rany Boga mego! Te nicdobrego... wszak oni tu palili sygara!

ROUVIERE.

Czyśmy palili?.. (*wąchając głośno*). O na rany Boga mego! zda-

je się, że tak jest istotnie. Uważ tylko pani, do jakiego stopnia może dójść roztargnienie... Aniśmy się spostrzegli, tak byliśmy zajęci Jerzy i ja naszym wielkim projektem.

PANI DUPUIS (zdejmując płaszczyk i kapelusz).

Jakim projektem?... Czy pan zostajesz u nas, panie Tomaszu?

ROUVIERE.

Hm! niezupełnie! Ale dla mnie i Jerzego to wychodzi na jedno jak gdybym zostawał. Czy pani umiesz odgadywać zagadki?

PANI DUPUIS (patrząc na niego uważnie).

Przecięż pan nieuwozisz ze sobą Jerzego? nieprawdaż?

ROUVIERE.

Za pozwoleniem pani. Właśnie mam tę przyjemność.

PANI DUPUIS (z uśmiechem zwątpienia).

Nie? nie, nieprawda? pan będziesz mię uważał za zbyt ograniczoną jeśli uwierzę w ten żart... ale niejestem panią siebie,... trafiłeś mię pan w najsłabszą strunę mojego serca... Powiedz mi... błagam pana, mój dobry panie Tom, wszak mi niezabierasz mojego męża?

ROUVIERE.

Serce jego niezawodnie zostanie przy pani; ale niemniéj jest prawdą, że czasowie uwożę jego osobę. Rzecz krótka: Jerzy marzył oddawna o wskrzeszeniu się w świecie żyjących, z przyjemnością więc pochwycił nadarzającą mu się zręczność natychmiastowego wyjazdu, aby tym sposobem od razu położyć koniec wszelkim podrzędnym przeszkodom.

PANI DUPUIS (opiera się o fotel, spuszcza oczy i szepcze).

Więc to prawda!

ROUVIERE.

Słyszysz pani, jak on tam dokazuje ten sowizdrzał? ciągnie swój tłómok po podłodze niby wóz tryumfalny. Niepowinno to panią dziwić, jak sądzę, że człowiek téj wartości co Dupuis, przepędziwszy trzydzieści lat stale w Saint-Sauveur-le-Vicomte, żąda nareszcie....

PANI DUPUIS (z prostotą).

Oh! nic mi pan nieobjaśniaj... ja rozumiem to wszystko. Dokąd go uwozisz?

ROUVIERE.

Prawdę powiedziawszy, moja droga pani, wszędzie po trosze: najprzód....

PANI DUPUIS.

Na jak długo?

ROUVIERE.

Na rok, na dwa najwięcéj. Ach! pani, jak mi będziesz późniéj za to wdzięczną! Jak to się wzbogacą te nieliczne dotąd, a tak już znakomite kollekcye przedmiotów sztuki i osobliwości przyrody. Dołącz pani do tego, co tu już jest, z tuzin autentycznych relikwijarzy i tyleż różańców poświęconych własną ręką Ojca świętego... *propria manu*.. Co też pani myślisz o tém wszystkiém?.

PANI DUPUIS (niesłuchając, upada na krzesło i zakrywa twarz rękami).

Och! mój Boże!... (*słychać łkania przytłumione*).

ROUVIERE (marszcząc brwi).

(*na stronie*) Ach! to przechodzi w elegiję! (*głośno*) Eh, cóż-bo znowu! moja droga pani Dupuis, to niema sensu żadnego! O cóż-bo zresztą idzie? O podróż! Przecięż podróżować, to nie jedno co umrzeć... z podróży się wraca, i ja jestem tego dotykalnym dowodem... Jakże sobie radzą żony żeglarzy, mój Boże!... No jeszcze... to niedobrze! Stawisz mię pani w bardzo nieprzyjemną pozycyę! Poselstwo moje robisz mi niesłychanie przykrém.

PANI DUPUIS (głosem płaczliwym).

Przebacz mi pan... widzisz... ja... ja niemogę... (*zakrywa znowu twarz*).

ROUVIERE (zniecierpliwiony, chodzi prędko po pokoju, potém zatrzymując się przed panią Dupuis).

Oto właśnie, mam formalne polecenie oświadczyć pani, — czego Jerzy życzyłby sobie uniknąć przedewszystkiém.

PANI DUPUIS (błagalnie, półgłosem).

Czy ja go niezobaczę przed odjazdem?

ROUVIERE.

Zobaczysz go pani niezawodnie, jeżeli zechcesz mieć więcéj

mocy nad sobą: w przeciwnym razie, ponieważ postanowienie jego jest nieodwołalne, lepiéj byłoby dla pani i dla niego...

PANI DUPUIS (przerywając).

A więc dobrze, będę mieć władzę nad sobą... przyrzekam... tylko jeszcze kilka minut... daj mi pan kilka minut... Niemogę... tak... zaraz... o, mój Boże! mój dobry Boże! (*płacze*).

ROUVIERE (surowo).

Jeszcze raz, moja pani, jéj rozpacz przechodzi w przesadę i śmieszność, i zupełnie niestosowna do okoliczności. Przecięż mąż pani niewyjeżdża na wojnę; a gdyby i tak było?

PANI DUPUIS (ociera łzy).

Nie, nie,... ja wiem to dobrze,... on powróci.

ROUVIERE.

Masz pani przecięż głęboką wiarę, oto jest chwila przypomnieć sobie o tém, szukać pociechy w modlitwie... To niedosyć chodzić codzień do kościoła, choćby nawet na nieszpory. Religija nam nakazuje myśleć nie o sobie samych tylko.

PANI DUPUIS (mówiąc z trudnością).

Ale... panie Rouvière,... uważ pan, że on niejest wzwyczajony do podróżowania, do tego życia ciągłych niewygod;... zdrowie jego jest słabsze niż pan sobie wyobrażasz... (*biorąc go za rękę, czule*) Będziesz pan miał o nim staranie, nieprawdaż?

ROUVIERE (mniéj ostro).

Ha!.. już też, bez wątpienia: możesz pani na mnie liczyć... przyrzekam odwieźć go zdrowego jak rybka, rumianego jak jabłuszko.. Daję na to słowo honoru; słyszysz pani?... Tylko proszę, aby niebyło więcéj łez, a nadewszystko żadnych scen pożegnalnych.

PANI DUPUIS.

Nie. Będziesz pan ze mnie kontent; obaczysz: —już skończono. (*uśmiechając się*) Jestem wesoła.

ROUVIERE.

No, tak dobrze, moja pani, bardzo dobrze! Poważam kobiety silne duchem, matrony chrześcijańskie. A teraz kiedyśmy już spokojni, pozwólmy sobie powiedzieć, żeśmy niemieli słusz-

nego powodu martwić się tak bardzo. Cóż znaczy rok jeden? Mój Boże! Przepędzisz pani z pół-roku u córki, jak wnoszę; resztę czasu przebawisz tutaj wpośród zwyczajnych swoich zajęć, myśląc o Jerzym. Zresztą będzie on tylko na w pół nieobecny, ponieważ wszystko tu będzie go przypominać; znajdziesz pani jego ślady na każdym kroku.

PANI DUPUIS (niedowierzając).

Strzeż się pan, panie Tomaszu, strzeż się! chcąc przynieść ulgę, zwiększasz jeszcze moję boleść, któréj pojąć niejesteś w stanie.

ROUVIERE.

Przepraszam panią; pojmuję ją, — i chciałem tego dowieść.

PANI DUPUIS

Ah panie, niewątpię ani o pojętności, ani o dobroci pańskiéj.

ROUVIERE.

Pani!

PANI DUPUIS.

Ale zresztą, są rzeczy, których pojąć lub też domyśleć się niepodobna... Wyobraź pan sobie jak dalece nasze życie było różném od pańskiego? Pan byłeś zawsze rozważnym... niedopuściłeś sercu swemu uwikłać się w sidła, których moc i ilość poznaje się dopiéro w chwili, kiedy je przychodzi zerwać... Tak, miałeś pan słuszność, — wszystko tu, aż do kamienia przed progiem, wszystko wchodzi do całości naszego wspólnego życia, wszystko łączyło nas wspomnieniem i zbliżało myślami,... wszystko nas kochało i wszystko nam było drogie!.. Tak sądziłam przynajmniéj... Przed chwilą jeszcze, ileż to przywiązywałam ceny do tych wszystkich przedmiotów, do których, od lat tylu, przywykliśmy oboje, do najmniejszych śladów naszych długich nawyknień, do tych świadków naszych wspólnych rojeń, nadziei, rozkoszy, smutków nawet!.. a teraz wszystko to zniknie! lub będzie mi przypominać moje szczęście zwodnicze, szczątki ułudy!..

ROUVIERE.

W tém wszystkiém jest wiele przesady. Przypuszczając nawet, że ta podróż zakłóci obecność, toć przecię przeszłość zostaje nienaruszoną.

PANI DUPUIS.

Mylisz się pan. Wiem, że podróż ta jest niczém, ale odpo-

wiada ona w sposób okrutny na jedno pytanie, które w duszy zadawałam sobie przez całe życie... Czy mój mąż jest szczęśliwy?.. Otoż nie! Ja tylko byłam szczęśliwą. (*z silném wzruszeniem*) On się poddał losowi,... ale niebył szczęśliwy... Niestety! A jednak śmiem powiedzieć, że sercem byłam godną jego.... Co zaś do reszty, gorzko to nieraz uczułam, niebyłam mu równą. Jakąż przyjemność mogło sprawić, jemu, człowiekowi wyższego umysłu, towarzystwo parafijanki, niemogącéj wznieść się do wysokości jego pojęć, która nic nieumiała... nic.. prócz tylko kochać swojego męża?

ROUVIERE.

Posuwasz pani zadaleko zwątpienie o sobie saméj: co do mnie, im więcéj panią poznaję, tém lepiéj oceniam wybór, który uczynił Jerzy.

PANI DUPUIS (powstając, z uśmiechem bolesnym).

Pochlebiasz mi pan, ponieważ widzisz, że cierpię;... jesteś wspaniałomyślny... i ja chcę być taką,.. i przebaczam ci wszelkie zgryzoty, których doznałam z twojego powodu; oh! bo wiele już czasu upłynęło od chwili, w któréj po raz piérwszy zaczęłam przeklinać pana.

ROUVIERE (zdziwiony).

Mnie, pani? jak mogłem zasłużyć? Ale przedewszystkiém, powiedz mi pani, wszak czujesz się lepiéj, nieprawdaż? Niewiem czém to się dzieje, ale wydajesz mi się młódszą o lat dziesięć.

PANI DUPUIS (z bolesnym uśmiechem).

Tak,... zdaje mi się, że mam gorączkę,... to wszystko czego potrzeba.

ROUVIERE.

No, odważnie! .. Ale z jakiego względu mogłem mieć tak przykry udział w przeznaczeniu pani?

PANI DUPUIS.

Mój Boże! panie Tomaszu, musisz pan wiedzieć, że każda kobieta już nazajutrz po ślubie, spotyka się ze strasznemi rywalkami, są to wspomnienia jéj męża... Niełatwo jest, wierz mi pan, dokazać aby zapomniał o ofiarach, które dla niéj uczynił; niełatwo jest biednéj żonie ukoić w jego sercu żal za wiekiem złotym; żal coraz zwiększający się, w miarę jak ów wiek się od-

dala i młodość mija !... Co do mnie, postrzegłam się prędko, że pańskie imie, które Jerzy zbyt często wspominał, było dla niego symbolem niepowrótnie straconych rozkoszy; najmilszém wcieleniem ułud dawniejszych: pan, w jego myśli, byłeś przedstawicielem niepodległości, swobody, niekiedy chwilowych umartwień, lecz i nadziei bez końca;... ja, przedstawiałam życie rzeczywiste, jak ono jest, pełne kłopotów gospodarskich i umartwień codziennych... Ja byłam... prozą, pan byłeś poezyą; więc to pana wypadało mi zwalczyć w jego umyśle: wzięłam się do tego z całéj duszy... Niestety! robiłam co mogłam, pan byłeś silniejszy! Jerzy coraz bardziéj stawał się zadumany, a ja czułam, że każda chwila jego smutku, była chwilą pańskiego tryumfu... Ach! ileż to razy, w jakim zakątku tego domu lub w szpalerach tego ogrodu, starałam się ukryć moję porażkę i łzy!... Ale byłam wówczas młodą, — a Bóg snadź umiłował młodość... dał mi córkę, i pan byłeś zwyciężony. (*boleśnie*) Dziś... mój anioł odleciał, — i zwycięztwo przy panu.

ROUVIERE (głosem wzruszonym).

Kto wie droga pani? Ostatnie słowo jeszcze niewymówione. Obaczysz się pani z Jerzym, pomów z nim. Możesz jeszcze przeszkodzić temu wyjazdowi.

DUPUIS (łagodnie).

Dałam panu słowo, że probować tego niebędę.

ROUVIERE.

Eh, do kroć... wracam pani jéj przyrzeczenie; niechcę być złym duchem pani, ja! Jestem szorstki... niekiedy samolub, — to mój fach, jako starego kawalera, ale — chciejcie mi wierzyć, — że niejestem zły człowiek.

PANI DUPUIS.

Niewątpię, niewątpię; ale ja znam Jerzego: wszelkie moje starania byłyby bezużyteczne; rozjątrzyłyby go jeszcze bardziéj... A gdybym nawet przemówiwszy do jego serca i honoru, potrafiła go wstrzymać, teraz jużbym ja sama tego niechciała. Przyłączyłabym jeszcze jedną boleść nówszą i silniejszą, do tych wszystkich, które zatruwały mi życie. A potém, jego znudzenie, jego mimowolne wzmianki, jego milczenie nawet, będą mi wyrzucać mój smutny tryumf... Nie, — potrzeba aby jechał.

ROUVIERE (po chwili namysłu).

Wszystko to prawda, — niemożna temu zaprzeczyć,... masz pani słuszność. Proszę przynajmniéj być przekonaną, że o ile w mojéj mocy, będę się starał o skrócenie jego nieobecności.

PANI DUPUIS.

Liczę na to i dziękuję. (*Podaje mu rękę, którą Rouvière całuje z uczuciem. — Słychać zewnątrz hałas i kilka głosów. Pani Dupuis z przestrachem*): Mój Boże! Co tam się stało? To on! Poznaję jego głos. (*Dupuis odmyka drzwi z hałasem. Maryanna wchodzi za nim*).

SCENA PIĄTA.

DUPUIS, ROUVIERE, PANI DUPUIS i MARYANNA.

DUPUIS (do Maryanny).

Jesteś głupia! Milcz! Powiedziałby kto, że tłómek z bielizną, to cała góra do dźwigania. (*do żony*). Wyobraź sobie, moja droga, że ta głupia dziewczyna, nieumiała inaczéj znieść mojego tłómoka, jak zrzucając go po wschodach z góry aż na dół.

MARYANNA.

Oh! bo jak mi pan powiedział, że jedzie aż do Rzymu, tak mnie od razu odebrało ręce i nogi. Niemam sił za trzy grosze. Jechać do Rzymu! No proszę! Oto zmyślił pan cóś nowego!

DUPUIS.

Ta dziewczyna sfixowała! Do czego się wtrącasz, powiedz mi?

MARYANNA.

Ja? do niczego. Ale niech pan wybaczy; w głowie mi się przewraca? Pan chcesz zostawić panią samą, — w jéj latach, — żeby jechać do Rzymu, licho wie po co i na co! Jeszcze szczęście, jeśli powróciwszy znajdziesz ją pan w życiu! Ja za nie nieręczę.

DUPUIS (wstrzymując się).

Maryanno, strzeż się! widzisz, że jestem w gniewie!

MARYANNA.

Ja to widzę... pan gniewasz się na innych, dla tego, że jesteś zły sam na siebie; to tak zwykle bywa.

DUPUIS (w złości).

Precz z mojego domu, gałganico!

PANI DUPUIS (surowo).

Idź zaraz na dół, mościa panno.

DUPUIS.

Żeby twoja noga tu niepostała! Wypędzam cię! Gdyby to miało być moje ostatnie słowo w tym domu, powtarzam, precz! (*Maryanna wychodzi*). To także twoja wina, moja pani. Przypuszczasz służących do nieprzyzwoitéj poufałości, — i oto masz skutki! Słyszałaś, żem wypędził tę dziewczynę.

PANI DUPUIS.

Tak, mój przyjacielu. — Jutro zapłacę jéj jurgielt, — jeśli niezmienisz swojego postanowienia.

DUPUIS.

Jeśli niezmienię? Czyż to mój zwyczaj zmieniać co chwila to, com raz postanowił? Cóż to, mam być chorągiewką na dachu? Albo sądzisz mię już tak zgrzybiałym, że pozwolę aby mi moi słudzy dawali lekcye!

PANI DUPUIS,

Przez litość, mój drogi, ani słowa więcéj o tém: — ona jutro ustąpi z naszego domu! (*prędko*) Ale chciałabym wiedzieć, mój Jerzy, czy masz wszystko co ci potrzeba... Pozwól mi przepatrzeć twój tłómok. Mężczyźni niebardzo się znają na rupieciach; — a w podróży, jaka bagatel zapomniana, często psuje humor na cały dzień... Ja wiem, że można zawsze kupić to czego niedostaje, ale kiedy można się obejść bez tego? (*wesoło*) A zresztą w podróżach będzie to ci przypominać twoję żonę, włóczęgo!

DUPUIS.

Jak sobie chcesz, moja kochana... Oto masz klucze. (*Pani Dupuis wychodzi*).

SCENA SZÓSTA.

DUPUIS i ROUVIERE.

DUPUIS (zmieniając głos).

Powiedz mi, Tom, wszak ona zdaje się bardzo dobrze przyjęła to wszystko.

ROUVIERE.

Wybornie. — Wiesz co, Jerzy? wiele jest dobrego w twojéj żonie.

DUPUIS (patrząc nań uważnie).

Albom ci niemówił?

ROUVIERE.

Ona jest łagodna, zbyt powolna, i to jéj trochę ujmuje.

DUPUIS.

Mówiłem ci, że ona się ciebie boi... ale gdybyście się bliżéj poznali, jestem pewny, że wydałaby ci się jeszcze w lepszém świetle.

ROUVIERE.

Niezawodnie. Pod wpływem wzruszenia,— nieukrywam przed tobą, że nasz zamiar z początku silnie ją poruszył, — wydobyły się z jéj serca takie myśli, które mię zdumiały.

DUPUIS.

O! co się tyczy serca, ona je posiada!

ROUVIERE.

Możesz także dodać, że ma i rozum, i wyższy umysł w potrzebie.

DUPUIS.

Eh! mój przyjacielu, wiem ja to dobrze! Ja sam niejestem głupi, nieprawdaż? Czyżbym był się z nią ożenił, gdybym niedopatrzył u niéj serca i rozumu?.. I co więcéj, powiem ci szczerze, tak, z ręką na sercu, że gdybyśmy jakim cudem znaleźli się wolni, zaślubiłbym ją teraz nanowo..., i nietylko jestem szczęśliwy z mojego wyboru, ale jestem dumny!... Wiem, że ma swoje niedostatki... Widzę je lepiéj niż kto inny; ale, tak wziąwszy rzecz sumiennie, cóż znaczy trochę niezgrabności,

trochę parafijaństwa, trochę zajęcia drobnostkowemi rzeczami, kiedy obok tych cieniów znikomych, prześwieca w kobiecie przywiązanie silne i gotowe do ofiar, zdrowy i delikatny rozum, pobożność szczera, bez przesady i hipokryzyi, a niedająca się we znaki innym,... nareszcie wszystkie cnoty, ujmujące każdego uczciwego człowieka.

ROUVIERE (śmiejąc się, kładzie mu rękę na ramieniu).

Cha, cha! Uczciwego człowieka! Widzę do czego zdążasz. No mniejsza z tém. Jak sobie chcesz.

DUPUIS.

Co przez to rozumiesz?

ROUVIERE.

Wybornyś! Zakończenie twojéj perory, zda mi się, jest dość jasne. Zastanowiwszy się nieco, oceniwszy lepiéj całą wartość skarbu, który się posiada w domu, — straciło się odwagę opuszczenia go. Pozwalasz mi odjechać samemu. Zresztą ja to pojmuję.

DUPUIS.

Przysięgam ci...

ROUVIERE.

Dość, dość tego... ja to pojmuję, powiadam ci.

DUPUIS (z nieukontentowaniem).

Toś mię źle pojął... Umiem oceniać przymioty mojéj żony, ale niemniéj jest prawdą, że gdyby ona była dziesięćkroć świętą, ja prowadziłem z nią życie ślimacze! Eh! do kroćset... jéj cnoty... wszak jeszcze lepiéj potrafię je ocenić, wówczas, gdy przekonanie o mojéj degradacyi umysłowéj, niby głos turbatora chóru, niebędzie przerywać wątku moich myśli.

ROUVIERE (wzruszając ramionami).

Pocieszny jesteś, daję ci słowo, z twoją degradacyą umysłową.

DUPUIS.

Niecieszyłeś się kiedyś mi przed chwilą odmalował ją w kolorach, których żywość zaledwo mogła umiarkować twoja przyjaźń dla mnie.

ROUVIERE.

Jakto, niespostrzegłeś się, że żartowałem tylko?... Wszyscy prawie ludzie rozumni mieszkający na prowincyi, wyobrażają sobie, że zgłupieli. Domyślając się w tobie téj manii postanowiłem zrobić sobie uciechę irrytując cię — przy pończu.

DUPUIS.

Bądź co bądź, teraz, więcéj niż kiedykolwiek, trzymam się zamiaru podróżowania: i jeżeli przez chwilę wahałem się, to już przeszło. Przyznaję, żem się z razu obawiał wrażenia jakie mój odjazd może sprawić na umyśle żony; ale teraz, jéj spokojność rozproszyła ostatnie szkrupuły.

ROUVIERE.

Słuchaj, Jerzy; zawiele ufasz powierzchowności: aby ci się nienarazić, żona twoja udaje stałość i moc charakteru, których niema. Ja wiem, ja...

DUPUIS (z gniewem).

Ty wiesz, ty! ty wiesz żeś się rozmyślił, że będę ci zawadą, i dla tego chcesz się mię pozbyć: oto wszystko co ty wiesz! (*Słychać trąbkę pocztową*).

ROUVIERE.

Ale nie, mój Jerzy!... tośmy się tylko niezrozumieli, — nic więcéj. Słuchając cię, zdało mi się, żeś zmienił zamiar... Myślałem, że wracając ci słowo dane, uprzedzę twoje chęci... ale jak skoro trwasz w zamiarze, to i dosyć; jestem bardzo rad.

MARYANNA (odmykając drzwi).

Konie gotowe! (*zamyka drzwi z hałasem*).

ROUVIERE.

Ten babsztyl, gdyby mógł, toby mię w szklance wody utopił. No, marsz w drogę! (*wdziewa płaszcz chodząc wielkiemi krokami po pokoju*). Ach! do djabła! Zdaje mi się... przypominam sobie, że ty niemożesz spać w powozie?

DUPUIS.

Przeciwnie! śpię najdoskonaléj.

ROUVIERE.

Tém lepiéj... wszak to już wszystko gotowe?... To

okno wychodzi na ulicę? (*otwiera i zamyka natychmiast okno*). Co za czas piekielny! Pies nawet niewytrzyma na dworze!.. Do licha! przypominam, że w moim powozie jedna szyba wybita... lękam się abyś niezmarzł, mój biedny przyjacielu.

DUPUIS (także ubierając się do drogi).

Nielękaj się, jestem wytrwały na chłód jak Lapończyk.

ROUVIERE.

Tak?.. Bravo! marsz!... (*Bije dziewiąta godzina, wchodzi pani Dupuis z szalem na ręku*).

SCENA SIÓDMA i OSTATNIA.

Ciż sami i PANI DUPUIS.

PANI DUPUIS (głosem przerywanym i wzruszonym).

Wszystko gotowe. Oto są twoje klucze, mój przyjacielu. Dodałam kilka szczegółow do twojego tłómoka. Będziesz kontent. A to, odkroiłam tobie połowę mojego starego szalu; ażebyś miał czém obwinąć szyję od chłodu.

DUPUIS.

Co za szaleństwo! rozkroić kaszmir!.. Ponieważ już się stało, daj; ale to zawsze wielka niedorzeczność.

PANI DUPUIS.

A oto druga połowa dla pana, panie Tomaszu.

ROUVIERE.

Dla mnie? (*patrzy na nię uważnie*). Dziękuję pani, bardzo dziękuję.

PANI DUPUIS.

Niezapomnisz pan o tém, coś mi obiecał? nieprawdaż? (*Rouvière czyni znak potwierdzający i odwraca się niekontent z siebie*). A ty, Jerzy, będziesz pisywał... do córki twojéj, nadewszystko?

DUPUIS

Będę, — i do ciebie także. (*nasuwa czapkę na oczy*).

ROUVIERE (*grzeje nogi przy kominku i rozpatruje z roztargnieniem kalendarz*).

Siódmy stycznia! jakto! dziś mamy siódmego stycznia?

PANI DUPUIS

Tak; — zdaje mi się... albo jest co szczególnego w tej dacie, 7 stycznia?

ROUVIERE.

O, nie! Ta data ma tylko dla mnie wspomnienia... Już temu pięć lat, — w ten dzień i prawie o téj saméj godzinie, — przebyłem ciężką próbę, która mi niełatwo wyjdzie z pamięci. (*uderzając nogą o podłogę*) Czyśmy już gotowi, Jerzy?

DUPUIS.

Jaką próbę? Miałeś przypadek?

ROUVIERE.

Nie. Byłem tylko mocno chory, — i leżałem w oberży, co niebardzo przyjemnie.

DUPUIS (*obojętnie*).

Wszędzie może się nadarzyć choroba.

ROUVIERE.

Niezawodnie! ale do jakiego stopnia wrażenia choroby i śmierci nawet mogą być różne stosownie do położenia, w którém się znajdujemy, o tém można tylko sądzić z doświadczenia.

DUPUIS.

Śmierć wszędzie i zawsze jest tylko śmiercią.

ROUVIERE.

Tak sądzisz?.. Niechciałbym jednak widzieć cię w pozycyi w jakiéj ja się znajdowałem o téj porze przed pięcią laty. Było to w Peschiera, na jeziorze Garda... zresztą piękny zakątek świata... zwiedzim go... pokażę ci dom... Zapadłem w nim na jakąś bardzo złośliwą gorączkę. Przez ośm dni wszystko szło dobrze, gdyż leżałem bez pamięci... w ciągłém delirium; ale jednego pięknego wieczora, właśnie z 7 na 8 stycznia, — zbudziłem się w stanie takiego niepokoju i osłabienia, a przytém z takiém jasnowidzeniem mojego położenia, żem bynajmniéj niewątpił o blizkości ostatecznéj chwili... O mój Jerzy! w ciągu życia tak awanturniczego znajdowałem się nieraz w straszliwych pozycyach, — i przypominam je sobie z pewnym rodzajem

przyjemności; ale kiedy wspomnę teraz o chwili mojego rozbudzenia w téj nędznéj stancyjce oberży, — dreszcz mię przejmuje na samo to wspomnienie. (*Maryanna wchodzi i na znak pani Dupuis zatrzymuje się we drzwiach*).

DUPUIS (zbliżając się).

Cóżeś takiego zobaczył w téj stancyi?

ROUVIERE.

Nic nadzwyczajnego, jednak. — Ujrzałem ludzi, którzy myśleli jak i ja, że mam lada chwila umrzeć, stara kobieta i młody doktor rozmawiali po-cichu w kącie, xiądz klęcząc odmawiał modlitwy przy mojém łożu, a za ramy do tego śmiertelnego obrazu, służyły podarte firanki i zużyte meble oberży. Ale co mię najbardziéj oburzyło, co mię wzruszyło do głębi duszy, to, nie widok tego nędznego wnętrza pokoju, ani pozór śmierci który w nim panował; lecz lekceważenie, niedbałość i barbarzyńskie roztargnienie, które mię otaczało; lecz zupełne opuszczenie, próżnia, którą czułem w około, w chwili śmierci. Niemogłem przemówić; ale.... o Boże, jak ta chwila wyryła się w mojéj pamięci!.. patrzałem błagalnie na wszystkie strony, starając się choćby pajęczą nicią przywiązać do czegokolwiek ubiegające życie; prosząc z rozpaczą w sercu u tych obojętnych ludzi o najmniejszy znak współczucia, a przynajmniéj litości; szukając jakiego przedmiotu, którYby mi przemówił do serca, jakiego wspomnienia, któreby mię ukołysało do snu wiecznego, jakiéj osoby, którаby mię znała i powiedziała słowo pożegnania! Wszystko było mi obcém.

DUPUIS (ponuro.

Chwila śmierci zawsze przykra! W tej krytycznéj chwili smutno jest ujrzeć się opuszczonym; ale również smutno opuszczać rodzinę, — jedno ośmnaście, a drugie bez dwóch dwadzieścia.

ROUVIERE.

Tak sądzisz?.. Co do mnie, śmierć taka, jaką Bóg przeznaczył wszystkim ludziom, jaką większa ich część umiera, śmierć rozrzewniająca i pocieszana, płacząca i opłakiwana zarazem, wydała mi się w owém osamotnieniu, jakąś miłą uroczystością, któréj spokój zaledwo był zakłócony! Ach!. dziwne myśli roiły mi się, owéj nocy!.. (*uderzając się ręką w czoło*) No, czyś już gotów?

DUPUIS.

Jak chcesz... Ale jakież to myśli cię obsiadały?

ROUVIERE.

Jeśli mam prawdę powiedzieć, w owéj chwili wielki uszczerbek poniosła moja zarozumiałość. Mniéj byłem zadowolony z życia, które wyrwałem ze zwyczajnych kolei... Po cóż się zapierać? Prawdziwa xięga przeznaczenia otwarła się nagle przed mojemi oczami; na każdéj karcie onéj, wyczytałem ręką Stwórcy skreślone wyrazy: *obowiązek* i *poświęcenie!* Niechciałem uznać tego powszechnego prawa; pojmowałem tylko jego złą stronę; a wówczas dopiéro poznałem i dobrą!.. podeptałem wszystkie obowiązki dla zapewnienia sobie niepodległości, a pozyskałem jedynie wieczne wygnanie... Myślałem, że wychodząc ze zwyczajnéj kolei, którą ludzkość dąży do celu, zdobędę jakieś dobro, nieznane dla tłumu, a zdobyłem tylko młodość bez wzruszeń serdecznych — starość bez podpory — śmierć bez łez!.. (*z siłą*) Wówczas, mój Jerzy, wówczas poznałem za jaką cenę Bóg nam przedaje samolubstwo!

DUPUIS.

Długo byłeś w tym stanie?

ROUVIERE.

Dość długo, aby pozostał na zawsze w mojéj pamięci... Doktor widząc mój wzrok wlepiony w siebie, zbliżył się do łoża, — uczułem dotknięcie jego ręki zimnéj i obojętnéj jak serce. Odepchnąłem go i zamknąłem oczy. — Widziałem skon mojego ojca; przypomniałem sobie z jasnością, która mię olśniła nakształt wizyi, wszystkich którzy go otaczali w ostatniéj godzinie: domowników naszych, starego doktora i xiędza, obu przyjaciół z lat dziecinnych, — moją matkę nareszcie, moją poczciwą matkę, wszyscy go otoczyli, wszyscy mu się uśmiechali tłumiąc łzy, pocieszali go przy śmierci tak, jak mu upiękniali całe życie! Na tę myśl, na ten widok, serce moje jakkolwiek zobojętniałe rozpłynęło się we łzach!... Byłem uratowany!

DUPUIS (wzruszony).

Te wspomnienia ranią ci serce!

ROUVIERE (głosem chrapliwym).

Tak!... Bo wszystko to, co u was widzę, w tym pokoju obudza je, podnosi nawet. (*mówiąc prawie do siebie*) Wszyst-

kie te mieszkania z dawnych czasów są prawie jednakie... Widziałem to wszystko w mojéj piérwszéj... w mojéj szczęśliwéj młodości... Przy oknie, jak i tu, stał stoliczek z robotką mojéj matki, przy którym znajdowałem ją codziennie; przy kominku wielki fotel mojego ojca, z którego on powstawał, aby mię uściskać; na ścianach portrety przodków, stróże zgody i honoru domu; wszędzie, jak i tu widoczne ślady dwóch istot ściśle połączonych, związanych nazawsze. Przykład ich powinien był mię nauczyć... A trzebaż mi było włóczyć po wszystkich kątach świata znudzenie życia i zgryzotę bez końca, zabaczonych obowiązków — nim poznałem, że oni byli szczęśliwi!.. A oni sami czy pojmowali swoje szczęście? Niestety! ileż to razy słyszałem mojego ojca zazdroszczącego tych gorzkich rozkoszy, ktorych mnie sądzono było zakosztować? Ileż to razy byłem świadkiem lub powiernikiem ich skarg, ich uraz wzajemnych. Biedni starzy! A jak jedno z nich zeszło ze świata, drugie żyć na świecie niemogło.

DUPUIS.

Mój przyjacielu!

ROUVIERE (mocno wzruszony).

A ja! jak tylko dom ów się opróżnił — przedałem go! Starczyło mi na to odwagi!... Pokój, w którym przyszedłem na świat, okno przy którém pracowała moja matka, przez które ujrzałem po raz piérwszy światło słoneczne, wszystkie podania, wszystkie związki łączące nas z ziemią rodzinną; wszystko to sprzedałem!... Niedość na tém... zmieniłem na dożywotni dochód całą moję ojcowiznę, tym sposobem zerwałem samolubnie łańcuch łączący mię z ludźmi... tak dobrze, że teraz, na moje stare dni, nawet przez obietnicę spadkobierstwa, niemogę wyżebrzeć kłamliwego chociażby przywiązania, współczucia. Lecz co mię najmocniéj boli, niemogę odkupić tego biednego wiejskiego domku moich rodziców, aby w nim być kochanym... przez ich cienie... i być mniéj samotnym przez tych niewiele pozostających dni życia... (*gwałtownie*) No cóż! Czy pojedziem nareszcie?

DUPUIS (z uniesieniem biorąc go za rękę).

Tak Tom, tak, pojedziem, — jeśli niezgodzisz się przy naszém domowém ognisku zająć nazawsze miejsce przyjaciela — brata. (*do żony*) A ty niepłacz... Zapomnij tę godzinę niewdzięczności... piérwszą i ostatnią w życiu.

PANI DUPUIS (rzucając się w jego objęcia).

Mój Jerzy kochany! (*zwracając się do Rouvièra, który na nich

patrzy z rozczuleniem) Mój panie Tomaszu! Jeżeli szczęście, któreś nam powrócił, może mieć jaki powab,.. z jakąż rozkoszą ofiarujem ci w niém udział!...

ROUVIERE (wahając się).

Pani! moi przyjaciele!.. Ach! Jerzy, nieigra się bezkarnie z prawdą: jak dziecko jakie wpadłem w dół, który pod tobą kopałem. (*Siada. Jerzy z żoną otaczają go błagając, odpowiada półgłosem*). A jednak miłe to jest marzenie dla biednego jak ja samotnika!

PANI DUPUIS (składając błagalnie ręce).

Zostajesz!

MARYANNA (ocierając łzy rękawem).

Przygotuję mu łóżko w błękitnym pokoju. Nieprawdaż pani? (*idzie ku drzwiom*).

ROUVIERE (wstając gwałtownie).

Eh do licha! Maryanno!

MARYANNA.

Zaraz będzie gotowe, już idę.

ROUVIERE

No.. tak... dobrze... tylko niepościel mi wyżéj w nogi, jak w głowę, moja piękna! Sześćdziesiąt cali pochyłości. A prócz tego Maryanno, niech cię pan Bóg strzeże.. (*wstrzymuje się, wstrząsa głową, z uśmiechem i dodaje łagodnie*) Zrób jak umiesz, Maryanno, będzie bardzo dobrze. (*Maryanna wychodzi*). Widzicie moi kochani, zawsze ten przeklęty egoizm przebija, ale przy was pozbędę się go. Ach, mam nareszcie odpocząć trochę. Pani Dupuis, zrób mi pani wielką łaskę. Znam z doświadczenia całą nędzę tułactwa... przywołaj swoję kotkę!

SPIS RZECZY.



Oddział I.

str.
Satyry, przez Leonarda *Sowińskiego* 1
Kometa, przez *Deotymę* 13
Krzyże Wioskowe, przez *Wł. Syrokomlę* 18
Lekarz domowy, dyalog dramatyczny, przez *K. Wł. Wojcickiego* 21
Podróż na około świata, odbyta w trzech godzinach, przez *Zbigniewa* 55
Zbiory Kanonów, przez Ks. Biskupa *A. S. Krasińskiego* 74 i 75
Zarysy z czasów Pogańskich Litwy, przez *J. Jaroszewicza* .... 83 i 83
Józef Sapieha, przez *J. Bartoszewicza* 118
Zbiór ułamkowych wiadomości o uniwersytecie Wileńskim, przez *Ks. S. Jundziłła* .... 131 i 117
Wiadomość historyczna o krwawym djable, przez *J. Przyborowskiego* 151
Znaczenie języka Litewskiego we względzie naukowym, przez *K. A. K.* 163

Oddział II.

Ramoty starego Detiuka o Wołyniu, zebrał *A. Andrzejowski* 1
Xiąże Udalryk Radziwiłł, przez *J. Bartoszewicza* 133
De Rusticorum regni Polonici, Brueggencja, przez *J. Bartoszewicza* 150

Oddział III.

Deotyma, szkic do dziejów poezyi, przez *A. Tyszyńskiego* 1

Bibliografia Wileńska za rok 1858. 23

Listy: z *Warszawy* 37

—— *Paryża* .... 1 — 40

—— o *Turcyi* .... 1 — 41

Dodatek: Domowa Zagroda, komedyjka w jednym akcie, napisał *O. Feuillet,* przełożył *J. Horain* ... 1 — 39